



Wolfgang  
Hohlbein  
NIEŚMIERTELNOŚĆ  
WIEŻA

Wydawnictwo TELBIT

# Hohlbein Wolfgang

## *Nieśmiertelność. Wieża.*

Arion. Księżniczka Infinity weszła na najwyższą platformę widokową, oparła się na balustradzie z czarnego acheronu i w zamyśleniu patrzyła na Oblężenie. Z tej wysokości zupełnie nie przypominało ono miasta. Wyglądało raczej na coś w rodzaju gigantycznego, żywego organizmu, który ogarniał cały horyzont, tak daleko, jak tylko sięgnąć mógł wzrok księżniczki. Było niczym potworna, jątrząca się i nierokująca żadnych nadziei na zagojenie rana ciężko okaleczonej Ziemi.

W nieskończonej dali majaczyła widoczna tylko z tego kierunku Ściana. Drżenie powietrza wywoływało iluzję powolnego ruchu, który rzeczywiście miał miejsce, czego jednak z tej wysokości nie można było dostrzec. Słowo „Oblężenie” nagle wydało się Arion nader słusznym określeniem.

Wyglądało to tak, jak gdyby gigantyczne miasto pełzło powoli w kierunku R'Achernona.

I rzeczywiście pełzło, a przynajmniej próbowało.

Kiedy wydawało się, że rozbity na drobne kawałki księżyc zaraz pojawi się nad horyzontem, Arion kątem oka dostrzegła w górze nagły ruch, co kazało jej podnieść wzrok.

Był to heliopter. Zachowywał pełną respektu odległość przed czarną, miarowo unoszącą się i opadającą przeszkodą. Sprawiał wrażenie drobnego i drżącego, mimo to nie dało się pomylić go z niczym innym. Za chwilę przyłączył się do niego drugi i trzeci. Wkrótce wszystkie ważki utworzyły charakterystyczną formację patrolową.

Arion przez chwilę obserwowała w skupieniu coś, co wyglądało jak kawałki pociętej tęczy, a co w rzeczywistości było efektem szybkiego ruchu skrzydeł ważek w powietrzu. Próbowła dopatrzeć się tam jakiegoś wzoru, o którym wiedziała przecie, że nie istnieje, a jednak bardzo pragnęła go dostrzec. Gdzieś w tyle głowy pojawiło się pytanie, czemu właściwie miały służyć te nigdy niekończące się loty patrolowe. Oczy R'Achernona sięgały sto razy dalej niż oczy trzech mężczyzn siedzących na grzbietach heliopterów i były o wiele bardziej przenikliwe - wystarczająco przenikliwe, aby widzieć nawet przez Ścianę i trzech jeźdźcy nijak nie mogli się z nim równać.

Arion błyskawicznie odpowiedziała sobie na zadane w myślach pytanie: te loty były ważnym elementem tradycji, a według R'Achernona to właśnie tradycja była drugą prasiłą utrzymującą świat w jedności.

Westchnęła cicho i głęboko. Wszystko było tak przerażająco skomplikowane i jednocześnie w jakiś sposób proste... choć bardziej niż „proste”, pasowałoby tu słowo „nieuniknione”.

Arion odwróciła się i jednocześnie kątem oka spostrzegła, że formacja heliopterów rozproszyła się w powietrzu.

Znów spytała samą siebie, czy siedzący na grzbietach olbrzymich ważek mężczyźni byli w stanie dostrzec i rozpoznać ją z góry.

Natychmiast znów sobie odpowiedziała: nie musieli, bo R'Achernon bez wątpienia poinformował ich o tym i to z całą pewnością jeszcze zanim ona, księżniczka, zdążyła choćby postawić stopę na balkonie.

Co, ona tu w ogóle robi, do diabła? - Mogę wam powiedzieć, księżniczko - zabrzmiał nagle rozbawiony, a jednocześnie pełen wyrzutu głos. - Wy, księżniczko, sprawiacie, że cała kupa ludzi łamie sobie głowę z waszego powodu, protokół też bierze w łeb, wasza pani matka pewnie przewracałaby się w grobie, gdyby w nim leżała, zaś komendant waszej straży przybocznej ma coraz więcej siwych włosów... albo miałby, gdyby w ogóle miał jakieś włosy na głowie.

Arion świadomie poczekala dobre pięć sekund, po czym odwróciła się i odparła prowokacyjnie: - Gdyby kiedykolwiek miał włosy na głowie, z pewnością wyrwał by je sobie, gdyby poznał ciebie, Plixx.

W jej głosie - po dokładnie odmierzonej przerwie - zabrzmiał nieco bardziej ostry ton.

- Nie lubię, kiedy ktoś śledzi moje myśli, czy już o tym nie wspominałam?

- A, raz czy dwa razy - odpowiedziała niedbale tajemnicza postać okryta prostą szatą ze skóry, wzruszając przy tym nieznacznie ramionami. Wydawało się, że jej barki sięgnęły przy tym spiczastych, pokrytych jedwabście szarą sierścią uszu.

- Tak czy owak, nie jesteście byle kim, lecz urzędującą księżniczką i przyszlą samodzielną władczynią R'Achernona...

- Ha! - zawołała Arion. - ..co oznacza, że właściwie każdy tutaj ma prawo czytać wasze myśli i z tego prawa korzysta odpowiednio do własnych możliwości - kontynuował spokojnie Plixx. Spiczasta twarzyczka myszczura drżała.

Arion wiedziała, że kpiący uśmiech to tylko pozory.

-To właśnie, księżniczko, jest cena władzy. Wasze myśli nie należą wyłącznie do Was.

- Ale te - owszem, tak - odparła ostro Arion; zła, że w ogóle dała się wciągnąć w tę bezsensowną dyskusję.

- Ach, słusznie, bardzo słusznie... - westchnął Plixx.

Tym razem jego pyszczek nie wyrażał emocji, ale Arion wydawało się, że dostrzega kpiące iskierki w jego nieprzeniknionych oczach składających się niemal wyłącznie z czarnych źrenic.

To było... po prostu nie fair!

A właściwie, dlaczego każdy miał prawo szukać czegoś w jej głowie, podczas gdy jej samej zabraniano korzystania z tej umiejętności?

- Och, wierzcie mi, księżniczko, nie chcielibyście tego - oświadczył myszczur. - W większości głów panuje potworny chaos i nie za każdą miłą twarzą kryją się równie sympatyczne myśli.

Arion obrzuciła spiczasty pyszczek gryzonia wymownym, długim spojrzeniem i skinęła głową.

- Chcesz powiedzieć, że moi poddani oszukują mnie? - spytała ze sztucznym, przesadnie odgrywanym przerażeniem. - Udają tylko, że mnie kochają, a w rzeczywistości knują podstępne, nieczne plany za plecami swojej księżniczki?

Plixx nawet nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć na to pytanie.

Zmierzył ją niemal pogardliwym spojrzeniem od stóp do głów (choć Arion nie była zbyt wysoka, musiał w tym celu zrobić krok w tył i zadrzeć głowę do góry), po czym wydał z siebie dźwięk, jakiego nie była w stanie wydać żadna istota posługująca się ludzkim aparatem głosowym. Było to coś pomiędzy syknięciem a wybuchem śmiechu.

Następnie myszczur podreptał w kierunku balustrady i wspiął się na palce, chcąc w dole zobaczyć czarny wrzód, z którego środka sterczał R'Achernon, wyglądający zupełnie jak palec zagniewanego boga, godzącego nim wprost w niebo.

Kiedy i to nie pomogło mu osiągnąć celu, uniósł się na wysokość dłoni w powietrze. Arion wydało się to co najmniej dziwne. Czy to nie on upominał ciągle inne myszy, że coś takiego nie uchodzi - Nie uchodzi także naruszać wszystkich reguł protokołu, napędzać stracha całemu dworowi z gwardią osobistą włącznie i pozwalać wątpić we własną egzystencję mistrzowi ceremonii, Wasza Wysokość - oświadczył Plixx.

Może jego głos zabrzmiał bezpośrednio w jej głowie, tego nigdy nie była pewna.

Przypuszczała jednak, że tak nie powinno być.

- A już zwłaszcza nie w takim dniu, jak ten - dodał myszczur.

Arion, zirytowana, w dwóch krokach znalazła się koło niego i ściągnęła go na ziemię łagodnym, choć zdecydowanym ruchem, po czym oparła się znowu o balustradę z pochłaniającego światła acheronu.

Materiał zaczął niezwłocznie wysysać z jej ciała całą energię i ciepło, po chwili jednak rozpoznał księżniczkę i poniechał swych trudów. Mimo wszystko, Arion była zdziwiona, że coś takiego w ogóle się stało. Czyżby pogłoski, mówiące o tym, że moc R'Achernona malała, im bliżej było do jego centrum, okazały się w końcu fałszywe?

Księżniczka odegnała tę myśl, która po pierwsze była zupełnie nie na miejscu, a po drugie... była po prostu kompletną bzdurą.

- Co mam zrobić, aby przynajmniej raz побыć sama choćby przez pół godziny? - spytała cicho.

Plixx znów musiał maksymalnie zadrzeć głowę, aby móc jej spojrzeć w twarz, po czym patrzył na nią długo i w zamyśleniu.

- Trzeba urodzić się jeszcze raz i już nie jako księżniczka - powiedział, tym razem całkiem poważnie. - Chociaż wątpię, czy wówczas czulibyście się dobrze, tam na dole.

- Wiesz doskonale, co mam na myśli, ty szczurze!

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość - odparł Plixx, umyślnie mówiąc przez nos. - Muszę jednak zaprotestować przeciwko takiemu określeniu! Moje drzewo genealogiczne składa się wyłącznie z DNA myszy i nie ma tam ani śladu szczura! Jestem wiernym sługą waszego majestatu, ale nie mogę pozwolić sobie na tego rodzaju zniewagę. Dlaczego mnie tak obrażacie?

Czyżby to zrobiła? Przecież tego nie chciała.

Spośród wszystkich otaczających ją lizusów, płaszczących się pochlebców, wiecznie narzekających malkontentów, Szary Myszczur był jej rzeczywiście najwierniejszy i najbardziej oddany - może z wyjątkiem Durasa i wszystkich jego wojowników, którym właściwie nie pozostawało nic innego, jak tylko kochać księżniczkę. Znała Plixxa niemal od zawsze, kiedy tylko mogła sięgnąć pamięcią w przeszłość - był on piastunką, towarzyszem zabaw, nauczycielem, przyjacielem otaczającym ją ojcowską opieką, mówiącą przytulanką i jednocześnie życzliwym doradcą - nie, doprawdy, ostatnie, czego pragnęła, to sprawić mu przykrość.

Nagle dostrzegła wesole i kpiarskie iskierki w jego oczach, a ułamek sekundy później zdradzieckie drżenie spiczastego pyszcza i wąsów. Jej oczy zwięzły się.

- Ależ ty jesteś szczurem! - zawołała głośno.

Mały gnom przypuszczalnie nie tylko znakomicie się bawił mogąc czytać w jej myślach, ale także dlatego, iż w ogóle doprowadził do sytuacji, w której coś takiego przyszło jej do głowy.

- Ale tylko czasami - odpowiedział. - I nie genetycznie. Na to zwłaszcza chciałbym zwrócić uwagę.

- Właśnie to jest najgorsze - westchnęła Arion. - Jeśli się nim nie urodziłeś, to jaką masz wymówkę?

Plixx w odpowiedzi wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu, po czym spytał zadziornie: - Czy ja potrzebuję jakiegokolwiek wymówki, Wasza Wysokość? - po czym błyskawicznie spowaźniał. - Nie przejmuj się, Arion. Mistrz ceremonii i połowa jego eunuchów latają teraz w kółko jak zwariowani, a Duras pewnie zapanuje znowu trochę włosów, żeby mieć potem co z przyjemnością wyrwać. Jako tako uspokoiłem ich obu.

Ale musiałem obiecać, że będę cię szukać i że przyprowadzę cię tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, jeszcze zanim cały protokół weźmie w łeb, a oni w efekcie będą musieli przesunąć całą tę piękną wojnę - zachichotał. - Cóż za przerażająca perspektywa, doprawdy!

- Ach, wy mężczyźni! - prychnęła pogardliwie Arion. - Nigdy nie pojmę, co was w tej przeklętej wojnie tak fascynuje!

- Zwracasz się do niewłaściwej osoby - odparł spokojnie Plixx.

-Jestem myszą, a nie mężczyzną.

Arion zadała sobie dużo trudu, aby znów nie wpaść we wściekłość, ale po prostu jej nie wyszło; może dlatego, że myszczur zwracając się do niej użył poufalej formy „ty”. A on nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób w obecności innych - robił to bardzo rzadko, tylko wtedy, kiedy byli sami.

Dzięki prostemu słowu „ty”, nagle znów stał się jej przyjacielem i towarzyszem zabaw, już nie doradcą i obrońcą, mimo że był przecież jedną z najbardziej niebezpiecznych istot na tej planecie.

Plixx, który znowu czytał w jej myślach, wyszczerzył zęby uśmiechając się do niej beczelnie, po czym ponownie się odwrócił.

Przez długi czas - na tyle długi, że znów trzy patrolowe helioptery hucząc głośno przemknęły pod nimi - stali oboje w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach (myszczur być może nie tylko we własnych). W końcu Plixx zdecydował się przerwać ciszę: - Boisz się dzisiejszego wieczoru, prawda?

- Po co w ogóle pytasz? - odparła - znasz przecież odpowiedź.

Plixx spojrział na nią urażony.

- Nie - stwierdził. - Czytam być może w myślach księżniczki, ale nie w twoich... Nigdy bym tego nie zrobił, Arion.

Była zmieszana.

Na pewnej niezwerbalizowanej płaszczyźnie rozumiała, co miał na myśli myszczur, ale ani nie potrafiła tego określić słowami, nie mogła również uwolnić się od silnego poczucia zakłopotania, silniejszego od wszystkich emocji, które nią targały.

- Nie - stwierdziła w końcu, czując, że nie zabrzmiało to szczerze. - Czego właściwie mam się obawiać? W końcu na całym świecie nie ma miejsca, w którym byłabym bardziej bezpieczna niż tutaj...

Prawda?

- Tak, i to nie tylko na TYM świecie - potwierdził myszczur.

Wskazał na dół, na płataninę szałasów, chat, kamiennych domków i wielu innych osobliwych budowli i schronień, niekiedy bardzo biednych i wręcz żałosnych, a niekiedy tak dużych i okazałych, że mogłyby z powodzeniem uchodzić za miejskie kamienice.

- Księżniczka Infinity nie ma powodu, by obawiać się tych tam, na dole. Niby dlaczego? Wystarczy pstryknąć palcami, a oni staną się przeszłością - zachichotał. - No, może potrzeba byłoby czegoś więcej niż pstryknięcie palcami, ale moglibyśmy ich wszystkich zniszczyć zbytnio się nawet nie wysilając, naprawdę. Zawsze mogliśmy i zawsze będziemy mogli to zrobić. Wiemy o tym. Oni też wiedzą, że my to wiemy i my wiemy, że oni wiedzą, że my wiemy.

- Myślę, że zrozumiałam - przerwała gwałtownie Arion, zanim myszczur zdążył znowu powiedzieć swoje i zanim kolejne „wiemy” pojawiło się przed przecinkiem, bo dzięki temu staliby tu jeszcze z dobrą godzinę.

- Tę myśl, księżniczko, odczytałem - odparł Plixx z niedbałym mysim grymasem, po czym znów spoważniał w mgnieniu oka. - A jednak to prawda. Księżniczka Infinity nie ma powodu, aby obawiać się legionów Quorrlów i ich przywódców. Ale sądzę, że Arion się ich obawia...

- Bzdura!

- Ach, więc jednak nie? - dopytywał się Plixx.

Jego wystające mysie siekacze były teraz niewidoczne, nie poruszały się też jego wąsy.

-Jeśli tak jest, to nie ma powodu, aby dalej sterczeć tu na górze i trwonić czas, prawda?

- A od kiedy czas jest tak cenny? - westchnęła Arion. - Mam go przecież tyle, ile chcę. Może nawet więcej niż chcę.

- Dzieci... - Plixx bez powodzenia usiłował udawać ton zgorzkniałego, zmęczonego życiem staruszka. Wyglądał przy tym pociesznie, jak półtorametrowa pluszowa zabawka o spiczastych uszach. Po chwili znów przybrał pozę przemądrzałego myszczura.

- Każdego innego dnia moglibyście mieć rację, księżniczko...

- zaczął. - Tylko nie dzisiaj. Władczyni R'Achernona może być najpotężniejszą kobietą świata, ale i ona musi przestrzegać protokołu.

- Nie muszę - odparła opryskliwie Arion.

- A jednak musisz - usłyszała głos R'Achernona w swoich myślach. To przesądziło sprawę.

- Chodźmy już - powiedział Plixx nadspodziewanie łagodnie - on jest już w drodze, wiesz o tym?

- Craiden? - wyrwało się Arion - ten nieokrzesany wódz barbarzyńców? On jest tutaj?!

Plixx w odpowiedzi zamknął lewe oko, podczas gdy prawym spoglądał na nią, wyraźnie rozbawiony.

-Wkrótce jego pojawienie się zostanie zaawizowane z odpowiednią pompą: „Oto nadchodzi ten, który sieje zagładę, świat powinien drżeć przed jego cieniem, słońce przyćmić swój blask, a gwiazdy niechaj zgasną z trwogi”. - Skończywszy ironizować, Plixx zamachał ramionami. - Czyli to, co zwykle. Ale chociaż niby to nie obawiacie się tego nieokrzesanego wodza barbarzyńców, to reagujecie dość gwałtownie już na sam dźwięk jego imienia, księżniczko - jeśli mogę sobie pozwolić na taką uwagę. Dostrzegła błysk jego siekaczy.

- Bądź co bądź wiecie, kim on jest.

-Jestem panią R'Achernona - przypomniała mu Arion. -I wiem wszystko.

- Nie bierzcie mi tego za złe, księżniczko - odparł Plixx szczebiocącym głosem. - Dostęp do wiedzy całego kosmosu nie oznacza automatycznie, że wiecie wszystko.

- Craiden... - wymamrotała pod nosem Arion, zerkając do odpowiedniego pliku w bazie danych. - „Od dziewięciu lat absolutny władca Oblężenia, budzący grozę z powodu swego okrucieństwa, ale jednocześnie kochany i podziwiany przez swoich poddanych - przynajmniej przez tych, których pozostawił przy życiu. Rozpoczął służbę jako prosty wojownik w armii swojego ojca, jednego z najpotężniejszych dygnitarzy wojennych miasta, szybko wspinał się po szczeblach kariery i ostatecznie przejął tron ojca, jego klan i majątek w przeciągu pięciu lat. Potem znalazł się - według niektórych głównie dzięki mordom i intrygom - na czele rady klanu, zaraz po tym, kiedy jego poprzednik uległ śmiertelnemu, choć pożałowania godnemu wypadkowi. W ciągu kolejnych dwóch lat w wyniku zorganizowanego puczu zdobył władzę absolutną i natychmiast rozwiązał radę klanu. Od tego czasu jest...” Plixx niemal niezauważalnie poruszył ręką i strumień danych nagle urwał się.

- Wszystko się zgadza - powiedział znudzonym głosem. - A za niecałe trzy godziny Craiden zjawi się w waszej sali tronowej, aby wypowiedzieć wojnę wam, R'Achernonowi i całej reszcie cywilizowanego świata.

Popatrzył na nią z przyganą i dodał: - Oj, oj, mała księżniczko, obawiam się, że musisz nauczyć się jeszcze mnóstwa rzeczy...

- Na przykład jak wprawiać innych w zakłopotanie?

- Chwalenie się uniwersalną wiedzą nie robi wielkiego wrażenia, zwłaszcza, jeśli robi się to w taki sposób, że nawet najgłupszy barbarzyńca z szeregów Quorrlów zauważy wystający z kieszeni smart-fon. A jaki pożytek mają dla kogoś wszystkie odpowiedzi wszechświata, jeśli nie zna się prawidłowych pytań?

- O, cóż za filozofująca mysz - powiedziała Arion z udawanym uznaniem. - Może powinnam pozwolić, abyś to ty pertraktował z Craidenem. Jestem pewna, że mielibyście sobie mnóstwo ciekawych rzeczy do powiedzenia. Jeśli będziemy mieli szczęście, to zagadacie się obaj na śmierć.

Plixx wolał na to w ogóle nie odpowiadać, odwrócił się wykonując osobliwy, ciężki ruch i skinął na nią, po czym podreptał do drzwi.

Arion posłuchała bez słowa sprzeciwu i nawet nie przyszło jej na myśl, że mogłaby za nim nie pójść. Zimny wiatr uderzył ją w twarz i mimo szczelnie chroniącej ją tarczy, dziewczyna zadygotała. Zgodnie z różnymi, mniej lub bardziej wiarygodnymi doniesieniami, tarcze R'Achernona tu na górze po prostu nieraz przestawały działać to i małe były szanse na przetrwanie dla kogoś, kto wszedł na platformę i nieoczekiwanie znalazł się w warunkach, które niezbyt dokładnie odpowiadały warunkom przestrzeni kosmicznej, jednak były im na tyle bliskie,

by pozbawić życia człowieka w przeciągu jednej sekundy.

Arion była daleka od tego, by wierzyć w plotki, uważała jednak, że trochę ostrożności nie zaszkodzi. Zaufanie, jakim myszczur obdarzał R'Achernona, wydawało się wyraźnie większe niż jej.

W każdym razie Plixx nie używał tarczy - przynajmniej nie widocznej na zewnątrz tułowia - ani też żadnej innej techniki, której istnienie można było stwierdzić gołym okiem. Mimo to wiatr zdawał się nie robić na nim żadnego wrażenia, jak gdyby jego uderzenia w ostatniej chwili omijały łukiem postać o spiczastych uszach, zamiast zmierzić jej futerko.

Gdzieś podziały się teraz ciągle upomnienia myszczura, aby nigdy nie używać swoich sił w celu osiągnięcia osobistych korzyści - nie mówiąc już o wygodnictwie! Plixx rzucił Arion ukośne spojrzenie, a jego płaszcz zaczął nagle wzdymać się, jak gdyby myszczur nagle zamienił się w nietoperza, który właśnie po raz pierwszy próbuje niezdarnie wznieść się w powietrze.

Gdzieś zniknęły również jego zapewnienia, że będzie czytał jej myśli wyłącznie jako księżniczki. Był w każdym razie na tyle mądry, aby nie reagować na tego rodzaju prowokacyjne rozważania i przyspieszył kroku, idąc w stronę drzwi. Arion musiała sobie zadać sporo trudu, aby nie zostać w tyle. Postanowiła jednak porozmawiać o tym z myszczurem później.

Rzadko zdarzało się, że Plixx dostarczał jej pretekstu do robienia mu wymówek, tym razem więc musiała wykorzystać tę szansę.

Jednak właśnie w chwili, kiedy czarna ściana R'Achernona rozchyliła się przed nimi, wieża pod ich stopami zadygotała, a niebo za nimi zapłonęło jaskrawo białym światłem, które szybko nabrało żółtego, a potem czerwonego zabarwienia, i to jeszcze zanim zdążyli równocześnie obrócić się w przerażeniu.

Głuche, tępe dudnienie dotarło do nich niemal razem z gwałtownym uderzeniem wiatru.

Na wschodzie płonęło niebo.

Horyzont w tej stronie świata stał w ogniu i Ściana nagle stała się widoczna, co prawda nie bezpośrednio, lecz jako zaporę, usiłującą powstrzymać szalejący atak ognia, jaki rozpętał się tuż za nią.

Arion stała po prostu przez długą sekundę i wpatrywała się w przerażający, a zarazem fascynujący obraz. Potem wyjęła implant Retiny, aby ocenić wielkość i temperaturę buchającego ognia, ale wynik nie był jednoznaczny.

Wysokość płomieni wynosiła od dziesięciu do stu metrów, a ich temperatura była dostatecznie wysoka, by zamienić drewno w żużel, i to z pominięciem stanu ciekłego.

- Dwanaście kiloton - oświadczył Plixx - a nawet dwanaście i pół. Jedno trzeba temu Craidenowi przyznać. On wie, jak skupić na sobie uwagę słuchaczy.

Arion uzyskała szybko dostęp do sensorfalanksu R'Achernona i stwierdziła, że Plixx bardzo dokładnie ocenił siłę uderzenia bomby, po czym w ostatniej chwili powstrzymała się przed wyrażeniem uznania, zamiast tego lekceważąco ściągnęła usta.

- I kto teraz chce się cudzą wiedzą? - zapytała przekornie.

Plixx popatrzył na nią błędnym wzrokiem i znów utkwiał spojrzenie w ścianie ognia.

- Zaraz... on nie miał dostępu do moich danych - odezwał się milczący do tej pory R'Achernon. - To była tylko pobieżna ocena.

Jak na niego, zdumiewająco precyzyjna.

- Cóż za głupiec... - Plixx potrząsnął głową.

- Sądzisz... że to był Craiden? - wymamrotała Arion zmieszana. - Myślisz, że to on wywołał tę eksplozję? Umyślnie?

- Nie, z pewnością nie - zakpił Plixx. - Zakładam raczej, że jednemu z jego alchemików nie całkiem udał się eksperyment z zastosowaniem siarki, saletry i zjełczanego masła. Nawet bardzo się nie udał, sądząc po tym, co widzimy.

Zamiast wejść do wnętrza wieży, podeszli z powrotem do balustrady i tym razem Plixx wzniósł się w powietrze bez żadnych zahamowań, tak że ich twarze znalazły się na tej samej wysokości, kiedy oboje patrzyli na wschód.

Znów w pobliżu pojawiły się trzy helioptery. Przerwały lot patrolowy i zatrzymały się niemal bezpośrednio pod nimi, aby zwrócić błyszczące przednie części kadłubów w kierunku wschodnim i uzyskać wszystkie dane i informacje, które R'Achernon musiał zebrać już wcześniej z precyzją przekraczającą ich możliwości po stokroć.

Arion skierowała w ich stronę swoje wewnętrzne czujniki i z nie- pokojem odczuła nie tylko zdenerwowanie jeźdźców, ale również ważek, na których siedzieli.

To był... strach. Przed czym?

- Co za głupiec - powtórzył znów Plixx. Arion spojrzała na niego zmieszana i pojęła, że jego uwaga nie dotyczyła jej ani też nie była dla niej przeznaczona, po czym zmusiła naniły znajdujące się w jej oczach do zwiększenia wydajności aż po ostateczne granice.

Obraz ściany ognia nie był większy, ale między jednym oddechem a drugim widziała tyle szczegółów, że zakręciło jej się w głowie i powiększenie gwałtownie uległo zmniejszeniu, aby nie zalał jej potok informacji.

Płomienie przypominały teraz masywny mur z gorąca o stałej konsystencji. Mur ten co jakiś czas zbliżał się do niewidocznego pola siły Ściany, której nie mógł mimo wszystko przeniknąć. U stóp muru w wysokiej temperaturze topiła się gleba i porośnięte mchami skały, które niemal natychmiast parowały i ulegały kondensacji tworząc płynne szkło spadające z powrotem na ziemię w postaci osobliwego deszczu. Proces ten powtarzał się cyklicznie w efekcie rosnącej temperatury. Fale gorąca zamiast tracić na sile, stawały się coraz gwałtowniejsze i szybsze. Ale było w tym widoku coś... niewłaściwego. - Co to znaczy? - spytała Arion.

-To znaczy, że nasz przyjaciel Craiden jest o wiele większym głupcem, niż sądziłem. - odparł Plixx, nie odrywając wzroku od ciągle zwiększającego się walca ognia, który zbliżał się do Ściany. Przypominało to dwie mityczne prasły, jedna była niepowstrzymana w swym pędzie, druga zaś w tym samym stopniu niezniszczalna. -Ten idiota rzucił bombę zapalającą.

- Mogę się mylić - rzekła Arion z wahaniem - ale czyż nie to jest sensem działania bomby? To znaczy, mam na myśli to, że coś się pali?

- Niezupełnie - odpowiedział krótko Plixx. - R'Achernon?

- Środki przeciwdziałające zostały wdrożone - oboje niemal jednocześnie usłyszeli w swych głowach głos wieży.

-Ale zajmie to jakiś czas. Wszystko było zupełnie nieoczekiwane.

Nieoczekiwane? - pomyślała zaskoczona Arion Do tej pory nie wiedziała, że R'Achernona można w ogóle zaskoczyć. - To rzeczywiście nie jest możliwe - brzmiała odpowiedź wieży.

-Ale uporanie się z takim zagrożeniem wymaga pewnych przygotowań i ogromnego wysiłku. Nawet ja nie dysponuję odpowiednimi siłami i zasobami, koniecznymi do tego, aby być stale przygotowanym na wszystkie możliwe opcje. Nikt nie jest w stanie tego zrobić.

To tłumaczenie wydawało się jasne i przekonujące, ale Arion słyszała napięcie w głosie Plixxa i czuła rosnące przerażenie, płynące falami z trzech heliopterołów.

Co tam się stało na dole? To przecież była tylko bomba atomowa, którą Craiden tam zrzucił, a wobec kalibru spustoszeń, których dokonała sama Arion na terenie Oblężenia, było to zaledwie czymś w rodzaju uderzenia petardy, zwłaszcza w porównaniu z tym, co ewentualnie mogła powstrzymać Ściana. Nieco za późno przyszedł jej do głowy pomysł, aby oderwać wzrok (mający teraz właściwości lornetki) od szalejącego piekła i przeszukać peryferie strefy całkowitego zniszczenia.

Przerażona stwierdziła, że strefa ta ciągle rosta. Pomiędzy rosnącymi i rozwiewającymi się tuż pod charakterystycznym, kipiącym grzybem dymu kolumnami niszczycielskiego ognia, których rozmiar dawno osiągnął wysokość R'Achernona, a pierwszymi, jeszcze niezniszczonymi przez fale uderzeniową budynkami miasta, znajdował się pas ruin i opustoszałej ziemi o szerokości przynajmniej trzech lub czterech mil. Teraz raz po raz wybuchały tam kolejne pożary.

Niektóre były niewielkie i obserwowane z takiej odległości wydawały się zaledwie iskrą, inne sprawiały wrażenie straszliwej pożogi.

Osobliwe, wydawałoby się, prawie geometrycznie ułożone linie z jasnoszarego dymu



pojawiły się w powietrzu i zniknęły niemal natychmiast, kiedy tylko dostawały się w pole zasysania przez większe kolumny ognia. Arion widziała i niemal czuła migotanie powietrza, jak w czasie strasznego upału przed burzą - i zdała sobie sprawę, że to zjawisko miało teraz zupełnie inne znaczenie.

- R'Achernon! - zawołał Plixx, a po jego głosie słysząc było wyrażenie, jak bardzo był zdenerwowany.

- Dobrze, już dobrze - odpowiedziała wieża. - Zaraz będę gotów.

Gdyby nie wiedziała, że było to całkowicie niemożliwe, Arion przysięgłaby, że w jej głosie usłyszała zdenerwowanie.

Popatrzyła jeszcze raz na strefę śmierci po czym zmieniła znów rozdzielczość swoich oczu i zmusiła się, aby przezwyciężyć gwałtowny zawrót głowy. Tam, gdzie fala uderzeniowa monsturalnej eksplozji wreszcie straciła trochę swojej siły i załamała się na ścianach budynków, wszystko wydawało się być zdeformowane. Potworna przemoc eksplozji nie tylko zachwiała budowlami, ale jednocześnie wyrwała daleko ze świata, w którym istniały i wcisnęła w jakąś zupełnie inną, alternatywną rzeczywistość.

Arion wpadła wreszcie na pomysł, aby sprawdzić wszystko w odpowiednim wojskowym banku danych i poczuła z przerażeniem, jak krew odpywa jej z twarzy.

- Nie - szepnęła do siebie samej - nie... on nie mógł tego zrobić...

Jeszcze zanim Plixx zdążył odpowiedzieć, świat znajdujący się po tamtej stronie Ściany po prostu zgasł jak zdmuchnięta świeca. Tam, gdzie przedtem był ogromny grzyb z płomieni, teraz widać było tylko jego kipiący, odcięty u dołu dach, już nie tak jaskrawy i wyraźny - jak gdyby teraz stracił on swój zapas energii termicznej. Podstawa piekielnego grzyba wydawała się być właśnie połykana przez półkulę z czarno chromowanej stali.

Ściana została przebita. Migocząca półkula po prostu przeniknęła przez nią i wdarła się w rajski krajobraz lasów, jezior i krętych rzek, który rozciągał się u stóp R'Achernona, po czym skurczyła się powoli i opadła w dół.

Arion pojęła swoją pomyłkę praktycznie w tej samej chwili. Półkula nie kurczyła się, w ogóle nie była to żadna półkula z chromowanej stali czy jakiegokolwiek innej materii.

To, co widziała, to była górna część czarnej dziury, czyli perfekcyjnie doskonałej kuli o średnicy ponad jednej mili, widocznej jedynie do połowy. Kula powoli pogrążała się w ziemi i drażyła przy tym idealnie symetryczny szyb w ziemi po obu stronach Ściany. Szyb tworzył horyzont wydarzeń sztucznej, czarnej dziury, za pomocą którego R'Achernon odkrył ognisko pożaru i wyrwał go ze swej czasowo--przestrzennej konstrukcji. Zgodnie z siłą ciężenia kula zaczęła pogrążać się w jądrze ziemi, gdzie ostatecznie miała pochłonąć samą siebie.

- To było... drastyczne - wymamrotała Arion oszołomiona, kiedy czarna kula ostatecznie znikła. Co prawda „drastyczne” nie wydało jej się właściwym słowem, ale lepsze nie przyszło jej do głowy.

- Nie dość drastyczne, jeśli mnie o to pytacie - fuknął Plixx.

- Powinno się tego idiotę razem z tym wszystkim zrzucić na dół, z kiepskim pasem ratunkowym, żeby szybko zaczął mieć dość! Przeklęty głupek! Durny idiota!

- On nie wiedział, co robi - powiedział R'Achernon.

Plixx w odpowiedzi zjechał się jeszcze bardziej.

- No tak, to całkowicie zmienia postać rzeczy! - złościł się dalej.

- Najmocniej przepraszam, że obraziłem wspaniałego i cenionego Craidena, w dodatku pod jego nieobecność, kiedy nie mogłem się bronić!

Uderzył pięścią w czarną balustradę.

- Jak mogłem się tak dać w to wciągnąć! Ten żalony Craiden!

Przecież on w końcu „nic nie wiedział”!

Arion wydało się, że czuje coś w rodzaju rozbawienia. To uczucie było jej zazwyczaj obce, ale R'Achernon znał myszczura z pewnością lepiej niż ona - i milczał. A ona sama - z nowo nabytą wiedzą, którą teraz dysponowała, rozumiała strach myszczura aż za dobrze.

Odczuwała podobnie jak on.

Zamiast cokolwiek mówić, popatrzyła raz jeszcze w kierunku wschodu. Miasto płonęło dalej i nawet nastawiony na najwyższą rozdzielczość wzrok nie wystarczał, aby rozpoznać cokolwiek, co nie byłoby zbudowane ze stali, kamienia lub jakiegoś innego, odpornego na działanie ognia materiału. W myślach zadała sobie pytanie, ile istnień mógł kosztować ten spektakl Craidena, ale odpowiedź, której sama sobie udzieliła, przeraziła ją do tego stopnia, że porzuciła tę myśl i pożałowała, że w ogóle przyszło jej do głowy takie pytanie.

Plixx wysyczał jeszcze kilka słów w języku, którego nie rozumiała, po czym łagodnie opuścił się na ziemię i pobiegł wprost do szeroko otwartych drzwi. Arion ruszyła za nim, nie spojrzawszy już nawet na wielki krater, który wyglądał jak czarna, ziejąca, okrągła dziura w ziemi. Tam, gdzie kilka chwil wcześniej rozpoczął się koniec świata, obrzeża wielkiego okręgu po drugiej stronie Ściany zaczęły coraz szybciej się kruszyć. Dookoła, dokładnie na miejscu Oblężenia, w ziemi powstały już ogromne pęknięcia, które rozszerzały się szybko, tworząc ogromne wąwozy i potężne, zapadające się kaniony. Owe rysy w ziemi przypominały pajęczaste odnóża, które wydawały się sięgać coraz dalej po to, co zostało ze zniszczonego miasta. Okrąg rozszerzał się coraz bardziej, wznosząc się pionowo do góry tam, gdzie drogę zagradzała mu Ściana, podpierająca niejako wewnątrz szybu. Księżniczce przemknęło przez głowę pytanie, jakie legendy o jego powstaniu narodziły się kiedyś i z jakimi zagadkami będą musiały uporać się przyszłe pokolenia Quorrlów.

Po chwili jednak odegnała tę myśl i pośpieszyła za Plixxem.

Kiedy tylko Arion weszła do wnętrza R'Achernona, drzwi za nią zamieniły się w gładką ścianę, a pochłaniająca światło czerń przeszła w delikatne, przyjemne dla oczu lśnienie. Natychmiast zrobiło jej się ciepło, w efekcie czego jeszcze intensywniej zaczęła odczuwać chłód panujący na zewnątrz. Nanity jej organizmu zaczęły reagować na uczucie dyskomfortu i wprawdzie nie wyłączyły uczucia zimna (tego nawet one nie potrafiły dokonać), ale zaczęły skutecznie oszukiwać jej mózg, że to robią.

Mimo tego Arion czuła nieprzyjemne swędzenie i pieczenie skóry twarzy, a jej palce stały się nagle tak niezgrabne, że dopiero za drugim razem udało się jej zdjąć transparentną maskę oddechową, którą do tej pory osłaniała nos i usta. Pierwsze hausty powietrza były ciężkie i nieprzyjemne, choć rozsądek mówił, że to przecież niemożliwe.

Plixx spoglądał na nią z dezaprobatą, jednak oszczędził jej wszelkich zjadliwych komentarzy i uzbroił się w cierpliwość aż do chwili, kiedy Arion zdjęła generator tarczy, który miał formę srebrnego paska wokół talii. Pomijając już fakt, że nie była w stanie tego zrobić, wcale nie musiała czytać myśli myszczura, by zrozumieć przyczynę jego pełnego przygany spojrzenia.

Arion nie pierwszy raz była tu na górze i z pewnością nie był to też ostatni raz, ale dotychczas coś w niej samej wzbraniało się przed tym, by pozwolić płucom przystosować się do panujących tutaj warunków. Ataki takie jak te, trwały zwykle mniej niż dwie godziny, a z tym potrafiła się uporać nawet we śnie. Dotychczas coś zawsze wydawało się w nich jakieś... ..fałszywe, nieprawdziwe. Plixx chrząknął z zakłopotaniem.

- Ja... hmm... no, muszę was przeprosić, księżniczko...

- Tak? - spytała Arion z zainteresowaniem, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale poprzestała na pytającym uniesieniu brwi ku górze.

Znała Plixxa tak długo, jak tylko mogła sięgnąć pamięcią, ale widok myszczura o wzroście nastolatka, przestępującego z jednej nogi na drugą, w płaszczu uszytym ze zszytych skórzanych łąt i nerwowo uderzającego ogonem o podłogę - nie, do tego widoku nie była przyzwyczajona.

- Straciłem panowanie nad sobą, Wasza Wysokość - w waszej...

w twojej obecności... To nie uchodzi.

- Ależ rozumiem - westchnęła Arion, po czym dodała: - Człowiek wychodzi niczego nie podejrzewając na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a tu jakiś idiota właśnie odpala bombę, której wybuch w efekcie prowadzi do końca świata. Doprawdy, coś takiego może jednak zepsuć dzień.

- Nie jestem tym, kim jestem, bo mam skłonność do tracenia panowania nad sobą, Wasza Wysokość - odparł sztywno Plixx. - To niewybaczalne. Natychmiast poddam się stabilizacji

osobowości, jak tylko...

- Do diabła z tym! - przerwała mu Arion. - Craiden czeka przecież na mnie, prawda?

- No, niezupełnie, ale...

- No widzisz? - Arion znowu wpadła mu w słowo. - A ja z pewnością nie wystąpię przeciw temu barbarzyńcy rzucającemu bomby bez mojego najlepszego przyjaciela i doradcy u boku!

Czekała przez chwilę daremnie na odpowiedź - albo jakąkolwiek reakcję - w końcu trochę gburowato wzruszyła ramionami i jeszcze bardziej gburowatym ruchem głowy wskazała na powietrzny szyb.

Dopiero gdy oboje powoli unosili się w ciemności i Arion uświadomiła sobie, jak długo trwać będzie wędrówka licząca pięć i pół mili w zaciętym milczeniu pełnym wzajemnych oskarżeń, zdecydowała się skapitulować.

- A więc dobrze. Opowiedz mi, co wiesz o Craidenie.

- W bazie danych są...

- Twoimi własnymi słowami! - przerwała mu. - I opowiedz to Arion, nie księżniczce!

Craiden. To był jego sposób pojmowania honoru, dzięki któremu mógł wypinać dumnie pierś do przodu, ale jednocześnie - sposób pojmowania hańby, która ścisnęła jego oba serca jak żelazna pięść i utrudniała oddychanie.

Policzyć wojowników - to było niemożliwe. Niektórzy stali przyciśnięci wręcz jeden do drugiego, tak ciasno, że przeszkadzali sobie nawzajem i w razie najmniejszej nieostrożności kaleczyli stojących obok. Tworzyli jednak coś w rodzaju żywego muru, w zderzeniu z którym każdy wróg musiał zginąć. Inni zaś, w większości jeźdźcy, tworzyli małe wyspy o ogromnej, niszczycielskiej sile. I tylko czekali na to, aby puścić koniom wodze i roznieść wroga na strzępy. Jeszcze inni stali równo w szeregu, jak na planie, namalowanym precyzyjnie, wręcz z pedantyczną dokładnością, zdyscyplinowani i gotowi dać z siebie wszystko, co najlepsze - a można było oczekiwać od nich naprawdę wiele.

Byli najlepszymi z najlepszych, dumą Oblężenia i całej generacji, gotowi do walki w każdej chwili. Nie lękali się ani śmierci, ani bólu, ani też najgroźniejszego i najdzikszego wroga.

- Cóż za marnotrawstwo! - zagrział Torman.

Jednym gniewnym spojrzeniem Craiden zmusił go do milczenia, a Torman opuścił potężną czaszkę o czterech rogach i upokorzony, cofnął się o jeden krok, nie mógł jednak ukryć przekornego błysku w swych gadzich, pionowo wyciętych źrenicach.

Cichy, wewnętrzny głos kazał Craidenowi obstawać przy tym, że jego Gajin miał zupełną rację.

Maszerowała armia. Z wahaniem, pozornie chaotycznie, a jednak zgodnie ze skomplikowanym i udoskonalanym przez wiele pokoleń planem. Potężna ludzka masa drgnęła i ruszyła w stronę wroga.

Ruszyła na pole bitwy, które składało się właściwie tylko z pierwszej połowy swego określenia, a na którym czekała ich śmierć bez honoru, ból bez zapłaty i bezsensowny strach.

- Nie musisz tego oglądać - powiedział Torman, ciągle z opuszczonym wzrokiem i głosem, w którym dźwięczało upokorzenie, przez które przebijał jednak momentami gniew. - Wiesz dobrze, dlaczego pokazują nam te obrazy. Aby nas upokorzyć! A jeśli o ciebie chodzi, uda im się to z pewnością!

Craiden powstrzymał się z trudem, aby nie powiedzieć tego, co miał właśnie na końcu języka - było to dostatecznie dużo, aby doznać uczucia duszenia się. Po chwili uspokoił sam siebie myśląc, że w końcu było to zadanie Gajina, aby w takim momencie jego głos zabrzmiał gniewnie, nawet bezczelnie i wyzywająco. Uchroniłoby to przypuszczalnie Tormana przed bolesną chłostą albo czymś znacznie gorszym.

Maszerowała armia. Ziemia drżała pod uderzeniami niezliczonych stóp i łap, powietrze dygotało od ryku żądnych walki gardeł ludzi i nieludzi, w górę co jakiś czas wznosiły się różne rodzaje broni, którą potrząsano, grożąc ciągle jeszcze niewidzialnemu wrogowi, który przecież nigdy nie miał się pokazać.

I wtedy otworzyły się bramy piekieł.

Choć wiedział, co się stanie, choć dane mu było wielokrotnie widzieć te straszliwe obrazy, a one za każdym razem przebijały jego pierś jak rozżarzony nóż, to, co zobaczył Craiden, było jak potworne uderzenie w twarz. Do oczu napłynęły mu łzy wściekłości, a jego ręce kurczowo zacisnęły się na wodzach tak silnie, że licząca tysiąc lat skóra zatrzęszczała.

Z nicości wyłoniły się błyskawice, po czym natychmiast znikły gdzieś wysoko w powietrzu, niczego na razie nie niszcząc, choć wywołały panikę wśród ludzi, a przede wszystkim wśród zwierząt i zakłóciły porządek powoli przesuwających się do przodu formacji.

Kiedy pierwsze, cienkie linie z niebieskiego światła trafiły w cel i metal zaczął się topić, zagotowała się krew, a strzępy ciał eksplodowały w czerwonych, krwawych fontannach, zaś dookoła leżały płaty zdartej skóry.

Craiden zamknął oczy, ale to nie pomogło. Takie obrazy widział zbyt często i ciemność, jaka nasunęła się wraz z zamkniętymi powiekami przed niczym już nie chroniła.

Armia posuwała się wciąż do przodu, mimo siejących spustoszenie eksplozji, jakie powodowała w jej szeregach bezgłośna burza z błyskawicami. Setki istnień ginęły, ale maszerowały tysiące i tysiące gardeł wyładowywały swą wściekłość na niewidzialnego wroga w głośnym ryku.

A potem naprawdę rozpoczęło się umieranie.

Rozgorzały znów błyskawice, nie było ich jednak tak wiele, aby rzeczywiście powstrzymać lub chociaż zwolnić marsz olbrzymiej armii, lecz wśród wojowników pojawiły się wiry, podobne do tańczących duchów wiatru. Właściwie było to niewiele więcej niż tumany kurzu poruszane powiewem wiatru. Ale ten kurz zabijał. Jeśli tylko dotknął mięśni, skóry, rogów, atakowany po prostu znikał jak mgliste widziadło, które zostało zmuszone przybrać pozornie żyjącą formę i teraz właśnie zrzucało swoje kajdany. Coraz więcej pasów okrutnego zniszczenia przeczesywało szeregi armii i wydawało się, że nic nie będzie w stanie ich zahamować. Danina krwi była większa niż ta, którą kazała zapłacić дума Oblężenia za każdy kawałek zdobytej ziemi.

W końcu w nieugiętej maszerujących wojowników uderzyły niewidzialne pięści, niektóre z nich nie były większe od męskiej dłoni, a jednak jeźdźcy wylatywali z siodła, wojownicy padali na ziemię, a zwierzęta były powalane jak muchy. Były też pięści monumentalne niczym budowle - ich uderzenia sprawiały, że ludzie i zwierzęta po prostu znikali, zmieleni na krwawą papkę lub wbijani w ziemię na głębokość pół metra, w ziemię, która krzyczała teraz niczym żywa istota.

I nawet kiedy to nie pomogło a armia maszerowała i twardo szturmowała dalej, pojawiły się pająki. Były to wyprostowane, srebrne potwory, liczące trzy metry wysokości, z dwoma cienkimi, sztywnymi odnóżami i czterema ramionami, zakończonymi ostrzami przypominającymi ostrza kosi i kłapiącymi, zębatymi łapami. Jednak stworzenia te nie walczyły za pomocą magicznego ognia - posługiwały się stalą i czystą, miażdżącą kości siłą. Niektóre z nich przewróciły się pod naporem szturmujących wojowników i nawet jeśli nie poniosły śmierci na miejscu, to ich szyki zostały rozbite.

- Przypatrz się temu! - powiedział Torman z przekąsem. - A może chcesz, aby stało się wreszcie to coś, co ostatecznie stać się musi?

Czyż Gajin nie wierzył, że jest dostatecznie silny, aby znieść również czas swojej hańby? Craiden oczekiwał, że znów pojawi się w nim nienawiść do Tormana, chciał tego przecież, ale to uczucie ciągle się nie pojawiało.

Zmusił się, aby patrzeć dalej na dramat, który zbliżał się ku końcowi. Zdziesiątkowana armia, zostawiając za sobą szeroki krwawy ślad, ciągle jeszcze posuwała się do przodu, nie zważając na błyskawice, pustoszącą wszystko mgłę, uderzenia pięści, a także niewidzialnych olbrzymów i pająki rozrywające wszystko na strzępy, lecz w końcu nadszedł moment, kiedy nie można było iść dalej...

Craidenowi jeszcze nigdy nie było dane obserwować tego momentu tak dokładnie, jak teraz - obrazy stworzone przez przypomina-czy, z którymi dorastał, nie oddawały wiernie szczegółów jak też ostrości tego magicznego artefaktu - były jednak na tyle wyraźne, że wypaliły wzór w jego pamięci niczym żrący kwas.

Jeden z wojowników o czterech rogach, w błyszczącej, niebiesko--żółtej zbroi, siedzący na

olbrzymim rumaku bitewnym, dotarł jako pierwszy do niewidzialnej bariery - i od niego pierwszego zażądała ona złożenia swego życia w ofierze. Wpadł na barierę w pełnym galopie i po prostu skręcił sobie kark, ułamek sekundy później niż jego wspaniały rumak, który razem z nim zwał się na ziemię, grzebiąc pod sobą jeźdźca. Chwilę później zniknęli obaj, zmiażdżeni i rozerwani na strzępy pod kopytami kolejnych szeregów wojowników. Walczący rozbijali się właściwie... o nic, a jednak dzięki owemu „nic” powstawało światło, dźwięki i wonie przywodzące na myśl zagładę.

Craiden wiedział, jak działała owa bariera, śmiertelna perfidia zła, którą władcy po tysiącokroć przeklętej Czarnej Wieży nazywali po prostu Ścianą. Był tam, pod nią, dotykał jej setki razy, a samo wspomnienie o tym paliło jak ogień na skórze. Dotknięcie w pierwszej chwili było przyjemne, ale po chwili bariera stawiała opór. Ten opór miał twardość stali, jeśli zwielokrotniało go uderzenie wprost z szaleńczego biegu i miażdżył, jeśli potężna armia próbowała go przezwyciężyć mimo swej niezłomności i determinacji.

Na oczach Craidena ludzie i zwierzęta uderzający o niewidzialną barierę byli natychmiast gruchotani, a niektórzy miażdżeni już pod samym działaniem ucisku, wręcz ścierani na krwawą miazgę. Kolejne fale wojowników przypuszczały atak nawet nie podejrzewając, jakie niebezpieczeństwo na nich czyha, a jeśli nawet to pojmowali, to nie byli już w stanie zawrócić. Setki, tysiące istnień musiało umrzeć pod niewidzialnym murem, zanim olbrzymia armia z bezwładnością właściwą takiemu ogromnemu organizmowi zaczęła się wreszcie zatrzymywać i powoli cofać.

Ani jedna żywa istota nie miała ujść zagładzie.

Liczba błyskawic i mgielnych welonów była dziesięcio- lub nawet stu-krotnie większa niż na początku starcia. Z nicości pojawiały się olbrzymie, miażdżące wszystko na swej drodze istoty, które porywały ze sobą ludzi i zwierzęta i znikwały w otchłani wraz z nimi. Nie pozostawał po nich żaden ślad, kropla krwi, odłamany róg, łapa, odrzucona broń czy choćby podarty skrawek odzieży. Pająków było także po stokroć więcej, a ich szeregi wzmocnione zostały przez kolejne, jeszcze większe monstra z cienkimi, srebrnymi odnóżami zakończonymi ostrzami kos. Nieliczni, którzy pozostali z pogromu olbrzymiej armii, rzucili się w panice do ucieczki, a ten widok sprawił, że ucisk niewidzialnej ręki na sercu Craidena przybrał na sile.

Wojownik salwujący się ucieczką to najbardziej haniebnym widok, jaki tylko można sobie było wyobrazić. Słowa „tchórzostwo” nie było w słowniku jego narodu, a w sercach wojowników nie było też miejsca na strach. Obrazy przypominaczy, które płynęły teraz przez jego duszę jak rzeka, wolne były od pogardy, ale nigdy nie było w nich miejsca dla ludzi, którzy wrzeszcząc uciekali opętani wręcz tchórzostwem i strachem o swoje życie. To, co zdarzyło się w tym dniu hańby, nie miało nic wspólnego z walką, z honorem, czy też z czymkolwiek, co było wyznacznikiem śmierci prawdziwego wojownika.

Ci żołnierze ginący jak muchy pod naporem Ściany, byli bohaterami, ofiarami perfidnego podstęp. Napęliło to Craidena nienawiścią i wstrętem. Tam, gdzie widział właśnie śmierć najdzielniejszych ze swego ludu, nie było teraz już nic, tylko zakurzony, czarny bezkres wielkiej hali, do której go przyprawiono.

- Przeklęta technomagia! - zagrzmiał Torman. - Dostyc już dziś widziałeś, czy mam prosić naszych gospodarzy, aby ci to pokazali jeszcze raz? Jestem pewien, że zrobią to z przyjemnością!

Craiden uważał, że bezczelny ton jego głosu przekroczył wszelkie granice, nawet te, do których przyznawał prawo tak drogiemu towarzyszowi jak Gajin. Właśnie zamierzał ostrymi słowami przywołać Tormana do porządku, ale powstrzymał się i powoli obrócił się w siodle - poczuł jakiś ruch za sobą. Ktokolwiek mógłby to być, Craiden nie chciał dostarczać mu satysfakcji oglądania pana Oblężenia podczas kłótni z jednym z niewolników.

Tam, gdzie była gładka ściana z czegoś, co wydawało się pochłaniać światło, otworzyły się zniecka drzwi, aby umożliwić wyjście jakiejś wysokiej postaci. I choć Craiden miał oczy o niezwykłych właściwościach, nie był w stanie rozpoznać jej twarzy. Pomieszczenie za drzwiami było jasno oświetlone i dlatego też tajemnicza postać wydawała się być jedynie czarnym cieniem, choć bez wyraźnych, dających się rozpoznać konturów. Craiden nie był w stanie znaleźć słów, by opisać to, co widział przed sobą ale czuł, że było to coś niesamowitego i

niepokojącego. Wydawało mu się, że postać i jej kontury. .. poruszają się jak gdyby niezależnie od siebie.

- Panie? - Torman wykonał ruch do przodu, aby jednym skokiem znaleźć się między nim a dziwnym przybyszem. Położył jednocześnie obie ręce na rękojeściach potężnych mieczy, wystających zza pasa, kiedy nagle tuż za nim rozległo się gwałtowne szuranie i coś przemknęło z takim hałasem, jak gdyby tuzin wojowników z gwardii osobistej Quorrlów zajmowało swoje pozycje.

Craiden spłoszył zarówno ich jak i Gajina ledwo dającym się zauważyć schyleniem głowy. Torman pozwolił sobie na błędy, o których należałoby z nim w przyszłości pomówić, ale teraz rzucanie jego życia na szalę nie przyniosłoby Craidenowi żadnych korzyści.

Tajemnicza postać zbliżała się równymi krokami, ale teraz Craiden mógł przynajmniej rozpoznać, że nie był to demon, czy też Żelazny Człowiek. Nieznajomy był z pewnością niewiele wyższy niż on sam, nieco lepiej zbudowany i ubrany od stóp do głów na czarno, poczynając od błyszczących czarnych butów, a kończąc na pelerynie ułożonej w kunsztowne fałdy. Peleryna unosiła się za nieznajomym z każdym jego krokiem, co wyglądało tak, jakby obcy walczył z silnym wiatrem. Twarzy nieznajomego ciągle nie można było rozpoznać, choć zatrzymał się mniej niż pięć kroków przed Craidenem.

Tania technomagia - stwierdził w myślach władca klanu - i to zarówno jedno jak i drugie.

Nagle poczuł się nieswojo.

- Mistrz klanu Craiden? - spytał nieznajomy po dłuższej chwili, podczas której obaj przyglądali się sobie uważnie. Był to bardzo nierówny pojedynek, bo twarz nieznajomego ciągle pozostawała w ukryciu za czymś, co Craiden określił na swój użytek słowem „migotanie”, a co bardzo zbijało go z tropu.

- Naczelnym dowódcą Oblężenia, władco tysięcy armii, pierwszy sługo Gai i lewa ręka bogini. Pozdrawiam was.

Craiden lekkim uciskiem uda zmusił konia do odwrócenia się, po czym ściągnął cugle, kiedy zwierzę zareagowało niespokojnie na widok obcej postaci i zaczęło przebierać kopytami.

- „Craiden” wystarczy. Naprawdę nie przywiązuję wagi do tytułów.

- Tak, doniesiono mi, że jesteście człowiekiem bezpośrednim - odparł nieznajomy. - Jak widzę, informacja była prawdziwa.

Jego głos miał matową barwę, był dźwięczny i powodował lekkie echo w przestrzeni mrocznej hali. Było zbyt ciemno, aby móc ocenić jej wielkość, ale Craiden czuł, że była to olbrzymia przestrzeń.

Uderzenia kopyt jego konia nie odbijały się echem, podobnie jak kroki towarzyszących Tormanowi wojowników. Tania technomagia - pomyślał znowu, choć nie mógł zaprzeczyć, że znajdował się pod olbrzymim wrażeniem tego fenomenu.

- Zgadza się - ciągnął po dłuższym namyśle - nie przepadam też za protokołami, fałszywą uprzejmością i fałszywym sposobem bycia.

Możemy więc zaraz...

Nieznajomy przerwał mu, śmiejąc się cicho, nie brzmiało to jednak nieszczerze.

- Tak, to pasuje do tego, co o was słyszałem... Myślę, że niedługo spotkacie kogoś, z kim będziecie się dobrze rozumieć.

- Kogo?

Nieznajomy zaśmiał się znowu, nieco ciszej, lecz sympatycznie, nagle przerwał i nieco zeszywniał.

- Proszę o wybaczenie, przywódco klanu Craiden. To było nie uprzejme z mojej strony. Nawet się nie przedstawiłem - pochylił lekko głowę. - Mam na imię Duras. Wysłano mnie, aby pozdrowić was i waszych towarzyszy, wskazać wam godziwą kwaterę... i zapytać o wasze życzenia.

Przysłali więc służącego, aby go powitać? Craiden nie był pewien, czy ma się rozgniewać, czy też odczuwać pogardę, pojął jednak szybko, że zarówno jedno jak i drugie było mało

rozsądne. Ten olbrzym bez twarzy wydawał się być kimś zupełnie innym, niż ten, za kogo się podawał i próbował z nim w coś grać. Craiden nie miał jednak zamiaru dać się w to wciągnąć - było to sprzeczne z jego zasadami.

- Nie potrzebujemy kwatery - oświadczył - a moi ludzie i ja nie mamy żadnych życzeń. Chcę rozmawiać z władcą tej wieży.

Duras skinął głową z szacunkiem i rzekł: - Księżniczka Infinity oczekuje was. Tylko... to wymaga pewnych... przygotowań, abyście ją mogli zobaczyć - podniósł szybko rękę, widząc, że Craiden chce coś powiedzieć. Chociaż jego twarz nadal była niewidoczna, można było wyraźnie usłyszeć zarówno nieco kpiący jak i dobrotliwy śmiech. - To nie ma nic wspólnego z brakiem respektu, władco klanu, ani też brakiem zainteresowania powodem waszego przybycia. R'Achernon jest po prostu ogromną budowlą i przygotowanie wszystkiego zajmuje trochę czasu.

Ponieważ przybyliśmy zupełnie nieoczekiwanie i nasza wizyta jest zupełną niespodzianką - pomyślał Craiden nieco zirytowany. Musiał jednak z niechęcią przyznać, że rozumiał Durasa. Już samo przygotowanie jego własnego namiotu (który przypuszczalnie zmieściłby się w tej monstrualnej hali i jeszcze pozostałoby sporo miejsca) na przyjęcie gościa pochłonęłoby dużo czasu i to pomimo faktu, iż Craiden rzeczywiście nie przywiązywał zbyt wiele wagi do konwencji i zbędnych ceremonii.

-Wspaniałe zwierzę macie, jeśli wolno mi sobie pozwolić na taką uwagę, władco klanu - mówił dalej Duras, kiedy zauważył, że raczej nie doczeka się odpowiedzi. - Sam chętnie jeżdżę konno i posiadam kilka naprawdę pięknych koni, ale tak wspaniałego rumaka jeszcze nie widziałem.

Craiden zareagował na to powściągliwym skinieniem głowy, choć pomyślał, że był to szczerzy komplement i nagle zrozumiał dwuznaczność słów Durasa. Szybko, choć bez nadmiernego pośpiechu, zsunął się z siodła, zrobił jeden krok w stronę tajemniczej postaci bez twarzy i pogłaskał przy tym konia po szorstkiej szyi, aby go uspokoić.

Zwykle nie słuchał tak zwanych doradców i wolałby wziąć Crushera zamiast tego olbrzymiego rumaka używanego w bitwach, ale to nie zmieniało faktu, że pierwszy stajenny dokonał teraz znakomitego wyboru. Technomagia nie technomagia, jeden fałszywy ruch i ten koń po prostu rozerwałby Durasa na strzępy.

-To rzeczywiście wspaniałe zwierzę - powtórzył Duras. Podszedł bliżej i podniósł rękę, jak gdyby chciał sięgnąć po konia, zatrzymał się jednak i opuścił ją, kiedy rumak wydał z siebie ciche, ostrzegawcze rżenie i próbował chwycić zębami jego palce.

- Hodujecie sami konie?

- Moja rodzina - odparł Craiden mimowolnie - robi to już od dziesięciu pokoleń. Te konie są najlepszymi ze zwierząt, jakie znajdziecie w całym Oblężeniu. Odpowiadało to w zupełności prawdzie. Zwierzę mierzyło dwa metry w kłębie, ważyło tysiąc funtów i posiadało zęby ostre jak brzytwa, na tyle twarde, że koń przegryzał stal. A mimo to Craiden pomyślał, że wolałby teraz mieć ze sobą swojego Crushera.

- O wasze zwierzę też zadbamy - dodał Duras, gdyż Craiden nadal uparcie nie odpowiadał, lecz patrzył na niego uważnie. Teraz, kiedy stali naprzeciw siebie, Craiden dostrzegł, że tamten był od niego wyższy o głowę i ważył z pewnością dwa razy więcej. Jego twarzy ciągle nie można było rozpoznać, wydawało się, że jest ona ukryta za jakimś welonem, ale Craiden dostrzegł, że Duras się uśmiecha.

I poczuł coś jeszcze: jakąś nagłą siłę spokoju i bezpieczeństwa, która płynęła od tego olbrzyma bez twarzy. Choć ta postać wyglądała naprawdę groźnie, coś mówiło mu, że nie musi się jej obawiać i nie ma żadnych podstaw do niepokoju.

Craiden pojął, nagle, że jest manipulowany, a coś takiego doprowadzało go zwykle do wściekłości. Tym razem to się nie stało, bo na przeszkodzie stała osobiwa, wyraźnie odczuwalna siła płynąca od nieznanego. I to także powinno być powodem do złości, a jednak jakoś nie miało to miejsca.

- Dobrze, zróbcie to. Zatrószcie się o mojego konia - powie dział zamiast tego Craiden. Duras nie był ważny. Niewątpliwie został przysłany po to, aby zrobić wrażenie na nim i jego towarzyszach - a właściwie aby ich onieśmielić - i powinien pozostać przy swoim złudzeniu, że

mu się udało. - Ale bądźcie ostrożni. To zwierzę jest niebezpieczne i nie lubi obcych.

- Gdyby było inaczej, nie byłoby koniem używanym w bitwach.

- Duras wzruszył ramionami, podszedł do Craiden i wyciągnął rękę po konia. Craiden chciał go powstrzymać, po chwili zrezygnował jednak i założył się w duchu z samym sobą, czy ten głupiec straci zaraz kilka palców czy też od razu całą rękę. Ale przecież w końcu już go ostrzegł.

Koń zarżał cicho, wyszczerzył ostrzegawczo olbrzymie zęby i nagle opuścił rogatą głowę. Craiden, zupełnie skonsternowany, patrzył, jak Duras głąskał najpierw jego chrapy, potem głowę i wreszcie przykucnął, aby ocenić pęciny i silne podudzia. Zwierzę obróciło głowę i patrzyło za Durasem, a wyrazu jego oczu Craiden nie był w stanie jednoznacznie ocenić. W każdym razie nie było w nich ani śladu wrogości.

- Jak mówiłem - odezwał się znowu Duras, kiedy się wyprostował i powoli odwrócił w jego stronę - rzeczywiście zdumiewające zwierzę. Musi być też bardzo szybkie.

- Jest szybki jak wiatr - odparł Craiden niemal automatycznie i od razu pożałował tych słów, jeszcze zanim je wypowiedział. Coś - jakiś wewnętrzny głos - szepnął mu, że wyrażenie „szybki jak wiatr” dla Durasa mogło oznaczać coś wręcz przeciwnego.

Olbrzym bez twarzy zrobił krok do tyłu i tam, gdzie właśnie stanął, z ziemi wyrosła nagle szczupła postać ze srebra. Craiden musiał się powstrzymać by nie dać po sobie poznać przerażenia. To nie była jakaś otwierana kłapa czy inny ukryty mechanizm - czern podłoża złała się nagle, po czym uniosła w górę, tworząc postać ze srebra z dwoma cienkimi rogami i czterema równie cienkimi pajęczymi odnóżami, które wprawdzie nie były zakończone ostrzami kos, lecz trzema filigranowymi palcami. Postać sięgnęła jednym z odnóży po cugle konia, a ten bez żadnych oporów dał się poprowadzić.

Imponujące - pomyślał Craiden, ale nie ważył się wypowiedzieć tego głośno. Zamiast tego odwrócił się i spojrzał pytająco na Durasa.

Olbrzym bez twarzy nie ruszał się. Nie trząskał palcami, nie podniósł ręki, ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku, a przecież Craiden wyraźnie czuł, że coś się zmieniło, jak gdyby świat między jednym a drugim oddechem nagle stał się inny, a tej różnicy nie można było wyrazić słowami.

Craiden poczuł też nagle niepokój swoich towarzyszy i spojrzał w ich kierunku przez ramię. Torman stał za nim, dalej trzymając ostrzegawczo obie dłonie na rękojeściach mieczy, już do połowy wyciągniętych z pochew. Również podwójny rząd zielonych kolosów - czyli Quorrlów stał sztywno jak odlane z żeliwa pomniki. Ich twarze były nieruchome, jednak to, co pozostawało poza ich kontrolą, to były ich uczucia - bo jakżeby inaczej? Nawet on wciąż czuł zimny dreszcz. Nie był pewien, czy to, co czuł, to była głęboka cześć, czy respekt, kiedy widział, jak na jedno skinienie olbrzyma zmieniło się to wszystko, co ich otaczało. Mógł teraz spokojnie rozejrzeć się po całej hali, choć przecież nie zrobiło się jaśniej; a jednak wydawało mu się, że spektrum jego zmysłu wzroku uległo gwałtownemu rozszerzeniu.

Hala była o wiele większa, niż poprzednio zakładał. Jego własny namiot - z pewnością niemały - zmieściłby się bez trudu, a ponad nim pozostałoby miejsce jeszcze dla pięciu czy sześciu takich namiotów, jego wymiary mogłyby być dziesięć razy większe. Hala nie była pusta - mimo to nie było tam niczego, co mógłby rzeczywiście rozpoznać. Znikło też pole bitwy, które do tej pory obserwował razem ze swymi ludźmi.

Zwrócił się ponownie do Durasa: - Bitwa. To była tylko twoja magia, mam rację?

- Magia? - to słowo wydawało się bawić Durasa. - Jeśli tak to nazywacie... czy się wam nie podobało?

- Podobało?

- Doniesiono mi, że jesteście kimś, kto umie docenić porządną walkę.

- Walkę? Z pewnością, ale nie... taką masakrę.

- Przykro mi, jeśli źle oceniłem wasze życzenia, władco klanu - oświadczył uroczyście Duras.

- Proszę zatem o wybaczenie. Mam nadzieję, że to nieporozumienie nie będzie miało wpływu na waszą rozmowę z księżniczką Infinity i radą koronną.

- Z pewnością nie - zapewnił go Craiden. - Bądźcie spokojni, Duras. Nie zostałem panem



wszystkich klanów, gdybym zbyt łatwo ulegał swoim uczuciom. Zaprowadźcie mnie teraz do waszego pana.

- Jak sobie życzycie - z jakiegoś powodu wydało mu się, że w głosie Durasa brzmi rozczarowanie, co napełniło Craideną nieco złośliwą satysfakcją. Założył, że ten osobliwy sługa przygotował jeszcze więcej trików z zakresu technomagii, aby zrobić odpowiednie wrażenie na nim i na jego przybocznych. Craiden złapał się na tym, że był wręcz ciekaw kolejnych sztuczek. Byłby szczerze rozczarowany, gdyby nie było mu dane ich zobaczyć. Jednak przecież nie przybył tutaj po to, aby zaspokoić swoją ciekawość.

Duras wykonał zapraszający gest w stronę drzwi, przez które wcześniej wszedł i ruszył przodem. Craiden był pewien, że wrota w chwili gdy on i jego towarzysze przez nie przechodzili, zrobiły się nagle większe, a pomieszczenie za nimi wydało mu się wyjątkowo nieprzyjazne. Dotychczas otaczała go wszechobecna, zakurzona czerń, która sprawiała tak przytłaczające wrażenie, że wywoływała wręcz trudności w oddychaniu, zwłaszcza wtedy, gdy przez dłuższy czas wpatrywało się w jeden punkt. Teraz zaś wszędzie wokół była nieskazitelna biel, która z kolei sprawiała wrażenie idealnej pustki. Dał, która otaczała teraz Craideną, nieco go przerażała; może dlatego, że właściwie kompletnie go oślepiła, nawet przejście między ścianami a podłogą było całkowicie płynne. Pomyślał, że jeśli się zastanowić, to nawet nie czuł podłogi pod stopami. A wokół panowała idealna cisza - która z kolei wywoływała uczucie całkowicie zatkanych uszu.

Nic tu nie jest przypadkowe - pomyślał. Duras prezentował im scenariusz przemyślany w każdym najdrobniejszym szczególe, a wszystko po to, aby wyrzucić na nich odpowiednie wrażenie, przstraszyć ich, aby poczuli się mali i bezradni jak dzieci, o ile jednak sam ten fakt go irytował, to nagle zadał sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby właśnie na to wszystko pozwolić. Dorastał w cieniu tej olbrzymiej wieży jak każdy mieszkaniec Oblężenia i od zawsze był świadom, że w wieży mieszkali ludzie o sile bogów i okrucieństwie demonów.

Jednakże wiedzieć o tym, to było jedno, zaś czymś zupełnie innym było to zobaczyć i odczuć. Cóż mogły przeciwko takiej potęgde działać ich miecze i włócznie?

Craiden odpowiednio wcześniej zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niosły ze sobą takie myśli i niemal przemocą wyparł je ze swego umysłu. Wiedział, co go czeka i wyraźnie pojmował, że nie dorasta do pięt budzącemu grozę władcy R'Achernona - mimo to nie zamierzał ani trochę ułatwiać zadania ludziom Durasa.

Pocieszyła go myśl, że miał w zanadrzu przynajmniej jeszcze jedną niespodziankę dla Durasa i jego władców.

Wysłuchał się w siebie i spróbował ocenić, ile czasu mu pozostało, ale nie potrafił tego jednoznacznie ocenić. Nieco zmieszany stwierdził, że to niesamowite otoczenie, w którym się znalazł, oszukiwało nie tylko zmysły, ale powodowało również utratę poczucia czasu. Nie był nawet w stanie stwierdzić, czy byli tutaj tylko przez kilka chwil czy też może tkwili tu od wielu godzin. A może czas w wieży miał zupełnie inne znaczenie i wymiar?

Nie musiał oglądać się za siebie, aby wiedzieć, że stojący za nim Quorrlowie ścieśnili szeregi i zmienili formację, czuł doskonale zdenerwowanie olbrzymich wojowników. Wieża i jej mroczna magia dotykała w ich nieustraszonych duszach czegoś, co było ukryte najgłębiej jak tylko się dało, a wobec czego byli całkowicie bezbronni. I mimo ogromnej samodyscypliny i ćwiczeń ducha, on sam też nie czuł się pewniej niż jego wojownicy. Biała nieskończoność, po której się poruszali, budziła w nim nieokreślony lęk, musiał też coraz częściej walczyć z chęcią dotknięcia ukrytej pod odzieżą broni.

Nareszcie ten okropny marsz dobiegł końca i Duras zatrzymał się.

W białej ciemności przed nimi coś się poruszało, pojawiły się drzwi - według dokładnie odwrotnej zasady, niż poprzednio: zobaczył czarny prostokąt framugi na białym tle. Bez słowa minął go i zajrzał do pomieszczenia, jakie znajdowało się tuż za drzwiami.

Ale nie było w ogóle żadnego pomieszczenia - zamiast tego Craiden zobaczył okrągły szyb o średnicy ponad dziesięciu metrów, który ciągnął się zarówno w górę jak i w dół i tak daleko, że wzrok ginął gdzieś w dali nie docierając do jego granic. Nikłe lampy o słabym świetle zdawały się tańczyć jak rozżarzone cząstki kurzu w płonącym kominku, ale może był to wyłącznie

wytwór jego wyobraźni. Jego oba serca były bardzo głośno.

- Mogę kazać ściągnąć platformę, jeżeli sobie tego życzyście, przywódco klanu - powiedział Duras, wykonując przy tym gest, którego Craiden nie zrozumiał i bez najmniejszego wahania zrobił krok wprost w znajdującą się przed nim nicość. Ale zamiast spaść w dół, poszedł po prostu dalej, aż do środka szybu, po czym odwrócił się.

Stał na twardym podłożu, jak na litej skale, choć przecież pod stopami miał tylko pustkę.

- Nie zrozumcie mnie źle - rzekł Duras przyjaźnie - nie chcę zbyt blisko podchodzić do was, ale niemal wszyscy są nieco nerwowi, kiedy po raz pierwszy wchodzi do powietrznego szybu.

Niemal wszyscy. Craiden spytał znów sam siebie, czy za tymi słowami nie kryje się przypadkiem coś obraźliwego i doszedł do wniosku, że zdecydowanie tak. A potem zrobił dokładnie to, co było celem prowokacji Durasa, a mianowicie zdecydowany krok w nicość. Na zdrowy rozum, Duras z pewnością nie przyprowadził go tutaj po to, aby rozkoszować się widokiem jego spadającego prosto w objęcia śmierci ciała. I rzeczywiście, zamiast spaść w dół, Craiden poczuł pod stopami twarde podłoże. Mimo to doznał gwałtownego zawrotu głowy, a potem poczuł szalone bicie obu serc, które uspokajały się stopniowo, w miarę znikania niebezpieczeństwa.

Nie miał wątpliwości, że Torman i Quorrlowie weszli za nim - zrobiliby to nawet wtedy, gdyby spadł w przepaść na ich oczach - nadal jednak czuł towarzyszący im lęk i zdenerwowanie.

Zatrzymał się dwa kroki przed Durasem i poczekał, aż przyboczni dołączą do niego. Torman stał o wiele bliżej niż powinien i niż wypadało, także Quorrlowie porzucili swą dotychczasową, precyzyjną formację i tłoczyli się jak stado szukających schronienia zwierząt. Nie zachowywali się też cicho, wydawali z siebie niespokojne odgłosy, a niektórzy także groźne warczenie. Pokryte łuskami ręce zaciskały się nerwowo na rękojeściach mieczy i sztyletów, a wrażliwy nos Craidena poczuł w pewnej chwili charakterystyczną woń gadów, zdradzającą ich lęk.

Nie był pewien, czy postępuje słusznie, lecz spróbował jeszcze raz przeniknąć osobliwy welon powodujący, że twarz Durasa była niewidoczna. Bez wątplenia ten okrągły szyb nie był niczym innym niż tylko kolejnym testem, Craiden nie mógł jednak stwierdzić, czy zdał ów test w niewidzialnych oczach nieznanego. Uwadze Durasa z pewnością nie uszła trwoga Quorrlów ale mimo wszystko okazali się oni wiernymi sługami, którzy poszli bez wahania w nicość za swym dowódcą. Drzwi zniknęły i Craiden czekał spokojnie na to, że zaraz będzie mu dane odczuć ruch, co jednak nie nastąpiło.

- Muszę was prosić o trochę więcej cierpliwości, przywódco klanu - Duras wykonał ręką ruch ku górze, z czego Craiden wywnioskował, że jednak się poruszali, choć zupełnie nie można było tego zauważyć. - R'Achernon jest wielki, a sala tronowa znajduje się w jego wyższych partiach.

- A nie macie czarodzieja, który nas po prostu przeniesie? - spytał Craiden. Miało to zabrzmieć kpiąco, spowodowało jednak, że poczuł się zaniepokojony... a odpowiedź Durasa jeszcze dołączyła oliwy do ognia: - Transport w czasie jest możliwy, wymaga jednak niestłuchanego nakładu energii - usłyszał Craiden. - Ponadto psychologiczne skutki dla kogoś, kto podróżuje w ten sposób po raz pierwszy, mogą być wręcz katastrofalne. Pomyślałem więc, że nie będzie to najmądrzejsze, jeśli pozwolimy waszym wojownikom wpaść w panikę - zaśmiał się cicho. - Któż by chciał, aby w jego domu pojawił się tuzin oszalałych ze strachu Quorrlów?

Craiden przez moment, trwający dokładnie tyle, co podwójne uderzenie jego serc, zastanawiał się nad znaczeniem tych słów, po czym zdecydował, że albo nie zrozumiał ich do końca, albo była to kolejna próba obrażenia go. Przykucnął, aby móc dotknąć palcami owej osobliwej pustki, na której stali. Poczuł, że ogarnia go coś ciepłego i miękkiego, co niemal sprawiało wrażenie, jak gdyby było żywą istotą. Znał to uczucie.

- To takie same czary jak Ściana, która chroni waszą wieżę - stwierdził, prostując się.

- Też to nazywacie ścianą? - Duras wydawał się zaskoczony, ale Craiden wyczuł fałsz w jego głosie.

- Nie - odparł chłodno. - To wy to tak nazywacie.

- W zasadzie macie rację, władco klanu - powiedział Duras po chwili zastanowienia. - To ta sama... magia, jeśli nawet sprawia wrażenie czegoś innego. Ale tak, można tak to nazwać. Jesteście dobrym obserwatorem, jeśli pozwolicie mi na taką uwagę.

Craiden co prawda pozwolił, ale musiał znów powściągnąć chęć położenia dłoni na rękojeści ukrytej broni. Chciał przez to również sprawdzić reakcję Durasa w chwili konfrontacji z własną mocą.

- Wasza magia jest potężna - powiedział zamiast tego.

- Potężniejsza, niż możecie sobie to wyobrazić, przywódco klanu - brzmiała odpowiedź.

Craiden właśnie zamierzał powiedzieć coś jeszcze, kiedy nagle wszyscy poczuli gwałtowne szarpnięcie niewidzialnej podłogi pod stopami - Craiden przez krótką chwilę miał wrażenie, że spada i wydało mu się absurdem, że leci nie w dół, lecz do góry. Czerń naokoło zamigotała i przez chwilę przed oczami mieli obraz czegoś bardzo starego, a głębokie, potężne dudnienie stawało się coraz głośniejsze, po czym nagle umilkło.

- Co... - z ust wyraźnie przerażonego Durasa wyrwało się tylko jedno słowo.

Craiden milczał, nie mógł jednak ukryć powściągliwego uśmiechu. Bo niby dlaczego? Oto ujawnił wreszcie swą tajną broń. Duras otrzymał właśnie próbkę jego magii. Władca klanu Oblężenia oznajmił swoje przybycie.

Gea. Zwierzę wydawało z siebie dziwne odgłosy... ale może było to najzupełniej normalne. Gea nie potrafiła tego ocenić, bo nigdy przedtem nie widziała stworzenia takiego, jak to.

Przy odrobinie fantazji i dobrej woli mogłoby ono uchodzić za kota, choć wyraźnie widać było, że właściwie pochodzi od insekta.

Jego ciało chronił pancerz z czarnej chityny, który mienił się wszystkimi odcieniami tęczy, gdy tylko promienie słoneczne padały nań pod odpowiednim kątem. Zwierzę miało również sześć nóg i zakrzywiony w górę ogon skorpiona, któremu brakowało jednak charakterystycznego kolca. A jednak ta istota miała w sobie coś kociego; może był to kształt czaszki, może pełne elegancji i gracji ruchy, a może wielkie, miękkie oczy. Typowe dla kota były też dźwięki przypominające mruczenie, które tak zaskoczyły Geę. Mogła nie tylko je słyszeć, ale i czuć gdzieś w głębi swojego ciała i było to naprawdę bardzo przyjemne uczucie.

Po chwili jednak zniecierpliwiona pomyślała, że jeśli nie przestanie mruścić, to zaraz skręci mu kark.

Koci insekt, zupełnie jak gdyby czytał w jej myślach, odwrócił głowę patrząc dokładnie w jej kierunku, spojrzął na nią swymi brązowymi, wilgotnymi oczami i nagle przestał wydawać z siebie mieszankę mrujących odgłosów. Zamiast tego zwierzę zaczęło czyścić sobie przednią parę łapek, zupełnie jakby świadomie chciało naśladować kota.

Zawsze coś!- pomyślała Gea. Ta felinopodobna kreatura wydawała jej się całkiem miła i z najwyższą niechęcią zrobiłaby jej jakąś krzywdę, jednak zdawała sobie sprawę, że koci insekt poprzez swoje wibrujące mruczenie zamierzał zdradzić jej kryjówkę.

Ostrożnie wyprostowała się w swoim zaimprovizowanym schronieniu i wyjrzała ponad brzeg beczki, w której coś śmierdziało tak, że w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa zapierało dech. Ale przynajmniej dzięki temu ci czterej dranie nie mogli jej zwęszyć. I przypuszczalnie nie mogli jej też zobaczyć. Gea nieprzypadkowo wybrała stos beczek i na wpół zbutwiałych skrzyń na swoją kryjówkę. Uliczka miała szerokość zaledwie dwóch kroków i była niemal całkowicie zacieniona, mimo padających z góry niemal pionowo promieni słonecznych. Gdy patrzyła na miejsce, w którym niedawno stała, a gdzie teraz dostrzegała zarysy czterech postaci, widziała niemal całkowitą czerń. Schronienie było więc niemal perfekcyjne, miało tylko jedną wadę natury estetycznej: uliczka po kilkunastu krokach kończyła się wprost w parku, bardzo zadbanym i wypielęgnowanym. Proste, wyrosnięte drzewa, za nimi grządki pełne kwiatów oraz liczne, skrupulatnie zaaranżowane rzędy krzewów. Wysoka, sięgająca niemal połowy łydek soczyście zielona trawa stanowiła jaskrawy kontrast z ciemną, brudną i śmierzdzącą uliczką. Poprzez krzewy przebłyskiwała woda, choć z tej odległości nie można było rozpoznać, czy było to jezioro, strumień czy może tylko zwykła kałuża po ostatnich deszczach. I od czasu do czasu Gei wydawało się, że widzi żelazne pająki wielkości pięści, pełzające przez trawę i wspinające się po drzewach; małe złośliwe stworzenia, które jednak obserwowała już na tyle długo, by wiedzieć, iż były zaprogramowane wyłącznie w kierunku starannej pielęgnacji tego rozległego ogrodu.

A może nie tylko? Gea nie miała pojęcia o dokładnym zaprogramowaniu pajaków

ogrodników i dlatego brała pod uwagę możliwość, że zostanie przez nie też potraktowana jako chwast i przycięta do wysokości łydki. O wiele bardziej obawiała się spotkania czterech zabijaków: tu rolę niepoślednią odgrywała właśnie owa wspomniana wada estetyczna: nie było możliwości, aby wejść do parku. Widziała go wyraźnie, czuła lekki wiatr, a nawet chwilami zapach trawy i kwiatów, kiedy smród z beczki na chwilę ustępował, jednak wiedziała, że do parku nie prowadziła żadna droga. Tam, gdzie kończyła się stara nawierzchnia uliczki z kocich łbów, a zaczynał trawnik starannie wypielęgnowanego parku, wznosiła się niewidzialna przeszkoda: ściana z żyjącej, gumowatej nicości, która stawiała miękki, ale nieubłagany opór każdemu, kto wywierał na nią nacisk.

Mówiąc wprost: Gea znalazła się w pułapce.

Zawsze istniała niewielka szansa, że napastnicy po prostu zniknęli, bo prześladowanie dziewczyny było poniżej ich godności.

Kocie stworzenie przestało czyścić łapki i popatrzyło na nią przenikliwie, a Gea była niemal pewna, iż dlatego tylko nie zmarszczyło kpiąco swego czoła, że pancerz z chityny pokrywający czaszkę skutecznie to utrudniał.

- No, masz rację - wymamrotała, odwracając wzrok od zabójczego kwartetu, który widziała teraz w drugim końcu uliczki i zaczęła obmacywać swoją mocno stłuczoną prawą rękę. Rana już nie krwawiła, skóra zaczynała się goić, ale ogólnie ręka była mocno spuchnięta i nie bolała tylko wtedy, kiedy Gea nią nie poruszała. Napastnik, którego uważała za przywódcę bandy, a któremu wymierzyła ręką silny cios, miał prawdopodobnie złamaną szczękę, a przynajmniej w ciągu najbliższych kilku dni będzie mógł jeść tylko zupy i ugotowane na miękko warzywa.

Nie- pomyślała - oni nie ustąpią. Możliwe, że nie zamordowaliby jej - przynajmniej nie od razu - przypuszczalnie jednak wkrótce zaczęłaby życzyć sobie, aby zrobili to jak najszybciej.

Koci insekt znów zamruczał cicho. Gea odpędziła niewesołe myśli na temat mrocznej przyszłości i zaczęła zastanawiać się nad niewiele mniej mroczną teraźniejszością. Jej nowy przyjaciel próbował ją ewidentnie przed czymś ostrzec, choć co prawda nie bardzo wiedziała, co ma z tym ostrzeżeniem zrobić. Dostrzegła, że kwartet właśnie skończył naradę i wszystko wskazywało na to, że zaczął od nowa przeszukiwanie uliczki. Napastnicy nie czuli się zbyt bezpiecznie: szli powoli, z wahaniem i przynajmniej ludzka część bandy zatrzymywała się co chwilę, udając, że musi poświęcić kilka chwil na zajrzenie do każdej szpary i pod każdy strzępek leżący na bruku. Gea mimochodem zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście jest powód, aby dwóch muskularnych facetów wyskrobywało z siebie resztki odwagi na to, by wejść w ciemną uliczkę. Zerknęła uważnie na swego przyjaciela i w myślach zadała sobie pytanie, czy osobliwy insekt zawsze miał pod swoim pyskiem niebezpieczne, zakrzywione jak szable i typowe dla insektów żuwaczki - a jeśli tak, to dlaczego ona dotychczas ich nie zauważyła?

Stworzonko wydało z siebie dźwięk wyrażający kpinę i Gea, która w międzyczasie nabrała już pewności, że i tak nie może być już gorzej, z rezygnacją zaczęła wpatrywać się w rozrzucone beczki, puste skrzynie i inne rupiecie, które piętrzyły się wokół niej na wysokość ponad pół metra. Jej żołądek z powodu strasznej woni niemal wywrócił się na drugą stronę już na samą myśl, że miałyby skryć się pod tą górą śmieci. Nagle zobaczyła, że jeden z Quorrlów przykucnął i odwrócił połamaną skrzynkę, pod którą nie mógł się ukryć nawet kot... prawdziwy kot, nie ta osobliwa, czarna, uzbrojona w szable istota siedząca obok.

A więc dobrze. W ten sposób zostały niejako zapowiedziane drastyczne środki. A ta beczka, za którą siedziała przykucnięta? Gea mogłaby nabrać powietrza na długo i liczyć na to, że koszmarny smród powstrzyma także prześladowców przed dokładnym obejrzeniem beczki od wewnątrz. Zaryzykowała więc zerknięcie do środka.

Zbyt wiele nie mogła zobaczyć, ale kiedy zaczęła ostrożnie opukiwać beczkę palcami, lepka powierzchnia substancji zadrżała. Gei wydawało się, że głębiej widać coś białego i pokrytego łuskami.

Czarne szpony wczepione w metal zaszurały i smród stał się jeszcze bardziej intensywny.

Ten pomysł raczej odpadał. I tak nie był najlepszy.

Myśli Gei zaczęły pędzić jak szalone. Pozostało jej zaledwie kilka sekund do chwili, kiedy urocza czwórka odkryje jej kryjówkę i rzuci się na nią. Była przekonana, że poradzi sobie bez

trudu z dwoma ludzkimi zabijakami. Dostatecznie długo uczyła się bronić swojej skóry (i wszystkiego innego też). Potrafiła ocenić swoje szanse i rozegrać sytuację na plus nawet w przypadku czterech napastników, gdyby było to konieczne... ale tutaj dwóch było Quorrlami. Nigdy nie walczyła z żadnym Quorrllem, wiedziała jednak, że byli oni o wiele silniejsi niż ludzie.

Nie, walka nie wchodziła w grę. Ale ucieczka tym bardziej.

W ścianach otaczających ją budynków były wprawdzie okna, ale znajdowały się one na wysokości pierwszego piętra, przynajmniej trzy metry nad nią. Większość zabita była deskami i zabezpieczona ciężkimi, żelaznymi kratami, ale w ścianach na szczęście było dość otworów, przez które zdołałaby się przecisnąć. Ściany były w większości z drewna czy też z grubego muru i bez problemu zdołałaby się po nich wspiąć. Ale na to potrzebowała czasu. Może niewiele, ale mimo wszystko więcej, niż miała, bo kiedy tylko opuściłaby swoje ukrycie, jej prześladowcy znaleźliby się przy niej w kilku szybkich krokach.

Jedna minuta, jedna jedyna, przekłeta minuta, więcej nie potrzebowała!

Koci insekt odwrócił się pozornie niezdarnym ruchem, po czym wszedł na drewnianą skrzynię z głośnym klepnięciem chitynowego pancerza na nogach. Jego, wydawałoby się, zupełnie gładki i jednolity na grzbiecie pancerz rozchylił się i ukazała się spod niego podwójna para połyskujących jak u chrząszcza skrzydeł.

Gea straciła kilka cennych sekund, które jej jeszcze pozostały, siedząc w kucki i wpatrując się w kociego insekta z otwartymi ze zdumienia ustami, kiedy ten - zataczając się i w pierwszej chwili ociężale, wzniósł się do góry, po czym zbliżył do prześladowców. Jego owadzie żuwaczki stawały się coraz większe, a syczenie, w połączeniu z huczeniem migoczących skrzydeł chrząszcza, zupełnie nie brzmiało teraz jak poprzednie, miłe mruczenie opancerzonego, futrzanego kota.

Gea straciła kolejną sekundę patrząc, jak olbrzymi chrząszcz ze złowieszczą rozwartymi żuwaczkami rzucił się na idącego z przodu Quorrla. Wtedy Gea wykorzystała ten nieoczekiwany dar losu i wyskoczyła zza swojego ukrycia.

Natychmiast poślizgnęła się na mokrej warstwie zgniłych odpadków, upadła jak długa, leżała jedną sekundę zupełnie oszołomiona, po czym straciła kolejną, cenną sekundę, próbując z obrzydzeniem wytrzeć sobie twarz obiema rękami i wypluwając coś obrzydliwego, co dostało jej się między zęby. W uliczce tuż za nią rozbrzmiewały wrzaski, słyszała też na przemian wzmagające się i słabnące huczenie oraz dźwięki przypominające uderzenia ostrego metalu o bruk.

Jednym skokiem poderwała się na nogi, skoczyła na niski wzgórek i wbiła paznokcie w ścianę. Słyszała za sobą gniewny wrzask zmieszany z odgłosami walki, nie zmarnowała jednak ani chwili na oglądanie się, lecz skoncentrowała się na obmacywaniu palcami powierzchni ściany i gorączkowym szukaniu w niej występow i szpar, po których mogłaby wspiąć się w górę.

Była bardzo dobra we wspinaczce skalnej i szła teraz w górę szybciej, niż odważyła się przypuszczać, a jednak, jak się okazało, niedostatecznie szybko. Usłyszała drugi, pełen wściekłości wrzask za sobą, ciężkie kroki zadudniły po ziemi i jakiś niezidentyfikowany przedmiot z siłą ogromnej maczugi głośno uderzył w ścianę obok jej lewej stopy. Poczwała, jak w tydkę wbijają jej się odpryski muru.

Zaryzykowała spojrzenie w dół i stwierdziła, że wprawdzie nie była to maczuga, jak jej się wcześniej wydawało, ale coś bardzo podobnego, mianowicie uzbrojona w pazury łapa Quorrla. Z całą siłą kopnęła w jego płaską, wynurzającą się tuż obok twarz. Jediną reakcją było gniewne chrząknięcie wojownika z łuskami oraz ostry ból, jaki Gea nagle poczuła w swojej kostce.

Zamiast wymierzyć kolejny kopniak (i tylko jeszcze bardziej rozwścieczyć Quorrla), wołała zaoszczędzić siły na jeszcze szybszą wspinaczkę, dotarła do pierwszego okna i przez chwilę daremnie szarpała na wpół zbutwiałe deski, którymi było zabite. Gdyby miała choćby pół minuty więcej, zdołałaby je po prostu oderwać, ale kolejne spojrzenie rzucone w dół pozwoliło jej stwierdzić, że Quorrl zbliżał się do niej niebezpiecznie szybko. Może nie był tak zręczny jak ona, dysponował za to naturalnym wyposażeniem wspinaczkowym, czyli po prostu pazurami, które silnymi ruchami wbijał w ścianę i sprawnie szedł do góry; co prawda nie tak szybko jak ona, lecz nieustępliwie.

Gea porzuciła pomysł wyłamania okna i zaczęła z rozpaczliwą determinacją wspinać się dalej w górę. Dwa okna, jedno z jej prawej, a drugie z lewej strony, także były zabite deskami, lecz piętro wyżej w ścianie ziała ogromna dziura mająca kształt kwadratu. Nie było w niej nawet szkła. Wyżej położone mieszkania lepiej nadawały się na kryjówki.

Sapiąc z wysiłku, jednak ciągle jeszcze bardzo szybko, Gea wspinała się dalej, w połowie drogi znów zaryzykowała spojrzenie w dół i stwierdziła, że jej przewaga urosła. Ale w międzyczasie po ścianie zaczęła już wspinać się druga postać - był to ten z prześladowców, któremu skutecznie zniekształciła szczękę - po drugim Quorrlu i jego ludzkim towarzyszu nie było natomiast ani śladu. Może więc koci insekt zmusił ich do ucieczki.

A zatem jej szanse na pozostanie przy życiu nagle podwoiły się. Z zaciśniętymi zębami, nie zważając ani na pulsujący ból w prawej ręce, ani na krew, która w międzyczasie zaczęła płynąć spod jej paznokci, wspinała się dalej, wreszcie sięgnęła lewą ręką do balustrady okna i wrzasnęła z przerażenia i rozczarowania zarazem, kiedy w ciemności ponad nią pojawiła się zielonkawa, pokryta łuskami twarz Quorrla.

- No tak jak myślałam! - rozległ się przeraźliwy, histeryczny głos.

- Och, wy, przekłeta bando z Gai! Nie dacie mi nigdy spokoju? Ja wam pokażę, wy, chcecie obrabować starą, biedną kobietę! Przepędzę was!

Gea zamrugnęła oczami ze zdumienia. Stara kobieta? Czy w ogóle istniały kobiety wśród Quorrlów?

Jeszcze nigdy się nad tym nie zastanawiała. A jednak twarz w oknie rzeczywiście należała do starej kobiety, lecz była tak brudna, pełna blizn, zmarszczek i nieapetycznych wrzodów, że w pierwszej chwili rzeczywiście przypominała twarz Quorrla.

Gea dzielnie chwyciła parapet drugą ręką, podciągnęła się w górę, a wtedy stara wymierzyła jej kłębem kciuka tak silny cios, że o mały włos Gea spadłaby znowu w dół.

- Nie wejdziecie tutaj! - zajazgotała znów stara. - Bezwstydna hołota! Co sobie właściwie wyobrażacie, żeby starej kobiecie ukraść ostatnią koszulę i to w biały dzień! Myśleliście, że nie umiem się bronić? Zaraz wam pokażę!

I rzeczywiście to zrobiła, wymierzając drugi, jeszcze silniejszy cios żyłastą ręką i Gea poczuła nagle, że w jej głowie eksploduje tępy ból.

Mimo wszystko podciągnęła się ostatkiem sił do góry i przerzuciła przez parapet lewą nogę - a wtedy stara kobieta wbiła kościste, zakończone długimi paznokciami palce wprost w jej ramiona i szyję i próbowała zrzucić ją z okna w dół. Gea uderzyła ją ramionami prosto w pierś, ale ciągle nie mogła strącić jej z siebie, próbowała więc wcisnąć się szybko do środka przez okno. Nagle poczuła, że wokół jej kostki zaciska się potwornie silna ręka.

Przez chwilę sytuacja wydawała się wręcz groteskowa - Gea miała poczucie bycia rozrywana: Quorrl ciągnął ją z całej siły za nogę w dół, a stara kobieta nie mogła się zdecydować, czy ma ją wyrzucić z okna czy też rozdrapać jej gardło swymi ostrymi, zakrzywionymi paznokciami. Gea w tym momencie pomyślała, że nie potrzebuje niczego innego, a tylko dwóch, może trzech dodatkowych rąk, żeby móc się czegokolwiek ucześcić i bronić przed wrzeszczącą staruchą, która nie tylko wyglądała jak Quorrl, ale w ataku furii ujawniały się w niej takie same pokłady sił.

Quorrl nagle wypuścił jej stopę, co zaskoczyło ją tak bardzo, że dosłownie wleciała do środka przez okno, przygniatając sobą starą kobietę. Ostre paznokcie przejechały jej po twarzy, rozdrapały policzki i szczękę, a wrzask starej stał się tak przenikliwy, że Gea niemal ogłuchła. Gdyby była mężczyzną, to uderzając kolanem właśnie w tym momencie wybiłaby natychmiast szczękę swojej przeciwniczce.

Jakimś sposobem udało jej się uwolnić rękę, porzuciła więc wszystkie skrupuły i wymierzyła starej mocne uderzenie wierzchem dłoni, po którym tamta nagle przestała się bronić, zaczęła natomiast głośno lamentować, co znów spowodowało nagły atak wyrzutów sumienia u Gei. Ale tym razem nie pozwoliła im się ponieść, jednym ruchem poderwała się i natychmiast stanęła przy oknie z wysoko podniesionymi ramionami, gotowa do walki z o wiele bardziej niebezpiecznym prześladowcą.

Jak się okazało, nie było to konieczne, bo Quorrl był bardzo zajęty. Coś wielkiego, co

przypominało kota przebranego za chrząszcza, zataczało nad nim wielkie koła i atakowało go całym arsenałem swojej naturalnej broni, kłując i siecząc raz po raz. Quorrl młócił wściekle łapami, broniąc się przed bezczelnym napastnikiem. W końcu zorientował się, że nigdy nie chwyci chrząszcza tylko jedną łapą.

Uwolnił więc drugą. W efekcie nie bardzo miał się czym trzymać muru, co pojął chyba dopiero wtedy, kiedy uderzył o ziemię dwa piętra niżej, a jego grzbietowy pancerz rozłupał się z głośnym trzaskiem. Po jego towarzyszu nie pozostał nawet ślad; przypuszczalnie zrezygnował ze wspinaczki i podążył za innymi uciekinierami...

To jednak kazało Gei zastanowić się, gdzie właściwie mogą być teraz pozostali napastnicy.

W każdym razie na chwilę dali jej spokój. Mogła podnieść się i podać rękę starej kobiecie. Tamta nie myślała już o ataku, lecz zaczęła lamentować jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio.

- Przeklęty motłoch! - jazgotała. - Nie wystarczy wam, że mi odbieracie te ostatnie resztki, jakich potrzebuję do życia? Pobić starą kobietę, tak, to umiesz! I co, jesteś z siebie dumna?

Nie, Gea z pewnością nie była dumna, ale przez chwilę miała ochotę uprawdopodobnić to bezczelne oskarżenie.

Zamiast tego pochyliła się jednak, chwyciła starą za oba nadgarstki i postawiła ją nieco brutalnie na nogach. Musiała przy tym wykonać głęboki wdech, czego natychmiast pożałowała, bo kobieta z twarzą Quorrla śmierdziała tak intensywnie starym potem i moczem, że Gea momentalnie poczuła atak mdłości. Mimo wszystko nie wypuściła kobiety z uścisku, lecz potrząsnęła nią tak silnie, że przynajmniej umilkł jej przeraźliwy jazgot.

- Nic ci nie chcę zrobić - fuknęła jej prosto w twarz. - Nie należę do tych, którzy cię obrabowali, rozumiesz?!

Stara wytrzeszczyła na nią oczy, w których nagle pojawił się strach.

Z całą pewnością nadal nic nie rozumiała.

- Nie jestem twoim wrogiem, jasne? - kontynuowała Gea, z trudem panując nad sobą. - Ale muszę stąd uciekać. Jest tu jakieś wyjście z budynku, gdzie mnie nikt nie zobaczy?

Stara dalej patrzyła na nią wytrzeszczonymi oczami i zaczęła się okropnie ślinić, wówczas Gea sięgnęła pod kurtkę i wydobyła jednego złotego dinara.

- Patrz! - powiedziała, podsuwając starej monetę pod sam nos - nie potrzebuję cię okradać, rozumiesz? Dam ci to, jeśli pomożesz mi wydostać się stąd, ale tak, żeby mnie nikt nie widział.

Przerażenie w oczach starej zamieniło się w chciwość. Spróbowała natychmiast chwycić monetę kościstą, artretyczną ręką o niepełnym komplecie palców. Gea była szybsza i zacisnęła pięść; moneta przypuszczalnie była więcej warta niż to, co stara mogła zarobić w ciągu całego roku.

- Jak mnie stąd wyprowadzisz - powtórzyła. - Ale tak, żeby mnie nikt nie widział.

- To chodź - odparła stara zaskakująco normalnym głosem, w którym nie było już słycać histerycznego falsetu, lecz czujność.

Podniosła się i jednym, zaskakująco zręcznym ruchem uwolniła się z uchwytu Gei, obróciła się i podreptała do drzwi w drugim końcu pokoju. Pomieszczenie znajdujące się za nimi było wypełnione gruzem, połamanymi meblami i zgnitymi odpadkami, w których obie musiały dosłownie brodzić.

Kolejny pokój nie wyglądał lepiej. Tylko z dużą dozą dobrej woli można było nazwać znajdujące się tam przedmioty „umeblowaniem”, ale z powodu nagromadzonych także tutaj odpadków i brudu na podłodze smród był wprost nie do wytrzymania. W zardzewiałej drucianej klatce ruszało się coś nieokreślonego, co do czego Gea miała nadzieję, że przynajmniej nie jest to dziecko. Pod kocem przymocowana była drucziana sieć o gęstym splocie, w której kłębiły się robaczki świętojańskie, brzęcząc głośno nad licznymi zwłokami swoich współbraci.

Stara otworzyła kolejne drzwi, które prowadziły do wąskiego i kiepsko oświetlonego korytarza. Sufit nad ich głowami wydawał się poruszać, nawet jeśli nie można było tego dostrzec z powodu niedostatecznego oświetlenia.

Na końcu wąskiego przejścia Gea trafiła na strome schody bez poręczy, które prowadziły w

górze i w dół, nie one były jednak celem poszukiwań jej przewodniczki. Stara pokuśtykała do drzwi w drugim końcu korytarza, zamkniętych za pomocą wielkiego drewnianego ryglu. Bez trudu przesunęła rygiel, otworzyła drzwi i gestem dała znak, aby Gea się pośpieszyła.

Pomieszczenie znajdujące się za nimi było o wiele jaśniejsze, nie przypominało zbiornika na odpadki, lecz coś, co zwykle każdy wyobraża sobie jako laboratorium średniowiecznego alchemika. Było wypełnione dziwnymi przedmiotami z zakresu zmutowanej technologii. Wszędzie coś wrzało i skwierczało, tu i ówdzie wiły się jak żmije miedziane rurki i szklane aparaty do destylacji, między tym wszystkim stały pękate szklane kolby, pod którymi syczały niebieskawe płomienie ognia. Gea w pewnym momencie zatrzymała się, a potem obejrzała trzy razy, bo nie była pewna, czy to, co widzi, nie jest snem: zobaczyła dwa ogromne, dwuwymiarowe ekrany w drewnianych ramach, połączone z antycznym komputerem, napędzanym w dodatku przez syczącą i bulgoczącą maszynę parową!

- Tędy, moje dziecko! - zawołała zdenerwowana stara. - Szybko!

Nie mamy czasu!

Moje dziecko? To doprawdy zdumiewające, jakie działanie może mieć widok złotego dinara.

Mimo to Gea przyśpieszyła kroku, posłuszna wołaniu starej i natychmiast potknęła się o coś ze szkła, co stłukło się z głośnym brzękiem, zagryzła więc zęby w oczekiwaniu na kolejną dawkę bólu, co jednak nie nastąpiło. Sprawnie, (ale mimo to nieco ostrożniej) posuwała się za starą, która właśnie zatrzymała się i parskła ze złości, próbując podnieść wypakowany do granic możliwości metalowy regał. Gea dostała nagrody za pomoc pod postacią ukrytych, tajemniczych drzwi, które znów prowadziły do kolejnego pomieszczenia, wyglądającego jeszcze bardziej fantastycznie. Przy trzech ścianach znajdowały się tutaj wysokie regały i stoły pełne najosobliwszych instrumentów, czwarta ściana zaś pomalowana była na czarno.

Dopiero po chwili Gea pojęła to, co widziała. Dom wznosił się bezpośrednio przy Ścianie, a jego budowniczy oszczędził sobie trudu i nie zbudowali dodatkowego muru, a zamiast tego pomalowali po prostu niewidzialną barierę czarną farbą.

-Tędy! - stara gestykulowała obiema rękami wskazując na kolejne, tym razem zupełnie niezamaskowane drzwi w drugim końcu pomieszczenia.

- Za nimi jest korytarz, kiedyś były też schody, ale się zawaliły.

Będziesz się musiała wspinać. Umiesz się wspinać, moje dziecko?

Gea skinęła głową i chciała pobiec do drzwi, ale jej wybawicielka przytrzymała ją za ramię i wyciągnęła drugą rękę.

- Moja zapłata!

-Jak będziemy na zewnątrz.

- Ja nigdy nie wychodzę! - stara potrząsnęła tak zdecydowanie głową, że Gea uznała opór za bezsensowny; poza tym nie za bardzo miała czas na długie dyskusje.

- Odwróć uwagę tych, co cię ścigają - ale za drugiego dinara!

Gea nie miała już czasu, aby się targować. Bez słowa wyciągnęła jeszcze jednego dinara z sakiewki, położyła na wyciągniętej ręce najpierw jedną, potem drugą monetę i spróbowała zignorować błysk chciwości w oczach staruchy. Obie monety znikły tak szybko, jak gdyby znalazły się na polu transportu w czasie, po czym kobieta wskazała szybko na drzwi.

- Szybko teraz, zdaje mi się, że ich słyszę!

Gea co prawda nic nie słyszała - albo słyszała różne dźwięki, które mogły nie mieć zupełnie znaczenia, ale w końcu stwierdziła, że zaryzykuje. Nawet jeśli starej kobiecie nie udałooby się wywieść w pole jej prześladowców, szanse Gei na ucieczkę znacznie wzrastały. Aby zatrzymać napastników, należało zrobić znacznie więcej, zawałone schody nie będą dla nich przeszkodą. Skinęła więc głową z wdzięcznością żegnając w ten sposób kobietę z twarzą Quorrla, po czym wymknęła się przez otwarte drzwi.

Dokładnie tak, jak powiedziała stara, zaraz za drzwiami ciągnął się wąski korytarz bez okien. Gea założyła więc, że znajduje się on między dwoma mieszkaniami i nie każdy lokator tego domu o nim wiedział. Jeszcze nie widziała tajnych przejść, ukrytych drzwi, tuneli przeznaczonych do ucieczki i tym podobnych pomieszczeń, ale wiedziała, że takie przejścia właśnie tu, na



starym mieście, w Oblężeniu, cieszyły się wielką popularnością. Korytarz kończył się przed wąskimi schodami, dokładnie tak, jak opisała to jej sprzymierzeńczym.

Nie powiedziałaaby jednak, że wznosił się tu mur z litego kamienia, przy którym kończyły się schody. Gea, miotając się, pokonała już pół tuzina schodów, obmacując ścianę i natykając się wszędzie na szorstki kamień, jak gdyby chciała się w ten sposób przekonać o istniejącej przeszkodzie.

Jednak przeszkoda istniała i kiedy Gea znów wbiegła na krótkie schody i obmacywała teraz ściany wąskiego korytarza, przekonała się, że czekała na nią tu kolejna, niemiła niespodzianka: obie boczne ściany korytarza wykonane były z tego samego, twardego jak żelazo kamienia, pokrytego tylko cienką warstwą tynku i brudu.

Coraz bardziej niespokojna Gea pośpieszyła z powrotem do drzwi i zmarszczyła gniewnie czoło, kiedy zobaczyła znów starą kobietę o twarzy Quorrla. Stała ciągle w tym samym miejscu i patrzyła na Geę przekornie; może także trochę złośliwie, a z całą pewnością bez poczucia winy. Gea w ogóle nie sądziła, że stara rozumiała znaczenie tego słowa.

- Myślę, że zapomniałaś powiedzieć mi o pewnym drobiazgu - rzekła wprost - zwracasz mi pieniądze, albo przypomnisz sobie o jakimś innym wyjściu stąd, zanim skręcę ci kark!

- Mówiłam wam - stara zwróciła się do kogoś innego w odpowiedzi - ona ma pieniądze! Jest bogata!

Gea w pierwszej, bardzo krótkiej chwili wstrzymała oddech, patrząc przed siebie i nic z tego nie rozumiejąc - aż usłyszała szelest i pewien głos, który wydał jej się przerażająco znajomy: - Tak, pieniądze też wydaje się mieć. Co za szczęście.

Duras. Plixx pienięż się z wściekłości. Nikt (nawet sam Duras) nie wiedział, ile lat ma myszczur - plotki w zależności od pory roku mówiły o liczbie oscylującej między dziesięcioma, a kilkoma setkami tysięcy lat, nikt też nie umiał sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział myszczura tak zdenerwowanego. Także sam R'Achernon, nawet jeśli wolał na ten temat milczeć.

- Jak, do diabła, coś takiego mogło się stać?! - ryczał Plixx co najmniej po raz dwudziesty od chwili, kiedy wszedł do sali obrad rajców. Także co najmniej po raz dwudziesty nie otrzymał odpowiedzi. Mniej więcej tuzin postaci (mniej niż połowa z nich była ludzkiego pochodzenia) siedzących na celowo niewygodnych ławkach z szorstkiego, czarnego kamienia ustawionych wzdłuż ściany wydawało się kurczyć w przestrachu i nikt, z wyjątkiem Durasa, którego żelazna twarz i tak nie była zdolna do jakiegokolwiek ruchu, nie ważył się popatrzeć wprost na Plixxa. Tajemnicze, błękitne ognie świętego Elma migotały raz po raz we włosach na brodzie jego pyska, z trzaskiem przelatowały między włosami jego twardej szczeciny i na koniec tworzyły krótkotrwałe świetlne łuki między końcami jego spiczastych uszu. Nasuwało to jednoznaczne skojarzenia z efektami indukcji magnetycznej. Małe szczurze oczka przypominające guziki były wprawdzie czarne jak zwykle i wydawały się składać tylko ze źrenic, ale głęboko za ich czernią przebłyskiwała groźna czerwień, jak gdyby w czeluściach jego czaszki próbowała zaskoczyć jakaś mała, niszcząca wszystko maszyna. Duras wcale nie byłby zdziwiony, gdyby w którymś momencie spomiędzy chrapów myszczura zaczęły wydobywać się kłęby dymu.

Cała ta scena stanowiła przekomiczny widok: postać sprawiająca wrażenie drobnego cwaniaka, o wzroście półtora metra, wpadająca w szał podczas mówienia przenikliwie piskliwym głosem... Gdyby nie fakt, że każda z towarzyszących mu sympatycznych małych błyskawic miała dość energii, aby zamienić w popiół małe miasto, Plixx wydawałby się pocieszną dziecięcą maskotką.

- Chcę wreszcie się dowiedzieć, jak, do diabła raz jeszcze, ten durny, mały łajdak z amputowanym mózgiem, który nie jest w stanie zrobić niczego innego jak przesypywać szuflę gównem z jednej kupy na drugą, mógł wejść w posiadanie bomby zapalającej - jazgotał Plixx.

Całość mogłaby być jeszcze bardziej zabawna także dlatego, że jego głos przypominał pisk rozhisteryzowanej myszy, jednak nikt nie odważył się nawet uśmiechnąć, a samego Durasa opanowywało stopniowo jakieś niemiłe poczucie, że te zarzuty dotyczą wyłącznie jego osoby. Mimo legendarnej humorzastości i rozkapryślenia Szarego Myszczura, Duras nigdy nie słyszał, aby wyładował on swój zły humor na kimś niewinnym. Jednak nigdy jeszcze nie widział myszczura tak wzburzonego i w końcu należałoby też dokładnie określić, co to znaczy

„niewinny”...

Plixx w końcu przestał biegać w kółko jak przerażony kogut i wymachiwać przy tym rękami, a spojrzenie jego małych oczu, teraz sprawiających wrażenie rozwścieczonych, błędziło wśród postaci siedzących rzędem pod ścianą, bez wątplenia w celu znalezienia tarczy służącej do wyładowania gniewu. Duras nie był specjalnie zdziwiony, kiedy spojrzenie myszczura zatrzymało się właśnie na nim.

- No, cóż więc takiego stało się tam na zewnątrz, Duras? - syknął Plixx. - Czy nie przychodzi wam do głowy, skąd ów wielce szanowny przywódca klanu Craiden wziął ową bombę?

- Dlaczego akurat mnie? - spytał Duras.

- A na przykład dlatego, że to jest wasze zadanie, wiedzieć coś takiego! - odparował Plixx natychmiast.

- Moim zadaniem, szanowny myszczurze - powiedział spokojnie Duras - jest ni mniej ni więcej, tylko ochrona księżniczki. Tak długo, jak długo przebywa ona wewnątrz R'Achernona, nie obchodzi mnie, co dzieje się na zewnątrz.

; Pani senator Rymer, która siedziała obok niego, wciągnęła przez zęby powietrze do płuc z tak głośnym świstem, że Duras instynktownie spytał siebie w myślach, co aż tak oburzającego właściwie było w jego słowach, ale niemal jednocześnie odpowiedział sobie na to pytanie. Pani senator przypuszczalnie martwiła się wyłącznie o swoje położenie. Miejsce siedzące zaraz obok Durasa mogło okazać się bardzo niekorzystne, gdyby Plixx rzeczywiście zdecydował się ukarać go ku przestrodze innych. A jego gniew mógł skrupić się na kimś całkiem niewinnym, co zmotywowałoby wszystkich potencjalnych winnych do przemyślenia swoich mniej lub bardziej mrocznych planów, zaś wszystkich niewinnych zmusiłoby do popełniania mniejszej ilości błędów w przyszłości.

- Ach tak, to cię nie obchodzi - powtórzył Plixx lodowato i po dreptał w kierunku Durasa. Senator Rymer zaczęła niespokojnie wiercić się na swoim siedzeniu, także czarny myszczur, który siedział z drugiej strony Durasa sprawiał wrażenie nieco nerwowego.

- Dobrze wiedzieć - choćby dlatego, żebym w końcu nie zaczął podejrzewać niewinnej osoby - mówił dalej Plixx przez zęby. - Ale, żebyśmy się dobrze zrozumieli: jesteście komendantem straży przy bocznej księżniczki, nieprawdaż? Czy to nie oznacza, że waszym za daniem jest chronić ją przed każdym zagrożeniem i zapobiegać mu?

Duras nie odpowiedział, bo i tak byłoby to bezsensowne. Plixx wolno podszedł do niego. Jego cienki mysi ogon uderzał nerwowo o podłogę, a wokół uszu ciągle błyskały niebieskawe iskry ognia świętego Elma. Senator Rymer sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zestresowanej.

- I jeszcze tylko jedno, aby się upewnić, Duras - myszczur mówił dalej, cichym i dygocącym głosem. - Jeżeli tam, na zewnątrz, odpalona zostaje bomba, która może zniszczyć całą planetę i razem z nią R'Achernona oraz wszystkich, którzy w nim mieszkają - razem z księżniczką - czy też nie będziecie tego oceniali jako zagrożenia dla jej życia?

Duras westchnął. Plixx był rozgniewany - do czego miał prawo - albo może potrzebował wentyla, aby odreagować, ale jeśli ktoś dysponujący taką mocą jak Szary Myszczur wydawał się tracić panowanie nad sobą, to można było zacząć poważnie się martwić.

- Tego nikt nie mógł się spodziewać - odparł po namyśle.

- Czego? Czy tego, że ten smarkaty wieśniak będzie się bawił bombą atomową? - prychnął Plixx. Jego oczy błysnęły złowrogo.

- Plixx, niechętnie kwestionuję to, co mówicie - odparł spokojnie Duras. - Ale poznałem dobrze Craidena i mogę was zapewnić, że jest kimś zupełnie innym niż „smarkatym wieśniakiem”.

- Który w dodatku już dobre pół godziny czeka przed drzwiami sali tronowej - wmieszała się nieoczekiwanie i nieco nerwowo senator Rymer. - Może... nie powinniśmy mu kazać czekać dłużej?

- Bo mógłby się naprawdę zdenerwować?! - zasyczał znów Plixx.

Duras z ulgą stwierdził, że wrogość myszczura obróciła się teraz przeciwko niej.

- I żeby na koniec nie wyczarował jeszcze więcej niemiłych niespodzianek z kapelusza i nie

wymordował nas wszystkich za pomocą którejś z nich? - Plixx stanął przed senator Rymer patrząc na nią wyzywająco. Ciemnowłosa kobieta w bliżej nieokreślonym wieku nawet siedząc była znacznie wyższa od myszczura, ale w tym momencie wydawała się o wiele mniejsza. Robiła się coraz bardziej zdenerwowana, ale w końcu opanowała się i wyprostowała skulone dotąd ramiona.

- Rozumiem doskonale wasze zmartwienie, Szary Myszczurze - rzekła nieco sztywno. - Macie do niego prawo, ale ciągle nie jest to jeszcze powód, aby tracić panowanie nad sobą. Ten barbarzyńca wszedł w jakiś sposób w posiadanie broni...

- ...za pomocą której o mały włos nie wysadził całej planety w powietrze i razem z nią nas wszystkich, tak! - przerwał jej znów zdenerwowany Plixx. - Doprawdy, jestem zmartwiony, pani senator!

I będę nadal zmartwiony aż do chwili, kiedy się dowiem, jak do tego doszło! Skąd on wzięto cholerstwo!

-I sądzicie, że uda wam się tego dowiedzieć, kiedy będziecie na nas wrzeszczeć? - odparła śmieiej Rymer. Zrobiła przy tym ruch jak gdyby chciała wstać, ale znieruchomiła nagle, kiedy zobaczyła tuż przed sobą pełne groźby oczy myszczura.

A potem zaszło coś nieoczekiwanego: Plixx patrzył na nią jeszcze przez długą chwilę wzrokiem pełnym nienawiści, potem zrobił krok do tyłu, wodząc wzrokiem pełnym pogardy po twarzach innych członków rady i nagle jakby opuściły go wszystkie siły. Opadły mu ramiona, zgasł trzeszczący ogień świętego Elma migocący w jego szczecinie, a włosy jego brody zwisały smutno w dół.

- Macie rację, pani senator - powiedział, nagle cichym i pełnym zmęczenia głosem. - Uniosłem się i muszę was wszystkich prosić o wybaczenie. Może... pójdziecie teraz przywitać naszego szanownego gościa?

Senator Rymer zmrużyła oczy. Po tym, czego doświadczyła ze strony myszczura w ciągu ostatnich kilkunastu minut, była to ostatnia reakcja, której się po nim spodziewała. Duras wydawał się mieć podobne odczucia. Wstał jednak po krótkim wahaniu i chciał iść w stronę drzwi, ale zatrzymał się, gdy Plixx podniósł rękę.

-Jeszcze jedno, szanowna pani senator- oświadczył. - Może nie powinniśmy dawać po sobie poznać naszego przerażenia.

- Również nie miałam takiego zamiaru - odparła Rymer niemal obrażonym tonem. Ze strony kilku członków dobiegły głosy poparcia, a czarny myszczur siedzący obok Durasa zamierzał wygłosić własną, przypuszczalnie mniej szarmancką uwagę, zamknął jednak pysk chowając przy tym starannie wystające siekacze, kiedy tylko Plixx zmierzył go lodowatym wzrokiem.

- Doprawdy - kontynuował Plixx - może nawet byłoby mądrze w ogóle nie wspominać o tym incydencie, to właśnie mam na myśli.

Uczynić zadość protokołowi i zachować się tak, jak gdyby nic się nie stało.

-... i pozwolić odejść temu typkowi mimo całej potworności tego, co zrobił? - sapnął senator Torgelsen. Jak większość pozostałych wstał i zaczął iść w stronę drzwi, zawrócił jednak w połowie drogi, podszedł do Plixxa i stanął przed nim w wyzywającej pozie. Sprawiał wrażenie oburzonego.

- Nie możemy przecież... - zaczął, ale Plixx wpadł mu w słowo: -... .pokazać przywódcy klanu Craidenowi i jego generałom, jak bardzo nas wystraszyli? Tak, to wspaniały pomysł, senatorze. A nie ukrywajmy, że wprost trzęsiemy się z przerażenia! Dziwię się, że sam dotychczas na to nie wpadłem.

Oburzony Torgelsen nabrał powietrza zamierzając odpowiedzieć na tę uwagę, lecz wtedy Rymer potrząsając głową położyła mu szybko rękę na ramieniu. Torgelsen milczał.

- Jak już mówiłem: muszę was poprosić o wybaczenie - mówił dalej Plixx, po czym urwał i chrząknął kilka razy. - Straciłem panowanie nad sobą. Ale teraz powinniście zatroszczyć się o księżniczkę i naszego gościa.

- A wy? - spytał Torgelsen. Z tyłu pierwsi członkowie rady zaczęli opuszczać pomieszczenie, niektórzy bardzo pośpiesznie.

Plixx wskazał na Durasa.

- Komendant straży przybocznej i ja mamy jeszcze kilka spraw do omówienia, ale nie zajmie to wiele czasu.

- Ale Craiden... - wmieszała się Rymer.

- Ach, do diabła - Plixx zaatakował ją wręcz - dajcie mu kilka klocków, albo coś, czym będzie się mógł pobawić!

Jego kolejny atak wściekłości minął jednak równie szybko jak się pojawił, tym razem jednak Plixx nie przeprosił.

- Idźcie teraz i czyńcie zadość protokołowi - dodał. - Tak, jak to zawsze robicie.

Ostatnie słowa wyszeptał, jednak zrobił to na tyle głośno, by senatorowie mogli je dobrze usłyszeć. Twarz Torgelsena zeszywniała z gniewu, ale senator Rymer znowu dotknęła uspokajająco jego ramienia i pociągnęła go za sobą w stronę wyjścia.

Plixx poczekał, aż za ostatnim z członków rady zamknęły się znikające drzwi. Wyszczrzył zęby w szyderczym, ostentacyjnym wręcz śmiechu, jak gdyby cieszył się ze szczególnie perfidnego kawału, który właśnie komuś zrobił.

- Ach, to było dobre.

Duras westchnął.

- Nie powinieneś traktować w ten sposób rady koronnej, Plixx.

W końcu są oni jednak...

-.. .bandą zarozumiałych, aroganckich wałkoni, którymi od czasu do czasu trzeba potrząsnąć, aby się obudzili. - Plixx tego dnia chyba był zdecydowany nie pozwolić nikomu dokończyć choćby jednego zdania. Ciągle jeszcze szczyrzył zęby w sardonicznym uśmiechu.

- A kiedy choćby jeden z nich podjął decyzję ważniejszą niż kwestia wyboru ubrań albo kolejności potraw w czasie kolacji? - jego kły błysnęły złowieszczo, jakby w gotowości do walki. - Nie, przyjacielu.

Ta zadufana banda nazywa siebie radą, ale założę się, że połowa z nich nie wie nawet, co znaczy to słowo.

- Jeśli rzeczywiście tak sądzisz, to powinieneś wziąć przykład z Craidena i rozwiązać radę, żeby samego siebie osadzić na tronie jako autokratę.

Plixx popatrzył na niego kwaśno.

- Nie wódź mnie na pokuszenie, przyjacielu - westchnął. - Mógł by mi się spodobać taki pomysł.

Popatrzył na Durasa tak zagadkowo, jakby chciał wzbudzić w nim podejrzenie, że te słowa były rzeczywiście czymś więcej niż niewinnym żartem, po czym podreptał do ściany i pstryknął palcami. Gładka ściana wykonana była z materiału, który przestał udawać surowo ociosaną skałę po tym jak tylko członkowie opuścili salę. Był teraz całkowicie gładki oraz znakomicie pochłaniał światło. Dwa fragmenty ściany rozsunęły się, a Plixx włożył w powstały otwór łapę i wyciągnął stamtąd idealnie prostą marchewkę, po czym zaczął ją chrupać.

- R'Achernon - spytał - czy ta przeklęta analiza jest już gotowa?

- Była gotowa, zanim jeszcze zwołałeś to zaimprovizowane zebranie.

Plixx odgryzł z głośnym chrupnięciem połowę marchewki.

- A dlaczego do diabła...

- ...członkowie rady koronnej nie są już obecni, myszcurze? Nie ma już żadnych podstaw do tego, aby używać przekleństw, które i tak nie robią na mnie żadnego wrażenia. Twój profil psychologiczny daje jednak asumpt do tego, że będzie lepiej, jeśli...

- ...nieco się wyładuję czy też spuszczę trochę pary, tak, tak - fuknął Plixx. - A tym zadufanym i pewnym siebie durniom wymierzę po kolei porządnego kopniaka w tłustą dupę.

- Jeśli chcesz to tak nazwać. Poza tym uważałem, że będzie lepiej, jeśli rozważę wyniki moich badań nie z całą radą, lecz tylko z Durasem i z tobą.

Plixx przestał chrupać marchew i zastygł w bezruchu. Żółty marchewkowy sok zaczął kapać

na podłogę z jego pyszczka w postaci długich, gęstych nitek, aż myszczur nagłym ruchem wytarł go grzbietem łapki i głośno przetłknął to, co już pogryzł. Duras wstał powoli i podszedł do niego. Coś tu nie przebiegało według planu.

- To... ale to nie znaczy tego, co sądzę, że znaczy... taką mam nadzieję... - plątał się Plixx i dodał w końcu: - Nie mam nastroju do kiepskich żartów - jeżeli ktoś tego jeszcze nie zauważył...

-Ocena broni, którą zastosował przywódca klanu Craiden w akcji, została zakończona - powiedział R'Achernon. Jego głos zabrzmiał teraz inaczej. Różnica była bardzo subtelna, zabrzmiał jednak tak, jak kiedyś, dawno temu: jak komputer. Duras zaczął zastanawiać się, czy to dobry, czy zły znak.

-Analiza spektrum eksplozji, jak też zastosowanych kwantowo-molekularnych akceleratorów umożliwiła jednoznaczny identyfikację.

Jeśli chodzi o zastosowaną broń, jest to kwantowomolekularny materiał zapalający o wielkości jedenaście przecinek sześć kiloton, typ siedem, numer serii 122 kreska 9 kreska alfa kreska 334, wyprodukowany przez Warcraft Industries w roku...

Plixx ostentacyjnie odgryzł znów kawałek marchewki.

-Już dobrze, nie chcę was zanudzić na śmierć.

- Chwileczkę - odezwał się Duras. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że chodzi o artefakt z czasów preachernonowych?

- Nie określałbym niszczyciela i mordercy planety jako artefaktu, ale faktycznie takie przypuszczenie zachodzi. Mówiąc dokładniej Pro-Achernon, Post-Satai.

W otworze w ścianie, z którego Plixx wyciągnął marchewkę, teraz pojawił się pseudoekran 3D Przez sekundę widać było czarne tło przestrzeni kosmicznej rozświetlonej gwiazdami, po czym wyimaginowana kamera wykonała powiększenie samotnej planety w kolorze brązowym, obsypanej zielonymi kropkami. Obraz planety szybko rósł na ekranie i wnet można było dostrzec więcej szczegółów jej powierzchni składającej się przeważnie z pustyń, zaś obok pojawiły się świecące kolumny cyfr i liczb, które przesuwają się tak szybko, że nawet ponad naturalny wzrok Durasa rozpoznawał tylko białe migotanie. R'Achernon wiedział przecież lepiej, co były w stanie percypować ich zmysły, a czego nie. Gdzieś w głębi swojej mechanicznej duszy R'Achernon był i pozostał niemożliwym chwalipiętą.

- Kwantowo molekularne zapalniki tego rodzaju prowadzą do pożarów sub molekularnych, gdy tylko przekroczony zostanie punkt krytyczny - kontynuował R'Achernon. Na quasi-holograficznym obrazie planety pojawiła się maleńka, biała iskra. Po chwili zgasła, po czym zapłonęła znowu kilkaset razy jaśniej. Kamera wykonała zbliżenie i ukazał się grzyb ognia charakterystyczny dla eksplozji nuklearnej o niewielkiej sile wybuchu. Grzyb szybko urósł, sięgając stratosfery i stracił przy tym intensywną, jasną barwę. Szary i czarny dym mieszał się z płomieniami, zaczął je pochłaniać, a Duras czekał na to, że zacznie wreszcie zanikać. Widział to już na ponad stu podobnych prezentacjach.

Zamiast tego dym zaczął płonąć - i nie tylko dym.

Tam bowiem, gdzie grzyb ognia dotykał ziemi, żar nie zanikał, lecz wszystko płonęło coraz intensywniej. Języki płomieni wydobywały się wprost z ziemi, znikł po prostu grunt, na którym miała miejsce eksplozja, a wokół pojawiła się gęsta siatka czerwonych, rozżarzonych linii. Powietrze wrzało i wreszcie nawet ono zaczęło płonąć. Słupy ognia pędziły z prędkością dźwięku przez okolicę, zamieniając żyzną ziemię i lasy w popiół. Woda w rzekach i morzach wyparowywała błyskawicznie, a piaszczyste pustynie zamieniały się w szkło, aż wreszcie wypalona była cała atmosfera i ogień zaczął gasnąć.

Ale nie żar. Świecąca sieć linii, przypominająca piekielną pajęczynę, pokrywała już całą planetę, powstawały kolejne nasycone wybuchami linie łączące morza magmy o wielkości kontynentów, co było efektem przechodzenia skał w stan ciekły. Sieć stawała się coraz bardziej gęsta. Planeta jednak nie eksplodowała, z czym liczył się Duras, lecz jej powierzchnia dosłownie topiła się, aż wreszcie cała planeta stała się dygocącą kulą lawy. Obraz został zatrzymany, a zamiast pędzących przez ekran kolumn cyfr i liczb obok pojawiła się dwuwymiarowa prezentacja obiektu w kształcie jaja w srebrnym kolorze. Jego powierzchnia była całkowicie gładka.

- Rodzaj i siła tego ładunku wybuchowego została zidentyfikowana. Pochodzi on z okresu

drugiej wojny Verdandi.

Duras dopiero teraz poczuł, jak szybko bije jego serce, a ręce ma zaciśnięte w pięści. Kiedy na ekranie rozpoczęła się symulacja, niemal pytał sam siebie, jaki jest jej sens - zarówno on jak i Plixx dysponowali nieograniczonym dostępem do wszystkich militarnych zbiorów danych i obaj wiedzieli, co znaczy bomba typu siedem i znali potencjalne skutki jej użycia. Ale wiedza, fakty i wreszcie słowa, które można było wypowiedzieć, nie były aż tak sugestywne. Zahaczyć

zniszczenie- nawet jeśli wiedział, że to tylko symulacja komputerowa - to było coś zupełnie innego. Nagle poczuł strach.

- Nagranie nie jest symulacją. Przedstawia ono koniec Verda Sekunda, świata wojny Kombinaty Verdandi. Kapitulacja macierzystej inteligencji Verdandi nastąpiła trzy i pół miesiąca później, kiedy już osiem innych światów Verdandi zostało zniszczonych przez bomby zapalające.

- Ty... nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że Verdandi... że oni teraz wrócili, wyposażyli Craidena i jego barbarzyńskich przyjaciół w broń, żeby ci mogli się na nas zemścić? - spytał zdenerwowany Duras. Patrzył ciągle na rozżarzoną kulę na ekranie, niezdolny oderwać wzroku od przerażającego obrazu.

- Nie. Macierzysta inteligencja Verdandi wygasła w efekcie trzeciej wojny, a wszystkie planety wraz z koloniami zostały wysterylizowane przez bomby zapalające wymienionego typu. Gatunek Verdandi już dawno nie istnieje.

Zrobiło się zupełnie cicho. Plixx przestał chrupać swoją marchewkę, a Durasowi wydawało się, że czuje, jak krew nagle wolniej płynie w jego żyłach, jak gdyby musiała pokonać niewidzialny opór. Był to lęk dawno minionego czasu, który zawarty był właśnie w tych obrazach, choć nie były one niczym więcej niż tylko wspomnieniem pewnej epoki, która zakończyła się tak dawno, że stała się właściwie tylko wspomnieniem wspomnienia. Dlaczego więc to go tak przeraziło?

-Jednak żadna z tych broni nie została zmagazynowana na ziemi - powiedział w końcu Plixx. Jego głos brzmiał nieco nerwowo.

-Zgadza się.

- To skąd to paskudztwo tu się wzięło? - chciał wiedzieć myszczur.

-Tego nie wiem.

Plixx stęknął głośno.

- Bzdura! - machnął pogardliwie łapą. -Jesteś R'Achernon! Wiesz wszystko!

- Gdybym wiedział wszystko, byłbym Bogiem - odparła wieża.

-Wszystkie moje empiryczne badania prowadzą do wniosku, że nie ma wszechmogącej istoty takiej jak Bóg. Ale ja istnieję bez wątpienia, to wobec tego nie mogę być Bogiem.

Duras ocenił słowa R'Achernona jako uwagę w najwyższym stopniu niestosowną. Znał wiele osób, które były zdania, że R'Achernon był dość bliski wyobrażeniu Boga. W głębi duszy był pewien, że Bóg istnieje i z całą pewnością nie był on Czarną Wieżą.

- Nawet ja jestem zmuszony polegać na informacjach, które otrzymuję z zewnątrz. Żadna z broni powyżej stopnia zniszczenia cztery nie została nigdy zmagazynowana na ziemi.

-Jedna z pewnością - oświadczył Duras. Jego głos był zachrypnięty.

R'Achernon milczał.

- A więc dobrze - zabrał głos Plixx - to było imponujące - i dość niepokojące. Jeśli chciałeś napędzić nam stracha, to ci się udało. Ale zakładam, że nie pokazałeś nam tego wszystkiego po to, aby zepsuć nam apetyt przed dzisiejszą wieczorną ucztą? To znaczy... masz chyba gotowe rozwiązanie?

-Obawiam się, że nie.

Obraz przedstawiający martwą planetę zmniejszył się, podczas gdy rozmiar dwuwymiarowej prezentacji wybuchu rósł w oczach.

Część srebrnej powierzchni stała się przezroczysta, co umożliwiło spojrzenie do wewnątrz. I choć Duras wiedział, że nie było to nic innego, jak bardzo uproszczona dwuwymiarowa prezentacja, miał wrażenie, że widzi coś bardzo groźnego, przyciążonego, jakąś żywą istotę,

która również wpatrywała się w niego groźnie.

Wydawało się, że Plixx odbiera to bardzo podobnie. Nie chrupał już swojej marchewki, pochylił się do przodu i mrużył oczy, aby lepiej widzieć to, co pokazało się na ekranie. Dopiero po kilku kolejnych sekundach Duras zauważył, że Plixx patrzył nie tylko na schematyczną prezentację bomby, lecz także na rząd cyfr i symboli pod spodem. Samemu Durasowi nic one nie mówiły, ale reakcja Plixxa zaniepokoiła go w najwyższym stopniu.

- Och... - wyszeptał w końcu myszczur.

- Lepiej nie mógłbym tego wyrazić... - rozległ się głos wieży.

Duras zerknął raz jeszcze na ekran i nagle pojął na co patrzy: na wnętrze tykającej bomby zwiastującej całkowitą zagładę świata.

- Plixx! - krzyknął - co to znaczy?!

- To znaczy, że mamy problem, przyjacielu - odparł spokojnie myszczur - wielki problem.

Mardu. - Ups - wymamrotał z osłupieniem generał Mardu. - Czy na pewno ja to zrobiłem?

Z kilku powodów nie otrzymał natychmiastowej odpowiedzi: przede wszystkim niewielu już pozostało towarzyszy, którzy mogli udzielić mu odpowiedzi na to pytanie, poza tym garstka tych, którzy jeszcze przy nim byli, nie mogła nawet go usłyszeć. Żołnierze byli zbyt oszołomieni.

Mardu prawdopodobnie również nie usłyszałby, gdyby właśnie jego o coś spytano. W jego uszach coś bez przerwy dzwoniło i zgrzytało, nawet swój własny głos słyszał jako tępy i osobliwie zniekształcony, jakby znajdował się pod wodą. Jeszcze kilka minut temu wydawało mu się, że ogłuchł całkowicie. Także z jego oczami działo się coś dziwnego: wprowadzie nie oślepl, ale obraz był nieostry i niemal pozbawiony kolorów.

I może tak było lepiej.

Przetarł ręką twarz i oczy, poczuł krew i lepłą substancję, która wyływała z kąćków jego oczu. Zamrugał powiekami kilkakrotnie i dziwna substancja wreszcie zniknęła.

Ukradziona magia, którą otrzymał od Craidena, wcale nie uszkodziła wieży i nawet nie zniszczyła tej przeklętej Ściany, zdmuchnęła za to większą część miasta z powierzchni ziemi, wbrew temu, co przewidywał przywódca klanu. Mardu patrzył przez załzawione oczy w kierunku Czarnej Wieży. Gdy wyteżył wzrok, dostrzegł jakieś bliżej nieokreślone zniszczenia.

Po tej stronie niewidzialnej bariery, między jego wojskiem a magiczną wyrzutnią niszczącą, którą otrzymali od Craidena, właściwie nic już nie zostało... A jeśli nawet zostało, to bardzo niewiele. Potężna eksplozja zmiotła z powierzchni wszystko, co nie było w jakiś sposób przymocowane. Za to promieniowanie cieplne będące konsekwencją wybuchu, spowodowało falę pożarów, które obróciły wszystko w biały popiół.

Jeszcze raz przetarł oczy, zamrugał kilkakrotnie i popatrzył nieco w prawo od dymiących ruin. Mówiąc dokładniej, popatrzył spory kawałek dalej w prawo. Między szerniałymi ścianami tu i ówdzie coś się ciągle tliło i Mardu wydało się, że dostrzegł tam jakiś ruch, nie był jednak w stanie stwierdzić, co to mogło być: dym, fragmenty ruin osuwające się z pewnym opóźnieniem na ziemię czy może kilka biednych diabłów, które zostały uwięzione i błądziły teraz w oczekiwaniu na śmierć w wyniku poparzeń, jakim uległy Jego oczy ciągle jeszcze nie były w stanie rozpoznać wielu szczegółów.

Być może nigdy już nie będą w stanie wrócić do poprzedniego stanu. Mardu należał do ludzi, o których mówiono, że wszystko się na nich „goi jak na psie”, ale jeszcze nigdy nie widział tak jaskrawego wybuchu! Na miłość wielkiej Gai, było to tak, jak gdyby słońce spadło z nieba na ziemię i eksplodowało!

Dzięki szybkiemu, ostrożnemu spojrzeniu upewnił się, że słońce znajdowało się jednak na swoim właściwym miejscu i jak kiedyś przed wiekami, beznamiętnie oświetlało swymi promieniami miasto.

Po chwili generał pogrzebał małym palcem w uchu, wydał z siebie parę dźwięków - tylko po to, aby stwierdzić, że jego głos brzmiał zupełnie obco i daleko, po czym oderwał wzrok od deprymującego widoku zwęglonych ruin. Cofnął się i odwrócił od okna.

Obraz wnętrza bunkra też nie był zbyt budujący. Z ośmiu Quorrlów, którzy mu towarzyszyli, przy życiu pozostało tylko czterech, wśród nich jeden tak ciężko ranny, że przypuszczalnie

stracił już wolę życia. Promieniowanie termiczne dotarło także tutaj i jak rozżarzona kosa obróciło w popiół wszystko, co tylko możliwe, zaś ściana naprzeciwko okna, na którą padła pierwsza fala uderzenia, była teraz zupełnie czarna i krzywa. Dookoła coś trzeszczało, a tysiące drobnych iskier nie doprowadziły jeszcze do pożaru wyłącznie dlatego, że właściwie nie było już niczego, co mogłoby się spalić. W bunkrze było niemożliwie gorąco, a woń popiołów była tak intensywna, że z trudnością dało się oddychać.

Mardu z coraz większym zniechęceniem popatrzył na obraz całkowitego zniszczenia, odwrócił się do Quorrla, który przedtem stał obok niego przy oknie i skorygował liczbę tych, którzy przeżyli.

Wynosiła teraz trzy. Quorrl stał dalej na swoim miejscu, lecz jego głowa po prostu zniknęła, a to, co pozostało z przedramion i rąk, stopiło się w jedną całość z ciągle jeszcze rozżarzonym kamieniem, o który się opierał. Mardu, który wiele widział i nawykły do wielu drastycznych widoków, poczuł nagle ciężką kluskę w gardle. Pocieszył się jednak tym, że: a) w ogóle miał jeszcze gardło i mógł czuć taki wstrętny smak, b) ów Quorrl nie był zbyt rozgarnięty. Nie zdążył uchylić się na czas i sam był winien temu, że spotkał go tak straszny los.

Jakiś dźwięk - zupełnie niezrozumiały, lecz z pewnością zmodulowany- przebił się przez dzwonienie w jego uszach i powtórzył kilkakrotnie. Mardu rozejrzał się dookoła i zrozumiał, że był to głos jednego z rannych Quorrlów. Jego wargi poruszały się w rytm bulgocących odgłosów. Generał dostrzegł kątem oka, że obok umierające- go ukląkł jeden z jego towarzyszy i wyciągnął zza pasa cienki sztylet,

aby uwolnić kompana od męczarni.

Mardu znowu pogrzebał małym palcem najpierw w lewym, potem w prawym uchu - jego zmysł słuchu nie poprawił się co prawda ani odrobinę, ale poczuł przynajmniej ból w uszach i znacząco potrząsnął głową. Quorrl zrozumiał, przestał się poruszać i wydawać bulgocące dźwięki, podczas kiedy jego towarzysz wyprostował się i schował za pas zakrwawiony sztylet.

Poparzona skóra zaczęła schodzić z twarzy Mardu, kiedy przez nieuwagę dotknął policzka. Bezwiednie oderwał luźne jej paski z mięśni, z których natychmiast zaczęła sączyć się wilgoć. Zagryzł zęby, kiedy końcówki nerwów jego twarzy zaczęły wysyłać impulsy bólu i zamrugał oczami, strząsając łzy, które nagle napłynęły do oczu.

-... yyyyyjść ..... ąąąđ... - usłyszał znów bulgocący głos. Zorientował się, że wargi Quorrla znów zaczęły się poruszać i że ten próbuje gestykulować obiema rękami (jedna z nich była okropnie poparzona). Przypuszczalnie chciał powiedzieć: musimy wyjść stąd, pa nie, albo coś podobnego i... chyba miał całkowitą rację. To, że bunkier w ogóle jeszcze stał, zakrawało na cud, ale niewidzialna pięść, której uderzenie Mardu na rozkaz Craideny skierował wprost na Ścianę, praktycznie dobiła budynek. Poza tym Mardu i tak z każdą chwilą czuł się tu coraz gorzej. Bał się tego, co czekało go na zewnątrz, ale po raz pierwszy w życiu poczuł, czym jest klaustrofobia. Czuł się jak zamknięty w puszce, pogrzebany za życia - i to w dodatku w krematorium, które w każdej chwili mogło znów zacząć swoją pracę.

Kołyszącym krokiem zdołał wyminąć spalone zwłoki Quorrlów oraz żarzące się resztki wyposażenia bunkra. Podszedł chwiejnie do drzwi, wymacał ostrożnie klamkę i nacisnął ją dopiero wtedy, kiedy poczuł, że nie była gorąca. W pierwszej chwili po eksplozji była rozżarzona do czerwoności.

Przycisnął ją najpierw ostrożnie, potem coraz silniej, ale drzwi nawet nie drgnęły. Na nieszczęście były metalowe i wysoka temperatura spowodowała, że nieodwracalnie stopiły się w jedno z framugą.

Obaj Quorrlowie, którzy przeżyli eksplozję, zbliżyli się do niego pragnąc pomóc, ale w efekcie połączonych sił i pięciu rąk zaledwie odrobinę wygięli masywną, żelazną klamkę.

Generał Mardu cofnął się o krok, spojrzął na drzwi z wyrzutem, sięgnął ręką do strzępków, jakie pozostały z jego niegdyś wspaniałego kaftana. Był on nie tylko prezentem od jego przedostatniej żony i w ogóle wszystkim, co mu po niej zostało, był też niesłychanie kosztowny. Mardu pomyślał, że wystawi zań Craidenowi pokaźny rachunek.

Jego palce natrafiły na gładki metal ukrytego skanera i Mardu nieco wbrew własnej woli prócz pretensji poczuł coś w rodzaju wdzięczności w stosunku do przywódcy klanu. Prawdą było,



że Craiden upierał się przy tym, aby użyć przestarzałej technomagii przeciwko jej własnym twórcom i w efekcie ponosił wyłączną winę za katastrofę. Jednakże to on równie wyraźnie upierał się przy tym, aby wszyscy znaleźli się w znacznie większej odległości od centrum eksplozji, niż uważał to za konieczne Mardu. Nalegał także, aby wszyscy generałowie otrzymali skanery. Nie mając sprzętu, Mardu tkwiłby teraz po same uszy w znacznie gorszych kłopotach.

Kiedy zatem wyciągnął teraz tę prastarą broń technomagii i włączył ją, jeden z Quorrlów cofnął się gwałtownie, drugi wlepił oczy w dziwny przedmiot i dopiero po kilku skinięciach zszedł na bok.

Mardu co prawda nie miałby zbyt wielkich skrpułów, gdyby mu przyszło spopielić tego durnia razem z tym wszystkim, co miał zamiar zniszczyć, ale w tym momencie miał tylko dwóch towarzyszy, co w tych okolicznościach oznaczałoby zredukowanie gwardii przybocznej o połowę.

Także on cofnął się od drzwi tak daleko, jak tylko było to możliwe, przyjrzał się im i po chwili strzelił. Skaner wyładował się niemal bezgłośnie i w metalowych drzwiach grubości dwóch palców powstała dziura wielkości głowy, czemu także nie towarzyszył żaden dźwięk.

Pięć następnych strzałów powiększyło otwór do takiego rozmiaru, że generał był już w stanie się przezeń precyzyjnie. Szósty strzał byłby wskazany, ale czarny przedmiot w rękach Mardu rozgrzał się tak bardzo, że ten z trudem mógł go utrzymać. Nigdy jeszcze tego nie widział, słyszał jednak o przypadkach, kiedy skaner z powodu przeciążenia eksplodował w rękach strzelającego, a wszystko wokół w promieniu dwudziestu metrów zamieniło się w biały, drobny popiół. Jeszcze przed paroma minutami nie byłby skłonny uwierzyć takim opowieściom. Ale parę minut wcześniej nawet nie wiedział, jaką rzeczywiście niszczycielską siłę ma ta przeklęta technomagia.

Zamiast wsunąć za pas rozgrzaną broń i dzięki temu nabawić się kilku dodatkowych bąbli od oparzenia, Mardu przełożył kilkakrotnie skaner z jednej ręki do drugiej, co sprawiało wrażenie, jak gdyby bawił się nią w zamyśleniu. Doskonale wiedział jednak, co robi.

Dzięki temu broń nieco ostygła. Dopiero wówczas podszedł do drzwi, ostrożnie wyjrzał przez wystrzelony przed chwilą otwór i jeszcze ostrożniej obmacał jego brzegi palcami. Były zimne - nie tylko nie były gorące, lecz wręcz lodowate i zaczęły kruszyć się w trakcie obmacywania! Była to kolejna zagadka, nad którą Mardu nie miał czasu się teraz zastanawiać. To właśnie była technomagia.

Skoncentrował się chwilowo na wypełnieniu przez wybity otwór, po czym, będąc już po drugiej stronie, wyprostował się z ulgą i rozejrzał wokół. Czuł się nieswojo. Ciepły wiatr, pachnący ozonem i rozgrzаныmi kamieniami, uderzył go w twarz, a oczy znów zaczęły łzawić. Wytarł ciekącą z nich kleistą ciecz, chciał odruchowo wetknąć skaner za pas i nagle coś przyszło mu do głowy. Było to szaleństwem: on i dwaj Quorrlowie byli przypuszczalnie jedynymi żywymi istotami w promieniu jednej mili, ale zdał sobie sprawę, że broń jest mu teraz bardzo potrzebna.

Coś trzasnęło i załomotało - obaj Quorrlowie zauważyli, że otwór jest znacznie za mały dla ich szerokich ramion, zaczęli więc rozprawiać się z przeszkodą przy pomocy pięści.

Mardu przezornie cofnął się o krok i pogratulował sobie w następnej sekundzie rozwagi, kiedy to, co jeszcze zostało z drzwi, przeleciało obok niego z głośnym hukiem. Honorowo zmusił się, aby stawić czoła temu, co zobaczył.

Tam, gdzie jeszcze niedawno rozciągał się labirynt bud, namiotów, domów oraz wielu innych mniej lub bardziej osobliwych budowli, teraz zobaczyć można było księżycowy krajobraz. Po prostu nie było tam absolutnie nic. Na przestrzeni jednej mili ziemia wyglądała tak, jak gdyby ją ktoś zamiótł do czysta. Tu i ówdzie wznosiły się niewielkie, przedziwnie zaokrąglone wzgórza, gdzie widocznie znajdowały się przedtem jakieś masywne przeszkody, które w efekcie wysokiej temperatury uległy stopieniu i zastygły w zupełnie innej formie. Mardu pomyślał z przerażeniem o Quorrlu bez czaszki, który został dosłownie upieczony na ścianie bunkra i znowu pogratulował sobie w duchu, tym razem zdolności wczesnego reagowania, co pozwoliło mu wynieść głowę z opresji już kilka razy - dziś nawet w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Czas jednak pędził nieubłaganie. Mardu nie mógł pozwolić sobie na rozważania o tym, ile

jeszcze ofiar pochłonał piekielny wybuch.

Wszystko jedno, czy były to trzy tysiące, trzydzieści tysięcy, czy trzysta tysięcy - rozmiar tej katastrofy był rzeczywiście potężny, ale liczenie ofiar nie należało w końcu do jego zadań.

Ruszyli w milczeniu. Tu i ówdzie ziemia trzeszczała pod ich stopami, jak gdyby była pokryta cienką warstwą szkła, a w niektórych miejscach ciągle jeszcze było bardzo gorąco. Niektóre obszary musieli po prostu obchodzić dookoła, znacznie nadkładając przy tym drogi. Dotarcie do pierwszych ruin zajęło im pół godziny; wydobywał się z nich gęsty dym i panował tam niemiłosierny zaduch. Mardu oszczędził sobie trudu szukania tych, którzy mogli przeżyć, ale nie za bardzo udawało mu się uniknąć refleksji na temat liczby ofiar potężnej eksplozji. Tysiące, z pewnością ich liczba wynosiła wiele tysięcy. Obszar zniszczeń zajmował półokrąg o średnicy pół mili otaczający punkt, gdzie zdeponowali artefakt technomagii - już sama ta operacja kosztowała życie setek tysięcy istot. Wielu mieszkańców Oblężenia nie chciało dobrowolnie opuścić swoich domostw.

Przesiedlenia, skomplikowane i niepozbawione przemocy, musiały być przeprowadzane w tajemnicy przed mieszkańcami Czarnej Wieży — ci nie mieli prawa niczego zauważyć lub choćby nabrać podejrzeń.

Mardu od dawna uważał te środki zaradcze za przesadzone.

Technomagia była potężna - dowód tego wznosił się w górę na wysokość pięć i pół mili tuż za jego plecami - ale artefakt, który zdeponowali u stóp niewidzialnej ściany, był niewiele większy, niż rozbita czaszka Quorrla.

Ale co do przypuszczeń na temat wyglądu dalszej okolicy, mylili się obaj. Pałaca śmierć nie zatrzymała się wbrew ich przewidywaniom na pierwszych ruinach. Tam, gdzie przedtem były osiedla namiotów, drewnianych budowli, a także ogrody i tereny zielone, a gdzie potem szalał orkan pustoszącego ognia, Mardu widział teraz puste ulice, stopione fasady, rozległe, pokryte żużlem place i wypalone, czarne aleje. Pomyślał z przerażeniem, że może dopiero po przejściu kolejnej mili będą mogli rozglądać się za tymi, którzy przeżyli - o ile w ogóle ktoś przeżył to piekło.

Ręka pokryta łuskami dotknęła jego ramienia. Mardu odwrócił się i popatrzył w górę, na maleńki punkcik, który wskazywała ręka Quorrla - wysoko, na firmamencie widać było coś czarnego, co z tej odległości nie wydawało się większe niż pyłek kurzu, a zwracało uwagę tylko dlatego, że było nieruchome. Mardu daremnie próbował dostrzec jakieś szczegóły. Skinął głową, dając do zrozumienia Quorrlowi, że docenia jego czujność, po czym ruszyli dalej.

Zrobiło się cieplej, kiedy znaleźli się na jednej z licznych, szerokich szos. Ściany stopniowo oddawały nagromadzone ciepło, grunt pod ich stopami znów trzeszczał głośno. Ulica wydała się Mardu znacznie szersza od tych, po których kiedykolwiek dane mu było się poruszać i było to w pewnym sensie słuszne. W rzeczywistości nie była wcale szersza, lecz to, czego teraz na niej brakowało, to gęszcz zadaszeń i wszelkiego rodzaju drewnianych budowli, szybko montowanych budek, namiotów, stalowych konstrukcji obciążonych płótnem - wszystko to niegdyś znajdowało się właśnie tutaj, a przebrnięcie przez ów gęszcz nawet piechotą stanowiło karkołomne wyzwanie. Teraz było tu zupełnie pusto, nie pozostało dosłownie nic.

Słupy ognia cofnęły czas i ulica wyglądała tak, jak setki lat wcześniej, przed wieloma pokoleniami. Może nawet nigdy nikt nie widział jej w takiej postaci.

Mardu stanął po kilkudziesięciu krokach, zatrzymał gestem obu Quorrlów i z bijącym sercem podszedł do jednej z ruin.

Nie wiedział właściwie, czego mógł się spodziewać - przypuszczalnie niczego. I właśnie to zobaczył. Okna i drzwi zniknęły wraz z framugami (o ile wykonane były z tworzywa sztucznego bądź drewna), było gorąco jak w piecu. Wszelkie wyposażenie mieszkań złało się teraz w cienką warstwę pokrywającą równomiernie ściany, podłogi i sufit wielkiego pomieszczenia. Warstwa ta z pewnością zawierała także resztki organiczne, które pozostały z mieszkańców. Mardu przez chwilę zastanawiał się, czy warto iść dalej i przeszukiwać kolejne pomieszczenia, wydało mu się to jednak zbyt niebezpieczne.

To, że dom jeszcze stał, wcale nie znaczyło, że tak będzie w następnej minucie - konstrukcja budowli była mocno osłabiona w efekcie działania wysokiej temperatury i fali uderzeniowej.

Mardu cały czas walczył z narastającym poczuciem, że znajduje się w ogromnym grobie.

Kiedy znalazł się na ulicy, spojrzął najpierw na niebo, szukając widzianego tam przedtem czarnego punktu. Nie znalazł go.

Znów poczuł swędzenie na twarzy. Bezwiednie dotknął twarzy lewą ręką (w prawej ciągle trzymał skaner). Poczuł znów mięsień pod spaloną skórą, z którego sączyła się wilgoć i równie bezwiednie zaczął odrywać skórę, choć sprawiało mu to ból. Nie było to zbyt przyjemne doznanie, ale ten, fizyczny, ból pomagał mu w osobliwy sposób uporać się z uczuciem innego, dużo dziwniejszego bólu, który, jak mu się zdawało, ogarniał go ze wszystkich możliwych stron i wręcz uniemożliwiał oddychanie. Weszli do miasta ludzi umarłych - i podobnie jak umarły w żyjącym mieście, byli tu zupełnie nie na miejscu, w jakiś sposób naruszali porządek tego terytorium.

Mardu poszedł kilka kroków do przodu i wyprzedził Quorrla, po czym zatrzymał się i przez kilka chwil walczył z nagłym, bardzo silnym atakiem paniki, zanim przyznał się przed samym sobą, że stracił poczucie kierunku i właściwie nie wiedział już, gdzie się znajdowali, ani w jakim kierunku mają się udać. Ale właściwie to nie miało znaczenia. Każdy kierunek był dobry, jeśli tylko pozwoli opuścić jemu i jego towarzyszom to pole grobów o wielkości dzielnicy średniego miasta.

Ruszył do przodu i zrobił niemal dziesięć kroków, kiedy usłyszał buczenie i towarzyszące mu pełne niepokoju paplanie Quorrlów

Obok niego przemknął zniekształcony cień, potem wszedł w ostry zakręt i zatrzymał się może dwadzieścia metrów przed nim na spalonej nawierzchni drogi. Był to cień olbrzymiej, ośmiometrowej ważki.

I wówczas generał poczuł wściekłość. Bez namysłu unióś trzymany w ręku skaner i przycisnął, nawet nie celując. Mimo to trafił.

Heliopter stanął natychmiast w trzeszczącym ogniu, przewrócił się na bok i zaczął w panice bić skrzydłami. Unióś się przy tym w górę na wysokość pięciu lub sześciu metrów i dystans między nim a Mardu i Quorrlami zwiększył się co najmniej dwa razy, zanim płomień stopił jego delikatne skrzydła. Rozległo się przenikliwe wycie, właściwie bardziej mechaniczny dźwięk urządzenia rozrywanego na części. Heliopterowi jakoś udało się bez skrzydeł wznieść ostatni raz w powietrze. Spowity w płomień, które nabierały stopniowo białego koloru, wrzeszczał i zwijał się z bólu, a Mardu mimo znacznej odległości doskonale odczuwał wysoką temperaturę. Coś ciemnego, co również płonęło, spadło z grzbietu olbrzymiego owada i toczyło się po ziemi jak kula ognia. Był to przypuszczalnie jeździec, który siedział na grzbiecie ważki. Heliopter, ciągle jeszcze unosząc się w powietrzu, uderzył o fasadę jakiejś ruiny, spadł na ziemię i zniknął w chmurze kurzu, płomieni i kamieni.

Ignorując przeraźliwe, histeryczne skrzeczenie, które ciągle jeszcze brzmiało w jego uszach, Mardu ruszył w kierunku ruiny, o którą rozbiła się ważka. Zdawał sobie sprawę, że podpisał właśnie wyrok śmierci na samego siebie. Zatrzymała go wysoka temperatura płomieni.

Gigantyczne stworzenie leżało pogruchotane, ale jego odnóża ciągle zginały się i prostowały. Ważka być może jeszcze żyła, albo wysoka temperatura stwarzała taką iluzję. Chityna topiła się i spływała syczącymi, czarnymi potokami lawy na ziemię. Nagle eksplodowała tylna część olbrzymiego tułowia ważki i wrzące, czarne mięso trysnęło w górę jak gejzer, zaś ostre odłamki i rozżarzone części mechaniczne wystrzeliły w górę, aż Mardu cofnął się instynktownie o kilka kroków.

Nie zdawał sobie w pierwszej chwili sprawy ze skutków swego działania, jak również z tego, że skaner może mieć tak potworną, niszczycielską siłę. Był martwy, martwi byli obaj towarzyszący mu Quorrlowie, także Craiden i przypuszczalnie tysiące innych, ale to go w tej chwili zupełnie nie interesowało. Niech władcy tej przeklętej w imię Gai Czarnej Wieży biorą okrutny odwet i zabiją jeszcze wiele tysięcy niewinnych istot, w tym momencie Mardu nie czuł nic oprócz głębokiego, pełnego gniewu zadowolenia. Zabił jedną z tych przeklętych bestii i to było wszystko, co się liczyło, przynajmniej w tej chwili.

Na nieszczęście nie trwała ona zbyt długo.

Jeden z Quorrlów wydał ostrzegawczy gwizd i Mardu zdążył się odwrócić na tyle szybko, by

zobaczyć, że jego towarzysz dosłownie stanął w ogniu tak nagle, jak suchy kawałek drewna trafiony promieniem lasera. Było to wręcz niewiarygodne, ale płonący żywcem Quorrl stał po prostu sztywno w miejscu i patrzył na siebie zaskoczony, zanim przechylił się na bok i upadł.

Mardu stał przez chwilę nieruchomo, gapiąc się bezmyślnie na dwa helioptery, które właśnie nadleciały, biorąc ostry zakręt. W końcu górę wziął jego instynkt samozachowawczy i generał rzucił się do ucieczki.

Arion. - Po co komu to bitewne dudnienie? - pytała Arion, kiedy ostatni obraz przedstawiający bitwę zgasł i umierająca na wirtualnym ekranie armia zamieniła się w zbiór srebrnych iskier - jeden jedyny strzał z orbitalnego działa załatwiłby sprawę znacznie szybciej. I z pewnością nie byłoby to tak okrutne. - Psychologia, księżniczko - westchnął Plixx i posłał jej spojrzenie, które miało znaczyć: „tłumaczyłem ci to już setki razy”. - Quorrlowie nie są wrogami, na których robi wrażenie subtelna demonstracja przewagi siły. Powinniśmy byli tę śmieszoną armię przenieść na dno morza za pomocą transportu w czasie i zlikwidować przy zastosowaniu torpedy kwantowej, ale to i tak byłoby bezsensowne.

- Ta armia składała się z ponad dwudziestu tysięcy wojowników, o ile jestem dobrze poinformowana - powiedziała Arion.

- Z blisko trzydziestu tysięcy - sprostował myszczur. I wiesz o tym dokładnie tak jak i ja. - Ale Quorrlowie to Quorrlowie, księżniczko.

Muszą na własne oczy zobaczyć, że ich bracia wykrwawiają się, by w to uwierzyć. - Potrząsnął spiczastą głową, kiedy Arion chciała za protestować i rzucił szybkie i zniecierpliwione spojrzenie na drzwi, zanim dokończył: - Gdybyśmy zbyt szybko zlikwidowali tę armię, wówczas ich szamani zaczęliby coś paplać na temat magii, demo nów i mrocznych czarów, po czym wysłaliby następną armię. Potem jeszcze jedną, znów kolejną i tak dalej. I to - dodał już nieco innym tonem, wskazując ruchem głowy miejsce, gdzie przedtem znajdował się wirtualny ekran - był ostatni wielki atak Quorrlów na Ścianę. Od tamtego czasu nie doszło już więcej do poważnej próby pokonania nas. Owe trzydzieści tysięcy wojowników uratowały życie miliona innych. Może nawet więcej.

Ten rachunek pomyślała Arion, liczy tyle lat co cały świat, a przynajmniej sama historia ludzkości - i nigdy się nie zgadzał, a już zwłaszcza w tym specyficznym przypadku.

- Napastnikami byli nie tylko Quorrlowie - zwróciła uwagę.

- Ogólnie rzecz biorąc jedna trzecia tych oddziałów składała się z Quorrlów, księżniczko - zgodził się z nią myszczur. - Ale to oni stanowią wśród mieszkańców Oblężenia kastę wojowników, przynajmniej większość. I jakoś... jakoś wszyscy są tam Quorrlami, tak uważam.

- Craiden nie jest Quorrlem - zaprotestowała Arion, przechyliła przy tym głowę na bok i dodała ironicznym tonem: - Nieprawdaż?

Plixx nie odpowiedział, zamiast tego znów popatrzył na drzwi, tym razem z wyraźną niecierpliwością.

- Tak, wiem - westchnęła Arion, która to zauważyła. - Już czas.

Plixx skinął głową i dodał: - Nie chciałbym was naciskać ani poganiać, Wasza Wysokość.

- Ale... protokół... tak, wiem... - westchnęła znów Arion, spojrzała krótko na czarne, niczym nieozdobione drzwi z acheronu, po czym skrzywiła twarz z niesmakiem, kiedy pomyślała o tym, co czekało ją zaraz za nimi. No, może nie zaraz za nimi. Ale dostatecznie blisko, jak na jej gust.

- Co właściwie wykazały twoje badania? - spytała, aby zyskać jeszcze choć trochę czasu. Zupełnie nie miała ochoty na tę przeklętą ceremonię.

- Nikt nie ma na to ochoty, księżniczko. Ale niektóre rzeczy muszą być zrobione. Wasza matka musiała to znieść ponad osiemdziesiąt razy.

Ale ja nie jestem moją matką!

-Zgadza się, księżniczko.

- Badania? - Plixx nie dosłyszał wszystkiego z bezgłośnie pro wadzonych rozmów, próbował więc przynajmniej nie wyjść na głupiego.

Arion popatrzyła na niego z rezygnacją.

- Twój wyjątkowy przyjaciel, Craiden, odpala sobie bombę po wodującą zagładę całego świata, tymczasem ja twierdzę, że w ogóle nie wolno było mu jej mieć. A zaledwie dziesięć minut później znika cała rada koronna, zaś Duras pozwala, aby po raz pierwszy od mniej więcej dziesięciu tysięcy lat umknęła mu okazja bycia kundlem, dyszącym za moimi plecami na każdym kroku i nawet ty znikasz sobie na dobre pół godziny... Nie opowiadaj mi więc, że ten protokół jest po to, aby nikt nie popełnił jakiegoś niewybaczalnego faux pas albo zaczął jeść niewłaściwym sztucem!

- Nie jestem zupełnie pewien, czy Craiden rzeczywiście je nożem i widelcem... - zaczął Plixx, po czym zauważył odpowiednio wcześniej błysk w oczach Arion i zdążył się odwrócić. - Próbowaliśmy ustalić pochodzenie broni, którą zastosował, to prawda.

- Bez wątpienia odnieśliście tu sukces.

- Obawiam się, że nie - odparł Plixx i podreptał do drzwi, które rozsunęły się przed nim z szelestem. Ujrzał przed sobą wysoki korytarz o czarnych ścianach, na których w żelaznych uchwytach umocowane były płonące pochodnie. Po obu stronach drzwi czekali na nich strażnicy, mimo to byli niemal niewidoczni, na co zaskoczona Arion zwróciła uwagę i jak zwykle lekko zmarszczyła czoło. Nigdy tak naprawdę nie mogła pojąć, jak oni to robili. Każdy z nich miał dobre dwa i pół metra wzrostu, ważył niemal sześćset funtów i potrafił dosłownie złamać Quorrla na pół. I to jedną ręką i bez zbytniego wysiłku! A mimo to strażnikom udawało się zawsze być niemal niewidzialnymi.

Arion ruszyła z niechęcią za myszczurem. Jeśli Plixx zdecydował się coś zrobić, to wszelki opór Arion był i tak bezcelowy.

A jaki sens - zastanawiała się podążając za nim - miało właściwie to, że była księżniczką R'Achernona, spadkobierczynią Gwiezdnej Rzeszy Ludzkości i w ogóle prawdopodobnie najpotężniejszą kobietą we wszechświecie, jeśli musiała pozwalać sobie na to, aby stale komenderowała nią jedna... mysz? -Wyjaśnię wam to później, księżniczko-powiedział Plixx, przyspieszając tak bardzo kroku, że Arion nie była już w stanie iść spokojnie obok niego.

- Ustalenie, skąd pochodzi ta broń, nie powinno być aż takim problemem. - Arion wróciła do właściwego tematu. - R'Achernon wie wszystko.

- Jeśli już chcemy być precyzyjni, to pochodzenie tej broni zostało wyjaśnione. Niejasne jest jedynie, jak Craiden mógł wejść w jej posiadanie. Zwłaszcza na tej planecie.

Tym razem Plixx usłyszał odpowiedź R'Achernona, bo uzupełnił ją natychmiast bez wezwania.

- Broń o takim potencjale niszczenia nigdy nie została sprowadzona na Ziemię. Nasi przodkowie może byli pod pewnymi względami dziwakami, ale nie byli samobójcami. Nie ścierpieliby tutaj broni - mordercy planety.

- A skąd ją wziął Craiden?

- To jest właśnie pytanie, nad którym łamiemy sobie głowy, księżniczko - odpowiedział Plixx - ale nie ma sprawy, dojdziemy jeszcze do tego.

- W końcu niewiele może być tu broni tego rodzaju - wysunęła przypuszczenie Arion.

Plixx rzucił jej zirytowane spojrzenie, wykonał zapraszający gest, po czym skoczył za nią wprost do wyłożonego złotem powietrznego szybu, który prowadził do sali tronowej. Westchnął.

- Nawet R'Achernon nie zna dokładnych danych, ale przypuszczam, że wasi przodkowie w przeciągu swojej historii skonstruowali więcej broni masowego rażenia niż jest dziś ludzi na tej planecie.

Jedna sztuka może się więc łatwo zawieruszyć.

- Ale dlaczego mieliby to robić?

- Choć nie chciałbym księżniczko, abyś dopatrywała się w moich słowach choćby tylko cienia dyskryminacji, to powiem jednak, że to są twoi przodkowie, nie nasi. - Poczuję się urażona, gdybyś mi powiedział, że pochodzę od myszy - rzekła Arion. - Czyż nie macie w zwyczaju pożerania własnego potomstwa?

Plixx spoważniał.

- Trzecia Gwiezdna Rzesza Ludzkości różniła się wprawdzie pod pewnymi względami od obu poprzednich, ale jedno było w nich identyczne: ludzie mają skłonność do paranoi. Odkąd pierwszy człowiek Cro-Magnon podniósł wzrok do nieba i zadał sobie pytanie, czy te migocące punkty tam w górze są czymś więcej niż tylko dziurami w ciemności, wy dopatrujecie się wroga w każdym z tych punktów.

W okresie rozkwitu Trzeciej Gwiezdnej Rzeszy ludzkie imperium miało już nawiązany kontakt z więcej niż pięciuset gatunkami żyjącymi w kosmosie, spośród których większość była nastawiona do ludzi przyjaźnie. Przynajmniej bardziej przyjaźnie niż niekiedy sami ludzie do siebie. Homo sapiens jest bardzo wojowniczym gatunkiem.

- Co masz na myśli? - spytała Arion.

-Większość żyjących istot udowodniła, że zasługują w pełni na określenie „inteligentny” dlatego, że wykonały one wielki krok w kosmos nie mordując się wzajemnie - stwierdził Plixx. - Pojęły one względnie wcześnie, że wojna to przede wszystkim okropne marnotrawstwo.

-Jak na przykład Verdandi? - dopytywała się Arion, co Plixx zgodnie z oczekiwaniem zignorował.

- Wasi przodkowie, księżniczko, dopatrywali się pułapki w każdej wyciągniętej w ich stronę ręce, na każdej niezbadanej gwiazdzie spodziewali się istnienia krwiożerczej cywilizacji, a w każdym uśmiechu dostrzegali zaplanowaną zdradę, jeśli mógłbym wyrazić się... nieco lirycznie.

- I dlatego skonstruowali broń taką jak morderca planety?

- Przywódca klanu Craiden z pewnością nie wiedział, jakie jest działanie tej broni.

- Dlaczego tak sądzisz? - dopytywała się Arion.

- On dąży do władzy absolutnej. Chce zniszczyć R'Achernona i zabić wszystkich jego mieszkańców, aby wespół ze swoim ludem objąć panowanie nad światem i zostać jego władcą. I w tym celu chce opanować tę planetę, nie zaś po to, aby ją zniszczyć.

To zabrzmiało przekonująco - i jednocześnie całkowicie fałszywie. Arion nie potrafiła uzasadnić swojego przekonania (była pewna, że to przekonanie, a nie przecucie), ale wiedziała, że zarówno Plixx, jak i R'Achernon mylili się całkowicie co do Craidena.

- Podsumowując, niczego właściwie nie ustaliliście - stwierdziła z przekąsem - ale z pewnością to nadrobicie.

Plixx chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go bezgłośnie R'Achernon.

- Przypuszczalnie nie.

-Nie?

- Dysponuję wszystkimi informacjami, które istnieją na tej planecie i w połączonej z nią sieci orbitalnej. Albo natychmiast znam odpowiedź na każde zadane pytanie, albo nie znam jej w ogóle.

- A więc w tym przypadku nie znasz jej w ogóle? - spytała Arion.

Była nieco zmieszana.

- Na niektóre pytania nie da się udzielić odpowiedzi.

- Jak na przykład na to, czy jest jeszcze więcej takich petard? - drążyła dalej Arion.

Plixx spojrzał na nią i rzekł: - Odpowiednie badania zostały wdrożone, ale one... jak to powiedzieć... okazały się bardzo trudne.

- Badania? - powtórzyła Arion. Upłynęła zaledwie chwila, ale uderzyła ją pewna sprzeczność w tej myśli.

-Jak to badania? Jeżeli R'Achernon wie wszystko, to po co przeprowadzać badania? Od Plixxa nie otrzymała odpowiedzi, wsłuchiwała się więc znów w samą siebie. Jedyną zaś odpowiedzią wieży było obrażone milczenie.

Stopniowo ogarniała ją złość. Fakt, że R'Achernon nie był wszytkowiedzący, a już na pewno niewszzechmocny, rozumiała już jako dziecko, bez względu na to, co usiłowano jej wmówić (a w czym przodował Plixx, który nie przepuszczał żadnej okazji, aby wyśmiewać R'Achernona. Robił to jednak niczym dziecko, które obmawia za plecami swojego potężnego ojca, a tak naprawdę darzy go ogromnym respektem). Ale tu... chodziło o coś innego. Zarówno Plixx, jak i R'Achernon

coś przed nią ukrywali, żeby nie powiedzieć: okłamywali ją. Co im nagle przyszło do głowy? Była przecież panią R'Achernona, świata i w ogóle całego wszechświata (lub przynajmniej pokaźnej jego części) - a oni mieli czelność po prostu deptać jej życzenia?!

- To nie tak, księżniczko - westchnął Plixx, który oczywiście znów odczytał jej myśli - obawiam się, że sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Wyjaśnię wam wszystko, ale zajmie to trochę czasu. A w tej chwili niestety nie mamy go zbyt wiele.

- A więc zatrzymaj ten czas, aby nie uciekał! - zagrzmiała Arion - ponoć możesz to zrobić!

Plixx westchnął i zabrzmiało to szczerze po raz pierwszy, od kiedy zaczęli tę rozmowę. Wąsy na jego brodzie zwiślały smutno, a w jego czarnych oczach przypominających guziki Arion dostrzegła taki wyraz, który zadawał kłam temu groźnemu wizerunkowi myszczura, jaki mieli ci wszyscy, którzy go znali.

- Przypisuje mi się wiele zdolności, księżniczko. Większość z nich rzeczywiście posiadam. Ale są rzeczy, których nawet ja nie jestem w stanie zrobić. Czas jest prawdopodobnie jedyną stałą, jaka istnieje we wszechświecie. I jedynym wrogiem, którego rzeczywiście musi my się obawiać, a przez którego ostatecznie i tak zostaniemy pokonani.

Wypowiedział te słowa z tak wielką powagą, że Arion poczuła dreszcz. Przez chwilę sądziła, że dane jest jej poczuć coś w rodzaju tchnienia wieczności, coś, co było nieskończenie wieczne, prastare, a co przenikało ją do głębi jej duszy. Poczuła się nagle mała i zupełnie nieważna - mniej ważna, niż pyłek kurzu w całym wszechświecie składającym się z próżni, gdzie jej działania nie odgrywały najmniejszej roli. Nie miało żadnego znaczenia, czy spędzi jedną godzinę swojego nic nieznaczącego życia z jakimś równie mało znaczącym wodzem barbarzyńców, panującym nad jakimś mającym jeszcze mniejsze znaczenie miastem na równie mało ważnej planecie i nad kilkoma milionami wojowników i który...

Arion zamrugnęła, zamknęła lewe oko i błyskawicznie chwyciła myszczura za ucho. Nie tylko silnie za nie pociągnęła, lecz także jednocześnie porządnie je wykręciła.

- Zostaw to! - krzyknęła.

- laaaahh! - zaskrzeczał myszczur skacząc na przemian na lewej i prawej nodze i próbował się uwolnić, przez co tylko pogorszył swoje położenie - to boli!

- I ma boleć! - odparła rozgniewana Arion. - Natychmiast przestań mną manipulować!

I tak nie było już niczego, co mógłby „przestać robić”. Tchnienie nieskończoności znikło w tej samej chwili, kiedy Arion chwyciła go za ucho i wykręciła je. Ciągle je wykręcała, coraz silniej, wreszcie puściła i popatrzyła na Plixxa z groźbą.

- Tylko spróbuj jeszcze raz! - ostrzegła go. Czyżby jej się wydawało, czy też czuła coś w rodzaju dobrodusznego śmiechu gdzieś w głębi swoich myśli?

- A dlaczego nie? - Plixx przezornie zwiększył dystans między nimi o dobre dwa kroki, przycisnął łapę do swego wyjątkowo źle potraktowanego ucha i zadął prowokacyjnie nos do góry.

- Zadziałało przecież, nie?

- Nie przesadzaj - ostrzegła go jeszcze raz Arion. Rozgniewała się naprawdę i nawet wierne spojrzenie Plixxa i jego wygląd, który nagle stał się niemal śliczny - nie były w stanie niczego zmienić.

Myszczur czuł wyraźnie, że został odrzucony, opuścił więc łapę, którą dotychczas trzymał na bolącym uchu, wyprostował się i zaczął wyglądać poważnie - dokładnie tak, jak się czuł.

- Wybaczcie, księżniczko - powiedział z szacunkiem. - Moja ingerencja była niestosowna i przepraszam za to. Ale to prawda i nic tego nie zmieni. Craiden - on jest zupełnie nieważny. Poświęć godzinę, aby protokołowi stało się zadość i będzie mógł zadowolony iść do domu, by opowiedzieć wszystkim swoim poddanym, że porządnie nas wystraszył i zostawił nas trzęsących się z trwogi. - Plixx zaśmiał się niemal ludzkim głosem. - Potem będziemy mieć spokój przez następne dwadzieścia lat. Uważam, że to dobry interes - dwie godziny za dwadzieścia lat.

Arion co prawda uważała, że niczego nie można było zarzucić jego słowom, przekornie spróbowała jednak je podważyć.

- Wyślij awatara - zażądała nieco markotnie. - Dziesięć razy bardziej nadaje się do ceremonii

niż ja. Po co ich w końcu mamy?

- Wiecie doskonale księżniczko, że to nie uchodzi - odparł poważnie Plixx.

Właściwie, dlaczego nie? Awatary Arion były jej perfekcyjnymi kopiami, aż do ostatniego atomu i myśli. Arion pamiętała doskonale, jak bardzo była oburzona, gdy jako dziecko przypadkowo dowiedziała się, że spędziła urlop z jednym z licznych awatarów swojej matki, a nie - jak się łudziła - z nią samą. Nie mówiąc już o wielu innych okazjach, kiedy to rozmawiała z kopią omega swojej matki.

Porzuciła zaraz tę myśl i zamiast raz jeszcze zaprzeczyć temu, co mówił Plixx, westchnęła z rezygnacją. Było już za późno, aby przedłużyć tę i tak bezowocną dyskusję, bo w międzyczasie dotarli do celu.

Ściana po ich prawej stronie rozchyliła się bezszelestnie i wyszli z powietrznego szybu wprost na korytarz, pozornie niemający końca.

Jego ściany nie były pokryte złotem. Były zupełnie czarne, a jedynie płonące pochodnie rozświetlały korytarz migotliwym, czerwonym światłem, tworząc jednocześnie plątaninę chwiejących się cieni.

Arion nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego właściwie wewnątrz R'Achernona wygląda tak, a nie inaczej. Pochodnie były najprawdziwsze i wykonano je z autentycznego drewna, które paliło się, o czym przekonała się w dzieciństwie w bardzo bolesny sposób.

Była na tyle głupia, aby wspiąć się na palce i wsadzić rękę w płomień. A jednocześnie były to ciągle te same pochodnie, które płonęły tu nieprzerwanie od setek tysięcy lat. I przecież była to tylko jedna z wielu pozornie niemożliwych rzeczy, do których zdolny był R'Achernon, podobnie jak fakt, że ściany wykonane były z pochłaniającego światło, niezniszczalnego acheronu, najbardziej tajemniczej substancji wszechświata.

Wejść do bazy danych R'Achernona i znaleźć odpowiedź na to pytanie - Arion wiedziała, że zajęłoby to mniej czasu, niż sformułowanie takiej myśli w jej świadomości, ale wydało jej się to niewarte trudu. Jej mózg był wyposażony tak samo, jak i pozostałych mieszkańców R'Achernona - może nawet lepiej - ale Arion już dawno pojęła, że obciążanie sobie pamięci niepotrzebną wiedzą miało niewiele sensu.

- To daje poczucie trwałości, księżniczko.

Potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, że usłyszała znów głos R'Achernona, a zatem wieża z własnej inicjatywy odpowiedziała na jej pytanie, którego ona właściwie nawet do końca nie sformułowała. Było to naprawdę niezwykle. Ale widocznie ten właśnie dzień był dniem, w którym działy się rzeczy niezwykle.

- Ludzie są istotami, które potrzebują wartości trwałych. Mogę stworzyć każdy świat, który pojawi się w waszych myślach, ale na dłuższą metę nie będziecie w stanie znieść tego, że nigdy nie będzie wam dane oglądać rzeczy, do których się przyzwyczailiście - nawet jeśli sądzicie, że wam się nie podobały.

Jeszcze więcej niepotrzebnej wiedzy, którą bezsensownie obciążę sobie pamięć? Na to R'Achernon nie odpowiedział wcale... Ten fakt już sam w sobie był taką odpowiedzią, co do której Arion nie była zupełnie pewna, czy ona jej się podoba.

Plixx podreptał kilka kroków do przodu, nacisnął ręką wykonaną z kutego żelaza klamkę (której przed chwilą zdaniem Arion w ogóle nie było w tym miejscu - to tyle na temat trwałości) po czym kiwnął na Arion drugą ręką, by weszła za nim. Pomieszczenie, jakie znajdowało się za tymi drzwiami było niewielkie, oświetlone już niemigoczącym blaskiem pochodni, lecz matowym światłem, pochodzącym, jak się wydawało, z samego powietrza. Nie było tu żadnego wyposażenia i Arion rzuciła myszczurowi spojrzenie, o którym sama nie wiedziała, czy jest pytające, czy też nieco zniecierpliwione. Ale Plixx robił wszystko, aby tego nie zauważyć.

-I co? - spytała gniewnie.

- Powinniście się przebrać, księżniczko - odpowiedział Plixx. Jego głos zabrzmiał nieco nieswojo.

- Mammy jeszcze prawie godzinę do rozpoczęcia przyjęcia - przy pomniała mu łagodnie Arion.

-Właśnie - odparł myszczur - to nie jest zbyt wiele czasu, a zapewne chcecie wystąpić przed



naszym wielce szanownym gościem w odpowiedniej oprawie.

Arion popatrzyła na niego nic nie rozumiejąc, po czym wzruszyła ramionami i w jej myślach pojawił się bezgłówny rozkaz - przeszukać bazę danych R'Achernona, sprawdzić stan jej kreacji, sprowadzić odpowiednią, przegrupować - czyli zrobić to, co myszczurowi wydawało się takie pilne.

Ale - nie stało się dosłownie nic. Trwali w odrętwieniu jakąś dłuższą chwilę, a Arion zauważyła, że coś takiego miało miejsce pierwszy raz. Bardziej zaskoczona niż przerażona spojrzała na siebie i zobaczyła to, co zawsze: jej ulubione ubranie, składające się z obcisłych czarnych spodni, pasujących do nich wysokich butów i także czarnej koszulki-top.

- Hej! - zawołała.

Efekt drugiego rozkazu był taki sam - mianowicie żaden - ale Plixx chrząknął kilkakrotnie, co zabrzmiało nieco sztucznie i położył łapę na swoje lewe ucho.

- Co się dzieje? - spytała Arion podejrzliwie.

- No tak... - myszczur nie tylko próbował uniknąć jej spojrzenia, ale w dodatku cofnął się przezornie o dwa kroki, zwiększając nieco odległość między nią a sobą.

- Eee... To znaczy... Muszę wam coś powiedzieć, księżniczko.

- Co takiego? - spytała Arion, wydając w myślach po raz trzeci rozkaz pokrywającym jej ciało od chwili narodzin nanitom, a mianowicie rozkaz przeformowania się na coś, co najbardziej odpowiadało wyobrażeniom myszczura w kwestii stosowne; sukni. Rozkaz ten znów został wydany daremnie.

- No, jest tu... - Plixx unikał jej spojrzenia w demonstracyjny sposób, pochylając nisko głowę, po czym zaczął znów: - Wiecie, jak stary jest ten ceremoniał, prawda?

- Nie - odparła Arion, co odpowiadało prawdzie, po czym do dała: - Sądzę, że bardzo stary.

- A nawet o wiele, wiele starszy - uzupełnił gorliwie myszczur.

-I w związku z tym ceremoniałem jest kilka rytuałów... hm, no, możecie uważać je za przestarzałe, ale ja użyłbym słowa „tradycyjne”. Rytuały, które są z tym po prostu nieodłącznie związane...

- Na przykład? - pytała Arion nieufnie. Przechyliła głowę na bok i zmierzyła myszczura zupełnie nieznanym mu, pełnym niedowierzania spojrzeniem. Plixx przezornie przykrył ucho łapą, ale miał przecież jeszcze jedno; nie mówiąc o jeszcze jednej części ciała, która dała się znakomicie ciągnąć i rwać.

- No cóż, protokół mówi, że musicie wystąpić przed panem Oblężenia w tej samej sukni, w której wasza prababka wtedy w czasie zawieszenia broni pertraktowała z przywódcą klanu.

- Sukni? - powtórzyła Arion tonem (nie do końca udawanym), jak gdyby nie wiedziała, co ma zrobić z tym słowem.

- Tak jest - odpowiedział Plixx. Jednocześnie wskazał ręką na coś znajdującego się za nią, a kiedy Arion odwróciła głowę, jej oczom ukazało się prawdziwe monstrum: szafa, o której wiedziała, że nie jest wbudowanym w ścianę wytworem genialnej myśli R'Achernona, lecz prawdziwym meblem. Wiedziała także, że szafa ta stała tam od niepamiętnych czasów. Mebel był znacznie wyższy niż ona sama, miał przynajmniej trzy metry szerokości i czworo drzwi z prawdziwego drewna, które robiły ogromne wrażenie, stanowiły bowiem arcydzieła sztuki snycerskiej. Szafa wydawała się uosabiać kawał historii.

Plixx dłuższą chwilę daremnie czekał, aż księżniczka coś powie, po czym drepcząc wokół niej w pełnym respektu odstępnie (Arion poważnie zastanawiała się, czy ma wykorzystać okazję i przydeptać jego ogon, który ciągnął się za nim jak cienki, różowy sznurek), po czym zadała sobie sporo trudu, aby otworzyć jedno z wielkich drzwi szafy. Stare zawiasy zaskrzypiały tak żałośnie i głośno, że aż zabolowały ją uszy, ale kiedy zobaczyła owo... owo... monstrum, które czyhało na nią w szafie, wręcz poczuła, że jej źrenice rozszerzyły się w zdumieniu.

- Nie sądzisz, chyba że ja to na siebie założę! - wychrypiąta.

- Obawiam się, że tak.

Zignorowała głos R'Achernona słyszany w myślach, a wybuch gniewu skierowała z całą

świadomością właśnie na myszczura.

- Plixx!

Myszczur wskazał na monstrualną suknię z brokatu z jeszcze bardziej monstrualnym kołnierzem, a Arion przez dłuższą chwilę łamała sobie głowę, ile tysięcy lat temu ktoś na tej planecie ostatni raz przywdział taką suknię - o ile w ogóle coś takiego miało miejsce.

- Odtworzona według sukni z czasu przedatomowego tej planety.

Podobno była to szata koronna pewnej kobiety, która znana była jako królowa Anglii i...

- Zamknij dziób! R'Achernon umilkł posłusznie, a Arion spojrzała na myszczura z jeszcze większym gniewem.

- Na pewno tego nie włożę! - oświadczyła.

- Obawiam się, że nie macie wyboru, księżniczko - odparł Plixx głosem, w którym dopatrzyłaby się prawdziwego współczucia, gdyby była w nastroju, aby móc coś takiego poczuć.

- To należy do ceremoniału. Przywódca klanu Craiden mógłby odebrać oczywiste naruszenie protokołu jako świadomy afront.

- Nie założę tego! - obstawała przy swoim Arion. - Nawet nie wiem, jak się do tego zabrać!

Jeszcze nie zdążyła dokończyć tego zdania, kiedy nagle, jak spod ziemi, wyrosły koło niej trzy srebrne drony o suchych, pajęczych odnóżach. Jedna z nich podeszła jak na szrudłach do szafy, wyjęła bez trudu złotoczerwoną, monstrualną suknię (Arion przypuszczała, że waży ona chyba tonę), zaś liczące po trzy palce ręce pozostałych dron nagle zamieniły się w bogaty zbiór puzderek, tygielków, miseczek, puderniczek, nożyczek, szczotek i grzebieni. Całość wydała się Arion zbiorem średniowiecznych narzędzi tortur.

- Oczywiście otrzymacie pomoc, Wasza Wysokość - szczebiotał Plixx - w czasach, w których modne były takie suknie, ich zakładanie nie trwało nieraz całymi godzinami, nie mówiąc o odpowiednim wyszykowaniu się, ale dziś nie będziemy potrzebowali tyle czasu.

- Nie założę tego! - powtórzyła po raz trzeci.

Siekacze Plixxa błysnęły z wyraźną złośliwością.

- Potraktujcie to jako nowe, cenne doświadczenie, księżniczko - powiedział przyjaźnie. - Tych przecież nigdy nie jest dosyć.

- Jeśli wbiję sobie śrubę w rzepekę lewego kolana i będę wkręcać ją tak długo, aż wyjdzie pod kolaniem z drugiej strony, będzie to także nowe doświadczenie, jednak chętnie z niego zrezygnuję - odparła nieustępliwie, niby w zadumie patrząc to na prawe, to na lewe kolano Plixxa. - Dlaczego właściwie nie zmienimy tego głupiego protokołu?

Ja mogę to zrobić.

- Nie możecie.

- A jakże! - upierała się Arion i z trudem opanowała się, aby nie tupnąć przy tym nogą jak dziecko. Być może zrobiłaby tak, ale w tym momencie obie drony dopadły ją z obu stron i zaczęły pilnie pracować przy jej twarzy, włosach i rękach. Przerażona Arion nawet nie chciała wiedzieć, co one właściwie robią.

- Musiałeś oczywiście czekać do ostatniej chwili, żeby zaprezentować mi tę małą niespodziankę? - spytała Plixxa. - Prawdopodobnie po to, abym nie miała zbyt wiele czasu na to, żeby się bronić!

Jego siekacz znowu błysnął, tym razem jeszcze bardziej kpiąco, a Arion nabrała tchu, aby powiedzieć coś rzeczywiście nieprzyjemnego - ale zamiast tego przerażona opuściła wzrok, kiedy na całym ciele poczuła delikatne swędzenie. Nie zdobyła się już na żadną złośliwość, kiedy zobaczyła, że coś wprawiło suknię w ruch. Niewielkie fale przebiegały przez ubranie, które jeszcze miała na sobie - za chwilę zaczęło się ono z niej zsuwać i kiedy znalazło się u jej stóp, zamieniło się w ciemną kałużę.

- Co... - wymamrotała bezradnie. Jej ubranie - topi się? Coś ta kiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło i nie mogło się zdarzyć, bo nanity były przecież tak niezawodne i niezniszczalne jak sam R'Achernon.

Nie mogły sprawić zawodu!

- Protokół - oświadczył Plixx, który nawet nie zadawał sobie trudu, by ukryć złośliwość w swoim głosie. - Protokół zakazuje używania wszelkiego rodzaju technologii. Mistrz klanu Obłączenia i władczyni R'Achernona muszą stanąć twarzą w twarz tak, jak tego chce obyczaj.

Arion czekała z nieruchomą twarzą, aż wszystkie nanity ściekną powoli z jej ciała i znikną w podłodze, aby znów stać się częścią R'Achernona, który je urodził.

Dziwne uczucie, być nagą: z wyjątkiem niewielu okazji, kiedy to z czystej przyjemności kąpała się (i to też nie zawsze), nigdy nie ściągała swojego czarnego ubrania. Mogło ono przybrać dowolną formę i konsystencję - od obcisłego bikini począwszy, na skafandrze kosmicznym skończywszy. Mogła w nim dotrzeć aż do korony słonecznej nawet się nie spociwszy. Odzież spełniała też wszystkie zadania pielęgnacji ciała lepiej i dokładniej, niż kiedykolwiek przez całe stulecia robiły to dostępne środki higieny, gąbki, mydła i szczotki.

Ale to jeszcze nie było wszystko. Odczuwanie perfekcyjnie uregulowanej temperatury powietrza na nagiej skórze było nie tylko niezwykle, ale w jakiś nieoczekiwany sposób

napętniało księżniczkę lękiem. Arion tak długo nosiła naniity, że miała wrażenie, iż stały się one częścią jej samej i teraz wydawało jej się, że została pozbawiona swej drugiej skóry i w przerażający sposób podatna na wszelkie zranienia.

- Widzicie, wcale nie było tak źle - szyderczo wyszczerzył zęby Plixx - a drony załatwią całą resztę. Za kilka minut będziecie mieli najgorsze za sobą.

- Czy mógłbyś wyjść, proszę? - spytała sztywno Arion.

- Zaraz - odparł Plixx - najpierw muszę wam...

- Plixx! - przerwała mu Arion. -Ja jestem naga! Myszczur zmierzył ją długim spojrzeniem raz jeszcze od stóp do głów, jakby musiał się przekonać, czy to twierdzenie odpowiada prawdzie, po czym rzekł: - Tak, to prawda - i co?

- A to, że nie przystoi - mówiła Arion - gapić się na swoją królową, kiedy ona stoi naga!

Nie mówiąc już o tym, że było to dla niej mało komfortowe, chociaż nie wiedziała właściwie, dlaczego.

-Księżniczkę - poprawił Plixx. - Moją królową będziecie dopiero za trzy dni... I nie ma powodu, aby się wstydzić. W końcu jestem myszą.

- Plixx!!!

- Dobrze, już dobrze - szybko powiedział myszczur. Podniósł obie łapy w górę obronnym gestem, ale nie wykonał żadnego ruchu, aby opuścić pomieszczenie, odwrócił się tylko i patrzył dyskretnie w innym kierunku.

- Zostawię was samych, jeśli sobie tego życzyacie, ale jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę wam powiedzieć, zanim spotkacie się z mistrzem klanu Craidenem.

- Ach tak? I co to takiego?

Ale kiedy Plixx oznajmił jej, co to jest, Arion nie mogła powstrzymać okrzyku pełnego oburzenia.

- Nigdy! - powtórzyła zdyszczanym głosem.

- Obawiam się, że tak - westchnął myszczur.

- Nigdy! - powtórzyła - Nigdy! Gea. Gea wiedziała, że nie wchodzi w grę szybki obrót w miejscu i przyjęcie pozycji obronnej. Głos zabrzmiał z tak bliskiej odległości, że jej szanse przy obrocie były zbyt małe i zapewne szybko poczułaby w swoim ciele klingę noża, którego właściciel tylko czekał na jej ruch. Umyślnie odwróciła się więc przesadnie powoli, starając się mieć przy tym swobodną postawę. Była to słuszna reakcja, czego sobie za chwilę w duchu pogratulowała, gdy zobaczyła nóż na wysokości swojego żołądka, w odległości zaledwie dziesięciu centymetrów.

Twarz jego właściciela miała nienaruszoną szczękę, w dodatku pokryta była grubą warstwą brudu, w której tym intensywniej błyszczała para oczu o złośliwym wyrazie. W tym momencie Gea dostrzegła, gdzie jest drugi Quorrl: stał po drugiej stronie drzwi i gapił się na nią z takim wyrazem twarzy, który najwyżej u Quorrlów mógłby uchodzić za szyderczy uśmiech.

- No to spotykamy się znowu - zadrwił osobnik z nożem. Nie była to jego jedyna broń. Zza grubego sznura, którym był przewiązany, wystawała nabijana gwoździami pałka, a z jednego z wysokich butów sterczała rękojeść jeszcze jednego sztyletu, nieco mniejszego niż ten, który trzymał w dłoni. Żaden przeciwnik i żaden problem, pomyślała Gea. Gdyby tylko nie było tego Quorrla...

- Nic nie mówisz - kontynuował chłopak, kiedy Gea nic nie odpowiedziała (to rzeczywiście był chłopak, oceniła jego wiek nie na więcej niż piętnaście lub szesnaście lat, nie wydawał się też być w najlepszej kondycji fizycznej). - Szkoda. Ale ty i tak nie mówisz zbyt wiele, mam rację? Przedtem po prostu uciekałeś. To nie było zbyt uprzejme, wiesz?

Ale Gea milczała dalej. Nie zabiłaby tego chłopca - zbrodniarz czy nie, był na wpół dzieckiem - więc kilka złamań mogłoby wystarczyć, gdyby chciała go odpowiednio szybko wyłączyć z gry, żeby móc spokojnie rozprawić się z Quorrlem. Ten był wyższy od niej przynajmniej o dwie głowy, ważył na pewno dwa razy tyle co ona i wydawało się, że składa się wyłącznie z muskułów, łusek i pancerza - i małej garstki komórek mózgowych, których spokojnie mogła nie

brać pod uwagę. Ale to był Quorrl.

Nie-Quorrl z nożem w ręku prawdopodobnie źle rozumiał jej uporczywe milczenie, bo z jego twarzy zniknął ostatni ślad niepewności, a w jej miejsce pojawił się złośliwy uśmiech, umożliwiający obejrzenie jego niezbyt apetycznego uzębienia, które mimo młodego wieku nie było już całkiem kompletne.

- A więc masz pieniądze? - spytał wprost. - I nie chcesz podzielić się nimi ze swoimi przyjaciółmi? To niezbyt miłe.

- Ma je pod kurtką - odezwała się stara i dodała: - Schowała je pod kurtką, widziałam. Ale ja chcę moją część!

- Pod kurtką, ach tak - zadrwił znów chłopak. Gea czekała spokojnie, aż wyciągnie rękę, by ją przeszukać, co byłoby dobrą okazją, aby go rozbroić i zająć się jego kompanem o zielonkawej twarzy. Jednak chłopak zaskoczył ją.

Zamiast podejść bliżej, cofnął się o krok i wymachując prowokująco nożem, dał znak drugą ręką Quorrlowi. Kiedy i Gea spojrzała na niego, przez głowę przemknęło jej pytanie, czy to był dobry pomysł, aby tu przyjść. Bo zamiast jakiegoś morderczego instrumentu o wielu ostrzach, w ręku Quorrla pojawił się czarny, niewielki pierścień-toroid. Broń typu skaner? Quorrl z bronią typu skaner? - Teraz jesteś zaskoczona, co? - odezwał się znów chłopak. - Czegoś takiego się nie spodziewałaś, prawda? Ale widzę, że wiesz, co to jest. Nie jesteś stąd, co?

- Skąd ci to przychodzi do głowy? - odpowiedziała pytaniem Gea, głównie po to, żeby zyskać na czasie. Skaner nie był jeszcze włączony, co nieco poprawiło jej szanse - choć nie na długo. Wiedziała jednak, że analizator skanera potrzebował jednej czwartej sekundy, aby móc ocenić jej ciało, obliczyć wszystkie współczynniki i dopiero potem dać odpowiedni impuls, który błyskawicznie zamieni każdą molekułę wody komórek jej ciała w mały obłok pary. Oprócz tego zielonkawy osobnik mniej więcej w podobnym czasie włączy swoją broń. Szanse Gei nie były więc małe. Ale chyba nie obejdzie się bez zabijania, pomyślała z żalem.

- Znam takie jak ty - mówił dalej chłopak - nie jesteś pierwszą, która tu przychodzi, żeby się trochę rozejrzeć i przeżyć małą przygodę. Ale coś może się przy tym nie udać, wiesz?

- Nie jestem pierwszą, która co? - spytała.

- Pierwszą z tych bogatych - wyjaśnił. - Myślisz, że nie potrafimy was rozpoznać? - splunął z pogardą. - Mieszkacie w pięknych domach i drogich pałacach, a jak wam się nudzi i chcecie przeżyć małą przygodę, to przychodzicie tutaj i przyglądacie się wyrzutom społeczeństwa ze starego miasta, prawda? Nie tak jest?

- Przestań gadać, ty głupku - warknęła stara. - Przeszukaj ją i zabierz pieniądze! I oddaj mi moją część! Niech ci nie przyjdzie do głowy mnie oszukać!

- Spokojnie, babciu - odpowiedział chłopak - dostaniesz, co ci się należy.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę z nożem, uważając jednak przy tym, aby nie dostać się w tor lotu strzału (jeszcze niewłączonego) skanera.

- A więc masz pieniądze pod kurtką? - spytał Geę, uśmiechając się złośliwie. - No, to pokaż, co tam chowasz.

Znów skierował ostrze noża w jej stronę i Gea nie mogła opanować przerażenia, kiedy zrozumiała, że po raz drugi nie doceniła przeciwnika. Sztylet wyglądał tak, że wydawało się, że nie da się nim ukroić starego chleba, jednak ostrze bez trudu rozcięło jej kurtkę ze skóry wzmocnionej molekułami - zupełnie jak promień lasera przenikający masło. A poza tym chłopak zademonstrował jej, jak dobrze potrafi obchodzić się ze swoją bronią: monomolekularne ostrze przesunęło się tak blisko jej skóry, że Gea mogła je doskonale wyczuć, lecz nawet jej nie zadrasnęło.

Rozcięta kurtka rozchyliła się, a wówczas wysunęła się spod niej sakiewka z pieniędzmi, spadła na ziemię i w wyniku uderzenia pękła.

Z pół tuzina złotych dinarów potoczyło się po podłodze pod ich stopy. Ani Quorrl, ani jego brudny współtowarzysz nawet nie spojrzeli na monety.

Ostrze noża przesunęło się wyżej, w odległości mniejszej niż jeden milimetr od skóry Gei.

- Biegać tutaj z takimi pieniędzmi, to bardzo lekkomyślne z twojej strony, czarnowłosa -

powiedział chłopak. - Złoto kusi ludzi takich jak my, nie wiesz o tym? Potrafimy je wywąchać na odległość.

Czarnowłosa? Jej sięgające ramion włosy były w kolorze ciemno-błękitnym! Ten idiota był w dodatku daltonistą!

- Ludzi takich jak wy?

Musiąta zyskać trochę czasu. Quorrl ze skanerem to już był problem, ale Quorrl ze skanerem / zwariowany uliczny bandzior w typie „chciałbym chętnie” z molekularnym ostrzem noża to było troszkę za dużo, nawet dla Gei.

- Tak, ludzie tacy jak my - potwierdził chłopak. Nóż przesunął się dalej, znieruchomiał na chwilę przy jej pępku, wędrował dalej aż do łagodnego sklepienia mostka i wyżej.

- No, pokaż, co masz tam pod kurtką.

Gea nieznacznie oblizała językiem zaschnięte wargi i powoli podniosła rękę.

- Dlaczego... dlaczego nie weźmiesz po prostu pieniędzy i mnie nie zostawisz? - spytała umyślnie urywanym i nieco drżącym głosem.

- Ty... masz rację, wiesz? Ja... moja rodzina jest bogata i... chyba byłaby niezadowolona, gdyby coś mi się stało.

- Naprawdę? - zadrwił chłopak. - Byłaby niezadowolona?

- Z pewnością - potwierdziła Gea i cofnęła się nieznacznie, jak gdyby uciekając przed ostrzem. Jednocześnie zaczęła się obracać i dokładnie tak, jak się spodziewała, chłopak powtórzył jej ruch - także Quorrl z pewnym wahaniem przesunął się w bok, aby Gea była cały czas w polu rażenia skanera. Musiāta przyznać, że obaj byli rzeczywiście dobrzy w swoim „fachu”.

-Jeśli coś mi się stanie, to wyślą tutaj ludzi, a ci z pewnością was dopadną i zabiją.

- Ach, tak? Zabiją nas? Czyżby?

- Na pewno! - odpowiedziała pozornie niedbale Gea. Jeszcze ćwierć obrotu, a będzie miała za plecami Ścianę. Musiāta być ostrożna.

-Weź po prostu pieniądze i pozwól mi odejść.

- Odejść? - Czubek noża przesunął się powoli w górę, znieruchomiał na pół sekundy i przeciął w połowie jej biustonosz, nawet nie dotykając skóry. Gea nie dostarczyła chłopakowi satysfakcji odruchowego zasłonięcia odkrytych piersi. Jeszcze dwa kroki, oceniła.

- Odejść - powtórzyła spokojnie. - Mogłabym wam przynieść jutro jeszcze więcej pieniędzy. Pozwól mi odejść, a wrócę jutro i przy niosę ci dwa razy tyle. To nie problem. Moja rodzina naprawdę jest bogata.

Małolat gapił się bezczelnie na jej piersi w taki sposób, iż doszła do wniosku, że zabicie go będzie konieczne. Jeszcze jeden ostrożny krok i załatwione.

- Skąd ci przychodzi do głowy, że mnie interesują pieniądze?

- spytał.

Gea udała, że dopiero teraz dostrzegła jego pełne nieukrywanej żądzy spojrzenie.

- Prześpię się z tobą, jeśli chcesz.

- Naprawdę, zrobiłabyś to? - spytał z udawanym zdziwieniem.

- A jak myślisz, po co tu przyszłam? - odparła zaczepnie. - Tylko po to, żeby pozwolić się pobić i trochę pogrzebać w gównie?

Chłopak przez krótką chwilę wydawał się zastanawiać nad jej słowami, Gea zaś ostrożnie przeniosła ciężar ciała na prawą nogę, aby zakończyć obrót.

Ale ponownie nie doceniła przeciwnika. Choć nie uważała tego za możliwe, dostrzegła we wzroku młodzieńca lisią przebiegłość, mimo że wpatrywał się ze skupieniem w jej piersi, na tyle zasłonięte przez rozciętą kurtkę, aby ich widok był jeszcze bardziej podniecający Nagle potrząsnął głową.

- Eee... jego obleśny uśmiech stał się szyderczy. - Fajniej będzie, jak się zaczniesz bronić.

Pytanie, kto przed kim, pomyślała Gea, ostrożnie kończąc obrót i mając teraz Ścianę

dokładnie za plecami. Wątpiła, czy temu wstręciuchowi sprawi przyjemność to, co zaraz z nim zrobi. To możliwe, że on i jemu podobni byli tutaj, na starym mieście, u siebie w domu, ale już sam sposób, w jaki Quorrl trzymał skaner przekonał ją, że było wiele rzeczy, o których obaj nie mieli pojęcia.

- Ostatnia szansa - powiedziała spokojnie. - Pozwól mi odejść, a zjawię się jutro z jeszcze większą ilością pieniędzy. I kto wie - może będziemy mogli się wtedy zabawić.

I tu rzeczywiście nie kłamała. Może faktycznie wróciłaby, gdyby ten pozwolił jej teraz odejść. Bo czy to, co się stało, (może z wyjątkiem celującego w nią skanera) nie było właśnie tym, czego szukała?

Ale chłopak w ogóle nie zamierzał pozwolić jej odejść. Miał pecha.

- Wolę wziąć to, co już mam - oświadczył szyderczo, ale akurat wtedy zza jego pleców dobiegły jakieś hałasy i nagle rozległ się nie wyraźny, drżący z wściekłości głos: -Jeżeli ją tylko dotkniesz, oderwę ci łeb, Berkel! Ta mała należy do mnie!

Gea poczuła w tym momencie zimny dreszcz na plecach, a jej ręce zaczęły drżeć - powoli obróciła głowę i spojrzała w stronę drzwi.

Stara kobieta z twarzą Quorrla odsunęła się na bok, aby zrobić miejsce dla młodego człowieka o blond włosach i szerokich ramionach. Jego ogromna postać niemal całkowicie wypełniła niewielki otwór. Nie miał na sobie koszuli, pod opaloną skórą można było rozpoznać drgające przy każdym ruchu mięśnie, a jego twarz - choć brutalna - byłaby na swój sposób atrakcyjna, gdyby nie sprawiała wrażenia... krzywej- co przypuszczalnie było także powodem jego niewyraźnej mowy. Gea powstrzymała stęknienie, a strach, który niemal ją sparaliżował, nagle zamienił się w gniew. Gniew na siebie samą.

Zbyt długo zwlekała z tym smarkaczem naprzeciw niej i jego kompanem Quorrlem, zamiast ich szybko sprzątnąć i dopiero teraz sprawa zaczynała robić się paskudna. Miała do czynienia już z trzema przeciwnikami.

I z kolejnym Quorrlem, który właśnie wynurzył się spoza napakowanego mięśniami faceta bez koszuli.

Sprawa była naprawdę bardzo paskudna.

- Orgon! - zawołał Berkel. Zamiast szyderstwa jego uśmiech pełen był zakłopotania i przekory. - Gdzie byłeś tak długo? Już myślałem, że... ehm... że już nie przyjdiesz.

- Ale przyszedłem, i to w samą porę - wymamrotał Orgon. Jego spojrzenie utkwiło w oczach Gei, a ona wyczytała w jego oczach coś takiego, że po raz pierwszy naprawdę zaczęła się bać.

- Nie dotknąłem jej szefie, naprawdę! - zapewnił pośpiesznie Berkel. - Wypakowałem ją tylko ze szmatek dla ciebie.

Nawet jeśli Orgon uważał to za zabawne, nie dał po sobie nic poznać. Jego wzrok prześlizgnął się po jej niemal odsłoniętych piersiach, po czym znów spojrzał w jej oczy. Gea zobaczyła w nich natychmiast prawdziwą żądzę mordu - ale nie tylko to. Cienka nitka śliny i różowej krwi ściekała mu powoli z kącika ust, zostawiając mokry ślad na brodzie i powoli kapłała na jego nagą pierś.

- Oczywiście, tego byś nie zrobił - powiedział niewyraźnie do Berkela - ale nie ma strachu, dostaniesz ją, jak ja z nią skończę. Nie wiem tylko, czy wtedy będziesz jeszcze mógł się nią nacieszyć.

Zrobił krok w stronę Gei, ale wówczas stara z twarzą Quorrla nagle zastąpiła mu drogę i zaczęła szarpać go za ramię.

- Róbcie co chcecie - zajazgotała - ale najpierw chcę moją część kasy. Należy mi się!

Orgon popatrzył na nią lodowato, potem na jej brudne palce, które ciągle ciągnęły go za ramię. Kiedy stara nie zareagowała, spokojnie wyciągnął drugą ręką sztylet zza paska i z zimną krwią poderżnął jej gardło. Wszystko stało się w tej jednej krótkiej chwili i Gea także w jednej chwili pojęła, jak bardzo pomyliła się w ocenie całej sytuacji i jak dalece nie doceniła swoich przeciwników.

Stara kobieta wyrzuciła z siebie różowoczerwoną mgłę i upadła do tyłu - głowę miała niemal zupełnie odciętą cienkim, delikatnym sztyletem, którego ostrze musiało być równie ostre jak to,

którym Berkel groził Gei. A ona wykorzystała teraz tę krótką chwilę i padając na bok kopnęła Berkela w kolano. Wrzask zmieszał się z suchym trzaskiem pękającej rzepki. Gea upadała powoli - potwornie powoli, jak jej się zdawało - podczas kiedy Quorrl włączył skaner i strzelił.

Błysk mikrofali był niewidoczny i bezgłośny, ale Gea poczuła szarpnięcie za lewe ramię i część jej kurtki i kilka centymetrów kwadratowych skóry po prostu znikło. W tym momencie została jakby porwana przez ogromną, niewidzialną rękę i rzucona raz jeszcze na ziemię. Rozległ się ogłuszający dźwięk, zupełnie jak uderzenie dzwonu - wydawałoby się, wielkiego jak miasto, a dom wyraźnie zatrzęsł się w posadach - Ściana odebrała impuls skanera, po czym oddała go - zamienionego w czystą energię kinetyczną o dziesięciokrotnie większej mocy. Coś niewidzialnego, o niewiarygodnej sile niszczenia znów przemknęło koło Gei i nie tylko porwało Quorrla, lecz za chwilę wyrzuciło go w powietrze. Quorrl uderzył z całą siłą o ścianę, krusząc wielką wyrwę w litym murze, niszcząc przepierzenie przed kolejnym pokojem i część kolejnej, znajdującej się dalej ściany. Jego groźna broń wyleciała mu z ręki, wykonując wielki łuk w powietrzu.

Także Berkel porwany został przez niewidzialną siłę. W osobliwej, horyzontalnej pozycji błyskawicznie zatoczył w powietrzu kilka kół i pół sekundy później runął martwy na ziemię; a szczególną ironią losu był fakt, że jego ręka cały czas kurczowo ścisnęła rękojeść molekularnego sztyletu. Gea poczuła potworny ból, krzyknęła głośno, kiedy ostrze noża trafiło ją w bok jeszcze zanim upadła na ziemię, rozorało głęboko mięśnie, po czym nagle zmieniło kierunek i przecinając żebro przebiło jej ciało na wylot.

W pierwszej chwili rana nawet nie krwawiła zbyt wiele, była to jedynie cienka, czerwona linia na skórze poniżej łuku żebra, ale kiedy Gea uderzyła o podłogę, nacięcie otworzyło się i na brudne kamienie popłynął szeroki strumień krwi. Pochwalona niech będzie Gaja, że nie wypłynęły jej wnętrzności, co stałoby się na pewno, gdyby ostrze trafiło tylko pięć centymetrów bardziej w lewo. Ale mimo to było to ciężkie zranienie, może nawet śmiertelne, jednak najgorszy był przeszywający ból, którego nigdy nie była w stanie sobie nawet wyobrazić.

Zrobiło jej się niedobrze, potem pociemniało jej przed oczami i na chwilę chyba straciła przytomność. Kiedy otworzyła oczy, w pomieszczeniu było jasno i niemal zupełnie cicho. Gdzieś sypało się na podłogę szkło, do jej uszu dobiegł naraz dźwięk jak z harfy elfów, który wydał jej się zupełnie nieprzystawalny do tej sytuacji, po czym usłyszała głośne jęczenie dobiegające ze wszystkich stron. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że to ona sama wydawała ten dźwięk.

Natychmiast znów poczuła przeszywający ją potworny ból i zużyła całą swoją wolę koncentracji, aby go przeczłonyć, co w końcu się udało. Przycisnęła rękę do rany i próbowała opanować krwotok.

Wiedziała, że jej ciało było w stanie samo uporać się z takim zranieniem, ale niewiele by to dało, gdyby się uprzednio wykrwawiła.

Albo gdyby została skopana po prostu na śmierć. Silny kopniak trafił ją z drugiej, niezranionej strony - rym razem pękły co najmniej dwa żebra. Jeśli nie krzyknęła z bólu, to tylko dlatego, że w płucach nie miała już potrzebnego do tego powietrza. Silne palce wczepiły się w jej włosy podnosząc ją brutalnie w górę.

- Nie umieraj, ropucho! Zepsułabyś mi całą zabawę, gdybyś za brała się stąd w ten sposób!

Gea niczego nie zrobiłaby z większą przyjemnością niż właśnie to, ale proces ozdrowieńczy w jej organizmie był już za bardzo zaawansowany i śmierć cofnęła się szybko, choć co prawda zapomniała zabrać ze sobą swojego brata, bólu.

Rozpoznała twarz Orgona jak przez czerwoną mgłę - także on nie wyszedł bez szwanku z potyczki i krwawił silnie z nosa, co tylko wzmagало jego wściekłość.

- Tak łatwo mi nie uciekniesz, żabo! - wymamrotał. - Zabiłaś Berkela i zapłacisz za to! Zabiłaś mojego przyjaciela!

Dokładnie rzecz biorąc zrobił to Quorrl, z niewielką pomocą Ściany i jej rutyną obronną, ale w zasadzie Orgon miał rację. Na ile było to możliwe, bo jego ręka była ciągle mocno wczepiona w jej włosy, a głowa wygięta ostro do tyłu, Gea odwróciła się i zobaczyła, że Berkel rzeczywiście był martwy. Krwawą kupkę szmat trudno było uznać za człowieka. Gea wątpiła, czy w jego ciele była jeszcze jakaś kość, która nie została złamana przynajmniej jeden raz. Żadnej szansy na



rekonstrukcję.

Berkel nie był jedynym, który uległ zniszczeniu, o ile można było tak powiedzieć o człowieku - także większa ilość czarnej farby - smołowego barwnika - w wielkich płatach zsunęła się ze ściany, do pomieszczenia wpływało teraz jasne światło dnia i Gea nagle dostrzegła przez wysokie, sięgające sufitu okno wielki, zielony park.

Widok po drugiej stronie pomieszczenia był mniej budujący. Fala uderzeniowa całkowicie zniszczyła nie tylko wyposażenie laboratorium, ale także przebiła znajdującą się z tyłu ścianę i wreszcie straciła swój impet w kolejnym pomieszczeniu. Szklane kolby destylacyjne były rozbite w drobny mak, ekrany połamane, a stoły i regały zmiażdżone jak gdyby uderzał w nie olbrzymi młot. W kilku miejscach coś się paliło, w powietrzu unosił się ostry, chemiczny odór i przybierał z każdą chwilą na sile.

- Rozejrzyj się, ropucho - odezwał się Orgon - to będzie ostatnie, co zobaczysz. Bo najpierw wyłupię ci oczy, powolutku, jedno po drugim.

- Proszę, nie rób tego... - stęknęła Gea. - Nie masz chyba pojęcia, ile kosztują nowe oczy!

- No, przynajmniej masz jeszcze poczucie humoru - odparł Orgon złośliwie. - Dobrze. A już myślałem, że po prostu umrzesz i wymkniesz mi się w ten sposób z rąk.

Podniósł jej rękę brutalnie w górę i obejrzał zranienie - sprawiał przy tym wrażenie nieco zaskoczonego, jak gdyby spodziewał się czegoś innego.

- Nie wygląda tak źle - ocenił - mieliśmy więc szczęście. Oboje.

Jego szyderczy, pełen zjadliwości i okrucieństwa uśmiech powinien być dla niej ostrzeżeniem, ale ból, który zadał jej po prostu wbijając palce w otwartą ranę, całkowicie ją zaskoczył. Może krzyczała, a może nie, w każdym razie ponownie straciła na chwilę przytomność i odzyskała ją, kiedy Orgon chwycił ją obiema rękami i mocno potrząsnął.

- Hej, nie umieraj! W każdym razie jeszcze nie teraz!

Gea wcale nie miała takiego zamiaru. Przez chwilę wsłuchiwała się w siebie. Z jeszcze większym wysiłkiem niż za pierwszym razem walczyła z bólem, zanim go pokonała, po czym spróbowała ocenić czas, który był jej potrzebny, aby była w stanie móc się przynajmniej jako tako obronić. Nie mogła tego jednoznacznie określić, bo jeszcze nigdy przedtem nie została tak ciężko zraniona, ale wiedziała, że jej powrót do zdrowia zajmie więcej czasu, niż pozwoli na to Orgon.

- Powtarzam... moją propozycję - powiedziała z trudem. - Pozwól mi odejść, a ja... ja przyniosę ci pieniądze... i wszystko, co tylko chcesz.

-Wszystko, co chcesz? - Orgon potrząsnął głową przecząco. - Ale ja mam wszystko, co chcę. To tutaj. -Jego lewa dłoń zacisnęła się znów na jej gardle i Gei nagle znów zabrakło powietrza... - i to tu...

Drugą ręką wyciągnął nóż i zaczął wymachiwać nim przed jej twarzą.

Dobrze, a zatem będzie musiała gwizdnąć na protokół i zaufać temu, że ciało jej nie zawiedzie - jej samej. Gea poderwała się za jednym zamachem, odbiła na bok jego uzbrojone w nóż ramię i z całą siłą wbiła mu kciuk pod brodę.

Jednak ciało ^ zawiodło.

Uderzenie nie miało dość impetu, aby złamać Orgonowi kark, ale przynajmniej spowodowało, że odrzucił głowę do tyłu i zatoczył się, dziwnie chrząkając z zaskoczenia. Sztylet wyleciał mu z ręki i wbił się aż po rękojęść w ścianę, a Gea kątem oka dostrzegła jakiś ruch i w ostatniej chwili uchyliła się przed pięścią Quorrla. Bezwiednie poderwała nogę i wymierzyła mu potężnego kopniaka, po którym zielony stwór zatoczył się, jednak otrzymał cios za wcześnie. Gea poczuła, jak w jej boku eksploduje wprost potworny ból. Skuliła się, upadła na kolana, skuliła jeszcze bardziej, a wówczas kopniak trafił ją prosto w czaszkę. Osunęła się na podłogę.

-Jedno trzeba ci przyznać - powiedział Orgon - jesteś wytrwała.

Aż szkoda, że będę musiał zniszczyć coś tak ładnego.

Gea oparła się z trudem na łokciu, wypluła krew i przynajmniej jeden wybity ząb, a potem, mrugając intensywnie, spróbowała ze- trzeć czerwony welon sprzed oczu. Orgon mówił teraz

jeszcze bardziej niewyraźnie. Jeśli nie przedtem, to na pewno teraz złamała mu szczękę, ale jakoś nie odczuwała z tego powodu satysfakcji.

- Nie trać przytomności, ropucho - wymamrotał. - Dopiero zaczynamy.

- A ja sądzę, że powinniście już dać spokój - zabrzmiał w pobliżu kolejny głos.

Gea dostrzegła jak przez mgłę, że Orgon odwrócił się i mrugając ponownie usiłowała zetrzeć z oczu czerwoną mgiełkę, po czym podjęła kolejną próbę, aby się podnieść. Przynajmniej to pierwsze jej się udało.

W drzwiach pojawiła się kolejna obca postać. Stojący tam osobnik był wysoki - prawie tak wysoki jak obaj Quorrlowie - i bardzo silnie zbudowany. Na nogach miał sandały, skórzane, czarne spodnie sięgające kolan i także czarną koszulę bez rękawów, do tego pelerynę w tym samym kolorze i niczym nieozdobiony pas, zza którego wystawał także niczym nieozdobiony miecz. Jego twarz o wyrazistych rysach nie ułatwiała zadania, jeśli chciało się ocenić wiek przybysza; półdługie, czarne włosy i para ciemnych oczu, które momentalnie objęły spojrzeniem rozgrywającą się przed nim scenę bez żadnych oznak lęku.

- Kim jesteś? - prychnął Orgon, a właściwie wymamrotał. Z jego ust pociekło teraz więcej krwi, choć zupełnie tego nie zauważył. Podszedł do czarnowłosego przybysza i prowokująco popatrzył mu w oczy.

- Wynoś się! To, co się tu dzieje, w ogóle cię nie powinno obchodzić! - warknął.

Jeden z Quorrlów stanął obok niego, drugi zaczął grzebać nerwowo w gruzach - Gea przypuszczała, że szukał skanera, a już sam ten fakt świadczył dobitnie o tym, że przybysz wywarł spore wrażenie na jej „przyjaciołach”.

- Myślę, że jednak mnie to coś obchodzi - odparł spokojnie czarnowłosy, po czym zrobił kolejny krok w stronę Orgona i jego pokrytego łuskami kompana. - Czterech takich silnych chłopców jak wy przeciwko jednej bezbronnej dziewczynie, to chyba trochę nie fair - zauważył.

Gea pomyślała, że albo musiał być zbyt pewny siebie, albo całkiem szalony. Był co prawda wysoki, mocno zbudowany i przypuszczalnie bardzo silny, jednak wyglądał jak normalny człowiek. I nawet jeśli był uzbrojony - miał przeciwko sobie trzech wrogów, a dwóch z nich było Quorrlami!

- Ona zabiła naszego przyjaciela - oświadczył Orgon.

- A wy za to ją skatowaliście - odparł obcy spokojnie. - Z pewnością na to zasłużyła. Ale - już wystarczy. Zabierajcie waszego martwego przyjaciela i znikajcie. Może będzie go można jeszcze naprawić.

Wskazał ruchem głowy na złote monety błyszczące między gruzami i dodał: - To powinno wystarczyć. Mogę wam dać adres dobrego rekonstruktora w pobliżu.

- A jeśli mi to nie wystarczy? - spytał Orgon prowokująca Gea dostrzegła, że on i Quorrl próbowali niepostrzeżenie przesunąć się w dwie różne strony, tak aby przybysz znalazł się pomiędzy nimi.

- To zostawcie pieniądze i waszego martwego przyjaciela tutaj i idźcie sobie po prostu - westchnął czarnowłosy.

- A jeśli nie pójdziemy? - zakpił Orgon.

Przybysz chciał coś odpowiedzieć, ale zamiast tego odwrócił głowę, bo właśnie jakieś dziwne stworzenie wleciało przez drzwi - wyglądało jak wielki chrząszcz przebrany za kota. Osobliwy stwór trzepocząc skrzydłami usiadł na ramieniu czarnowłosego, a ten położył mu rękę na głowie. Przez chwilę jak gdyby wsłuchiwał się w siebie, po czym opuścił ramię, a jego twarz przybrała zamyślony wyraz.

- Tak, tak jak myślałem - powiedział.

- Co takiego myślałeś? - wymamrotał Orgon. W jakiś sposób udało mu się odnaleźć swój nóż, czego Gea już nie zauważyła, także Quorrl miał w ręku krótki miecz - wprowadzie bez monomolekularnej klingi, ale dzięki swej ogromnej sile z pewnością był w stanie nadrobić ten brak.

- Myślałem, że będzie jednak lepiej, jeśli stąd natychmiast znikniecie - powiedział zimno

obcy. - Dopóki pozwalam wam jeszcze odejść. Natychmiast! - Eeee... - mruknął lekceważąco Orgon, a drugi Quorrl wyprostował się i odwrócił-w rękę trzymał już znaleziony w gruzach czarny toroid.

Nawet oczy Gei obdarzone ponad naturalnymi właściwościami nie były w stanie dostrzec wszystkiego, co się potem stało. Wydawało jej się, że obcy przybysz nagle stał się cieniem, który w pewnej chwili zniknął, a potem coś szybkiego przemknęło szybkim lotem w stronę Quorrla, przebiło mu krtań i jednym głuchym uderzeniem dosłownie przygwoździło go do ściany za jego plecami. Skaner po raz drugi wyleciał z jego ręki, jednak nie spadł na podłogę, bo czarnowłosa wykonał jakiś niemożliwy manewr i momentalnie znalazł się tuż przy Quorrlu, chwycił spadający skaner i wystrzelił. Głowa drugiego Quorrla rozleciała się tworząc krwawą chmurę, zaś Orgon zatoczył się i zaczął histerycznie skrzeczeć, bo kot-chrząszcz, który siedział przedtem na ramieniu czarnowłosego, poderwał się, wpadł na Orgona, po czym zaczął pazurami, pyskiem i skorpionim ogonem szarpać jego twarz. Trysnęła krew.

Czarnowłosa przybysz uwolnił Orgona od cierpień - szybkim krokiem znalazł się tuż koło niego, jedną ręką przepędził kota, a drugą zmiażdżył opryszkowi krtań.

Rymer. - Jest mi zupełnie obojętne, czy i jakimi dowodami pan dysponuje - powiedziała senator Rymer, mierząc stojącą przed nią mysia postać wzrokiem, w którym z trudem powstrzymywany gniew mieszał się z czymś o wiele gorszym, i myszczur zupełnie nie chciał wiedzieć, co też mogłoby to być. - Proszę mi nie mówić, że ten facet miał klucz i że w dodatku był to ten klucz. Plixx albo także tego nie wiedział, albo też było mu to zupełnie obojętne. Nie dał senator Rymer tyle czasu, aby ta mogła patrzeć na niego wzrokiem odpowiednio gniewnym do tonu swoich własnych słów - wyczarował za to na jej twarzy taki wyraz, jaki miałyby prawdopodobnie wszystkie kobiety poprzednich tysiącleci, gdyby we własnej kuchni nieoczekiwanie ujrzały prawdziwą mysz. Gdyby senator Rymer posunęła się odrobinę dalej w swym świętym oburzeniu, to perspektywy Plixxa wcale nie byłyby takie złe, jeśli rozważyć, jak mogłaby się czuć mysz, gdyby nieopatrznie znalazła się w królestwie takiej rezolutnej gospodyni.

- Mogę zrozumieć waszą reakcję, pani senator - powiedział Plixx.

- To chwalebne z waszej strony, zwłaszcza że księżniczka nie ułatwiała wam dotychczas życia. Jednak obawiam się, że fakty w tym przypadku mówią same za siebie. - Myszczur wykonał szarmancki gest w kierunku wirtualnego ekranu, który zajmował większą część tylnej ściany izby, w efekcie twarz senator Rymer zachmurzyła się jeszcze bardziej.

—A więc wasze tak zwane fakty są błędne - obstawała przy swoim Rymer. - A to, co twierdzicie, jest przecież zupełnie bezsensowne.

Plixx chrząknął nerwowo, co w porównaniu z poprzednim atakiem wściekłości już i tak było wielkim postępem.

- Nie chciałbym, abyście uważali mnie za kogoś, kto wie wszystko lepiej i ośmiela się was pouczać - odpowiedział spokojnie. - Ale wiecie doskonale, że to niemożliwe.

Rymer zadała sobie jeszcze więcej trudu, aby samymi spojrzeniami nie nadziać myszczura na wirtualny rożen, lecz tylko go pokroić i z przyjemnością wypatroszyć. Oszczędziła sobie jednak trudu wysuwania kolejnych protestów, odwróciła się gwałtownie i zaczęła wpatrywać się w rząd bezlitosnych cyfr wyświetlanych na ekranie obok opisanych niezbitych faktów - pełna nienawiści i absurdałnej nadziei, że to, co widzi poprawi jej nastrój albo przynajmniej uspokoi jej gniew.

- Tu musi być błąd - upierała się. W jej słowach brzmiał nie tylko upór, ale także żalosna przekora, co tym razem usłyszała nawet ona sama.

- Czy te liczby zostały zweryfikowane? - spytała.

- Dwa razy - odparł Plixx.

- Choć nawet ten pierwszy raz był całkowicie zbędny - dodał R'Achernon lekko obrażonym tonem.

Nikt na to nie zareagował, nawet sama Rymer. Nie miała siły, aby kłócić się z jakimś egomaniackim komputerem.

- Określenie „komputer” w zestawieniu ze stopniem VI—KI nie jest całkiem poprawne, szanowna pani senator - usłyszeli w swych myślach głos R'Achernona.

- A już zwłaszcza „egomaniacki”.

- Nawet jeśli te dane są poprawne - upierała się Rymer - musi być jakieś inne wyjaśnienie - potrząsnęła głową i dodała: - Księżniczka tego by nie zrobiła.

- Nie zrobiłaby, jeśli wiedziałaby, kim jest - odparł Plixx chcąc właściwie potwierdzić poprzednią wypowiedź Rymer, doczekał się jednak tylko kolejnego gniewnego spojrzenia jej zielonych oczu o odcieniu jadeitu.

- Klucz został więc jednoznacznie zidentyfikowany - stwierdziła z wyrzutem Rymer. Myszczur był zbyt inteligentny, by wiedzieć, że lepiej nic już nie dodawać. Na wirtualnym ekranie ukazał się kolejny obraz przedstawiający mordercę planety, którego Craiden użył przeciwko R'Achernonowi, a towarzyszyły mu kolumny nowych liczb i informacji, które Rymer doskonale знаła, ale o których tak naprawdę nie chciała nic wiedzieć. W kolejnym oknie, jakie otworzyło się na ekranie - ukazała się wielowymiarowa prezentacja niesłychanie skomplikowanego obrazu. Już sam ten widok był nie do zniesienia. Senator Rymer wiedziała, że dłuższe wpatrywanie się weń spowoduje, że dostanie zawrotów głowy, a jeśli będzie na tyle głupia, aby zlekceważyć to ostrzeżenie, to następnym objawem będzie potworny ból głowy, od którego przez wiele godzin nie uwolni ją żadne lekarstwo ani nanity. Jest wiele rzeczy nieprzeznaczonych dla ludzkich oczu, a widok pięciowymiarowego klucza transportowego z pewnością do takich należał.

Mimo wszystko wytrzymała tak długo, aż poczuła pierwsze lekkie zawroty głowy, zamrugowała kilkakrotnie, aby nieco ustąpiły i wpatrzyła się w sześciocyfrowe kolumny liczb obok. Te również spowodowały podobny, nasilający się ból głowy, choć wystąpił on z zupełnie innych powodów.

- To z całą pewnością jest klucz królowej - stwierdził Plixx.

Zupełnie zbędna uwaga - pomyślała Rymer. — W najwyższym stopniu zbędna. Miała nadzieję, że myszczur odczytał tę myśl.

- Ale czegoś takiego nigdy bym nie zrobił, pani senator - zauważył Plixx, patrząc na nią dobrodusznie. - Byłoby to naprawdę niestosowne.

Rymer musiała uśmiechnąć się wbrew własnej woli, ale uczyniła to tylko samymi wargami - jej oczy były zupełnie innego zdania, nie mówiąc już o tym, co znajdowało się za nimi. Chrząknęła, co zabrzmiało nieco sztucznie.

- A więc dobrze - zaczęła chłodno. - Założmy - tylko na potrzeby tej rozmowy, żeby nie dopuścić do nieporozumień - że wasze dane są poprawne, co oznaczałoby, że morderca planety pochodzi z magazynu broni na Epsilon-Eridiani IV - One nie tylko na to wskazują, pani senator. Te dane nie dopuszczają żadnej wątpliwości co do tego.

Rymer sprawiała wrażenie, że w ogóle nie słyszała słów R'Achernona

- Na nieszczęście te wyniki wzajemnie się wykluczają - obstawała przy swoim. - Królewski Klucz nie był już używany od sześćdziesięciu lat.

- Dokładnie od sześćdziesięciu trzech.

Tak, nie było wątpliwości. R'Achernon był obrażony.

- Ostatnia rutynowa inwentaryzacja w tym magazynie broni miała miejsce przed dwoma laty - kontynuowała zupełnie niezrażona senator. - A wówczas zmagazynowana broń była kompletna.

- Tak to w każdym razie wynika z raportu inwentaryzacji.

- Który to raport pochodzi z KI, a oni ani się nie mylą, ani też nie dadzą się nabrać na jakieś machlojki.

- Zgadza się.

- Ale to jest wtedy niemożliwe.

- To jest wtedy niemożliwe - powtórzył R'Achernon. - Chodzi tutaj o pewien paradoks. Pracuję nad prawdopodobnym wyjaśnieniem.

- Jak na kogoś, kto jest ponoć bardziej inteligentny niż Bóg - odpowiedziała spokojnie Rymer.

- Czasem wydajesz się dość głupi.

R'Achernon był jednak dość mądry, aby nie odpowiadać na tak bezsensowny zarzut, Rymer kontynuowała więc: - Problem, którego nie możesz rozwiązać w ułamku sekundy, albo nie może być w ogóle rozwiązany, albo już dawno znalazłeś odpowiedź i zdecydowałeś się, z jakiegoś powodu zataić ją przed nami.

Czy jest jakiś powód ku temu?

- Nie żebym o tym wiedział.

- Może ten powód nie spodobałby się nam, co?

- Już sam fakt, jaką jestem istotą, nie pozwala mi was okłamywać.

Rymer wiedziała doskonale, że to akurat była prawda. A mimo wszystko nie wierzyła w ani jedno słowo. Ale wiedziała też, że kontynuowanie tej rozmowy nie miało sensu.

- Powinniśmy kogoś wysłać do tego magazynu broni, aby zadbać o właściwy porządek - powiedziała i poczuła się przy tym tak samo niezręcznie, jak niezręcznie zabrzmiały teraz jej słowa.

- Szybki krążownik Orion wyruszył już godzinę temu. Jego celem jest dokładna inspekcja omawianego magazynu broni - odpowiedziała wieża.

- Kiedy przybędzie na miejsce? - chciał wiedzieć Plixx.

- Na pewno nie przed upływem dziesięciu dni. Może nawet później. To jest zależne od strumienia grawitacji w sektorze Epsilon-Eridiani. W najgorszym przypadku podróż będzie trwała prawie miesiąc. Ale Orion to najszybszy statek, jaki w tej chwili mamy do dyspozycji.

Rymer z trudem stłumiła pochodzące z głębi serca westchnienie.

„Najszybszy statek, jaki w tej chwili mamy do dyspozycji”. A kiedy w ogóle mieli dostateczną ilość statków do dyspozycji? Kiedy w ogóle mieli dostateczną ilość czegokolwiek do dyspozycji? Próbowwała sobie przypomnieć, ale nie udawało jej się to nawet w najmniejszym stopniu.

- Tydzień czy miesiąc - obawiam się, że to w tej chwili nie odgrywa żadnej roli!.. - rzekł Plixx. - Mamy niecałą godzinę do rozpoczęcia oficjalnej części przyjęcia i do tego czasu musimy zdecydować, jak postąpimy z naszym szanownym gościem - myszczur wykonał gniewny gest i wysoki wirtualny ekran znikł, robiąc miejsce dla niemniej wirtualnego okna, przez które można było zobaczyć ciemne, niewysokie, ale za to bardzo długie pomieszczenie. Było ono zupełnie puste, ale Rymer wiedziała, że taki stan rzeczy długo nie potrwa.

Nagle poczuła się źle, kiedy pomyślała o tym, co ich czeka. Jak bardzo tego nienawidziła!

- Możemy spełnić serdeczne życzenia kapitana Durasa i pozwolić mu aresztować mistrza klanu Craidena wraz z jego żoną - powiedziała.

- Albo aby od razu wyzwiał ich do walki na śmierć i życie - rozmyślał głośno Plixx. - Taak, to by mu się podobało.

- Odradzałbym - powiedział R'Achernon. - Niemal cała armia zjednoczonych klanów jest w gotowości alarmowej. Ofensywne zachowanie w stosunku do mistrza klanu doprowadziłoby z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością do natychmiastowego ataku.

- Już się trzęsę ze strachu - zakpił Plixx, ale po chwili potrząsnął głową i warknął opryskliwie: - Ale wiem, co chcesz powiedzieć i masz rację. Mimo to nie podoba mi się, że będę musiał znosić tego typu i jego amatorów żółtowego mięsa w wieży. A jeszcze mniej podoba mi się, że będę go widział u boku Arion. Zwłaszcza po tym, czego dowiedzieliśmy się dzisiaj.

- Bezpieczeństwo księżniczki Infinity jest w każdym razie zagwarantowane.

- R'Achernon, to sfera prywatna - powiedział ostro Plixx i bezdźwięczny głos w ich głowach umilkł. Rymer posłała mu krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie, ale mina Plixxa zrobiła się naraz jeszcze bardziej ponura. - Ten szalony suwak logarytmiczny ma rację, wiecie o tym? - mówił dalej myszczur i wydał się przy tym senator Rymer jeszcze bardziej wściekły niż kiedykolwiek. - Nie możemy ryzykować ataku. I to tak długo, jak długo nie będziemy pewni, co jeszcze znikło z tego tak rzekomo bezpiecznego i chronionego magazynu broni.

Rymer westchnęła głęboko i w głębi ducha przyznała mu rację.

Pomyślała, że chciałaby, aby ten magazyn broni był jedyną sprawą, nad którą łamała sobie

głowę cała rada.

Albo aby był jej jedynym poważnym zmartwieniem.

Mardu. Tych dwóch głupków tu na górze, na heliopterach, było najgorszymi strzelcami wszech czasów albo po prostu obaj bawili się z nim.

Mardu przypuszczał raczej to ostatnie i z dwóch względów było dla niego wysoce niepomyślnie: po pierwsze, byli rzeczywiście bardzo pewni siebie w tej potyczce, a po drugie, nie byli najnędrniejszymi, lecz najlepszymi strzelcami wszech czasów.

Musieli cholernie dobrze strzelać, skoro nie trafiali go dosłownie o mały włos.

Mardu zaklął, kiedy kolejny promień niewidzialnego gorąca omal go nie trafił, wyzwalając falę nagłego, koszmarnego bólu w jego ciele, jednak nawet ani trochę go nie parząc. Potem zrobił krok w bok i wykonał jeszcze jeden, pełen przerażenia podskok, aby nie wpaść do kałuży pełnej kipiącego, czarnego szlamu, która w rzeczywistości zawierała skroploną ceramikę stalową. Atak i wszystkie towarzyszące mu zjawiska, jakie spowodowała broń technomagii Craideny, nie zniszczył nawierzchni ulicy, tylko nieco zmieniła ona kolor, jednak działanie broni obu heliopterów spowodowało, że nawierzchnia zaczęła się topić. Z czego, do diabła, tych dwóch idiotów do niego strzelało?

I - co było o wiele ważniejsze - dlaczego właściwie do tej pory go nie trafili?

Jeszcze kilka minut temu Mardu wpadł na idiotyczny pomysł i chciał uciekać do jednego z kompletnie wypalonych budynków, ale jeden z heliopterów przezornie zniszczył jednym strzałem nie tylko dom, ale cały blok - i to dosłownie. Szary kurz, unoszący się nad ulicą, skleił włosy generała, drapał w gardle, piekł w płucach, drażnił boleśnie mniejsze i większe rany od poparzeń, które w międzyczasie pokryły ciało Mardu. Gdyby chcieli, dawno mogli go zabić - mogli mu też zadać o wiele więcej bólu... a tego chcieli z pewnością, bo w końcu usmażył na grillu ich towarzysza.

Mardu, który kluczył po ulicy, dostrzegł nagle kątem oka podejrzane migotanie, instynktownie więc rzucił się w przeciwnym kierunku i wykonał śmiały skok szczupakiem, kiedy na nawierzchni ulicy pojawiły się gorące pęcherze i wszystko zaczęło się gotować.

Wylądował na brzuchu, przez chwilę ślizgał się dalej z rozpostartymi ramionami i zaczął niemal wyć z przerażenia, kiedy jego buty znalazły się w ogniu. Poderwał się, szybko zdeptał płomień i rozpaczliwie skoczył w górę.

Uderzenie trafiło go prosto w twarz z tak niewyobrażalną siłą, że wywinął klasyczne, niewiarygodne wprost salto i wylądował znów na obolałych, poparzonych stopach, a za chwilę przewrócił się w tył z rozpostartymi ramionami i tak mocno uderzył o ziemię, że powinien był stracić przytomność. Coś mu w tym przeszkodziło, ale niekoniecznie był za to wdzięczny. Chciał stracić przytomność. Chciał umrzeć, bo to, co zrobiliby z nim, gdyby wpadł w ich ręce, byłoby po stokroć gorsze od śmierci.

Ale oczywiście nie ułatwili mu tego.

Napastnik był na tyle ogromny, że wystarczyłoby go dla dwóch - i runął na Mardu niczym wielka góra mięśni i kości. Czarny, osobliwy welon przed oczami Mardu zrobił się czerwony, a potem nagle zniknął. Generał próbował coś powiedzieć, zakrzuszył się własną krwią i usłyszał wewnątrz czaszki dziwne łupanie, które uświadomiło mu, że rzecz nie skończy się na podbitym oku i wybitym zębie.

Uderzenie pięści złamało coś w jego twarzy. Szczęka co prawda nie bolała tak bardzo, ale gdyby nie łykał swojej płynącej bez przerwy krwi, zapewne by się nią po prostu udusił.

Olbrzymi osobnik pochylił się, chwycił Mardu za spalone resztki kurtki i postawił go bez najmniejszego trudu na nogi. Ten brutalny ruch uświadomił generałowi, że złamana szczęka była w tej chwili najmniejszym problemem.

Zamrugał, żeby usunąć coś w rodzaju czerwonej galarety z oczu, co nie do końca mu się udało, ale dostrzegł przynajmniej, że jego przeciwnik był człowiekiem, a nie Quorrlem czy jakimś adaptowanym... czymś. Co przyjąłby z ulgą, gdyby nie wzrost i rozmiary przeciwnika. Miał on przynajmniej dwa metry wzrostu, odpowiednio szerokie ramiona i był tak potężnie zbudowany, że wyglądał wręcz groteskowo. Mardu spróbował się uwolnić. Niemal zwichnął

sobie nadgarstek, wymierzając napastnikowi uderzenie w ramię, czego ten chyba nawet nie zauważył, po czym uderzył go pięścią w brzuch, ale to także nie zrobiło na wielkoludzie wrażenia.

Olbrzym uderzył Mardu wierzchem dłoni w twarz tak mocno, że z ust i nosa popłynęło mu jeszcze więcej krwi, a przed oczami eksplodowało jaskrawe światło - choć uderzenie nie było na tyle mocne, aby Mardu rzeczywiście stracił przytomność. Jednak generała trudno było przechytryć: zawisł w żelaznym uchwycie, bezwładnie opuścił głowę na bok udając nieprzytomnego, jednocześnie próbując niepostrzeżenie wymacać i wyciągnąć z magnetycznego uchwytu przy pasku czarną broń - skaner. Jego szanse, aby nie tylko ją wyciągnąć, ale również móc z niej skorzystać, były żałośnie małe, ale praktycznie nie miał wyboru.

Napastnik brutalnie obrócił Mardu i wymierzył mu cios płaską ręką między łopatki tak mocno, że ten bezwiednie wykonał kilka kroków do przodu, ale zanim upadł, znów został schwycony. Jednak w międzyczasie palce Mardu zacisnęły się na skanerze i broń cichutko zabrzęczała, budząc się do życia.

Bezpośrednio nad nim rozległo się wyraźne, bardzo głośne i nie-wróżące niczego dobrego buczenie i kiedy zadartł głowę do góry, zobaczył tuż nad sobą ogromne owadzie oczy helioptera, który unosił się w powietrzu niecałe trzy metry nad nim i próbował dosięgnąć go swoją przerażającą żuwaczką. Mardu pomyślał, że zapewne nie skończyłoby się tylko na próbie, gdyby na grzbiecie helioptera nie siedział jeździec, krótko trzymający na wodzy latające monstrum. Ale wszystko wskazywało na to, że skończyła się już życzliwość jeźdźca: broń obok głowy helioptera wycelowana była wprost w postać Mardu.

Kolejny strzał niemal odrzucił generała na bok - potknął się i prawie wpadł na drugi heliopter, który wylądował na końcu ulicy i znalazł sobie coś do jedzenia, co Mardu wydało się wręcz niemożliwe w okolicy wysterylizowanej przez pustoszący ogień. Dostrzegł w żuwaczkę helioptera resztki drugiego Quorrla i poczuł rosnące, zwierzęce wręcz przerażenie. Właściwie nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak smakuje Quorrl. Jak jednak było widać na załączonym obrazku - danie było smaczne - przynajmniej jeśli było się ośmiometrowym, biomechanicznie wyhodowanym insektem.

Mardu porzucił tę mimowolną, absurdalną w tej sytuacji myśl, cofnął się kilka kroków i niemal niedostrzegalnie wyciągnął skaner z magnetycznego uchwytu. Wydało mu się, że broń wibruje już znacznie silniej, jak gdyby była żywą istotą i nie mogła się doczekać wylądowania uśpionej w jej wnętrzu energii.

Znowu poczuł uderzenie w kark, upadł na kolana, przeturlał się kilka metrów, ujął mocno skaner, ale kiedy strzelił, nie nastąpiło wylądowanie. Skaner wibrował, ale, zamiast rozłożyć napastnika na czynniki pierwsze, Mardu otrzymał bolesne uderzenie elektryczne w rękę.

Olbrzym, który właśnie szykował się, aby wymierzyć mu potężnego kopniaka, dostrzegł skaner, opuścił nogę i uśmiechnął się szyderczo, podczas kiedy Mardu oparł się na lewym łokciu i drżącą ręką wycelowował ponownie.

Napastnik uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy dostrzegł, że Mardu po raz drugi został porażony prądem. Trzeci raz byłby już śmiertelny - ale generał doszedł do wniosku, że nie byłoby już potrzeby strzelać po raz trzeci do jeźdźca na heliopterze. Nawet ten poprzedni strzał był zbędny. Mardu z pewnością nie należał do wyjątkowo bystrych, ale nie był też głupi.

Obrócił trzymany w dłoni skaner i tym razem nie dostrzegł już nawet cienia uśmiechu na twarzy przeciwnika. Za to za jego plecami zobaczył jakiś bezkształtny, pozostały po stopieniu fragment czegoś, co przed atakiem ognia było zapewne pomnikiem, jednym z wielu pomników poświęconych niezliczonej liczbie mitycznych bohaterów, w które obfitowała historia Oblężenia. Gdy strzelił, pomnik zamienił się w mgnieniu oka w eksplodujący kaktus z tysięcy ostrych odłamków szkła. Jedne z nich były mikroskopijnie małe, inne zaś miały długość ręki, a inne były nawet jeszcze większe. Mardu błyskawicznie zasłonił twarz ramieniem, chroniąc się w ten sposób przed deszczem odłamków. Jego przeciwnik miał mniej szczęścia. Jego plecy i prawy bok były wprost naszpikowane odłamkami szkła - olbrzym rycząc z bólu zatoczył się i upadł na kolana, podczas kiedy Mardu poderwał się w górę i szybkim skokiem rzucił w bok. Buczenie tuż nad nim stało się jeszcze głośniejsze - heliopter był z pewnością wściekły, a tam, gdzie Mardu

leżał przed chwilą, sto piona nawierzchnia ulicy zaczęła znów wrzeć.

Skoczył szybko w przeciwnym kierunku. Ledwo uszedł śmierci - tym razem brakowało rzeczywiście niewiele, bo zarówno resztki jego spalonej kurtki jak też wierzchnia warstwa skóry na lewym ramieniu po prostu się rozpuściły i usłyszał jakąś osobliwą mieszaninę dźwięków: wściekłe buczenie i wrzaski bólu pochodzące z gardła insekta.

Generał cofnął się kilka kroków, po czym spróbował usunąć z rogówki oka dziwny welon. W duchu co prawda zadawał sobie pytanie, czy całkiem postradał już rozum, ale mimo wszystko postanowił zapolować na helioptera, który w międzyczasie niemal całkowicie pożarł zwłoki Quorra. Gdy insekt dostrzegł Mardu, nie tylko wyprostował się, ale również wyciągnął w jego stronę odnóża jakby w nadziei na mały deser.

Na nieszczęście był to jedyny kierunek, w którym mógł uciekać: drugi heliopter krążył pięć metrów nad nim, a siedzący na nim jeździec próbował celnymi strzałami zapędzić Mardu wprost w zasięg żuwaczek. I jakby tego było mało, jego olbrzymi przeciwnik podniósł się z ziemi - naszpikowany niemal na całym ciele ostrymi, czarnymi odłamkami szkła, zalany własną krwią i z całą pewnością półprzytomny z bólu - a także jeszcze bardziej wściekły.

Generał podniósł skaner, wymierzył w ścianę za heliopterem, w kierunku którego zmierzał i wystrzelił. Mur, i tak już mocno nadwątlony przez ogień, runął w dół w postaci lawiny gruzu i odłamków szkła ostrych jak brzytwa, grzebiąc pod sobą insekta. Prawdopodobnie nie zaszkodziło mu to w najmniejszym stopniu, bo monstrum było tak duże jak dziesięcioosobowy helikopter, prawdopodobnie nawet nieco cięższe. Poza tym każdy heliopter był pancerną, hodowlaną maszyną bojową, której uzbrojenie nie ograniczało się do jednej pary budzących przerażenie żuwaczek, będących w sumie dość łatwym celem dla skanera Mardu.

Ale zawsze można było liczyć na łut szczęścia.

Wprawdzie większa część muru rozsypała się w proch i kawałki gruzu, z których największe miały wielkość pięści i wszystko to runęło na pancerz helioptera, a pojedynczy, ostry odłamek metalu o długości mniej więcej ludzkiego ramienia i grubości palca wbił się z impetem właściwym dla upadku z dziesięciu metrów w ogromne oko insekta. Owad zaskrzeczał z bólu i wściekłości, kiedy śluz i czarna krew z sykiem przypominającym krótkie spięcie eksplodowały ze zniszczonego oka, poprzedzone dodatkowo przez drugą, jeszcze silniejszą eksplozję, która wyrzuciła w powietrze strzępy mięsa i dymiących elektronicznych części. Heliopter dosłownie stanął dęba, rycząc i plując z bólu, potrząsnął potężną, zakrwawioną czaszką i przypieczętował swój los, z całą siłą uderzając tkwiącą w jego oku metalową belką w mur, ta zaś przebiła się przez wnętrze czaszki. Z zadziwiającą celnością trafiła od środka wprost w drugie oko, wynurzając się z niego wraz z gęstą papką składającą się z krwi i resztek oka. Heliopter zaskrzeczał raz jeszcze, znów stanął dęba na całą swą imponującą wysokość, po czym runął sztywno na bok, zupełnie jak jakaś elektroniczna zabawka, w której nagle nastąpiła przerwa w dostawie energii.

Mardu usłyszał za sobą kolejny, bulgoczący wrzask i kiedy się odwrócił, jego oczom ukazał się przerażający obraz: kierujący heliopterem jeździec, tak naszpikowany czarnymi odłamkami, że przypominał jeżozwierza i dodatkowo spowity w mokry płaszcz własnej krwi, upadł, po czym wrzeszcząc przeturlał się po ziemi, znieruchomiał, wreszcie zasłonił twarz rękami i zaczął skrzeczeć tak przeraźliwie, jak gdyby metalowa belka przebiła również i jego oczy.

I wtedy generał dostrzegł ogromny cień monstrualnej wazki przed sobą - mimo woli przyszło mu do głowy pytanie, dlaczego jeszcze w ogóle żyje. Ewentualną odpowiedź zostawił jednak na później, mając nadzieję, że w ogóle będzie jeszcze jakieś „później”. Zadarł głowę do góry - niewiarygodne, ale zadziało raz jeszcze: skaner zamienił całe piętro wypalonego budynku za heliopterami w chmurę szarego pyłu, a dwa pozostałe piętra zmieniły się w potok drobnego żwiru o ostrych kantach oraz odłamków metalu. Lawina pogrzebała pod sobą drugie monstrum wraz z jeźdźcem i to jeszcze zanim obaj zdążyli spaść na ziemię.

Mardu wykonał szybki skok i zdołał się schronić, by także nie zostać trafionym przez spadające odłamki i gruz. Zdecydował w nagłym, nieoczekiwanym przyptywie rozbawienia, że później zastanowi się nad tak nieoczekiwaną odmianą swojego losu i w dwóch szybkich krokach znalazł się przy krzyczącym jeźdźcu. Ten wrzeszczał ciągle niczym nadziany na rożen, odjął



jednak ręce od twarzy i Mardu dostrzegł, że jego oczy nie odniosły żadnego szwanku. Generał chwycił więc jeźdźca od tyłu za szyję, zamierzając złamać mu ramieniem kręgosłup.

A jednak nie udało mu się to. Z pewnością nie należał do słabeuszy, a śmiertelny strach dodawał mu jeszcze siłę, ale pozornie bezbronna ofiara albo zdążyła dojsć do siebie, aby instynktownie bronić się przed atakiem albo miała większy zasób siły niż założył Mardu.

Zamiast krzyku i trzasku gruchotanych kości, usłyszał własny oddech, kiedy kurczowo próbował chwycić powietrze do płuc - łokieć rzekomej ofiary wbił mu się z całą siłą w brzuch. Mardu bezwiednie przesunął rękę po ciele jeźdźca i pierwsze, na co natrafił, aby przytrzymać się i nie upaść, było rękojęścią jego broni.

Bez problemu wyciągnął ją z pasa jeźdźca, upadł ciężko na plecy i strzelił już w czasie upadku. Nic nie usłyszał ani nie poczuł, ale wszystko, co było powyżej pasa jego przeciwnika, po prostu zniknęło, a resztki, jakie z niego zostały, po prostu opadły bezwładnie na ziemię.

Mardu przez sekundę leżał nieruchomo, gapiąc się w niebo i zadając sobie mimowolnie pytanie, co się stało i dlaczego jeszcze żyje.

Ale jednak żył i w tej chwili było to wszystko, co go interesowało.

Pozwolił sobie wręcz na odrobinę luksusu i leżał jeszcze kolejnych kilka chwil, nadal mając nad głową niebo i wsłuchując się w uderzenia swoich obu serc, które powoli odnalazły wspólny rytm.

Potem oparł się na łokciach i oszołomiony przyjrzał się zdobytej broni.

Wiedział, że broń helioptarów była wielce pożądanym złodziejskim łupem wszystkich mieszkańców Oblężenia, ale jeszcze nigdy nie miał żadnej w rękę. Wyglądała zupełnie inaczej niż skaner, w który był wyposażony (podobnie jak wszyscy oficerowie osobistej gwardii przywódcy klanu) - była krótka, czarna i wyglądała jakoś... złośliwie.

Była o wiele za duża i za ciężka dla generała, ale z pewnością pasowała dobrze do rąk dwumetrowego kolosa, dla którego została przeznaczona. Mardu przezornie ujął ją obiema rękami, ocenił dokładnie, nie mogąc jednak rozpracować, w jaki sposób działała.

Nagle odwrócił głowę, bo w tym momencie usłyszał za sobą najpierw cichy szelest a potem jakiś łomot.

Góra rumowisk, która dosłownie połknęła ostatniego helioptera, zaczęła się ruszać. Kamienie, odłamki i okruchy metalu staczały się z hałasem na ziemię, gdzie znikwały pod masą osuwających się gruzów - a potem ukazało się coś, co według Mardu przypominało bardzo czułki mrówki, tyle że te, które teraz widział, miały mniej więcej długość jego ramienia. Osunęło się jeszcze więcej gruzu i zza chmury pyłu ukazała się zakurzona, niewypowiedzianie wręcz wściekła ludzka twarz.

Mardu złożył się natychmiast do strzału, wycelował starannie trzymając broń w obu rękach i zastrzelił najpierw ważkę, a potem jeźdźca.

Ich śmierć była zaskakująco mało spektakularna. Głowa insekta po prostu znikła, podobnie jak głowa jeźdźca, a w sekundę później front ogromnego gruzowiska zaczął się ruszać i wszystko razem zamieniło się w ogromny kurhan.

Ależ to było łatwe - pomyślał Mardu - aż za łatwe. Nieporadnie popatrzył raz jeszcze na ciężką, niezgrabną broń, którą trzymał w rękach, potem na gruzowisko, w którym ciągle coś jeszcze trzeszczało i szeleściło, jak gdyby martwy potwór wbrew wszelkiej logice i prawom natury miał za chwilę wynurzyć się ze swego kamiennego grobu. Generał celowo ominął wzrokiem zwłoki drugiego jeźdźca, zmniejszone o połowę.

Dwa? - pomyślał oszołomiony i natychmiast poprawił się w myślach: Trzy? Załatwił trzy helioptery? On sam?

Potrzebował dobrej chwili, aby ten niezaprzeczalny fakt do niego dotarł, a mimo wszystko wydało mu się to... niemożliwe, nierealne, wręcz całkowicie absurdalne.

On sam, zupełnie sam - generał Mardu - zestrzelił trzy helioptery?

Nagle jakiś cichutki głos na peryferiach jego świadomości zaczął nękać go raz po raz, a jak gdyby tłumacząc, co się właściwie stało, ale Mardu nie zważał na to, bo w tym momencie pławił się w rozpiekającym go poczuciu dumy.

Trzy.

On, zupełnie sam, załatwił trzy z tych przeklętych heliopterozów - cały patrol! To było wszystko, na co znalazło się miejsce w jego świadomości.

Coś takiego... tak, coś takiego jeszcze nigdy się nie wydarzyło, a przynajmniej tak dawno, jak daleko w przeszłość sięgała historia klanu. I oczywiście istniał ku temu jasny powód. Trzy tysiące powodów, mówiąc dokładnie. Mieszkańcy R'Achernon znienawidziliby go, wszyscy oprócz właśnie tych trzech tysięcy. Nie, nie tylko trzech tysięcy, lecz trzydziestu tysięcy, mężczyzn i kobiet, braci i sióstr, ojców i matek tych, którzy z jego powodu musieli ponieść śmierć w Oblężeniu, było to dla niego jasne. Jego imię, wymawiane przez ich wargi, stałoby się przekleństwem na całe dziesięciolecie, może nawet tak długo, jak długo żyłby ostatni z tych, których przyjaciele i krewni zostali zabici właśnie z jego powodu.

Ale tak naprawdę nie miało najmniejszego znaczenia, czy stało się to z jego powodu, czy oni go nienawidzili czy nie, czy jego imię stało się przekleństwem, czy też błogosławieństwem. Wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Mardu nagle zdał sobie sprawę, co właściwie tego dnia zrobił. Trzy tysiące? Śmiechu warte! Każdego dnia umierało kilka razy więcej niewinnych mieszkańców tego miasta i to z błahych powodów! Te trzy tysiące będą wkrótce zapomniane, ale jego imię ludzie będą pamiętać miliony lat jako imię tego, który obalił mit niezwycięzonego R'Achernona!

Mardu rozpiekało wprost poczucie dumy graniczące z euforią i wkrótce osiągnęłyby ten stan, gdyby nie wstał i odwróciwszy się, nie spojrzał na R'Achernona.

Ściana rozchyliła się, by przepuścić trzy drobne czarne punkty.

Był to kolejny patrol, który zmierzał wprost do spalonego miasta.

Mardu patrzył spokojnie na Ścianę i pytał sam siebie, czemu właściwie nie przeraził się, kiedy za chwilę pojawiła się kolejna trójka i następna i znowu kolejna, i jeszcze jedna. I wszystkie patrole zmierzały bardzo szybko dokładnie w jego stronę.

A to, uważał generał Mardu, był zbyt wielki honor dla niego.

Odwrócił się w miejscu i zaczął szybko biec.

Arion. Suknia była z pewnością dwa razy większa niż sama księżniczka. Drapała i obcierała w tych miejscach na ciele, których Arion chyba jeszcze nigdy nie zauważyła. Poza tym suknia wydzielala woń, która wprost zatykała dech w piersiach, bez względu na to, ile filtrów zapachowych i perfum użyły na jej rozkaz pełniące rolę pokojówek drony. A wszystko ku niezadowoleniu Plixxa. Jeśli ta suknia - dokładnie rzecz biorąc, oryginał, który został wykonany według jakiegoś prastarego wzoru - była rzeczywiście suknią koronacyjną królowej w jej własnej osobie, to powinna była ona zastanowić się, czy dobre, stare czasy rzeczywiście zasługiwały na to określenie.

Ale właściwie na co się skarżyła? W zestawieniu z tym, co ją czekało, była ubrana supernowocześnie.

Kiedy Arion schodziła powoli szerokimi, wysokimi schodami, po raz trzeci spojrzała w dół na olbrzymią salę. I także po raz trzeci zmusiła się do tego, aby przypomnieć sobie, że znajdowała się przecież we wnętrzu R'Achernona, a nie w budynku pochodzącym z tych samych czasów co suknia, która ją właśnie uwierała i która nie była ani odrobinę modna.

Wszystko tu wydawało się stare, toporne i ciemne - i wywołanie tego wrażenia było świadomym zamiarem wieży. Jak wszystkie pomieszczenia w R'Achernonie, ta sala była dokładnie tak duża jak trzeba; co znaczyło, że była w stanie pomieścić wszystkich, którzy w tej wieży należeli do śmietanki towarzyskiej i którzy przybyli tu, aby wziąć udział w tym wielkim wydarzeniu. A ponieważ jedyne oświetlenie dostarczały tylko pochodnie i świece (co prawda bardzo liczne), to pomieszczenie wydawało się naprawdę ogromne. Znakomicie pasowało do niego też wyposażenie - na które składała się także materia ożywiona - zwłaszcza jeśli chodzi o wiek i stan zniszczenia.

Wszyscy obecni odziani byli podobnie jak Arion (na tyle, na ile pozwalały na to rozmiary ich ciał) choć niektórzy z gości ewidentnie pomylili epoki. Arion dane więc było zobaczyć wieczorowe suknie, bogato zdobione płaszcze i spodnie-pludry oraz togi, a także rozłożyste krynoliny, a obok nich tak proste szaty, że należały bardziej do kategorii tzw. lumpów.

Dostrzegła też wielką liczbę archaicznych mundurów, i to wykonanych z przeróżnych rodzajów materiałów, poczynając od czarnej skóry poprzez sięgające kostek żelazne kolczugi, kończąc na kompletnej zbroi, którą założył na siebie jakiś głupiec. Ledwo mógł się w niej poruszać, a przy każdym ruchu słychać było cały zestaw dźwięków, od brzęczenia do przeraźliwego skrzypienia, a wszystko słyszalne było doskonale dzięki ogromnemu sklepieniu i jego imponującej akustyce.

Gdzieś w tym mrowiu dziwnych postaci dostrzegła nawet Plixxa, odzianego w coś bardzo kolorowego i równie zwariowanego. Ale przynajmniej dzięki temu pasował znakomicie do tego zabawnego tłumu. Nikt jednak nie rzucał się w oczy tak bardzo jak Arion dzięki swojej sukni. Nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie - niestety daremnie jak zwykle - dlaczego nikt z dworu nie odważył się zaprotestować i wszyscy posłusznie ubrali się w te niewygodne i komicznie wyglądające stroje, robiąc z siebie pośmiewisko.

- Ponieważ tak przewiduje protokół, księżniczko.

- To powinniśmy go wreszcie zmienić! - warknęła głośno Arion.

Senator Wundermeer, który z okazji tej ceremonii przybrał postać wyprostowanego lwa o wielkości człowieka, odziany we wspaniałą szatę z brokatu w kolorze świeżej krwi, dodatkowo ozdobioną złotem, szedł tuż obok niej, popatrzył więc na nią zaskoczony, zanim zrozumiał, że jej słowa nie były skierowane do niego. Po chwili oddalił się pośpiesznie, a Arion wykorzystwała okazję, by zatrzymać się i popatrzeć za nim uważnie - co prawda, wcale nie dlatego, że widok senatora był z jakichś powodów fascynujący, lecz Arion rozkoszowała się każdym krokiem, którego nie musiała robić w swojej sukni--monstrum.

Chwilę później kontynuowała swoją rozmowę z R'Achernonem i wędrowkę po sali balowej, przy czym teraz starała się wokalizować słowa bezgłośnie.

Po co właściwie ten cały nonsens? Czy ktoś tutaj rzeczywiście wierzy, że ta maskarada zrobi jakiegokolwiek wrażenie na Craidenie? - To, co wy, księżniczko, nazywacie maskaradą, jest tradycją liczącą tysiąc lat. A mieszkańcy tego miasta przywiązują wielką wagę do tradycji.

Przeżytek, tak to się nazywa. Wiesz, co się robi z przeżytkiem? Chowa się go do lamusa! Wydało jej się, że zamiast odpowiedzi usłyszała głęboki, dobroduszny śmiech.

Co w tym takiego śmiesznego? - zapytała urażona.

- Tego wy, księżniczko, nie możecie wiedzieć - odparł głos, który usłyszała w swoich myślach. - Ale jeszcze całkiem niedawno pro wadziłem podobną rozmowę z waszą matką, niemal słowo w słowo.

A jakiś czas przedtem z matką waszej matki.

Ach tak? - odparła Arion. - / nigdy nie przyszło ci do głowy, że może być sporo słuszności w argumencie, który powtórzyły niezależnie od siebie trzy bardzo mądre kobiety? - Mówiąc ściśle księżniczko, jest to ciągle ta sama kobieta - po wiedział R'Achernon i tym razem nie zadał już sobie trudu, aby jego głos miał owo ojcowskie, zarazem lekko prowokujące i wesołe zabarwienie. - Nie muszę wam przypominać, że jesteście klonem swojej matki, prawda? Podobnie jak ona była perfekcyjną kopią swojej.

W takim razie, dlaczego w ogóle istnieję? - zapytała smutno Arion i poczuła wściekłość. - Jeżeli jestem właściwie nią samą, to po co wydała mnie na świat, zamiast na nim pozostać i samej sobie dalej radzić z tym całym kramem? Tak naprawdę nie liczyła teraz w ogóle na odpowiedź, ale kiedy ją otrzymała, zirytował ją... pełen melancholii ton głosu wieży: - Powiedziałbym tak: zadajcie mi to pytanie, księżniczko, za tysiąc lat i odpowiem na nie. Ale wówczas nie będziecie już potrzebo wali mnie o to pytać, bo sami w międzyczasie znajdziecie odpowiedź.

I kiedyś również podążycie za matką-jej drogą.

Teraz robisz się melodramatyczny - skomentowała pobłaźliwie.

R'Achernon milczał. Ale milczenie nadawało tym słowom jeszcze więcej wagi.

Choć księżniczka szła bardzo powoli, to czas, jaki zajęła ta rozmowa, wystarczył, by dotarła na swoje miejsce u szczytu stołu stojącego w, wydawałoby się, nieskończenie długiej sali. Jak niemal wszystko tutaj, ściany wykonane były z czarnego, nieociosanego kamienia, a do stołów nakryto na srebrnych talerzach i paterach. Wśród nich były także cynowe, zaś obok stały

dopasowane masywne kubki do picia i solidne widelce o dwóch zębach, a także noże. Arion w myślach zmówiła modlitwę, jaką mówiono zwykle w obliczu niebezpieczeństw, prosząc niebiosy o to, aby te smakołyki, które tylko na to czekały, aby wjechać na stół z odpowiednią oprawą, nie odpowiadały panującej tu ogólnie atmosferze.

Dzięki wyrażeniu tej myśli po chwili przyszło jej do głowy coś zupełnie innego, bardzo nieprzyjemnego...

- Nie będzie tak źle, księżniczko. Zamkniesz oczy i do przodu, żeby mieć to z głowy.

Tak, i piękne dzięki, że mi o tym przypominasz! - zagrzmiała w myślach.

Tym razem R'Achernon milczał w zupełnie inny sposób.

Ktoś chrząknął porozumiewawczo za jej plecami. Arion nie mogła jednak stwierdzić, kto - po obu stronach ogromnej sali ciągnęły się liczne stoły, których liczba przekraczała z pewnością sto, a za każdym stała przynajmniej jedna rzucająca się w oczy postać.

Wszystkich w tamtej chwili łączyło jedno: wpatrywali się w księżniczkę i czekali, aby zajęła miejsce na monstualnym tronie stojącym u szczytu sali - aby i oni mogli wreszcie zasiąść przy stołach. Nie wszystkie ze stołów wyglądały tak, jakby były przeznaczone dla ludzi (i tak rzeczywiście było). Arion dostrzegła wśród gości co najmniej dwie postaci, którym zajmowanie pozycji stojącej przychodziło z wyraźną trudnością. Przez chwilę nawet zastanawiała się, czy już choćby z czystej złośliwości nie postać w miejscu nieco dłużej (niezbyt długo: najwyżej godzinę lub dwie), ale sama szybko dostrzegła, jak głupia była ta myśl. Przystąpiła więc do niełatwego zadania, jakim było zajęcie miejsca przy stole w swojej monstualnej sukni na równie monstualnym, jeśli chodzi o wymiary, krześle. Zajęło jej to dłuższą chwilę i kiedy ta czynność dobiegła wreszcie końca, ze wszystkich stron rozległo się pracowite szeleszczenie, kołatanie, szczękanie, szuranie krzesłami - wszystko to trwało znacznie dłużej, niż jej poprzednia czynność.

-Jeszcze chwila cierpliwości, księżniczko. Oficjalna część przyjęcia zaraz się zacznie.

Nie ma problemu - odpowiedziała bezgłośnie Arion. To, co powiedziała, nawet odpowiadało prawdzie. Czuła się tak nieswojo, jak chyba jeszcze nigdy w swoim życiu, choć jednocześnie ze złośliwą radością, patrzyła na to zbiorowisko pstrokatych postaci przy stołach.

Zwłaszcza głupiec w zbroi miał wyraźne problemy, usiłując zachować postawę pełną godności. Także senator Wundermeer dostarczał zabawnego widoku: dzięki swemu niezwykłemu przebraniu wydawał się przy stole wyższy od każdego, kto siedział obok, co okazało się jednakowoż bardzo uciążliwe: każdy, nawet najdrobniejszy ruch groził pożarem jego wspaniałej grzywy przy niezliczonej ilości świec i pochodni.

- Ale odpowiadając poważnie na wasze pytanie, księżniczko - usłyszała znów głos R'Achernona w myślach. - To jest ceremonia, a nikt nie chce niepotrzebnie wprawiać w zakłopotanie mistrza klanu Craiden albo pozwolić mu odczuć, że nie przyjmujemy go z należnym mu respektem.

Raczej nikt tutaj nie przejmuje się tym, że mistrz klanu może pomyśleć w obliczu tego teatru, iż po prostu natrząsamy się z niego - pomyślała Arion.

Ale wieża, która z pewnością musiała słyszeć także i tę myśl, milczała jak zaklęta.

Gdzież jest więc nasz wielce szanowny gość? -Jeszcze kilka chwil. Cierpliwości, księżniczko - odpowiedział R'Achernon i jego głos zabrzmiał tym razem nieco bardziej oficjalnie, być może po to, aby i ona znalazła się w odpowiednim nastroju. - Gość jest w drodze, nastąpiła jednak mała zwłoka.

Zwłoka? Wielce szanowny mistrz klanu Craiden nie naruszy przecież protokołu? Ponieważ jej kpiący ton nie zrobił żadnego wrażenia, spytała nieco poważniej - i już rozkazującym tonem: Co się dzieje? - Mistrz klanu Craiden odmawia oddania broni.

No i co? Gdzie tu jest problem? Czy ktoś się boi, że Craiden wyciągnie miecz i mnie nim zakłuje? - Nie przewiduje się, że najwyższy dowódca wrogiej armii wchodzi do sali tronowej R'Achernona z bronią...

- No to od teraz to się przewiduje - mruknęła. - Wpuśćcie go. I nie mów już nic na temat protokołu.

Powiedziała to głośno i wszyscy, a przynajmniej wszyscy będący w pobliżu - doskonale

słyszeli jej słowa, zwłaszcza, że wypowiedziała je urażonym tonem. Natychmiast dookoła pojawiły się przerażone twarze, w jej stronę skierowano bezradne spojrzenia - i zupełnie jak fala rozchodząca się coraz dalej od wrzuconego do wody kamienia, na sali powoli zapadała pełna przerażenia cisza. Dopiero kiedy dotarła do rycerza w zbroi spowodowała powstanie efektu odbitej fali, składającej się ze skrzywienia, trzeszczenia i szczękania, jakie wydawały z siebie wszystkie ruchome fragmenty zbroi. Arion po raz drugi zaczęła się zastanawiać, kto też może ukrywać się za tak marsowym przebraniem, ale było to daremne. Mogłaby kazać mu podnieść przyłbicę, ale nie chciało jej się tego robić. Spróbowała skojarzyć osobliwy image z charakterem kogoś z dworzan, ale bez rezultatu - wybór był zdecydowanie zbyt wielki.

Zatrzymała wzrok na kobiecie w średnim wieku o ostrych rysach twarzy - w pierwszej chwili jej nie rozpoznała. R'Achernon poinformował ją szybko, że była to senator Rymer - co trochę zdziwiło Arion. Byłoby co prawda kłamstwem twierdzić, że ona i senator Rymer były przyjaciółkami, lecz Arion znała ją wystarczająco dobrze, a krąg znajomych Rymer interesował księżniczkę z czysto prywatnych względów już od dawna i to o wiele bardziej, niż pozostałych tu obecnych. Właśnie dlatego niezwykle zaskakujące było to, że Rymer z dzisiejszej okazji nie tylko sprawiła sobie nową suknię, ale też nowe ciało. Arion próbowała posłać senator pytające spojrzenie, ale jedyną odpowiedzią, jaka otrzymała, było zimne spojrzenie jasnozielonych oczu Rymer - jedynej części ciała, której nie zamieniła.

- Już czas, księżniczko.

Nie tylko Arion usłyszała słowa R'Achernona. Z wyjątkiem Rymer, której nieprzeniknione spojrzenie przez dłuższą chwilę zatrzymało się na jej twarzy, uwaga wszystkich skierowała się w stronę drugiego końca stołu.

Stał tam drugi tron, niemal tak samo monstrualny jak ten, na którym zajęła miejsce Arion. Tamten jednak był odrobinę mniejszy.

Nikt nie zadał sobie trudu, aby porównać oba meble, ale Arion wiedziała o tym mimo wszystko. Bo oczywiście Plixx nie mógł odmówić sobie przyjemności i pełnym nieukrywanej, złośliwej radości głosem wskazał jej ów drobny szczegół. Zwrócił również uwagę na to, że ona, siedząc po tej samej stronie co Craiden, byłaby mniejsza może o szerokość palca. R'Achernon pośpieszył z wyjaśnieniem, że tego rodzaju subtelny sposób manipulacji pochodził jeszcze z czasów, kiedy ludzie mieszkali w zamkach; dzięki niemu każdy gość zasiadając po drugiej stronie wydawał się mniejszy i poprzez to w jakiś sposób poddany, a wszystko oczywiście odbywało się na płaszczyźnie podświadomości.

Arion pomyślała, że to zabawne, a jednocześnie zasługujące na uwagę, bo świadczyło o zadziwiającej wiedzy na temat psychiki ludzi. Ludzi, którzy wówczas praktycznie dopiero co zeszli z drzew i uważali słońce, burze, a nawet wiatr i grad za działanie jakichś mistycznych bóstw. W każdym razie nie wierzyła, że dzięki takiej drobnostce będzie można wywrzeć jakikolwiek wpływ na Craidena.

Gdyby nawet to zauważył, z pewnością jedynie by go to rozbawiło.

Arion dostrzegła kątem oka, że jakaś duża i silna postać pojawiła się z tyłu za oparciem jej krzesła. Z ulgą powitała obecność Durasa.

— Księżniczko? - zagadnął kapitan i podszedł do niej powoli.

A więc dobrze - pomyślała. - R'Achernon bardzo trafnie to określił, jak to było? Zamknąć oczy i naprzód? -I do przodu, księżniczko. Ale w zasadzie wszystko się zgadza.

- Kapitanie Duras, poproście naszego gościa do środka - rozkazała spokojnym i jasnym głosem. Zrobiło się nagle bardzo cicho.

Duras posłusznie skinął głową, wyprostował się na całą imponującą wysokość dwóch metrów i ruszył równo odmierzonymi krokami wzdłuż stołu w stronę drzwi. Jako jedyne ustępstwo wobec ogólnego obowiązku posiadania przebrania, miał na ramionach czarną pelerynę. Dzięki niej wydawał się bardziej autentyczny i naturalny niż wszyscy na sali. Było to jednak wynikiem tego, że jego pancerz wykonany był z czarnego acheronu znakomicie pochłaniającego światło. Duras wyglądał jak prawdziwy średniowieczny rycerz.

Szedł bardzo powoli - o wiele wolniej, niż było to konieczne, nie chciał jednakże zakłócić takiego dnia jak dzisiejszy zbędnym pośpiechem. Bo począwszy od chwili, kiedy stanął za

krzesłem Arion, w sali nie działo się już nic przypadkowego bądź mimowolnego - od tej chwili ceremoniał był wiernym powtórzeniem tego samego aktu, który miał tu miejsce co dwadzieścia lat, poczynawszy od tego szczególnego dnia przed tysiącleciami, kiedy to prababka Arion wynegocjowała pierwszy pokój z ówczesnym mistrzem klanu Obłożenia. Każdy ruch, każdy krok i każde słowo, a nawet stroje i ciała, które należały do obecnych senatorów, ministrów i dworzan były takie same, jak wówczas. Śmieszne, że Arion przypominała sobie o tym dopiero teraz. Wobec tego faktu, który nagle pojęła, przestała kpić sobie w myślach nawet z siedzącego sztywno przy stole właściciela żelaznej zbroi. Może i on wówczas miał jakiś ważki powód, by przywdziać właśnie taki strój.

Arion zadała sobie jednak pytanie, co kierowało senator Rymer, aby przybierać ciało pięćdziesięcioletniej księżowej, dzięki czemu wyglądała tak, jakby ukradkowe spojrzenie w kierunku męskiej kabiny do przebierania było dla niej już niesłychanym wybrykiem erotycznym.

Rymer nagle odwróciła głowę i popatrzyła na nią dłuższą chwilę swoimi lodowatymi, zielonymi oczami i Arion zrozumiała, że Rymer usłyszała tę myśl. Ale właściwie dlaczego?

- Bo to księżniczka tak pomyślała, nie Arion.

Arion pośpiesznie utkwiała znów wzrok w postaci Durasa, który w międzyczasie zdążył minąć stół i zmierzał w kierunku masywnych, dwuskrzydłowych drzwi, których jeszcze chwilę temu w ogóle nie było. Z pozornej nicości po obu stronach wrót wynurzyły się po trzy czarne, wysokie i barczyste postaci, które byłyby wiernymi kopiami Durasa, gdyby nie miał akurat na sobie czarnego płaszcza.

Nim otworzył drzwi, kapitan odwrócił się jeszcze raz w stronę Arion i rzucił jej pytające spojrzenie swych czarnych oczu. I dokładnie tak, jak to przewidywał protokół, Arion odpowiedziała skinieniem głowy. Jednak stopniowo zaczynała czuć się rzeczywiście głupio. Jeżeli każdy gest, każde słowo, każde zmarszczenie czoła było takie samo jak wtedy, to co ona tu właściwie robiła? Równie dobrze mogłaby wysłać swoją omega kopię i zaprezentować niepożądanemu gościowi prawdziwy show powitalny. Wątpiła, czy w ogóle zauważyłby jakąś różnicę.

-Bo coś takiego... nie uchodzi, księżniczko. Mistrz klanu może być przekonany, że jest naszym wrogiem, ale mimo to zasługuje na nasz respekt.

„Może być przekonany, że jest naszym wrogiem”. ..doprawdy, interesujące sformułowanie, nad którym należałoby pomyśleć. Duras otworzył drzwi, a w rękach jego sześciu kopii nagle pojawiły się wielkie puzony, których dźwięk na chwilę zagłuszył inne odgłosy w sali. Prawdopodobnie doprowadziłyby do tego, że księżniczka usłyszałaby dzwonienie w uszach, gdyby R'Achernon jej przed tym nie uchronił, blokując odpowiednie układy. Mimo wszystko było koszmarnie głośno, stwierdziła Arion, a dźwięk puzonów był też odpowiednio fałszywy.

Rymer znów spojrzała w kierunku Arion i zmarszczyła czoło, a kiedy tamta odwróciła szybko wzrok i spojrzała na twarz senatora Wundermeera, stwierdziła, że wszystkie prawdziwe koty z pewnością w tym momencie szeroko by się uśmiechały.

- Proszę was, księżniczko.

Arion powstrzymała się przed odpowiedzią, przyznała jednak R'Achernonowi rację i nieco naruszyła protokół, prostując się na swoim krześle, aby móc widzieć dokładnie drzwi, przez które miał wejść mistrz klanu Craiden.

Była rzeczywiście ciekawa. Wiele słyszała o nowym władcy Obłożenia - właściwie dowiedziała się wszystkiego, co możliwe o Craidenie - ale świadomie zrezygnowała z chęci obejrzenia jakiejś jego podobizny Mówiono, że nie należał do najbrzydszych wśród barbarzyńców.

- Pan klanu i przywódca Obłożenia chce rozmawiać z Panią R'Achernona - oświadczył Duras, kiedy puzony wreszcie umilkły.

Mimo ochrony dźwiękowej jednak dzwoniło jej w uszach.

- Niechaj więc wejdzie - odpowiedziała Arion. Czy to były właściwe słowa? - Prawie.

Rymer znów wlepiała w nią oczy.

Duras odczekał ułamek sekundy, po czym odwrócił się znów do drzwi i wykonał przesadny,

zapraszający gest. Craiden wszedł do środka.

Arion pomyślała, że chyba ją źle poinformowano. Craiden rzeczywiście robił wrażenie, ale czy był przystojny...?

Był znacznie wyższy niż Duras i przynajmniej tak samo potężnie zbudowany, ale w przeciwieństwie do komendanta jej gwardii przybocznej był mężczyzną z krwi i kości, co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Jego ubranie było nader skąpe: miał na sobie czarne spodnie sięgające kolan, zwykłe sznurowane sandały i czarną pelerynę sięgającą bioder - nic poza tym, jeśli nie liczyć bogato zdobionego pasa, zza którego wystawała broń - bardzo liczna i różnorodna. Poza tym Craiden składał się niemal wyłącznie z mięśni jak postronki, wyraźnie odznaczających się i twardych jak stal, choć gładkich i wyraźnie grających pod opaloną skórą. Nawet jego twarzy nie można było odmówić pewnej brutalnej atrakcyjności, a szczególne wrażenie robiły żywe, błyszczące i bardzo inteligentne oczy. Wrażenie to jednak niweczył widok tego, co znajdowało się powyżej.

Nie, to nie był minotaur, ale szanse, aby otrzymać taką posadę miał znakomite: na jego głowie znajdowały się dwie pary rogów! Dwa mniejsze, wyrastające na jego czole w odległości zaledwie szerokości palca nad oczami, mogłyby uchodzić za niebezpieczną broń, gdyby były dłuższe niż kciuk i nie miały zaokrąglonych końców. Dwa pozostałe robiły o wiele większe wrażenie: przypominały zakręcone kilkakrotnie rogi koziorożca, a ich końce skierowane były w dół.

Mimo to na pewno nie sprawiały wrażenia bezużytecznych w razie konieczności obrony.

Mistrz klanu Craiden? - Nie, to jest Torman, komendant jego gwardii osobistej - pouczył ją R'Achernon. Jego głos brzmiał tak, jak gdyby on sam był... zaskoczony... a może niespokojny? Arion nie wiedziała. Ale - jedno z dwojga na pewno. - To coś niezwykłego. Mistrz klanu powinien wejść jako pierwszy do sali tronowej.

Nie mów tylko, że ten, ach, jak bardzo przywiązany do tradycji mistrz klanu Craiden narusza protokół - pomyślała ubawiona.

R'Achernon milczał i to była chyba najbardziej niepokojąca reakcja na jej pytanie.

Arion zaczęła w skupieniu przypatrywać się rogatemu olbrzymowi. Torman położył prawą dłoń na rękojeści miecza, który wystawał zza jego pasa (R'Achernon poinformował ją szybko, że wyciągnięcie tutaj broni było dla niego niewykonalne) i rozejrzał się na wszystkie strony swoimi bystrymi oczami. Na koniec dłuższą chwilę przypatrywał się czarnemu olbrzymowi stojącemu obok i skinął głową, jak gdyby wprawdzie nie był za bardzo zadowolony z sytuacji, ale w ostateczności mógł ją łaskawie zaakceptować. Wreszcie odwrócił się i wyszedł szybko.

- A to zgodne jest teraz z tym twoim ukochanym protokołem? - Arion świadomie zadała to pytanie głośno.

- Nie. I to wcale nie jest dowcipne, księżniczko. Mogliście znaleźć się w niebezpieczeństwie. Powinniśmy zakończyć ten mały teatr i aresztować Craidena oraz całą jego barbarzyńską horde.

Lubiła wyrażenie „mały teatr”. Mimo to potrząsnęła głową. Na co sobie pozwalasz! To mi się podoba.

- A mnie nie. Ale jak uważacie, księżniczko.

Czy usłyszała coś w rodzaju rezygnacji w głosie wieży słyszonym tylko w jej myślach?

Puzony zabrzmiały drugi raz, potem nawet trzeci i nagle Duras podniósł trzymaną w ręku ceremonialną laskę. Uderzył nią po trzykroć w podłogę z taką siłą, że kamienny stół zadrżał w takt uderzeń.

- Lord Craiden, mistrz wszystkich klanów, żąda rozmowy z Królową R'Achernona i Władczynią Świata! - ogłosił nieco przesadnie modulowanym głosem.

Brama rozwarła się jeszcze szerzej, znów rozbrzmiały puzony i w końcu - w towarzystwie Tormana i sześciu największych i najbardziej muskularnych Quorrlów, jakich kiedykolwiek było dane widzieć Arion - mistrz klanu Craiden wstąpił do sali tronowej.

Wódz barbarzyńców był właściwie niższy niż Torman, ale choć ani nie był bardziej muskularny, ani też nie miał szerszych ramion, to jednak wydawał się być w jakiś sposób

potężniejszy. Miał w sobie coś, co... robiło wrażenie, czego Arion nie potrafiła ująć w słowa, ale co zmuszało ją do tego, aby stała się w niego wpatrywać. Craiden ubrany był od stóp do głów w ciemną skórę, przepasany ozdobionym srebrem pasem, z za którego wystawał jedynie niewielki miecz. Miał długie, spadające aż na ramiona, falujące włosy, przewiązane wąską opaską z pięcioramienną, srebrną gwiazdą na czole, a jego twarz była zdecydowanie twarzą barbarzyńcy - co prawda bardzo atrakcyjnego... Biła od niego zarówno siła, jak i nieustępliwość, a przede wszystkim wola działania, która wydawała się być tak twarda, jak czarny acheron, który otaczał Arion.

Ale Craiden miał w sobie jeszcze coś. Coś zupełnie niepokojącego i zwodniczego... A jednocześnie coś niesamowicie swojskiego i bliskiego. Zafascynowana Arion bezwiednie tak głęboko wciągnęła powietrze nosem, że senator Rymer znów odwróciła głowę w jej kierunku i zmierzyła ją spojrzeniem pełnym przygany.

- Księżniczko!

Arion aż drgnęła budząc się ze stanu osłupienia, zganiła samą siebie w myślach, zanim mógł to zrobić R'Achernon (nie mówiąc o senator Rymer) i wstała nieco zbyt gwałtownie z całkowicie nieporuszoną twarzą, choć spojrzenie jej ciemnych oczu było bardziej ożywione niż zwykle. Cały czas odczuwała ową dziwną atmosferę ufności. Nie, to rzeczywiście było dziwaczne. Może gdzieś w podświadomości miała zachowany obraz Craidena, mimo że przecież nigdy go nie widziała. A może Craiden pełen był jakiejś charyzmy, o wiele większej niż ta, która otaczała R'Achernona? W końcu musiał być jakiś powód tego, że w ciągu mniej niż dziesięciu lat został władcą miasta liczącego trzy i pół miliarda mieszkańców.

- Mistrzu klanu Craiden - zaczęła Arion. - Władczyni R'Achernona i jej poddani witają cię. Niechaj pokój tego miejsca nie zostanie zakłócony. Bądźcie naszym gościem, dzielcie z nami chleb i wino i przedstawcie nam swe życzenia.

Były to tradycyjne słowa, które ponoć jej babka przed tysiącami lat wypowiedziała do pierwszego dygnitarza wojskowego zjednoczonych klanów.

Craiden zrobił jeden krok, położył rękę na rękojeści miecza u swego boku i odpowiedział - zupełnie niezgodnie z protokołem: - Dziękuję pięknie waszemu majestatowi za zaproszenie. Chętnie je przyjmujemy. Moi ludzie i ja jesteśmy głodni. To może skończ my już to gadanie?

Mardu. Po raz drugi tego dnia generał dokonał rzeczy niemożliwej - ponownie uszedł władcom czarnej wieży Własne szczęście zaczęło wydawać mu się niewiarygodne.

Choć może to wszystko nie miało aż tyle wspólnego ze szczęściem...

Mardu już dawno całkowicie stracił poczucie czasu. Rozum mówił mu, że musiał być w drodze co najmniej od godziny (o ile nie była to wielokrotność tej jednostki czasu), poza tym nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, jak tu dotarł - nie mówiąc już o tym, że nie wiedział, gdzie dokładnie znajdowało się owo „tu”. A jednak z każdą chwilą rosło w nim przekonanie, że jest szczególnym wybrańcem losu. Dowodził tego już choćby ten prosty fakt, że jeszcze w ogóle żył.

Przerwał te rozmyślenia w trosce o to, by ten stan trwał nadal.

Wyjrzał za krawędź szerniałego od pożaru muru, za którym znalazł schronienie, starając się jednocześnie dokonać rzeczy niemożliwej, a mianowicie mieć na oku zarówno niebo nad sobą, jak i ulicę przed sobą, aby nic nie uszło jego uwadze. Jeśli chodzi o niebo, nie było problemu: było lazurowo błękitne, całkowicie bezchmurne i niemal podejrzanie puste. Tym bardziej ruchliwa była ulica przed nim. Czy jednak to, co widział można było nazwać życiem? Mardu nie był tego zupełnie pewien, uznał więc, że egzystencja większości tych, którzy przeżyli tam na dole, im samym przypuszczalnie nie wydawała się wiele warta.

Generał uważał siebie ogólnie rzecz biorąc za twardziela (i słusznie), jednak to, co widział na ulicy, wstrząsało nim raz po raz. Jego serca były szybciej niż powinny, a w ustach zbierała się gorzka ślina.

Zamiast odruchowo połykać, od czasu do czasu wypluwał ją, bo w przeciwnym przypadku z pewnością zrobiłoby mu się niedobrze.

Dręczyło go jakieś niezidentyfikowane uczucie i przypuszczał, że była to litość - a to słowo znał tylko z teorii. Jednocześnie odczuwał dumę, że w tej przerażającej scenerii odkrył w sobie tak ludzkie uczucie.



Coś z hukiem zbliżało się do niego, naruszając nieskazitelną dziewiczość nieba i podobnie jak to już kilka razy miało miejsce, tajemniczy instykt ostrzegł go w samą porę, aby szybko znaleźć czas niezbędny do kolejnej ucieczki. Wyskoczył zza swego zaimprovizowanego schronienia i przemknął szybko do kolejnej, lepszej kryjówki: były to lekko zdeformowane drzwi, prowadzące do wnętrza zniszczonego budynku. Wstrzymując oddech czekał, aż cień wielkiej ważki przesunie się dalej, nad miejscem, w którym właśnie się ukrył.

Odczekał jeszcze kilka gwałtownych uderzeń serc, zamierzając znów opuścić schronienie. Jednak, zamiast to zrobić, cofnął się o krok i wyteżył wzrok, aby przyjrzeć się otoczeniu, w którym się właśnie znalazł. Z niewielkim sukcesem, bo nie zobaczył nic godnego uwagi.

Przyczyną nie był słaby wzrok Mardu, lecz fakt, że we wnętrzu budynku nie za wiele pozostało. W pomieszczeniu nie było nikogo, przez wybite okna wpływała intensywna woń niedawnego pożaru i spalonych przedmiotów i nie tylko przedmiotów (niektóre z nich zapewne wrzeszczały, zamieniając się powoli w popiół). Pod jego stopami coś trzeszczało, jak gdyby chodził po cienkiej warstwie szkła, która groziła pęknięciem pod jego ciężarem. Nędzne wyposażenie pomieszczenia pozostało w większej części nienaruszone, co tylko jeszcze bardziej potęgowało wrażenie, któremu uległ Mardu, pokonując ostatni odcinek drogi: mianowicie, że opuścił absolutną strefę śmierci, będącą wynikiem technomagii Craidena, a wszedł do czegoś, co było poza nią. Brakowało mu słów, aby próbować to opisać nawet w swoich myślach.

Uderzenie ognia także tutaj po prostu wymiotło ulice i wznieciło pożar wszystkiego, co nie było z metalu, szkła albo porównywalnego materiału. Fala uderzeniowa była wciąż jeszcze wystarczająco silna, aby przynajmniej wykrzywić większość tych budynków i uwolnić wszystkie ramy okienne z wypełniającego je materiału. Jednak wysoka temperatura i ciśnienie w tej części Oblężenia nie miały już takiego impetu, aby stopić kamienie i aby wszystko, co żyło w tych budynkach zamieniło się momentalnie w parę. Wielu z tych nieszczęśników, których dane mu było widzieć na ulicy, z pewnością bardzo tego żałowało.

Mardu ociężale poszedł kilka kroków dalej w głąb zniszczonego pomieszczenia i natychmiast znalazł to, czego szukał. Mimo drobnych różnic, wszystkie budynki w Oblężeniu były jednak takie same.

I także tutaj znajdowały się zakręcone schody z czarnego metalu, które prowadziły zupełnie jak zardzewiała skorupa ślimaka pionowo w górę w głąb budynku.

Generał zaklął bez skrępowania, instyktownie podniósł ramiona zakrywając twarz i cofnął się kilka kroków wstecz, kiedy poczuł duszącą falę gorąca przed zejściem do piwnicy. Z ziemi wydobywały się gorące opary, coś w rodzaju rozżarzonego tchnienia, które groziło poparzeniem skóry zupełnie jakby to był oddech rozgniewanego smoka. Mardu, wściekły na siebie (i na swój podły los), walcząc z dojmującym uczuciem bólu, cofnął się kolejny krok i opuścił ramiona. Popatrzył teraz na schody jak na osobistego wroga.

Nie po raz pierwszy wpadł na niedorzeczny w gruncie rzeczy pomysł, aby uciekać gdzieś do podziemia, w dół. Nie, z pewnością nie był niedorzeczny! A już na pewno nie po tym, kiedy polowano na niego z powietrza! Oblężenie było potwornym monstrum, które rozciągnęło się na cały kontynent i zagłębiło swoje czułki na kształt potwornego owada także głęboko w ziemię. Były tu liczne piętra, tysiące pięter, piwnic jedna nad drugą, schody, korytarze, tunele i katakumby, miasto pod miastem, jeden olbrzymi świat pełen pomieszczeń, w którym helioptery przybyłe z innego świata na próżno usiłowały go doścignąć.

Gdyby tylko nikt nie przeszkodził mu iść dalej tą drogą...

Na początku Mardu sądził, że był po prostu zbyt blisko centrum tytanicznej eksplozji, ciągle jeszcze niemal w samym centrum wewnętrznej strefy śmierci, gdzie ziemia gromadziła i zachowywała dłużej pokłady potwornego gorąca niż gdziekolwiek indziej, gdzie wiatr i bezkres nieba unicestwiłyby je w nieskończonej przestrzeni.

Ale - wszędzie było tak samo. Mardu sprawdzał to wiele razy i za każdym razem - bezskutecznie. Wszędzie, przy każdych schodach, które przeszedł, każdym zejściu, które znalazł i każdej drabinie, którą odkrył - wszędzie uderzało go w twarz potworne tchnienie piekielnego gorąca.

Było tak, jakby sama ziemia pochłonięła ogień. Płomienie na jej powierzchni dawno już

wygasty, ale tam, głębiej, pod stopami Mar-du, ogień ciągle i ciągle wydawał się pożerać absolutnie wszystko.

Może ten płomień nigdy nie miał zgasnąć, lecz dotrzeć w głąb serca planety i pożreć je? A czy czegoś takiego nie sugerował już sam mistrz klanu?

Mardu przepędził tę myśl, odwrócił się jednym ruchem i podszedł do drzwi. Wiedział, że większość budynków jest ze sobą połączona, więc przy odrobinie szczęścia mógł pokonać nawet odcinki liczące wiele mil, nie wychodząc przy tym na ulicę. Już na samą myśl o tym ogarniało go jakieś nieprzyjemne uczucie.

Uważnie popatrzył do góry, poszukał fragmentów nieba prześwitującego między fragmentami zniszczonego stropu i po krótkiej chwili zdecydował się zaryzykować i wyjść na zewnątrz. Prawdopodobnie szukał go już w międzyczasie z tuzin heliopterów, ale teraz właśnie wszystko miało się zmienić. Nie błąkał się już po pustych ulicach, na których był znakomicie widoczny z góry - i jeśli wziąć pod uwagę zdrowy rozsądek, to czyż bogowie nie udowodnili już dawno, że otaczali go swą opieką?

Nieco rozgniewany, wysunął do przodu dolną wargę, wyszedł na ulicę i spojrzał na puste niebo wręcz wyzywająco, zerkając jednocześnie to na prawo, to na lewo.

Ciepły, woniejący pożarem wiatr uderzył go w twarz i Mardu skrzywił się z obrzydzeniem, kiedy dotarło do niego, z czego w większości składał się szary kurz oblepiający jego skórę. W dodatku dźwięk przypominający głucho skomlenie, nie był szelestem wiatru, który świszczał w oczodołach pustych okien, w zniszczonych wykuszach domów i między szczytami domów. Był to lament i jęk, który Mardu słyszał tym wyraźniej, im bardziej zbliżał się do doliny śmierci, w jaką zamieniła się niegdyś zwykła, ruchliwa ulica.

Widok był upiorny: jeszcze kilka chwil temu Mardu biegł przez zaułki i aleje, które zostały niemal wysterylizowane przez ogień. Teraz, od niedawna zaledwie, panowała tutaj cisza. Większość wszystkiego, co żyło, nie przetrwało potwornego uderzenia ognia, rozpętanego przez broń technomagii Craidena. Ci, którzy przeżyli, kryli się we wnętrzach ruin, a teraz stopniowo wypęzalili z nich na zewnątrz, jakby cudem ocaleni, o pełnych przerażenia twarzach, (a wśród nich wielu ciężko rannych bądź poparzonych) - płakali, jęczeli albo wili się z bólu. Jednak większość cierpiała w milczeniu, a ich widok był jeszcze trudniejszy do zniesienia. Mardu patrzył w zastygłe twarze o pustych oczach. Dostrzegł w nich rozpacz - i kompletną nieumiejętność pojęcia tego, co się stało. Z zaskoczeniem stwierdził jednak, że większość z nich nawet nie miała pretensji do losu o to, że potraktował ich tak bezwzględnie, bez ostrzeżenia - oni tego po prostu nie rozumieli. Patrzyli na Mardu wielkimi oczami, niczym dziecko, które zostało zupełnie bez powodu zbite przez kochającego ojca i szukało winy w sobie samym.

Mardu porzucił te nieprzystające do sytuacji rozważania i przyśpieszył nieco kroku. Próbował iść zygzakiem, w efekcie mimo woli coraz bardziej zanurzał się w tłum ocalałych. Nie zbliżał się do potwornie poparzonych postaci i starał się, aby nie dotknąć żadnej z nich. Nie zawsze mu się to udawało i kilkakrotnie ogarnęło go uczucie potwornego obrzydzenia, kiedy wpadł na któregoś z poparzonych lub rannych. Chwytały go ich ręce, żebrząc o pomoc, której przecież nie mógł im udzielić. Puste oczy śledziły go, kiedy ich mijał, ale trwało to tak krótko, że nie był nawet pewien, czy w ogóle go zauważały.

Właśnie teraz, gdy przeciskał się między ofiarami eksplozji, powinien był zacząć odczuwać coś w rodzaju wyrzutów sumienia - w końcu to on nacisnął przycisk, skutkiem czego rozpętało się piekło ognia. Równie dobrze, wyszeptał jakiś głos gdzieś z tyłu głowy, mógłby wziąć miotacz ognia i także osobiście spopielić każdego z tych nieszczęśników.

Udało mu się w końcu jakoś uciszyć ów głos i zamiast przemożnej chęci ucieczki z tłumy nieszczęśnych, ale i jednocześnie budzących obrzydzenie postaci, wszedł pomiędzy nie. Obraz, jaki roztaczał się przed jego oczami, obrażał zarówno jego zmysł powonienia jak i ogólne pojęcie estetyki, jednak tłum był znakomitym schronieniem przed ważkami śledzącymi go z góry, a to w tej chwili był jedyny kierunek, z którego groziło mu niebezpieczeństwo.

Ulica liczyła przynajmniej dwie mile długości, jeśli nie więcej, a ponieważ w powietrzu ciągle jeszcze unosiło się mnóstwo pyłu, Mardu był w stanie zaledwie rozpoznać zarysy budowli. Przypuszczał, że kiedy dojrzy do końca ulicy, będzie bezpieczny. Za sobą zostawił piekło, ale

wiedział, że w końcu znajdzie się w tej części miasta, gdzie jaskrawa błyskawica na horyzoncie nie będzie niczym innym niż małą osobliwością niewartą zmarszczenia czoła. Już po drodze widział rzeczy potworne, jednak niemogące w żaden sposób dorównać temu, co zobaczył na miejscu. Niemniej, w zestawieniu z niewyobrażalną wielkością Oblężenia te spustoszenia, które były efektem eksplozji bomby atomowej, nie były bardziej znaczące niż gówno muchy na ścianie. Jeśli dojrzy tam, na koniec ulicy, będzie uratowany.

Kolejny cień wielkiej ważki przesunął się jak drapieżny ptak ponad tłumem skłębionym na ulicy i Mardu przez chwilę walczył z przemożną chęcią, aby przepędzić znienawidzonego przeciwnika z nieba tylko za pomocą czystej siły swojej nienawiści. Zapytał siebie, czy przekłęci władcy równie przekłętej Czarnej Wieży mieli jeszcze inne możliwości, aby go wytropić - tutaj, pośród tego tłumu niedobitków - ale gdyby tak było, chyba nie mógłby zadawać sobie tego pytania jako żyjąca istota. Jeszcze tylko dwie, niecałe dwie mile musiał brnąć przez rzekę umierających wyrzutków społeczeństwa, a potem - potem będzie bezpieczny.

Znów przesunął się nad jego głową heliopter i to zaledwie dziesięć metrów nad ulicą. Tym razem zrobił to tak powoli, że Mardu niemal czuł na sobie świdrujący wzrok jeźdźca, kiedy ten penetrował z góry tłum. Zastanawiał się zaniepokojony, czy oni wiedzieli, jak wyglądał? A co, jeśli te trzy monstra, które załatwił, w jakiś tajemniczy sposób zapamiętały i zapisały jego obraz i przekazały go innym potworom? Mimo najlepszych chęci Mardu nie mógł sobie wyobrazić, jak miałyby to funkcjonować, ale zdawał sobie sprawę, że wiele jest niepojętych rzeczy na tym świecie, które jednak mają miejsce, a tym przeklętym potworom przypisywano przecież jakieś magiczne siły.

Jednak dobrą godzinę temu też sądził, że nawet zranienie któregoś z nich graniczy z niemożliwością...

Jego wzrok zatrzymał się na wyjątkowo brzydkiej kobiecie Quorrlu, której nogi od kolan w dół były tylko zwęglonymi kikutami. Kobieta leżała na boku i jak to jej lud miał w zwyczaju, nie wydawała z siebie żadnej skargi, ani też żadnego jęku. Zamiast tego próbowała się podnieść dzięki niezwykłej sile swych mięśni. Miała na sobie dziurawy płaszcz ze skóry pokrytej łuskami. Prawą ręką kobieta obejmowała coś, co kiedyś musiało być żywą istotą, a co teraz było tak samo doszczętnie spalone jak jej nogi. Kiedy generał pochylił się nad nią, zmierzyła go spojrzeniem, które było zarówno pełne błagania o pomoc, jak i nienawiści, właściwej Quorrlom. Dzięki niej właśnie stali się oni tak znakomitymi wojownikami.

Mardu uklękł obok kobiety, położył jej swą lewą rękę na karku, jak gdyby chciał jej pomóc podnieść się i stanąć na zwęglonych kikutach, po czym drugą ręką ukradkiem wyciągnął skaner zza pasa.

Ponieważ przyłożył zaokrąglony koniec broni przez dziurę w płaszczu wprost do jej pokrytej łuskami skóry, nie nastąpiła jakaś podejrzana eksplozja. Kobieta Quorrl zadrżała tylko i nagle zwiotczała w jego ramionach, a większość jej wewnętrznych organów rozplynęła się bezgłośnie. Mardu zdołał położyć ją na ziemi i ledwo udało mu się nie upaść pod ciężarem jej ciała. Udało mu się równie niepostrzeżenie schować z powrotem broń i wysuwać ciało z dziurawego płaszcza, który szybko zarzucił sobie na ramiona. Zaskoczył go jego ciężar, a coś, co było przymocowane do jego wewnętrznej strony, zaczęło boleśnie obcierać jego poparzoną skórę. Kiedy chciał sprawdzić, co to jest, jego spojrzenie trafiło na chudego chłopaka o jasnych blond włosach, który patrzył się na niego wielkimi oczami. Mardu zrozumiał, że chłopak wszystko widział.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy jego także powinien zastrzelić, opuścił nawet rękę sięgając do skanera, ale cofnął ją - nie dlatego, że dostrzegł przerażenie w oczach chłopca, po prostu kolejnym strzałem zwróciłby na siebie uwagę tłumu.

Zamiast tego podszedł więc szybko do dzieciaka i zmierzył go surowym spojrzeniem od stóp do głów. Trudno było ocenić jego wiek, chłopak był bardzo młody, a pod maską przerażenia na jego twarzy Mardu dostrzegł coś innego, bardzo czujnego.

- Ona cierpiała potworne bóle i już nie wyzdrowiałaby... - powiedział.

- Chciałeś po prostu ukraść jej płaszcz - odparł chłopak.

- Uwolniłem ją od bólu i cierpień - poprawił generał łagodnym tonem. Jego ręka pogładziła

ukryty skaner.

Chłopak zamrugał oczami, nie mogąc oderwać wzroku od płaszcza i daremnie spróbował popatrzeć Mardu prosto w twarz.

- Tak, panie, dobrze zrobiliście - odpowiedział nerwowo.

- Wiesz, kim jestem? - spytał Mardu.

Chłopak potrząsnął głową gwałtownie.

- Słyszałeś kiedyś o generale Mardu? - pytał dalej i tym razem chłopak tak gwałtownie skinął głową, że generał wiedział, iż kłamie.

Pomijając już fakt, że taka reakcja nieco raniła jego dumę, to odpowiedź twierdząca także zaskoczyłaby Mardu. Nie znajdowali się w tej części miasta, w której mistrz klanu Craiden i dowódca jego armii byli szczególnie znani - ani też lubiani. Craiden w końcu nie był na tyle głupi, aby odpalić bombę tam, gdzie mieszkali jego zdeklarowani zwolennicy.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - spytał generał.

- Quizzack, panie.

Co za głupie imię.

- Co za śliczne imię, Quizzack - powiedział. - I wydajesz się być rozsądnym facetem. Mianuję cię niniejszym moim adiutantem.

Znalazłem się daleko od moich oddziałów i muszę wrócić do kwatery głównej. Zaprowadzisz mnie tam i otrzymasz sowite wynagrodzenie.

- Ale ja zupełnie nie wiem, gdzie...

- Znasz drogę do Niebiańskiego Dworca?

Chłopak przytaknął, Mardu skinął więc głową i mówił dalej: - To zaprowadź mnie tam.

Quizzack w odpowiedzi zaczął nerwowo przestępować z jednej nogi na drugą i wreszcie odpowiedział wystraszonym głosem: - Ale ja już mam pracę, panie, i w ogóle nie wiem nawet, co robi adiutant!

- Wszystko, co każę - pouczył go Mardu szorstko i przezornie położył rękę na skanerze, co powstrzymało chłopaka przed zadawaniem dalszych pytań. Quizzack odwrócił się i ruszył naprzód tak szybko, że Mardu z trudem nadązał, aby się nie zgubić. Prawdopodobnie na to właśnie liczył młodzieniec.

Generał dogonił go w kilku szybkich krokach, popatrzył gniewnie i znów niemal przypadkowo położył rękę na skanerze - a młodzieniec, który najwidoczniej to dostrzegł, jednak okazał się wystarczająco bystry, bo w końcu zaczął iść wolniej.

- Możesz mi powiedzieć, co się właściwie stało, Mardu? - spytał po chwili. - Ta błyskawica! Skąd ona się wzięła?

- „Wy” - poprawił go Mardu surowo. - I zwracaj się do mnie: „generale”!

Quizzack spojrzał na niego bezradnie, a Mardu postanowił wyjątkowo nie bić nowego adiutanta i choć raz dać pierwszeństwo łasce przed karą. Wzruszył więc ramionami lekceważąco i rzekł: - Jakaś diabelska sprawa z tą Czarną Wieżą, tak zakładam.

- R'Achernon? - Quizzack zamrugał, jeszcze bardziej oszołomiony. - Ale dlaczego oni mieliby zrobić coś takiego? Jego mieszkańcy dają nam wszystko, co jest nam potrzebne do życia i chronią nas przed niebezpieczeństwami.

Mardu stracił resztę humoru i zaśmiał się ponuro.

- Tylko nie chronią was przed nimi samymi. Kto ci naopowiadał tych bzdur, chłopcze?

- No, to... przecież każdy to wie - odpowiedział Quizzack niepewnie. - Dali nam maszyny do manny, przysyłają nam uzdrowicieli, chronią nas przed chorobami i niepogodą...

- I spuszczają ogień z nieba, kiedy mają taki nastrój - parsknął śmiechem Mardu. - Musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć, mój młody przyjacielu. Nie wszystko jest takie, jak ci się wydaje.

A ponieważ miał uczucie, że teraz trochę wspaniałomyślności nie zaszkodzi, dodał: - Nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć o świecie, chłopcze. W końcu nie potrzebuję głupiego adiutanta.

Spojrzenie Quizzacka było teraz tak bezradne, że Mardu niemal zrobiło się go żal. Chłopak zamierzał właśnie zadać kolejne, pełne zdumienia pytanie, kiedy nagle w tej chwili za nimi rozległo się głośnie dudnienie, które przybierało na sile. Mardu przerażony odwrócił głowę i zobaczył, że zawalił się budynek, w którym przed kilkoma minutami znalazł schronienie. A więc decyzja, aby posłuchać głosu niemiłego i pozornie bezpodstawnego uczucia, była całkiem słuszna.

Fasada nie zawaliła się bez przyczyny. Kiedy już opadł kurz i Mardu mógł zobaczyć więcej niż szare smugi w powietrzu, dostrzegł olbrzymią czaszkę z parą jeszcze większych owadzych oczu, wynurzającą się z ruin. Zaraz obok rozleciał się kolejny fragment muru i wynurzył się drugi heliopter - osłabiona przez pożar ściana stawiała niewielki opór biomechanicznemu ciału monstrum.

Wrzaski i przerażone wołania mieszały się z rosnącym hukiem zawałającego się budynku. Wybuchła panika. Kto mógł, uciekał biegiem lub czołgał się naprzód, uchodząc przed koszmarowymi potworami, które wynurzyły się nagle z tyłu budynku.

Ale ważki nie zamierzały rzucić się w pogoń za biegnącymi ludźmi, lecz sondując otoczenie, wysunęły głowy z ruin, zaś Mardu doznał nagle nieprzyjemnego uczucia, że spojrzenie zimnych, ogromnych owadzych oczu obejmuje uważnie każdą pojedynczą twarz w tłumie.

W samą porę odwrócił się i nawet nie był specjalnie zdziwiony, kiedy po drugiej stronie ulicy dostrzegł kolejną wstrętą głowę olbrzymiego insekta. Monstrum zrezygnowało widocznie z zamiaru przebijania się przez ścianę budynku, lecz gapiło się z wypalonego przez pożar okna, które wyglądało tak, jakby od stuleci nie było w nim szyb. Podobnie jak dwa poprzednie, ten heliopter nie miał jeźdźca, lecz Mardu wydało się, że dostrzegł za sobą jakieś powolne ruchy. Usłyszał ogłuszający huk i trzask, jak gdyby zawaliły się drzwi i wewnętrzne ściany budynku.

- Co się tu dzieje? - zapytał niepewnie. Oba jego serca biły jak oszalałe.

Quizzack wzruszył ramionami.

- Czegoś takiego... one jeszcze nigdy nie robiły- powiedział nieskładnie. Oderwał wzrok od monstrualnych istot z głowami insektów i zaczął bacznie obserwować twarz Mardu. - Wygląda na to, że czegoś szukają.

Albo kogoś.

Generał dopiero teraz zdał sobie sprawę, że chłopak jako jeden z nielicznych w jego otoczeniu nie wpadł w panikę. Podczas, kiedy wszyscy uciekali na łeb na szyję i próbowali w popłochu znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu - Quizzack rozglądał się bacznie dookoła i choć sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego, to właściwie nie wydawał się wystraszony. Wprawdzie nie znał Mardu, ale chyba instynktownie czuł, że nie może mu się nic stać, jeśli tylko będzie w pobliżu Wybranego.

- Jak się dobrze zastanowić - ciągnął po chwili Quizzack - to właściwie nigdy nie widziałem tyłu heliopterów w kupie razem.

Pytanie, co to może znaczyć.

Jak gdyby kiedykolwiek widział takiego potwora z bliska! - pomyślał Mardu.

- To czemu do nich nie podejdziesz i nie zapytasz? - spytał szyderczo. Wykonał gburowaty gest nie dopuszczając chłopca do głosu i ironicznie wskazał na ulicę. Panika, która wybuchła wśród ocalałych, równie szybko ustała. Nikt chyba nie miał już siły nawet na strach i ucieczkę.

-Jazda, Quizzack! Do Niebiańskiego Dworca jeszcze kawał drogi - powiedział rozkazującym tonem Mardu.

- To za daleko na jeden dzień marszu - poprawił go jego świeżo upieczony adiutant, ale posłusznie ruszył w drogę.

Zatrzymał się gwałtownie po kilku krokach.

Trzy helioptery w domach po lewej i prawej stronie ulicy nie były osamotnione. U jej wylotu pojawił się kolejny kompletny patrol - tym razem z jeźdźcami - i ważki opuszczały się w dół wprost na znajdujący się pod nimi tłum. Ludzie, Quorrlowie i pozostali, zupełnie mu nieznanymi mieszkańcy miasta na widok trzech kolosów rzucili się do ucieczki i rozpiechli na wszystkie strony. Nie wszystkim udało się w porę zbiec.

Mardu szybko spojrzął przez ramię i już bez odrobiny zaskoczenia stwierdził, że obraz za nim jest lustrzanym odbiciem tego, co działo się przed nim na horyzoncie. Nawet nie był zdziwiony, kiedy nad ulicą pojawiły się trzy kolejne helioptery i gwałtownie uderzając skrzydłami to zniżały się, to ponownie unosiły do góry.

Opuścił głowę, podniósł kołnierz płaszcza i instynktownie dotknął skanera, a potem wyciągnął rękę w kierunku zdobytej broni jednego z pilotów. Użycie jej graniczyło w tym momencie z samobójstwem, ale już samo dotknięcie jej nieco uspokoiło generała.

Ale było to jedyne, co mogło go w tej chwili choć trochę uspokoić. Doskonale wiedział, co oznaczało dziwne zachowanie helioptery: tkwił po uszy w gównie!

- To jest niepokojące - odezwał się Quizzack wyniośle. - Czy nie wiecie, generale, czego one szukają?

Mardu pomyślał, że chłopakowi (każdemu właściwie, może z wyjątkiem mistrza klanu Craidena) nie przystoi taki ton, ale postanowił ukarać adiutanta za taką bezczelność w stosunku do swojej osoby później. W tej chwili miał zupełnie inne zmartwienia na głowie. W międzyczasie trzy helioptery zablokowały ulicę przed nimi na całej szerokości, pozostawiając jedynie wąskie przejście. Ich jeźdźcy zsiadli i zeszli na ulicę. Dwaj wyciągnęli swoją niesamowitą broń i uważnie obserwowali tłum przed sobą, podczas kiedy trzeci zaczął przepuszczać ludzi przez wąskie przejście, zaglądając każdemu w twarz. Generał z dreszczem przerażenia pojął, że doskonale wiedzieli, jak on wygląda i gdzie mniej więcej może się znajdować. Pytał sam siebie, czemu po prostu nie otworzyli ognia do tłumy, żeby potem móc spokojnie przeszukać wszystkie zwłoki. Mieli do tego prawo. Na ulicy były setki tych, którzy przeżyli, ale ich liczba daleka była od trzech tysięcy, która im niejako „przysługiwała” w prawie odwetu.

Mogło to oznaczać tylko jedno, pomyślał ponuro. Chcieli go dostać żywego.

- Nie znasz jakiegoś innego wyjścia stąd? - spytał chłopca.

- Macie na myśli, żeby nie przechodzić obok nich? - Quizzack ruchem głowy wskazał na blokadę.

Wówczas Mardu zauważył coś, czego dotychczas nie dostrzegł: tylko nieliczni z ocalałych godzili się dobrowolnie przejść przez żywą blokadę, koło monstrualnych owadów oczu i nerwowo kłapiących żuwaczek. Mardu doskonale to rozumiał i nie mógł nikomu mieć tego za złe. Na domiar wszystkiego żywa blokada ruszyła powoli naprzód, a obaj jeźdźcy pedantycznie oglądali każde zwłoki i każdego ciężko rannego, zanim chitynowe, opancerzone odnóża ich wierzchowców nie zaczęły brnąć dalej. Mardu nie potrzebował oglądać się do tyłu, aby wiedzieć, że rozgrywało się tam dokładnie to samo. Oba patrole zbliżały się do siebie z przeciwnych kierunków, kontrolując w powstałym korytarzu praktycznie każdego - żywego, rannego czy też umarłego. Cała procedura mogła trwać godzinę lub dwie, co zupełnie nie wpływało na jej wynik.

Mardu zaczął się bić z myślami. Dzięki zdobytej broni miał wprawdzie w zanadrzu niemiłą niespodziankę dla swych prześladowców, ale tego asa chciał zachować jako absolutną ostateczność, a czy był Wybranym czy nie, jeszcze nie oszalał na tyle, aby wmówić sobie, że może zwyciężyć w strzelaniu z dziewięcioma heliopterymi naraz. Wszak bogowie chronią dzielnych, nie stukniętych.

- Tak - odpowiedział krótko i z opóźnieniem na pytanie Quizzacka. Ten potrzebował dłuższej chwili, aby skojarzyć swoje pytanie i odpowiedź generała. Skinął więc głową, choć co prawda zrobił to z wahaniem i powiedział: - Przez katakumby. Tam na dole, pod spodem są wielkie piwnice.

Dobrze znam tę drogę.

Mardu jednak potrząsnął głową z jakimś smutkiem i ku zdziwieniu chłopaka poprzestał na tym. Po dłuższej chwili milczenia zmierzył adiutanta dziwnym spojrzeniem. A potem podjął decyzję.

- Bądź zawsze blisko koło mnie - rzekł. - A jeśli zacznie się coś dziać, bądź gotów na wszystko.

Wzrok Quizzacka wyrażał jedynie kompletny brak zrozumienia (jednak w połączeniu z pewną dozą przebiegłości widoczną w jego wzroku, chłopak znów wydawał się być dość sympatyczny).

Mardu wyprostował ramiona i czując gwałtowne bicie swych obu serc, zaczął energicznie torować sobie drogę przez kłębiący się na ulicy tłum. Robiło się coraz bardziej ciasno, bo wystraszeni przechodnie cofali się przed nadciągającymi z obu stron potworami i ich jeźdźcami. Dokładnie tak, jak sobie życzył generał.

Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielkie podejmował ryzyko, ale i tak nie miał zbyt wielkiego wyboru. A przede wszystkim na próbę wystawiona została jego cierpliwość.

Nie minęło więcej niż pół godziny, lecz Mardu wydało się wręcz wiecznością. W tym czasie umierał tysiąc razy i dostrzegał co najmniej tyle samo przeszkód, które mogły pogrzebać jego plan.

Prawdopodobnie helioptery dawno wiedziały nie tylko to, gdzie generał się znajduje, ale także o czym akurat myślał i po prostu okrutnie się z nim bawiły.

W końcu był już odpowiednio blisko latających potworów. Jeszcze raz niemal z tkliwością pogłaskał zdobyczną broń, ale zza pasa wy dobył skaner. Niewiele mógł nim zdziałać przeciwko heliopterom i ich jeźdźcom, a ściana, która mogła się na nie zawalić po wystrzale, była o wiele za daleko. Mimo to Mardu dalej trzymał skaner. Podniósł go do góry w ten sposób, żeby dało się go schować za rogiem płaszcza i aby przynajmniej nie był widoczny z daleka, po czym skierował broń w stronę tłumy i strzelił dwa razy w różnych kierunkach.

Z obiema żywymi blokadami stało się dokładnie to, czego się spodziewał.

A nawet wyszło jeszcze lepiej.

Pierwszy strzał trafił w jakiegoś biedaka, który w chmurze czerwonej eksplozji dosłownie rozleciał się na składniki pierwsze, pokrywając nimi wszystko w promieniu dziesięciu metrów. Rozległy się krzyki, wrzaski, robiło się coraz głośniejsze, aż wreszcie znów wybuchła panika, na co właśnie liczył generał. Szalejący tłum rozbiegł się na wszystkie możliwe strony, a jego znaczna część rzuciła się wprost na helioptery i ich całkowicie zaskoczonych pilotów, nie zwracając tym razem najmniejszej uwagi na groźnie kłapiące żuwaczki i uniesioną w górę broń.

Efekt drugiego strzału Mardu był jeszcze bardziej spektakularny.

Trafił Quorrla, jednak zdołał tylko go drasnąć. Stwór nie został więc rozerwany na kawałki jak poprzednio trafiony człowiek, za to wpadł we wściekłość, właściwą wojownikom o wyglądzie dawno wymarłych gadów kopalnych. Było to nieprzyjemne w najwyższym stopniu dla wszystkiego i wszystkich, którzy mieli pecha znaleźć się w zasięgu Quorrla. Panika, która wybuchła po tej stronie, była o wiele większa od tej, która miała miejsce po drugiej stronie ulicy. Efekt całej akcji przekroczył najśmielsze oczekiwania Mardu. Tłum dosłownie eksplodował. Krzyk wydobywający się z setek gardeł zagłuszył wszystko i setki oszalałych z przerażenia postaci dosłownie przetoczyły się przez helioptery. Przynajmniej kilkunastu uciekających zapłaciło za to życiem, bardzo wielu zaś odniosło ciężkie rany. Za to trzy olbrzymie ważki zostały po prostu wymiecione przez tłuszczę.

Piloci zniknęli na dnie żywej rzeki, jaką stał się wylewający się na ulicę tłum.

Rzece tej dał się ponieść także Mardu. Biegając w popłochu, upadł przynajmniej kilkanaście razy, ale w końcu znalazł się w odległości co najmniej stu kroków za rzekomo nieprzezwyciężoną żywą blokadą. Tłum ciągle parł do przodu, porywając ze sobą generała, któremu tym razem udało się ustać na nogach, podczas kiedy ulica za nim dosłownie zamieniała się w piekło.

Przyczyną nie był jednak wyłącznie wywołany przez niego chaos.

Jeźdźcy patrolu unoszącego się w powietrzu wpadli na ten sam pomysł, co generał i zaczęli strzelać na oślep. Wiele strzałów okazało się celnych - efektem byli kolejni zabici i ranni. Ostrzał stopniowo wzrastał i zabitych było coraz więcej w miarę zbliżania się uciekającego tłumy do Mardu i do wszystkich szczęśliwców, którzy zdążyli w międzyczasie wydostać się poza blokadę. Było jasne, że helioptery doskonale znały jego położenie i znakomicie się bawiły, nadając okrutnej zabawie coraz większe tempo. Być może potrafiły dobrze odgadywać jego myśli i przewidywać każdy jego ruch - jak w partii szachów.

A może po prostu generał nie był aż tak przebiegły, jak mu się wydawało.

Niezależnie od wszystkiego - pozostało mu najwyżej zaledwie kilka sekund. Fala kompletnego

zniszczenia przybierała na sile i zbliżała się coraz szybciej. Trzy helioptery były już na ziemi - ku przerażeniu Mardu na ziemi byli również ich trzej jeźdźcy - i oni właśnie zablokowali ponownie ulicę. W górze pozostały kolejne trzy helioptery, które wyraźnie miały zamiar zrobić wszystko, aby przy życiu nie pozostał dosłownie nikt. A przedsięwzięte ku temu środki były niezwykle drastyczne.

Mardu podniósł zdobyczną broń, wymierzył ją dokładnie w stronę środkowego helioptera i strzelił.

Także tym razem przez chwilę nie było niczego widać ani słyszeć. Protopteryd... po prostu zniknął, a przynajmniej zniknęła jego górna połowa - razem z jeźdźcem. Pozostały kawałek ciała insekta runął w dół, wykonując po drodze szaleńczą spiralę i ciągnąc za sobą gęstą chmurę dymu. Generał wycelował więc do drugiego helioptera i strzelił - ale nie trafił już tak celnie. Tym razem w chmurze czerwieni zniknęła zaledwie głowa potwora, zaś jego jeździec wyleciał z siodła i rozpaczliwie wymachując rękami, spadł z wysokości mniej więcej dziesięciu metrów na ziemię. Mardu nie sądził, by nieszczęśnik przeżył ten upadek.

Trzecia i ostatnia gigantyczna ważka zareagowała o wiele bardziej powściągliwie, niż się spodziewał: z niesamowitej broni padł celny strzał, a generał nie był w stanie ocenić, czy strzelał pilot czy też sam heliopter.. Ludzie i Quorrlowie po jego prawej i lewej stronie po prostu zniknęli z powierzchni ziemi - a grunt między jego stopami zaczął po prostu wrzeć i zmieniać się w czarne, gorące błoto.

To Quizzack uratował Mardu: chwycił go za kołnierz, zapominając o należnym mu jako oficerowi szacunku i z całą siłą szarpnął na bok. Generał padając, wylądował na grzbiecie, dostrzegł jednak, że tam, gdzie przed chwilą stał, szalała śmierć, której nie uszedłby, gdyby chłopak nie odciągnął go w porę i nie przewrócił na ziemię.

Już w następnej chwili Quizzack poderwał go znowu z zaskakującą siłą, postawił na nogi i popchnął do przodu. Mardu postanowił wyjątkowo darować mu tak niestychane zachowanie i zrobił kilka kroków we wskazanym kierunku. Po jego lewej stronie coś wielkiego i wrzeszczącego rozleciało się właśnie na krwawe kawałki - zaś on sam miał wrażenie, że ziemia pod jego stopami staje dęba i próbuje go zrzucić, zupełnie jak oszalały koń.

- Tam, panie! - ryknął Quizzack. - W lewo!

Mardu zareagował z niemałym opóźnieniem, więc chłopak znów popchnął go gwałtownie do przodu, ale tam ziemia dosłownie zaczęła się rozstępować. Wtedy Quizzack pociągnął go brutalnie w tył. Ktoś potknął się o Mardu, na tyle gwałtownie, że ten niemal stracił równowagę. Cienkie, chude ręce wczepiły się w jego skradziony płaszcz, jakiś histeryczny, zrozpaczony głos zaczął błagać o pomoc.

Generał gwałtownie wbił łokieć w wyłaniającą się obok bladą twarz i wyciągnął broń, żeby sprzątnąć trzeci heliopter, nie trafił jednak, szarpany przez rozszalały tłum. Za to zupełnie niechcący posiekał głowy kilkunastu uciekinierom i porozrywał wyciągnięte w górę ręce.

W efekcie tego panika jeszcze bardziej przybrała na sile, o ile to w ogóle było możliwe, a co było mu niewątpliwie bardzo na rękę.

Tłum, zupełnie jak olbrzymia, morska fala, która załamała się na skale, cofnął się prosto na wielką ważkę. Przewrócił drugi raz heliopter i za chwilę zapłacił za to kolejnymi głowami bądź też - dosłownie - innymi częściami ciała.

Obaj jeźdźcy w międzyczasie zdążyli dosięść swych dziwacznych wierzchowców i sięgnąć po broń. Mardu oddał w ich stronę kilka mniej lub bardziej celnych strzałów, odcinając jedno ze skrzydeł olbrzymiej ważki. Wreszcie zdecydował się podążyć za swym adiutantem, dającym mu rozpaczliwe znaki. Odskokczył szybko na bok.

Uznał niemal za oczywiste, że część muru za jego plecami rozleciała się z hukiem w drobny mak, po czym popędził zygzakiem za uciekającymi postaciami. Quizzack czekał przy jakiejś małej przybudówce, wyglądającej trochę jak kamienna narośl na ścianie wypalonej ruiny budynku. Jego dach zawalił się w połowie, a z wąskiego okna ciągle wydobywały się płomienie. Chłopak bez najmniejszego wahania pochylił się i wcisnął w jakiś otwór pod zawalonymi drzwiami, a Mardu posłusznie zrobił to samo. Nie miał już nic do stracenia.

Coś jak niewidoczne uderzenie olbrzymiego młota, trafiło w ocalałą część dachu,



gruchocząc go doszczętnie. Jakaś siła porwała Mardu i odrzuciła kilka metrów dalej - dopiero teraz zobaczył przed sobą wykrzywioną z wściekłości twarz jeźdźca helioptera. Siedział on niewzruszenie na swym wierzchołku i unosił się w powietrzu zaledwie dziesięć metrów wyżej. W rękę trzymał broń, celując wprost w głowę Mardu, ale z jakiegoś powodu wahał się - nie strzelał.

Generał nie miał takich obiekcji. Zestrzelił jeźdźca w siodle bez większego wysiłku i błyskawicznie poturlał się kilka metrów dalej, bo zgodnie z jego przewidywaniami heliopter dostał ataku szału i zaczął niszczyć wszystko w zasięgu swoich żuwaczek. Ze wszystkich stron leciały kamienie, ale nagle jakaś chuda ręka chwyciła Mardu za ubranie i pociągnęła go jednym szarpnięciem głęboko w ciemność.

- Na dół, panie! - usłyszał zdyszany głos Quizzacka - do piwnicy!

Mardu spróbował uwolnić się z jego uchwytu, ale adiutant w tym momencie wydawał się silniejszy i mocnym szarpnięciem pociągnął go w dół. Potykając się, biegli obok spalonych resztek jakichś mebli, przecisnęli się przez wybite w murze przejście i weszli do dużego pomieszczenia, oświetlonego czerwonymi płomieniami ognia, pełnego zabitych i umierających. Heliopter szalał z tyłu za nimi, rozwalając murowaną przybudówkę i rycząc z wściekłości.

Klucząc między leżącymi wszędzie zwłokami, chłopak prowadził Mardu gdzieś dalej w głąb budynku, do szerokich schodów, skąd wydobywał się potok gęstego, gorącego powietrza. Odór spalonych ciał był nie do wytrzymania, podobnie jak swoisty zapach kamienia zamieniającego się w lawę i intensywna woń rozgrzanego metalu.

Generał poczuł, że się dusi, lecz młody sprawnie przedzierał się dalej.

Wypuścił wreszcie z żelaznego uchwytu ramię Mardu i zaczął przeskakiwać po dwa, trzy stopnie schodów. Biegł teraz jeszcze szybciej.

Schodzili coraz niżej, pędząc w dół po schodach, gdzie było zdumiewająco jasno. Światło zmieniło jedynie otaczające ich kolory, przybierając coraz silniejszy odcień czerwieni. W wąskim korytarzu wzrosła temperatura, co wręcz utrudniało oddychanie. Na schodach również leżały zwłoki, większość częściowo spalona. To byli ci uciekający, którzy usiłowali wydostać się z piwnicy, a płomienie dopadły ich aż tutaj. Generał i chłopak biegli w dół, wprost w otwartą gardziel piekła.

Potworny huk z tyłu i jeszcze bardziej przerażający, wściekły ryk przekonały Mardu, że podążanie za Quizzackiem nie było wcale najgorszym pomysłem. Przyśpieszył więc kroku i niemal dogonił chłopca tuż przy końcu schodów.

Tu pojawiło się wejście do ogromnego, półokrągłego tunelu, biegnącego dalej w dwóch kierunkach: w lewo szyb prowadził w całkowitą ciemność, zaś po drugiej stronie - tej, gdzie znajdowało się centrum eksplozji technomagii - Mardu dostrzegł czerwień piekielnego żaru. Stamtąd właśnie docierał potworny skwar zapierający dech, niemal jak z hutniczego pieca. Trudno było powiedzieć, jak daleko byli od serca czerwonego potwora... w każdym razie nie tak daleko, jakby tego sobie życzył Mardu.

Ku przerażeniu generała, Quizzack skierował się wprost na ścianę płomieni.

- Czyś ty oszalał?! - wydyszał i szarpnął chłopaka mocno do tyłu.

Ten uwolnił się i gwałtownie potrząsnął głową.

- Tam z przodu jest tunel, który skręca w bok, kilka kroków dalej! - zapewnił młody. - Znam tę drogę! Chyba, że chcecie tutaj poczekać?

Zbędne pytanie, pomyślał Mardu, tak samo zbędne jak ruch głowy chłopaka, którym ten wskazał na schody. Dudnienie i rumor przybierały na sile. Generał niemal wyczuwał, że coś ich ścigało. Coś bardzo dużego, bardzo szybkiego i - bardzo wściekłego.

-Jeśli kłamiesz... - zaczął groźnie.

- To umrę przed wami, panie - dokończył Quizzack.

Dobiegające z tyłu hałasy i coraz wyraźniejsze odgłosy ciężkich kroków podkreśliły znaczenie poważnych słów chłopaka. Generał rzucił krótkie, pełne tęsknej nadziei spojrzenie w głąb ginącego w ciemności tunelu, po czym sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął fluorescencyjny pręt i uruchomił go, popychając pokrętko na dolnym końcu o pół obrotu, po czym silnym ruchem

rzucił pręt w ciemność.

Świecący przedmiot łagodnie osunął się na ziemię, a po chwili uniósł się nieco w górę, jakby w oczekiwaniu na nich.

Mardu w milczeniu wskazał Quizzackowi kierunek, ten zaś usłuchał bez słowa sprzeciwu.

Gea. Jeszcze zanim martwe ciało Orgona osunęło się na ziemię, obcy dosłownie upadł na kolana przy Gei i wyciągnął do niej rękę.

- Wszystko w porządku z tobą, mała? Ciężko cię zranił?

- Nie - wymamrotała, odpowiadając jednocześnie na oba pytania, po czym wypluła krew i przejechała wierzchem dłoni po wargach, zanim dodała: -I nie mów do mnie „mała”.

- Jak sobie życzysz - odparł z wyrazem życzliwości i troski w oczach.

Gea podniosła się, przybierając pólsiedzącą pozycję i zamrugnęła gwałtownie, chcąc usunąć dziwne, czerwone smugi sprzed oczu. Zrobiło jej się niedobrze.

- Przestań gapić się na moje piersi! - prychnęła.

Jej wybawca, który dotychczas nie zdradzał nawet takich chęci, westchnął przeciągle i wzruszył ramionami.

-Widziałem już coś takiego - rzekł. -Ale przeważnie były większe.

- No, to przynajmniej mogę mieć nadzieję, że będziesz trzymał ręce przy sobie - syknęła urażona Gea.

Czarnowłosa znów westchnął, popatrzył przez długą chwilę na martwego chłopaka, po czym jego twarz przybrała taki wyraz, jak gdyby zadawał sobie pytanie, czy opowiedział się po właściwej stronie. Uśmiechnął się w końcu, patrząc znów na Geę.

- Zdaje się, że nic poważnego ci się nie stało. Jednak pozwól, abym popatrzył. - Nie zważając na protesty, odsunął jej rękę i obejrzał krwawe nacięcie pod żebrami. W pierwszej chwili sprawiał wrażenie prze- rażonego, potem tylko nieco zaskoczonego, a wreszcie jedynie zakłopotanego. Zmarszczył czoło, patrząc zagadkowo na jej twarz.

- To tylko wygląda przerażająco, ale nie jest ze mną tak źle - powiedziała pośpiesznie Gea.

- Tak, przypuszczam, że za chwilę powiesz, że to już wcale nie boli, co? - spytał sarkastycznie.

Gea wołała nic już nie mówić, co jej wybawca potraktował jako wystarczającą odpowiedź. Bez słowa ujął ją pod brodę, przekręcił w bok głowę i pociągnął w dół jej dolną wargę, zupełnie jak kupiec oglądający konia na targu.

- Straciłaś dwa zęby - stwierdził. - Bez takich ubytków wyglądałabyś ładniej. Przed tobą kilka trudnych dni. Wiesz, jak to boli, kiedy wyrastają nowe zęby?

- To nie persz rasz - wymamrotała Gea w odpowiedzi, gniewnym ruchem uwolniła głowę i dodała, akcentując tym razem niemal przesadnie: - To nie jest pierwszy raz. A ból to dla mnie żaden problem.

Czarnowłosa popatrzył na nią przeciągle i z niejakim zamyślenie, przez co wyraz jego oczu stracił nieco ze swej życzliwości.

-Jak masz na imię? - spytał.

- Gea. A ty?

Zamiast odpowiedzieć, nieznajomy wyciągnął rękę i wygrzebał jeden z błyszczących złotych dinarów leżących na ziemi, między gruzami i odłamkami szkła. Zamyślony, ważył przez chwilę monetę w rękę, po czym wstał i pomógł jej się podnieść. Udało się, choć dziewczyna zachwiała się nieco, a bok rozboleł ją tak strasznie, że nie mogła stać prosto.

-Jesteś dzielna - pochwalił czarnowłosa.

- I nieuprzejma - dodała Gea - nawet ci nie podziękowałam.

Gdyby nie ty, byłabym już martwa.

-I w dodatku byłaby to wyłącznie twoja wina - nieznajomy patrzył na nią uważnie. - Zaczynani sobie zadawać pytanie, czy rzeczywiście powinienem był ci pomagać.

- Niby dlaczego? - spytała Gea. Spróbowała się uśmiechnąć, ale sama czuła, że to się nie

uda. Nagle ta twarz, o ostrych rysach i pełna niezwykłej siły, nie wydała jej się już tak sympatyczna. Przypomniała sobie, jak szybko i bezlitośnie zabił Orgona.

- Uważasz to wszystko za świetną zabawę, prawda? - spytał. - To jedynie interesująca przygoda, tak? Tylko, że to nie jest przygoda.

Mogłaś po prostu zginąć.

- Ale nie zginęłam - odparła opryskliwie.

- Nie, ale zginęło pięciu innych, a trzech z nich zabiłem ja - powiedział poważnie. - Nie, żeby mi to przeszkadzało, zwłaszcza, że mogę uwolnić ulicę od tego motłochu, ale może nie było to konieczne. A wszystko tylko dlatego, że rozpuszczona, bogata dziewczyna z lepszej sfery po prostu się nudzi.

- A skąd wiesz? - spytała.

Czarnowłosa schylił się i podniósł drugą monetę.

- Że jesteś bogata?

- Nie, że rozpuszczona i z lepszej sfery - Bo tak jest zawsze - odparł nieco zirytowany - myślisz, że jesteś pierwszym znudzonym dzieckiem bogatych ludzi, które zjawia się tutaj w poszukiwaniu przygód?

- Przecież to byłoby lekkomyślne, prawda?

- Kiedy ma się bogatych rodziców, którzy zapłacą odpowiedni okup jak będzie trzeba albo wyłożą pieniądze na rekonstrukcję?

- podniósł w górę ramiona. - Ile masz lat? Piętnaście, szesnaście?

Czy on rzeczywiście uważał ją za taką smarkulę, czy po prostu bawił się jej kosztem? Gea trzymała się dobrze, ale piętnaście lat? Milczała nadąsana.

- Gdyby tych czterech facetów napadło na ciebie, to do ewentualnej rekonstrukcji pozostałoby niewiele - mówił dalej. - A nie byłabyś pierwszą, która znika bez wieści.

Potrząsnął głową i dodał po chwili: - Powinienem dać ci klapsa w twój śliczny tyłeczek i zawlec cię za ucho do twoich rodziców. Założę się, że nie mają pojęcia, co teraz robisz.

Gea nie odpowiedziała. Przypuszczenia nieznanego były bliskie prawdy, a jednocześnie tak dalece się z nią mijały, jak to tylko możliwe. Jeżeli czegoś w tym momencie żałowała, to wyłącznie tego, że nie może powiedzieć mu prawdy choćby po to, by ubawić się głupim wyrazem jego twarzy. Nie mogła jednak tego zrobić.

Kiedy czarnowłosa nie doczekał się od Gei odpowiedzi, za którą mógłby jej zmyć głowę, odwrócił się z pełnym rezygnacji westchnieniem i podszedł do zwłok starej kobiety. Gea również odwróciła się i zaczęła zbierać rozrzucone monety. Spojrzała przy tym na martwego chłopaka i obu Quorrlów, aby się przekonać, czy rzeczywiście nie stanowią już niebezpieczeństwa.

Jeśli chodziło o Quorrla, którego zastrzelił czarnowłosa, nie było żadnych wątpliwości - dosłownego zdmuchnięcia głowy nie przeżyłby nikt. Także drugi wojownik o skórze z łuskami był martwy: nóż przeciął jego krtań, przebił kręgosłup i po prostu przygwoździł go do ściany, mimo twardych jak żelazo łusek i kościanego pancerza na grzbiecie.

Może Orgon miałby jakieś szanse. Jego wgniecione w gardło jabłko Adama nadawałoby się jeszcze do naprawy, a gdyby mózg nie był pozbawiony dopływu tlenu dłużej niż godzinę, uszkodzenia przypuszczalnie nie byłyby takie duże. Prawdopodobnie po rekonstrukcji nie byłby o wiele głupszy niż przed nią.

- Czy mówiłeś serio, kiedy im zaproponowałeś, że zabierzesz ich do jakiegoś rekonstruktora tu w pobliżu? - spytała.

- Tak, jest tu jeden niedaleko. Pracuje wprawdzie nielegalnie, ale to nie znaczy, że źle. Dlaczego pytasz?

Gea wskazała na martwego chłopaka.

- Może mógłby go uratować. Zapłaciłabym.

Nie od razu usłyszała odpowiedź, a kiedy odwróciła się do swego wybawcy, ten patrzył na nią z prawdziwym zdumieniem.

- Zrobiłabyś to?

- Chyba dostał nieźle w kość i wystarczy, prawda?

- On i jego przyjaciele dopiero co próbowali cię zamordować, a ty chcesz zapłacić za to, żeby został zrekonstruowany?

- A co mi z tego, że będzie martwy?

- Widzę, że twoje sumienie daje o sobie znać, bo powoli zaczynasz rozumieć, co zrobiłaś, prawda?

Zaśmiał się, potrząsnął głową i obejrzał szybko zwłoki starej kobiety - w jego oczach można było dostrzec wyraźny żal. Wyprostował się, spojrzął na Geę i znów, tym razem zdecydowanie, potrząsnął głową.

- Nie, tego rzezimieszka nie ma co żałować. Pewnie niedługo zabiłby go ktoś inny. Pozbieraj pieniądze i znikajmy stąd.

- My?

- Zaprowadzę cię do granicy starego miasta.

Nie była to bynajmniej propozycja.

Wskazany kierunek był co prawda dokładnie odwrotny niż ten, który jej się marzył, ale nie miała ochoty kłócić się z obcym. Powiedziała sobie w duchu, że spór w tej sytuacji i tak nie miałby sensu.

Poza tym jej zapotrzebowanie na przygody na dzień dzisiejszy było już zaspokojone. I może nie było to zupełnie pozbawione sensu, aby mieć przy sobie w dalszej drodze tak silnego obrońcę.

Przykucnęła i posłusznie zaczęła zbierać rozsypane monety. Światło dzienne, które być może dotarło tu po raz pierwszy od stu lat, ułatwiło jej zadanie, ale jednocześnie tak dalece zmieniło otoczenie, że teraz budziło ono niemal trwogę. Pomieszczenie straciło swą malowniczość i swoisty urok dawnej kuchni alchemika, było teraz tylko zniszczonym i niesamowicie brudnym magazynem. Gea cieszyła się więc, kiedy podniosła ostatnią monetę i mogli wreszcie wyjść na zewnątrz. Jej wybawca bez słowa przepuścił ją pierwszą, zatrzymał ją jednak w drugim pomieszczeniu i podał dwa złote dinary, które odebrał zabitym.

- Czy ograbianie zwłok to twój drugi zawód? - spytała złośliwie.

Olbrzym nawet nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć, jedynie rozkazującym gestem wskazał jej kierunek, w którym należało się udać. Kiedy opuścili ostatecznie spustoszone laboratorium i wyszli na korytarz, dołączył do nich kot-chrząszcz - osobliwe stworzenie nie użyło tym razem skrzydeł, lecz dreptało obok nich na głośno klapiących nogach insekta.

W drodze na dół nie spotkali nikogo, choć Gea niemal czuła na sobie czyjeś uparte spojrzenia. Kiedy dotarli do końca schodów, insekt rozłożył skrzydła i, głośno brzęcząc, odleciał, a czarnowłosa wyraźnie zwolnił. Przed wyjściem zatrzymał się, zignorował jej pytający wzrok i milczał uparcie aż do chwili, kiedy „kot” wrócił i usiadł na jego ramieniu. Gea miała wrażenie, że obaj świetnie się komunikują, choć kiedy nadstawiła uszu, nie usłyszała zupełnie nic.

Chciała więc ruszyć dalej, kiedy doszła do wniosku, że bezgłośna rozmowa już się zakończyła. Wtedy czarnowłosa zatrzymał ją, strząsnął z ramienia chrząszcza, który z kocią elegancją skoczył na ziemię, zaś on sam zdjął z ramion pelerynę i bez słów otoczył nią Geę, zasłaniając w ten sposób jej odkryte piersi.

- Czy widok moich piersi tak ci przeszkadza, czy rzeczywiście są one tak zenująco małe? - spytała ostro.

- Tam na zewnątrz jest więcej takich jak Orgon i jego przyjaciele - odparł zupełnie niewzruszenie i dodał: - Chcesz ich spotkać?

- A dlaczego nie? - odparła. - Co może mi się stać, kiedy mam przy sobie takiego opiekuna?

- Właściwie chciałem cię zaprowadzić do domu i zmyć solidnie głowę twojemu ojcu - odpowiedział spokojnie. - Ale sądzę, że został już dostatecznie ukarany.

Wykonał ręką nieco gburowaty ruch i Gea, której zrobiło się przykro z powodu własnej głupiej uwagi, zawinęła się szczelnie w pelerynę i pośpiesznie wyszła z budynku.

Jasne światło oślepiło ją w pierwszej chwili i zaczęła szybko mrugać powiekami. Mimo to zauważyła, że wyszli na zewnątrz po drugiej stronie budynku. Ulica była tu znacznie szersza i choć może nie kipiła życiem, to nie była też opuszczona. Ściana nie była stamtąd widoczna. Po jednej stronie stało kilka straganów, gdzie oferowano jakieś towary, przeważnie artykuły spożywcze, których nigdy by nawet nie powąchała, nie mówiąc już o zjedzeniu. Przy nich stało kilkanaście osób (tylko ludzi), przeszli więc spokojnie obok, wymijani przez obojętnych przechodniów. W otwartych drzwiach i oknach były widoczne jakieś twarze. Z przeciwka zbliżał się do nich w podskokach pięcio-, może sześćioletni chłopiec, który zatrzymał się nagle w pół kroku, odwrócił się przerażony i błyskawicznie uciekł.

Nie tylko jego reakcja wydała się Gei dziwna. Niejeden z mężczyzn nagle na ich widok przyśpieszał kroku, twarze w oknach zaczęły nagle znikać, zaś przypadkowi przechodnie starali się ich ostentacyjnie nie zauważać.

Dotarłszy do końca ulicy, skręcili w lewo na szeroką, bardzo ruchliwą szosę. Domy były tu wyższe, zamieszkałe bez żadnego wyjątku, choć znajdowały się w niewiele lepszym stanie niż ruina, którą niedawno opuścili. Także i tutaj Gea zauważyła dziwne przerażenie na twarzach mieszkańców, choć tu reakcje nie były już tak ekstremalne. Nie była pewna, czy to, co dostrzegła w ich przestraszonych oczach to był rzeczywiście strach, czy też może respekt połączony z czcią?

Po chwili milczenie między nimi stało się tak nieprzyjemne, że Gea ruchem głowy wskazała na kota-insekta, który znów dreptał z przodu i z magicznym wdziękiem kluczył w gąszczu ludzkich nóg, po czym spytała: - To jest doprawdy zadziwiające zwierzę - nigdy czegoś takiego nie widziałam. Należy do ciebie?

Czarnowłosa zmierzył ją dziwnym spojrzeniem, co upewniło ją w przekonaniu, że teraz też nie doczeka się odpowiedzi. W końcu on potrząsnął przecząco głową i odparł: - Nie. Mana nie należy do mnie. To mój przyjaciel.

- Twój przyjaciel?

Przecież to insekt! - Bądź mu wdzięczna - powiedział czarnowłosa - gdyby mnie nie zaalarmował, byłabyś teraz martwa.

Martwa? Nie, pewnie jeszcze nie. Ale z pewnością już by sobie tego życzyła.

- Jak to zaalarmował? - spytała Gea zdumiona. Czy to miało znaczyć, że ten insekt był jego sprzymierzeńcem? Ale jej wybawca nie miał chyba zamiaru mówić nic więcej, Gea darowała sobie więc ko lejne pytania. W każdym razie jej nowy znajomy wydawał się coraz bardziej interesujący.

-I wtedy natychmiast pośpieszyłeś tutaj, żeby dotrzymać towarzystwa damie będącej w potrzebie - rzekła. -Jak szlachetnie. Kim więc jesteś? Zawodowym wybawcą?

-Jestem żołnierzem - odpowiedział - i czasami zjawiam się tu, na starym mieście, żeby rozejrzeć się za nowymi rekrutami.

- Tutaj? Tu, gdzie mieszkają wyłącznie szumowiny i wyrzutki społeczeństwa?

Tym razem w jego oczach dostrzegła gniew, choć przecież tylko zacytowała jego słowa.

- Zycie w tej okolicy jest naprawdę ciężkie - odparł. -Jeśli ktoś przeżyje i poradzi sobie tutaj, to wytrzyma także w armii. Nie wszyscy z tej dzielnicy są złymi ludźmi. A ci, którzy są... - wzruszył obojętnie ramionami. - Armia już u niejednego wytrzebiła złe nawyki.

- Armia?

Gea popatrzyła na niego z jeszcze większym zaciekawieniem.

Ściśle rzecz biorąc armii właściwie nie było, wiedziała o tym doskonale. To była tylko kolorowa zbieranina mniejszych i większych oddziałów, które podlegały dwóm tuzinom mistrzów klanu Oblężenia i traciły czas zwalczając się nawzajem, do czego oczywiście potrzebny był jakiś mniej lub bardziej wyimaginowany powód. Mniej więcej raz na pięćdziesiąt lat wszystkie formacje łączyły się w jedno, co może i zasługiwało na określenie „armia"... Jednak zachowanie tej wiedzy dla siebie w tym momencie wydało jej się mądrzejsze.

- Niech ci żaden głupi pomysł nie przychodzi teraz do głowy - rzekł czarnowłosa. - Żołnierze to nieokrzesany lud, a ja nie zawsze będę w pobliżu, aby ci pomóc.

Nie była pewna, co chciał przez to powiedzieć, ale odpowiedziała mimo to z nieco sztucznym oburzeniem: - Głupi pomysł? A czy ja wyglądam na kogoś, komu przychodzą do głowy głupie pomysły?

Wzniósł oczy do nieba w odpowiedzi i umilkł.

Znów nie zamienili ani słowa przez dłuższą chwilę, tym razem jednak milczenie miało nieco inny wydźwięk. Napięcie znikło i Gea dłuższą chwilę łamała sobie głowę nad tym, jak dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym wybawcy. Wiedziała już, że szanse na sukces w przypadku zadawania bezpośrednich pytań były raczej małe.

Czarnowłosa może nie był już tak zdenerwowany jak przedtem, ale nadal pozostał w stosunku do niej bardzo nieufny. Zapewne nie wierzył w tę historię, którą usiłowała mu wcisnąć - zwłaszcza że, ściśle rzecz biorąc, owa historia była jego wersją wydarzeń. To on wmawiał jej, że jest znudzoną dziewczyną z bogatej rodziny Gea zastanawiała się przez chwilę, jak zacząć niezobowiązującą rozmowę, która dostarczyłaby jej pewnych informacji na jego temat.

W międzyczasie wykorzystała możliwość, aby rozejrzeć się wokół i zrobić to, po co właściwie tu przybyła. Poznać starą część Oblężenia. To, co widziała, nie pokrywało się zupełnie z jej oczekiwaniami.

Wszystko było tu stare, brudne i zaniedbane, ale jednocześnie w jakiś niewypowiedziany sposób fascynujące. Widziała to wszystko tysiące razy, czy to na zdjęciach, czy też na filmach, we wspomnieniach obcych ludzi, ale jednak rzeczywistość była... inna. Nie było tu jednolitego stylu architektonicznego, ani też jakiegoś planu dzielnicy. Miasto rosło po prostu jak wielki organizm, było pełne chaosu, dzikie, i jeśli w ogóle obowiązywało tu jakieś prawo, to było to wyłącznie prawo silniejszego. Gea wiedziała, że załóżkiem miasta był olbrzymi obóz namiotów, ale wydawało jej się, że od tego czasu minęło co najmniej tysiąc lat i tylko chwilami ten czas okazywał się łaskawy dla ludzi. Przedtem, kiedy stała przed niewidzialną Ścianą i patrzyła na park, wyciągnęła całkowicie błędne wnioski: sztuczny krajobraz pełen lasów opadał w dół zbocza, aż do obniżenia terenu, które znajdowało się z pewnością dwadzieścia, jeśli nie trzydzieści metrów poniżej poziomu ulic miasta. I tak było, nawet jeśli Gea była przekonana, że w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Rzekomo gigantyczny krater, z którego centrum wyrastała - zupełnie jak wzniesiona przez ludzi żelazna góra - piekielna wieża, znajdował się dokładnie na poziomie gruntu i tam też znajdowało się owo miasto, które latami, warstwa po warstwie, zostawiało na brzegu oceanu swoje osady pochodzące z dawno martwego czasu. Pod ich stopami znajdowały się labirynty piwnic wzniesione na fundamentach przeszłości. Na gruzach budynków mieszkalnych wznosiły się tunele, wielkie zbiorniki i cementarze, twierdze i magazyny, świątynie zbudowane nad dawno zamurowanymi kanałami. Wiele pokoleń budowało swoje miasto wzdłuż Ściany, przerabiając w ten sposób dziedzictwo kolejnych przodków na własne wspomnienia i wizje. A pod każdym kamieniem, na którym stanęła Gea, znajdowały się miliony niespełnionych marzeń.

Wszystko to odczuwała co chwilę po tysiąc i więcej razy, idąc w milczeniu obok swego wybawcy i przeciskając się przez tłum - te doznania nie były sztucznym wytworem jej wyobraźni, jakimś symulowanym wspomnieniem. Otaczało ją po prostu życie, prawdziwe życie, które odczuwała z każdym oddechem. Przenikało jej ciało, napełniało jej myśli niezwykłą energią, jakiej nie potrafiła nawet opisać ani nazwać. Nigdy nie odczuwała tak wyraźnie, że jest po prostu w samym sercu żywego miasta.

- To, co przedtem mówiłaś o rekonstrukcji... - odezwał się po chwili żołnierz -... mówiłaś poważnie? Zapłaciłabyś za ocalenie tego chłopaka?

- Tak - odparła.

Milczał, kiedy mijali ogromny kompleks jakichś budowli, składający się z niezliczonej ilości krużganków, arkad, ostrołuków, przeróżnych zadaszeń wznoszących się jedno nad drugim, a także wykuszy i balustrad - przy czym zupełnie nie dawało się rozpoznać ani stylu całej konstrukcji, ani też zlokalizować jakiegokolwiek części mieszkalnej. Nigdzie nie mogli dostrzec żadnego ruchu, a jednak Gea miała wciąż świadomość bycia obserwowaną z głębi pomieszczeń przez jakieś oczy, które z pewnością nie należały do ludzi. Miała wrażenie, że jej towarzysz odczuwa podobnie. I choć zarówno jego postawa, jak i wyraz twarzy pozostały tak samo nieprzeniknione jak przedtem, Gea czuła wyraźnie jego napięcie, które zaczęło ustępować

dopiero wtedy, kiedy oddalili się od niesamowitej budowli.

- A dlaczego... - odezwał się nagle, nawiązując do własnych słów wypowiedzianych dobrych kilka minut temu -... twoja propozycja nie dotyczyła tej starej kobiety, którą zabili?

Gea nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Nie wydawało jej się, by jej towarzysz oczekiwał w ogóle jakiejś odpowiedzi. Potrząsnął jedynie głową i zmierzył ją spojrzeniem, które określiłaby jako pełne pogardy, aczkolwiek pełnej sympatii. Opuściła szybko głowę i przyśpieszyła kroku.

Arion. Gdyby w tym momencie na ziemię upadła przysłowiowa igła, to hałas tym wywołany zabrzmiałby w wielkiej sali jak uderzenie pioruna. Panowała tam idealna, choć przytłaczająca cisza, nikt nie ważył się nawet głośniej odetchnąć i - wydawałoby się - nawet pomyśleć. I znów Craiden był tym, który przerwał milczenie: najpierw odrzucił płaszcz do tyłu uwalniając ramiona, po czym podszedł do krzesła na samym końcu stołu, wlokąc z hałasem pas i miecz po podłodze. Usiadł spokojnie bez żadnego wezwania. Właściwie - rozwalił się na krzesło niedbale, opierając lewą nogę na prawym kolanie.

Mimo znacznej odległości Arion wyraźnie dostrzegła kpiący wyraz jego oczu.

Nie powinien był na nią patrzeć w ten sposób.

Nie powinien był w ogóle siedzieć, lecz stać i przez długie minuty recytować prastary tekst, który zapewne nie miał znaczenia nawet wtedy, kiedy był recytowany po raz pierwszy.

Powinien był obwieścić władczyni R'Achernona swoją pogardę i grozić całkowitym unicestwieniem każdej przybyłej tu istocie, jak też powiedzieć tysiąc innych jeszcze bardziej niemiłych rzeczy.

A ona powinna zareagować za pomocą wyważonych, choć równie aroganckich słów, które jej samej wydały się idiotyczne już wtedy, kiedy uczyła się ich na pamięć. W dodatku powinna wypowiedzieć to wszystko w staroświecki i niezrozumiały dla nikogo sposób, przy czym upierali się zarówno Plixx, jak i R'Achernon, oczywiście nawet tego nie uzasadniając.

A więc dobrze, wyglądało na to, że przynajmniej ten kielich goryczy ją ominął.

- Nie byłbym tego taki pewny. Mogły... wyniknąć komplikacje.

Co ty nie powiesz. Jak ja lubię komplikacje. - Uwierz mi, księżniczko, nie takie.

Arion nie widziała żadnego sensu w kontynuowaniu tej bezgłośnej dyskusji, spróbowała więc za pomocą niezwykłych właściwości swojego wzroku powiększyć drugi koniec stołu, aby dokładniej przyjrzeć się twarzy Craidena. Ani on, ani towarzyszący mu wojownicy nie dysponowali możliwością wykonania takiej sztuczki - a dla samej księżniczki była ona bardzo korzystna - jednak skrupuły skłoniły ją do zachowania pewnych granic. Craiden, obdarzony charyzmą czy nie - był w końcu barbarzyńcą, nie powinna więc mieć problemów z okazaniem mu jawnej pogardy. Jaki jest pożytek z przewagi wynikającej z miliona lat skoku technologicznego, jeśli jakieś głupie względy protokolarne stanowią przeszkodę w wykorzystaniu możliwości, jakie owa przewaga ze sobą niosła?

Ale - jakoś się nie udawało. Twarz Craidena ciągle była cieniem oddalonym o czterdzieści metrów, a kpinę w jego oczach księżniczka bardziej wyczuwała niż dostrzegła.

Hej!

- Użycie waszych nanitów w czasie ceremoniału jest niedozwolone. Musicie pozostać na tym samym poziomie w stosunku do władcy klanu, z którego kiedyś wasza prababka wystąpiła w stosunku do jego przodka.

Chyba sam w to nie wierzysz! A poza tym to on jako pierwszy naruszył protokół. - Z czego wcale nie wynika, że wy macie prawo zrobić to samo.

Ja tu jestem szefem! - pomyślała Arion urażona. - Mam wszelkie prawo. -Teoretycznie.

To niekoniecznie było to, co chciała usłyszeć, ale dokładnie to, z czym się liczyła. Zrezygnowała więc z kontynuowania dyskusji. Wytężyła wzrok w tradycyjny, staroświecki sposób, żeby zobaczyć, co tym razem zrobi Craiden, aby doprowadzić do szału Durasa i jego dworaków.

Przez kilka sekund nie robił nic. Po prostu siedział, bawił się rękojeścią swojego miecza i

patrzył na nią. Gdyby jeszcze wygłosił jakąś uwagę nie całkiem zgodną z protokołem - ale coś tu się wymykało spod kontroli.

Zrób coś, R'Achernon!

- A co proponujecie, księżniczko?

Do cholery, nie wiem! Jesteś przecież superkomputerem, sprytniejszym od samego Boga! R'Achernon nie odpowiedział, ale w przeciwległym końcu stołu zaczęło się coś dziać. Nie tylko Arion liczyła się z tym, że żelaźni ludzie Durasa przyłączą się do Quorrlów-wojowników, aby móc natychmiast zaatakować, ale o dziwo pół tuzina olbrzymów nawet nie wykonało jednego ruchu. Zamiast tego... coś działo się ze stołem, coś, czego Arion nie potrafiła ująć w słowa, chociaż przecież widziała to wyraźnie. Wyglądało to tak, jak gdyby stół w jakiś tajemniczy sposób urósł czy stał się dłuższy, a przecież - nic takiego się nie wydarzyło. Nagle z obu stron Craideny pojawiły się po trzy kamienne krzesła, których rozmiary były dokładnie dopasowane do olbrzymich wojowników z łuskami. Na stole stały już odpowiednie nakrycia i sztucce, także przeznaczone dla ich rąk, które były na tyle silne, aby móc rozwalić masywne drzwi z drewna dębowego.

Arion w skrytości ducha zastanawiała się, co też mogli czuć Craiden i jego ludzie wobec tej nanotechnologicznej sztuczki - o ile sobie przypominała, nazywali to technomagią.

Czy nie upierałeś się dopiero co, że wszystko musi tu przebiegać tak, jak za czasów mojej prababki? - pomyślała urażona.

- Masz rację, upierałem się. To jak nazwiesz to, co się stało? - Ograniczenie szkody, księżniczko-odpowiedział R'Achernon.

- Mistrz klanu Craiden powiedział prawdę. Jego towarzysze są głodni.

Sześciu głodnych i odpowiednio rozdrażnionych Quorrlów mogłoby doprowadzić do tego, że kapitan Duras poczułby się zmuszony do interwencji - co bez wątplenia doprowadziłoby do jeszcze poważniejszego naruszenia protokołu.

Arion zastanawiała się, jak właściwie miałyby wyglądać owa niebezpieczna sytuacja wymagająca interwencji Durasa i jego ludzi. Nawet gdyby Craiden i jego Quorrlowie zabili każdą obecną tu osobę - łącznie z nią samą - nie zmieniłoby to sytuacji w najmniejszym stopniu. Dla większości z nich śmierć oznaczałaby jedynie małą nie dogodność; utratę kilku godzin wspomnień. Arion spróbowała przywołać w pamięci chwilę, kiedy wykonała swą ostatnią kopię Memo.

Przed dwoma lub trzema dniami. Plixx i Duras z pewnością uznali by, że to zbyt długo. Najchętniej zabezpieczyliby jej wspomnienia w odstępach sekundowych. Dwa lub trzy dni... strata pamięci byłaby dokuczliwa, ale nic więcej. Przynajmniej mogłaby zapomnieć o senator Rymer i jej posępnej minie.

Z drugiej strony nie mogłaby przypomnieć sobie widoku Plixxa i jego błazeńskiej czapki, a byłaby to wielka szkoda.

- Tak, rzeczywiście, byłaby to szkoda - skomentował stojący obok myszczur uśmiechając się przy tym kwaśno. - A nikt z nas tego nie chce, prawda?

Zanim Arion mogła odpowiedzieć, Plixx pobiegł w kierunku Craideny i zaczął głupekowo podskakiwać, aż rozdzwoniły się dzwoneczki, przyczepione do nosków jego butów i czapki błazna, a w powietrzu zawirowały kolorowe taśmy przymocowane do jego laski.

Arion założyła, że takie błaznowanie było świadomą rolą, którą odgrywał. Ale mimo wszystko jego występ był niezrozumiały i chyba trochę wymuszony.

Stojący za Craidenem Duras ocknął się wreszcie z jakiegoś dziwnego osłupienia, w które wpadł, kiedy goście w tak rażący sposób naruszyli reguły świętego protokołu. Zaczął głośno chrząkać, po czym w dwóch krokach pojawił się w zasięgu wzroku Craideny.

Chyba znalazł się zbyt blisko władcy albo wykonał zbyt szybki ruch, bo Torman wydał z siebie ostrzegawcze warknięcie i położył dłoń na rękojeści miecza. Co prawda nie mógł przypuszczać, że na powierzchni submolekularnej, gdzie akurat znajdował się Torman i pozostali, miecz był stopiony w całość z pochwą, nie można więc było go użyć.

Ale Duras zignorował Tormana.



- Bądźcie pozdrowieni i witajcie przy naszym stole, dowódco - zwrócił się do Craiden, teraz całkowicie opanowany, z lekkim, pełnym szacunku ukłonem, co nieufnie śledził wzrokiem rogaty olbrzym stojący obok tronu.

- Z pewną trudnością przychodzi mi uwierzyć w wasze słowa, kapitanie. - odparł Craiden.

Duras zamrugał, zaskoczony.

- Co macie na myśli?

- Że jesteście tu pozdrawiani i witani - odpowiedział Craiden z uśmiechem.

Arion wydało się, że komendant Gwardii Królewskiej zbladł w tym momencie, co, jak wiedziała, było niemożliwe, bo twarz Du-rasa była przecież z czarnego żelaza.

- Skąd... wam to przychodzi do głowy, mistrzu klanu? - spytał osłupiały.

Craiden uśmiechnął się szeroko wprost w jego ciemną jak noc twarz, pogładził niemal pieszczotliwie prawą ręką rękojeść miecza przy pasie i wskazał drugą ręką na swoich towarzyszy.

- Czy tak miło witany gościom można pozwolić by byli głodni?

Duras był teraz wyraźnie dotknięty, ale trwało to tylko krótką chwilę. Wykonał dłonią szybki ruch i natychmiast kilkanaście dron o pajęczastych odnóżach zaczęło się gorączkowo krzątać koło gości: talerze i miski stojące przed Quorrlami zostały napełnione w mig potrawami, o których Arion nie chciała absolutnie wiedzieć, czym one były, kiedy jeszcze żyło to, co zawierały... o ile to coś nie żyło jeszcze do tej pory. Nie wszystko trafiało bezpośrednio do talerzy Quorrlów: bardziej zniecierpliwieni wojownicy wyrywali dronom mięso i zastawę. Czasami Quorrlowie wyrywali niesioną potrawę razem ze srebrzystym odnóżem drony, a Plixx, który ciągle daremnie oczekiwał aplauzu za swoje błazeństwa, nagle cofnął się gwałtownie w tył. Jeden z Quorrlów, śliniąc się obficie, zaczął wpatrywać się w niego pożądliwie swymi wąskimi, zmijowatymi oczami.

- Craiden i jego towarzysze świadomie naruszają protokół ceremoniału. Przeanalizowałem poziom fal alpha. Wyglądają jak Quorrlowie. Oni są Quorrlami. Ale są też niesłychanie inteligentni. Porównywalnie z ludźmi.

Arion spojrzała szybko na tłum kolorowo przebranych postaci za stołem. Porównywalnie z ludźmi. Cokolwiek to miało znaczyć.

- On chce sprowokować...

Nas?

-Was.

Nie, w ogóle jej to nie zaskoczyło. Było coś takiego w Craidenie... coś szczególnego, trafniejsze określenie nie przychodziło jej do głowy. Coś ją w nim irytowało w szczególnie sposób... jak gdyby dotykał w niej czegoś, o czym jeszcze nie wiedziała, że istnieje. Niemal bezwiednie spróbowała za pomocą nanitów wyostrzyć wzrok i tym razem udało się.

Jeszcze jedno naruszenie protokołu? - Obawiam się, że protokół stał się nieważny.

Zabawne, ten rzekomo najinteligentniejszy komputer Galaktyki potrzebował tyle czasu, aby to zauważyć.

Z mieszaniną dziecinnej ciekawości i niemal naukowego zainteresowania śledziła, co dalej działo się przy stole i jednocześnie zakładała się sama ze sobą, kto pierwszy straci kontenans: Duras czy Szary Myszczur. Było to jednak niemożliwe do przewidzenia - nawet gdyby Craiden nie był nieokrzesanym barbarzyńcą z ilorazem inteligencji marchewki, lecz kimś w rodzaju Durasa i jego nocnych wojowników. Tak samo niemożliwym było zorientowanie się, że się jest obserwowanym przez kogoś, kto ma dziesięciokrotnie lepszy wzrok.

Craiden to czuł.

Arion była pewna, że dostrzegł jej spojrzenie na sobie i zupełnie jak pod dotknięciem delikatnej ręki zwracał głowę w jej stronę, aby patrzeć na nią w osobliwy, może nawet niemal porozumiewawczy sposób - w żadnym razie nie było to wrogie spojrzenie. Pytała samą siebie, czy ta sympatia w jego wzroku jest udawana, czy też jest to część jego własnego, skrupulatnie wypracowanego protokołu, ale nie potrafiła wyciągnąć jednoznacznych wniosków. Postanowiła

więc mieć się na baczności, aby ten facet już choćby tylko z czystego oportunistycznego nie stał się zbyt sympatyczny.

Także na pozostałych talerzach pojawiły się wyszukane potrawy, częściowo dopasowane do zmienionych ciał gości. Jeśli chodzi o Craiden i jego Quorrlów, R'Achernon zrezygnował z kolejnej małej, czarodziejskiej sztuczki, aby ich jeszcze bardziej nie przerażać. Ku uldze Arion zrezygnował więc ze zbyt wielkiej liczby krzątających się dron, które w pierwotnym zamyśle miały zalać i tak już zatłoczoną salę. Na talerzu Arion także pojawiła się jakaś potrawa, której ona nie zaszczyciła nawet jednym spojrzeniem, lecz obserwowała uważnie rycerza w zbroi i jego ponadwymiary talerz z ogromnym kawałem pieczonego mięsa o chrupiącej skórce. Zastanawiała się, jakiego sposobu użyje rycerz, aby się z tym uporać: miał przecież opuszczoną przyłbicę. Po dokładnym przyjrzeniu się można było zauważyć, że przyłbica nie ma zawiasów. Jednak za chwilę rycerz odwrócił się na swoim krześle w taki sposób, że Arion nie mogła zidentyfikować jego twarzy, podniósł przyłbicę i zaczął jeść.

- Czy wiecie, co należy rozumieć pod pojęciem „dodatkowe pole bitwy”, księżniczko?

Arion usłyszała przyganę w głosie R'Achernona, upomniała więc samą siebie i skoncentrowała się znów na Craidenie i jego Quorrlach. Władca klanu patrzył na nią ciągle, nadal w ten sam osobliwy sposób. Pięciu z sześciu jego Quorrlów było całkowicie zajętych jedzeniem. Pochłaniali potrawy z taką łapczywością, że drony niemal bez przerwy musiały dostarczać kolejne porcje. Szósty Quorrl śliniąc się, patrzył dalej na dworskiego błazna - Plixxa.

Craiden, podobnie jak Arion, nie tknął jedzenia, po prostu siedział, patrzył i nawet nie próbował ukryć, jak bardzo go ta sytuacja bawi. Bo wszystko działo się tu zgodnie z wystudiowaną kolejnością i nic nie było przypadkowe - tego Arion była pewna.

Również nieprzypadkowo Craiden wpatrywał się w Arion. Coś... było między nimi.

Ale przecież trudno było o większe szaleństwo! Arion odpędziła czym prędzej tę myśl, spojrzała z niechęcią na swój talerz i dała wskazówkę R'Achernonowi, aby ten zaprezentował Craidenowi obraz jedzącej księżniczki.

Ale ten obraz wydawał się z jakiegoś powodu irytować władcę klanu. Zmarszczył czoło i sprawiał wrażenie naprawdę zaskoczonego. Arion skoncentrowała się przez chwilę na swoim wirtualnym posiłku.

R'Achernon obiecał jej, że najgorsze będzie miała za sobą, kiedy zakończy się oficjalna część przyjęcia, ale było to kłamstwo. Craiden wciąż nie ruszał jedzenia, za to jego sześciu Quorrlów dostarczyło niezłego show, które większość gości obserwowała z mieszaniną fascynacji i przerażenia. Craiden jeszcze przez następną godzinę nie przestawał wpatrywać się w Arion.

Ogarniało ją powoli uczucie denerwującego znużenia. Czuła wyraźnie, że coś wkrótce nastąpi, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to będzie coś przyjemnego czy też coś złego. Wiedziała jedynie, że będzie to coś poważnego i wielkiego. Coś, co kazało na siebie czekać.

Minęła kolejna godzina. Plixx bez przerwy próbował swoimi błazeństwami rozbawić gości o skórze pokrytej łuskami. Wreszcie pojął to, co sam głosił od lat, a mianowicie, że Quorrlowie są w zupełności pozbawieni poczucia humoru. Zajął więc miejsce przy stole. Zabrzmiała muzyka i Arion przez chwilę przyglądała się zespołowi tanecznemu wygenerowanemu przez R'Achernona, który to zespół miał, jak przypuszczała, wykonywać taniec pochodzący z ojczyzny Craiden, ale reakcja władcy klanu jednak świadczyła o tym, że nastąpiła pomyłka. Czy R'Achernon nie wiedział, że został wybrany zupełnie nieodpowiedni taniec?

- Przedstawienie jest zupełnie prawidłowe. Chodzi tu o ceremonialny taniec wojenny klanu Sander, z którego pochodzi Craiden.

Tylko władca chce sprawić wrażenie, że taniec jest niewłaściwy.

Dlaczego? - Nie wiem.

Trwało dłuższą chwilę, zanim Arion zrozumiała do końca tę odpowiedź.

Czy nie czytasz jego myśli? - Nie potrafię.

Jak to nie potrafisz? - Nie wiem tego, księżniczko. Zarówno myśli władcy klanu jak i jego towarzyszy są dla mnie niedostępne.

A to było rzeczywiście osobliwe. R'Achernon potrafił czytać myśli każdego, niezależnie, kto to

był i gdzie przebywał. Powinien potrafić. Arion zamierzała właśnie zadać kolejne pytanie, ale skończył się taniec i Craiden, uśmiechając się lekceważąco, odwrócił się do niej.

A potem zrobił coś niesłychanego - przynajmniej jeśli chodzi o zasady protokołu: ostentacyjnie zdjął trzymaną na prawym kolanie nogę, wstał i wyciągnął rękę w stronę swojego talerza. Wywołał tym głośne, wystraszone szepty przy stole. Duras skoczył do przodu, ale zaraz zastygł w bezruchu, kiedy rogaty ochroniarz Craidena zrobił dokładnie to samo co jego pracodawca. Przez jeden ułamek sekundy w powietrzu niemal wisiła przemoc, aż R'Achernon bezgłośnie odwołał komendanta Gwardii Królewskiej, a jednocześnie powietrze wokół Craidena i jego wojowników wypełniło się uspokajającymi feromonami i niesłyszalnym brzęczeniem infradźwięków, które miało to samo na celu.

Co on zamierza? R'Achernon nie odpowiedział, ale Arion przekonała się o tym sama: Craiden wziął do jednej ręki talerz, zaś do drugiej swój ciężki kubek i podszedł do niej. Duras zrobił kolejny krok do przodu i znów zastygł, kiedy tym razem Arion wydała mu w myślach ostry rozkaz.

Za chwilę ruszył znów, bo także i Torman opuścił miejsce, by udać się za swoim panem. Arion w zdumieniu uniosła brwi w górę.

Craiden, w towarzystwie idących za nim rogatego olbrzymia i czarnego człowieka z żelaza, wśród szmeru głośnych szepców, nerwowych ruchów, szurania krzesłami i spłoszonych spojrzeń, powoli podszedł do Arion i znów spróbował uchwycić jej spojrzenie. Jego wzrok był pełen jakiegoś oczekiwania, czego zupełnie nie rozumiała, choć z jakichś powodów nawet jej się to podobało.

Chciała odruchowo wstać, ale nie zrobiła tego. Obróciła się tylko lekko na swoim siedzeniu (znów naruszając protokół, R'Achernon powinien jej to jednak darować) i spojrzała na Craidena uprzejmie, choć niewiele mówiącym wzrokiem.

Po jej lewej stronie pojawiło się kolejne kamienne krzesło, tylko odrobinę mniejsze od jej monstrualnego fotela tronowego, na którym siedziała od wielu godzin. Craiden zajął miejsce bez wezwania w taki sposób, jak gdyby było to jego najwłaściwsze, przysługujące mu prawo - wywołując kolejne szepty i zmarszczone czoła uczestników biesiady. Arion podniosła szybko rękę i momentalnie zrobiło się cicho. Craiden spojrzał na nią z uznaniem. Chwilę później księżniczka z trudem powstrzymywała pełen rozbawienia uśmiech, kiedy także Torman zjawił się za krzesłem Craidena, stając nad swoim panem niemal jak olbrzymia, rogata góra. Trwało to tylko chwilę: bo krzesło Craidena zaczęło się nagle robić coraz większe, aż kamienne oparcie sięgnęło do twarzy olbrzymiego gwardzisty. Arion nawet nie podejrzewała R'Achernona o tak subtelne poczucie humoru.

- Dopasowuję się do naszych gości, księżniczko. Wymaga tego choćby zwykła uprzejmość.

Czy to znaczy, że teraz powinnam jak jakaś wiejska niezdara rozwalić się w fotelu, zacząć się ślinić i bekać, żeby nie sprawiać wrażenia nieuprzejmej?

Wyczucie dyplomacji R'Achernona kazało mu tym razem milczeć i nie odpowiadać na to pytanie, ale w oczach Craidena Arion dostrzegła wyraźne rozbawienie, jak gdyby słyszał bezgłośnie prowadzony dialog - co było przecież niemożliwe. Arion mimo wszystko przez chwilę czuła lekką irytację zmieszaną z przerażeniem. Nikt nie był w stanie odczytać jej myśli, jeśli tego nie chciała (no dobrze, prawie nikt, z wyjątkiem R'Achernona, Plixxa, Durasa, całej rady koronnej i może jeszcze kilku tysięcy innych mieszkańców Czarnej Niebiańskiej Wieży), lecz z pewnością nie było wśród nich tego nieokrzesanego barbarzyńcy.

W oczach Craideny znów pojawiło się wyraźne rozbawienie i tym razem Arion naprawdę poważnie zadała sobie pytanie, czy on jednak nie czytał jej myśli bądź tak trafnie je odgadywał, że wynik był ten sam.

Uspokoilo ją milczenie R'Achernona.

Craiden przez chwilę daremnie czekał, aż Arion przerwie coraz bardziej niezręczne milczenie, w końcu jak gdyby nic pochylił się nad upieczonym kurczakiem, którego miał przed sobą na talerzu (Arion wmawiała sobie z mniej lub bardziej dobrym skutkiem, że R'Achernon wygenerował coś łądząco podobnego) i spokojnie zaczął rozrywać go rękami na kawałki. Większość pozostałych biesiadników odwróciła się z nieskrywanym wstrętem i niesmakiem na twarzach, zaś Arion zmusiła się, aby spokojnie znieść ten widok. A przynajmniej do czasu, aż Craiden oderwał ociekające tłuszczem skrzydełko i trzymając je w palcach, wyciągnął rękę w stronę księżniczki, uśmiechając się przy tym szeroko.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała pośpiesznie. - To bardzo uprzejme z waszej strony, mistrzu klanu Craiden, ale... ee... nie, dziękuję.

- Ale to przecież jest bardzo smaczne - odparł Craiden z jeszcze szerszym uśmiechem i dodał: - To komplement dla waszych dziewczek kuchennych.

- Wiem - odpowiedziała Arion. Czuła, że na jej ustach mimowolnie pojawia się grymas obrzydzenia i nie mogła nic na to poradzić - dopiero za chwilę udało jej się zamienić ów grymas na uśmiech - co chyba nie do końca przekonało Craidenę.

Co ten facet właściwie ma zamiar zrobić? - Mimo wszystko - nie, dziękuję. - Powtórzyła spokojnie.

- A może coś jest z tym nie w porządku? - zastanawiał się Craiden. Opuścił rękę z trzymanym skrzydełkiem na talerz w miarę jak gości uśmiech na jego twarzy.

Zrobiło się bardzo cicho. Arion nie patrzyła w kierunku Quorrlów, ale czuła niemal fizycznie, że wojownicy w drugim końcu stołu przestali mlaskać i zaczęli nieufnie patrzeć w jej stronę.

Torman próbował wysunąć się zza oparcia krzesła Craideny, ale z jakichś powodów ciągle mu się to nie udawało. Nie ulegało wątpliwości, że R'Achernon miał poczucie humoru.

- Czy rzeczywiście sądzicie, że weslibyście żywi do tego pomieszczenia, gdybym ja lub ktokolwiek inny miał wobec was jakieś złe zamiary? - spytała Arion.

Craiden popatrzył na nią przeciągle. I patrzył długo. Zdecydowanie za długo jak na jej gust. Wreszcie potrząsnął głową i sięgnął po swoją barbarzyńską potrawę, aby odgryźć kolejny kęs. Tłuszcz i sos ściekały po jego brodzie kapiąc spokojnie na stół i Arion znów zrobiło się trochę niedobrze.

- Prawdopodobnie - odparł z pełnymi ustami.

- A nawet, gdyby to była trucizna - kontynuowała Arion z niewzruszoną miną - mogłabym to zjeść z ogromnym apetytem. Czy wasi przypominacze nie powiedzieli wam, że nas nie można zabić?

Zrobiło się jeszcze ciszej. Arion wmawiała sobie, że słyszy, jak stojący za nią Duras wstrzymuje oddech, choć wiedziała, że to niemożliwe - Duras przecież nie oddychał.

- Nasi przypominacze - odpowiedział Craiden po chwili, która niemal wszystkim wydała się wiecznością - wiele mi o was opowiadali.

Po czym spokojnie wbił olśniewająco białe zęby w kolejny kawałek kurczaka.

Dobrze - wydawało jej się, że niemal usłyszała, jak wypowiedział "Was" z wielkiej litery.

- Wobec tego powinniście wiedzieć, że mnie nie można otuć.

- Dlaczego zatem nie jecie? - Craiden pomachał trzymaną właśnie w rękę nogą kurczaka tak, że kropelki tłuszczu rozprysnęły się na wszystkie strony. Te, które zmierzały w kierunku Arion i jej cennej sukni, po prostu rozproszyły się jeszcze zanim dotarły do celu, a ona przez chwilę poczuła nawet delikatny zapach kwiatów.

- To nie jest zatrute - i naprawdę nieźle smakuje.

- Cieszy mnie to, mistrzu klanu - odpowiedziała Arion - ale nie jadam mięsa.

Dokładnie rzecz biorąc nie jadała w ogóle.

- A co to jest? - spytał Craiden i ruchem głowy wskazał jej talerz.

- To są proteiny - odparła Arion. - R'Achernon generuje je ze sztucznego DNA, nadając im dowolną formę i smak.

Dokładnie rzecz biorąc był to hologram masy, który wyglądał jak kawałek mięsa. Było więc bardzo prawdopodobne, że przypominacze Craidena chyba nie mieli najdokładniejszych informacji.

- Proteiny - powtórzył Craiden, patrząc na zmianę to na swój, to na jej talerz. - Czy ja też jem te... ehm... proteiny?

Sposób, w jaki wymówił to słowo, pozwalał przypuszczać, że jeszcze nigdy przedtem go nie słyszał. Ale Arion miała pewność, że to nieprawda, skinęła więc głową.

Craiden zwlekał jeszcze krótką chwilę, po czym znów odgryzł duży kawałek mięsa i przeżuwał go z wyraźną przyjemnością.

-W ogóle nie czuć żadnej różnicy - oświadczył z pełnymi ustami.

Arion prócz rosnących mdłości czuła coś jeszcze, coś... irytującego, co ją wręcz przerażało.

- Dokładnie rzecz biorąc nie ma żadnej. - Wyjaśniła, po czym dodała: - Chętnie przekazałabym wasz komplement R'Achernonowi, ale on już to usłyszał. Jestem jednak pewna, że ucieszy go wasze uznanie.

- Jemu to w ogóle nie smakuje. Jemu wystarczy, że mięso nie ucieka z talerza, zanim je wbije na widelec.

- Czemu nie skończymy z tymi sztuczkami, księżniczko? - spytał Craiden, znów z pełnymi ustami. - Moi ludzie i ja doceniamy waszą gościnność, a ja czuję się bardzo zaszczycony, że mogę siedzieć przy tym stole, a w dodatku w towarzystwie tak czarującej i pięknej kobiety.

Przełknął, wziął w zęby kolejną ogromną porcję sztucznych protein i mówił spokojnie dalej, nawet nie starając się ukryć mlaskania: - To dla mnie prawdziwy zaszczyt, księżniczko, jednak obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu na wymianę uprzejmości.

-Wolicie więc wymieniać nieuprzejmości?

- Przybyłem tutaj, aby przedstawić nasze żądania - przypomniał Craiden zupełnie innym tonem, ciągle jeszcze żując kurczaka.

Tym razem w spojrzeniu Arion nie było już ani odrobiny sympatii.

- Nie zaprosiliśmy was tutaj z żadnego innego powodu, mistrzu klanu - przypomniała.

- Nie, księżniczko - odpowiedział Craiden. Uśmiech znikł zupełnie z jego twarzy ustępując miejsca czemuś, czego Arion nie umiała nazwać. Ale poczuła niepokój.

- Może wasi przypominacze niezbyt dobrze was poinformowali, mistrzu klanu - odpowiedziała ostrożnie. - Ale ten dzień...

Nie dokończyła, bo Craiden wszedł jej w słowo, mówiąc: - Nasi przypominacze nie musieli mnie o niczym informować.

Każdy w tym mieście, które wy nazywacie pogardliwie Oblężeniem wie, jakie jest znaczenie tego dnia. Nie ma potrzeby mówić o tym znowu. Wystarczy podnieść głowę do góry i popatrzeć w niebo, aby wiedzieć, z jakiego powodu tu przybyliśmy. Ale czy wy również o tym wiecie, księżniczko?

To już nie było naruszenie protokołu, lecz czysta prowokacja.

Arion sprawiała wrażenie nieporuszonej, ale gdzieś w głębi czaszki usłyszała alarmowe dzwonki. Tak, Craidena nie można było porównać z żadnym z jego poprzedników, lecz... z drugiej strony słyszała już o nim, Craiden taki po prostu był, jego wyzywające zachowanie do pewnego stopnia nie zaskoczyło jej, wręcz się go spodziewała.

Mimo wszystko zaskakiwał ją... Z Craidena biła jakaś naiwna ufność młodości (a przecież był on także dowódcą całej armii i mógł bez żadnego wysiłku wystąpić na bitwę miliony żołnierzy). Ale - jak to mogło być? Czy Craiden był tylko świetnym aktorem, czy też wiedział coś, czego nie wiedziała ona (a przede wszystkim R'Achernon, a także Plixx)? Teoretycznie nie powinno to być w ogóle możliwe.

- To jest niemożliwe, księżniczko.

Tym razem była pewna, że głos R'Achernona był lekko obrażony.

- Nie powinniście dać się zwieść powierzchowności Craidena, księżniczko.

- A skąd ci przyszło do głowy, że tak jest?

- Bo jest on bardzo przystojnym i bardzo szarmanckim młodym mężczyzną, księżniczko. A wy jesteście zdrową, młodą kobietą z całkiem naturalnymi potrzebami.

- Sugerujesz, że jestem na niego napalona ?

- Nigdy bym sobie nie pozwolił na takie określenie, księżniczko.

To tym lepiej dla ciebie. - Faktem jest jednak księżniczko, że wasza gospodarka hormonalna jest teraz nieco zaburzona i to od chwili, kiedy mistrz klanu wszedł do sali. Chyba że reagujecie na obecność jego Quorrlów.

Albo Tormana.

Arion łaskawie postanowiła nie brać za złe R'Achernonowi tej żenującej alternatywy, a wówczas on, ta sterowana tachionami guwernantka miała czelność jeszcze dodać: - Mogę wyregulować wasz poziom hormonów, jeśli sobie tego życzyacie, księżniczko.

Nie pozwalaj sobie na nieobyczajne obmacywanie mnie, ty blaszany gruchocie! - Fizyczne dotknięcie wcale nie byłoby tu konieczne i z całym szacunkiem, księżniczko, ale nie jestem blasza...

- Może macie rację, mistrzu klanu - zaczęła, a głos w jej myślach umilkł w pół słowa, wyraźnie obrażony. - Nasz czas jest zbyt cenny, aby tracić go na błażostki, takie jak wymiana uprzejmości i frazesów, których i tak nikt z nas nie bierze poważnie.

- Doprawdy? - spytał Craiden.

Arion skinęła głową.

- Wy dowodźcie miastem, mistrzu klanu. Wielkim miastem. A ja zarządzam gwiazdowym cesarstwem. O wiele większym gwiazdowym cesarstwem.

- A przecież gwiazdy są takie małe, jeżeli obserwuje się je tam, na niebie.

- Za to jest ich bardzo wiele - odpowiedziała. - W ten sposób zachowana zostaje równowaga.

Craiden także skinął głową, a potem jego twarz przybrała pytający wyraz.

- A co robicie z tymi gwiazdami?

Plixx chrząknął kilkakrotnie w przesadny i sztuczny sposób, a Arion zauważyła, że także z jej prawej strony pojawiło się dodatkowe krzesło, na którym właśnie przykucnął myszcur, na szczęście już bez swego błazeńskiego stroju.

- To, co zwykle robi się z gwiazdami - odpowiedziała. - Zarządza się nimi. Albo wykuwa się z tych najpiękniejszych coś z biżuterii.

Albo dom.

Plixx chrząknął jeszcze głośniejszym, także wśród gości przy stole zapanował. ..., pewien rodzaj niepokoju, Arion nie potrafiłaby tego inaczej nazwać. Niemal usłyszała przerażenie senator Rymer. I bardzo dobrze. Dlaczego właściwie to ona miała być jedyną osobą, która źle się tu czuła?

- Wykuć... dom? - spytał ostrożnie Craiden.

- Rozejrzyjcie się, mistrzu klanu - odpowiedziała Arion skinąwszy głowę i wskazując szerokim gestem całe pomieszczenie. - Znajdujecie się przecież w takim domu.

Craiden zamrugał nerwowo.

- Nie jestem pewien, czy ja dobrze rozumiem...

- A jakże? - przerwała mu Arion. -Ja sama tego nie rozumiem, podobnie jak wszyscy tutaj przy stole, może z wyjątkiem Plixxa. To znaczy, to jest naprawdę, naprawdę bardzo skomplikowane. I przynajmniej R'Achernon twierdzi, że oprócz nas żadnemu innemu gatunkowi w tej galaktyce nie udało się wydobyć serca martwej gwiazdy i czegoś z niego zrobić.

- Rzeczywiście? - w głosie Craidena słychać było jakąś niepewność i dokładnie o to jej chodziło.

- Tak - potwierdziła księżniczka. - A R'Achernon dowodzi, że nie potrafi kłamać.

- Ach tak?

Arion znów przytaknęła.

- Wierzę mu. On nie potrzebuje kłamać, wiesz?

Przeraziła się, kiedy usłyszała poufałą formę ty, której mimo woli użyła. Ale na szczęście wydawało się, że ani Craiden, ani nikt na sali nie zauważył tego małego faux pas.

- R'Achernon? - powtórzył Craiden. - Co to? Arion zastanawiała się przez chwilę.

- Wy nazwalibyście go... duchem tej wieży - wyjaśniła. Mistrz klanu wydawał się rozumieć, skinął więc głową. I dalej - Mistrzu klanu - wmieszał się Plixx. - Proszę, wybaczcie księżniczce Arion. To jest pierwszy dzień, kiedy bierze udział w walce...

- Podobnie jak ja - powiedział Craiden. Wydawał się być lekko zirytowany faktem, że zwraca się do niego mysz. - ...i chyba nie do końca jest obeznana z protokołem. Proszę o wybaczenie tego niedopatrzenia. Jeśli ktokolwiek ponosi tu winę za fakt, że nie odebrała odpowiednich nauk w tej kwestii, to tylko ja sam.

Craiden nie powiedział już ani słowa więcej. A Arion była pewna, że Plixxowi nie podobałoby się, gdyby teraz się odezwał.

Myszczur czekał jeszcze chwilę na jakąś reakcję mistrza klanu, po czym westchnął cicho i ześlizgnął się z krzesła - było teraz wyraźnie widać, że ledwo sięgał głową ponad stół. A jednak wbrew temu, co można by sądzić, nie wydawał się wcale śmieszny. Wręcz przeciwnie.

Coś dziwnego stało się z Plixxem, jednak dla Arion nie było to niczym zaskakującym. Coś, co ogarniało teraz ludzi na jego widok, było stanem pośrednim między zdumieniem a lękiem. Właściwie to nie dawało się ująć w słowa, bo myszczur nagle wydał się... imponujący, a nawet w jakiś nieuświadomiony sposób wręcz przerażający i nie miało to nic wspólnego z jego powierzchownością. Nagle sprawiał wrażenie niebezpiecznego i tak rzeczywiście było. Jego uśmiech zadawał kłam jego słowom.

- Mistrzu klanu, panie Oblężenia i władco obu kontynentów - zaczął spokojnym, silnym głosem, używając słów, które właściwie powinna była wypowiedzieć Arion i to już jakiś czas temu. - Prosilicie, byśmy przyjęli was jako gości w naszym domu, prosilicie o jadło i napitek dla was samych i dla waszych ludzi i wszystko to zostało wam dane. Powiedzcie teraz, jakie są wasze dalsze pragnienia, abyśmy mogli o nich zdecydować.

Craiden uniósł w górę jedną brew, znów ugryzł kawałek mięsa i zapytał głupekowato: - Że co?

Ktoś przy stole wybuchnął nagle urywanym śmiechem, a Plixx wydawał się na jedną krótką chwilę stracić panowanie nad sobą. Jego oczy momentalnie zrobiły się duże, stanowczo za duże, jak na mysz i przez moment nie był w ogóle podobny do myszy - wyglądał raczej jak wielki, wściekły szczur. Arion wydało się, że dostrzegła błękitne ognie świętego Elma we włosach jego brody i między sterczącymi, okrągłymi uszami.

Tymczasem Plixx chrząknął, niepewnie przestąpił z jednej nogi na drugą i patrzył trochę kpiąco, ale jednocześnie tak, jak gdyby był zakłopotany - Raczcie wybaczyć, czcigodny mistrzu klanu - powiedział głosem pełnym szacunku. - Ale prawidłowa odpowiedź na to pytanie brzmi...

- Tylko to, co nam się należy - przerwał mu Craiden z uśmiechem i bez żadnego skrępowania, nadal żując swoją potrawę. Wyraz jego oczu był tak zimny, że mógłby nimi zamrozić ładunek lodotłamacza.

Przełknął mięso, rzucił resztę imitacji kurczaka na swój talerz tak gwałtownie, że sos i kawałki mięsa rozprysnęły się na wszystkie strony, po czym po raz pierwszy wyprostował się na swoim krześle.

Mówiąc, zwracał się do Arion, a nie do myszczura.

- Dlaczego obrażacie mnie, księżniczko, pozwalając, aby mówiło do mnie zwierzę?

- Zapewniam was, mistrzu klanu, Plixxa można uważać za wszystko, tylko nie za...

- Chcecie znać moje żądania? Nie mojego ojca i jego ojca i wszystkich dowódców klanu, którzy kiedyś siedzieli na tym miejscu i pozwalali się upokarzać władcom tej przeklętej Czarnej Wieży?!

- Nikt nie chce was upokarzać, władco klanu - odpowiedziała zirytowana Arion. - Wręcz

przeciwnie, wszyscy...

- Nie, oczywiście, że nie - Craiden arogancko wszedł jej w słowo.

-Jak mogłem w ogóle wpaść na taki pomysł? Wyświadczacie nam przecież tak niesłychaną łaskę zapraszając nas do swojego domu, prawda? Mnie i moich gwardzistów i jeszcze cały tuzin wojowników!

To rzeczywiście bardzo wspaniałomyślne z waszej strony Jak mogłem tego nie dostrzec? I nie dość na tym! Wolno nam było nawet siedzieć przy waszym stole i jeść wasze cenne proteiny! Ach, wybaczcie, Pani R'Achernona i Władczyni Gwiazdnej Rzeszy, że nie potrafiłem tego docenić!

W sali tronowej zrobiło się jeszcze ciszej, choć jeszcze minutę temu Arion nie uważałaby tego za możliwe. I to nie Arion przerwała tę niezakłóconą przez czyjkolwiek oddech ciszę, lecz myszczur.

- Ja... ja nie jestem całkiem pewien, czy rozumiem, o czym mówicie, czcigodny mistrzu klanu - powiedział jękając się.

Craiden nie spuszczał przenikliwego wzroku z Arion. Wzroku, w którym wyczytać można było nieubłagane żądanie i nieustępliwość, a czemu ona niewiele mogła przeciwstawić - właściwie nic. Patrzył na nią w taki sposób, jak gdyby oczekiwał - żądał! - pewnej wyraźnej reakcji z jej strony. Ale Arion nie wiedziała zupełnie, jakiej.

I jak gdyby jego zachowanie nie było dość absurdałne, za chwilę sprawił wrażenie rozzarowanego.

- Mówię to jeszcze raz, księżniczko - odpowiedział, nawet nie zaszczyciwszy myszczura choćby jednym spojrzeniem. - Tylko to, co się nam należy.

Arion kątem oka dostrzegła, że Plixx właśnie nabiera tchu, aby odpowiedzieć - i to bynajmniej już nie tak uprzejmie i cierpliwie jak wcześniej. W porę powstrzymała go rozkazem wydanym w myśli.

- To, co się nam należy - powtórzył Craiden i wykonał tak podobny ruch ręką, jak ona przed chwilą, że wyglądało to tak, jak gdy by się go razem uczyli i dodał: - Co się nam stąd należy.

Szepty, które teraz rozległy się w sali, nie były głośniejsze, ale z całą pewnością można było w nich usłyszeć... oburzenie?

- Stąd? - upewniła się Arion. - Co dokładnie masz na myśli, mistrzu klanu?

Craiden z jakiegoś powodu sprawiał teraz wrażenie jeszcze bardziej rozzarowanego. Milczał dłuższą chwilę i kiedy znów zaczął mówić, jego głos brzmiał nieco inaczej - bardziej oficjalnie.

- Należy nam się to, co ludzie zawsze chcieli mieć, we wszystkich czasach. A co otrzymywali dopiero wtedy, kiedy zdobywali to przemocą - odparł i wyjaśnił: - To sprawiedliwość. Żądamy tego, co należało się już naszym przodkom oraz wszystkim poprzednim pokoleniom, a mianowicie: udziału w bogactwach niebiańskiej wieży.

- Czy dlatego próbowaliście ją zniszczyć? - spytał Plixx.

Na ustach Craidena pojawił się lekceważący uśmiech.

- Zniszczyć? Czy was nie męczy to ciągle powtarzanie i zapewnianie, że was nie można zniszczyć?

- A jednak to jest prawda - odpowiada Arion zamiast Plixxa. - A wy mimo wszystko ciągle tego próbowaliście, władco klanu. I wasz lud zapłacił za to wysoką cenę.

Craiden spojrzał pytająco, jak gdyby nic nie rozumiejąc, jednak Arion patrzyła na niego przez chwilę wyczekująco - aż wreszcie pojęła, że w jego spojrzeniu nie było fałszu. Zrozumiała też, co ono oznaczało.

- Nie wiecie tego? - spytała zaskoczona.

- Czego?

Czy on rzeczywiście tego nie wie? Ale... to przecież niemożliwe, prawda? - Możliwe jest to, że nie ma pojęcia o niszczycielskiej sile bom by, której użył.

Rzeczywiście? Sądzisz, że on zupełnie nie wiedział o tym, że to był morderca planety? - Wasz sarkazm jest niestosowny, księżniczko. Nikt nie wiedział, że ta broń jeszcze w ogóle



istnieje. A już zwłaszcza nikt tutaj na Ziemi. Ale mistrz klanu i jego towarzysze znajdowali się przecież tutaj, kiedy broń została odpalona. Może on w ogóle nie wie, co się stało.

- Czy rzeczywiście nie wiecie, jaki był efekt waszej małej demonstracji siły? - powtórzyła Arion. Craiden chciał odpowiedzieć, ale księżniczka powstrzymała go tak ostrym gestem, że w jego oczach błysnął gniew; nie był przyzwyczajony do słuchania rozkazów, zwłaszcza wydawanych przez kobietę, a tym bardziej przez dziewczynę, która wyglądała tak, jak gdyby mogła być jego córką. Arion wstała i znów zwróciła się do niego: - A więc powinniśmy wam to pokazać.

- Czy uważacie to za mądry pomysł, księżniczko?

- Co? Pokazać mu, że zniszczył połowę własnego miasta?

Dopiero kiedy dostrzegła konsternację na jego twarzy, pojęła, że odpowiedziała na to pytanie głośno. Nawet milczenie R'Achernona było teraz pełne zakłopotania.

- Księżniczko? - spytał w końcu Craiden po dłuższej chwili.

-Ja... ehm, niezręcznie się wyraziłam - odpowiedziała nieporadnie. Oczywiście to tylko pogorszyło sytuację, bo w zmieszaniu Craidena dostrzegła natychmiast cień nieufności.

- Czasem rzeczywiście łatwiej jest coś pokazać, niż bawić się w drobiazgowo wyjaśnienia - mówiła dalej, równie niezgrabnie. Wstała więc.

- Czy zechcecie pójść ze mną, mistrzu klanu?

Craiden podniósł się i także Tormanowi udało się jakoś wyjść z krzesła i stanąć za swoim panem. Przy Arion zaraz zjawiał się Duras, a na drugim końcu stołu powstało poruszenie, kiedy i Quorrlowie podnieśli się z krzesła z hałasem.

Arion potrząsnęła głową.

- Tylko wy i ja, mistrzu klanu - powiedziała - chyba że boicie się zostać sam na sam z małą dziewczynką?

- Obawiam się, że do tego nie mogę dopuścić, Wasza Wysokość - włączył się do rozmowy Duras. Torman warknął coś w języku, którego nie znała, a R'Achernon ku jej zdumieniu nie przetłumaczył jego słów. Zapewne powiedział w swoim języku mniej więcej to samo.

- Tak myślałam, Duras - westchnęła Arion. Musiała nieco podnieść głos, aby mówić dalej, bo jej propozycja wywołała prawdziwy tumult przy długim stole.

- To chyba dobrze się składa, że ja jestem księżniczką, a ty tylko komendantem mojej gwardii przybocznej, nieprawdaż?

Czarny olbrzym z żelazną twarzą, wyraźnie upokorzony opuścił wprawdzie głowę, jednak powiedział: -I właśnie z tej racji mam prawo odmówić wykonania rozkazu, jeśli miałoby to prowadzić do naruszenia waszego bezpieczeństwa.

Co, z całym szacunkiem, niniejszym czynię, Wasza Wysokość. Arion zwróciła się więc do Craidena.

- Czy dacie mi wasze słowo, że nic mi się nie stanie w waszym towarzystwie, mistrzu klanu?

Ten wydawał się nieco bezradny, jednak skinął głową, a Arion dodała: - Przymierzam wam ze swej strony, że też nie zrobię wam krzywdy Torman znów warknął cicho, czego nie zrozumiała, nie przetłumaczył też tego R'Achernon, a Craiden odpowiedział szeptem jednym słowem w tym samym języku. Rogaty olbrzym potrząsnął głową przecząco i przekornie skrzyżował ramiona na piersi. Craiden był rozgniewany, ale jednocześnie zrezygnowany. Arion pomyślała z nie jakim rozbawieniem, że nawet najpotężniejsi tego świata muszą cza sem dzielić wspólny los.

- A więc dobrze - westchnęła, zwracając się do Craidena i dodała ironicznie: - Zabierzcie więc ze sobą swoją guwernantkę a ja wezmę swoją. Ale nikogo więcej.

Craiden skinął głową, a Duras powiedział: - Upieram się przy kopii, Wasza Wysokość.

Arion skwitowała to zrezygnowanym głosem: - Zawsze istniały rzeczy, wobec których nawet najpotężniejsza kobieta świata jest bezradna.

Mardu. Przed wiekami (a to określenie czasu wydawało się słuszne i dotyczyło większej części historii Oblężenia) tunele te musiały przypuszczalnie należeć do potężnego systemu transportowego, który łączył ze sobą najbardziej odległe części miasta. Masywne, zardzewiałe

szyny, przybite do drewnianych podkładów, które dawno stopiły się w całość z kamieniem, biegły po dnie tunelu i ginęły z jednej strony w całkowitej ciemności, a z drugiej w przerażającej czerwieni pochłaniającego wszystko żaru.

Mardu miał nadzieję, że Quizzack mówi prawdę, jeśli chodzi o rozgałęzienie tunelu. Ale im dłużej szli w kierunku widocznego w oddali piekielnego ognia, tym większe ogarniały go wątpliwości, czy w ogóle zdołają tam dotrzeć: już teraz było tak niemożliwie gorąco, że generał niemal zmuszał się do każdego oddechu, a kiedy niechcący uderzył nogą o drewniany podkład, usłyszał wyraźne skwierczenie.

Wiedział już teraz, skąd pochodziła nieznośna woń spalonego mięsa.

Stopa bolała tak bardzo, że z trudem mógł na niej stanąć. Gdyby nie to, że ciągle mogli kierować się błyskiem świecącego prę-tu, który przesuwiał się do przodu przed nimi szybując w powietrzu, Mardu prawdopodobnie zatrzymałby się w miejscu. W rzadkich chwilach, kiedy mrugając udawało mu się usunąć napływające do oczu łzy, wydawało mu się, że widzi przed sobą jakiś rozmyty cień, gdzieś w połowie drogi do miejsca, w którym świat ginął w piekielnym żarze.

- Nie sądzisz, że powinniśmy zawrócić? - spytał wyraźnie drżącym głosem, ale przypisał to panującej tu temperaturze i coraz większemu wysiłkowi, z jakim przychodziło mu oddychanie.

- Tam... są niebezpieczne rzeczy - odparł Quizzack. - Złe rzeczy... Może już spłonęły, ale nie jestem tego pewien.

Czy ten chłopak, żeby tylko nie natknąć się na owe złe rzeczy, zamierza sam się spalić? - pytał Mardu sam siebie. Tak, doprawdy wspaniały plan.

Mimo wszystko szedł posłusznie za Quizzackiem. Rzeczywiście: do rozgałęzienia było mniej więcej dwadzieścia kroków - co oznaczało o trzydzieści za dużo dla generała - a potworne gorąco wydawało się rosnąć z każdym krokiem. Ale nawet jeśli przed nimi były owe złe rzeczy, których istnienie Quizzack może tylko sobie wmawiał, to za nimi czekały z pewnością równie złe rzeczy, które Mardu widział na własne oczy, i które ciągle z wielkim hałasem próbowały dostać się do tunelu. Zagryzł więc zęby i szedł dalej.

Ostatnie metry pokonał z najwyższą trudnością, będąc niemal pewnym, że nie da już rady. Było jeszcze bardziej gorąco, co wydawało się naprawdę niewyobrażalne. Pięć czy sześć ostatnich kroków szedł potykając się i wstrzymując oddech, bo bał się, że po prostu spali sobie płuca. Płaszcz w dziwny sposób spuchł czy też nabrzmiął, a gdyby Mardu miał choć jeden włos na głowie, z pewnością już dawno zdążyłby zamienić się w popiół.

Ale - dokładnie tak, jak mówił Quizzack, chwilę po tym, jak dotarli do odgałęzienia szybu, zrobiło się znacznie chłodniej. Już po kilku krokach temperatura wyczuwalnie spadła, a po następnych kilkunastu Mardu odważył się oddychać. Co prawda powietrze ciągle było gorące, a dookoła unosiła się intensywna woń kamienia przechodzącego w stan płynny topiącego się metalu, zaś przed oczami generała ciągle pojawiały się czerwone punkty... Ale w każdym razie żył, a to było więcej niż w ogóle śmiał przypuszczać zaledwie kilka minut temu. Stwierdził, że można to poczytać za kolejną swego rodzaju wspaniałomyślność losu.

- Zdaje się, że rzeczywiście mówiłeś prawdę - stwierdził krótko i spytał: - Dokąd prowadzi ten korytarz?

Quizzack popatrzył na niego zdziwiony i odpowiedział z lekkim wzruszeniem ramion: - Do innego korytarza.

Z każdym rekrutem zawsze jest tak samo: ledwo okaże mu się choćby cień sympatii, to zaczyna być bezczelny. Mardu już jakiś czas temu wprowadził zasadę, że w czasie pierwszych czterech tygodni szkolenia rekrut musi zostać mniej więcej co drugi dzień zбитy i miał mocne postanowienie zmiany częstotliwości bicia na „codziennie”.

Chętnie zaczęłby od tego nieudanego adiutanta. I nikt nie mógłby wówczas zarzucić Mardu faworyzowania osobistego podwładnego.

Quizzack, jak gdyby czytał w jego myślach, popatrzył w tym momencie na niego z jeszcze większym zdziwieniem i kontynuował bez wezwania rozpoczęte zdanie: - Tam z tyłu jest jeszcze więcej korytarzy, jest ich tam pełno, ale ja dobrze znam drogę. Nie ma strachu.

Po czym zmrużył lewe oko i patrząc na generała dodał: - Może coś z tego będę miał?

Mardu wymierzył mu jako zaliczkę prztyczka w ucho i już podniósł drugą rękę, ale Quizzack był na tyle rozsądny, aby nie powtarzać pytania i ruszył szybko dalej.

Tunel prowadził teraz łagodnie w dół (co znów wywołało uczucie dyskomfortu u generała), musiał być więc kiedyś częścią tego samego systemu transportowego; być może służył do ewakuacji lub zaopatrzenia. Ściany były tu bardzo stare, częściowo przegniłe, podparte żelaznymi sztabami, które teraz bardziej przypominały szkielet gigantycznej kreatury, która zawędrowała tu przed wiekami i w końcu zdechła. Nadgryzione zębem czasu i niemożliwe do rozpoznania sprzęty wynurzały się co chwila z mroku rozpraszanego światłem unoszącego się w powietrzu pręta. Przypominały skamieniałe organy, a Mardu musiał co chwila opuszczać głowę, aby nie trącić któregoś z niezliczonych kabli zwisających z sufitu niczym porwane arterie i ścięgna nieżywego olbrzyma. Mimo to zdarzyło się, że raz czy dwa zahaczył o taki kabel, a wówczas ten rozsypał się momentalnie w proch.

Dokładnie tak jak twierdził Quizzack, tunel prowadził tylko kilkaset kroków w dół, po czym pojawiło się kolejne rozgałęzienie.

Chłopak skręcił tak pewnie w lewo, że generałowi nawet nie przyszło na myśl wątpić w sens tej decyzji, jednak zanim podążył za nim, zatrzymał się i spojrzał do tyłu, w kierunku, z którego przyszli: w ciemności widać było jedynie czerwone oko piekielnego żaru. Wydawało mu się, że na tle czerwieni dostrzega jakiś ruch czy też cień jakiejś postaci, ale był pewien, że to tylko wytwór jego wyobraźni.

Chyba nie było najlepiej z jego nerwami.

Kanał, przez który teraz szli, był tak niski, że Mardu musiał się mocno schylić, aby móc się przezeń precyzyjnie, a i tak co chwila uderzał o jakieś przedmioty zwisające z sufitu.

- Dlaczego właściwie ciągle masz ich na karku? - spytał Quizzack po dłuższej chwili marszu. Poprawił się niemal natychmiast: - To znaczy macie, panie... - chrząknął i dodał: - Generale.

- Skąd ci przyszło do głowy, że oni siedzą na karku akurat mnie?

Quizzack spojrzał na niego krzywo, a Mardu oświadczył po chwili: - Bo zabiłem trzech z nich.

- Widziałem, ale...

-Jeszcze wcześniej, zaraz po tej błyskawicy...

- Kłamiecie! - wyrwało się chłopakowi, ale generał nie wziął mu tego za złe: z okrzyku młodzieńca przebijało autentyczne zdumienie, co w jakiś sposób pochlebiało Mardu.

- To było zaraz po tej błyskawicy - powiedział z dumą w głosie - wyleciały z tej swojej przekłętej wieży, pewnie po to, żeby zobaczyć, ilu ludzi zdołały zabić. Ale - kazałem im za to słono zapłacić.

Przynajmniej tym trzem.

Quizzack zatrzymał się nagle i odwrócił przodem do Mardu. W jego oczach można było teraz dostrzec przerażenie.

- Ty zabiłeś...?

- Wy - poprawił go generał łagodnie, pomógł mu jednak wspaniałomyślnie, dodając: - Trzy.

- Zabiłeś trzy helioptery? - stęknął Quizzack. Widać było wyraźnie, że zbladł.

- I przeżyłem - potwierdził Mardu.

- Ale wiesz, co to oznacza! - wykrzyknął chłopak. - One... one zabiją w odwecie trzy tysiące ludzi!

- A jak myślisz, ilu ludzi już zabiła ta błyskawica? - odparł ostro generał. - A ilu jeszcze zabiją, tylko dlatego, że mają na to ochotę?!

Zapomniałeś, co się działo tam na górze, na ulicy?!

Chłopak zamierzał jeszcze coś powiedzieć, otworzył usta i zaraz je zamknął. Patrzył na Mardu coraz większymi oczami. Może starał się przypomnieć sobie, kto oddał pierwszy strzał i co spowodowało tę makabryczną jatkę. Był dostatecznie rozsądny, aby zachować wnioski dla siebie, przynajmniej w tej chwili.

- Wyprowadź mnie stąd - podjął Mardu. - Jeśli zaprowadzisz mnie do moich ludzi, przymknę oko na twoją bezczelność. A może nawet otrzymasz wynagrodzenie, kto wie.

Porządne łanie, to by mu się przydało! W pełni sobie na nie zasłużył!

- Jak siedzą ci na karku, to i mnie zabiją, gdy złapią nas obu razem - powiedział Quizzack.

- To jeszcze jeden powód więcej, aby mnie stąd szybko wyprowadzić - zgodził się z nim Mardu.

Chłopak rozmyślał nad tym argumentem z wyraźnym wysiłkiem, ale w końcu doszedł do wniosku, którego oczekiwał od niego generał. Odwrócił się więc w milczeniu i ruszył dalej. Mardu szedł tuż za nim, jednak co jakiś czas oglądał się za siebie.

Ale tam panowała cisza i bezruch, a to właśnie coraz bardziej niepokoiło Mardu. Jego prześladowcy byli przecież tuż za nim, a po tym wszystkim, co już zrobili, aby go pochwycić, trudno było uwierzyć, że teraz tak łatwo zrezygnują i pozwolą mu uciec. Mardu wiedział o heliopterych mniej więcej tyle, co każdy mieszkaniec Oblężenia - czyli tyle co nic - ale brał pod uwagę możliwość, że insektoidalna część tej biomechanicznej konstrukcji po prostu nie zniesie tak wysokiej temperatury, jaka panowała w tunelu. Nie dotyczyło to jednak jeźdźców, którzy byli przecież ludźmi i nie powinni mieć problemów, aby ścigać go tą samą drogą, którą obrali z Quizzackiem. Był pewien, że gdyby rzeczywiście chcieli go złapać, zrobiliby to już dawno.

Chłopak szedł wprawdzie niemal bez przerwy, ale zdaniem generała tracił dużo czasu zatrzymując się i zastanawiając przed wyborem kolejnego tunelu w licznych rozgałęzieniach. Nie można było mieć mu tego za złe. Dla Mardu wszystko tutaj i tak wyglądało tak samo i gdyby nieświecący pręt, który szybował przed nimi w powietrzu i umożliwiał orientację, to wszystko by się topiło w nieprzeniknionej, szaroczarnej ciemności.

Quizzack zatrzymał się w końcu przed kolejnym rozgałęzieniem i patrzył raz w jeden, raz w drugi tunel. Mardu nie widział żadnej różnicy: oba były niskie, ciemne i budziły lęk.

- Zabłądziłeś - stwierdził.

Quizzack potrząsnął przecząco głową.

- To jest właściwa droga - oświadczył, wskazując na lewe odgałęzienie. - Tędy wyjdziemy na zewnątrz.

- No to czemu nie idziemy? - niecierpliwiał się Mardu, widząc, że chłopak ciągle nie rusza się z miejsca. Coraz trudniej przychodziło mu panować nad sobą - chyba powinien być porządnie przetrzepać skórę temu małolatu.

- Bo... coś tu nie gra - odparł Quizzack z wahaniem. - Nie czujecie tego?

Jedyne, co czuł w tej chwili generał, to chęć wymierzenia mu kolejnego prztyczka w ucho. Parsknął pogardliwie, po czym po prostu odsunął chłopaka z drogi i schylił się wchodząc do ciemnego tunelu.

Ale po kilku krokach też poczuł coś niepokojącego: znowu zrobiło się cieplej. Ponieważ płaszcz obcierał mu skórę, a jego twarz i ręce pokryte były licznymi pęcherzami od oparzeń, w pierwszej chwili nie potrafił odróżnić gorąca, jakie odczuwał we własnym ciele, od tego, które panowało na zewnątrz. I po chwili także coś zobaczył: słaby, czerwony cień, gdzieś przed nimi - i wyczuł jakiś ruch. I czy to, co usłyszał, czy to przypadkiem nie było coś jak delikatny szelest, szuranie, czy może dreptanie niezliczonych milionów nóżek po ziemi?

Mardu odpędził tę myśl jako niedorzeczną, a Quizzack, który szedł za nim kilka kroków dalej, odezwał się nerwowo: - Panie, czy nie powinniśmy zawrócić?

Generał potrząsnął głową, ale świadomie odwrócił twarz, aby chłopak nie zauważył jego uśmiechu. Quizzack wykazywał wszelkie oznaki zdenerwowania i strachu, co było zrozumiałe - w końcu był jeszcze niemal dzieckiem. Ale niekoniecznie musiał wiedzieć, że groźny Mardu w gruncie rzeczy był dobrodusznym, pełnym ciepła człowiekiem.

Już choćby dlatego, że z pewnością by to wykorzystał.

Mardu wyprostował się na ile to było możliwe i ruszył dalej.

Przez delikatne światło szybującego pręta przebijał jakiś czerwony blask, którego źródło

znajdowało się gdzieś przed nimi - Mardu odczuwał specyficzne ciepło. Coś tu się paliło. No ale - co z tego?

Gdzieś w tym mieście molochu stale coś się paliło. Gdyby było bardzo źle, mogli jeszcze zawrócić.

- Mardu? - rozległ się pytający głos chłopaka.

- Generale - poprawił chłopca niemal automatycznie, stanowczo zniecierpliwionym tonem. Ten chłopak mógłby już się tego nauczyć.

Mardu umyślnie przeszedł jeszcze kilkanaście kroków, zanim odwrócił głowę i rzucił Quizzackowi surowe, ojcowskie spojrzenie.

- Co takiego? - spytał.

Tamten w odpowiedzi podniósł rękę i, co wydało się Mardu absurdalne, z przerażeniem wskazał na coś z przodu. Czy ten chłopak uważał go za ślepcę, czy może chciał się zabawić jego kosztem? Może miał tylko lepszy wzrok. Generał odwrócił nieufnie głowę i dostrzegł coś, co chłopak chyba zauważył już jakiś czas temu: to coś czerwonego przed nimi nie stanowiło już jednolitej całości, jak im się przedtem wydawało. Tunel nie był w całości ogarnięty płomieniami, nawet jeśli odczuwali, że temperatura wyraźnie wzrosła.

Mardu ruszył mimo wszystko dalej, ale ze zdumieniem stwierdził, że jego kroki mimowolnie stawały się coraz wolniejsze. Do jego świadomości dotarło wyraźne chrobotanie i szelest, które słyszał cały czas, a z czego nie zdawał sobie do końca sprawy. Nie potrafił w żaden sposób ustalić źródła tego dźwięku.

Za to stopniowo widział coraz więcej w gęstym, różowym półmroku. Nie rozświetlał go ogień, lecz czerwona, rozżarzona sieć.

Przypominała pajęczynę, która rozpościerała się na całej prawej ścianie, a której czerwone nitki objęły też podłogę i sufit. Znowu panowało potworne gorąco. Mardu zatrzymał się w końcu.

- Co to jest? - wyszeptał.

Chłopak, zamiast odpowiedzieć, minął go i wyszedł do przodu, po czym ignorując potworne gorąco, zbliżył się do ściany i podniósł nawet rękę, aby dotknąć niesamowicie świecącej sieci. Mardu przez chwilę patrzył z zainteresowaniem, co będzie dalej - jednak rozsądek w kurzym mózdzku chłopaka wziął górę: opuścił powoli rękę.

- Niesamowite - wyszeptał.

- Nigdy nie widziałeś czegoś takiego? - pytał generał.

Quizzack potrząsnął gwałtownie głową i zapewnił: - Jeszcze nigdy! - po czym powtórzył: - To rzeczywiście niesamowite.

Cofnął się o kilka kroków i obserwował rozmiary sieci, która ciągnęła się dalej w głąb korytarza.

- To wygląda, jak gdyby... rośło To nie tylko i wygląda - pomyślał Mardu z dreszczem przerażenia.

Patrzył na cienkie, migoczące kreski świecącej sieci, które właśnie wspinały się po suficie. Widział wyraźnie, że sieć rośła. Wprawdzie bardzo powoli, może kilka milimetrów na minutę, ale jednak rośła.

Gorzej: było jej zupełnie obojętne, co na swej drodze pochłaniała.

Przedzierała się powoli przez wszystko, co napotkała: kamień, ziemię, metal czy też drewno i zamieniała w rozżarzoną, ciemnoczerwoną lawę.

-Jeśli zachowamy ostrożność, to przejdziemy obok tego bezpiecznie - wymamrotał Quizzack, ale w jego głosie za bardzo nie było słyhać przekonania. - Tam dalej będzie lepiej - dodał.

Generał spojrział we wskazanym kierunku i doszedł do wniosku, że chłopak musiał mieć z całą pewnością lepsze oczy. On, Mardu, w żaden sposób nie mógł rozpoznać, czy „tam dalej będzie lepiej”.

Dokąd tylko sięgał jego wzrok, mógł dostrzec jedynie ciągnącą się na prawej ścianie tunelu czerwoną sieć, która tu i ówdzie zaczęła wysuwać czerwone nitki także na podłogę.

Quizzack uznał widocznie, że milczenie przełożonego oznacza zgodę. Ruszył do przodu,

przykucnął przed świecącą nicią sieci i znów wyciągnął rękę w jej kierunku. Jego palce znajdowały się zaledwie kilka centymetrów nad żarem, jak gdyby chciał w ten sposób zbadać temperaturę. Znów cofnął rękę, obejrzał się za siebie marszcząc z namysłem czoło i podniósł zardzewiały kawałek metalu leżący na ziemi. Ostrożnie dotknął rozżarzonej czerwonej nici, wyciągnął metal i znów z namysłem zmarszczył czoło, gdy zorientował się, że jego czubek był także rozpalony do czerwoności. Pomachał nim kilka razy, aby go schłodzić, ale nie przyniosło to spodziewanego rezultatu.

Wreszcie uderzył silnie odłamkiem o ziemię. Posypały się iskry, a kilka rozżarzonych okruchów zostało na ziemi. Mardu patrzył na nie oczekując, że w końcu zgasną, ale tak się nie stało. Koniec odłamka dalej żarzył się niczym dopiero wyjęty z pieca.

- To niesamowite - powtórzył Quizzack Machał odłamkiem o rozżarzonym końcu, aż Mardu zauważył, że żar przesunął się w górę i stopniowo pochłaniał metal. Chłopak ostrożnie odłożył odłamek na ziemię i patrzył, jak żar powoli zaczął ogarniać także znajdujący się na podłodze kamień.

Zupełnie jak gdyby ziemię też ogarniały płomienie.. Ta myśl nie opuszczała generała jeszcze długo - w dodatku miała ona jakieś przerażający i ostateczny wymiar...

- Myślę, że powinniśmy jednak wrócić - powiedział chłopak i wstał. Po czym dokończył: - ...panie.

Mardu nie odpowiedział. Nawet zrezygnował z poprawienia młodzieńca i może zwymyślenia go za to „panie”, bo przecież miał stopień generała. Patrzył w głąb tunelu i próbował zrozumieć osobliwy wzór, jaki tworzyła czerwona sieć na ziemi i ścianie tunelu. Sieć nie była gęsta i zapewne będą musiały minąć całe godziny, jeśli nie dni, gdy zamkną się jej kolejne „oka”. Mardu był pewien, że istniało więcej ścieżek, które prowadziły przez tunele tak, aby nie zbliżać się do żaru...

Skinął głową.

- Ten ogień nie gaśnie - stwierdził Quizzack, co, jak sądził Mardu, było zupełnie zbędne. Odwrócili się i idąc obok siebie ruszyli z powrotem.

- A w każdym razie nie gaśnie sam - przyznał mu niechętnie rację Mardu. - Wyślę tu jednego z moich alchemików, jak tylko znajdę się z powrotem w garnizonie.

- Macie na swoje rozkazy alchemika? - Quizzack spojrzął na niego oczami rozszerzonymi ze zdumienia i podziwu, ale jeszcze zanim generał poczuł, jak bardzo łechce to jego próżność, podziw na twarzy chłopca ustąpił miejsca przerażeniu - co najmniej tak samo wielkiemu.

- Boicie się, że ten ogień nie zgaśnie i może dojść do pożaru całego miasta! - wykrzyknął.

Już sama myśl o tym wydawała się tak przerażająca, że Mardu z początku nie dopuścił jej nawet do swojej świadomości. A z drugiej strony... przynajmniej z militarnego punktu widzenia idea ognia, którego nie można ugasić, miała swój niewątpliwy urok.

Generał miał zamiar wygłosić jakąś odpowiednią uwagę, ale uświadomił sobie, że znów słyszy chrobotanie i dziwny szelest. Właściwie słyszał to cały czas, ale udało mu się przez kilka chwil nie przyjmować tego do wiadomości. Zatrzymał się.

- Co to za dźwięk?

Jego adiutant widać ćwiczył się znowu w sztuce ignorowania rozkazów, bo nie odpowiedział, wzruszył tylko bezradnie ramionami, ale odpowiedź nie była tu w ogóle konieczna. Teraz Mardu sam dostrzegł niebezpieczeństwo - cienie przed nimi zaczęły się ruszać.

Nie był w stanie rozróżnić szczegółów, tylko coś jakby falowanie i przemieszczanie się. Gdyby Mardu wiedział, jak śmieszna była sama myśl o tym, iż jako Wybrany może choć przez chwilę coś takiego odczuwać, to mimo wszystko na ten widok i tak odczułby strach.

Ruch z przodu stał się nieco bardziej wyraźny i gwałtowniejszy, a w narastającym, coraz głośniejszym chrobotaniu i szeleście było coś groźnego. Słyszał teraz wyraźnie szmer niezliczonych, opancerzonych nóg, które przesunęły się po ziemi. A za chwilę zobaczył je, zaledwie w sekundę po tym, kiedy usłyszał, jak Quizzack obok niego ze świstem wciąga powietrze przez zęby.

To były... chrząszcze, w każdym razie było to pierwsze określenie, które przyszło mu do

głowy- mniej więcej o wielkości jego kciuka, z czarnymi pancerzami, o sześciu maleńkich, drapiących nóżkach, bez oczu, za to z niemal groteskowo dużymi, kłapiącymi żuwaczkami. Te bydlaki były co prawda drobne, ale było ich wiele, bardzo wiele, Mardu ocenił, że nawet kilka milionów. Pokrywały dokładnie całe dno tunelu, a nawet dolną część ścian. Czarna fala chroboczających nóżek i rozrywających wszystko żuwaczek pędziła wprost na nich.

- Uciekaj! - ryknął generał.

Nie mieli co prawda ani zbyt bogatej alternatywy, ani też obiecujących perspektyw ucieczki. I on i Quizzack odwrócili się na pięcie i popędzili z powrotem, dokładnie tam, skąd przyszedli, wprost na czerwoną, świecącą sieć, która teraz wydała się Mardu o wiele bardziej gęsta i wręcz niemożliwa do wyminięcia. Miał nadzieję, że idąc na czubkach palców, ostrożnie zdołają precyzyjnie się obok, nie dotykając żadnej ze śmiertelnych, rozżarzonych nici - ale w tym tempie, w którym ścigały ich chrząszcze, nie mieli szans.

I tak nie dotarli do sieci. Chrząszcze były nieporównanie szybsze, niż sądził Mardu i dogoniły ich, kiedy już tylko kilka kroków dzieliło ich od płonącej ściany. Szeleszcząca masa rozdzieliła się po prostu tuż przed nimi i opłynęła ich ze wszystkich stron. Przez chwilę generał miał nadzieję, że ani on, ani jego adiutant nie stanowią interesującego obiektu dla insektów, ale łudził się jedynie bardzo krótką chwilę. Coś dotknęło jego nóg i zaczęło wspinać się do góry, jak fala maleńkich, wręcz mikroskopijnych (ale niezliczonych) żyłek i nagle chrząszcze znalazły się pod jego stopami. Stracił oparcie i dziko machając rękami runął na ziemię.

Uderzenie nie było tak bolesne i twarde, jak się spodziewał, bo nie upadł na kamienie, lecz na ruchomy dywan insektów, które całkowicie pokryły dno tunelu. W ułamku sekundy fala chrząszczy załała również Quizzacka.

Mardu zamknął oczy i czekał już tylko na to, że zostanie żywcem pożarty, ale o dziwo, tak się nie stało. Dotknięcie chrząszczy bolało wręcz potwornie, bo ich twarde jak żelazo nóżki tarty bezlitośnie o każdy milimetr jego poparzonej skóry, a zęby insektów raz po raz wgryzały się w nią. Wyglądało jednak na to, że ten smak nie do końca im odpowiadał. Mardu odczekał jeszcze z dziesięć podwójnych uderzeń serc, myśląc, że zaraz zacznie się pożeranie go żywcem. Po chwili stwierdził ze zdumieniem, że chyba po raz kolejny ocaleje, po czym spróbował podnieść się z tego mrowia i stanąć na nogach.

Niesłychana masa chrząszczy umożliwiła mu to dopiero za trzecim razem. Zdołał usiąść i kiedy patrzył w zdumieniu na przelewającą się obok rzekę insektów, dostał nagrody w postaci osobliwego widoku: powierzchnia tunelu dosłownie kipiała, setki tysięcy, jeśli nie miliony chrząszczy tworzyły ruchomą, pełznącą warstwę sięgającą wysokości łydki. Wszystko to właśnie w tym momencie dotarło do rozżarzonej sieci i pokryło ją jak fala, podobnie jak przedtem Mardu i Quizzacka.

Obok generała rozległ się szelest i jego oczom ukazało się coś w rodzaju garbu wynurzającego się z pełzającego mrowia - garb za chwilę zamienił się w Quizzacka, który również z trudem starał się usiąść. Chrząszcze wisały na nim jak kawałki galarety. Po chwili spadały i stapały się w jedno z poruszającą się masą swoich współbraci.

Twarz chłopaka, podobnie jak Mardu wyrażała całkowitą konsternację na zmianę z obrzydzeniem.

- Co się... dzieje? - wystękał Quizzack.

Mardu pomyślał, że musi odzwyczaić podwładnego od zadawania głupich pytań, na które przecież nie mógł odpowiadać. Zamiast tego podniósł się, stanął na nogach i mrugając oczami rozejrzał się dookoła. Chrząszcze załyły już większą część rozżarzonego tunelu, ale szybkość pełzającej masy raczej spadała. Zwalniała ona dość gwałtownie w momencie, kiedy insekty docierały do źródła żaru i rozpadały się w popiół.

Właściwie, dlaczego tak się dzieje?- pomyślał generał.

Dopiero teraz zorientował się, że wcześniej nigdzie w tunelu nie widział popiołu. Tam, gdzie żar pochłonał kamień i metal, pozostawały tylko tłące się resztki, ale nie popiół, nawet nie dym.

Zamiast zrobić, co nakazywał mu rozum, krzyczący coś z tyłu głowy coraz bardziej histerycznym głosem, a mianowicie - zawrócić i uciec jak najdalej od tego przerażającego miejsca, Mardu z trudem zbliżył się powoli do ognia. Ponowne wejście w drgającą masę

chrząszczy wymagało niesłychanego wysiłku i pokonania instynktownego, ogromnego oporu, poza tym było po prostu potwornie bolesne. Było to tak, jak gdyby brodził w gęstym błocie, którego opór był o wiele większy, niż siły, których używał. Mardu obawiał się, że stanie na jedną z rozżarzonych, czerwonych linii, których większość ukryta była teraz pod ruchomą masą. To, co robił, było bardzo, bardzo nierozsądne. Ale w tym właśnie generał miał dużą wprawę.

Wszędzie dookoła kipiało i syczało, powietrze pełne było żrącego dymu, co prawdopodobnie nieodwracalnie uszkodziłoby jego płuca, gdyby został tu dłużej. Podszedł więc szybkim krokiem do płonącej ściany tak blisko, jak to tylko było możliwe i pochylił się z zaciekawiony. To, co dotychczas uważał za złudzenie optyczne, będące efektem kiepskiego stanu jego nerwów, okazało się prawdą. Samobójcze chrząszcze docierały blisko do źródła żaru i wtedy rozpadały się w popiół. Były ich setki, a nawet tysiące... Ale, co było najdziwniejsze, nie omijały one ognia, ani też wcale nie biegły wprost w jego serce z uporem właściwym głupiemu stadu zwierząt, biegnącemu na pewną zgubę. Przeciwnie, osobliwe insekty wydawały się namierzać rozżarzone nici. Było to wręcz niewiarygodne: tam, gdzie ruchoma masa pokrywała ogień, świecąca sieć przestawała rosnąć i jej większe części... kurczyły się.

- My... powinniśmy... naprawdę stąd iść, generale - powiedział nerwowo Quizzack. - To wszystko tutaj... nie podoba mi się.

- Milcz, żołnierzu - prychnął Mardu, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem. Chłopak posłuchał i umilkł.

Generał zebrał więc resztki odwagi i jeszcze bardziej zbliżył twarz do ściany, próbując rozpoznać więcej szczegółów. Udało mu się to dopiero wtedy, kiedy skoncentrował wzrok na jednym z pracowicie krzątających się chrząszczy i prześledził jego los aż do końca. Stwór (jakoś z trudem przyszło mu teraz nazwać go chrząszczem) przedarł się przez masę swych współbraci, dotarł do jednej z czerwonych nici i natychmiast wgrzył się w rozżarzoną materię swoją żuwaczką. Wyrwał drobny okruch żaru i zatkał sobie nim pracowicie mielącą żuwaczkę, która natychmiast również się rozżarzyła. Zaraz potem zaczęły się tlić głowa i cały tułów. W ułamku sekundy chrząszcz zamienił się w popiół. Ale drobna iskra, którą stwór dosłownie odgryzł z rozżarzonej nici, zniknęła.

- Interesujące - mruknął zaintrygowany Mardu.

- Tak, generale? - zapytał z tyłu za nim Quizzack.

- Rzeczywiście, niezwykle interesujące - ponownie zgodził się z samym sobą Mardu.

Wyciągnął rękę i ujął w palce jednego z chrząszczy, aby zabrać go ze sobą i dać potem do zbadania jednemu ze swoich alchemików.

Jednak skończyło się tylko na nieudanej próbie realizacji tego pomysłu, bo chrząszcz wpił się tak gwałtownie żuwaczką w czubek jego palca, że Mardu upuścił go czym prędzej z głośnym przekleństwem. Potrząsnął przy tym ręką tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a straciłby równowagę i upadł wprost na kłębiącą się pod nim masę i wszystko, co kryło się pod nią. W ostatniej chwili ocalił go Quizzack, który chwycił go błyskawicznie za ramię i mocno przytrzymał.

Jako wyraz wdzięczności generał postanowił zrezygnować z wymierzenia chłopakowi chłosty, co właściwie należało mu się za bezczelność, jaką było dotknięcie dowodzącego bez wezwania. Zamiast tego Mardu wyprostował się więc i wymierzył chłopakowi mocnego szturchańca między ramiona, aby ten wreszcie ruszył. Quizzack zamruczał coś niewyraźnie, co Mardu wielkodusznie puścił mimo uszu.

Wreszcie zaczęli iść w głąb tunelu, w stronę ciągle niewidocznego wyjścia.

Przynajmniej próbowali. Ale z racji tego, że wędrówka pod prąd ciągle napływającej masy chrząszczy była trudniejsza, niż się spodziewali, powrót do poprzedniego rozgałęzienia zajął im znacznie więcej czasu.

Po dotarciu do celu, wybrali ten tunel, z którego wychodziło mniej chrząszczy - choć ich liczba i tak wydawała się dosłownie nieskończona. Mardu przyśpieszył kroku. Chętnie rozprostowałby ramiona, aby móc z godnością spojrzeć w oczy swojego podwładnego (co prawda w tej chwili jedyne), ale na to czuł się po prostu zbyt nędznie.

- Czy tędy wyjdziemy na górę? - spytał.

Quizzack odpowiedział z dużym opóźnieniem, a w jego głosie nie było słyhać zbytowego



przekonania, jakie powinno być właściwe dla wygłoszonych potem słów.

- Wszystkie drogi w końcu prowadzą na górę, generale.

- Nie o to pytałem.

Quizzack spojrział na niego, potem na pograżony w cieniu tunel i w końcu skinął głową.

Mardu zmierzył go jeszcze bardziej surowym spojrzeniem, co chłopak znów uparcie zignorował. Oglądał teraz każdy centymetr kwadratowy tunelu, zanim odważył się postawić tam nogę. Może faktycznie ma jakiś powód... pomyślał Mardu. Ale jeśli nawet tak było, to właściwie nie chciał tego powodu poznać.

- Przeżyłeś już coś takiego? - spytał po dłuższej chwili marszu.

- Pożar czy chrząszcze? - upewnił się Quizzack.

To jest coś, od czego musiał go jak najszybciej odzwyczać - odpowiadać pytaniem na pytanie.

-Jedno i drugie - rzekł w odpowiedzi.

-Jeszcze nigdy- odparł Quizzack. Demonstracyjnie zatrzęsł się ze strachu i dodał: - To było rzeczywiście niesamowite.

Zmierzył Mardu nieśmiałym spojrzeniem, po czym spytał: - A wy naprawdę chcecie tutaj wrócić?

- Wrócić? - sapnął Mardu. Czy ten chłopak stracił rozum?!

- To znaczy razem z waszymi alchemikami - przypomniał mu Quizzack.

- To... zależy - odparł generał wymijająco.

- Od czego? - dopytywał się chłopak.

Mardu dał sobie nieco czasu, idąc sztywnym krokiem przez nieco mniejszą masę chrząszczy, które były już chyba czymś w rodzaju tylnej straży. Quizzack nie spuszczał z niego pytającego wzroku.

- Od tego, co powiedzą moi alchemicy, kiedy im o tym opowiem - wyjaśnił. - Być może tylko pokiwają głowami, bo doskonale wiedzą, co tu się dzieje. W co jednak wątpię.

- Ale kiedy ich tutaj wyślecie, będę mógł iść z nimi? - spytał Quizzack.

- A po co chcesz tu wrócić? - dopytywał się Mardu.

- Bo boję się tego, panie... generale - przyznał. - Co będzie, kiedy te chrząszcze nie będą w stanie ugasić ognia? Może spłonąć cała dzielnica... Albo nawet całe miasto!

- Spokojnie, przyjacielu - odparł łagodnie Mardu. -Widziałeś, jak wiele jest tych chrząszczy. Oni na pewno wyślą ich na tyle dużo, aby mogły ugasić ogień.

- Oni? - spytał natychmiast Quizzack. - Kogo macie na myśli?

A skąd on, do diabła, miał to wiedzieć? Zmienił temat.

- Opowiedz mi coś o sobie - zażądał. - Skąd tak dobrze znasz drogi w tych tunelach?

Quizzack nie próbował ukryć swojego rozczarowania, ale odpowiedział posłusznie: - Wychowałem się tutaj.

- Tu, pod ziemią?

- Tu też! - odparł chłopak z pewnym wahaniem.

- Często bywam tu, na dole. Czasami przeprowadzam ludzi, którzy szukają krótszej drogi z dzielnicy przez tunele, albo złodziei metalu... to znaczy kolekcjonerów.

Mardu wielkodusznie puścił to ostatnie mimo uszu. Złodzieje metalu byli nędzną plagą, ale jeśli w ogóle istnieli, to byli to przeważnie głupcy. Jedyny (dawny) metal, który dane było Mardu dotychczas widzieć, to rdza.

- A twoja rodzina? - spytał.

- Wszyscy nie żyją - odpowiedział chłopak, ale w jego głosie nie było słychać najmniejszego śladu żalu. - Nali ich wymordowali, pięć lat temu, w czasie wojny.

Jakiej wojny? - chciał niemal automatycznie zapytać Mardu, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie słyszał w ogóle o Nali ani też o żadnej wojnie. Tak wiele ludów mieszkało w

Obleżeniu, wszystkie zapewne prowadziły jakieś działania militarne.

- A więc jesteś zupełnie sam? - spytał znowu.

- Nie jestem sam! - zaprzeczył gorliwie Quizzack. - Mam przyjaciół, a oni pilnują mnie i opiekują się mną. Wszyscy siebie pilnujemy i dobrze się o siebie troszczymy! - dodał z dumą.

- A więc banda - powiedział generał z pogardą. Fakt, że on sam dorastał w takiej bandzie, nie zmienił tego, że jego pogarda nie była udawana.

- To nie jest banda! - zaprotestował Quizzack. - Jesteśmy przyjaciółmi! Jak wielka... rodzina. Tylko lepsza.

- Nie martw się, chłopcze - rzekł Mardu z ciepłym uśmiechem. - To się zmieni. Wkrótce będziesz mieć nową rodzinę.

-Ale ja mam...

- Armia troszczy się o swoich żołnierzy - ciągnął Mardu. - Zobaczysz, otrzymasz wszystko, co jest ci potrzebne. Dobre jedzenie, lepsze ubranie, opiekę medyczną i znakomite wykształcenie. Zajmę się tym osobiście! - zapewnił.

Quizzack zmierzył wzrokiem jego poszarpany płaszcz i poranioną twarz.

- A dostanę żołd? - spytał.

- Nie jesteśmy najemnikami, chłopcze. - pouczył go generał.

-Walczymy dla naszego mistrza klanu, o sprawiedliwość i honor.

- Ale czy słowo żołnierz nie ma czegoś wspólnego z żołdem?

- nie ustępował Quizzack.

Mardu znowu ugryzł się w język, rezygnując z odpowiedzi na kolejną bezczelność, rozchylił płaszcz i położył rękę na czarny toro-id skanera przy pasie.

- Nauczysz się obchodzić z czymś podobnym - powiedział.

- Wiem, wygląda niegroźnie, ale czasami najbardziej niegroźne rzeczy są właśnie najbardziej niebezpieczne. Uwierz mi, to potworna broń w ręku mężczyzny, który wie, jak się tym posłużyć.

Młodzieniec patrzył przez chwilę na skaner z umiarkowanym podziwem i wreszcie skinął głową.

- Model Mark II - powiedział. - Miałem już taki. Zamieniłem się na Mark III. Jest lżejszy i ma o wiele większy zasięg. I lepszą celność.

Generał wytrzeszczył oczy, ale dodał z niewzruszonym wyrazem twarzy: - Zatrzeszczę się o twoje wykształcenie - obiecał. - I to osobiście.

- Mogę wam dostarczyć model Mark III - mówił spokojnie Quizzack - Moi przyjaciele wiedzą, gdzie jest cały magazyn. Na pewno będę mógł zaoferować wam dobrą cenę... albo się zamienimy - ruchem głowy wskazał zdobyczną broń Mardu - o wiele większą i niezgrabną w porównaniu do skanera. - Dwie skrzynie Mark III za to tutaj. Jak się potargujemy, to może nawet dwie i pół skrzyni. Takie rozrywacze są bardzo cenione przez silnych chłopców i...

- Zamknij natychmiast paszczę! - zaatakował go zniecierpliwiony Mardu. - Co ci przyszło do głowy, żeby oferować generałowi czyjś złodziejski łup jak jakiemuś...

Quizzack nakazał mu milczenie tak władczym gestem, że Mardu instynktownie zadał sobie pytanie, kto tu jest generałem, jednak posłusznie umilkł i zdumiony wlepił oczy w chłopaka.

- Cicho! - syknął. - Ani słowa!

Teraz było już za wiele tego dobrego.

- Co ty sobie myślisz, bezczelny smarkaczu? - sapnął Mardu.

-Nauczę cię...

- Ktoś idzie! - przerwał mu chłopak. - Nie słyszycie?

Mardu rzeczywiście nic nie słyszał ani nie widział w tunelu, który wskazał wyraźnie przerażony Quizzack. Zdecydował się później wychłostać adiutanta, a teraz zdać się na jego młodsze oczy i uszy.

Umilkł, osunął się na kolana, władczym gestem nakazał ciszę i wyciągnął drugą ręką skaner,

patrząc zmrużonymi oczami przed siebie.

Rzeczywiście coś się tam poruszało. Coś, co...

Mardu z powrotem wetknął skaner za pas i wyciągnął zdobyczną broń. Quizzack stęknął i wpatrzył się w nią pełnymi podziwu oczami.

Czyli ten urwis rzeczywiście był na tyle bezczelny, aby wyciągnąć rękę po coś takiego.

Generał w ułamku sekundy pojął dwie rzeczy: po pierwsze Quizzack rzeczywiście miał zamiar wyrwać mu broń, po drugie - Mardu zrozumiał, co naprawdę oznacza monstrualny cień przed nim.

Jedną ręką wymierzył chłopakowi mocne uderzenie w twarz (ten w efekcie runął na ziemię), a drugą wycelował i strzelił.

W ciemności, jaka panowała w tunelu, nie mógł trafić zbyt precyzyjnie, ale w przypadku tej broni nie było to konieczne. Po chwili wyczekiwania zobaczył i usłyszał, jak dosłownie eksplodowały przed nim wielkie, owadzie oczy helioptera: był to tak silny błysk, że ten obraz dosłownie wyrwał się na siatkówce oczu Mardu. Oczywiście razem z wyrazem twarzy jeźdźca, który zupełnie nie spodziewał się, że zostanie pokonany swoją własną bronią, dosłownie i w przenośni.

Ale Mardu nie miał teraz czasu cieszyć się tym widokiem.

Heliopter i jego nieszczęsny jeździec rozlecieli się w wyniku eksplozji i spoczęli na dnie tunelu w formie czerwoczarnej błoty i dymiących części maszyny. Chwilę później zaczęły pękać jeden za drugim metalowe wsporniki przy ścianach tunelu, co przypominało głośne strzały. Zaraz potem zawaliła się połowa stropu, grzebiąc żalosne szczątki wałki, ale i także świecący pręt, który oddał im tak nieocenione usługi w ciemnościach.

Mardu gwałtownie schował twarz w ramionach i zaczął kaszleć, bo wydawało mu się, że pojedyncze molekuly powietrza wokół niego zamieniały się błyskawicznie w duszący kurz. Otoczyła go całkowita ciemność, bo wybuch odciął dopływ światła z drugiego końca tunelu.

Ale ciemno było tylko przez chwilę, obok niego coś zaszeleściło i zabalgotało, po czym pojawił się wąski, silny strumień światła, tak jaskrawy, że niemal bolesny.

- Od jak dawna masz tę lampę ze sobą? - zagrział Mardu.

Było to niewątpliwie głupie pytanie, co chwilę potem przyznał sam przed sobą. Quizzack nawet nie zadał sobie trudu, aby na nie odpowiedzieć. Mozolnie wygrzebywał się z gruzu, wreszcie powoli podniósł się, machając ręką przed ustami i zanosząc się od kaszlu. Za chwilę skierował strumień światła w stronę zawałonego tunelu przed nimi. Daleko nie potrzebował świecić: zaledwie dziesięć metrów przed nimi wznosił się masywny mur z zawałonych gruzów i kamieni, blokując dalszą drogę ucieczki.

- Chyba trochę przesadziliście z tym wystrzałem, panie - stwierdził niezadowolony.

Mardu pomachał zdobyczną bronią i odparł: - A co ja na to poradzę? Przecież nie jestem konstruktorem tego czegoś.

Chłopak popatrzył na niego niemal z wyrzutem, potrząsnął głową, po czym dotknął broni bardzo ostrożnie. Tym razem generał pozwolił na to, ale spoglądał na młodzieńca nieco nieufnie. Nie miał pojęcia, co on robi, ale słyszał cichutkie brzęknięcie.

- No i co? - spytał wyczekująco.

W odpowiedzi Quizzack wskazał ruchem głowy ścianę z tyłu, a Mardu nie wiedząc, co to jest ani dlaczego właściwie to robi - podniósł broń i kolejny raz strzelił. W ścianie powstało wgniecenie wielkości człowieka i głębokości połowy jego wzrostu. Znajdująca się w nim materia po prostu zniknęła. Ten widok robił wrażenie, ale nie wytrzymał porównania z poprzednim wystrzałem, przypominającym kopnięcie stopy olbrzyma, który zmiażdżył helioptera i zdeptał tunel za nimi.

- Powoli zaczynasz budzić grozę, chłopcze - zagrział Mardu.

- Ta broń zużywa dość dużo energii - odparł Quizzack, nie nawiązując do poprzedniej wypowiedzi Mardu. - Jeszcze kilka takich strzałów i magazynek byłby pusty.

Demonstracyjnie spojrzął na sufit i oszczędził generałowi kolejnego komentarza. Mardu

domyślił się jednak, co chciał powiedzieć.

- Wiesz dość dużo o broni - zaczął generał nieco markotnie. I nieco podejrzliwie.

- Zgadza się. Inaczej już bym dawno nie żył - odparł poważnie chłopak. - Czy one rzeczywiście was gonią?

Mardu nie odpowiedział, spojrzał za to na hałdę gruzu, blokującą teraz tunel. Tak było, ale tędy już go z pewnością nie dogonią.

- Znasz jakąś inną drogę, żeby stąd wreszcie wyjść.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. Quizzack nie odpowiedział w ogóle, lecz odwrócił się i wskazał jedyny możliwy kierunek, w którym mogli pójść dalej.

Mardu podniósł się powoli i ruszył za chłopcem, zachowując znacznie mniejszy odstęp, niż było to konieczne. Wytężał pamięć, starając się przypomnieć sobie, czy skręcili tylko raz po opuszczeniu płonącego tunelu? Nie wiedział, a oficerska duma nie pozwalała mu spytać o to Quizzacka. Szedł więc w milczeniu, a jego gniew wzrastał.

Gea. Ku rozczarowaniu Gei koci insekt zniknął zaledwie po kilku minutach, gdy byli już w drodze. Zapytała ciemnowłosego wybawcę o powód tego zniknięcia, ale tak jak się spodziewała, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. A kiedy powtórzyła pytanie, jej przewodnik niemal ją zaatakował, mówiąc ze złością: - Dziewczyno, a skąd mam wiedzieć, co przychodzi do głowy czemuś takiemu, jak chrząszcz? Mana przychodzi i odchodzi, a kie- dy i jak - to już jego sprawa. Ale jest zawsze wtedy, kiedy go potrzebuję i to jedyne, co się liczy.

- Gea - poprawiła go, a szorstkość jego wypowiedzi nieco ją zaskoczyła, tym bardziej więc nie była gotowa, aby ustępować zbyt łatwo, dodała więc: - A nie „dziewczyno”.

- Gea - wymamrotał, wzruszając ramionami. - Twoi rodzice nie cierpieli z powodu nadmiernej skromności, co?

- Nie - odparła. - A ty?

-Ja też nie.

Jego spojrzenia taksowały spokojnie, ale za to bardzo uważnie budynki po obu stronach drogi, a ona zastanawiała się, czy trzymał dłoń na rękojeści miecza z przyzwyczajenia, czy też był ku temu jakiś inny powód. Od kiedy oddalili się od Ściany, okolica, w której się znajdowali, zmieniła się znacznie - dokładnie rzecz biorąc zmieniała się właściwie z każdym krokiem, ale ta tutaj... była naprawdę specyficzna. Gea nie potrafiła powiedzieć, dlaczego, ale tak jej się wydawało. Zrobiło się po prostu nieprzyjemnie. I chyba także niebezpiecznie.

- Nie to miałam na myśli - zwróciła się do niego. - Ale twoje imię. Jeszcze mi go nie podałeś...

- A może tego nie chcę - odpowiedział. - I może mam jakiś ważny powód.

- Powód, żeby mi nie powiedzieć, jak się nazywasz?

- Może jestem kimś słynnym, kto jest tutaj wyłącznie incognito? - zaproponował odpowiedź. - Albo poszukiwanym zbrodniarzem.

Wówczas musiałbym cię zabić, kiedy tylko dowiedziałabyś się, jak się nazywam.

- No, to zależy - odparła. - W końcu muszę się dowiedzieć, jak ma na imię dzielny wojownik, który uratował mi życie.

Po krótkim milczeniu czarnowłosa oświadczył w końcu: - Craiden.

- Craiden? - Gea przesadnie zmarszczyła czoło. - To nie brzmi jak imię jakiegoś osławionego zbrodniarza... Ale także nie jak imię słynnego wojownika.

Ale uznała, że brzmi ono dobrze. I było to imię, które w jakiś sposób do niego pasowało.

- Szkoda - westchnął Craiden. - A więc cały trud poszedł na marne.

-Jaki trud?

- Trud ratowania ci życia. Ostrzegałem cię - jego ręka demonstracyjnie spoczęła na rękojeści miecza. - Teraz muszę cię zabić. I widzę, że na darmo zabiłem tych biedaków.

- Tak, to rzeczywiście denerwujące - przyznała Gea. - Ta krew, którą rozlałeś i to wszystko, co zrobiłeś, wszystko było daremne...

Czekała, aż Craiden odpowie równie kpiącym tonem na jej złośliwą uwagę albo przynajmniej

uśmiechnie się, ale on nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Zmierzył ją tylko krótkim spojrzeniem w taki sposób, że pożałowała swoich słów. Nagle nie była już pewna, czy to tylko kiepski żart z jego strony - a jeśli nie? To, że nigdy nie słyszała jego imienia, znaczyło niewiele. Nikogo nie znała w tym mieście.

Po chwili jednak dostrzegła kpiący wyraz jego oczu i jej niepewność błyskawicznie zamieniła się w złość. Złość także na siebie samą, ale przede wszystkim na niego.

- A więc Craiden? - upewniła się. - Zapamiętam sobie to imię.

- Powinnaś je zapamiętać, moje dziecko - odparł. - Mam nadzieję, że ci się na coś przyda.

- Gea - poprawiła go znowu, zmrużyła oczy i spytała: - Co masz na myśli?

Zamiast odpowiedzieć, Craiden stanowczym gestem nakazał jej umilknąć. A potem stało się coś, co ją - sekundę później - rzeczywiście zaniepokoiło.

Wrócił Mana. Kot-chrząszcz, szumiąc głośno skrzydłami, opuścił się niemal pionowo na ramię Craidena, wczepił się czterema ze swoich sześciu nóżek w jego czarny płaszcz i zaczął kłapać żuwaczkami. Ulica przed nimi była zupełnie pusta, ale dziwny stwór zachowywał się tak, jak gdyby natknął się na jakiegoś piekielnie niebezpiecznego przeciwnika. I czy Craiden nie mówił, że Mana zawsze zjawiał się wtedy, gdy Craiden był w potrzebie i że można było na nim polegać?

Gea spróbowała odpędzić tę myśl i skupiła się na dużo przyjemniejszym widoku, jakim był jej niezwykle przystojny wybawca, ale efekt jej rozmyślań był dokładnie odwrotny do oczekiwanego. Twarz Craidena była wprawdzie nieporuszona, jednak trudno było nie dostrzec wyrazu jego oczu, kiedy z napięciem i niepokojem uważnie obserwował ulicę. Jego dłoń ciągle spoczywała na rękojeści miecza.

- Co się dzieje? - spytała bez ogródek.

-Jesteś dobrą obserwatorką - odpowiedział. -Ale - nie wiem.

- Jednak wyglądasz na zaniepokojonego, jak na sytuację, w której wszystko jest w porządku - stwierdziła.

- Nie powiedziałem, że wszystko jest w porządku - odparł. - Ale na przykład nie lubię głupich pytań.

-Jak dobrze, że nikt tutaj nie zadał głupiego pytania - zakpiła.

Craiden obdarzył ją jednym, wyraźnie zirytowanym spojrzeniem, ale powstrzymał się od wszelkich komentarzy. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła i wskazał na prawo: - Tam prosto, szybko! - rzucił.

Gea posłuchała, ale miała wątpliwości, czy te słowa dotyczyły jej, bo Mana błyskawicznie wzniósł się w powietrze i odleciał z głośnym brzęczeniem, a Craiden wprawdzie nie biegł, ale szedł tak szybko, że z trudem mogła za nim nadążyć.

Zatrzymał się przy wąskich, ale absurdalnie wysokich drzwiach i zaczekał na nią. Gea daremnie próbowała odczytać coś z jego twarzy.

Jedyne, co mogła stwierdzić, to to, że działo się z nim coś dziwnego, a to wystarczało w zupełności, aby się zaniepokoić. W końcu miała już okazję widzieć, do czego jest zdolny.

- Czy nie sądzisz, że w końcu byłby czas powiedzieć mi, co się dzieje? - spytała znowu, oddychając szybko.

- Właściwie nic - odparł. - Chodzi o okolicę. Jest niebezpieczna i nie powinienem być tutaj przychodzić.

- To dlaczego to zrobisz?

- Bo Mana powiedział mi, że gdzieś tu jakieś dziecko jest w niebezpieczeństwie - odparł Craiden. Gea nie odpowiedziała.

Przez chwilę uważnie obserwował ulicę za nimi, potem odwrócił się i bardzo długo i jeszcze uważnie wpatrywał się we wnętrze budynku naprzeciwko nich. Gea zrobiła to samo, ale dostrzegła tylko jakiś cień i niejasny ruch - prawdopodobnie był to Mana, który sprawdzał klatkę schodową.

- Chodź - Craiden ruszył i nawet nie spojrzał, czy pobiegła za nim. A Gea rzeczywiście

zwlekąła chwilę i tym szybciej pobiegła, chcąc dołączyć do niego, zanim zupełnie zniknie w cieniu.

Ten budynek był... niesamowity. Gea niechętnie używała tego słowa, bo wiedziała, że jest wiele rzeczy pozornie trudnych do zrozumienia lub z trudem poddających się sztywnej logice ludzkiego umysłu, które zaś w rzeczywistości nie mają w sobie nic nadnaturalnego. Ale dla tej okolicy to określenie wydawało się być najśluszniesze.

Niesamowity był już sam zapach - intensywny i bardzo nieprzyjemny, ale niedający się porównać z niczym, co znała. Było też wyjątkowo cicho, ale ta cisza wydawała się wprost huczeć w jej uszach.

W jakiś sposób czuła, że nie było tu ludzi - i to już od dawna - ale jednak coś tu żyło, coś, co było bezgłośnie, niewidzialne i bardzo, bardzo niebezpieczne. Zawsze uważała za bzdurę, jeśli ktoś twierdził, że „coś czuje”, gdy inna osoba wpatrywała się w niego. Teraz wiedziała dokładnie, co to za uczucie.

- Gdzie my jesteśmy? - wyszeptała, kiedy już dołączyła do Craidena, a jej słowa odbiły się głośnym echem od niewidzialnych ścian w taki sposób, że poczuła na plecach dreszcz przerażenia. Echo od bijało słowa tak, że brzmiały głucho i były - nie potrafiła tego inaczej wyrazić - jakby stłumione przez wszechobecny kurz. Było tak, jakby coś powtarzało dźwięk ludzkiego głosu - zmieniając go jednocześnie w jakiś nieopisany sposób.

-Jesteśmy w miejscu, gdzie lepiej nic nie mówić - odparł surowo Craiden. Szeptał tak cicho, że Gea odgadła jego słowa, zanim je zrozumiała.

-Trzymaj się blisko mnie, obojętnie co się stanie.

I tak nie miała zamiaru robić niczego innego. Coś poruszało się w ciemności i, co było jeszcze bardziej niepokojące, to coś znajdowało się ponad nimi, a Gea miała wrażenie, że dostrzega jakieś powolne falowanie czy też szybowanie, coś jak olbrzymi żagiel, składający się jedynie z cienia i poruszający się w nieistniejącym prądzie powietrza.

A z tyłu coś jakby kroczyło powoli, coś bardzo dużego, owłosionego, z wieloma nogami i oczami, którymi wpatrywało się w nich bezustannie.

Coś skoczyło wprost na nią i Gea rozpoznała dosłownie w ostatnim momencie Manę, z którego jej wyobraźnia mimo woli zrobiła potwora z sennych koszmarów. Chyba krzyknęła przerażona, bo Craiden, na ramieniu którego spokojnie usiadł chrząszcz, odwrócił głowę. Spojrzał na nią z niepokojem i wyraźną troską w oczach. Nie powiedział jednak nic, lecz wskazał na jakąś plamę w ciemności, która wydawała się nieco jaśniejsza niż pochłaniająca światło czerń.

Kiedy do niej podeszli, plama stała się jeszcze jaśniejsza, aż w końcu spostrzegli, że było to rozbite okno, z którego ram sterczały - zupełnie jak sztylety - ostre odłamki szkła. Craiden przyspieszył kroku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wyjął miecz, usunął odłamki i przeszedł przez otwór na drugą stronę. Gea nie czekała nawet, aż odwróci się i poda jej rękę i szybko przeszła za nim.

Znaleźli się na wąskim podwórku, otoczonym ze wszystkich stron przez ściany domów. Nie było tu żadnych drzwi, a okna w większości były zabite deskami albo nawet zamurowane. Jeśli coś albo ktoś tu mieszkał - to najwyraźniej nie przywiązywał wagi do świeżego powietrza i światła dziennego.

Craiden wykonał niemal niedostrzegalny ruch ręką. Kot-insekt uniósł się w górę z jego ramienia i wleciał do jednego z nielicznych okien pod drugiej stronie podwórza. Po kilku zaledwie chwilach był już z powrotem, poleciał do prawej części budynku, a potem do lewej. Zniknął tam na dłużej, a Gea wykorzystała okazję, aby znów dyskretnie przyjrzeć się Craidenowi, nie tylko za pomocą zmysłu wzroku, lecz także swej nadnaturalnej intuicji. Nie czuła dosłownie nic (co byłoby niepokojące), ale na jego twarzy pojawił się wyraz pełnej napięcia koncentracji, co przed innymi może mógł ukryć, ale nie przed nią. Teraz już była pewna, że osobliwe zwierzę: kot-insekt był jego sprzymierzeńcem. Było to tym bardziej dziwne. Zwykły żołnierz?

Ułamek sekundy przed powrotem Many Craiden poruszył się i podejrzenie Gei stało się pewnością - nawet jeśli nie była w stanie wyobrazić sobie, że związek między nim a dziwnym

stworzeniem w ogóle był możliwy.

Kolejnego okna nawet nie musieli czyścić z resztek szkła. Ktoś zrobił to za nich dawno temu. Pod ich butami trzeszczały odłamki szkła, ukryte pod grubą warstwą kurzu i liczące z pewnością z pięćdziesiąt lat, jeśli nie dwa razy tyle. Między nimi Gea zauważyła coś, co przypominało ludzkie kości. Ale nie miała teraz nastroju, by przyjrzeć się temu dokładniej. Tym razem przyjęła pomoc Craiden, kiedy odwrócił się do niej i wyciągnął rękę.

W budynku panowała taka sama cisza jak w tym, z którego dopiero co uciekli, a w pomieszczeniach unosiła się także intensywna, gryząca woń. Ale ten dom nie był już tak ciemny, choć cały czas Gei znów towarzyszyło osobliwe uczucie, że coś ich obserwuje, a oni mieli być tylko łupem. Obserwator nie był jednak do końca zdecydowany, czy oboje są warci takiego ryzyka i nakładu sił. Gea niczego nie żałowała w tej chwili bardziej niż tego, że nie zabrała jednego ze skanerów, z których celowali do niej Orgon i jego kompani.

Craiden nie schował miecza do pochwy, a jego postawa zdradzała jeszcze większe napięcie. Co nie za bardzo przyczyniało się do wzrostu jej optymizmu...

Próbowała uspokoić się mówiąc sobie, iż choć nie może być tak, że nie stanie jej się nic, to jednak koniec końców nie będzie aż tak źle; jeśli zostanie pożarta przez coś wielkiego i strasznego, choć z pewnością nie będzie to przyjemne. Wydawało się, że ta bezsensowna myśl pomogła, bo odetchnęła z wyraźną ulgą, kiedy po, wydawałoby się, upływie wieczności, wreszcie wyszła za Craidenem na ulicę.

Jej czarnowłosa przewodnik zrobił jeszcze kilka kroków, oglądając się uważnie na wszystkie strony, w końcu wsunął miecz do pochwy przy pasie i potrząsając głową odwrócił się do niej.

- Jesteś doprawdy zadziwiającą dziewczyną - rzekł. - Jaka właściwie jesteś? Wyjątkowo dzielna czy wyjątkowo lekkomyślna?

- A jest jakaś różnica między jednym a drugim?

- Nie, jeśli się jest nieśmiertelnym - odparł Craiden spokojnie i dodał: - Chodź.

Odwrócił się i ruszył dalej, pozostawiając tym razem decyzję Gei, czy ma iść za nim, czy też nie. Dokonała słusznego wyboru i udała się w drogę idąc tuż za nim, choć teraz robiła to z zupełnie innego powodu, niż zakładał.

Znawali się teraz po drugiej stronie bloków, a ulica wydawała się niczym nie różnić od tej, którą opuścili, może oprócz tego, że ta wydała jej się dziwnie pusta. Kilka kroków dalej na ławce siedziało kilku Quorrlów, którzy na ich widok przerwali rozmowę patrząc w ich kierunku, ale za chwilę przestali się nimi interesować. Po drugiej stronie Gea dostrzegła dziwaczny wózek o jednym kółku, którego siłą pociągową stanowiło zwierzę o sześciu nogach. Z daleka dobiegł do jej uszu płacz dziecka, choć nigdzie nie mogła dostrzec jego sprawcy. Z zakratowanego piwnicznego okienka wydobywał się gęsty dym o intensywnej woni palonego tworzywa sztucznego, ale nie wzbudzało to niczyjego zainteresowania.

Po kilkunastu krokach Gea spytała wreszcie: - Tam, w tym domu. Co to było?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, dzieciaku. - odparł Craiden.

- Chcę wiedzieć.

- Ale ja nie chcę wiedzieć. I dlatego nawet się nie przyglądałem dokładnie.

- Interesująca odpowiedź - skwitowała Gea, dodając: - ... jak na wojownika.

- Czasami lepiej nie wiedzieć za wiele - odparł Craiden niewzruszenie. - Żyjemy i to ci powinno wystarczyć. I powinniśmy się zatroszczyć o to, aby tak było dalej.

- I to ma mnie uspokoić?

- A jesteś niespokojna?

- A powinnam być?

Craiden zwrócił oczy do nieba, po czym zatrzymał się i odwrócił, stając przodem do niej.

- Chcesz mnie zmusić do rozmowy, choć ja w ogóle nie mam na to ochoty, mała - westchnął. - Ale wygląda na to, że mam cię na karku i prawdopodobnie nie dasz mi spokoju, aż nie dowiesz się wszystkiego, co chcesz wiedzieć.

Gea skinęła głową. Jego twierdzenie odnosiło się także do jego osoby - był znakomitym

obserwatorem, choć może nieco zbyt lakonicznym.

- A więc? - spytał uparcie.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Chcę cię wyprowadzić z tej dzielnicy- a przynajmniej próbuję - odpowiedział urażony. -

Chyba mnie nie słuchałaś, dziewczyno. Nie daj się zwieść temu, co, jak ci się zdaje, widzisz. Ta okolica jest niebezpieczna.

- Dlaczego?

Dostrzegła, że chciał odpowiedzieć jej gniewnie i z irytacją, powstrzymał się jednak i zacisnął usta. Ruszył dalej i odezwał się po dłuższej chwili milczenia: - Ludzie tutaj boją się i przebąkują, że może być wojna. Zrozumiałe jest więc, że są jeszcze bardziej nieufni w stosunku do obcych niż zwykle.

-Wojna?

Wydało jej się to groteskowe.

- A przeciwko komu?

- Przeciwko jednemu z sąsiednich klanów - odparł. - Może jest to tylko banda rabusiów... co przeważnie i tak nie stanowi zbyt wielkiej różnicy.

- A ty tego nie wiesz? - spytała z powątpiewaniem.

Nie była zbyt pewna, czy dźwięk, który z siebie wydał, był śmiechem.

- Mimo, że przysłaś tutaj, aby przeżyć małą przygodę, to jednak zaskakująco mało wiesz o tej okolicy, dziewczyno.

-Gea.

- Jest tutaj więcej klanów i wrogich sobie band, niż mieszkańców - mówił dalej, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Klany prowadzą stale wojny ze sobą, a połowa mieszkających tu ludzi przypuszczalnie w ogóle nie wie, dlaczego. W gruncie rzeczy nie ma to też żadnego znaczenia.

- Dlaczego?

- Bo tu i tak nikt nie dożywa zbyt późnego wieku, dziewczyno - odparł Craiden. -Jak myślisz, ile lat mogła mieć ta kobieta, którą zamordowałaś?

- Mam na imię Gea - odpowiedziała z naciskiem. - I ja jej nie zamordowałam.

- Miała może czterdzieści lat albo i to nie - powiedział tak jak gdyby w ogóle nie usłyszał jej słów. - I prawdopodobnie wyświadczyłaś jej przysługę. To nie jest plac zabaw dla dzieci.

-Gea.

I wtedy pojęła.

-I dlatego tu jesteś!

- A gdzie można znaleźć lepszych rekrutów, niż na wojnie?

- spytał spokojnie i dodał: - Zakładając oczywiście, że nie musi się tracić czasu na odprowadzanie do domu zgubionych małych dziewczynek.

- Nie musisz tego robić - odparła schrypniętym głosem. -Jakoś sama dojdę do domu.

Craiden spojrział na nią przeciągle w taki sposób, że zaczęła zastanawiać się, czy aby jej to pochlebia, czy też raczej powinna się zastanowić, czy było mądre zdawać się na jego przewodnictwo.

- Czy boisz się latać, dziewczyno? - spytał nagle.

- Latać? - powtórzyła.

- Mogę cię zaprowadzić do Niebiańskiego Dworca - powiedział. - Zakładam, że stamtąd bez problemu dotrzesz do domu. Albo przekażę twojemu ojcu wiadomość, żeby cię stamtąd odebrał.

Niebiański Dworzec? Gea coś o tym słyszała, nigdy tam jednak nie była i nigdy też nie potrzebowała dowiadywać się o nim czegokolwiek bliższego. Jej pojęcie o tym miejscu było zatem raczej mgliste, choć wiedziała, że było ono oddalone o dzień marszu od punktu, w którym akurat byli. Milczała więc.



Craiden uznał to chyba za całkowicie wystarczającą odpowiedź, bo skinął głową, jak gdyby Gea rzeczywiście coś powiedziała. Odwrócił się, włożył do ust dwa palce i zagwizdał w tak przeraźliwy sposób, że Gea aż poczuła ból w uszach.

Poczekala chwilę, aż jej słuch odzyskał równowagę, spojrzała na Craidena z pretensją, ale ten w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, co właściwie powinno ją tylko jeszcze bardziej zirytować. O dziwo, tak się nie stało.

-I co? - spytała.

- Cierpliwości, dziewczyno.

-Gea.

- Skąd ty dokładnie jesteś? - zapytał w odpowiedzi. - Z jakiejś lepszej okolicy, zakładam?

Gea nie bardzo wiedziała, co on dokładnie ma na myśli. Była to co prawda dopiero jej druga wycieczka do tej części świata, ale i tak nie odniosła wrażenia, że na terenie Oblężenia jest w ogóle coś takiego jak „lepsza okolica”. Miała przeczucie, że taka odpowiedź nie będzie zbyt miło odebrana przez jej wybawcę i zarazem samozwańczego ochroniarza. Skinęła więc głową.

- Może powinienem jeszcze zatrzymać cię tutaj - powiedział z namysłem. - Mógłbym zaprowadzić cię do jakiegoś bezpiecznego miejsca i przekazać twojemu ojcu wiadomość, żeby wysłał kogoś po ciebie.

Albo żeby wymusić okup?

Mana, wezwany gwizdem Craidena, zajął znowu miejsce na jego ramieniu, po czym stanął na tylnych łapkach i ostrzegawczo kłapał żuwaczką. Na czole wojownika pojawiła się pionowa, głęboka zmarszczka. Gea w tym momencie zaczęła się poważnie zastanawiać, czy Craiden czytał jej myśli, ale odpędziła natychmiast tę myśl jako kompletnie bezsensowną. Gdyby ktokolwiek w tym mieście był w stanie odczytywać myśli, wiedziałaby o tym. A zwłaszcza, jeśli byłby to żołnierz.

- Ojciec nie wie, że tu jestem - powiedziała, co akurat nie było kłamstwem.

- Rozumiem - odparł Craiden. - I zakładam, że lepiej, aby tak zostało.

Kot-insekt schował żuwaczkę do pozornie łagodnego pyszczka i usiadł wygodnie na wszystkich trzech parach łapek. To zwierzę było doprawdy... niesamowite. Właściwie nie powinna mu ufać, a już zwłaszcza od chwili, kiedy zobaczyła, do czego to co/jest zdolne. Ale ani jedno, ani drugie jakoś jej się nie udawało.

- Coś się z tobą dzieje, dziewczyno? - zapytał nagle i bez ogródek Craiden.

- Oprócz tego, że dopiero co omal nie zostałam zamordowana, jakiś idiota wybił mi cztery zęby, a drugi złamał mi kilka żeber, nie mam też najmniejszego pojęcia, gdzie jestem i właśnie zaczynam się zastanawiać, co się z tobą dzieje, to ze mną nic się nie dzieje.

Craiden potrząsnął głową tak gwałtownie, że jego półdługie, czarne włosy rozwiął wiatr. -A widzisz! Teraz z kolei zaczął kiwać głową, powoli i jakby w zamyśleniu.

Znów popatrzył na nią w ten szczególny sposób, którego ciągle nie mogła rozszyfrować.

- Dokładnie to mam na myśli - rzekł wreszcie.

Gea nabrała powietrza, aby odpowiedzieć, ale właśnie w tej chwili nad ich głowami rozległo się piskliwe, głośnie krakanie, a nad ulicą przemknął olbrzymi cień.

Instynktownie schowała głowę w ramionach i wstrzymała oddech. To była pułapka.

I teraz właśnie się zatrzasnęła.

Rymer. - To nie jest tak, że was nie ostrzegałem, szanowna pani senator - powiedział Plix. -I to przynajmniej trzy albo cztery razy, o ile sobie dobrze przypominam.

Rymer już sama nie wiedziała, z jakiego powodu ma się złościć: czy dlatego, że Plix powtarzał to już co najmniej piąty raz od chwili, kiedy tu wszedł, (i to w dodatku wyniosłym, zarozumiałym tonem, czego nawet nie próbował ukryć), czy też z powodu prostego faktu, że miał rację.

Prawdopodobnie z obu tych powodów - pomyślała Rymer - a najbardziej złościła się oczywiście na siebie samą.

Plixx nie tylko ją ostrzegł i z niesamowitą pewnością dokładnie przewidział katastrofę, która teraz miała miejsce. Teraz, po czasie, było dla niej jasne, że też powinna była to przewidzieć. Pomijając Plixxa, to ona sama była w końcu tą osobą w R'Achernonie, która najlepiej znała księżniczkę Infinity. Albo przynajmniej tak twierdziła.

- Lamentowanie z powodu popełnionych błędów nigdy nie przyniosło nikomu korzyści - powiedziała. Brzmiało to jak obrona i myszczur oczywiście nie omieszkał wykorzystać tej okazji.

- No chyba, że miałyby to komuś pomóc, aby w przyszłości nie popełniał tych samych błędów - odparł z przekąsem.

- W każdym razie zapamiętam to sobie na przyszłość - odpowiedziała kwaśno.

-W dniu, w którym nastąpi kolejny atak, zastąpię ją kopią typu Omega... co właściwie powinnam była zrobić już teraz.

Rzeczywiście nosiła się z tą myślą, ale porzuciła ją - trochę ze strachu, a trochę z powodu swego przesadnego optymizmu (z małą domieszką lekkomyślności). Mimo słusznego gniewu, jaki zbyt często odczuwała w stosunku do Arion, była to jednak jej przyszła królowa (miała nią zostać dokładnie za trzy dni) i mimo wszystko rozsądna, młoda kobieta. A przynajmniej jeszcze godzinę temu Rymer była tego zdania.

- Macie więc na oku i ją i tego potwornego barbarzyńcę? - spytał Plixx.

- Duras jest z nią - uspokoiła myszczura. - I przygotowaliśmy kopię zapasową.

- Mimo, że tego nie chciała?

- Duras musiał tego nie usłyszeć - powiedziała Rymer i nie pozwoliła sobie na kolejną kpiącą uwagę myszczura: po prostu wstała i podeszła do sięgającego sufitu wirtualnego okna, przez które mogła popatrzeć na spustoszoną część miasta. W wielu miejscach widać było ciągle pożary, a niemal wszędzie w niebo wznosiły się czarne kolumny dymu wydobywające się z tego, co pozostało ze zniszczonych i po prostu stopionych w wyniku wybuchu budowli.

Nad całym obrazem dominowało dziwne migotanie, jak gdyby nad okolicą unosiła się zasłona z rozgrzanego powietrza. Dziwne, pomyślała, bo R'Achernon powinien być takie zakłócenie automatycznie skompensować.

- To nie jest zakłócenie. Temperatura powietrza na wskazanym obszarze wynosi osiemdziesiąt trzy stopnie Celsjusza, z tendencją wzrostową. Trzydzieści osiem metrów pod poziomem ulic znajduje się ognisko pożaru. Walka trwa cały czas, ale wszystko okazało się trudniejsze, niż się spodziewano.

- Dlaczego? - spytała Rymer. - Trudne? R'Achernon nie zna trudności. - Chciałbym, aby tak było. Zapotrzebowanie na ogniste chrząszcze jest pięć razy większe niż oczekiwano. Produkcja przebiega na najwyższych obrotach, ale nawet moje możliwości są ograniczone.

Wasi przodkowie, pani senator, konstruowali wyjątkowo efektywne rodzaje broni.

I zapomnieli ci powiedzieć, jak należy się przed tym bronić! - Zamysł mordercy planet polega na tym, aby przechytryć każdą możliwą strategię obronną, pani senator.

Tak, chyba zasłużyła na belferski ton słyszanego w myślach głosu wieży.

- Ile jest takich ognisk pożaru? - spytała głośno, żeby także Plixx zrozumiał jej słowa. I to myszczur odpowiedział na to pytanie, nie R'Achernon.

- Do tej chwili ustaliliśmy, że są cztery wielkie i blisko dwa tuziny mniejszych ognisk, ale obawiam się, że to jeszcze nie wszystko.

Nasze czujniki praktycznie co godzinę odkrywają nowe.

- A dlaczego?

Plixx westchnął.

- Niestety, R'Achernon ma całkowitą rację, pani senator. Nasi przodkowie byli naprawdę dobrzy w projektowaniu takiej broni. Jądro pożaru rozprzestrzenia się praktycznie jako zimne, aż osiągnie taki rozmiar, że efektywna walka jest niemożliwa. Sam R'Achernon natknął się przy tym zadaniu na trudności, przy których dotarł aż do granic możliwości swego umysłu.

Rymer nie odpowiedziała, odczuła jednak coś podobnego do zmartwienia, a tego uczucia dotychczas nie znała.

- Uspokójcie się, pani senator - powiedział Plixx. - Uporamy się z tym. Ale będzie to trwało całe miesiące i na razie boję się nawet pomyśleć o wielkości zasobów, które musimy zużyć. To będzie ciężka zima dla mieszkańców Oblężenia. Zaśmiał się złośliwie.

- A wiecie, co jest najpiękniejsze, pani senator? Oni nam przy piszą winę za to wszystko.

/ chyba słusznie - dodała w myślach Rymer, ale nie odważyła się wypowiedzieć tych słów głośno.

To był inny temat i dyskusja, którą ona i Plixx prowadzili dłużej, niż w ogóle mogła sobie przypomnieć - a to oznaczało „bardzo długo”. Demonstracyjnie odwróciła się od wirtualnej prezentacji katastrofy, która była teraz aż nazbyt realistyczna.

- Nie przyszście do mnie, myszczurze, aby dyskutować o technikach uzbrojenia naszych paranoidalnych przodków - wyraziła głośno swoje przypuszczenie.

- Bez ich paranoi nie bylibyśmy tu, gdzie jesteśmy, nie byłoby też prawdopodobnie R'Achernona - powiedział Plixx, ale jednocześnie skinął z szacunkiem głową przyznając jej rację i podreptał wokół okrągłego stołu, żeby popatrzeć przez okno. Kiedy Rymer niechętnie zrobiła to samo, nie wskazał jej obrazu płonącego miasta, lecz coś, co Rymer wydało się czymś w rodzaju lochów, końską stajnię czy też nawet pomieszczeniem dla wojska. A może mieszanką tego wszystkiego.

- To było jej własne życzenie - powiedział Plixx. Widocznie jednak dostrzegł na twarzy senator Rymer wątpliwości i odpowiednio je zinterpretował.

- To chyba wydaje się najbliższe jej okolicy.

Senator miała nieco wątpliwości, nawet jeśli wiedziała, że R'Achernon potrafi stworzyć odpowiedni klimat zgodnie z oczekiwaniami gości - nie tylko konieczny do przeżycia, ale także do tego, aby mogli czuć się komfortowo. Miała raczej mgliste wyobrażenie na temat tego, w jaki sposób on to robi, może poza tym, że wiedziała, iż nie musiał zadawać żadnych pytań, aby znać potrzeby gości. Miało to coś wspólnego z mową ciała i chemią... odruchami źrenic, feromonami i falami alpha... gdyby się tym rzeczywiście interesowała, na pewno mogłaby dowiedzieć się czegoś więcej.

I na tym właśnie polega problem, szeptał jakiś głos w jej myślach - nie była całkowicie pewna, czy był to głos R'Achernona czy też jej własny. Rymer wiedziała, że była dobra w tym, co robiła, przypuszczalnie nawet najlepsza. Ale robiła to już tak długo, że kiedy była całkowicie szczerą w stosunku do siebie (co zdarzało się dostatecznie rzadko), to przyznawała, iż w gruncie rzeczy interesowało ją jedynie, czy coś w ogóle funkcjonowało, a nie jak. Jej ulubioną wymówką było wówczas stwierdzenie, że nie miała czasu łamać sobie głowy nad tym jak i do pewnego stopnia była to prawda. Ale gdzie znajdował się ten „stopień”? Żyła tak długo w świecie cudów, że było dla niej oczywiste, iż jej życzenia się spełniają i to natychmiast, bez żadnego „ale”. A co by się stało, gdyby któregoś dnia wyraziła życzenie, którego spełnienie nie byłoby takie oczywiste i natychmiastowe? Jak na przykład to, aby swoją ojczystą planetę spopielić w wybuchu supernowej niczym suche, jesienne liście?

- Niepokojąca myśl, nieprawdaż? - spytał Plixx.

- Czy wyście mi ją podsunęli? - spytała ochryplym głosem. Plixx odczytał jej myśli.

Oczywiście. Myszczur stale odczytywał czyjeś myśli, w ogóle nie przejmując się prywatną sferą czyjegoś „ja”. Wszyscy o tym wiedzieli (ona także), każdy zżymał się z tego powodu (ona także) aż w końcu kiedyś wszyscy zaprzestali protestów; łącznie z Rymer. Przynajmniej tak sobie wmawiała, co oczywiście nie było prawdą.

- Nie - odpowiedział Plixx. - Mnie czasem też to przychodzi do głowy, o wiele za rzadko, muszę przyznać - i sądzę, że to powinno towarzyszyć każdemu. Nie, to nie myśl - to pokora, wiecie? Od czasu do czasu jest to bardzo wskazane uczucie.

- Aha - powiedziała Rymer, zupełnie niezainteresowana. Plixx uśmiechnął się szeroko. I zmienił temat, mówiąc: - Przyszedłem, aby zapytać o wyniki waszych badań. Klucz.

Senator westchnęła. Wszystko wskazywało na to, że Plixx postanowił dziś ugruntować swoją opinię osoby psującej każdą zabawę.

Jak gdyby ona sama nie miała dosyć własnych zmartwień. Ale odpowiedziała mimo to: -

Wysłałam już statek w celu skopiowania bazy danych i dostarczenia tutaj. Jak tylko wróci i wyniki zostaną opracowane, będę mogła wyczerpująco odpowiedzieć na wasze pytanie. Teraz mogę jedynie powtórzyć to, co już mówiłam: to był Klucz Królewski.

- Który w ogóle nie opuścił tego miejsca, co wszak udowodniona Rymer zadała sobie trud, aby pozornie obojętnie wzruszyć ramionami i dodała: - Tak się wydaje.

- I zanim zapytacie: sporządzenie jego kopii jest niemożliwe.

W każdym razie ja tego nie potrafię.

- A więc mogę po prostu wybrać, które z obu wyjaśnień bardziej mi pasuje? - Plixx zrobił grymas, do którego jako mysz właściwie wcale nie powinien być zdolny, po czym wykonał odmowny gest oznaczający, że w ogóle nie chce słyszeć odpowiedzi. R'Achernon niezbyt lubił słowo niemożliwy. - Dlaczego statek? - spytał Plixx, nie chcąc drażnić wieży - Mogą upłynąć całe tygodnie, zanim wróci.

- Raczej miesiące - odpowiedziała Rymer. - Ale czy naprawdę zaufalibyście elektronicznemu przekazowi danych, mimo iż wiemy, że został zmanipulowany? Albo klucz, o którym nie wiemy, czy jest autentyczny... albo czy w ogóle funkcjonuje?

Plixx przewrócił oczami, ale nie podjął tematu. Zamiast tego potrząsnął głową, zrobił krok do tyłu i z uwagą zaczął obserwować osobliwą scenę, widoczną z wirtualnego okna. Było w niej coś... niepokojącego, mówiąc bardzo ostrożnie. R'Achernon wygenerował murowaną stajnię końską dla Quorrlów i ich zwierząt, ale zwierzętom, używanym przez Quorrlów jako wierzchowce, przysługiwało znacznie więcej miejsca niż ich jeźdźcom. Wykonane z czarnego kamienia pomieszczenia miały okrągłe sklepienia. Kilka wątych pochodni umieszczonych na ścianach można było przy dobrej woli uważać za źródło światła, zresztą jedyne, jakie było dostępne, a Rymer mogła sobie wyobrazić, jak fatalne musiało być tam powietrze.

Podłogę wyścielono słomą, która służyła za postanie zarówno dla jeźdźców, jak i dla zwierząt. Jedyne wyjście stanowiły półokrągłe drzwi z zardzewiałych, ciężkich żelaznych płyt. Drzwi zabezpieczone były dodatkowo żelazną belką, która wyglądała tak, jak gdyby ważyła co najmniej tonę, jeśli nie dwie. A mimo to przed drzwiami straż trzymało dwóch olbrzymich wojowników, uzbrojonych w miecze i tarcze. Tyle na temat paranoi.

- Oni wydają mi się niesamowici - powiedziała Rymer, a myszczur odparł: - Nie bardziej niż mnie, pani senator.

- Nie powinniśmy byli pozwolić, aby oni w ogóle zabrali Quorrlów ze sobą.

- To przecież w końcu tylko paru Quorrlów - machnęła w końcu ręką, dodając: - Duras w pojedynkę potrafiłby się z nimi uporać.

- Nie potrafię czytać ich myśli - oświadczył Plixx.

Rymer spojrzała najpierw na myszczura, a potem znów na olbrzymich wojowników z łuskami. Ten widok, nawet w pomniejszeniu wynikającym z odległości, robił wrażenie. Ale tak czy owak, były to tylko tępe monstra, które robiły to, co nakazał im ich pan i mistrz.

Mimo wszystko postanowiła zainteresować się dokładniej tym gatunkiem, nie tylko ich legendarnymi zdolnościami jako wojowników.

Plixx nie potrafił odczytać ich myśli? To było interesujące.

- Słyszałem to, pani senator - rzekł Plixx, błysnął przesadnie groźnie siekaczami i tym bardziej poważnie dodał: - R'Achernonowi też się to nie udaje.

- To jest niemożliwe - zaprzeczyła Rymer. - To znaczy, Quorrlowie nie myślą. - Och, myślą. Ale szanowny myszczur ma rację. Coś wydaje się być z nimi nie tak.

Chodzi o to, co myślą? - Chodzi o to Jak myślą - odparł Plixx, dodając po chwili: - Nie potrafię tego uzasadnić, ale ci łuskacze... denerwują mnie.

- Dlaczego?

Plixx uniósł w przesadnym geście ramiona w górę.

- One myślą dokładnie o tym, czego się od nich oczekuje: o jedzeniu, o walkach, i zwycięstwach, o swoich samicach i o tym, co zrobią z samicami pokonanych przez siebie wrogów. To mnie irytuje...

- A co jest w tym niezwykłego?

- Nic - odparł Plixx - a może właśnie to? Czy coś może być zbyt normalne?

- Macie na myśli to, że one nam dorównują?

- Jeśli już, to kłamią tak przekonująco, że nawet same tego nie zauważają - stwierdził myszczur- to jest dopiero niepokojące. Będę mieć na oku tych Quorrlów, jak długo tutaj będą.

- Tylko do jutra rana - rzekła Rymer. Miało to dodać otuchy i zabrzmieć pocieszająco, ale nawet ona sama nie odczuła swoich słów w ten sposób.

- To bardzo długi okres, w którym wiele może się wydarzyć. - odparł Plixx. - Tak, to bardzo długi okres.

Arion. Nie był to już ten sam balkon, na którym stali zaledwie kilka godzin wcześniej i kiedy o mały włos, a byłiby świadkami końca świata. Platforma widokowa znajdowała się znacznie niżej (ciągle jednak były to dwie lub nawet dwie i pół mili ponad najwyżej położonymi dachami miasta), zwrócona była też w innym kierunku, tak, że mogli patrzeć bezpośrednio na potworną dziurę, wybitą w ziemi i sięgającą jej jądra. A także na to, co znajdowało się z tyłu za nią.

Jak ogromną różnicę mogą stanowić zaledwie dwie śmieszne mile, pomyślała przygnębiona Arion. Z najwyższej platformy widokowej R'Achernona, bliższej niebu niż ziemi, widok był jeszcze bardziej niepokojący, ale zarazem niepozbawiony pewnej estetyki. Perfekcyjnie, niemal jak cyrklem nakreślony mały okrąg obejmujący całkowitą pustkę, otoczony wyraźnie większym obszarem chaosu, gdzie atak ognia po prostu wszystko wymiółł. Układ zabudowy i ciągi ulic pozostały nienaruszone, choć znajdowały się we wszystkich możliwych stadiach zniszczenia. Gdzieś daleko znajdowały się te części miasta, które wydawały się nienaruszone, ale ponieważ były położone w znacznej odległości od wieży, to nie było widać efektów szalejącej tam śmierci. I nie znaczyło to oczywiście, że ona tam wcale nie dotarła. Arion była na tyle nieostrożna, że w drodze tutaj wywołała wojskowy bank danych, aby móc się przygotować do rozmowy z Craidenem i był to rzeczywiście głupi pomysł. Wiedziała teraz, jakie dokładnie szkody może wyrządzić dwunastotonowa bomba, która eksploduje nagle w środku gęsto zaludnionego miasta. W dodatku w zabudowie w połowie składającej się ze stali i granitu bądź jeszcze twardszych materiałów, a w połowie z drewna i skóry czy też nawet papieru. To był głupi pomysł. Może równie głupi, jak zapraszanie Craidena tutaj. Na dole, w sali tronowej, ten sam pomysł wydał jej się znakomity, ale może na tym właśnie polegał problem z pomysłami: czasami wydawały się one być wspaniałe, o ile patrzyło się na nie pod bardzo określonym kątem. A jeśli potem robiło się zaledwie pół kroku w bok, to ów kąt widzenia - a wraz z nim pomysł - zmieniały się całkowicie.

Arion cieszyła się na myśl o konsternacji na twarzy Craidena, kiedy zobaczy to wszystko, co spowodował. Ale na jego twarzy nie było widać ani śladu konsternacji. Zamiast tego ujrzała najprawdziwsze, czyste przerażenie. Jediną pozytywną stroną tej sytuacji było to, że mogła zdjąć ową suknię-monstrum i włożyć swoje codzienne, czarne ubranie z materiału nanitów. Ale poza tym? Byli tu już od dobrych pięciu minut i Craiden nie powiedział ani słowa, na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, od kiedy podszedł do balustrady i oparł ręce na czarnych acheronach. Zobaczyła, że pod opaloną skórą jego twarz straciła wszelki kolor, zobaczyła też jej napięte mięśnie i wyostrome rysy. Duras dostrzegł to także, bo kiedy Arion chciała podejść do Craidena, potrząsnął szybko głową i nic nie mówiąc zastąpił jej w milczeniu drogę.

Cofnęła się, oszczędzając mu w ten sposób nieprzyjemnej sytuacji, jaką byłoby jawne sprzeciwienie się jej woli, ale kątem oka dostrzegła, że Torman także ruszył ze swojego miejsca obok drzwi i nie spuszczał oka z Durasa.

Uspokój tych chłopców naćpanych testosteronem - pomyślała ze złością.

- / to jeszcze zanim zorganizuję bitwę na arenie i raz na zawsze zakończę ten cyrk. - Oni wypełniają tylko swój obowiązek, księżniczko. I nie byłbym taki spokojny, jeśli chodzi o wynik takiej bitwy na arenie.

Nie był to właściwy moment, ale Arion powzięła twarde postanowienie, że przy najbliższej okazji każe wyjaśnić R'Achernonowi sens tej nader niejasnej uwagi.

Chrząknęła. Raz. Drugi raz. Potem trzeci raz, już nieco głośniej.

Craiden nie reagował.

- Władco klanu - odezwała się.

Minęło jeszcze dobrych kilka sekund, w czasie których wojownik stał nieruchomo i patrzył ze skamieniałą twarzą na zniszczone miasto. Jednak odpowiedział, choć tak cicho, że Arion musiała zadać sobie sporo trudu, aby zrozumieć jego słowa.

- Craiden, księżniczko. Nazywajcie mnie po prostu Craiden. Nie jestem już pewien, czy zasługuję na tytuł władcy klanu.

Drgnęła, tak bardzo zaskoczyły ją jego słowa i w pierwszej chwili zupełnie ich nie rozumiała. Czy to nie była dokładnie ta reakcja, której sobie poprzednio życzyła?

-Jak... wielu? - spytał Craiden powoli. Patrzył ciągle na niemal całkowicie zniszczone miasto i tak jak poprzednio w jego twarzy nie drgał ani jeden mięsień. Ale w tym momencie czuła jego ból tak, jak gdyby to był jej własny.

- Nie rozumiem, co...

- Ilu zabitych? - zapytał. A potem, tak nagle, że zarówno Torman, jak i Duras poderwali się gwałtownie z miejsc, Craiden odwrócił się i krzyknął do Arion: -Jak wielu zamordowałem?!

- Około trzysta pięćdziesiąt tysięcy do chwili obecnej, ale ta liczba stale rośnie i przynajmniej się potroi, a nie są jeszcze uwzględnione ofiary promieniowania.

Trzysta pięćdziesiąt tysięcy? Aż tylu? Arion poczuła zimny dreszcz przerażenia, co nie miało żadnego logicznego uzasadnienia, a co jednak na chwilę niemal całkowicie ją sparaliżowało. I absolutną pewność, że coś takiego nie mogło się stać. Że to było coś złego. - Jak wielu? - spytał raz jeszcze, już nie krzyżąc, ale takim tonem, który poruszył ją o wiele bardziej niż krzyk.

- Nie wiem - skłamała. - Nie znamy jeszcze dokładnej liczby, ale było wiele ofiar.

- Ale dlaczego? To... to nie może być! Myśmy ją usunęli. Nikogo nie było i...

Jego głos załamał się i gdyby Arion nie wiedziała, że w przypadku mężczyzny takiego jak Craiden jest to całkowicie wykluczone, to sądziłaby, że w jego oczach błysnęły łzy. Chciała odpowiedzieć, ale R'achernon ubiegł ją włączając się po prostu w myśli Craidena.

- Działania, które podjęliście w celu ewakuacji, są nam dobrze znane, mistrzu klanu. Przypuszczalnie błędnie oceniliście konwencjonalną siłę wybuchu broni. Absolutna strefa śmierci w przypadku dwunastotonowej bomby wynosi blisko pół mili. Nasze strefy ochronne odrzucają jednak w stu procentach zarówno termiczną, jak i kinetyczną energię i w pewnych okolicznościach mogą doprowadzić do gigantycznego wzmocnienia...

- To nie mogło się stać - powiedział stanowczo Craiden. - Zabraliśmy stamtąd ludzi, a broń była słaba. I nagle krzyknął do Arion: - Dlaczego to zrobiłaś?!

Księżniczka instynktownie cofnęła się, nie wobec fizycznego zagrożenia, ale przeraził ją jego gniew. A potem ją samą też ogarnęła wściekłość.

- Tylko jedna rzecz, zapamiętajcie to sobie, mistrzu klanu - powiedziała zimno. - My tej bomby nie odpaliliśmy i was też nie prosiliśmy, abyście to zrobili.

- Nie, oczywiście że nie - ból Craidena ustępował miejsca jakiemuś innemu doznaniu, a Arion miała uczucie, że ktoś dosłownie wbija jej w pierś rozżarzony nóż. Tak właśnie odczuwała sarkazm, zimny sarkazm.

- Och, proszę, wybaczcie mi moje roszczenia, Wasza Wysokość.

Jak mogłem zapomnieć? Niczemu przecież nie jesteście winni - ani wy, ani ta przeklęta Czarna Wieża. Nie żądaliście wszak, abym użył tej broni. Wszystko, czego oczekiwaliście, to to, abym pełzał przed wami i poniżył siebie oraz mój lud, żeby jego kolejna generacja mogła żyć z okruchów, które spadną z waszego stołu.

-Jesteśmy sami, mistrzu klanu - powiedziała spokojnie Arion. - Przyjęcie się skończyło. A tak nawiasem mówiąc, nie ma tu publiczności. Nie ma potrzeby być tak melodramatycznym.

- Nie przyszedłem tutaj, aby pozwalać się obrażać, Wasza Wysokość - odparł chłodno Craiden i teraz rzeczywiście z jego twarzy zniknął ślad jakiegokolwiek uczucia. Jego oczy były lodowate i wręcz przypominały stal.

- To dlaczego jesteście tutaj, mistrzu klanu? - spytała i podniosła rękę, kiedy on próbował natychmiast odpowiedzieć. - Przecież nie po to, aby celebrować dzień ataku, jak wasi

poprzednicy, to w międzyczasie zrozumiałam. Wy rzeczywiście chcecie coś zmienić. To doprawdy godne pochwały. Ale co dokładnie?

- Zmienić? - wydawało się, że Craiden nie bardzo wie, co zrobić z tym słowem. Wzruszył ramionami, mówiąc: - Może wszystko?

- Czy nie wspomniałam, że nie mamy tu publiczności, mistrzu klanu? - spytała zniecierpliwiona. - Nie ma więc podstaw do dramatyzowania. Jediną osobą, która was słucha, jestem ja.

Znowu dostrzegła ten niepokojący wyraz jego oczu, którego ani nie potrafiła nazwać ani zinterpretować, a który przeraził ją do szpiku kości - tak, jak przedtem. Coś jak wyrzut połączony z bólem, który nie miał żadnego uzasadnienia (ani też usprawiedliwienia), uderzył ją z wręcz paraliżującym impetem.

- A więc - czego dokładnie chcecie, władco klanu? - spytała, kie dy wojownik milczał, nie zamierzając odpowiedzieć.

Także teraz nic nie mówił przez dłuższy czas, w końcu odwrócił się, położył ręce z szeroko rozstawionymi palcami na czarnym oparciu i znów popatrzył na dymiące miasto, gdzie wciąż tlił się ogień.

Arion wydało się, że Craiden słyszy każdy krzyk bólu, jaki rozległ się w spalonym mieście dzisiejszego ranka.

- Czego chcemy? - zamruczał niewyraźnie. - Chcemy tego, co wszyscy. Chcemy żyć. Chcemy bezpieczeństwa. Przyszłości dla nas i naszych dzieci. - Nie zmienił postawy, ciągle stojąc przy oparciu, ale odwrócił głowę, patrząc na nią i dokończył: - Wolności.

-Wolności - powtórzyła Arion. Każde z jego słów było jak uderzenie pięści, a fakt, że nie potrafiła tego wyjaśnić, jeszcze bardziej ją rozgniewał.

- To wielkie słowo, mistrzu klanu.

Craiden daremnie czekał na kolejną reakcję, rzucił więc karcące spojrzenie Durasowi i w dwóch szybkich krokach znalazł się koło niej. Duras ze świstem wciągnął powietrze do płuc i zadygotał na całym ciele, jak gdyby walcząc z uciskiem niewidzialnych kajdanów.

Za to Torman był całkowicie spokojny. Przyczyną mógł być fakt, że jego pan był dwa razy większy od Arion, cztery razy cięższy i zapewne sto razy silniejszy. Ale wszystko wskazywało na to, że zarówno Craiden, jak i jego ochroniarz nie wiedzieli o R'Achernonie i o księżniczce tyle, ile im się wydawało.

Arion poczuła delikatne mrowienie, kiedy włączyła się jej tarcza ochronna. Przycisnęła niemal gniewnie sprzączkę srebrnego paska, aby znów dezaktywować pole sił, które działało mimo to, aż wreszcie wydała w myślach R'Achernonowi ostry rozkaz wyłączenia tarczy.

Poczuła przeciwdziałanie super-KI, ale po upływie sekundy tarcza zgasła. Jedna sekunda stanowiła bowiem wieczność dla pojemności obliczeniowej mózgu zasilanego energią tachionów.

Niech Craiden ją zamorduje, jeśli rzeczywiście chce! Trwałoby to tylko kilka (rzeczywiście nieprzyjemnych) chwil, a wówczas on i jego towarzysze zapłaciliby za to życiem i byłby wreszcie koniec z tą paskudną historią.

Mistrz stał przed nią i patrzył jej prosto w twarz. Zdziwiony wyraz jego oczu pozwolił jej pozbyć się wszelkich wątpliwości: doskonale wiedział, co ona właśnie zrobiła. Nawet jeśli wydawało się to zupełnie niemożliwe.

- Wolność? - powtórzyła raz jeszcze. - Ale co dokładnie macie na myśli?

Zrobiła szeroki ruch ręką wskazując na miasto i spytała: - Wolność, aby móc umrzeć? Wolność, aby was wymordować? Taką wolność macie przecież. A może taką wolność, która pozwoli, aby wszyscy zginęli w efekcie najbliższej burzy na słońcu albo też zamarli w czasie zimy? Albo umarli latem w czasie suszy z pragnienia, kiedy skończą się zapasy wody? Jeśli to jest to, czego chcecie, to muszę was rozczarować. Przed tym wszystkim chroni was R'Achernon. I będzie to robił nawet wtedy, jeśli rozkazałabym mu, aby tego zaprzestał. A więc tego życzenia niestety nie mogę spełnić.

Craiden patrzył jej w twarz. Kąciki jego ust drżały, a w jego oczach Arion ciągle dostrzegała

ów niemy wyrzut, który tak bardzo wprawiał ją w zakłopotanie.

- R'Achernon - powtórzył, śmiejąc się gardłowo. Pochylił głowę do tyłu tak, że jego wzrok przesunął się po fłance czarnej wieży, ginącej gdzieś w chmurach.

- Nawet nadaliście imię tej przeklętej budowli.

- A czy wasz pałac nie ma jakiejś nazwy? - spytała. Bliskość Craideny działała na nią w dziwny sposób. Była cały czas czujna - w końcu towarzystwo morderców nigdy nie było zbyt przyjemne - ale to nie był jedyny powód.

- Macie na myśli Pałac Szturmowy - potwierdził. - Ale nie rozmawiamy z nim, jak gdyby miał duszę.

- Egzystencja czegoś, co ludzie nazywają duszą, nigdy nie została udowodniona, mistrzu klanu. W każdym razie dysponuję intelektem i w pewnych granicach także wolną wolą.

Podobnie jak za pierwszym razem, Craiden znów nie zareagował na słyszany w myślach głos R'Achernona.

- No dobrze, pytacie mnie księżniczko, czego ja chcę - mówił dalej. - A więc chciałbym wam wreszcie powiedzieć. Chcemy tylko tego, co się nam należy. Każdemu mężczyźnie, każdej kobiecie i każdemu dziecku naszego ludu. Naszego dziedzictwa.

- Waszego dziedzictwa? - właściwie dlaczego miała uczucie, że wie dokładnie, o czym on mówi? I to w dodatku, kiedy mówił takie bzdury?

- Zbudowaliście to monstrum zużywając bogactwa całego ludu - odparł Craiden. W jego głosie słyhać było drżenie, zupełnie jak dźwięk silnie naprężonej stalowej struny.

- Życie w niesłychanym luksusie, w poczuciu bezpieczeństwa i pokoju. Nie znacie głodu, zimna ani pragnienia, ani też wojny i strachu.

Nawet jeśli to wszystko, co mówił, było prawdą, jego słowa rozwścieczyły Arion.

- I tego nam zazdrościcie? - spytała.

- Nie - odparł. - Ale prowadzicie to życie na nasz koszt. Kolejne pokolenia naszego ludu cierpią i pracują, aby utrzymać to czarne monstrum, które wy nazywacie wieżą. Nasze dzieci umierają z głodu, wy tymczasem stawiacie na waszych stołach najbardziej wyszukane smakołyki. My prowadzimy wojnę o dostęp do wody, a wy zakładacie jeziora, bo one „tak pięknie wyglądają"! Nasi wojownicy zabijają się nawzajem, bo kłócą się o kawałek żelaza, a wy macie...

- uderzył płasko dłonią w poręcz - coś takiego!

On w to uwierzył - pomyślała Arion przerażona. Mogła mu powiedzieć, że to nonsens, nieprawda, ale oszczędziła sobie tego trudu.

- Acheron - powiedziała zamiast tego. - Czy to jest to, czego chcecie? - wykonała ręką zapraszający gest. - A więc obsłużcie się, bądźcie moim gościem. Bez oporów, bierzcie, ile chcecie. - Craiden patrzył na nią i w jego oczach pojawił się wyraz pogardy, co ją zabolowało. Mimo to mówiła dalej: - Weźcie wszystko, mistrzu klanu. Nikt nie przeszkodzi wam i waszym towarzyszom, daję wam na to słowo honoru.

Craiden dalej wpatrywał się w nią uważnie. Jego oczy płonęły.

- Czy wam to sprawia przyjemność, Wasza Wysokość? - spytał.

- Co takiego?

- Szydzić ze mnie - odparł. - Wiecie przecież, że nie mogę tego zrobić. I że nie przyszedłem po to, aby szukać bogactw.

- Ach, nie? - Arion zaśmiała się cicho. - A czyż każdy z nas nie dąży do tego, aby mieć to, czego nie ma?

Liczyła się z kolejnym wybuchem gniewu, ale Craiden zamiast tego potrząsnął głową i roześmiał się niemal łagodnie.

- Jestem dostatecznie bogaty, księżniczko - powiedział. - Posiadam tyle bogactw i kosztowności, że nie mógłbym ich wydać przez kolejnych dziesięć żyć.

- A zatem brak wam jedynie największego ze skarbów? - spytała.



-Władzy.

Craiden westchnął, a jego uśmiech stał się jeszcze bardziej ciepły.

Znów przechylił głowę do tyłu i spojrzął na czarne niebo nad sobą.

Patrzył długo i w zamyśleniu.

- To, co powiedzieliście przedtem, księżniczko - spytał - to, że to było serce umierającego słońca... Czy to prawda?

Księżniczka skinęła głową.

-A więc jest to najcenniejszy materiał wszechświata - powiedział. -I najbardziej niebezpieczny - dodała Arion. Craiden spojrzął na nią krótko i z powątpiewaniem, po czym zdecydował się zignorować jej ostatnie słowa.

- Moglibyśmy budować z tego domy- powiedział. - Domy, które byłyby prawdziwym schronieniem, narzędzia, żeby móc uprawiać ziemię tak, by można było z niej żyć...

- Domy - powtórzyła Arion i zmarszczyła czoło. -I narzędzia. To jest... szlachetna idea. Podoba mi się. To znaczy: podoba mi się naprawdę. Wreszcie jakieś korzystne zastosowanie dla tego brzydactwa, prawda? Że też na to sama nie wpadłam! Ani też żaden z moich doradców i naukowców! Zastanawiam się teraz, po co od lat zatrudniam i opłacam tę bezużyteczną hołotę? Powinam ich wszystkich kazać ściąć... albo przynajmniej wychłostać. Co sądzicie o tym, mistrzu klanu? - wykonała gwałtowny ruch ręką, nie dopuszczając go do słowa. - Powtarzam moją propozycję: weźcie sobie tyle acheronu, ile tylko potrzebujecie. Chcecie z tego budować domy? I pługi?

Wozy? No więc proszę! Tajemnica gwiazdowego napędu? Weźcie acheron i spróbujcie wykuć z niego łopatę! Lekarstwa przeciwko rakowi? Dlaczego nie zrobimy z tego nocnika? Albo dlaczego nie zastosować zasady długowieczności do wykonania dyszla do wozu?

Plany konstrukcyjne maszyny produkującej mannę spadającą z nieba? A dlaczego nie zbudować z tego pięknego zbiornika na deszczówkę, na tym przecież wszyscy by skorzystali!

Jej gniew odbijał się od Craidena jak deszcz od czarnej, żelaznej twarzy Durasa.

- Czy sami wymyśliście tę piękną mowę, czy też zrobił to wasz wesoły doradca, ów mały szczur? - spytał mistrz klanu.

- Tego słowa nie radzę wam używać w towarzystwie Plixa - powiedziała poważnie Arion. - On jest na tym punkcie niezwykle wrażliwy.

Craiden nawet nie zwrócił uwagi na te słowa.

- To przecież nie jest tak, że żądamy od was wieży - wyjaśnił.

-Jedynie trochę więcej sprawiedliwości, księżniczko. Ta budowla jest tak... gigantyczna.

- Pięć mil, aż do nieba - potwierdziła Arion. -I tyle samo w głąb ziemi. Nie sądzę, by ludzie kiedykolwiek zbudowali coś większego.

- Może przekażecie dowódcy armii naszych wrogów jeszcze kilka tajnych informacji? Na przykład kod służący do wyłączania Ściany? Tym razem księżniczka zignorowała ironiczny głos w swoich myślach. Była rozgniewana, w dodatku nie była już pewna, czy będzie w stanie powstrzymać się przed kolejnym wybuchem. Albo czy będzie chciała.

- Nasi przodkowie potrzebowali stu tysięcy lat, aby zbudować R'Achernona, Craiden. Nie tylko nasi, ale także wasi! Niezliczone pokolenia poświęciły na to swoje życie. Musiała też umrzeć jedna z milionów gwiazd, aby zbudzić go do życia, a wy oczekujecie, że z takiego materiału zrobimy garnki?

Craiden był spokojny, widocznie spodziewał się tego argumentu.

- A więc R'Achernon należy zarówno do was, jak i do nas? - spytał.

- Oczywiście - odparła Arion. - Służy wszystkim, bez wyjątku.

Nieco urażona wskazała na niebo.

- To dzięki jego maszynom słońce nie może spalić tego świata na popiół! Także dzięki jego myśli technicznej - którą wy tak pogardliwie nazywacie technomagią- macie co jeść. To ona dostarcza wam każdego łyku tej wody, którą pijecie! Ta sama Ściana, którą z taką rozpaczą

próbujecie zburzyć, nie pozwala, aby do miasta wpłynęło trujące powietrze Wielkich Równin, które zadusiłoby każdego z was!

Potwory, które chciały z was zrobić swoich poddanych, trzymają się od was z daleka właśnie dzięki niej! Te same siły, którymi tak pogardzacie, mistrzu klanu, trzymają w kupie tę cholerną planetę od mi liona lat, bo inaczej rozleciałaby się w drobne kawałki - a więc czego, do diabła, właściwie chcecie ode mnie? - Jest was tak niewielu, księżniczko - Craiden odpowiedział tym razem niemal łagodnie. - Wy sami powiedzieliście przed chwilą: ta wieża jest niewyobrażalnie ogromna, a was jest tak niewielu, podczas kiedy nas jest właśnie tak wielu. Czy to dziwne, kiedy żądam - nie, kiedy was proszę, abyście zrezygnowali z odrobiny luksusu, którego przecież nie potrzebujecie?

- Nie potrzebować luksusu - ależ to właśnie jest dokładna definicja luksusu, mistrzu klanu - odparła chłodno Arion.

- Czy coś w ogóle byście zauważyli, gdybyście musieli zrezygnować tylko z jednej z waszych stu sal balowych? - kontynuował niewzruszenie Craiden. - Z jednego ze stu balkonów, których nikt nie używa? Dajcie nam tysiączną część waszego acheronu, a my odejdziemy w pokoju. Moglibyśmy być przyjaciółmi, a nie władcami i poddanymi.

Arion niemal się uśmiechnęła. Pytała sama siebie w myślach, czy on sam zdaje sobie sprawę, jak to naiwnie zabrzmiało.

- A więc odeszlibyście, zabierając odrobinę acheronu, którą wam dam, aby pomóc waszemu ludowi. Ale - co dalej?

Nie było to pytanie, które wymagało odpowiedzi. Jednak Arion urwała, robiąc mimowolnie pauzę.

- Kiedyś to zużyjecie, mistrzu klanu, a jak nie wy, to wasi następcy, kolejni następcy i tak dalej, aż w końcu jeden z tych następców pojawi się u mojej następczyni i znów zażąda tysiącznej części acheronu. A co będzie, kiedy zjawi się mistrz klanu nr 1000 i zabraknie już acheronu, który będziemy mogli wam dać?

- Kiedy to miałyby nastąpić? - Craiden rozejrzał się demonstracyjnie i pogardliwie skrzywił usta. - Za milion lat? Żądacie, żeby dziś umierali ludzie po to, aby żyć mogli ci, którzy się jeszcze nie narodzili?

- A ponieważ ci, którzy byli tu wiele lat przed nami, myśleli w taki sam sposób, to ten świat jest taki, jaki jest, władco klanu - odpowiedziała cicho Arion i potrząsnęła głową. - Naprawdę chcecie, aby przyszłe pokolenia miały na ustach wasze imię jako przekleństwo? Jako przekleństwo mężczyzny, który wykorzystał ich przyszłość po to, aby jego teraźniejszość była trochę wygodniejsza?

Craiden wydał dziwny, prawie pogardliwy dźwięk i coś w jego spojrzeniu zmieniło się. Wyraz jego oczu znowu sprawił Arion ból.

- Tak, ostrzegano mnie, aby nie wdawać się w dyskusję z wami - rzekł surowo.

- Bo mogłabym mieć rację?

Ale Craiden był konsekwentny w swojej taktyce i po prostu ignorował to, co mu się nie podobało.

- Kiedy zobaczyłem was po raz pierwszy w waszej sali tronowej, pomyślałem, że to nieprawda - powiedział. - Jesteście młodą, piękną kobietą, księżniczko Infinity, jeszcze prawie dziewczyną. Ale wasze serce jest tak twarde jak serce tej przeklętej Czarnej Wieży.

Arion poczuła nagle gniew. Chciała odpowiedzieć ostro, ale jej krtań była jak zasznurowana. Jego słowa raniły ją.

- Naprawdę miałem nadzieję, że uda się uniknąć tego, co najgorsze - rzekł cicho.

- Ciągłe jeszcze nie rozumiecie, Craiden - westchnęła księżniczka. — Może nawet macie rację i moje serce jest tak twarde, jak serce R'Achernona... ale nawet gdyby było inaczej, niczego by to nie zmieniło. Nie mam nic, co mogłabym wam dać. R'Achernon jest całością.

Funkcjonuje jako całość albo wcale - potrząsnęła ze smutkiem głową.

- A nawet, gdyby tak nie było - nic nie moglibyście zrobić z acheronem. Nasi przodkowie

stworzyli R'Achernona, ale jego tajemnica umarła wraz z nimi. Nikt nie wie, jak go budowano. Żądacie acheronu, by wasze miasto stało się dzięki niemu bezpieczniejsze i aby zdobyć Wielkie Równiny? Czy rzeczywiście sądzicie, że zwlekałabym choć jedną sekundę, aby wam go dać, gdybym tylko mogła to zrobić? Nikt nie wie, jak się ten materiał dzieli! Mówię szczerze!

Weźcie sobie, ile tylko chcecie! Ale uwierzcie, nie bylibyście w stanie zabrać stąd nawet najmniejszego kawałka!

Wyraz twarzy Craidena stał się jeszcze bardziej pogardliwy, ale w jego spojrzeniu był też jakiś ślad rozczarowania, czego Arion wprawdzie nie rozumiała, ale co tylko podsycalo jej własny ból. A potem, wiedzona jakimś impulsem, z zupełnie niezrozumiałego dla niej samej powodu, zrobiła coś, co niezbyt zachwyciłoby R'Achernona, a u Plixxa przypuszczalnie spowodowałoby natychmiastowy atak serca - gdyby je miał. Ale Arion teraz wydało się to czymś jedynie słusznym: uniosła w górę lewą rękę, zawahała się jeszcze raz przez chwilę, po czym zdjęła ze środkowego palca cienki pierścionek z pożerającego światła acheronu - jedyny symbol jej rangi i władzy, który nosiła z wielką dumą. Oczy Craidena były pełne zdumienia i niedowierzania, kiedy wyciągnęła rękę w jego stronę, i położyła pierścionek na jego dłoni.

- Weźcie go - rzekła. - Należy do was.

-Chcecie mnie...

-... ośmieszyć? - Arion potrząsnęła gwałtownie głową. - W żadnym wypadku, mistrzu klanu. Pierścionek należy do was.

Craiden patrzył to na nią, to na niewyobrażalnie cenną rzecz leżącą na jego dłoni.

- Nie rozumiem...

Wyłączyć. - Jesteście pewni, księżniczko?

Nie, wydaje swoje rozkazy tylko dla żartu, bo nie mam nic lepszego do roboty. Oczywiście! R'Achernon nie zaprotestował, ale wypowiedział swój rozkaz na tyle taktownie, że Craiden nie cofnął ręki. Mistrz klanu dalej patrzył to na Arion, to na pierścionek, wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale zamiast tego uniosł w górę brwi. Za chwilę zdumienie na jego twarzy zamieniło się w przerażenie i niedowierzanie. Jego ręka zaczęła drżeć, a Arion dostrzegła, jak naprężają się jego mięśnie i spod skóry przebijają pulsujące żyły, jak silnie napięte struny.

- Co... - stęknął z wysiłkiem, urwał i próbował podtrzymać dłoń drugą ręką albo podeprzeć ramię. Jego wysiłki były bezskuteczne.

Widziała, że próbuje użyć całej swojej siły - niemałej przecież. Także siły woli. A mimo to rosnąca waga pierścionka powodowała, że opuszczał rękę coraz niżej i niżej, aż Arion pytała samą siebie, co nastąpi jako pierwsze - wyczerpią się jego siły czy też złamie nadgarstek. A może nawet nogę, bo Craiden zaczął coraz głośniejsz stękać, jego twarz nabiegła krwią, choć ciągle się nie poddawał. Osunął się na kolano i położył ramię na udzie, aby je podeprzeć. Arion była naprawdę zdumiona, że utrzymał pierścionek choć przez sekundę.

Przedmiot w międzyczasie musiał osiągnąć wagę pół tony, jeśli nie więcej.

- Jesteście pewni, że mam dalej wykonywać wasz rozkaz, księżniczko? Ucisk zbliża się do granicy możliwości obciążenia jego kości. Mistrz klanu może doznać poważnych obrażeń.

Pytam samą siebie, co jest dla niego gorsze. Złamane ramię czy też urażona duma.

R'Achernon nie kontynuował tej zarówno bezowocnej, jak i niebezpiecznej (dla Craidena) dyskusji, lecz zatroszczył się o skuteczne ograniczenie ewentualnych obrażeń -wystarczyło odrobinę przechylić oś grawitacyjną pierścionka i ten zaczął zsuwać się z dłoni Craidena.

Władca nadal stękał z wysiłku, a także z gniewu, próbował zacisnąć pięść, po czym z okrzykiem zaskoczenia stracił równowagę, zaś pierścionek wreszcie wypadł z jego ręki i tak szybko spadł na podłogę, że praktycznie stał się niewidoczny. Dźwięk, z jakim uderzył o podłogę balkonu, brzmiał jak huk kowalskiego młota uderzającego w żelazne drzwi. Arion kątem oka zauważyła, że Torman poderwał się i zrobił jeden szybki krok w kierunku Craidena, po czym stanął jak wryty, jak gdyby przytrzymała go w miejscu jakaś niewidzialna ręka. Księżniczka poczekała chwilę stłumiwszy w sobie impuls, aby podejść do Craidena i wyciągnąć dłoń w jego stronę, pomagając mu w ten sposób wstać. Zamiast tego potrząsnęła głową i podniosła bez żadnego wysiłku pierścionek, który zaraz wrócił na swoje poprzednie miejsce.

Mistrz klanu w międzyczasie podniósł się, opierając się na rękach i kolanach. Jego twarz ciągle jeszcze była czerwona z wysiłku, a po obu stronach jego szyi pulsowały tętnice, każda w innym rytmie.

Najpierw zwrócił się w stronę swojego gwardzisty, wykonując uspokajający ruch ręką, po czym odwrócił się w stronę Arion i pogardliwie skrzywił usta.

- Tania technomagia! - prychnął. - To miało na mnie zrobić wielkie wrażenie?

- Tak - odpowiedziała poważnie Arion. - Miało zrobić wrażenie, mistrzu klanu.

Podniosła rękę z pierścionkiem.

-Wszystko jedno, czy to tania technomagia czy co innego, ale to jest prawda, fakt. Chcecie poznać tajemnicę acheronu? Nie mam jej!

Nikt nie wie, jak można z niego wykonać jakąś inną formę! Nikt nie wie, jak można go transportować! Spróbujcie zabrać stąd jakąś jego nikłą cząstkę! Spróbujcie, a stanie się - wskazała ręką miejsce, gdzie leżał pierścionek - stanie się to samo!

Przez chwilę Craiden rzeczywiście sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Ale po chwili w jego spojrzeniu znów pojawiła się pogarda, kiedy patrzył na księżniczkę, a zwłaszcza na pierścionek na jej palcu.

- To rzeczywiście... robi wrażenie - rzekł. - Możecie być dumni ze swoich sztuczek.

- To nie była sztuczka - odparła spokojnie Arion. - Pojmijcie to wreszcie, Craiden! Nawet gdybyście mogli wygrać tę walkę, na czym wydaje wam się tak bardzo zależeć - to nic nie zyskacie, bo nie ma co zyskać!

- To wy nie dajecie nam żadnego wyboru, Wasza Wysokość - powiedział ze smutkiem. Odwrócił się znowu, aby położyć rękę na balustradzie z czarnego acheronu, ale tym razem zrobił to tak łagodnie, jak gdyby głąskał połyskliwą czerń gwiazdowego materiału.

- Dawno temu, księżniczko - odezwał się po chwili - spotkałem dziewczynę, która opowiedziała mi pewną historię. Dość zwariowaną historię, ale nigdy nie mogłem jej zapomnieć. -Wskazał ręką do góry. - Otóż dziewczyna twierdziła, że tam, na górze, są jakieś inne światy, gdzie mogą żyć ludzie tacy jak my.

-I teraz chcecie się ode mnie dowiedzieć, czy to prawda?

Craiden potrząsnął głową, nie spuszczając wzroku z nieba.

- Nie wiem, czy historia jest prawdziwa czy nie, ale to nie odgrywa żadnej roli. Wiem, że ten świat umiera. Bo zabija każdego, kto opuszcza chroniące mury miasta. Przy tym jest potężny, sto razy większy, niż możemy to sobie wyobrazić - albo nawet więcej. Moglibyśmy znów obudzić go do życia.

Jego palce pogłaskały czarną balustradę.

- Za pomocą tego.

I w pewien sposób odpowiada to nawet prawdzie - pomyślała Arion.

Tylko cena, którą musiałaby za to zapłacić, byłaby o wiele za wysoka.

- A wy sądzicie, że jesteście pierwszym, któremu to przychodzi do głowy? - Arion sama była zdziwiona łagodnością swojego głosu.

- Może jestem pierwszym, który ma realną możliwość to zrobić - odparł Craiden z przekonaniem.

- Nie macie, mistrzu klanu - odpowiedziała i po chwili zaczęła mówić coś, za co prawdopodobnie Plixx skrzyknąłby jej kark, nie mówiąc już o ataku wściekłości, jakiego doznałaby senator Rymer.

- Znamy wasze przygotowania. Wiemy, że wasze oddziały już nie tylko dla pozorów zajęły pozycje, rzeczywiście przygotowują się do ataku. Wiemy też, że dysponują nowoczesną i silną bronią, jaką dotychczas nie dysponowała żadna armia.

- Ach, doprawdy? - zapytał kpiąco Craiden.

- R'Achernon, pokaż Craidenowi plany koncentracji jego wojsk - rozkazała Arion. -I spis inwentaryzacyjny jego oddziałów. Wszystko, co wiesz. Liczby, wyposażenie, broń i plany ataków.

Uśmiech Craidena był teraz jednoznacznie kpiący - przeszedł w grymas, kiedy R'Achernon zrobił to, co rozkazała Arion i wyświetlił informacje, które zebrały drony-szpiegi w ciągu ostatnich godzin.

Dokładnie tak, jak powiedziała księżniczka: były tam kompletne plany koncentracji, liczebność oddziałów i strategia, jak też lista inwentaryzacyjna jego oddziałów zawierająca wszystko, aż do przysłowiowego ostatniego guzika. Przypuszczalnie dowiedział się w ciągu kilku sekund o swojej armii więcej, niż od własnych doradców. Jego twarz skamieniała.

- Mogliście nas przez cały czas bez trudu zniszczyć- powiedział.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście z tą świadomością.

Arion nie wykonała żadnego ruchu. R'Achernon nie potrzebował nawet godziny, aby zebrać wszystkie te dane i zweryfikować je - ale dopiero wtedy, kiedy dowiedział się, czego miał szukać. Mistrz klanu i jego generałowie pozostali utajnieni.

- A po co mielibyśmy to robić? - spytała. - Nie chcę z was szydzić, mistrzu klanu i z całą pewnością nie chcę was też upokorzyć, zapewniam was. Ale faktem jest, że żadna z waszych broni nie może nam zagrozić.

Wskazała na krąg tłących się zniszczeń i resztek miasta.

- Żal mi ich tak samo jak wam, Craiden. Nie pragniemy ani waszej śmierci, ani też żadnego z waszych żołnierzy czy też kogoś z waszego ludu. A jednak ta katastrofa była w pewnym sensie

pomocna.

- Ach? - zdziwił się Craiden. - Naprawdę?

- Użyliście przeciwko nam waszej najsilniejszej, tajnej broni, a ona zawiodła - odpowiedziała.

- Jesteście pewni, że to była właśnie ta najsilniejsza? Arion nie odpowiedziała od razu. Choć wiedziała, że Craiden blefował, jego pytanie zaniepokoiło ją o wiele bardziej, niż powinno.

- Nie ma nic gorszego - powiedziała w końcu.

- Zawsze jest coś gorszego!

- R'Achernon - westchnęła - wyjaśnij mu, co powoduje morderca planety.

Chociaż nie usłyszała w myślach przeczącego głosu wieży, wydawało jej się, że czuje, niemy sprzeciw R'Achernona. Ale oczywiście posłuchał rozkazu. Dostrzegła, że wojownik zbladł jeszcze bardziej.

- Ja... nie wierzę - powiedział w końcu urywanym głosem. - Taka bomba w ogóle nie może istnieć. Kto byłby tak szalony, aby skonstruować taką broń?

- Nasi przodkowie, mistrzu klanu - westchnęła - i wasi.

- Jeśli to prawda, to dlaczego jeszcze w ogóle żyjemy? - spytał.

- Bo wasi i moi przodkowie byli jednocześnie na tyle mądrzy, aby zbudować R'Achernona. - odparła Arion. - Ta sama wieża, której tak nienawidzicie, uratowała nas wszystkich.

- Tak, oczywiście - prychnął Craiden.

- Nie wierzycie mi.

Oczywiście, że nie. Arion na jego miejscu też prawdopodobnie by nie wierzyła.

- A więc chodźcie ze mną, mistrzu klanu. Może jest jakiś inny sposób, aby was przekonać.

Mardu. Nie wiedział, jak długo byli w drodze ani jak często wciskali się w kolejne odgałęzienia i jakieś boczne tunele, których nie dostrzegłby nawet przy lepszym oświetleniu. Może były to całe godziny. Droga prowadziła to tu, to tam, ale mniej więcej do przodu (ku cichej nadziei generała, że było to wszystko inne niż kontynuacja poprzedniej drogi). To, co ich teraz otaczało w niczym nie przypominało poprzednich, przestronnych tuneli dawnego systemu transportowego ani też zardzewiałego szkieletu żmii. Były to po prostu trójkątne korytarze bądź szyby, przez które musieli niejednokrotnie pełznąć, a Mardu całkiem świadomie unikał rozważania o tym, do czego pierwotnie mogły służyć niektóre z tych szybów i zardzewiałe żelazne rury. Ale każdy senny koszmar wreszcie się kończy i także tu migoczące, blade światło lampy Quizzacka powoli przestawało być jedynym oświetleniem. Przestrzeń przed nimi powoli robiła się szara i sama nadzieja, że może niedługo wydostaną się na powierzchnię ziemi, pozwalała Mardu lżej oddychać. W końcowym fragmencie zrobiło się już odczuwalnie lepiej. Sztolnia rozszerzyła się na tyle, że nie musieli czołgać się na rękach i kolanach, a ostatni odcinek mogli już nawet przebyć wyprostowani. Oczywiście Quizzack musiał popsuć całą zabawę.

- Coś tu nie gra - powiedział wreszcie.

Tak, chyba z tobą - pomyślał generał. Kiedy ten chłopak nauczy się nie zabierać głosu, nie będąc pytany? Ze złością chciał go odepchnąć i po prostu iść dalej, ale tamten szarpnął go gwałtownie do tyłu, co Mardu wydało się ukoronowaniem jego bezczelności.

- Czekajcie! - syknął chłopak.

Mardu dosłownie opadła szczęka i niemal poczuł, jak oczy prawie wyszły mu z orbit ze złości. Ale Quizzack nie mógł tego zauważyć, bo czym prędzej pobiegł do przodu, przemknął bezszelestnie jak cień do wyjścia wąskiej metalowej rury i w niepojęty dla generała sposób niemal wtopił się w otoczenie. Mardu przez moment w ogóle nie mógł go dostrzec, choć przecież kontury chłopaka powinny się odznaczać w mdłym świetle. Dla każdego, kto był na zewnątrz, musiał być jednak całkowicie niewidoczny, bez względu na to, jak dobry ten ktoś miał wzrok.

Ale już za chwilę był z powrotem. Wydawał się zaniepokojony.

Zniżył głos do syczącego szeptu, mówiąc: - Cztery, panie. A w powietrzu jest jeszcze więcej. Musieliście je rzeczywiście rozwścieczyć.

No jasne, nie mogło być inaczej.

- Helioptery? - spytał Mardu. Informacja była całkowicie zbędna, ale Quizzack mimo to skinął głową.

- I jest jeszcze kilku innych wojowników. Takich jeszcze nigdy nie widziałem.

Mardu i tak był zdenerwowany, ale ta wiadomość rozbudziła dodatkowo jego ciekawość. Szybko (choć wcale nie tak bezszelestnie jak Quizzack) przekradł się do wyjścia, położył na brzuchu i wstrzymując oddech, niemal słysząc mocne bicie swych obu serc, wyjrzał na zewnątrz.

Korytarz - w rzeczywistości olbrzymia żelazna rura o kwadratowym przekroju - kończył się dobre trzy metry nad podłogą ogromnej hali, o której Mardu nie umiałby powiedzieć, czy była to hala fabryczna, magazyn czy koszmarnie zapchane, ogromne pomieszczenie mieszkalne dla kilkuset osób. Wszędzie stały wielkie maszyny o niewiadomym przeznaczeniu i dziwnej konstrukcji, a także ogromne sterty skrzyń, jakichś worków i pojemników transportowych. Pośrodku tego wszystkiego wznosiły się namioty, prymitywne budy z desek, blachy i fragmentów tworzywa sztucznego, ułożonych wprost na gołej ziemi. W jednym miejscu widać było coś, o czym Mardu nie mógł powiedzieć z całą pewnością, czy była to jakaś dziwaczna forma domostwa czy też może jakaś żywa istota - a może jedno i drugie.

Z czterech helioptarów, o których mówił chłopak, dostrzegł tylko jednego na ziemi, był on jednak nieprzyjemnie blisko: tkwił niemal bezpośrednio pod kończącą się tu rurą. Na szczęście był zwrócony tyłem do niej, tak, że głowa i ramiona jeźdźca były niemal na tej samej wysokości, co twarz generała. Gdyby potwór się odwrócił, Mardu i jeździec mogliby popatrzeć sobie w oczy.

Tak cicho, jak to tylko było możliwe, Mardu wyciągnął zdobyczną broń, wycelował w tył głowy jeźdźca i opierając łokieć na zardzewiałym żelazie, żeby utrzymać ciężką broń w bezruchu, próbował obliczyć trajektorię pocisku. Chciał trafić nie tylko w łusą głowę jeźdźca, ale także w kark biomechanicznego insekta-olbrzymia.

Quizzack dotknął jego ramienia, położył palec na ustach i jednocześnie potrząsnął głową. Mardu chciał strzelić już niemal z czystej przekory, ale nagle zobaczył to, na co zwracał mu uwagę chłopak. Opuścił broń niemal przerażony. W pewnej odległości, w hali między stertami skrzyń pojawił się drugi helioptar, pełznąco niezdarnie w charakterystyczny sposób, w jaki te kreatury zwykle poruszały się po ziemi. O ile jednak tu były powolne, to w powietrzu poruszały się szybko i elegancko, niemal lotem strzały. Jeździec zsiadł i szedł powoli obok swego wierzchowca, jednak bynajmniej nie byli sami: towarzyszyła im istota budząca grozę nawet w najodważniejszym sercu, której Mardu nigdy jeszcze nie było dane widzieć.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest to człowiek, ale ta istota liczyła - co najmniej! - dwa i pół metra wzrostu i miała tak szerokie ramiona, że przypominała wręcz chodzący kwadrat. Wszystko - rzeczywiście wszystko - ów żelazny potwór miał czarne, łącznie z twarzą, wszystko też wydawało się być w nieprzerwanym ruchu, jak gdyby składał się z cienia, który usiłował wymknąć się z formy, w jaką go wtłoczono.

Mardu próbował dociec, dlaczego już sam widok tego czarnego giganta tak bardzo go przeraził. Widział już o wiele straszniejsze potwory i walczył z kreaturami na pewno bardziej przerażającymi (i zwyciężał!), a były to monstra o potwornych zębach i szponach, z dziobami i pancerzami, którymi siekały człowieka w ułamku sekundy na drobny mak - co w dodatku robiły z przyjemnością, jeśli tylko miały ku temu okazję. Ale jednak nigdy nie widział istoty, która spowodowałaby u niego tak nagły atak paniki, jak ten czarny potwór.

Z olbrzymia emanował wprost strach, jak mroczna i gęsta mgła, która kładła się cieniem wokół niego i gasiła każdy ślad odwagi we wszystkich sercach. A przy tym potwór wcale nie był uzbrojony w jakiś specjalny robiący niesłychane wrażenie sposób: na plecach miał osobliwą, ciekawą broń oraz coś w rodzaju broni palnej przy pasie, a do tego ogromny miecz, który z pewnością nawet on musiał unosić obiema łapami. Właściwie jego uzbrojenie wydało się Mardu wręcz śmieszne w zestawieniu ze spustoszeniem, jakie robił jego zdobyczny rozrywacz. Ale nagle ta broń wydała mu się nędzna i wręcz żalosna.

Już sam pomysł wycelowania w czarnego wojownika wydał mu się absurdalny.

- Co... to jest? - wyszeptał. Aż nadto dobrze słychać było lęk w jego głosie.

Quizzack tylko bezradnie uniósł w górę ramiona. On również był blady. Generał chciał znów o coś zapytać, ale nie odważył się.

Czarny kolos był wprawdzie dość daleko, ale Mardu nie wiedział, jakim dysponował słuchem. Mogło być tak, że tamten czuł ich obecność, podobnie jak Mardu reagował ślepy m przerażeniem już na sam widok i bliskość stwora.

Opuścił zdecydowanie broń i zaczął cofać się z powrotem do rury.

Zastygł w bezruchu, kiedy heliopter pod nim zadrżał i powoli, niezdarnie zaczął iść do tyłu. Skrzydła olbrzymiej ważki szeleściły jak suchy papier i generał w przerażeniu wstrzymał oddech, kiedy tylna część tułowia uderzała nerwowo o ziemię w efekcie niezdarnych ruchów. Potwór był już tak blisko kryjówki Mardu, że niemal jej dotykał. Olbrzymia żuwaczka mogła wręcz mimochodem zmiażdżyć głowę Mardu, tak jak on obcinał sobie zbyt długi paznokieć u palca.

Potwór oddalił się powoli, także czarny olbrzym i drugi heliopter nie zbliżały się już do ich kryjówki. Nie uspokoiło to jednak generała, który od dłuższego czasu już był rozdrażniony. Po potwornej odysei przez umierające miasto i niesamowite podziemia z tymi ich wszystkimi niebezpieczeństwami, które udało im się przetrwać i przewyciężyć, czuł jakiś paradoksalny bunt i przekonanie, że ma prawo do czegoś w rodzaju zadośćuczynienia, a tym byłoby znalezienie się na wolności. Jednak los wydawał się z niego kpić. I to miało być fair?!

Mardu poczekał, aż oba helioptery i czarny gigant oddalili się na tyle, że nie mogli już ich słyszeć (przynajmniej taką miał nadzieję) i jak najciszej odwrócił się do Quizzacka.

- Jest tu jakaś inna droga, która prowadzi na zewnątrz? - ruchem głowy wskazał kierunek, z którego przyszli. - Możemy się tędy wymknąć?

Wyraz twarzy chłopaka czynił odpowiedź niemal zbędną.

- Tu jest wiele dróg - brzmiała odpowiedź. - Ale... już nie jestem pewien...

- ... jak mnie nabrać, co? - zagrział Mardu, choć musiał to zrobić odpowiednio cicho.

Quizzack zignorował pytanie.

- Wszystko się tu zmieniło - powiedział niespokojnie. - Ten ogień. A... niektóre tunele chyba się zawaliły. Tak mi się wydaje.

- A co to znaczy? - drążył Mardu.

Quizzack unikał jego wzroku jak mógł.

- Możemy zabłądzić - wyznał w końcu.

- No, to byłoby dopiero! - sarknął generał, potrząsnął jednak głową, aby odwieść chłopaka od dalszego mówienia i znów zaczął przyglądać się hali. Była zapchana wszystkim, co możliwe, ale mimo to, choć z pewnością niedawno tętniło tu życie, to może z powodu jego braku teraz wydawała się zupełnie pusta. Gdzieś tam coś się przemykało - przeważnie to coś było ogromne i miało wielkie, szeleszczące skrzydła ważki oraz chitynowy pancerz - ale większa część tej ogromnej hali wydawała się martwa.

- Co tu kiedyś było? - spytał Mardu.

- Wielu tu przychodzi po wojnie, aby się schronić. To ci, których domy zostały zniszczone - odparł Quizzack, wskazując ręką na niebo i dodał: - Wczoraj dach był jeszcze cały, a to było niezłe schronienie przed wiatrem i zimnem.

No, teraz już nie jest, pomyślał Mardu. W łagodnie sklepionej konstrukcji ponad nimi ziały liczne, ogromne dziury, dwie z nich na tyle duże, aby wpuścić do środka cały batalion daktyli.

Krajobraz gruzowiska zawierał pod sobą pogruchotaną przeszłość - pogrzebaną pod rumowiskiem i pod popękkanymi skorupami jakichś ceramicznych naczyń. Generał zauważył, że stojąca pośrodku dziwaczna budowla przekrzywiła się nieco - jak gdyby przechodzący obok niej olbrzym mimochodem złośliwie wymierzył jej kopniaka.

Fala uderzeniowa także mocno uszkodziła budowlę, nawet tu, mimo odległości wynoszącej wiele mil od centrum eksplozji.

- Czyż nie stało się dokładnie to, przed- czym go ostrzegałem?

- zamruczał Mardu.

- Panie?— spytał Quizzack.



- Nic, nic - odparł szybko Mardu. Tylko przecież głośno myślał.

- A jak stąd wyjdziemy?

Chłopak przez chwilę skoncentrowany patrzył w milczeniu przed siebie, po czym wskazał kierunek na lewo w stronę hali. Mardu spojrzał we wskazanym kierunku, ale nie dostrzegł tam niczego, co można by przyjąć za drogę ucieczki; za to zobaczył opancerzonego potwora z wytrzeszczonymi owadziemi oczami, który szedł powoli między skrzyniami. Spojrzał na chłopaka pytająco i nieufnie.

-Jak damy radę tam przebiec, to mamy szanse - stwierdził Quizzack

- Dlaczego?

Jego adiutant przewrócił wymownie oczami, ale odpowiedział posłusznie, świadomy swego obowiązku: - Po drugiej stronie jest kanał. Tamtędy się wydostaniemy.

- Będzie z pewnością przez nich pilnie strzeżony - wyraził swoje przypuszczenie generał. Przynajmniej on by tak zrobił, gdyby był na miejscu prześladowców.

Quizzack wytrzeszczył oczy i patrzył na niego tak, jak gdyby zwątpił w fakt posiadania przez niego rozumu.

- Z pewnością nie - powiedział z przekonaniem. - Przecież jesz cze nie zwariowały.

Mardu milczał. Dlaczego miał jakieś dziwne przeczucie, że to, co Quizzack nazwał kanałem, raczej nie przypadnie mu do gustu jako droga ucieczki?

- A więc idź przodem - rozkazał.

Chłopak nie sprawiał wrażenia zachwyconego, jednak wzruszył ramionami i jeszcze raz rozejrzał się, zanim opuścił kryjówkę. Zrobił to tak bezszelestnie i tak zwinnie, że zawiść i zazdrość niemal targnęły Mardu. Chwycił rękoma brzeg zardzewiałej rury, przeturlał się do przodu, po czym jak gimnastyk na drążku wykonał w zwolnionym tempie najprawdziwsze salto na wyciągniętych ramionach, mając czubki stóp dobre półtora metra ponad ziemią. Kiedy generał zobaczył, jak elegancko i w całkowitej ciszy chłopak pokonał ostatni dystans, nagle przestraszył się, że Quizzack po prostu stopi się z cieniem na dole w jedno i będzie niewidoczny. A co, jeśli skorzysta ze sposobności i ulotni się? Mardu wiedział, że sam nie miał tu żadnych szans. Jednak za chwilę spod spodu wynurzyła się machająca ręka i dobiegł go syczący szept: - Szybko, panie! Akurat tu nie patrz!

A więc dobrze, skoro ten urwis dał radę, to tym bardziej on, generał, powinien sobie poradzić. Mardu zacisnął dłonie na brzegu rury, powoli przesunął się do przodu i nagle stracił równowagę. Potrzebował dobre pół minuty, aby odzyskać oddech - runął z wysokości trzech metrów uderzając plecami o ziemię. Przed oczami tańczyły mu kolorowe punkty i zdołał rozpoznać Quizzacka tylko po głosie.

- Wszystko w porządku z wami, generale?

Podniósł się z trudem, potrząsnął głową i chwilę czekał, aż świat, który w jego mniemaniu rozleciał się na tysiąc kawałków, znów stanie się całością.

- Musimy iść dalej, panie - wyszeptał Quizzack i jakby to nie była i tak mało radosna wieść, dodał: - One na pewno wrócą.

Jak dobrze, że był tak uprzejmy i o tym powiedział. Mardu z trudem dźwignął się, stanął na nogi, zignorował dumnie wyciągniętą rękę Quizzacka i roztarł bolące nadgarstki, na które poszła siła uderzenia przy upadku. Chłopak pochylił się i z zadziwiającą wręcz zwinnością, wykorzystując po drodze każde najmniejsze schronienie, podbiegł do przodu. Mardu poczekał, aż młodzieniec gestem dał mu znak, że było bezpiecznie i że może pobiec za nim. Czuł się trochę nieswojo, bo okazując chłopakowi tyle zaufania zdawał się na jego łaskę i niełaskę. Ale gdyby Quizzack chciał mu wsadzić nóż pod żebra, to było już ku temu sporo okazji... nie mówiąc o tym, że taka kreatura jak Quizzack nie ważyłaby się przecież zdradzić Wybranego.

Biegł za chłopcem poruszającym się dziwnym zygzakiem między stertami jakichś skrzyń i mniej lub bardziej pogruchotanych maszyn, z których niektóre wydały mu się możliwe do uruchomienia. Mardu nie słyszał wprawdzie najmniejszego odgłosu, ale czasami wydawało mu się, że czuł coś dziwnego, kiedy mijał taką maszynę - coś jak gdyby działanie ogromnej siły, której już tylko sama egzystencja wywoływała niemiłe uczucia. Potrzebowali sporo czasu, aby

biegnąc w ten sposób dostać się w pobliże drugiego końca hali, a momentami było tam naprawdę ciasno. Z powodu niestęchanych rozmiarów budowli, nie było tego z początku widać, ale powoli stawało się dla generała jasne: szukało go przynajmniej tuzin helioptarów wraz z jeźdźcami i do tego ten osobiwy żelazny człowiek - o ile nie było ich jeszcze więcej. Ciągłe musieli się cofać i chować na dłuższy czas do prowizorycznych kryjówek, aż Quizzack uznawał, że jest w miarę bezpiecznie i mogli biec dalej.

Generał Mardu powoli zaczynał zadawać sobie pytanie, jak w ogóle zdołał przedostać się aż tutaj. Zawziętość jego prześladowców była przerażająca i dowodziła tego nie tylko ich wielka liczba. Ale jeśli tak bardzo chcieli się zemścić, to dlaczego po prostu nie spalili hali? Albo nawet całej dzielnicy, w której, jak przypuszczali, mógł przebywać Mardu? Mieli do tego pełne prawo, a przede wszystkim narzędzia i środki. Kolejna zagadka, którą będzie musiał się zająć... jak tylko się stąd wydostaną. Nie był już w stu procentach pewien, czy one szukają go tylko po to, aby pomścić śmierć swoich towarzyszy.

Spostrzegł, że prawie już przekroczyli szerokość hali, kiedy znów zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Ponieważ wszystko było tu tak monstrualne, Mardu spodziewał się adekwatnego jeśli chodzi o rozmiary wyjścia, ale Quizzack wskazał zamiast tego na jakieś wąskie drewniane drzwi, które na olbrzymiej ścianie sprawiały wrażenie brudnej plamy. Dzieliło ich od nich jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów i oczywiście los nie darował sobie tej okazji, aby z nich zakpić. Akurat na tym odcinku nie było niczego, gdzie mogliby się schronić, a w dodatku właśnie nad tym fragmentem hali w dachu ziała ogromna dziura - a raczej brakowało fragmentu dachu, który zniszczyła fala uderzeniowa i oczywiście resztki dachu spadły dokładnie tam, gdzie oni mogliby wykorzystać je jako schronienie.

- Będzie ciężko - stwierdził chłopak.

- Ach, doprawdy? - zakpił złośliwie Mardu. - Byłbym w ogóle nie zauważył, gdybyś nie powiedział.

Quizzack nie sprawiał wrażenia dotkniętego czy urażonego jego sarkazmem - albo może był głębszy, niż się generałowi chwilami wydawało. W każdym razie nie zareagował na jego słowa, tylko ostrożnie przesunął się na bok i zadął głowę do góry, aby obejrzeć niebo widoczne tam, gdzie brakowało dachu. Mardu nie potrzebował patrzeć, aby wiedzieć, że krążyły tam helioptery i przepatrywały każdą stopę kwadratową ziemi swoimi niezwykłymi oczami, które widziały to, czego człowiek nie był w stanie zobaczyć. Zerknął mimo wszystko i ocenił, że były trzy.

- Za długo nie możemy tu tkwić - stwierdził młodzieniec. - A one będą przewracać każdą najmniejszą skrzynię, żeby nas znaleźć.

- Hm - zamruczał Mardu. Dłonią pogładził broń tkwiącą za pasem, ale tym razem nie uspokoiło go to, a miał nadzieję, że tak się stanie.

- Na to jest ich za wiele - powiedział Quizzack, którego uwadze nie uszedł ruch Mardu.

- Wiem - przyznał wściekły generał. - A masz jakiś lepszy pomysł?

Zamiast odpowiedzieć, chłopak podniósł głowę do góry i zaczął uważnie wpatrywać się w niebo.

- Jest jakiś system - rzekł po chwili.

- W gwiazdach?

- W ich ruchach - Quizzack znów wskazał ręką na niebo. - Przeszukują ziemię w pewien bardzo określony sposób, według linii, które się przecinają, aby nie można było się wymknąć. Ale po siódmym albo ósmym razie następuje mała przerwa — coś jak ślepa czy pusta plama. Krótka to trwa, ale jeśli pobiegniemy wystarczająco szybko...

Popatrzył na Mardu w sposób, który generałowi wydał się niemal bezczelny i spytał: - Umiecie biegać?

- Dostatecznie szybko - odparł Mardu.

- Po drugiej stronie drzwi będziecie musieli biec naprawdę szybko - stwierdził chłopak. - Bo jak tylko stąd wyjdziemy, natychmiast nas zobaczą.

Ręka Mardu zacisnęła się wokół broni.

- A co nam to da? - spytał zrezygnowany.

- Stamtąd jest tylko kilka kroków do kanału - odpowiedział chłopak i dodał: - ale heli są szybkie, wiem o tym. Jeśli zobaczą nas za wcześnie, nie mamy żadnych szans.

Znów skoncentrował się na fragmencie nieba w trapezowatym otworze. Mardu poszedł za jego wzrokiem i próbował rozpoznać system ruchów heliopterów, o którym mówił chłopak. Daremnie.

Może Quizzack chciał uchodzić za mądrzejszego niż był.

- Dobrze się znasz na heliopterach - stwierdził.

- Nie tak dobrze, jak bym chciał - chłopak mówił powoli i z przerwami, a jego wargi poruszały się, jak gdyby coś liczył.

- Co masz na myśli?

- One okropnie lubią otaczać się tajemnicą, ale mimo wszystko można się od nich wiele nauczyć, jeśli dobrze im się przyjrzeć i przysłuchać.

- Nauczyć się? Czego? Jak zabijać ludzi?

- Czasami z nimi handlujemy - Quizzack znów odpowiedział z wahaniem, robiąc przerwy, podczas których jego wargi poruszały się tajemniczo, po czym dodał: - Trzeba uważać. Są naprawdę cwane i cieszą się, kiedy mogą nabrać kogoś, kto wejdzie im w drogę.

Mardu nabrał pewności, że chłopak tylko udawał ważniaka. I takiemu smarkaczowi on powierzał swoje życie?

- Ale jeśli się troszkę uważa, to można się nawet przy tym obłowić - kontynuował Quizzack po dłuższej przerwie, cały czas coś licząc i robiąc przerwy. Nie spuszczał oczu z nieba i patrolujących je heliopterów.

- Kiedyś zdobyłem kompletny... - nagle poderwał się, chwycił Mardu za nadgarstek i pociągnął go za sobą z taką siłą, że ten potrzebował kilkunastu kroków, aby złapać równowagę i móc biec samodzielnie i nie potykać się. Spróbował więc biec tak szybko, aby nie tylko dotrzymać kroku chłopakowi, ale aby go wyprzedzić, jednak nie udało mu się to. Pędzili w stronę zbawczego wyjścia - było to tylko trzydzieści lub czterdzieści kroków i kilka sekund, ale one wydawały się wiecznością. Generał zaskoczony był gładkością podłoża, po którym biegli. Przy każdym kroku spodziewał się usłyszeć przeszywający sygnał ostrzegawczy i poczuć ból trafienia rozrywacza odcinającego mu ramię lub nogę.

Usłyszał ten dźwięk, kiedy prawie dobiegli do drzwi - a raczej tak im się prawie zdawało. Wrzask, który usłyszał Mardu, nie pochodził jednak z nieba, ale skądś na lewo od nich i wydawało się, że wydobywał się z gardła zardzewiałego rygacza. Promień światła nie pochodził z rozrywacza niosącego niewidzialną śmierć - był to trująco zielony błysk lodowatego światła, który o mały włos nie trafił generała. Strzał - strumień wody pod wysokim ciśnieniem - padł na ścianę tuż koło nich.

Mardu rzucił się w lewo, a praktycznie zaraz potem w prawo, potem znów w lewo i znów uderzenie zielonego światła omal go nie trafiło. Poczuł niesamowite pieczenie skóry i niemal przyjemne uczucie zmęczenia w lewym ramieniu, które ustąpiło, kiedy rozpaczliwie podwoił wysiłki, aby dotrzeć do drzwi. Wpadł w nie tuż za Quizzackiem, znów uchodząc przed błyskiem w ostatniej chwili.

Adiutant miał mniej szczęścia. Błysk trafił go w prawą nogę i chłopak z krzykiem upadł na bok. Mardu histerycznym, pozbawionym kompletnie sensu ruchem zatrzęsął drzwi za sobą, instynktownie przeskoczył przez leżącego chłopaka i zrobił jeszcze trzy kroki, zanim pojął, że nie ma najmniejszego pojęcia, dokąd iść.

Zaklął, wrócił do Quizzacka i podniósł go brutalnie za nogi.

Chłopak wił się z bólu, ale za chwilę wyraźnie kulejąc ruszył do przodu. Czy to nie on mówił, że do kanału jest kilka kroków?

Mardu wyteżył wzrok, ale nie widział niczego, co by go przypominało. Przed nimi wznosiło się coś w rodzaju starego, pełnego dziur płotu, a domy znajdujące się za nim wydawały się... położone dalej, niż powinny być. Był jednak zbyt zdenerwowany, aby analizować te szczegóły.

- Biegiem! - ryknął, uderzając chłopca brutalnie. -I nie wygłupiaj się! Gdzie jest ten przeklęty kanał?

Quizzack wyjęczał coś w odpowiedzi i jakimś cudem udało mu się pobiec nieco szybciej, choć nadal silnie utykał. Mardu z bijącymi sercami czekał, aż drzwi za nimi wylecą z zawiasów i pojawi się w nich ryczący potwór.

Jego życzenie spełniło się, kiedy właśnie dotarli do płotu i przechodzili przez jakąś dziurę, przez którą swobodnie można by przepchnąć dom. Drzwi nie wyleciały z zawiasów, lecz zamieniły się w chmurę drzazg wielkości wykałaczek, a heliopter powiększył otwór przeciskając swój pancerz przez drzwi. Jego jeździec był na tyle mądry, aby ukryć się za olbrzymią czaszką ważki i nie zostać zmiecionym z jej grzbietu. Mardu cierpliwie więc poczekał, aż jeździec wyprostował się, po czym podniósł rozrywacz i zastrzelił go razem ze zwierzęciem. No, to zostało może ze dwadzieścia tych zwierząt. Albo i sto.

- Szybko, panie! - sapnął Quizzack. - Szybko, za mną!

Mardu w wojowniczym nastroju popatrzył na niebo i wypatrzył zaraz trzy kolejne helioptery, które zbliżały się szybkim lotem nurkującym, były jednak zbyt daleko na celny strzał. Także za martwym potworem, który blokował drzwi, Mardu dostrzegł jakiś ruch. Doszedł więc do wniosku, że na dziś dokonał dość bohaterskich czynów, aby potwierdzić swoją sławę Wybranego. Jeden czy dwa martwe helioptery więcej czy mniej to rzeczywiście nie miało znaczenia.

Wsunął więc broń za pas i ruszył szybko, aby dołączyć do chłopaka, który choć ciągle mocno kulał, to narzucił zdumiewająco szybkie tempo. Rzeczywiście zbliżali się do czegoś w rodzaju kanału, bo kilka kroków przed nimi podłoże nieomal się skończyło - zobaczył je dalej, mniej więcej pół mili stąd. Pomiedzy jednym a drugim jego pasem właściwie nic nie było widać, a generał ani nie słyszał, ani nie widział wody. Przeciwnie: znów poczuł w powietrzu lekką woń spalenizny. Quizzack mimo to nie wahał się, dokuśtykał nad sam brzeg domniemanego kanału, zatrzymał się w ostatniej chwili i zamachał gwałtownie rękami, wołając Mardu.

- Szybko - zaskrzeczał. - Zaraz tu będą!

Mardu podbiegł do niego, zatrzymał się gwałtownie przed ziejącą przepaścią i ostrożnie zajrzał do środka. Ale chłopak chwycił go mocno za rękę, bez wahania zsunął się w dół i pociągnął generała za sobą.

Mardu krzyknął z przerażenia, a jego dolna szczęka tak gwałtownie uderzyła o górną, iż poczuł smak własnej krwi. Ta przepaść nie była przysłowiową przepaścią bez dna, lecz czymś w rodzaju rowu o głębokości zaledwie półtora metra, gdzie znajdował się kamienny gzyms właściwego kanału, ciągnący się w obu kierunkach i ginący gdzieś daleko we mgle. Ściana obok nich nie była gładka, lecz przebita w wielu miejscach, a otwory wskazywały na to, że niektóre wybito przemocą, zaś inne były starannie wykończone. Widać było przez nie jakieś puste pomieszczenia, większe i mniejsze, a w niektórych coś się poruszało.

Uderzenie czegoś w rodzaju niewidzialnego kowalskiego młota trafiło w dno kanału kilka kroków dalej, wyrwało kawał gzymsu i zamieniło go w chmurę pyłu pięciometrowej wysokości. Mardu odwrócił się, strzelił i ze zdumieniem zobaczył olbrzymią czarną ważkę rozpadającą się na kawałki. Pobiegł za Quizzackiem, który cały czas był nieco szybszy od niego, mimo wyraźnego utykania.

- Dokąd? - ryknął.

- Za mną! -wrzasnął w odpowiedzi chłopak. -I przestań wreszcie strzelać!

Generał wydłużył listę najrozmaitszych służbowych przewinień, za które Quizzack miał być ukarany, ale wołał zużyć energię na to, aby jak najszybciej dogonić chłopaka. Tym bardziej, że na niebie znów ukazał się latający potwór i otworzył ogień w ich kierunku - teraz był to rodzaj dziwnego, zielonego światła, które spływało jak woda po ścianach w razie chybionego strzału. Quizzack dokładnie w tej chwili zniknął w półokrągłym otworze, a Mardu wydawało się, że dostrzegł tam jakiś ruch. Dziwna pieczara była jednak pusta, kiedy wpadł za młodzieńcem do środka - jeśli nie brać pod uwagę ogromnych stert połamanych mebli, śmieci i innych rupieci, wznoszących się na podłodze.

- Co teraz? - spytał Mardu zdyszonym głosem.

Zamiast odpowiedzieć, chłopak dał susa wprost w górę śmieci, w której zniknął. Za chwilę zaczęły wylatywać z niej wszelkie możliwe przedmioty, a na zewnątrz znów zabrzmiał strzał przypominający uderzenie młota. Na suficie ukazały się zygzaki pęknięć, z których posypał się kurz.

- Quizzack! - ryknął Mardu.

Chłopak wynurzył się z góry śmieci z... czymś w rękę.

- Mam już - powiedział zdyszany. - To! Włóżcie to szybko!

Mardu zdążył chwycić w ostatniej chwili coś czarnego i wielkiego, co chłopak rzucił w jego stronę. Było to tak ciężkie, że zachwiało się i zrobił kilka kroków w tył. Niewiele brakowało, a przewróciłby się jak długi.

- Szybko! - popędzał go Quizzack. Mardu w pierwszej chwili zrozumiał, o co mu chodzi i kompletnie zaskoczony, obrócił to dziwne coś, co trzymał w rękę, a co chłopak rzucił mu przed chwilą. W pewnym sensie przypominało to jakąś część odzieży - coś w rodzaju płaszcza - ale było to jak dla Mardu o wiele za ciężkie. Generał patrzył bezradnie, jak chłopak pośpiesznie zakładał na siebie coś podobnego, co także wyciągnął z dziwacznej góry szmat. Zarzuciwszy sobie na ramiona czarne odzienie, podszedł do generała, a jego nowe ubranie brzęczało i szeleściło przy tym głośno. Szedł tak sztywno, jak gdyby miał szcudła na nogach.

- Nie gadać - warknął gburowato, a Mardu posłuchał niemal automatycznie, zwracając uwagę nie tyle na jego słowa co na ostry, rozkazujący ton. Instynktownie posłuchał wewnętrznego głosu żołnierza, którym był, a który w tym momencie kazał mu nie wdawać się w zbędne dyskusje.

Szybko i zupełnie nieostrożnie (o należnym respekcie nawet nie wspominając) młody pomógł wciągnąć Mardu nieforemny płaszcz nie-płaszcz i zaczął gorączkowo manipulować palcami przy jakichś zatrzaskach, sprzączkach i paskach. Płaszcz był tak ciężki, że generał stękał z wysiłku, tym bardziej, że po zapięciu wszystko stało się niemożliwie sztywne. Poza tym było kilka rozmiarów za duże.

- Co to... ma być? - Mardu jękał się, usiłując coś powiedzieć.

- Co ty...

Quizzack popchnął go tak brutalnie w kierunku wyjścia, że generał ledwo zdążył schylić głowę i musiałby rozpaczliwie machać rękami, aby utrzymać równowagę, gdyby płaszcz nie był na to za ciężki.

Momentalnie pojawiły się zielone błyskawice i niewiele brakowało, a nie chybiłyby celu. Rozległo się wściekłe bzyczenie i szum skrzydeł, przypominające hałas, jaki zwykle robił rój szerszeni. Tylko teraz - było to o wiele głośniejsze. Quizzack szturchnął swego przełożonego znowu, szarpnął i pociągnął gwałtownie w stronę przepaści, po czym zaczął znów coś majstrować przy jego płaszczu.

Mar-du był zupełnie oszołomiony i nie miał pojęcia, co będzie dalej, ale nagle poczuł, że elementy konstrukcji sztywnego stelaża wyprostowały się, unosząc jego ramiona w bok. Coś znów zazgrzytało, brzęknęło i wtedy chłopak zrobił coś niewiarygodnego: obrócił Mardu wokół jego osi i uderzył go płaską dłońią z taką siłą w plecy, że ten wykonał jeden rozpaczliwy krok czy dwa do przodu, potknął się i poleciał wprost w rozpościerającą się u jego stóp przepaść.

Tym razem nie było widać niczego kilka metrów niżej - ani też w zasięgu wzroku. Tylko bezdenne, niemal gęsta czerń, w którą spadał, koziotkując coraz szybciej i krzyżąc. Oba serca biły gwałtownie, myśli pogrążyły się w chaosie paniki, a rozpaczliwy krzyk Mardu odbijał się głośnym echem od niewidocznych ścian po obu stronach przepaści, w którą spadał coraz szybciej.

Kątem oka dostrzegł pasek błękitnego nieba gdzieś w górze, który momentalnie zniknął, po czym nagle koło niego pojawił się wierny Quizzack. Z jakiegoś powodu przypominał ptaka, a jego wargi poruszały się, jakby krzyczał do Mardu. Ale jego słowa ginęły w ogłuszającym, wzmocnionym przez echo wrzasku generała i coraz głośniejszym szumie, z jakim ten spadał w dół.

Nabierał coraz większej prędkości, odpowiednio do niej rosła też panika. W końcu nie był już

w stanie pomyśleć o czymkolwiek sensownym. Przez chwilę odczuwał jedynie coś jakby cień gniewu na chłopaka, ale było to bardziej zdziwienie i niezrozumienie, dlaczego ten zrobił coś takiego, po tym, co razem przeżyli.

Temperatura otoczenia rosła, wreszcie zrobiło się niemożliwie gorąco. Wąski pasek lazurowego nieba znów błysnął ponad nimi i momentalnie zniknął. Quizzack wrzasnął znowu coś, czego generał nie rozumiał - zapewne były to obelgi i przekleństwa.

W jakimś przebłysku skupienia dostrzegł, że chłopak był znów o wiele bliżej, uderzył w niego raz, drugi i trzeci po czym za czwartym razem wyciągnął ręce, aby coś uregulować przy jego plecach.

Mardu stęknął głośno - tak brutalne i nagłe było szarpnięcie, po czym jakaś dziwna siła rozciągnęła jego ramiona w bok i za chwilę do przodu. Coś metalicznie zazgrzytało. Nagle poczuł dziwne uderzenie gorąca w twarz i przestał spadać - dziwny płaszcz zamienił się w parę ogromnych skrzydeł, które chwyciły płynące z dołu powietrze.

Mardu zaczął unosić się - instynktownie spróbował ruszać skrzydłami, aby w jakiś sposób wpłynąć na kołyszące ruchy (co mu się w końcu udało, mimo że nie robił tego zbyt wprawnie). Wykręcił boleśnie szyję, chcąc dostrzec Quizzacka - chłopak unosił się odrobinę niżej w powietrzu. Poruszał się tak elegancko i pozornie bez trudu, że przypominał wielkiego czarnego ptaka - pewnie robił to specjalnie, aby jeszcze bardziej upokorzyć generała. Wargi Quizzacka poruszały się ciągle, lecz ani jedno wykrzykiwane przez niego słowo nie docierało do Mardu. Ten usiłował spojrzeć w górę, przechylił się na prawo, potem na lewo, wywinął najprawdziwsze salto, po czym znów zaczął unosić się w strumieniu gorącego powietrza, jakie stale płynęło z dołu. Wyczuwał już mniej więcej zasadę poruszania się na tych dziwnych skrzydłach, choć jeszcze do końca jej nie rozpracował.

Pojął też, że, niestety, ciągle spadał w dół.

W ciągu tych paru chwil, odkąd zaczął spadać, musiał pokonać dobrych kilkaset metrów. Sztuczne skrzydła wyhamowały upadek, ale cały czas nie była to faza lotu, lecz powolnego spadania, poza tym niebezpieczeństwo pościgu heliopterołów wcale nie zostało zażegnane.

Jakby wiedziony instynktem, zerknął w górę i ogarnęło go przerażenie. Zobaczył nad sobą trzy olbrzymie półmechaniczne ważki i wcale nie były one aż tak daleko, jakby sobie tego życzył.

-Jeszcze... chwilę... panie!... - słowa wykrzywane przez młodzieńca z trudem przebiły się przez szum i dotarły do niego w formie urywanych sylab.

- Dalej, na dół... nie ważyć... tam lecieć - Mardu zrekonstruował instynktownie resztę słów i nie był wcale pewien, czy spodobało mu się to, co usłyszał. Z każdym metrem, pokonywanym pod pewnym kątem z powodu gorącego podmuchu z dołu robiło się coraz bardziej gorąco. Doprawdy, nawet gdyby helioptery zaniechały pościgu tylko dlatego, że tropienie wypalonych zwłok wiszących na resztkach staroświeckich skrzydeł nie ma wiele sensu, to jaki będzie z tego pożytek dla nich samych?

Quizzack był teraz całkiem blisko Mardu, a czubki ich skrzydeł niemal się dotykały. Mimo to musiał wrzeszczeć z całych sił, aby jego słowa przebiły się przez ryk powietrza, ale teraz generał zdołał go zrozumieć.

- Dobrze wam idzie, panie! - krzyczał chłopak. -Jeszcze tylko chwilę i będzie po wszystkim! Kiedy trafimy na gorące powietrze, przestaniemy spadać i zaczniemy naprawdę lecieć!

Gorące powietrze? - Mardu poczuł niemal histeryczny strach. Co ten chłopak mówi, czy to powietrze, które ich otaczało, nie było gorące? Mardu już teraz miał wrażenie, że jest grillowany za życia!

Spróbował odpowiedzieć, nabrał w usta niemal rozżarzonego powietrza, ale zużył całą energię na to, by oddychać możliwie płytko.

Po raz pierwszy zerknął w dół. Szyb pod nimi nadal wydawał się nie mieć dna, ale nie był tak pusty, jak wyglądało to z góry. Gdzieś głęboko pod nimi - bardzo głęboko - coś się poruszało. Generał nie był jednak w stanie rozpoznać zasady tego ruchu, wydało mu się jednak, że dostrzega światło, jakiś niesamowity, ciemnoczerwony żar, przypominający potworny ogień, który widzieli w sztolniach.

Nagle trafił go zielony błysk, który przebił jego płaszcz tuż obok żeber, choć Mardu ze zdumieniem stwierdził, że nie doznał żadnej krzywdy. Strumień zielonego światła przepadł gdzieś w ciemnościach. Unoszący się obok chłopak momentalnie przechylił się na prawe skrzydło i zaczął błyskawicznie spadać nurkującym lotem prosto w dół. Mardu spróbował zrobić to samo przechylając się w przeciwnym kierunku i ku jego zaskoczeniu udało mu się to, choć może nie tak elegancko jak Quizzackowi. Następny zielony błysk, wystrzelony w jego stronę przez helioptera przemknął już obok niego w znacznej odległości.

Mardu obrócił głowę mozolnie i z trudem - mimo przecucia graniczącego z pewnością, że to, co zobaczy na górze nie spodoba mu się w żadnym wypadku. Dostrzegł, że jeden z heliopterów zaniechał pościgu i zaczął się szybko oddalać, ale dwa pozostałe ciągle deptały mu po piętach. Ale ich lot nie miał już w sobie tej gracji, której generał zwykle mimo wszystko nie mógł odmówić tym potworom. Nie zaprzestały pościgu - wręcz przeciwnie, ich jeźdźcy strzelali coraz częściej w stronę zbiegów. Jednak były to strzały bardzo chaotyczne i niecelne: zielone strumienie światła prześlizgiwały się koło nich w znacznej odległości, a mimo to ich intensywność była tak duża, że prędzej czy później mogli spodziewać się, że zostaną trafieni.

Wszystko wskazywało na to, że będzie to jednak prędzej niż później.

Gdyby Mardu od początku tego nie robił, to właśnie w tym momencie zaczęłyby wierzyć w zły omen i siłę negatywnego myślenia.

Zaledwie taka myśl przemknęła mu przez głowę, usłyszał huk wystrzału i dostrzegł zielony błysk zmierzający prosto w kark Quizzacka. Krzyk chłopaka był tak przeraźliwy, że dotarł do jego uszu mimo ryku i szumu powietrza, wywołanego ciągłym spadkiem w dół. Młodzieniec zaczął się zataczać, wreszcie przekoziołkował i poleciał w otchłań jak kamień.

Mardu miał więcej szczęścia - zielony błysk znów minął go o milimetr. Generałowi z wysiłkiem udało się zmienić tor spadania i poleciał mniej więcej w kierunku, w którym zniknął mu z oczu Quizzack, a spostrzegłszy chłopaka, stwierdził z ulgą, że ten nie tylko przeżył, ale udało mu się nawet wyhamować upadek. Szybował teraz pod niewielkim kątem w dół i nie spadał już bezwładnie, jak w pierwszej chwili po trafieniu.

- Wszystko w porządku? - wrzasnął Mardu, kiedy znalazł się w zasięgu jego głosu.

- Nie mam czucia w nogach! - odparł Quizzack zduszonym głosem. - Ale już prawie jesteśmy na miejscu!

Mówił to już kilka razy, ale Mardu nie widział teraz sensu, aby mu o tym przypominać. Ciągle jeszcze spadali, ale wyraźnie wolniej, także upał nie wzmagał się tak szybko jak poprzednio, co w mniemaniu generała było wręcz błogosławieństwem, bo już teraz trudno było wytrzymać. Jeszcze parę stopni więcej, a nie potrzebowałyby się w ogóle martwić o depczący im po piętach pościg.

A może jednak niekoniecznie. Dwa zielone błyski, które o mały włos go nie trafiły, wydały mu się wręcz karą za tę zuchwałą myśl.

Zielone światło zniknęło w ciemnościach gdzieś pod nimi, a Quizzack zaklął w niezrozumiałym języku. Po chwili zdołał szturchnąć Mardu, kiedy tylko ten znalazł się w jego pobliżu, co zepchnęło generała na jedną stronę - i zakołysał się jak spadający liść. Mimo rzekomo sparaliżowanych w wyniku postrzału nóg Quizzack poruszał się o wiele sprawniej niż generał.

Koło Mardu przemknął kolejny zielony błysk i odbił się od skalnej ściany - dotychczas zupełnie niewidocznej. Spojrzał wściekłym wzrokiem do góry, przeklął swój płaszcz za to, że uniemożliwiał mu wyciągnięcie broni zza paska - zdmuchnąłby bez wahania tego typu na grzbiecie ważki. Pomyślał ze złością, że przynajmniej spróbuje dokonać tego wzrokiem - o dziwo, wydało mu się, że nawet zadziało, bo jeden z heliopterów akurat zaniechał pościgu i wzbił się w górę niemal jak strzała.

Trzeci, ostatni heliopter okazał się bardziej uparty, co nie wyszło mu na dobre. Mimo huraganu, który wydobywał się z dna szybu, jeździec zmusił go, aby ten zleciał jeszcze niżej. Oparł się lewym ramieniem o monstrualną czaszkę ważki i przechylił się w siodle, aby móc lepiej wycelować. Wtedy Mardu dostrzegł coś, czego jeździec jeszcze nie widział: na skrzydłach ważki pojawiły się nagle drobne, żółte i czerwone iskry, niektóre zaraz gasły, ale ich liczba stale

rosła. W ciągu kilku sekund skrzydła rozżarzyły się na całej powierzchni, a kolejny oddany w tym momencie strzał jeźdźca okazał się nietrafiony dlatego, że olbrzymi insekt zaczął się zataczać. Jedno z jego skrzydeł rozpadło się w chmurze iskier, a drugie po prostu odłamało się i poleciało w dół. Dwa pozostałe nie wystarczyły, aby utrzymać wagę potwora. Heliopter zatoczył się ponownie i uderzył o tę samą ścianę, w którą dopiero co trafiła zielona błyskawica.

Ważka przewróciła się na grzbiet, z siodła wyleciał jeździec i zniknął gdzieś w otchłani poniżej, a za chwilę w dół poleciał też jego wierzchowiec.

Mardu nie miał czasu, aby cieszyć się z tego małego zwycięstwa.

Potworne gorąco przekroczyło już wszelkie możliwe granice wytrzymałości, a temperatura wciąż rosła. Generał czuł, jak na jego twarzy tworzą się i natychmiast pękają pęcherze, a skóra wszędzie tam, gdzie nie chronił jej płaszcz, wprost paliła żywym ogniem. Jedyna możliwość oddychania polegała na wciąganiu powietrza przez zaciśnięte zęby. Mardu pojął, że zaraz spłonie żywcem. Pomyślał, że los był dla ostatniego helioptera i jeźdźca chyba jednak nieco bardziej łaskawy.

Jakiś cień pojawił się obok niego, usłyszał krzyk Quizzacka, ale nie był w stanie zrozumieć ani jednego słowa. Chłopak zbliżył się znów i zaczął coś dłużyć przy jego płaszczu. W wyniku tego ramiona i nogi Mardu były jeszcze bardziej rozsunięte na boki i choć powierzchnia skrzydeł nie stała się poprzez to o wiele większa, to wydało się to mieć zasadnicze znaczenie. Nie spadał już w dół, lecz zaczął szybować niemal poziomo w potwornie gorącym powietrzu.

Po chwili wydało mu się, że nawet zaczął unosić się do góry, nie był jednak pewien, czy sobie tego po prostu nie wmawiał. A potem przed oczami generała nagle zapanowała ciemność - zapewne stracił na kilka minut przytomność. Za chwilę ocknął się i poczuł słony smak krwi w ustach - miał wrażenie, że całe jego ciało składa się z bólu.

Ale mógł oddychać. Nawet żył, co stwierdził ze zdumieniem, bo z jednym i drugim podświadomie już jakiś czas temu przestał się liczyć. Zaczął też coraz wyraźniej rozpoznawać otoczenie - na ile to było w ogóle możliwe, bo otaczała ich głównie ciemność. Gdzieś obok niego szybował adiutant, ale wyróżniał się tylko jako nieco jaśniejsza plama na czarnym tle. Niebo skurczyło się do rozmiarów wąskiego paska w kolorze spranego błękitu, a czerwony żar pod nimi miał odrobinę jaśniejszy odcień. Mardu ciągle wydawało się, że dostrzega tam jakiś ruch, ale było to tak niejasne i ulotne wrażenie, że nawet nie próbował wyteżać słabego wzroku. Szybowali obaj kołysząc się na falach termiki i choć generał nie dostrzegał niczego, co mogłoby być punktem odniesienia, to jednak czuł, że ich prędkość była niewiarygodnie wysoka.

Quizzack pojawił się znów obok niego i Mardu przestraszył się, kiedy zobaczył jego twarz: chłopak był potwornie poparzony. Jego twarz była pokryta pęcherzami i ciekącymi ranami, a w niektórych miejscach można było dostrzec żywe mięśnie pod spaloną skórą. Tak samo wyglądały jego ręce, a jasne blond włosy całkowicie znikły.

Mardu pytał sam siebie, czy i on wyglądał równie przerażająco - hipotetyczna odpowiedź nieco go wystraszyła i aby odwrócić własną uwagę spojrzął znowu w dół i spróbował przeniknąć wzrokiem ciemność.

Było tam coś, co określiliby jako regularne przechodzenie koloru czarnego w czerwony i na odwrót, jak gdyby na dole kręciły się olbrzymie wentylatory, chłodzące oddech jakichś potężnych maszyn.

Pomyślał, że może patrzy teraz wprost w bijące serce ziemi, ale natychmiast odegnał tę myśl jako niedorzeczną, jeśli nie wręcz niewiarygodnie głupią. Zmusił się, aby znów popatrzeć na twarz Quizzacka - widok ten kolejny raz przeraził go, ale chłopak wydawał się to rozumieć.

- Co to jest? - spytał wprost, a jego poparzone wargi natychmiast zaczęły pękać i krwawić, dokładnie tak jak u Quizzacka, kiedy ten zaczął mówić.

- Kanał - powiedział chłopak - ciągnie się przez połowę miasta, przynajmniej tak mówią.

- Tak mówią?

Quizzack dokończył, mimo wyraźnej i aż nadto widocznej chęci wzruszenia ramionami: - Nigdy nie doleciałem do końca! - krzyknął. - Nikt tego nie zrobił, w każdym razie nikt, kto stamtąd wrócił po to, aby nam o tym opowiedzieć. Ale ten kanał jest bardzo długi. Zrobimy nim połowę drogi do Niebiańskiego Dworca, może nawet dalej.



- A potem? - spytał Mardu.

- Potem musimy iść, ale znam drogę.

Mardu nie to miał na myśli. Zastanawiał się, jak wydostaną się na powierzchnię - ostrożnie szacując, pokonali dobre pół mili, zanim dotarli do strefy gorącego powietrza, gdzie termika była na tyle wystarczająca, aby unosić ich w powietrzu dzięki ich dziwnym płaszczom. Czy ten bezczelny nicpoń myśli, że on, generał, będzie teraz wspinał się do góry pół mili po ścianie? Sam sobie zabronił zadać to pytanie głośno. Wiedział, że i tak wszystkiego dowie się w swoim czasie, zamiast tego spytał więc swego towarzysza: - A ile nam to zajmie?

- Do jutra rana! - krzyknął Quizzack - najwyżej do południa!

Mardu spróbował wmówić sobie, że poczuł, jak w tym momencie zbladł. Był bardziej niż zaskoczony, że w ogóle udało im się dotrzeć aż tutaj, a Quizzack spodziewał się jeszcze, że on będzie w stanie wytrzymać ten piekielny galop przez całą noc? Umilkł sądząc, że to jedyna sensowna odpowiedź w tym momencie. Dalej unosili się, szybując w gorącym powietrzu. Pod nimi poruszało się coś ogromnego, coś, co nie miało formy i robiło wrażenie czegoś niezwykle żarłocznego.

Generał nie mógł już dłużej znieść tego widoku i spojrzał w górę, sądząc, że znów zobaczy pasek błękitnego nieba - i znów się przeraził. Coś czarnego, w kształcie trójkąta, szybowało dokładnie nad nimi i Mardu niemal poczuł wlepione w siebie spojrzenie nieruchomych oczu i czyjaś fizyczną obecność.

- Co to jest? - ryknął.

Quizzack spojrzał do góry i potrząsnął głową.

- Myśliwiec morderca - odrzyknął - musicie mieć wśród nich naprawdę wielu wrogów, generale!

- Wielu wrogów - to honor! - odrzyknął Mardu niemal automatycznie i dodał natychmiast: - A co one robią?

- Ścigają! - odrzyknął chłopak.

- I przypuszczam, że zabijają? - Mardu zastanowił się, czy warto było ryzykować i wysunąć rękę ze stelaża płaszcza, aby trzepnąć chłopaka w głowę.

- Ale nie martwcie się, panie - zawołał znów Quizzack - one mają dobre oczy, ale tu w kanale nie mogą nas zobaczyć. Ich czujni ki tu nie pracują, za dużo zakłóceń.

- Z powodu temperatury? - wyraził swoje przypuszczenie Mardu.

Quizzack potrząsnął głową.

- Promieniowanie. Ono za bardzo obciąża ich czujniki.

Generał wytrzeszczył oczy.

- Promieniowanie?

- Myśliwiec morderca nie ma tarczy - odparł Quizzack. - Dlatego są szybsze, ale za to bardzo podatne na promieniowanie. Nie martwcie się, generale. One tu na dole są niemal ślepe.

A co im szkodzi strzelać po prostu na ślepo, aż wreszcie trafią zgodnie ze starymi, dobrymi prawami statystyki? - pomyślał Mardu.

Quizzack jakby odgadł jego myśli, uśmiechnął się poparzonymi wargami i potrząsając głową rzekł: - Nie odważą się, panie. Mogą w ten sposób uszkodzić maszynę.

- Aha - zawołał Mardu w odpowiedzi. Jaką maszynę? Ale następne pytanie zadał już głośno, a to dlatego, że paliło mu duszę - i to nie tylko w przenośni: - Ale to promieniowanie...

- ... jest bardzo silne - dokończył Quizzack. - Naprawdę.

- Ale szkodzi tylko czujnikom myśliwca? To znaczy, że nam już nie?

- Nie natychmiast. Tylko wtedy, jeśli się jest na nie zbyt długo narażonym.

- Aha - wymamrotał Mardu. - A ile to jest za długo? Quizzack zastanawiał się kilka sekund nad tym pytaniem i odparł: - Może dziesięć minut. Albo trochę mniej.

Generał stęknął.

- Ale przecież tak długo już tu z pewnością jesteście!

- Zgadza się - odparł chłopak niemal pogodnie i dodał: - Ale nie martwcie się, panie. To promieniowanie poparzy nas od wewnątrz, ale mamy dużo czasu, zanim zrobi się nieprzyjemnie. To znaczy, aż zaczną się bóle, skurcze i krew i wszystko to, no...

- Och... Mardu znów stęknął boleśnie. Uplłynęła dłuższa chwila, zanim spytał znowu: - To ile czasu nam pozostało?

Tym razem chłopak zastanawiał się znacznie dłużej, zanim odpowiedział: - Dwa dni. Może nawet trzy -Och... (stęknęcie).

Gea. Dziwny stwór był olbrzymi - prawie tak duży jak heliopter, ale jego skrzydła miały przynajmniej dwa razy większą rozpiętość. Wydawał się składać niemal wyłącznie z zębów, szponów i właśnie z owych olbrzymich skrzydeł, sięgających prawie od jednego do drugiego końca ulicy. Bijąc nimi głośno o ziemię, wzniewał wichur, który uderzał ich w twarze, szarpał włosami i odzież. Gea musiała dobrze naprężyć mięśnie, aby się nie zachwiać, a przeraźliwy wrzask bestii niemal ją ogłuszył. Poczowała gwałtowne bicie serca, a fala przerażenia sparaliżowała ją tak, że nie była w stanie myśleć.

Krzyknęła przestraszona, po czym cofnęła się, zasłaniając usta ręką i starając się za wszelką cenę nie wpaść w panikę. Potwór, z ogromnym, szeroko otwartym dziobem i rozstawionymi pazurami, którymi mógł bez trudu rozerwać konia, zwrócił się w jej stronę. Wiedziała, że gdyby to była pułapka, w którą usiłował zwabić ją jej domniemany zbawca, to tym razem poniosłaby śmierć. Dostrzegła jednak kpiący wyraz jego oczu, zacisnęła dłonie i w ciągu kilku następnych sekund walczyła z obrzydliwym uczuciem: sama wydała się sobie w tym momencie niewyobrażalnie głupia. Tak, wpadła w pułapkę, ale była zbyt dumna na to, aby myśleć o swoim życiu - w tej chwili z tego powodu także odczuwała wściekłość.

- Wszystko jasne - powiedziała, dodając nieco złośliwie: - To było bardzo, bardzo zabawne.

- Chciałem się tylko upewnić - rzekł Craiden, patrząc na nią uważnie.

- Czy nie mam zbyt lęklivego serca?

- Czy jesteś rzeczywiście tak dzielna, za jaką chcesz uchodzić.

- Nie, nie jestem - warknęła Gea. - Przeraziłeś mnie śmiertelnie, jeśli to jest to, co chcesz usłyszeć. Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny.

- Połowa wszystkich mężczyzn, których znam, dosłownie uciekła, kiedy po raz pierwszy dane im było zobaczyć Crushera - odparł spokojnie Craiden. - A druga połowa w ataku nagłego strachu wrzeszczała.

- No, ja też wrzeszczałam - mruknęła Gea.

- Ale tylko trochę - Craiden roześmiał się, podszedł do skrzydlatego potwora, który w międzyczasie wylądował i złożył olbrzymie skrzydła - a ten ruch sprawiał wrażenie nieco niezdarne.

Oczywiście stwór nie był wcale tak duży, jak w pierwszej chwili podpowiedział jej strach. Ani jego rozłożone skrzydła nie zajmowały całej ulicy, ani też nie był dłuższy niż heliopter. Ale jednak wyglądał na swój sposób przerażająco dziko i rzeczywiście budził strach.

Gea nadal miała trudności z opanowaniem tego uczucia, mimo, że rozum podpowiadał jej, że nie musi już obawiać się skrzydlatego wierzchowca.

Kreatura (Gea nie potrafiła w żaden sposób nawet w myślach użyć słowa ptak, choć stwór miał przecież tylko dwie nogi, skrzydła i olbrzymi dziób) mierzyła około trzech metrów, jeśli nie więcej, nie licząc jej długiego, zakończonego chwastem ogona, który teraz wił się na zardzewiałej powierzchni ulicy jak olbrzymi, pozbawiony łusek wąż. Równie osobliwy był kolor tej istoty: coś między czernią i brązem, czego nie można było uchwycić wzrokiem - barwa przechodziła stopniowo jedna w drugą. Silnie umięśnione nogi zakończone były potwornymi pazurami, których widok powodował nagły atak już nie przerażenia, ale po prostu paniki. Tułów miał umięśniony niczym ciało wyrosniętego Quorrla, a przypominająca żmiję szyja grubości uda mężczyzny, zakończona była wielką czaszką - niemal jak z upiornego snu. Małe, złośliwe oczy błyskały znad zakrzywionego dzioba długości ludzkiego przedramienia. Dziób był otwarty, można więc było dostrzec dosłownie setki zębów rosnących wzdłuż i szerz, każdy dłuższy niż ludzki paznokieć i z pewnością bardziej ostry. Nad niepokojąco wysokim, wypukłym czołem

widać było kościsty wyrostek, niemal tak samo długi jak dziób.

- Co... to jest? - wymamrotała ciągle jeszcze przerażona Gea.

- To jest daktyla - odparł Craiden, głaszcząc monstrualnego stwora po szyi. Choć był wysoki, musiał wspiąć się w tym celu na palce.

- Niewiele ich pozostało, a jeszcze mniej jest tych, którzy odważają się na nich jeździć - dodał.

Daktyla. To słowo poruszyło ją w dziwny sposób. Miała uczucie, że jego znaczenie jest jej znane, ale im bardziej uporczywie o tym rozmyślała, tym bardziej go nie rozumiała.

- Ale... co to jest? - spytała znowu, mając na myśli gatunek.

Craiden pogłaskał szyję olbrzymiego monstrum w jakiś określony sposób, bo Crusher wydał nagle dziwny, przypominający ptaka odgłos, zniżył najpierw głowę, potem cały tułów i wysunął na bok jedno z olbrzymich skrzydeł, które nie tyle przypominało skrzydło ptaka, co groteskowego, olbrzymiego nietoperza. Jediną różnicę oprócz wielkości stanowiło to, że ich kości, będące naturalnym stelażem napinającym skórę, zakończone były zakrzywionymi, ostrymi pazurami o długości mniej więcej sporego sztyletu. Gea z niedowierzaniem otworzyła szeroko oczy, dostrzegłszy skórzane siodło, przymocowane na grzbiecie daktyli.

- Przez długi czas uchodziły za wymarłe - odezwał się Craiden, uśmiechając się do niej krzepiąco, po czym zwinnymi ruchami wspiął się po wysuniętym skrzydle na grzbiet Crushera. - Niektórzy mówią, że daktyle były pierwszymi stworzeniami na tej planecie, które w ogóle potrafiły latać. Nie wiem, czy to prawda, ale z pewnością są najsilniejsze! - ostatnie słowa wykrzyczał, siedząc już w siodle.

- Hm... - zamruczała do siebie Gea.

Craiden skinął na nią, a ona odważyła się zrobić krok w kierunku Crushera, po czym zatrzymała się znowu.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - spytała zachrypniętym głosem.

- Spytałem cię, czy boisz się latać. Powiedziałaś, że nie.

- Ale przecież nie na tym - jęknęła Gea.

- Nie obawiaj się - Craiden powtórzył zachęcający gest, głaszcząc drugą ręką szyję tego najbrzydszego ze wszystkich ptaków - zupełnie tak, jak jeźdźcy głaszczą konia. - Crusher jeszcze nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. I nie zrobi, chyba że mu rozkażę.

Gea przełknęła ślinę, z wahaniem zrobiła drugi krok i zebrała całą swą odwagę, aby pokonać pozostały dystans między nią a daktyla oraz wejść na jej skrzydło. Niemal słyszała głucho uderzenia swojego serca. Wyciągnęła w bok ramiona, aby nie stracić równowagi, kiedy stanęła na skrzydle.

- Odwagi! - uśmiech Craidena był teraz wręcz bezczelny, co zdenerwowało ją jeszcze bardziej. Radość z cudzego nieszczęścia była z pewnością czymś miłym, ale niekoniecznie jej kosztem!

- To naprawdę nie jest niebezpieczne, uwierz mi. Może nawet sprawi ci przyjemność.

W to akurat Gea wątpiła, podobnie jak w to, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki za Craidenem pojawi się drugie siodło, jeśli będzie się odpowiednio długo w niego wpatrywać. Uparcie posuwała się dalej, balansując na skrzydle, wreszcie z ulgą wsunęła się na siodło za Craidenem. Przerażona wciągnęła ze świstem powietrze przez ciągle jeszcze zaciśnięte zęby, kiedy Crusher wyprostował drugie skrzydło i jednocześnie podniósł się do lotu.

- Trzymaj się! - zawołał Craiden, co wydało jej się akurat zupełnie zbędne.

Ach tak? A niby za co? - Gea w ostatniej chwili ugryzła się w język, aby nie wypowiedzieć tej uwagi głośno. Wciągnęła do płuc powietrze, po czym chwyciła go mocno za biodra, tym bardziej, że daktyla ruszyła gwałtownie do przodu - wykonując komiczne ruchy, przypominające dosłownie kaczy chód, po czym, biegnąc coraz szybciej, rozstawiła jeszcze bardziej skrzydła. Wreszcie wykonała gwałtowny podskok i wylądowała znów na ziemi, tak gwałtownie, że zęby Gei uderzyły o siebie. To znaczy te, których nie wybito.

Oczywiście najbardziej bolały te, których już nie miała.

Crusher wykonał drugi podskok, uderzył ociężałe skrzydłami i powoli zaczął nabierać wysokości. Drugie, pozornie jeszcze bardziej nieporadne uderzenie skrzydłami niemal wyrzuciło żołądek Gei na drugą stronę, ale w tym momencie daktyla wzniosła się w górę jak strzała - znowu wydając przy tym z siebie głośny, nieopanowany wrzask.

- Mówiłem ci, że to jest frajda! - zawołał Craiden. Ale Gea po wstrzymała się od odpowiedzi - niejako we własnym interesie - za to uchwyciła się go ze wszystkich sił i zamknęła oczy tak mocno, że pod jej powiekami pojawiły się kolorowe punkty. Tym bardziej za protestował jej żołądek, a wreszcie zgłosił się także rozum, pytając, czy jej ciało będzie można jeszcze zrekonstruować, jeśli uderzy z wysokości dwunastu mil o coś, co składało się wyłącznie ze stalowej ceramiki.

Wydawało jej się, że minęły lata świetlne, aż jej wnętrzności zaprzestały protestów - i wówczas odważyła się otworzyć oczy, aczkolwiek bardzo ostrożnie.

Oblężenie było dokładnie pod ich stopami - w odległości może nie dwunastu, ale z pewnością dwóch mil, co oznaczało, że nawet jego najwyższe budowle i czubki wież znajdowały się poniżej. Tysiące budowli rozpościerały się pod nimi jak miasto zbudowane z klocków, wszechświat miniaturowych budowli i ruin, ulic, placów i mostów, także kanałów, na których poruszały się maleńkie stateczki i barki, długie kolumny wozów ciągnięte przez pracowite woły - a wszystko wielkości pudełka od zapalek. I mimo wysokości Gea rozpoznała nawet ludzi, Quorrlów i inne dziwaczne stworzenia, a nawet chmurę kurzu przeciskającą się przez wąskie ulice.

- Popatrz w lewo! - zawołał Craiden, przekrzykując głośny szum, jaki powstawał w wyniku ruchu olbrzymich skrzydeł Crashera, dzięki którym pozornie bez trudu szybowali w powietrzu. Gea posłusznie spojrzała we wskazanym kierunku i pojęła natychmiast, co Craiden miał na myśli. Chmura kurzu, zbliżająca się do miasta, była jeszcze większa, a z niej wyłoniły się równo przesuwające się do przodu kolumny - o niemal militarnej precyzji.

- To twoja armia? - spytała.

- Nie, nie moja - odparł. - Nie wiem, czyje to oddziały ani kto nimi dowodzi. Ale miałem rację. Wchodzą do miasta. Miałaś szczęście, dziewczyno, zaatakują jeszcze dziś w nocy, a najpóźniej jutro rano!

- Szczęście?

- Znalazłabyś się w samym środku bitwy. No i to byłaby przygoda - ale pewnie bardzo krótka.

Zamiast odpowiedzi Gea jeszcze raz spojrzała na maszerujące wojsko. Była zbyt wysoko, aby rozpoznać szczegóły - nie była w stanie nawet określić, czy byli to ludzie czy Quorrlowie - ale musiało ich być tysiące. Nie była to banda rozbójników, wbrew temu, co twierdził Craiden, ale prawdziwa, olbrzymia armia.

Obróciła się w siodle i spojrzała w górę poprzecinanej szczelinami flanki R'Achernona - byli mniej więcej w połowie wysokości wieży, która z tego miejsca wyglądała jak słup czarnej lawy. Sprawiała wrażenie podpory, dzięki której niebo dotychczas nie runęło na ziemię. Byli też ciągle jeszcze na tyle blisko Ściany, że odczuwali wyraźnie obecność bariery z nie całkiem niewidzialnego szkła. Setki mikroskopijnych czarnych punktów otaczały wieżę i nagle Gea miała wrażenie, że wpatrują się w nią tysiące niewidzialnych oczu, które nieufnie śledziły każdy jej ruch.

- Wyglądasz tak, jak gdybyś wiedziała, co jest za tym...

Gea drgnęła przestraszona, bo Craiden także obrócił się w siodle i patrzył na nią uważnie. Ich twarze były teraz zupełnie blisko siebie.

- Za czym? - spytała.

- Za tą przeklętą ścianą - technomagią, za którą oni się chowają, nasi tak zwani opiekunowie!

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - stwierdziła zdziwiona i dodała wyjaśniając: - Zastanawiałam się tylko, kim oni są.

- Kto? - Żołnierze - odparła Gea. - To nie jest zwykła banda ani też nie wygląda to na

niewielki spór między wrogimi klanami. To koszmarna wojna! Czemu oni nic przeciwko temu nie zrobią?

- Kto? - spytał ponownie Craiden. Nie wiedziała, czy był rzeczywiście zaskoczony czy też znakomicie udawał.

- Władcy wieży.

Roześmiał się w odpowiedzi, a jej wydało się, że słyszy cień pogardy w jego śmiechu.

- Oni nigdy niczego nie robią, dziewczyno. Tu stale szaleje kilka wojen naraz. Ale to nie obchodzi panów z Czarnej Wieży, o ile tylko posłusznie dla nich pracujemy i regularnie uiszczamy podatki.

- Odwrócił się znów do przodu. - I dobrze, że tak jest. Bo gdyby nie było wojen, byłbym bezrobotny, my nigdy byśmy się nie spotkali...

A ty może byłabyś teraz martwa.

Tak w jego pojęciu miał wyglądać logiczny łańcuch przyczyno-wo-skutkowy. Gea zrezygnowała ze zwrócenia mu uwagi na pewien oczywisty błąd w jego rozumowaniu i zamiast tego rzekła czym prędzej: - Brzmi to tak, jakbyś nie żywił w stosunku do wieży i jej mieszkańców przyjaznych uczuć.

Craiden znów odwrócił się i popatrzył na nią przez chwilę, przy czym na jego twarzy pojawił się wyraz sprzeciwu.

- A nie powinienem? - spytał.

- Mój ojciec mówi, że ta wieża jest jedynym, dzięki czemu ten świat jeszcze w ogóle istnieje - odpowiedziała. - Jej mieszkańcy dają nam jedzenie i wodę. Chronią nas przed wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie grożą nam ze strony natury.

- Twój ojciec musi być bardzo mądrym człowiekiem - rzekł Craiden. Crusher nagle zakołysał się, bo uderzył w niego nagły podmuch wiatru. Machnął kilkakrotnie mocniej skrzydłami, aby utrzymać kurs i wysokość. Craiden milczał, póki jego lot znowu nie stał się spokojny, po czym dodał: - W każdym razie na tyle mądry, aby bezmyślnie powtarzać to, co oni mu powiedzieli.

- Nikt mu niczego nie „powiedział”! - oburzyła się Gea. - On jest bardzo mądrym człowiekiem. I bardzo bogatym człowiekiem.

Craiden westchnął tak głośno, że doskonale to usłyszała mimo szumu wiatru i ciężkiego łopotania skrzydeł Crashera, po czym wygłosił zdanie, mające być zapewne komentarzem jej ostatniej wypowiedzi: - Dlaczego mnie to nie zaskakuje?

Gea chciała coś odpowiedzieć, ale Craiden potrząsnął głową, ucinając jej wypowiedź i rzekł głośniejszym, nieco zmienionym tonem: - Dostyc już o tym. Kiedyś dorośniesz, dziewczyno i może wtedy sama zrozumiesz, co mam na myśli. Na razie ciesz się lotem.

To powiedziawszy, odwrócił się ponownie, a ona, niewiele myśląc, posłuchała. Wprawdzie latanie nie było dla niej niczym nowym, ale teraz... było zdecydowanie czymś nadzwyczajnym. Trudno było jej ująć to uczucie w odpowiednie słowa. Crusher szybował niemal bezszelestnie i tylko od czasu do czasu łopotał olbrzymimi skrzydłami. Wykorzystywał głównie termikę gorącego powietrza, które unosilo się do góry z ciasnych zaułków miasta i poruszał skrzydłami oraz długim ogonem jedynie, kiedy musiał nieznacznie skorygować kurs. Wiatr, jaki powstawał w czasie lotu, uderzał w ich twarze i szarpał odzież, mimo to był jednak przyjemnie chłodny i właściwie oprócz monotonnego szumu było zupełnie cicho. I może właśnie to było najbardziej fascynujące w tym wspólnym locie. Gea miała uczucie bezgłośnego i beztroskiego szybowania nieco wbrew prawom natury, niemal jak we śnie. Brudne, chylące się ku upadkowi i pełne przemocy miasto było gdzieś daleko w dole i z tej odległości nie wydawało się już ani tak przerażające ani też brzydkie.

Do sumy wrażeń dołączał też sam Crusher i mimowolna elegancja, z jaką to pozornie ociężałe zwierzę szybowało po niebie oraz pierwotna siła, jaką czuło się w każdym, nawet najmniejszym jego ruchu. Gea rozumiała teraz, co miał na myśli Craiden, kiedy z takim zachwytem opowiadał o daktyli. Być może nie były one pierwszymi stworzeniami, które zawładnęły niebem, ale z pewnością opanowały sztukę latania w stopniu najbliższym perfekcji. Stały się częścią nieba. Latały tak wysoko, że niewiele brakowało, aby ich sylwetki wtapiały się

w błękitny nieboskłon ponad miastem.

Gea od czasu do czasu obracała się w siodle i spoglądała na R'Achernona. Nie czuła, by dystans do olbrzymiej wieży uległ dużej zmianie, ale wiedziała, że tak będzie długo, bez względu na to, jak daleko i wysoko będą się znajdować. Nie było ani jednego punktu w mieście, z którego nie byłoby widać Czarnej Wieży. A jednocześnie miała wrażenie, że coraz szybciej się od niej oddala - w kierunku, o którym dotychczas nie wiedziała, że w ogóle istnieje.

- Skąd ty właściwie jesteś? - spytała Craidena, kiedy w całkowi tym milczeniu upłynęło im dobre pół godziny, jeśli nie więcej. Ale w końcu tu, na górze czas nie wydawał się mieć jakiegokolwiek znaczenia.

Craiden odwrócił głowę i spojrzał na nią nieco nieufnie, choć mimo to z sympatią. Nie odpowiedział głośno na jej pytanie, ale wykonał ręką gest ogarniający niemal połowę widocznego w dole miasta.

- Nie chcesz mi powiedzieć - wyraziła ostrożne przypuszczenie.

- A co by ci to dało, dziewczyno? - odparł. - Jestem żołnierzem.

My, żołnierze, nigdy nie siedzimy w jednym miejscu, tylko przenosimy się z miejsca na miejsce.

-Jako bitewni wędrowcy? - dopytywała się Gea na poły żartobliwie i wyjaśniła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Craidena: - Z jednej bitwy na drugą?

Roześmiał się.

-Tak, tak można to nazwać. Masz poczucie humoru. Ale będzie ci bardziej potrzebne, jak twój ojciec dowie się, gdzie byłeś.

- Wcale nie mam zamiaru mu tego mówić - odparła spokojnie Gea.

Craiden westchnął, po czym spojrzał na nią z dezaprobatą. Mimo to w jego oczach cały czas był uśmiech.

-Jesteś rzeczywiście wyjątkową dziewczyną.

- Gea - poprawiła go znów.

- Zdradzisz mi, ile masz lat?

- Pewnie - odparła Gea.

Craiden odwrócił głowę w taki sposób, że jego rozwiane przez wiatr włosy zaczęły ją łaskotać w twarz.

- Kiedyś ci powiem - rzekła.

Z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że to zdanie go nie zirytowało - przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu, a w jego wzroku był jakiś cień łagodnej rezygnacji. A także wiele ciepła, co ją zaskoczyło i nagle poczuła, że jego włosy są miękkie i przyjemnie pachną.

- Nie będzie żadnego „kiedyś”, dziewczyno - powiedział. - Ja pójdę swoją drogą, a ty swoją. Na mnie czeka wojna, a ty, jak pożyjesz odpowiednio długo, to masz przed sobą trudne zadanie, na którym będziesz musiała się skupić.

- A co to za zadanie?

- Być dorosłą - odparł.

- He! - zaprotestowała. -Ja jestem...

-... już dawno dorosłą i prawdziwą kobietą, wiem - przerwał jej Craiden. -I poza tym jesteś niezwyciężona, nieśmiertelna i cały świat tylko na to czeka, aż się zjawisz i nad nim zapanujesz... tak to jakoś szło, prawda?

Gea zrobiła obrażoną minkę, a Craiden śmiał się jeszcze głośniejszym głosem, po czym po długiej chwili odwrócił się do przodu i pociągnął Crushera za cugle. Potężna daktyla zareagowała wydając głośny okrzyk i gwałtownie ruszając głową. Gea miała wrażenie, że jest to coś w rodzaju przytaknięcia. Ogromny stwór przechylił się mocno w lewo, a Gea zareagowała instynktownie chwytając się znów Craidena - mocniej, niż to rzeczywiście było konieczne. W końcu przytuliła głowę do jego ramion i nawet udało jej się przekonać samą siebie, że zrobiła to tylko dlatego, aby schować twarz przed silnymi uderzeniami wiatru.

Pozorny chaos cieni i ciemnych kolorów, jaki widzieli pod sobą, utrudniał skutecznie dokładne ustalenie wysokości, ale Gea stwierdziła po chwili, że Crusher stopniowo obniża lot. O ile przedtem nie można było rozróżnić wież i domów miasta - bardziej lub mniej zniszczonych - to teraz przypominały one już wyciągnięte w niebo palce, które sięgały w górę jak gdyby chcąc pochwycić daktyle. Za chwilę lecieli już pomiędzy najwyższymi budynkami. Ich lot dobiegał końca - Gea pomyślała o tym z nagłym rozczarowaniem. Poprosić Craidena, aby mogli polecieć jeszcze dalej? Odpędziła tę myśl niemal natychmiast po tym, kiedy tylko pojawiła się w jej głowie.

Oszczędziła sobie też pytania, bo odpowiedź Craidena znała aż za dobrze.

Cel ich podróży był przed nimi - Crusher przeleciał nad nim gładkim lotem ślizgowym. Gea nigdy nie widziała Niebiańskiego Dworca i w pierwszej chwili była niemal rozczarowana. Kiedyś musiał robić ogromne wrażenie - dziś co prawda także, ale było to wrażenie zupełnie innego rodzaju: olbrzymia półkula wykonana była z miliona błyszczących sześciokątów, dzięki którym kiedyś do wnętrza swobodnie przedostawało się światło i ciepło. Dziś większość z elementów była ślepa i popękana. Wyglądało to tak, jak gdyby jakiś olbrzym po prostu powyrywał mniejsze i większe fragmenty kopuły, a liczne części dworca pozostawił spalone i zniszczone. Wokół tej dawniej pięknej, a teraz tak spustoszonej budowli rozpościerała się kiedyś ogromna przestrzeń o powierzchni około pół mili, prawdopodobnie największy niezabudowany teren w mieście. Dziś było to istne miasto namiotów, chat, drewnianych bud i innych naprędce skleconych budowli wszelkiego rodzaju. Gea pomyślała, że mogłaby wyjaśnić swojemu przewodnikowi, dlaczego tak się stało, wątpiła jednak, czyby go to zainteresowało i czy w ogóle byłby w stanie to zrozumieć.

Crusher śmiałym lotem nurkującym okrążył kopułę raz jeszcze, po czym skierował się w stronę jednej z licznych szczelin konstrukcji przypominającej z bliska plaster miodu. Ku przerażeniu Gei nie był to jakiś wielki wyłom, w którym zmieściłby się szwadron heliopterów, lecz jeden z licznych otworów po wyrwanym sześciokącie. Był on zdaniem Gei stanowczo za mały na to, aby wleciała przez niego olbrzymia daktyla.

Czuła narastający krzyk przerażenia w swojej krtani, ale zanim zdążyła krzyknąć, daktyla złożyła skrzydła i wleciała przez otwór jak strzała nieomal ocierając się o jego brzegi.

Otoczył ich szary półcień, przez który można było dostrzec snopy tym bardziej oślepiającego światła, pełnego tańczących drobinek kurzu. Nawet oczy Gei, mające wyjątkowe właściwości, potrzebowały dobrych kilku sekund, aby przyzwyczaić się do zupełnie innego światła. Pod sobą zobaczyła niesłychany chaos cieni i zarysów budowli, popękane ściany, ruiny i resztki przeróżnych konstrukcji, z których kiedyś składało się miasto pod olbrzymią kopułą. Teraz leżało w gruzach, podobnie zresztą jak większość tego świata na zewnątrz.

Ogarnął ją nagły żal, jakiś dziwny rodzaj melancholii, tym trudniejszej do zniesienia, że dotychczas była jej ona całkowicie obca i nieznaną. Oblężenie było molochem, największym miastem, które kiedykolwiek istniało na tej planecie i we wszechświecie. Ale to miasto umarło powolną, cichą śmiercią, która zaczęła się już w chwili wmurowania kamienia węgielnego pod jego budowę i trwała od miliona lat. I przez głowę przemknęła jej myśl, że rozumie gorycz, jaką słyszała w słowach Craidena - wiedziała, że władcy R'Achernona posiadali wszystkie środki i władzę, konieczne nie tylko do powstrzymania tego procesu, ale i do przywrócenia miastu jego dawnej świetności, a miliardom mieszkańców - do stworzenia warunków godnego życia.

Dlaczego tego nie zrobili?

Znała odpowiedź na to pytanie, ale nie napawało jej to radością.

Odczuwała jeszcze cień tego żalu, kiedy daktyla, tracąc szybko wysokość, zadziwiająco łagodnie wylądowała na ziemi.

Crusher wyprostował się tak, że Gea mogła bez trudu ześlizgnąć się z siodła na ziemię - musiała zrobić przy tym gwałtowny krok do tyłu, aby nie upaść i nie wylądować na własnym siedzeniu. Zaraz za nią z siodła zeskoczył Craiden - o wiele szybciej (ale i bardziej elegancko). Znowu uśmiechnął się do niej szeroko po czym wyciągnął rękę, aby jej pomóc (co było całkowicie zbędne). Gea zrewanżowała się jadowitym spojrzeniem, ale i tak nie miało to żadnego wpływu na jego szydery - według niej - uśmiech.

- Byłaś bardzo dzielna, dziewczyno - powiedział. - Zupełnie się tego nie spodziewałem.

- Gea - poprawiła go.

- Tam dalej jest terminal - mówił niewzruszenie. - Idź i wezwij twojego ojca... albo kogoś, kto będzie mógł cię stąd odebrać.

Podkreślił swoje słowa odpowiednim gestem ręki, za którym Gea mimowolnie podążyła wzrokiem. Nie potrzebowała żadnego terminalu, aby wrócić do domu, ale on naprawdę nie musiał o tym wiedzieć.

Dostrzegła cień -w pierwszej chwili tam, gdzie coś wydawało się poruszać. Poczuła też woń drapieżników i usłyszała cichutkie drapanie o metal, wydobywające się jakby zza skórzanej zastony. To Quorrl, pomyślała. Była pewna, że tylko obecność Craidena powstrzymuje wojownika z łuskami przed wypróbowaniem owego metalu na niej samej.

Ustawiała inną ostrość wzroku i dostrzegła niewysoki słup z zardzewiałego metalu. Ruszyła energicznie naprzód - przez chwilę wydawało się jej, że Craiden zostanie i będzie czuwał nad nią z oddali, ale on w kilku szybkich krokach dogonił ją i przycisnął jej dłoń do zardzewiałego słupa. Widać było wyraźnie, że miał wielki zamiar westchnąć z rezygnacją... Włączył się terminal - słup rozbłysnął matowym, pulsującym światłem, próbując wskanować jej DNA, co się nie udało - jednostajny rytm jego pracy uległ nagle jakiemuś zaburzeniu. Craiden zmarszczył czoło.

- Te graty dawniej działały lepiej - warknęła Gea, cofnęła się, po czym wymierzyła terminalowi solidnego kopniaka. Niebieskie światło momentalnie przeszło w czerwone, a za chwilę przybrało barwę kojącej zieleni. Craiden zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

-Wszystko się tu rozlatuje - westchnęła wymijająco Gea.

- Tak i nie tylko tutaj - Craiden wprowadził przytaknął, ale nie sprawiał wrażenia przekonanego. Patrzył na nią podejrzliwie.

- Mogę cię prosić o jeszcze jedną, ostatnią przysługę? - spytała nerwowo.

Skinął głową w milczeniu.

- Czy poczekaasz, aż ktoś mnie stąd zabierze? To nie będzie zbyt długo trwało.

Spojrzenie jego ciemnych oczu skierowane było na cień, jaki pojawił się za nią - znów dobiegły stamtąd dziwne, niepokojące odgłosy. Położył rękę na rękojeści miecza.

-I tak miałem zamiar to zrobić - odparł spokojnie.

Z pewnością nie z tego powodu, z jakiego ona go o to poprosiła...ale w końcu co za różnica? Jedyne, co się liczyło, to fakt, że on zostanie z nią jeszcze chwilę. Dokładnie rzecz ujmując - zostanie tak długo, jak będzie chciała...

- Dziękuję.

Craiden ponownie skinął głową, wysunął miecz z pochwy, po czym z umyślnym hałasem wsunął go z powrotem. Gea usłyszała odgłos oddalających się kroków domniemanych cieni za jej plecami.

W zasadzie tego właśnie się spodziewała, ale zrobiło to na niej wrażenie. Gdyby miała znów znaleźć się w sytuacji wymagającej opieki prawdziwego ochroniarza, to osoba Craidena z pewnością wchodziłaby w grę.

Przez chwilę stali oboje w jakimś dziwnym, pełnym zakłopotania milczeniu, czekając, aż któreś wreszcie odezwie się jako pierwsze.

Gea chrząknęła w końcu i spytała: - A dokąd... ty potem pójdziesz?

- Z powrotem do mojego obozu - odpowiedział Craiden.

- O którym mi ciągle nie chcesz powiedzieć, gdzie jest.

- Godzina lotu stąd w kierunku zachodnim - odpowiedział. - Jeżeli milczę na ten temat, to niewiele ma to wspólnego z chęcią opowiadania o tym. Za kilka dni ruszamy dalej i sam nawet nie wiem, dokąd. Dlaczego pytasz?

Gea wzruszyła ramionami, a Craiden w odpowiedzi potrząsnął głową, odwrócił się i podszedł do Crusher'a. Gea pośpieszyła za nim.

Jeszcze godzinę temu śmiertelnie przerażał ją już sam widok daktyli, ale teraz ten sam widok napełniał ją otuchą. Szukała oczami spojrzenia Craidena, ale on spostrzegłszy to odwrócił głowę. Jego wzrok błędził w mrocznej hali - i w pewnym momencie znieruchomiał.



Craiden dostrzegł kontury geometrycznych przedmiotów, zebranych na szczycie czegoś w rodzaju ogromnych, stojących jedna na drugiej szuflad. Zmarszczył czoło.

- Tuby startowe - wyjaśniła Gea.

Popatrzył na nią nic nie rozumiejąc, a Gea tym razem miała przemożną ochotę spoliczkować samą siebie. Zamiast tego skinęła szybko głową i dodała: - To są tuby startowe - albo kiedyś nimi były. Dawniej startowały stąd wielkie promy orbitalne, przewożące pasażerów i ładunek do miast znajdujących się w kosmosie albo na sąsiednie planety. Stąd nazwa Niebiański Dworzec.

- Sporo wiesz, dziewczyno.

- Umiem czytać - odparła. - Jestem sprytną dziewczyną.

- W każdym razie zdaje się, że dużo wiesz - powiedział Craiden; a ona nie była do końca pewna, czy usłyszała cień kpiny w jego głosie.

- Miasta w kosmosie i inne planety?

Gea skinęła głową, a w jego śmiechu wyczuła teraz ślad drwiny.

- Czytujesz dziwne książki. Powinienem uważać cię za mądrzejszą.

- Sądzisz, że mówię bzdury? - spytała urażona.

- Może powinienem wyrazić to inaczej, ale to twoje słowa... - Craiden wzruszył ramionami i wskazał na popękany dach. - Miasta w kosmosie i inne planety, na których my moglibyśmy mieszkać?

Gdyby tak rzeczywiście było, dziewczyno...

- Gea - poprawiła.

- ...to dlaczego ciągle jeszcze jesteśmy tutaj? To miasto już od dawna jest za małe, aby wyżywić choćby połowę swych mieszkańców, a okolica poza jego granicami - tam każdy ginie w przeciągu godziny - Wiem - odparła Gea. - Ale co to ma...

- Jeśli w kosmosie istnieją miasta, nie mówiąc już o światach, które są tak duże jak nasz, to dlaczego nie udaliśmy się tam już przed laty, zamiast siedzieć tutaj po to, aby prędzej czy później umrzeć?

- Bo kosmos jest niebezpiecznym miejscem, pełnym wrogiego nam życia - odpowiedziała Gea.

- Jeśli to prawda, to dlaczego owo wrogie życie nie przybyło w odwiedziny do nas? - zapytał.

Dziewczyna z trudem oparła się pokusie, aby odpowiedzieć, że dokładnie z tego samego powodu ludzie nie tylko zaprzestali podróży do gwiazd, ale też całe wieki temu zbudowali R'Achernona i to miasto. Zamiast tego wzruszyła tylko ramionami.

- Zakładam, że czegoś takiego nie można doczytać się w twoich książkach, co? - spytał Craiden i odpowiedział po chwili na swoje pytanie, akcentując to jeszcze energicznym skinieniem: - Czy zastanawiałaś się, dlaczego w książkach nie ma odpowiedzi na to pytanie?

- Nie - odparła Gea i znów zrobiła obrażoną minę, po czym dodała: - Ale jestem pewna, że zaraz mi o tym powiesz.

- Hej, nie udawaj obrażonej! - powiedział Craiden pojednawczo.

- Wcale nie zamierzałem z ciebie kpić.

- Ach, doprawdy?

Potrząsnął głową w odpowiedzi, mówiąc: - Nie, wręcz przeciwnie, dziewczyno. Ale ja znam te książki, o których mówisz.

- Ty czytasz książki?

- No, rozumie się, że tylko takie na temat broni, techniki militarnej i wyrafinowanych metod tortur - odparł śmiertelnie poważnie Craiden. - Ale słyszałem coś o tych osobliwych książkach. Myślę, że zostały napisane wyłącznie po to, aby wprowadzić jeszcze większe zamieszanie wśród ludzi takich jak ty.

- Masz na myśli ludzi, którzy umieją czytać?

- Mam na myśli mądrych ludzi - odparł Craiden. - O wiele łatwiej jest wprowadzić zamieszanie wśród mądrych ludzi, niż wśród głupich.

- Dlaczego? - spytała Gea, starając się przybrać jak najbardziej bezmyślny i głupawy wyraz twarzy. Dostrzegła w jego oczach wyraz kpiny, o co jej właśnie chodziło.

- Głupich ludzi łatwo okłamać, ale im dłużej oni trwają w kłamstwie, to przeważnie tym trudniej jest je podtrzymać - bo ono z czasem robi się coraz większe. A kiedyś wszyscy i tak się zorientują, że to kłamstwo.

Podszedł do Gei i zatrzymał się tuż przed nią - byli teraz niemal tak blisko siebie, jak na grzbiecie Crusher'a.

- Twoim zdaniem, łatwiej jest oszukać mądrego człowieka?

- spytała. - Dlaczego?

- Bo nie trzeba tego robić samemu - odparł Craiden. - Musisz mu tylko przekazać dostatecznie dużo informacji, w które on chce uwierzyć, aż w końcu zacznie oszukiwać sam siebie. To jest o wiele bezpieczniejsze.

Gea postarała się o wyraz zamyślenia na twarzy.

- Sądzisz, że im więcej robię błędów, tym mądrzejsza jestem w rzeczywistości?

Craiden zamrugnął oczami, przez chwilę popatrzył na nią w osłupieniu, po czym wybuchnął głośnym śmiechem.

- Czy powiedziałam coś złego? - Gea też zamrugnęła oczami i patrzyła na niego z tak dobronudszym wyrazem twarzy, na ile tylko była w stanie. Śmiech Craidena przeszedł po dłuższej chwili w radosne bulgotanie.

- Nie, dziewczyno - powiedział, nie przestając zanosić się od śmiechu. - Ale właśnie udowodniłaś sobie, że miałem rację. Nic dziwnego, że książki pełne takich historii wpadają ci w ręce. Czy mogę ci dać dobrą radę na drogę? Przestań wypełniać swoją śliczną główkę tymi bajeczkami i skup się na prawdziwym życiu. Ono jest wystarczająco ciekawe.

- Zwłaszcza jak się w nim spotyka takich mężczyzn jak ty.

To zabrzmiało fałszywie. Craiden wprawdzie śmiał się ciągle, ale w jego oczach pojawił się wyraz nieufności. Zrobił jeden krok do tyłu.

- Mężczyzn takich jak ja?

- Dzielnych żołnierzy-wyjaśniła Gea. - Wielkich wojowników i jeszcze większych bohaterów.

- Muszę cię rozczarować, dziewczyno. Jestem tylko skromnym dowódcą w wielkiej armii mojego ojca, a moje bohaterskie czyny da się policzyć na palcach jednej ręki. I o ile sobie przypominam, moim największym bohaterskim czynem było uratowanie pewnej nieco lekkomyślnej dziewczyny.

Gea chciała coś odpowiedzieć, ale on przerwał jej niecierpliwym gestem i ku jej rozczarowaniu cofnął się o kolejny krok.

- Dość. Opowiedz mi lepiej o sobie... Gea.

- Gea... - poprawiła go automatycznie, zamrugnęła oczami zaskoczona i oboje wybuchnęli śmiechem.

-Właściwie teraz powinnaś powiedzieć: „dziewczyno” - Craiden usiłował zrobić obrażoną minę, przechylił przy tym zabawnie głowę na bok. - A może to była tylko sztuczka, bo nie chcesz mówić o sobie?

Był rzeczywiście dobrym obserwatorem.

- Nonsens. Nie ma niczego do opowiadania, co mogłoby zainteresować takiego mężczyznę jak ty.

- Kto wie... zacznijmy od twojego ojca. Tak wiele o nim przecież mówisz, że w końcu jestem go ciekawy. Kim on jest i co robi - poza tym że cię nie pilnuje?

Ogólnie rzecz biorąc, to właśnie Craiden był tym kimś, kto już kilka razy zapytał ją o nieistniejącego ojca.

- Po prostu - mój ojciec. I troszczy się o mnie.

-To dlaczego jesteś tutaj, skoro się troszczy?

- Guwernantka, której nie mogłabym się wymknąć, jeszcze się nie urodziła - odpowiedziała

Gea z przekonaniem.

- Co on robi?

- Interesy - odparła Gea. Czy to nie ona chciała go wypytać?

- Interesy... - powtórzył Craiden. -Jakie interesy?

- On jest... handlowcem - odpowiedziała Gea z ostentacyjnym wahaniem, aby zauważył, że nie było to prawdą. Ale Craiden nie kontynuował już tematu.

- A ile ty masz lat?

- Kto wie - odpowiedziała Gea beczelnie. - Może jestem starsza, niż na to wyglądam.

Spojrzenie Craidena było tym razem badawcze i świdrujące, choć krótkie. Potrząsnął głową i rzekł: - Piętnaście, najwyżej szesnaście. Nie poddawałaś się odmładzaniu.

- A skąd wiesz?

- Powiedzmy, że to słyhać - uśmiechnął się Craiden, jednak niemal natychmiast spoważniał.

-Właściwie czego szukałaś na starym mieście? Nawet gdyby nie było wojny- to jest to bardzo niebezpieczna okolica. Mogłaś zginąć.

- Ale nie zginęłam. A jeśli nawet - to mam jeszcze dziewięć sióstr i jedenastu braci.

- Twój ojciec jest więc nie tylko bogatym człowiekiem - ale też bardzo pracowitym - Craiden patrzył na nią teraz z wyraźną nieufnością. - Czy powiesz mi, gdzie go mogę spotkać?

- Dlaczego?

- Bo jest chyba kimś, kogo chętnie bym poznał.

Z całą pewnością nie- pomyślała Gea i rzekła: -Jeśli ty mi zdradzisz, gdzie mogę spotkać twojego ojca, to powiem ci. Sądzę, że on i mój ojciec dobrze by się rozumieli.

- Chyba nie bardzo - zdziwił się Craiden. - Nikt nie potrafi...

Przerwał, bo nagle do ich uszu dobiegło głośnie huczenie, które przeszło w głucho dudnienie - o takim natężeniu dźwięku, że odczuwane było w przeponie brzusznej - a kiedy oboje spojrzeli do góry, dostrzegli zarys ogromnego trójkąta, który zbliżył się do jednej z dużych wyrw w kopule i nieruchomo zastygł w powietrzu. Craiden mimowolnie oparł rękę na rękojeści miecza, a daktyla podniosła nerwowo głowę i wydała z siebie głośny, ostrzegawczy okrzyk.

- Spokojnie - powiedziała szybko Gea. - Oni przylecieli po mnie.

Cień zniżył się jeszcze bardziej, niemal dotykając na wpół zniszczony dach, zatrzymał się, a wtedy otworzyła się kłapa znajdująca się w jednej trzeciej jego długości. Był to myśliwiec morderca, co prawda bardzo stary, pełen plam, śladów ognia i niechlujnie wykonanych spawów. Koloru, na jaki został kiedyś pomalowany, nie można było rozpoznać. O ile w ogóle był kiedykolwiek pomalowany.

Broń, w którą zwykle były wyposażone myśliwce, była wymontowana, a wyrzutnie torped - zaspawane. Urządzenia napędowe pracowały nierówno i z trudem utrzymywały statek w nieruchomej pozycji nad dachem. Mimo wszystko, a może właśnie dlatego - widok myśliwca robił ogromne wrażenie.

- Ten statek... należy do twojego ojca? - wymamrotał Craiden z niedowierzaniem.

- Mówiłam ci przecież, że już nieraz latałam - odparła Gea, uśmiechając się szeroko.

Arion. Szyb rzeczywiście nie sięgał aż do środka ziemi. Żaden tajemniczy szept w jej duszy nie skłaniał jej do tego, aby zrobić decydujący krok i rzucić się w dół, w kuszącą głębię. Wręcz przeciwnie - nawet gdyby chciała, nie byłaby w stanie tego zrobić. Otaczał ją splot przeróżnego rodzaju osłon ochronnych i pól sił, poza tym jej ciało chroniła tarcza, miała też na sobie pas lotniczy, na tyle skuteczny, że mogłaby za jego pomocą katapultować się na orbitę. A przede wszystkim Duras stał niedaleko, zachowując należny, pełen respektu odstęp i czynił wszystko, co tylko było w jego mocy, aby mimo swej dwumetrowej postaci z czarnego żelaza stać się niewidzialnym. I był przecież na tyle blisko, że mógł w każdej chwili błyskawicznie zareagować, gdyby miało dojść do czegoś... niewyobrażalnego.

I wreszcie sam Craiden i jego bliskość dawała Arion ogromne poczucie bezpieczeństwa - co było wprawdzie całkowicie absurdalne, a jednak bardzo ją uspokajało.

- To... robi ogromne wrażenie, księżniczko - powiedział Craiden.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział po opuszczeniu przez nich siodła i przejściu tutaj kilkunastu kroków. Usłyszała w jego głosie ton, którego nie była w stanie zidentyfikować, ale czuła, że mógłby on przyprawić ją o lodowaty dreszcz przerażenia na plecach - gdyby na to pozwoliła. Przypisała to więc zmienionej akustyce brzegu szybu, a bladość jego twarzy - nikłemu światłu kurczącego się coraz bardziej dnia. Jedno i drugie było bzdurą, ale nawet księżniczka nikt nie zdołał nigdy ochronić przed oszukiwaniem samych siebie i mimowolnym wyszukiwaniem najłatwiejszych dróg.

- Istotnie tak jest, mistrzu klanu - odpowiedziała z pewnym ociąganiem i tak samo zachrypniętym głosem. - Nawet gdybym użyła innego określenia.

Craiden pozwolił, aby upłynęło kilka sekund, zanim oderwał wzrok od olbrzymiej, piekielnej gardzieli (co, jak się wydawało, sprawiło mu wyraźną trudność) i powoli odwrócił się w jej stronę.

- A jakiego określenia, księżniczko? - spytał.

- „Przerażające”? - zaproponowała. - I „koszmarnie głupie”.

- „Koszmarnie głupie”... - powtórzył Craiden. Nie zabrzmiało to tak, jak gdyby go to w jakiś sposób uraziło. Ale w jego głosie (a już szczególnie w jego oczach) był znów ten dziwny wyrzut.

- Nie powinniście go niepotrzebnie prowokować, księżniczko. Stan emocjonalny Craidena jest bardzo ciężki. I zabierać go tutaj - nie było zbyt mądre. Zwiększanie psychicznego nacisku może być jeszcze bardziej negatywne w skutkach. Negocjacje pokojowe i tak okazały się trudniejsze niż oczekiwano.

Arion oszczędziła sobie i R'Achernonowi pytania, czy było właściwie o czym negocjować. Wytrzymała spokojnie przenikliwe spojrzenie Craidena tak długo, aż stało się jasne, że oboje dorównywali sobie w tej głupiej dyscyplinie i jak tak dalej pójdzie, to przypuszczalnie będą stać tu oboje do następnego ranka i wpatrywać się w siebie nawzajem. Może R'Achernon rzeczywiście miał rację i dalsze dręczenie Craidena nie miało zbyt wiele sensu. A ona z jakiegoś niejasnego powodu nie chciała mu sprawiać przykrości.

- Zakładam, że nie wiedzieliście, co tak naprawdę robicie, mistrzu klanu - mówiła dalej. - Czy zechcecie mi zdradzić, od kogo otrzymaliście tę broń?

Zadała to pytanie, mimo że ani nie liczyła na odpowiedź, ani też nie sądziła, że Craiden był na nią gotowy. A mimo to dodała z porozumiewawczym uśmiechem: - Moje pytanie musiało wydać się wam dziwne, wiem. Ale wcale nie oczekuję, że zdradzicie waszych przyjaciół albo że wyjawicie mi którąś z waszych wojskowych tajemnic. Ale zadaję to pytanie z pewnego bardzo określonego powodu.

- A ja zakładam, że zaraz mi powiecie, co to za powód - powiedział spokojnie Craiden. Czy Arion słusznie wydało się, że jego głos z każdym słowem stawał się coraz bardziej zimny?

- Oczywiście, powiem wam - jak tylko dowiem się od was, z jakiego powodu użyliście tej bomby przeciwko nam? - oświadczyła.

- Aby zrobić na nas odpowiednie wrażenie, zakładam?

Craiden milczał. Przechylił głowę na bok, a ciepłe powietrze wydobywające się z dna szybu zaczęło rozwiewać jego włosy, co wyglądało tak, jak gdyby powoli wpadał w gniew.

Arion mówiła dalej: - Wasze przygotowania do wojny wcale nie uszły naszej uwadze, jak również wasza wola i chęć, aby rzeczywiście coś zmienić i zerwać ze starymi tradycjami. Pragnęliście nam pokazać, że jesteście naprawdę zdecydowani. Chcieliście też zniszczyć Ścianę, aby nam zademonstrować, że nie możemy za bardzo liczyć na jej ochronę. Ale nie sądzę, że naprawdę chcieliście zniszczyć R'Achernona a tym bardziej własne miasto.

Craiden milczał. Dostrzegła, że widoczna na jego skroni żyła zaczęła pulsować coraz mocniej, a dłonie zacisnęły się w pięści i choć daleko mu było do utraty panowania nad sobą, Arion niemal fizycznie odczuwała teraz jego napięcie.

- Tam na górze, na tarasie, byłam dla was może trochę zbyt surowa, władco klanu - Craiden nie spuszczał wzroku z jej twarzy. - Jeśli tak było, to przepraszam was - mówiła dalej - ale moje zdenerwowanie było tylko efektem mojego przerażenia. Wy i ja - stoimy po przeciwnych

stronach barykady. Cele, do których dążymy, są całkowicie różne, a przecież w gruncie rzeczy chcemy tego samego, a mianowicie zapewnić lepsze życie tym, którzy nam ufają i na nas polegają. A już z pewnością nie chcemy ich śmierci.

Spojrzenie Craideny stało się jeszcze bardziej surowe i Arion zorientowała się poniewczasie, że nie miał on praktycznie żadnej szansy, aby właściwie zrozumieć jej słowa.

- Nie, nie to mam na myśli - pośpiesznie wskazała na resztki spustoszonego miasta w oddali, po drugiej stronie szybu. Teraz, kie dy słońce było już coraz niżej nad horyzontem, spalone ruiny do mów i wież coraz bardziej przypominały nieruchomy mur z czarnych cieni, ponad którym unosiło się tchnienie śmierci - jak niewidoczna, a jednak bliska groźba. Arion miała niesamowite uczucie, że w ciemnościach wokół R'Achernona gromadzi się olbrzymia armia wielkich, milczących zwierząt i tylko czeka na sygnał do ataku.

- To, co się stało, jest przerażające i wiem, że bolejecie nad tym tak samo, jak i ja. Ale bez względu na to, jak okrutnie i strasznie to brzmi, tak może być zawsze, kiedy prowadzi się wojnę.

Arion wskazała na olbrzymi lej po bombie i dodała: - Ale nigdy nie powinno być zdarzyć się coś takiego. ..

- Nie jestem do końca pewien, co macie na myśli, księżniczko - odparł powoli Craiden.

Zamiast odpowiedzi Arion wykonała kolejny krok - co prawda bardzo ostrożny - podchodząc aż na sam skraj przepaści i zatrzymując się tak, że czubki jej butów wystawały dobre kilka centymetrów za skraj urwiska. Przykucnęła - jeszcze ostrożniej - i wychyliła się tak silnie do przodu, aż jej zmysł równowagi zasygnalizował niebezpieczeństwo. Nie tylko on. Jej rozum argumentował niezbitie, że nie może jej się nic stać: ale ludzie nie są stworzeni do tego, aby spokojnie patrzeć w głąb przepaści o głębokości trzystu mil. Jej tarcza ochronna również zatrzeszczała lekko, gdy uderzył w nią podmuch gorącego wiatru z dna przepaści. Na moment wokół jej postaci pojawiły się ognie świętego Elma i zaraz zgasły, zanim zdążyła objąć je spojrzeniem. Czekwała w milczeniu, aż Craiden stanął obok niej i także pochylił się nad przepaścią. Gorący wiatr rozwiął jego płaszcz, choć bynajmniej nie znalazł się w polu niewidzialnych sił.

-Jak głęboki według waszej oceny jest ten szyb? - spytała Arion.

Craiden uniósł w górę ramiona i pochylił się jeszcze bardziej. Wydawał się być nieco zdenerwowany, a Arion nie czuła się zobligowana do tego, aby podziwiać jego brawurę. Nie mogła się oprzeć również nieprzyjemnemu uczuciu, kiedy patrzyła w dół, choć wiedziała, że obejmują i chronią ją niewidzialne ręce. Craideny nie chroniło nic.

- Od tego miejsca aż do punktu osobliwego jest więcej niż trzysta dwadzieścia pięć mil - odpowiedziała sama sobie. Craiden spojrzał na nią i widać było, że nic z tego nie rozumie.

- Wydaje się, że szyb jest zupełnie gładki, ale to złudzenie. To wrażenie jest wywołane jego wyjątkową głębokością. W rzeczywistości jest on coraz węższy jak... jak kiel, wiecie?

- Może byłoby mądrze nie zawstydzać najpotężniejszego człowieka w mieście takimi wyjaśnieniami, księżniczko.

Zupełnie nie miała takiego zamiaru. Wiedziała tylko, że rozmawia z nim we właściwy sposób. Podpowiadała jej to intuicja.

-I to właśnie jest działanie tej broni, której my... - Craiden poprawił się: - której ja użyłem?

Arion potrząsnęła głową i odpowiedziała przecząco: - Tylko pośrednio.

Wykonała ręką nieokreślony gest.

- Szyb przecina wprawdzie Ścianę, ale wasza broń nawet jej nie zadrapała. To, co widzicie, to horyzont wydarzeń pola zerowego, które wygenerował R'Achernon, aby zrekompensować działanie waszej broni.

Craiden dalej patrzył na nią kompletnie nic nie rozumiejąc, ale jednocześnie wzrokiem pełnym wyrzutu.

- Też tego dokładnie nie rozumiem - ciągnęła Arion. - Wytłumaczono mi to tak: z rzeczywistości wrywa się jakiś jej fragment, aby zapobiec jeszcze większym uszkodzeniom.

- Rozumiem - odparł Craiden. - Wasza technomagia stworzyła czasową Czarną Dziurę, która

pochłonęła większą część eksplozji. Im bliżej dna szybu, tym bardziej siła eksplozji spada, aby w końcu dotrzeć do matematycznego punktu osobliwego i wreszcie zaniknąć.

Pstryknął palcami w nagłym olśnieniu.

-I nawet milion lat technomagii nie może wyjaśnić, dokąd podążyła siła eksplozji. To jedno z niewielu pytań, na które nie znacie odpowiedzi.

Uniósł ramiona w geście udawanej bezradności.

- Nie musi to być dla was nieprzyjemne, księżniczko. Sama myśl, że jest jeszcze kilka pytań, na które nikt nie może znaleźć odpowiedzi, jest dla mnie nieco... pocieszająca.

Arion popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jakoś udało jej się powstrzymać dolną szczękę, aby dosłownie nie opadła w dół...ale może udało jej się tylko dlatego, że odpowiednio wcześniej dostrzegła wyraz kpiny w jego oczach. Nagle doznała osobliwego i zupełnie bezpodstawnego uczucia, że coś takiego już przeżyła.

- Chcieliście mi jednak opowiedzieć o tej broni - podjął temat Craiden po dłuższej chwili milczenia. - Musiała mieć rzeczywiście niszczycielskie działanie, jeśli wasza wieża zmuszona była do podjęcia tak drastycznych środków, księżniczko. Czy jesteście pewni, że ta wasza Ściana mimo wszystko was uchroniła?

- Nas owszem - odparła Arion i wskazała na szyb. - Widzicie?

Tam na dole? Ogień?

Kpiące iskierki nie zniknęły z oczu Craidena, ale jego wzrok podążył za jej gestem. Po chwili skinął głową. Arion zdążyła już zwątpić, czy rzeczywiście rozpoznał tam coś więcej niż chaos zeszlonej i stopionej ziemi, fragmenty poszarpanych rurociągów i zawalone tunele, a także resztki systemów transportowych i podziemnych zabudowań, które wespół ze swymi mieszkańcami zamieniły się w radioaktywny pył. To właśnie było podziemne Oblężenie, które sięgało tak daleko w głąb ziemi, że sam R'Achernon nie miał pojęcia o jego prawdziwych rozmiarach. Arion sama z trudnością rozróżniała to, co widziała od tego, co spodziewała się zobaczyć, nie mówiąc już o Craidenie, którego oczy nie miały takich właściwości.

- Pali się - powiedział po chwili. - Po eksplozji atomowej musi to mieć miejsce. W każdym razie tak mi mówiono.

- To nie jest zwyczajny ogień, mistrzu klanu - odpowiedziała Arion. - Dlatego właśnie pytałam, kto dostarczył wam tę bombę. Jeśli to był przyjaciel, to w przyszłości powinniście nieco dokładniej przyjrzeć się tym, których uważacie za swoich przyjaciół.

- Dlaczego? - zapytał Craiden.

- Bo to był morderca planety - wyjaśniła. - Broń, która została zbudowana po to, aby zniszczyć cały świat. Czy wiedzieliście o tym, zanim jej użyliście?

- To śmieszne - rzekł nagle Craiden, po czym jednym ruchem podniósł się ze skraju szybu, cofnął się o krok i jeszcze raz zajrzał w głąb - ku zaskoczeniu Arion spojrzał dokładnie tam, gdzie ona sama przed chwilą odkryła coś w rodzaju gniazda czerwonych, drobnych iskier. Z góry widok wydawał się nawet estetyczny: pulsujący w tajemniczym rytmie rój czerwonych, świecących chrząszczy. Każda z tych czerwonych, niegroźnych iskierek była miniaturowym płonącym ogniskiem, które ciągle jeszcze wgryzało się w głąb ziemi, niwecząc cały trud R'Achernona.

- Wyjaśniono mi - mówiła dalej Arion - że ta broń powoduje powstanie ognia na płaszczyźnie subatomowej. Nie można go ugasić normalnymi środkami.

- Na płaszczyźnie subatomowej... - Craiden przybrał nieco przesadnie zmartwiony wyraz twarzy. - Pozwólcie mi zgadnąć, księżniczko: czy to są te najmniejsze cząstki, z których składa się materia?

Arion dała sobie parę chwil, aby spokojnie wstać i opanować złość, jaka ogarnęła ją po drwiącym pytaniu Craidena. Odpowiedziała po pewnym czasie.

- Superpowolna reakcja łańcuchowa na płaszczyźnie subatomowej, słusznie. I darujcie sobie kpinę, mistrzu klanu. Chyba po raz pierwszy sobie na nią zasłużyłam...

- Zgadza się.

A ty o tym wiedziałaś? - Ja wiem wszystko.

- ... ale żart przestaje być zabawny, jeśli się go stale powtarza.

- Nie chciałem z was kpić, księżniczko - uśmiech Craiden zniknął tak szybko i bez śladu, jak gdyby nigdy nie miał miejsca. - Nie rozumiem tylko, po co mi to mówicie. Żeby mi pokazać, jak bardzo jestem głupi?

Arion odparła poważnie: - Odpowiadając waszymi słowami, mistrzu klanu - bo czas już, abyśmy skończyli z tymi bzdurami.

-Jeśli mi dokładnie wyjaśnicie, co macie na myśli, księżniczko.

- Teraz Craiden sprawiał wrażenie bardziej zmieszanego niż urażonego. Spoglądał raz po raz w głąb szybu i wypatrywał czerwonego ognia, który pożerał ziemię, a Arion zadawała sobie pytanie, dlaczego tak długo to trwa, aż w końcu zrozumiała, że on naprawdę się boi. - Ta wojna musi się skończyć, mistrzu klanu - powiedziała uspokajająco. - Wycofajcie wasze wojska. Nie dopuście, aby stało się coś jeszcze gorszego. Nikt z nas niczego nie wygra dzięki tej wojnie, za to wy i wasz naród macie do stracenia wszystko.

Na twarzy Craiden pojawił się grymas. Cofnął się jeszcze jeden krok od brzegu szybu i skrzyżował ramiona na piersiach. Wydawał się wtedy o wiele wyższy od Arion, a olbrzymie muskuły na jego przedramionach napięły się niepokojąco. A mimo to jego twarz wyglądała jak u przekornego dziecka.

- Jeśli nie mamy nic do wygrania, a tyle do stracenia, to może nam wystarczy, jeśli was zniszczymy - powiedział zimno.

- I on mówi to poważnie. Czuję jego desperację.

Bo wie, że to ja mam rage. - Arion poczuła coś, co ją zaskoczyło i z czym wcześniej zupełnie się nie liczyła, a mianowicie przebłysk współczucia.

-I nawet tego nie bylibyście w stanie zrobić - odpowiedziała niewzruszonym tonem. Te słowa sprawiły jej przypuszczalnie większą przykrość niż jemu i nienawidziła za to samej siebie. Mimo wszystko mówiła dalej: - Nie wiem, co jeszcze obiecała wam ta nieszczęsna istota, od której dostaliście tę broń, Craiden. Może jeszcze gorsze i bardziej niebezpieczne rodzaje broni. To nie gra roli: nawet gdybyście zniszczyli całą planetę, R'Achernon przetrwa. I wszyscy, którzy się w nim schronią.

Nakreśliła ręką w powietrzu linię niczym cięcie skalpela oddzielającą spaloną i stopioną niemal na szkło ziemię oraz nienaruszony krajobraz parku po obu stronach Ściany. - Sądzicie, że to właśnie Ściana nas chroni? Ona chroni trawę, drzewa i zwierzęta, które żyją w tym parku. Czyli to wszystko, co przedtem nazwaliście luksusem. Ale R'Achernon nie potrzebuje tego luksusu. On jest niezniszczalny, czy wasi przypominacie wam tego nie powiedzieli? Pozostanie nietknięty, nawet jeśli ta planeta eksploduje jak Słońce.

-Jeśli to prawda, to dlaczego się nas obawiacie? - spytał Craiden wyzywająco.

- Czy rzeczywiście się was obawiamy?

-Jeśli tak nie jest - to dlaczego tu jestem?

Arion straciła cierpliwość. Zamierzała odpowiedzieć na to pytanie naprawdę ostro, ale poprzestała na cichym westchnieniu i odwróciła się.

- Protokół przewiduje, że wy i ja spędzimy razem w komnacie jedną noc, tak jak zrobiła to moja prababka i wasz przodek po zawarciu wielkiego pokoju między Oblężeniem i R'Achernonem - powiedziała. - Czy zamiast tego mogę was zaprosić na przejażdżkę konną po parku? Tylko wy i ja?

- A czemu miałoby to służyć?

- Nie, nie po to, by was uwieść, mistrzu klanu - roześmiała się rozbawiona. - Daję wam słowo, że wasza cnota nie będzie narażona na niebezpieczeństwo.

Craiden wyglądał tak, jak gdyby chciał odpowiedzieć: „szkoda”, oszczędził jednak Arion tego głupiego żartu. Skinął więc tylko posłusznie głową. Księżniczka ruszyła więc i w duchu robiła już zakład, który z ich ochroniarzy zgłosi jako pierwszy stanowcze veto przeciwko tak niesłychanemu narażaniu bezpieczeństwa. Przegrałaby w każdym wypadku - bo zarówno

Torman, jak i Duras działali synchronicznie niczym lustrzane odbicia i natychmiast zastąpili swoim rozkazodawcom drogę.

- Do tego nie mogę dopuścić, Wasza Wysokość - powiedział stanowczo Duras. Stojący obok niego rogaty olbrzym powiedział coś do Craidena w obco brzmiącym języku - ale znaczenia jego słów łatwo się było domyślić.

- Wiem, że musiałeś to powiedzieć, Duras - odpowiedziała sucho Arion. - Ale daję ci słowo jako księżniczka, że nie będę zbyt blisko naszego szanownego gościa.

Na twarzy strażnika nie było nawet cienia uśmiechu.

- Nie obawiam się o wasze bezpieczeństwo - powiedział. Ale...

- Teraz jestem rozzarowana - przerwała mu Arion. - Czy to nie twój najszlachetniejszy obowiązek, aby czuwać nad swoją panią?

- Mówię poważnie, księżniczko - odparł niewzruszenie Żelazny Człowiek. - Sytuacja jest już wystarczająco napięta, także bez...

- Za pół godziny zajdzie słońce, Duras - weszła mu w słowo, nie podnosząc głosu, lecz wystrzając nieco jego ton. - Przejazdka konna nocą ma bez wątpienia swój urok, ale w tej chwili nie mam głowy do tego rodzaju przyjemności. A więc dlaczego nie robisz czegoś, za co otrzymujesz pieniądze i nie szukasz jakiegoś drania, który z nożem w zębach skrada się w cieniu, aby wyrządzić krzywdę twojej księżniczce?

- Wasza Wysokość, ja...

- Rozkazuję ci - Arion znów wpadła mu w słowo. - Wiem, że możesz odmówić wykonania tego rozkazu i dlatego radzę ci dobrze, abys zastanowił się, czy chcesz zdenerwować swą przyszłą królową.

Nie, żebym była pamiętliwa, ale wiesz, że niczego nie zapominam.

Na czarnej, żelaznej twarzy Durasa nie widać było śladu emocji (bo jakim cudem?), ale Arion czuła, jak ciężko przyszła mu ta decyzja. W końcu posłusznie skinął głową i stanął obok, aby przepuścić Arion. Ona w tym momencie nie zaszczyciła go spojrzeniem, choć postanowiła podziękować mu, kiedy już całe to szaleństwo się skończy i zostaną sami.

Craiden siedział już w siodle. Arion najchętniej ominęłaby jego konia wielkim łukiem, idąc w stronę swojego. Pokryte łuskami monstrem zareagowało kpiącym rzeniem i wyszczerzyło ogromne, drapieżne zęby. Arion wiedziała, iż nie wmawia sobie tego, że niemal czuje na plecach wbity w nią złośliwy wzrok zwierzęcia, także wtedy, kiedy płynnym ruchem dosiadała swojego wierzchowca. Torman i jego żelazny przeciwnik także wsiedli na konie - Torman na swojego bitewnego rumaka, odrobinę mniejszego od konia jego pana, zaś Duras na monstrem z czarnego żelaza, z którego chrapów wydobywała się para, kiedy ten wprawiał w ruch swoje hydraulicznie napędzane nogi. Wnet ruszyli obaj za swoimi rozkazodawcami, zachowując niewielki odstęp między sobą i odpowiednio większy w stosunku do Arion i Craidena. I ten ostatni stopniowo rósł, im bardziej oddalali się od skraju szybu.

- Wasz gwardzista podchodzi do swojego zadania bardzo poważnie - rzekł Craiden po dłuższej chwili, kiedy w milczeniu jechali obok siebie. - Przynosi mu to chwałę.

- Nie ma wyboru - odparła Arion.

- Bo jest komendantem waszej gwardii osobistej?

- Bo mnie kocha. Całym swoim żelaznym sercem. Umarłby dla mnie, nie wahając się ani sekundy - ciągnęła. - Podobnie jak wszyscy jego ludzie. Kochają mnie. Nie dlatego, że jestem ich królową czy też władczynią świata, lecz dlatego, że ja to ja. Jestem jedyną kobietą ich życia i pozostanę nią na zawsze, bez względu na to, co się stanie, kogo spotkają i jak stara i brzydka będę któregoś dnia.

- To się nigdy nie stanie - wyraził swoje przypuszczenie Craiden.

- To znaczy... że będziesz stara i brzydka.

- Dziękuję za komplement.

- Zakładam, że wasza Czarna Wieża temu przeszkodzi.

Arion posłała mu kwaśne spojrzenie i przekreśliła w tym momencie sporo miłych myśli na



jego temat, które wcześniej przysły jej do głowy. Choć nie wszystkie.

- Oni naprawdę nie mają wyboru, wiecie? - powtórzyła z naciskiem.

-Kto?

- Duras i jego żelazna gwardia. Nie pozostaje im po prostu nic innego, jak mnie kochać. Są w taki sposób hodowani... konstruowani - poprawiła się.

Teraz z kolei Craiden postął jej osobliwe spojrzenie.

- Czy to nie jest skomplikowane?

- Duras i jego żelazna gwardia?

- Nie, Duras i jego oddanie - uściślił mistrz klanu. Obrócił się w siodle, aby spojrzeć na gwardzistów. Odstęp między nimi był teraz jeszcze większy, ale Arion ciągle jeszcze słyszała mechaniczne stąpanie żelaznego rumaka. Było też dla niej jasne, że Duras z kolei słyszał każde słowo jej i Craidena. Byłoby tak zresztą również wtedy, gdyby odległość między nimi wynosiła milę lub dwie czy też trzy.

- Zadaję sobie pytanie, czy chciałbym mieć gwardzistę, który jest we mnie śmiertelnie zakochany - odezwał się po chwili Craiden. - A czy byłyby jakieś problemy, gdybyście wy... no, gdybyście kogoś poznali?

Arion zastanawiała się przez chwilę, co go to do diabła właściwie obchodzi, ale odpowiedziała: - Zazdrość nie należy do uczuć, do których oni są zdolni. To byłoby też dość głupie, prawda? Wyhodować bandę niepokonanych wojowników, którzy mordowaliby każdego, kto tylko wydawałby się we mnie zakochany - potrząsnęła głową. - A ja powinnam się kiedyś zakochać w jakimś księciu w srebrnej zbroi, który przyjedzie o zachodzie słońca na białym rumaku... - Marszcząc czoło zmierzyła spojrzeniem ogromnego rumaka Craidena. - Wówczas czarne serce Durasa napełniłoby się radością, że widzi mnie szczęśliwą. Ale do tej chwili upłynie jeszcze wiele czasu.

Craiden przechylił głowę na bok.

- Dlaczego?

- Sami powiedzieliście przedtem, mistrzu klanu - przypomniała mu Arion. - Jestem prawie dziewczynką.

Craiden uniósł pytająco brwi w górę, marszcząc przy tym czoło.

Spojrzał przy tym raz jeszcze na Tormana i Durasa, na co księżniczka spytała z ciekawością: - A jak wy przekonaliście swojego gwardzistę, aby pozwolił wam na przejażdżkę konną z tak niebezpieczną kreaturą jak ja?

- Powiedziałem, że połamię mu obie nogi, jeśli zbliży się do nas za bardzo - odparł Craiden.

-I uwierzył wam?

- Dlaczego nie? Nie byłby to pierwszy raz. A czy zdradzicie mi teraz, dokąd jedziemy i czego ode mnie chcecie? - spytał Craiden, zmieniając temat.

- Ceremoniał, mistrzu klanu. Owa noc, którą mielibyśmy spędzić razem. Uważam, że tu na dworze jest daleko przyjemniej niż w jakiejś dziurze bez okna... nawet jeśli wasi ludzie wydają się cenić takie otoczenie.

- Skąd wam to przyszło do głowy?

- Widziałam pomieszczenia waszych Quorrlów.

- Które przygotowała dla nich wasza wieża.

- Ale zgodnie z waszymi wskazówkami i życzeniami - odrzekła Arion. - To właśnie potrafi wieża. Technomagia. Albo czary, jak wolicie.

- Quorrlowie nie lubią murów ani lochów, księżniczko - oświadczył Craiden. - Powinniście o tym wiedzieć.

-Jak to?

- Czyż nie wiecie wszystkiego?

- Wasze zaufanie rzeczywiście mi pochlebia - westchnęła Arion. - Ale gdybym wiedziała wszystko, nie musielibyśmy prowadzić tej rozmowy, a obaj nasi ochroniarze nie musieliby

umierać ze strachu w trosce o nas.

Craiden roześmiał się.

- Torman nie umiera ze strachu w trosce o mnie, księżniczka On mną pogardza. Był też gwardzistą mojego ojca, a mnie nie może zapomnieć, że kiedyś zabiłem jednego z jego panów.

- Czy dlatego, że go kochał?

- Dlatego, że nie potrafił go ochronić - objaśnił Craiden. - Torman nie kocha nikogo. Nie jest do tego zdolny podobnie jak wasz Duras. I ma mi za złe nie to, że zabiłem jego poprzedniego pana, ale to, że nie mógł mi w tym przeszkodzić.

Arion uznała, że... było to co najmniej zaskakujące, że Craiden wyraża się o poprzednim władcy klanu jako o byłym panu Tormana, niż jako o swoim ojcu. Spytała zaintrygowana: - I wcale wam nie przeszkadza, że chroni was akurat ten człowiek, którego pana wy właśnie zabiliście?

- Lepszego nie mógłbym sobie zażyczyć - odparł poważnie Craiden. - Torman prędzej umarłby, niż zawiódł po raz drugi.

Przechylił głowę na bok i Arion chyba po raz pierwszy od czasu, kiedy się spotkali, dostrzegła w jego oczach naprawdę szczery uśmiech.

- A więc? Dlaczego jesteśmy tutaj? Chyba nie po to, aby rozmawiać o naszych ochroniarzach, prawda?

- Chciałam wam coś pokazać, mistrzu klanu - odpowiedziała Arion. - Nie, nie będzie to kolejny cud technomagii, aby zrobić na was wrażenie. Nie jest to także żadna broń, którą chciałabym wam pogrozić, tylko hmmm... coś innego.

- A mianowicie?

- Mogę wam to tylko pokazać, mistrzu klanu - odpowiedziała. - Nie wyjaśnić. Ale to jeszcze kawałek drogi stąd i nie mamy zbyt dużo dziennego światła przed sobą. Mogłabym wprowadzić dać wskazówkę R'Achernonowi, aby przedłużył zmrok, ale to nie byłoby to samo.

- Różnica byłaby aż tak zauważalna?

- Nawet ja bym jej nie zauważyła - odpowiedziała Arion. - Ale -wiedziabym o niej.

Zmierzyła wzrokiem jego konia.

- Macie imponujące zwierzę, mistrzu klanu. Czy ono jest tak silne, jak... na to wygląda?

Craiden skinął głową w podziękowaniu.

- Wy, księżniczko, też macie przepięknego konia. Czy jest tak szybki, na jakiego wygląda?

- Spróbujmy!

Rymer. - Co ona, do diabła, zamierza? - spytała senator Rymer.

Miała na sobie znów codzienną suknię bez zbędnych ozdób, przybrała też swoje zwykłe ciało i nie za bardzo potrafiła powiedzieć, co sprawiało jej większą ulgę. Suknia była niepraktyczna i uwierała w najbardziej czułych miejscach; a przybieranie innego ciała od dawna nappełniało ją wstrętem. To nawet nie bolało, ale było cholernie nieprzyjemne i Rymer wiedziała z doświadczenia (niemiłego), że uczucie zamroczenia w skroniach i ścierpnięte palce będą dokuczać jej jeszcze długo, nawet przez całe dni, jeśli będzie miała pecha. W dodatku w ogóle nie umiała wyjaśnić, dlaczego zgodziła się na to głupstwo. W każdym razie - nic jej to nie dało. Ta głupia księżniczka podlotek rozpoznała ją natychmiast, jeszcze zanim senator usiadła za stołem, w dodatku nie udało się jej odpowiednio zaimponować całej reszcie tego pstrokatego towarzystwa, a na to senator w skrytości ducha bardzo liczyła. Przypuszczalnie osiągnęła efekt przeciwny do oczekiwanego: dostarczyła jedynie materiału do głupich uwag i dowcipów na kolejne tygodnie - a wszystko przez to, że chciała wnieść nieco powagi w przedstawienie, którego wodzirejem był myszczur w kostiumie błazna!

- A więc? Ma ktoś jakiś pomysł, co też może planować nasza kochana księżniczka w swojej niezgłębionej mądrości?

Rymer po raz kolejny nie otrzymała odpowiedzi na to pytanie - w każdym razie nie od razu - choć jej głos stracił swą ostrość i był teraz nieco zmęczony. Jej wzrok przesuwiał się po kolejnych ekranach, które pokazywały księżniczkę i jej barbarzyńskiego towarzysza z różnych perspektyw.

W końcu obróciła się, a fotel natychmiast rozpoznał zamiar jej ciała i podążył za nim. Choć, jak do tej pory, nikt w ogóle nie zabrał głosu, to przez chwilę wydawało się, że zrobiło się jeszcze ciszej, a senator Rymer nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Wybuchów jej gniewu obawiano się niemal tak samo jak Plixxa, ale w przeciwieństwie do szarego myszczura ci, którzy ściągnęli na siebie złość senator Rymer, nie mieli zwyczaju po prostu zniknąć. Nawet jeśli teraz właśnie miałyby chęć, aby następstwem działania jej wzroku było dosłowne wyparowanie niektórych osób siedzących przy stole. Powstrzymała gorzki uśmiech, który zaczął pojawiać się na jej twarzy i zapytała po raz trzeci: - A więc?

- Może w ogóle nic, pani senator...

Nie była zaskoczona, że to właśnie Wundermeer jako jedyny znalazł w sobie odwagę, aby wytrzymać jej spojrzenie. A nawet sformułować odpowiedź - a właściwie warknąć. Ciągle jeszcze miał na sobie strój lwa, który wydawał się Rymer szczególnie nie na miejscu w tym otoczeniu. W dodatku był głupkowaty. Ale na korzyść Wundermeera przemawiało to, że dotychczas nie znalazł ani chwili czasu, aby przybrać swą zwykłą postać (o ile w ogóle jeszcze pamiętał, jak ona właściwie wygląda). Senator uśmiechnęła się więc nieco kwaśno i uniosła w górę lewą brew.

- Księżniczka Infinity jest jeszcze bardzo młoda - mówił Wundermeer. - Ciągle o tym zapominamy.

- Ja nie zapominam - pomyślała Rymer zdenerwowana. - O nie, z całą pewnością nie. Powstrzymała gniew. Wundermeer był jedynym spośród tego grona tchórzy, który w ogóle odważył się powiedzieć coś, co było oczywiste. Zamiast więc go zaatakować, skinęła głową zachęcając go do dalszej dyskusji.

- Wszyscy zapominamy też, że księżniczka będzie za kilka dni królową R'Achernona i w konsekwencji będzie też koronowana na niepodzielną władczynię nas wszystkich - ale jednocześnie jest młodą kobietą. Jeśli rozumiecie, co mam na myśli - mówił dalej Wundermeer.

Każdy rozumiał, o czym mówił senator - co jednak nie powstrzymywało nikogo od patrzenia na niego z należnym oburzeniem.

- Mówicie o naszej przyszłej królowej - odezwał się natychmiast Kinn. W każdym razie Rymer założyła, że to był on. Miał na sobie marsową zbroję rycerską sprzed setek lat, której trzeszczenie i brzęczenie przeszkadzało już podczas bankietu. Rymer poczuła nara stającą złość. Chować twarz za przyłbicą - to po prostu nie uchodziło w kręgu członków rady! Ale tak naprawdę - ta uwaga nie odnosiła się tylko do Kinna, ale do połowy obecnych... a, prawdę mówiąc, dotyczyło to także jej samej, Rymer. Podniosła zatem rękę w pojednawczym geście i rzekła: - Myślę, senatorze, że wszyscy wiemy, co chcecie przez to powiedzieć. I z pewnością całkowicie się mylicie. Ten Craiden jest...

- Jest cholernie dobrze wyglądającym, świetnie zbudowanym facetem - wpadł jej w słowa Wundermeer, śmiejąc się głośno. Dzięki temu ściągnął na siebie nie tylko niechętnie spojrzenie samej Rymer, ale także pozostałych senatorów. Chyba ten wygląd lwa uderzył mu do głowy - pomyślała Rymer. Albo nawet do jakiejś innej części ciała.

- Tak, to też - potwierdziła spokojnie. - Ale senator Kinn ma rację: mówimy o naszej przyszłej królowej.

- O młodej kobiecie, która właśnie odkrywa pewien aspekt życia, o którym dotychczas nie miała pojęcia - zagrzemiał Wundermeer. - Pani senator, proszę! Nawet jeśli to było dawno temu, to wy też byliście kiedyś młodą kobietą!

Na sali wybuchł głośny śmiech - tak nagle, jak nagle ustał, kiedy jej lodowate spojrzenie padało kolejno na każdego z siedzących. Ale Wundermeera to nie zadowoliło.

- Czy nigdy nie ubóstwialiście jakiegoś młodego mężczyzny tylko dlatego, że był bardzo przystojny?

Nie - pomyślała Rymer zgodnie z prawdą. Jak? W końcu przecież nigdy nie była młoda.

- To nie jest temat, którym się zajmujemy- powiedziała głośno.

- Jak wiecie, obok licznych obowiązków, zajmowałam się też wychowaniem księżniczki i mogę was zapewnić, że ma wystarczająco dużo wiedzy i doświadczenia w tej dziedzinie, o której mówi

senator Kinn.

W każdym razie na tyle dużo, aby odróżnić młodzieńcze zadurzenie od czegoś innego.

Milczenie, które tym razem zapanowało przy długim stole, stało się teraz bardzo niezręczne.

- Co dokładnie macie na myśli, pani senator, mówiąc o „czymś innym”? - zapytał Hezzekk.

Rymer zauważyła go dopiero po dłuższej chwili. Czarny myszczur zajął miejsce na ogromnym krześle z potężnym oparciem przy przeciwległym końcu stołu i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej drobnego i zagubionego, niż zwykle. Jednocześnie wydawało się, że taka poza bardzo mu odpowiada. Omal nie uśmiechnęła się z politowaniem, kiedy dostrzegła jego zdenerwowanie. Każda znajdująca się w tym pomieszczeniu istota była tak potężna, że ludzie dawno minionych czasów uważaliby ich wszystkich (i słusznie) za bogów. Ale przez dziesięć wieczności ewolucji nie udało się zmienić odwiecznej reguły, że mysz licząca półtora metra wzrostu nie czuła się najlepiej, siedząc przy stole w towarzystwie dwa razy większego kota. - Życie erotyczne naszej księżniczki interesuje nas równie mało jak naszej przyszłej królowej - warknęła Rymer nieco ostrzej, niż miała zamiar. Potrząsnęła gwałtownie głową i dodała: - Coś innego przysparza mi o wiele więcej zmartwień.

Minęły dwie lub trzy sekundy, aż wreszcie senator Wundermeer zrobił jej tę przyjemność i zapytał kurtuazyjnie: - Co takiego?

Zamiast odpowiedzieć bezpośrednio, Rymer pomachała ręką i nad stołem ukazał się nieostry hologram R'Achernona i otaczającej go części miasta. Jeszcze jeden ruch ręki senator Rymer pozwolił ujrzeć wielką liczbę czerwonych, niepokojąco pulsujących punktów zgromadzonych wokół wieży w grupy tworzące perfekcyjny krąg.

Były to wojska Craidena przygotowujące się do szturm. Wszystko byłoby perfekcyjnie zaplanowane, gdyby ten głupiec nie zdmuchnął do nirwany sporej części swoich wojsk.

- Plany przemarszu armii Craidena - zauważył Kinn obejrząwszy hologramy przez cienkie szpary wycięte w przyłbicy rycerskiej zbroi.

W jego głosie słychać było zdziwienie.

- Imponujące, ale... - zwrócił twarz ukrytą za przyłbicą w stronę Rymer. - Dlaczego nam to pokazujecie, pani senator? Każdy z nas zna te plany.

- Nie to jest problemem - Rymer znów machnęła ręką w powietrzu i nagle pojawiła się prawdziwa rzeka danych i liczb - obok każdego z czerwonych punktów, przy czym większość danych przedstawiona była tak drobnym pismem, że nawet dla obdarzonych wyjątkowo dobrym wzrokiem senatorów tworzyły one tylko nieczytelne plamy. Ale nie o to w tej chwili chodziło.

- Problemem jest to, że także księżniczka zna te plany i to ze wszystkimi szczegółami. Przyjrzyjcie się państwo dokładnie i spróbujcie prześledzić tok moich myśli. Co będzie, jeśli Craiden rzeczywiście zniszczy Ścianę za pomocą bomby? Mielibyśmy wówczas u swych bram kilka milionów uzbrojonych po zęby i zdecydowanych na wszystko wojowników.

- Wówczas zamknęlibyśmy te bramy - odparł chłodno Kinn, a w jego głosie znów zabrzmiało zdziwienie.

- Postarajcie się towarzyszyć mi jeszcze dalej w tej małej wycieczce typu „co by było, gdyby"... - mówiła dalej Rymer. - Co by było, gdyby R'Achernon nie był niezniszczalny a my nie dysponowalibyśmy dostateczną ilością broni orbitalnej dron bojowych, aby dać tym barbarzyńcom nauczkę?

- Obawiam się, że jednak nie jestem w stanie śledzić dalej toku waszych myśli, senator Rymer - powiedział Kinn. - Wydajcie rozkaz i ci tu... - wskazał ręką na grupy czerwonych punktów - staną się historią.

- I to jaką! - potwierdziła Rymer. - To wspaniały pomysł, szanowny senatorze Kinn. W ogóle nie pojmuję, dlaczego sama na to nie wpadłam. Sprowadzamy tutaj kilka milionów Quorrlów i oczekujemy, że one będą nas za to kochać. A ja założę się, że sprawiłoby ci przyjemność urządzenie im pięknej krwawej łaźni. Kinn milczał obrażony.

- Do czego zmierzacie, senator Rymer? - pisała Hezzekk.

- Miałam nadzieję, że być może nie jestem jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która

pojmuje, jak poważnie do tego podchodzi mistrz klanu Craiden - westchnęła. - Wiem, większość z nas uznała to po prostu za oburzające, że ten dzikus nie trzymał się przepisowego ceremoniału.

Wszyscy zgodnie przytaknęli, może z wyjątkiem Hezzekka, któremu nie udało się oderwać wzroku od pazurów i zębów będących elementami stroju Wundermeera.

Rymer mówiła dalej: - Ale czym właściwie jest ten ceremoniał...? - Tym razem napotkała zaskoczone spojrzenia senatorów.

- To pusty obrządek - kontynuowała - który w dodatku nie ma już znaczenia, zarówno dla nas jak i dla księżniczki. Zawarliśmy ten wątpliwy pokój tak wiele lat temu, że już dawno o tym zapomnieliśmy.

- Pani senator? - spytał skonsternowany Kinn.

- Craiden bierze to bardzo poważnie - odrzekła. - Naturalnie nie ma żadnych szans w razie ataku, nawet gdyby miał dziesięć razy więcej wojsk i sto razy lepsze uzbrojenie, ale on tego nie wie! Czy nikt oprócz mnie nie pojmuję, co to znaczy?

- Nie - odparł Kinn.

Rymer westchnęła. Bardzo głęboko. Może rzeczywiście oczekiwała za wiele. Było kilka szczegółów z życia księżniczki, które znała tylko ona. I może tak było lepiej.

- Oczywiście macie rację, szanowny senatorze - zwróciła się wprost do rycerza. - Nawet gdyby Craidenowi udało się rzeczywiście zniszczyć Ścianę... - To się nigdy nie stanie!

- ...to po prostu zamkniemy drzwi, włączymy generator bezpieczeństwa i zobaczymy za kilkadziesiąt lat, co zostało z małej rewolucji Craidena. Ale - on o tym nie wie. Nie może wiedzieć, że nigdy nie zniszczy Ścian, nie może wiedzieć, że R'Achernon jest niezniszczalny. A nawet gdyby wiedział, przypuszczalnie próbowałby mimo wszystko. Ten człowiek podchodzi do tego naprawdę poważnie. Także ci, którzy idą za nim - Rymer jeszcze raz wskazała ręką na hologram, po czym mówiła dalej: - To nie jest operetkowa armia, która wyszła z koszar na kolorową paradę. To jest armia, która chce nas zniszczyć!

- Ale przecież ta armia nie jest w stanie tego zrobić i o tym wie także księżniczka - powiedział niemal łagodnie Wundermeer.

- A jakie to ma znaczenie? - fuknęła Rymer. - Nasza wielce szanowna księżniczka właśnie jest na najlepszej drodze do zakochania się po uszy w mężczyźnię, który przysiągł, że doprowadzi do naszego upadku. Który chce naszej śmierci, Wundermeer. Waszej, mojej, każdego z nas i całego R'Achernona!

Uderzyła głośno dłonią w stół. Dźwięk ten w całkowitej ciszy nie brzmiał co prawda tak ostro jak uderzenie bicia, ale wywarł na wszystkich bardzo silne wrażenie.

- Za kilka dni ona będzie naszą królową, a to oznacza, że będzie mogła robić i kazać innym robić to, co tylko jej wpadnie do głowy i nawet ja nie będę mogła jej od tego odwieść. Jestem chyba jedyną osobą, której nie podoba się pewna myśl, a mianowicie: mała dziewczynka dysponująca niemal boską władzą zaczyna kręcić z facetem pragnącym nas upiec na rożnie.

Znów zapadła ciężka cisza. Wundermeer chrząknął wreszcie i grzmiącym głosem oświadczył: - No to może czas na małą rewolucję.

Rymer nie była jedyną osobą, która zszokowana wytrzeszczyła na niego oczy. Tamten, widząc jej reakcję, pośpieszył z wyjaśnieniem: - To oczywiście był tylko żart.

- Oczywiście - powiedziała chłodno Rymer i cisza znowu zapadła na dobre.

- Prawdopodobnie jest to tylko młodzieńcze zadurzenie - po chwili znowu odezwał się Wundermeer. - Nawet jeśli sobie tego już nie przypominacie, pani senator, jest to całkiem normalne w tym wieku. Takie uczucia zwykle przemijają równie szybko jak szybko się rodzą.

- A więc powinniśmy mieć nadzieję, że będą trwały jeszcze tylko dwa dni - zauważyła kwaśno Rymer. Znów pomachała ręką, hologram R'Achernona zniknął i powstało miejsce dla obrazu księżniczki Infinity oraz władcy Oblężenia. Sceneria zmieniła się więc całkowicie.

Rymer uniosła lewą brew do góry, kiedy zobaczyła dwie różniące się wielkością postacie, które galopowały w niezwykle dużym tempie na swoich rumakach.

- Co tam się dzieje? - zapytała. - R'Achernon, co oni wyprawiają?

O czym księżniczka rozmawia z naszym gościem?

- Księżniczka zarządziła włączenie prywatnego modusu, pani senator.

Rymer poczuła wprawdzie gwałtowny napływ złości, ale nie powiedziała ani słowa. Jak długo księżniczka była księżniczką, a nie królową, to sfera prywatności była ostatnim, co przysługiwało jej w tej wieży. Problemem było tylko to, że R'Achernon widział to trochę inaczej i miał w nosie zarówno rozkazy jak i życzenia senator Rymer.

- To gdzie właściwie jest problem? - spytał Kinn. - Moje zainteresowania wprawdzie zwykle kształtują się nieco inaczej... - jego zakuta w żelazną zbroję dłoń uderzyła o rękojeść szerokiego, ogromnego miecza wystającego zza pasa. Rymer zastanawiała się, czy na końcu tej rękojeści znajduje się należąca do niej klinga - a jeśli nawet, to wątpliwe, czy Kinn wiedziałby, jak należy się tym narzędziem posługiwać (oprócz obciążenia nóg samemu sobie) - ale trzeba przyznać, że miecz i tak wyglądał imponująco. - Sam wiem, że ta cała historia o zakochanej dziewczynie skończy się na zastrzyku zawierającym odpowiednie hormony - Wzruszył ramionami, a zbroja za skrzypiała groźnie. - Albo samo jej przejdzie - dokończył.

Rymer najchętniej zabiłaby go jednym jadowitym spojrzeniem, co z jakiegoś wyłącznie jej znanego powodu - nie nastąpiło. W zasadzie senator Kinn miał nawet rację - lecz Arion jako księżniczka Infinity i desygnowana królowa R'Achernon była nietykalna, nawet dla wieży.

I automatycznie także dla członków rady.

Rymer czasami naprawdę żałowała, że nie żyje w tych dobrych, starych czasach, kiedy to upartego bachora będącego w okresie dojrzewania można było przełożyć przez kolano i wbić mu trochę oleju do głowy.

Nagle wpadła na pewien pomysł.

- R'Achernon - rozkazała. - Opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym koniu, na którym teraz galopuje Craiden.

Arion. Oczywiście Sztormowy Wiatr był szybszy niż ten brzydki potwór, na którym jechał Craiden - czy w ogóle mogło być inaczej?

Setki tysięcy pokoleń konsekwentnej hodowli najlepszych końskich ras świata (i nieco majsterkowania przy ich DNA) musiało dać w końcu przyzwoity wynik. Arion odkryła swoją miłość do koni przed dwoma lub trzema laty- i poprosiła R'Achernona o najszybsze i najbardziej wytrwałe zwierzę, które w ogóle istniało na tej planecie.

Oczywiście R'Achernon podarował jej istotę nie tylko najszybszą, najbardziej wytrwałą, ale i najpiękniejszą. Pomysł, aby wyzwać mistrza klanu na ten nieco nieuczciwy pojedynek tylko przez chwilę wydał jej się podły, ale z drugiej strony... Craiden nie zasłużył na nic lepszego.

Już na sam koniec opętańczego galopu zrobiło się rzeczywiście ostro: koń Arion nie na darmo otrzymał jednak swoje imię - bez trudu wyprzedził brzydkie monstrum Craidena, choć co prawda nie udało mu się od niego zupełnie oderwać. Wręcz przeciwnie: Craiden powoli doganiał Arion, a ona na ostatnim odcinku drogi popełniła jeszcze głupi błąd - chciała wykonać skrót i zboczyła nieco z drogi, aby dotrzeć na szczyt wzgórza galopem wprost przez las. Ale podczas kiedy Sztormowy Wiatr w coraz trudniejszym terenie zwalniał, to opancerzone bydlę Craidena pognęło wprost przez zarośla - i wydawało się gnać tym szybciej, im bardziej teren robił się stromy i trudny.

Będąc tuż poniżej wierzchołka wzgórza, Arion zobaczyła przed sobą potężny dąb - skreśliła w lewo i dostrzegła poprzez zarośla, że Craiden nie tylko poradził sobie z nagłą zmianą kursu, ale też w pełni wykorzystał swoją szansę i wydawało się, że niedługo przemknie obok niej. Arion nie tylko pozwoliła mu nasycić się małym triumfem, lecz nieco ściągnęła cugle swojemu wierzchowcowi, aż Craiden wyprzedził ją o dobre dwie końskie długości. Wówczas poderwała rumaka tak gwałtownie, że ogier zarżał głośno w daremnym proteście, zachwiał się i stracił dwie cenne sekundy walcząc o zachowanie równowagi. W końcu jednak Sztormowy Wiatr wyrównał krok tak skutecznie, że w szaleńczym galopie popędził na szczyt wzgórza, wyprzedzając Craidena dosłownie o włos. Ten przejrzał jej podstęp i również poderwał swojego rumaka - jednak zakute w zbroję monstrum było po prostu zbyt masywne, aby zareagować dostatecznie szybko. Koń Craidena obrócił się w miejscu, po czym ruszył do przodu ogromnymi

skokami, wyrzucając spod kopyt ogromne pe-cyny ziemi. Ale Arion dotarła w tym momencie na wierzchołek, zatrzymała konia, zeskoczyła z siodła i znalazła jeszcze czas, aby obrócić się do nadjeżdżającego Craiden a i z triumfującym uśmiechem odgarnąć włosy z twarzy.

- Zwyciężyłam, władco klanu!

Nie była pewna, czy Craiden w ogóle ją usłyszał. Jego potężny rumak, używany chyba tylko w bitwach, pędził wprost na nią niemal jak pancerny wóz. Spod jego kopyt wylatywały w górę okruchy ziemi i kępy trawy. Arion miała też wrażenie, że coś metalicznego - jak iskry i błyskawice - wydobywało się z otaczającej go chmury kurzu.

To potworne zwierzę mogłoby ją po prostu stratować - i tak by się stało, gdyby Craiden dosłownie w ostatnim momencie nie szarpnął cugli z ogromną siłą. Potężny wierzchowiec skręcił w bok, potykając się i wykonał jeszcze kilka gwałtownych skoków, aby nie runąć na ziemię.

I jakby tego nie było dosyć, wpadł w panikę i zaczął kłapać zębami tuż przed twarzą Arion, której wręcz zdawało się, że czuje na policzkach jego gorący oddech. Nie cofnęła się jednak ani o milimetr.

Dopiero kiedy Craiden zeskoczył z siodła i odciągnął zwierzę spory kawałek, odważyła się spokojnie odetchnąć.

- To było nie fair, księżniczko - odezwał się po chwili. - Przechytrzyliście mnie.

Arion uważała, że o wiele bardziej nie fair ze strony Craidena było to, iż po pięciomilowym galopie w terenie na łeb na szyję, ten nawet nie miał na tyle przyzwoitości, by udawać, że się zasapał. Odpowiedziała więc: - Co ponownie dowodzi faktu, że prymitywna siła nigdy nie wygra z intelektem.

- Być może - odparł Craiden, rozglądając się demonstracyjnie dookoła. - A znajomość celu wyścigu może pomóc niesłuchanie w dotarciu do mety na pierwszym miejscu. Czy też wybraliście to miejsce jako metę zupełnie spontanicznie tylko dlatego, że dotarliście tu jako pierwsi?

Sama myśl o tym, że mógłby przypisać jej tak perfidną złośliwość, oburzyła ją tak, że nawet nie zaszczyciła go odpowiedzią, lecz odwróciła się i podeszła do Sztormowego Wiatru.

Ogier oddalił się o kilka kroków i zerknął nieufnie na Craidena - a przede wszystkim na jego monstrualnego wierzchowca, po czym opuścił głowę i parsknął cicho, kiedy Arion zaczęła głąskać jego chrapy. Z pyska spadały mu płaty białej piany, jego boki drżały - zwierzę było tak wyczerpane, że nie było w stanie stać spokojnie. Arion poczuła wyrzuty sumienia, ale także coś w rodzaju dziecinnej dumy.

Wszystko jedno jak, ale zwyciężyła, tylko to się naprawdę liczyło.

- To rzeczywiście wspaniałe zwierzę - Craiden podszedł do niej, zatrzymał się jednak, zachowując pełną szacunku i respektu odległość. Zmierzył białego ogiera spojrzeniem zdradzającym znawcę.

- Rzadko zdarzało mi się widzieć równie pięknego konia. Czy to wasza wieża go dla was zmajstrowała?

- Rodowód Sztormowego Wiatru jest starszy niż sam R'Achernon - odparła Arion, nieco urażona jego ironią. - I nikt go dla mnie nie zmajstrował. - A więc krzyżówka hybrydowa - Craiden był wyraźnie pod wrażeniem. - Tym bardziej zadziwiające.

- Co takiego?

Nie odpowiedział od razu, lecz minął Arion i podszedł do konia, wyciągnął rękę w jego stronę i przez chwilę zawahał się, zanim położył mu ją spokojnie na czole. Stał bardzo blisko ogiera, który parsknął nerwowo, ale nie próbował ani się cofnąć, ani też chwycić zębami palców Craidena. Nie zaskoczyło to Arion - w skrytości ducha nawet się z tym liczyła.

- Zdrajca - zamruczała pod nosem.

- Bo nikomu innemu nie daje się dotknąć? - roześmiał się Craiden.

- Skąd wiecie?

- Często to słyszę - odparł. - Umiem obchodzić się ze zwierzętami. I jak się wydaje - tym

lepiej, im bardziej zwierzę jest kapryśne.

Arion miała wrażenie, że chciałby dodać: „I dotyczy to także księżniczek”. Ale zamiast tego odrzekł: - Mówię poważnie. Macie wspaniałe zwierzę. Dlatego nie robi wam chyba żadnej różnicy fakt, że tak naprawdę nie wygraliście tego wyścigu.

- Zdawało mi się, że jednak wygrałam - odpowiedziała, nieco zdziwiona.

- To nie było tak do końca fair - upierał się Craiden, wskazując ruchem głowy swoje zwierzę. - Hodujemy je od tysięcy pokoleń, przywiązując zasadniczą wagę do siły i prędkości. Ona ma dwa serca, cztery płaty płuc, a jej mięśnie wzmocnione są biometrycznie. Koń, który powstał w naturalny sposób, nie ma z nią żadnych szans.

- Ona? - Arion jeszcze raz spojrzała na ukrytą pod kolczastą zbroją bestię. - To jest klacz? - Z trudem ukryła dreszcz przerażenia. - To jak wyglądają ogiery?

- Cóż, nie są tak piękne jak ona - odrzekł Craiden. - Przede wszystkim są zbyt dzikie, aby na nich jeździć. Trzymamy je tylko w celach hodowlanych.

Poklepał przyjacielsko Sztormowy Wiatr i odwrócił się do Arion, przechylając pytająco głowę na bok: - Ale zakładam, że nie jesteśmy tu po to, aby rozmawiać o koniach.

Arion rozejrzała się, czy rzeczywiście byli sami. Z zaskoczeniem stwierdziła, że Duras zatrzymał się u stóp wzgórza, a więc byli już poza zasięgiem jego słuchu. Tylko sam R'Achernon mógł ich słyszeć, lecz nad nim po pierwsze i tak nie miała żadnej władzy, a po drugie nie robiło jej to tak naprawdę żadnej różnicy.

- Właściwie chciałam wam tylko pokazać to miejsce - odrzekła.

Craiden spojrzał na nią zdumionym wzrokiem, ale ona po prostu odwróciła się i ruszyła w stronę potężnego dębu na samym szczycie.

Dotarła tam po kilkunastu krokach, po czym usiadła na trawie pod drzewem. Craiden poszedł za nią, ale także teraz zatrzymał się w należnym odstępnie i rozejrzał się dookoła.

- Zostało nam niewiele światła dziennego - powiedział wreszcie po dłuższej chwili.

- Kilka minut - potwierdziła Arion.

Craiden skinął głową, po czym dodał nieco żartobliwym tonem: - Mam nadzieję, że pomyśleliście o tym aby zabrać ze sobą świece, księżniczko. Także koc, trochę wina i chleba... ogólnie to wszystko, co jest potrzebne na piknik.

Zamiast odpowiedzieć, przesunęła się nieco w bok, po czym oparła się wygodnie plecami o pień potężnego drzewa. Poczwała miły dotyk szorstkiej, spękanej kory. Powiał ciepły, delikatny wiatr, świeża trawa zapachniała nieco intensywniej, a znajoma woń ziemi była tak pełna spokoju, że wyparła z jej myśli wszystko to, co napełniało ją lękiem i przygnębieniem. Craiden po dłuższej chwili podszedł do niej i także usiadł obok, znów zachowując odstęp przynajmniej na długość ramienia.

- To moje ulubione miejsce - powiedziała cicho. - Przychodzę tutaj tak często, jak tylko mogę... no, przynajmniej czasami.



- Bo z powodu ważnych spraw państwa nie macie zbyt wiele czasu?

Kpiący ton jego słów nie uszedł jej uwagi, ale czy miała się z tego powodu denerwować jeszcze bardziej? Nie, tego zabroniła sama sobie bardzo stanowczo. Nie przyprowadziła go tu po to, aby kontynuować ową ceremonialną kłótnię.

- Czas, szanowny mistrzu klanu - powiedziała spokojnie, ale przyjaźnie - jest właściwie czymś jedynym, czego nie może nam zapewnić w dowolnej ilości R'Achernon.

Niemal czuła kpiące spojrzenie Craidena.

- Macie na myśli to, że jest coś, nad czym wasz sztuczny bóg nie ma władzy? Jakby nie było, to jest już jakieś osiągnięcie.

Znów odczuła gniew, ale zrezygnowała z pouczenia Craidena, że R'Achernon ani nie jest bogiem ani też nie jest sztuczny we właściwym sensie tego słowa.

- Nawet dzień księżniczki trwa tylko dwadzieścia cztery godziny - mówiła dalej, nie zważając na jego słowa. - Czy dzień mistrza klanu jest dłuższy?

- Czasem mi się tak wydaje - roześmiał się Craiden. - Ale dostatecznie często tego sobie życzę.

- Bo z powodu ważnych spraw państwa nie macie zbyt wiele czasu? - odparła rozbawiona.

- W każdym razie nie mam go dla rzeczywiście ważnych spraw - potwierdził. - Stale ciążą na mnie jakieś ważne obowiązki, które muszę wypełniać, wiecie? Podpisywać wyroki śmierci, nadzorować ścięcia skazańców, sprawdzać, czy moje oddziały porządnie palą i plądrują.

Począł, aż ona odwróciła głowę i popatrzył na nią marszcząc czoło, po czym dodał poważnie: - Życie władcy klanu jest bardzo ciężkie, księżniczko. Nie zostaje mi zbyt wiele czasu na sprawy prywatne. Nawet nie mogę sobie przy pomnieć, kiedy dla przyjemności kazałem wychłostać paru niewolników albo kiedy wolno mi było wykończyć kilka kobiet czy też dzieci. To jest cena władzy księżniczko. Trzeba ponosić ofiary osobiste.

- Czy to miało być śmieszne? Dlaczego nas tak nienawidzicie, władco klanu?

- Was, księżniczko?

Arion wykonała ręką szeroki gest.

- Nas wszystkich. Naszego ludu, R'Achernona, naszego sposobu życia. Czy czujecie do nas wstręt tylko dlatego, iż powiedziano wam, że tak trzeba, czy też jest jakiś obiektywny powód? Co zrobiliśmy wam i waszemu ludowi, że tak bardzo życzycie nam śmierci?

Liczyła na kolejną cyniczną odpowiedź, ale on popatrzył na nią z dziwnym wyrzutem i konsternacją, jak gdyby chciał dostrzec w niej coś, czego tak naprawdę nie było... Nie była pewna, czy ten dziwny wyraz jego oczu, który nie uszedł jej uwagi od pierwszej chwili, zniknął w którymkolwiek momencie ich rozmowy.

- Czy mówicie o mnie? - zapytał w końcu.

- Może coś źle zinterpretowałam - odpowiedziała, wzruszając znacząco ramionami. - Próbuje tylko zrozumieć, po co w takim razie daliście rozkaz wymarszu milionowi żołnierzy pod samą wieżę, jeśli nie po to, aby nas wymordować.

- Żołnierze to nieobliczalny ludek, księżniczko - odpowiedział Craiden. - Trzeba im dawać coś do roboty, zanim zaczną się nudzić.

A znudzeni żołnierze mają skłonność do robienia różnych dziwnych rzeczy. I to złych rzeczy. A poza tym... - dodał z porozumiewawczym uśmiechem - tam są dwa miliony żołnierzy.

- A gdyby było ich dwadzieścia milionów - czy to by coś zmieniło? A więc - dlaczego? - spytała znów.

- Dlaczego co? - Craiden sprawiał wrażenie nieco już zirytowanego tym przesłuchaniem, jak gdyby wychodził z założenia, że ona zna odpowiedź i pyta tylko po to, aby jeszcze bardziej go rozdrażnić.

- Dlaczego to robicie, władco klanu? - podniosła rękę, kiedy dostrzegła, że chce odpowiedzieć. - Nie, nie chcę słuchać tego, co powiedzielibyście Plixxowi albo radzie koronnej czy też waszym zwolennikom. Dlaczego robicie to naprawdę? Czy tylko dlatego, że jesteście militarnym zwierzchnikiem miasta, a jego zadaniem jest, po prostu prowadzić wojnę?

- No, tego u nas nie brakuje, księżniczko - odparł spokojnie.

- Nie potrzebujemy pomocy R'Achernona, aby znaleźć powód do prowadzenia wojny.

To chyba ją przekonało.

- A więc, dlaczego?

- Może po to, aby któregoś dnia nie było już żadnego powodu?

Tego z kolei nie zrozumiała - Craiden chyba to dostrzegął.

- Pytaliście mnie, księżniczko, co jest zadaniem wojskowego zwierzchnika miasta - mówił dalej Craiden. - Dlaczego sami nie odpowiecie na wasze pytanie? A jak sądzicie? Czy moim zadaniem jest bronić własnego status quo?

- A co złego jest w utrzymywaniu własnego status quo? - nie rozumiała Arion, nieco zaskoczona także tym, że on zna to słowo i że tak łatwo przyszło mu je wymówić.

Spojrzenie Craidena stało się nieco mroczne.

- Dziś rano, księżniczko - rzekł powoli - jak tylko przybyliśmy, powitaliście mnie obrazami ostatniej wielkiej bitwy. Musiałem patrzeć, jak za pomocą technomagii i waszych maszyn mordowany i wyrzynany jest kwiat naszego narodu.

- A ja myślałam, że śmierć na polu bitwy jest najbardziej honorowym rodzajem śmierci, jakiej może doświadczyć wojownik - odrzekła Arion, nawet nie wiedząc dokładnie, dlaczego to mówi. To było głupie stwierdzenie, ale Craiden na szczęście nie zwrócił na to większej uwagi.

- To nie była uczciwa walka - odparł. - A co to za honor zostać zamordowanym przez maszynę? Oni nie mieli żadnych szans. To była po prostu rzeźnia, nic więcej.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziała Arion.

- Przykro wam, że wymordowaliście tych wszystkich wojowników?

- Że te obrazy tak bardzo was ranią i bolą - odpowiedziała.

- Zmienię tę procedurę. To głupi relik, który musi zostać zlikwidowany. Następnego razu nie będzie już tych obrazów, to wam obiecuję.

- No to się przynajmniej opłaciło - parsknął śmiechem Craiden i dodał: - Nie będzie następnego ataku, księżniczko. Takiego ataku.

Arion starała się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej. Dlaczego właściwie musiała mu tłumaczyć coś, co było oczywiste?

- Nie musicie mi wierzyć, mistrzu klanu - odezwała się po dłuższym milczeniu - ale jestem przekonana o tym, że moja prababka była bardzo mądrą kobietą, podobnie jak jeden z waszych przodków, któryż nią właśnie wynegocjował ten pokój. Tak, to też był bardzo mądry człowiek.

- Bo dzięki niemu rozpoczęła się dla naszego ludu era hańby?

- To Oblężenie prowadzi wojnę przeciwko wieży, i to od kiedy pierwsi Quorrlowie wzniesli swoje jurty pod jej bramami i chwycili za broń - odparła Arion. - I ta wojna trwa dłużej, niż sięgają pamięcią w przeszłość oba nasze narody. Ile milionów - ile miliardów - waszych wojowników w ciągu tych niezliczonych tysiącleci przybyło pod wieżę, aby tu znaleźć śmierć? - potrząsnęła głową, nagle rozgniewana, czego już nie była w stanie ukryć. - Rok za rokiem, jedno dziesięciolecie za drugim i wiek za wiekiem, aż w końcu R'Achernon wznosił tę Ścianę, aby przynajmniej zapobiec najgorszemu!

- A może żeby urządzić tu taki piękny park, w którym wy możecie podziwiać zachód słońca, podczas kiedy tam nasze dzieci umierają z głodu? - spytał Craiden, również rozgniewany. Arion zignorowała to i perorowała dalej: - Wasza broń stawała się rok w rok coraz lepsza, wasze armie coraz bardziej liczne, a wasza taktyka - coraz bardziej wyrafinowana. I było też coraz więcej tych, którzy ginęli. Wasz przodek i moja prababka położyli temu kres. Możecie to nazywać erą hańby, ja nazywam to erą pokoju. Dwadzieścia generacji - za ich życia nikt nie musiał umierać.

- I wy w to wierzycie... powiedział cicho Craiden. W jego głosie słychać było rozczarowanie.

- Wiem, że uważacie mnie za dziecko - powiedziała Arion. - Za głupie, albo w najlepszym wypadku naiwne dziecko. Ale nawet ja wiem, jak ważne dla waszego narodu są takie słowa jak honor i odwaga.

- Bo może są jedynymi słowami, które nam jeszcze pozostały - odparł Craiden, ale ona zignorowała także i to.

- Hańbę mogą odczuwać tylko ci, którzy żyją, mistrzu klanu - rzekła poważnie. - To, co wam właśnie powiedziałam, to prawda.

Te obrazy, które pokazano wam i waszym towarzyszom, są straszne.

Pokazywanie i oglądanie ich nie ma nic wspólnego z honorem. Ale może mimo wszystko dobrze, że istnieją, abyśmy nie zapomnieli, jak było kiedyś. To była ostatnia wielka bitwa - stoczona za zbyt wysoką cenę. I od tego czasu...

- ...od tego czasu jesteśmy tu tylko po to, aby was rozweselać, tak? - przerwał jej Craiden, wyraźnie urażony. - Miła rozrywka, raz na dwadzieścia lat, prawda? Maszerujemy na wasze bramy, rozpylamy trochę testosteronu i idziemy dalej? - potrząsnął tak gwałtownie głową, że jego włosy rozsypały się po korze dębu. - A może nie chcemy już maszerować wprost na wasze bramy i domostwa tylko dla waszej rozrywki?

- Żołnierzom trzeba dawać coś do roboty, żeby nie robili głupstw - odpowiedziała niemal tak samo ostrym tonem. - Czy to nie były wasze słowa, dowódcu? - ale te właśnie słowa sprawiły jej przykrość, jeszcze zanim je wypowiedziała. Nie była jednak w stanie się po wstrzymać. Dlaczego niby ona miałaby rozumieć wszystko inaczej?

Czy dlatego, że była księżniczką, a on tylko barbarzyńcą?

- Wybaczcie - dodała szybko, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. - To było głupie i niestosowne. Może macie jednak rację i powinniśmy pomyśleć o jakimś... - przez chwilę zastanawiała się nad odpowiednim słowem - o jakiejś zmianie.

-I na czym ona miałaby polegać?

Tu Arion, ponieważ nie miała najmniejszego pojęcia, co on chciałby usłyszeć, powiedziała pierwsze, co tylko przyszło jej na myśl: -Wyrażając to waszymi słowami, mistrzu klanu: może powinniśmy skończyć z tym nonsensem. Ogłośmy koniec obchodów tego święta.

Spróbowała ratować się uśmiechem, ale miała świadomość, jak żałośnie to wypadło.

- Połowa dworu wpadnie w panikę, ale za kilka dni będę królową, a wtedy będzie mi zupełnie wszystko jedno, co oni sobie po myślą.

Craiden nie odpowiedział, lecz patrzył na nią długo i w zamyśleniu. Wreszcie oparł głowę i ramiona o pień drzewa i patrzył w kierunku kryjącego się za horyzontem słońca. Arion nawet nie zauważyła, że już niemal zapadał zmrok. Cienie stawały się długie i coraz ciemniejsze, światło także ustępowało powoli miejsca ciemności.

Przez chwilę zastanawiała się poważnie, czy poprosić R'Achernona o przedłużenie tego magicznego momentu - zrezygnowała jednak natychmiast. Zrobiła to kiedyś i było dokładnie tak, jak przedtem powiedziała Craidenowi: różnicy wprawdzie ani nie można było dostrzec ani też poczuć, ale wiedziała, że było to oszustwo i sam ten fakt psuł zabawę.

- Jakiś czas temu - powiedział Craiden zupełnie bez związku - kazałem ściąć pewnego alchemika. Czy wiecie, dlaczego?

- Nie, ale zakładam, że mi zaraz powiecie.

Czy on doprawdy nie potrafił mówić o niczym innym, niż o śmierci i zabijaniu?

- On posiadał pewien relikwiarz dawnej technomagii - ciągnął Craiden. - Urządzenie, dzięki któremu ustępowały wszystkie bóle i kalectwa tych ludzi, którzy przybyli do tego alchemika po pomoc.

-I dlatego kazaliście go ściąć? Bo był zbyt dobry?

- Nie. Bo on coś przed tymi ludźmi zataił, być może sam o tym nie wiedział, a mianowicie, że ustępował tylko ból - w ten sposób kalectwa i choroby były leczone pozornie. Większość z tych, którzy do niego przyszli, mimo wszystko umarła. Niektórzy być może mogliby zostać uratowani, gdyby alchemik nie odebrał im bólu i poprzez to nie podarował iluzji, że są zdrowi.

Arion milczała. Coś mówiło jej, że ten alchemik i Dawna Technika w ogóle nie istniały i że Craiden nie jest człowiekiem, który mógłby kazać kogoś ściąć z powodu pomyłki bądź niewiedzy. Ale to nie grało żadnej roli. Wiedziała już, dlaczego on opowiedział jej tę historię.

- Może powinniście byli dokładniej obejrzeć ów relikwiarz dawnej technomagii - powiedziała. - Może dało się go przebudować. Rzeczy często są czymś innym, niż wydają się na pierwszy rzut oka.

- Kto wie- odparł Craiden w zamyśleniu. Czuła jego wzrok, choć w myślach zakazała sobie patrzeć na niego. Czuła też, że on przysunął się bliżej.

- Wy z pewnością byście to umieli. My- nie. Czy znacie powód, dla którego to wszystko, co dla was jest Dawną Techniką, my nazywamy technomagią, księżniczko?

Skinęła głową.

- Bo wydaje się to czarami.

- Bo to są czary - potwierdził Craiden stanowczo. - Dla mnie, dla naszych alchemików, uzdrowicieli i przypominaczy- dla całego naszego narodu. Nikt tam na zewnątrz nie ma pojęcia, jak to funkcjonuje. I nie sądźcie, że nie próbowaliśmy tego ustalić! Najmądrzejsze głowy spośród nas próbowały rozwiązać tę zagadkę - daremnie...

- Może wasze najmądrzejsze głowy nie są po prostu dostatecznie mądre - odpowiedziała Arion w tonie dobrodusznego przytyku, co Craiden skwitował przelotnym uśmiechem. Ale jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej oficjalne i chłodne.

- Wśród nas jest wielu takich, którzy wierzą, że zrobiliście to umyślnie.

- Co macie na myśli mówiąc: zrobiliście?

Podniósł rękę do skroni.

- To, że my nie możemy waszej techniki zrozumieć. Że ona jest dla nas technomagią. Arion w pierwszej chwili nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć - tak absurdalny wydał jej się zarzut Craidena. A poza tym - czy on sądził, że ona odczuwała to inaczej? Nigdy jeszcze nie zajmowała się poważnie tym tematem, ale nie sądziła, że oprócz R'Achernona ktokolwiek potrafi naprawiać Dawną Technikę, nie mówiąc już o jej rozumieniu. Może tylko Plixx i kilku innych myszczurów, ale nawet tego nie była pewna. Pytała kiedyś o to Plixxa dwa lub trzy razy, ale za każdym otrzymywała inną, wymijającą odpowiedź.

- A co z tym? - spytała, ruchem głowy wskazując na skaner przy pasie.

Craiden sięgnął po czarny toroid. Udało mu się wyjąć broń z magnetycznego uchwytu, a Arion nie potrafiła w tym momencie powiedzieć, które z nich obojga było tym faktem bardziej zaskoczona. W każdym razie nie wierzyła do końca, że to urządzenie rzeczywiście zadziałałoby, gdyby Craiden próbował zrobić coś szalonego.

- A cóż ma z tym być?

W jego silnej ręce skaner wydawał się tak mały i niegroźny jak coś, czym przed laty był - małą, czarną skrzyneczką. A mimo to - i mimo świadomości, że jej tarcza ochroniłaby ją nawet przy strzale z tak bliskiej odległości - Arion odczuła nagle coś nieprzyjemnego, lęk, jak gdyby już sam widok skanera przywoływał wspomnienie czegoś, czego przecież nigdy nie przeżyła. Musiała się opanować, aby móc mówić spokojnie dalej.

- Czy wiecie, że, mówiąc ściśle, skaner wcale nie jest bronią?

Popatrzył na nią wzrokiem bez żadnego wyrazu. W jego twarzy nie drgał żaden mięsień.

- A przecież produkujecie je sami, prawda? I to o wiele lepiej i wydajniej niż my. Może te urządzenia są jedynym technicznym artefaktem na tym świecie starszym niż sam R'Achernon.

Uśmiechnęła się lekko.

- Przedmiot codziennego użytku. Skaner, pierwotnie przewidziany do identyfikacji różnych rzeczy. Do oceny ich wielkości, wagi, zastosowania, dokładnego składu... - Uniosła w górę rękę, chcąc zaznaczyć tym gestem, że może jeszcze długo kontynuować tę wyliczankę. - To tak proste i przydatne urządzenie, że dawniej praktycznie każdy je ze sobą nosił. To nie broń, tylko techniczna zabawka, która niesłychanie ułatwiała codzienne życie.

Teraz z kolei Craiden pytająco zmarszczył czoło, a ona miała niemal pewność, że zrobił to z zupełnie innego powodu, niż zakładała.

- Nikt już nie wie, kto wpadł na pomysł zmodyfikowania tego niegroźnego urządzenia w taki sposób, że stało się śmiertelną, bardzo niebezpieczną bronią - mówiła dalej. - Ale ktoś to zrobił.

Ktoś z was, a nie jakiś czarownik z Czarnej Wieży.

- Bo może sama idea skanera podsuwała ten pomysł - potwierdził Craiden. Zaczął bawić się własnym skanerem w taki sposób, że jego ostre zakończenie skierowane było wprost na nią - Arion czuła coraz większy dyskomfort. Wiedziała, że broń nie mogła zadziałać - do tego R'Achernon nigdy by nie dopuścił - była również pewna, że Craiden nigdy nie strzeliłby do niej (właściwie skąd o tym wiedziała?), a jednak już sam widok skanera był tak nieprzyjemny, że władca klanu to zauważył i szybko obrócił broń, choć nie wetknął jej z powrotem do uchwytu.

- Zanim jeszcze ustali się rezonans danego obiektu, obiekt ten wymaga względnie słabego przeciw rezonansu, aby rozerwać połączenia między molekułami i w ten sposób doprowadzić do ich eksplozji-wyjaśnić.

Arion spojrzała na niego z wyrzutem.

- A więc znacie tę historię!

- Każdy z nas ją zna - odparł Craiden rozbawiony. - I każdy wie, kto przerobił to niegroźne urządzenie na śmiertelnie niebezpieczną broń.

- A więc wiecie więcej niż ja.

- Każde dziecko w Oblężeniu wie, że zrobił to prosty chłop.

- Chłop, rolnik?

- Albo stolarz czy też hodowca świń a może zubożały alchemik - odparł poważnie Craiden. - Wszystko zależy od tego, do jakiego klanu należy ktoś, kto właśnie opowiada tę historię. Ale faktem jest, że był to ktoś z prostego ludu, ktoś, kto dał wyzyskiwanym i uciskanym broń, aby ci mogli wymierzyć ją w stronę swoich prześladowców i stawić im opór.

Arion demonstracyjnie przewróciła oczami i rzekła: - Tak, wspaniała historia, doprawdy. Kiedy ją wymyśliliście?

Właśnie teraz czy jakiś czas temu?

Craiden patrzył na skaner jeszcze przez chwilę, po czym wetknął go do uchwytu przy pasie i wykorzystał tę okazję, aby znów przysunąć się bliżej w stronę Arion.

- Ta historia dokładnie tak jest u nas przedstawiana - powiedział.

- A wy w to wierzycie?

- Oczywiście, że nie - odparł. - Prawdopodobnie był to przypadek. Ktoś po prostu coś przy tym majsterkował. Jakiś geniusz. Albo jakiś idiota w szczęśliwym momencie swego życia. - Podniósł w górę ramiona. - A może to jest swego rodzaju prawo natury, że wszystko, co może zostać wynalezione, prędzej czy później wynalezione zostanie. Jeśli natura wydała z siebie coś tak bezsensownego jak ewolucję, to dlaczegoż by nie technikę? Prawdopodobnie kiedyś musiało się to po prostu stać.

- Ale historia o prostym chłopie, który wyprowadza swój lud z poddaństwa, brzmi po prostu lepiej, prawda?

Craiden westchnął.

- Nic o nas nie wiecie, księżniczko.

- A więc opowiedzcie mi więcej o sobie, władco klanu - poprosiła Arion. - O was i o waszym narodzie.

- Po co miałbym to robić?

- Bo was o to poprosiłam.

- To już jest argument - przyznał mistrz klanu, ale mimo to potrząsnął głową i dodał: - Nie starczyłoby czasu. Wasza prababka i mój przodek spędzili ze sobą jedną jedyną noc, podczas której cały czas ze sobą rozmawiali. Obawiam się, że nam nie wystarczyłby nawet rok.

- Czy uważacie mnie za tak głupią? - spytała.

- Nie znam was na tyle dobrze, aby cokolwiek o was sądzić - odpowiedział uczciwie Craiden, mimo to jakaś malutka część jej samej pragnęła usłyszeć coś innego.

- I ciągle jeszcze jesteście mi winni odpowiedź na pytanie, co właściwie tutaj robimy - oprócz rozmowy o koniach.

-I o hodowcach świń konstruujących różne rodzaje broni.

Craiden uśmiechnął się. Na tle czerwonego jak krew nieba widać już było tylko ostre kontury jego twarzy - i ta twarz miała w sobie coś, co budziło zaufanie, ale jednocześnie było to coś obcego. Mylił się. Mógł mieć rację twierdząc, że praktycznie nic nie wiedziała o nim i o jego świecie, ale mylił się sądząc, że go nie rozumiała. Byli do siebie bardziej podobni, niż przypuszczał.

- Może miałam nadzieję, że będzie wam się tutaj tak samo podobać jak mnie - odpowiedziała.

-I co wtedy?

- Nic, po prostu może po tylu niezliczonych latach nastał już czas, abyśmy zaczęli ze sobą rozmawiać, zamiast wzajemnie rozbijać sobie czaszki - odparła.

- To wspaniały pomysł - pochwalił ją Craiden, a Arion znów usłyszała kpinę w jego głosie.

- Mówiąc szczerze, spodziewałam się, że oboje na kilka godzin udamy się gdzieś daleko i wrócimy z rozwiązaniem, które zadowoli nas wszystkich. To jeden z takich genialnych pomysłów, kiedy ludzie uderzają się w czoło i mówią: „że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy!”.

Craiden spojrzał na nią podejrzliwie i milczał, Arion mówiła więc dalej: -Ja naprawdę chcę coś zmienić, mistrzu klanu.

-Ja też, księżniczko - odpowiedział wreszcie i dodał z szorstkim śmiechem: - Sądzę, że już tego dowiodłem. Nawet jeśli... w planach było coś innego.

- A więc powinniśmy zrobić wszystko, aby ten potworny wybuch nie poszedł na marne - odparła. Jego oczy znów pociemniały, Arion widząc to dodała więc szybko: -Wiem, że nie chcieliście tego, mistrzu klanu. Wiem, że nie wiedzieliście, jakie jest działanie tej bomby i...

- Skąd? - przerwał jej Craiden ostro. Nagle w jego spojrzeniu pojawiła się czujność. Również Arion przypomniała sobie w tamtym momencie, że powinna być bardziej ostrożna w kontaktach z barbarzyńcą.

- Użylibyście tej bomby, gdybyście o tym wiedzieli? - spytała raz jeszcze.

Ale Craidena nie skłoniło to do odpowiedzi. Patrzył na nią badawczo, jak gdyby doszukiwał się ukrytego znaczenia w jej słowach, a jego spojrzenie cały czas było mroczne i nieprzeniknione.

-Wiem, że oboje nie jesteśmy w stanie dokonać cudów- powiedziała. - Kto wie, może do niczego nie dojdziemy, niczego nie osiągniemy. Ale możemy przynajmniej spróbować, nie sądzicie, mistrzu klanu?

- Craiden - powiedział. - Zapomnijcie o mistrzu klanu. Przynajmniej tak długo, jak długo tu jesteśmy.

- Nazywajcie mnie więc Arion - odparła. - Nie zaś księżniczką.

- Arion? Nie księżniczka Infinity?

Arion wykonała lekceważący ruch ręką.

- Księżniczką będę i tak jeszcze tylko trzy dni, a nie ma tyle gipsu w całym systemie słonecznym, aby zakładać szyny na te języki, które połamią się przy próbie prawidłowej wymowy tego imienia.

- Arion - Craiden wymówił jej imię z taką łatwością, jak gdyby ćwiczył to przez całe życie. - To jest bardzo piękne imię. Brzmi trochę tak, jak gdyby miało coś wspólnego z... - ruchem głowy wskazał R'Achernona - ..tym. Czy ono ma jakieś znaczenie?

- Coś mistycznego - odpowiedziała. - To imię jakiejś królowej elfów z czasów, kiedy ludzie opowiadali sobie legendy. Moja matka z jakiegoś powodu zachwycała się tymi starymi historiami, ale mnie to nigdy nie interesowało.

Tak dalece mijało się to z prawdą, jak gdyby twierdziła, że Czarna Wieża to tylko wysoki dom. Jej matka i sam R'Achernon tak często opowiadali jej historię o władczyni jeziora i jej zaginionej córce, że Arion niemal potrafiła powtórzyć ją przez sen. Ale nie miała najmniejszej ochoty mówić o tym tu i teraz, a poza tym rzeczywiście nigdy nie lubiła swojego imienia.

Przy odrobinie złej woli można by było jej przypisać wiele różnych cech, ale na pewno nie to, że wyglądała jak królowa elfów. Albo że zachowywała się tak, jak ona.

- A więc rzeczywiście pragniecie pokoju, mistrz... Craiden?

- poprawiła się.

- Wasz dwór nie będzie zachwycony tym pomysłem - odpowie dział, próbując sobie wmówić, że ona nie zauważy, iż wcale nie odpowiedziała na jej pytanie. - A moi generałowie urwaliby mi głowę - zakładając, że nie byłbym szybszy od nich i mogliby mnie ubiec.

- To proponuję, abyście wysłali swoich generałów razem z moim dworem na pustynię, a oni tę drobnostkę już załatwią między sobą - rzekła ubawiona.

Craiden westchnął, dodając: - Arion, nawet jeśli sądzicie, że to z mojej strony czarnowidztwo, to i tak uważam, że to nie takie proste.

- Moglibyśmy dać im broń i popatrzeć, co z tego wyniknie - zaproponowała.

- To znowu byłoby za łatwe. Moi wrogowie opowiadają o mnie wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że walczę nie fair.

Arion oparła się pokusie wyjaśnienia mu, jak owa rzekomo nieuczciwa walka mogłaby się skończyć. Nie tutaj. Może kiedyś.

Coś zaszeleściło nagle w trawie, a Craiden wyciągnął rękę tak błyskawicznie, że nawet nie była w stanie zauważyć tego ruchu. Kiedy podniósł rękę, trzymał w niej coś małego, błyszczącego, z sześcioma metalowymi nóżkami, które teraz poruszały się bezradnie w powietrzu.

- To tylko drona ogrodnicza - powiedziała szybko Arion. - Jest zupełnie niegroźna.

Craiden spojrzał na nią przelotnie, po czym w zamyśleniu obrócił sztucznego owada, przyjrzał mu się dokładnie i wyrwał najpierw przednie nóżki, a potem łeppek, wyposażony w liczne nożyczki i podobne narzędzia tnące. Posypały się iskry, cienki łuk świetlny trafił prosto w jego rękę i zgasł. Rozeszła się dziwna woń, która przypominała nieco zapach spalonych włosów.

- Hej! - zaprotestowała Arion gwałtownie. - Po co to niszczyć?

- To tylko maszyna - odrzekł Craiden. - Interesujące. Dawna Technika?

- Zepsuta technika - odparła kwaśno. - Czy to było konieczne?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Craiden rzucił zniszczoną dronę w trawę i patrzył z zainteresowaniem. Bo za chwilę rozległ się szelest, wysokie źdźbła trawy zaczęły się chwiać i pojawiły się inne drony, mniejsze i większe... Wszystkie części zniszczonej maszyny zniknęły - zostały bardzo dokładnie zebrane i wyniesione. Renowacja zniszczonej drony zapewne trwała kilka minut, ale Arion założyła, że R'Achernon świadomie zrezygnował z pośpiechu, aby nie niepokoić Craidena jeszcze bardziej.

- Interesujące - powtórzył. - Zawsze intrygowało mnie pytanie, jak jest po tej stronie Ściany. Jakoś... dziwnie.

- Tak uważacie?

- Czy wiecie, że w całym mieście nie ma miejsca, z którego ta wieża nie byłaby widoczna, zakładając oczywiście, że niczego innego nie ma się bezpośrednio przed oczami?

Zaskoczyło to Arion. R'Achernon był gigantyczną budowlą, ale to samo dotyczyło Oblężenia, które zajmowało przecież obszar całego kontynentu.

- Wiem, jak to brzmi - mówił Craiden, niemal jakby odczytał myśli Arion, a było tak dlatego, że prawdopodobnie dostrzegł jej wątpliwości. - Wiem, że to właściwie niemożliwe. Zapewne jest to jedna ze sztuczek technomagii, aby nikt w mieście nie zapomniał, kto tu jest prawdziwym władcą, a przede wszystkim, gdzie ten władca urzęduje. I nie ma dnia, w którym ktoś tam na zewnątrz nie za dałby sobie przynajmniej raz pytania, jak może być tutaj. Ze mną jest podobnie.

- I co? - spytała Arion. - Jak jest tutaj?

- Inaczej - odpowiedział Craiden, po dłuższym, bardzo intensywnym namyśle.

- Ale - nie podoba wam się.

- Jak mogę to wyjaśnić, po zaledwie jednej godzinie, którą tu spędziliśmy? - spytał. - Jest

właśnie inaczej. - Craiden spojrział znów w miejsce, gdzie przed chwilą leżała zniszczona mechaniczna drona i spytał: - Dlaczego zlecacie maszynom pracę, którą mógłby wykonać człowiek?

Bo tak naprawdę nikt nie ma ochoty kosić trawy? - Bo nie ma tu wystarczająco dużo ludzi, którzy mogliby wykonać wszystkie konieczne prace - rzekła i odpowiadało to prawdzie.

- A u nas jest za dużo ludzi - odparł Craiden. - I za mało pracy, którą mogliby wykonywać.

Teraz z kolei Arion zamyśliła się. Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili: - To może powinniśmy rozrzucić u was ulotki i zatrudnić tutaj kilku ogrodników.

- Może to byłby dobry początek - zgodził się Craiden. Za chwilę roześmiał się i chciał odruchowo położyć rękę na jej ramieniu, powstrzymał się jednak i opuścił dłoń, kiedy rozległ się dźwięk tarczy ochronnej i na jego palcach pojawiły się małe, błyszczące iskry. Tym razem kąćki jego ust lekko drgnęły w reakcji na ból.

- No, przynajmniej coś iskrzy między nami - rzekła nieco rozbawiona.

Craiden znów roześmiał się i zaczął drugą ręką masować sobie nieco poparzone palce, szybko jednak przerwał i pogładził soczystą, bujną trawę.

- A to tutaj... - spytał. - To też jest... sztuczne?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Arion wskazała ruchem głowy na swojego konia - Sztormowy Wiatr wprawdzie oddalił się o kilka kroków i nieufnie zerkał w ich stronę (głównie Craidena), ale co chwila schylał głowę i pasł się z wyraźną przyjemnością na zielonej trawie.

- On może nie jest tak szybki, jak twój zakuty w zbroję potwór, ale plastikowej trawy nie żre.

Sama się przeraziła, kiedy zdała sobie sprawę, jak łatwo przeszła na poufałą formę „ty” (czego co prawda sama nie rozumiała), ale jeśli nawet Craiden zauważył to małe faux-pas, dyskretnie je przemilczał.

- A więc to też jest prawdziwe? - wskazał na ogromną koronę drzewa nad nimi i dodał: - Nigdy nie widziałem takiego drzewa jak to.

- To jest dąb - potwierdziła Arion. - Prawdopodobnie jedyny na całej planecie.

- Krzyżówka hybrydowa.

- Moja matka lubiła wszystko, co było stare i miało jakiś związek z mitami i duchami. Drzewom - zwłaszcza takim starym jak to - też przypisuje się magiczne siły. Przebywanie w ich pobliżu ponoć przynosi szczęście i... - nie, tego nie mogła powiedzieć. W końcu tak dobrze się jeszcze nie znali.

- I co dalej? - spytał Craiden.

- Temu drzewu nie towarzyszą żadne magiczne siły - ciągnęła swą opowieść. - Gdyby tak było, byłabym mocno zaskoczona. Po chodzi ono przecież z laboratorium genetycznego R'Achernona. Ale rzeczywiście może liczyć sobie około tysiąca lat. Ponoć moja matka zasadziła je tutaj na górze, kiedy miała tyle lat, co ja teraz. Ono mi się po prostu podoba.

Znów dostrzegła cień kpiny w oczach Craidena (właściwie powinna mieć mu to za złe, lecz jakoś nie potrafiła), miała też osobliwe uczucie, że również zamierzał coś dodać, jednak w ostatniej chwili zrezygnował. Usłyszała parskanie jego bitewnego rumaka - był to taki dźwięk, jak gdyby wydobywał się z żelaznej krtani - koń przednim kopytem grzebał w ziemi, po czym nagle odwrócił się i odbiegł w ciemność. Sztormowy Wiatr patrzył za nim przez chwilę, po czym znów spuścił łeb i zaczął skubać trawę.

- Myślę, że rozumiem, dlaczego to jest wasze ulubione miejsce, Arion - rzekł Craiden, wskazując na zachód. Nastąpił właśnie ten je den wyczekiwany, magiczny moment, dla którego tu przybyli. Za dalekimi wieżami i cytadelami Oblężenia powoli gasło słońce i choć jego czerwone promienie odbijały się jeszcze w szybach niezliczonych okien, a w mrocznych zaułkach ulic zapalały się pierwsze la tarnie, miasto powoli pogrążało się w ciemnościach - po chwili było już tylko czarną sylwetką na tle ciemnoczerwonego nieba.

Arion na chwilę zupełnie zapomniała o Craidenie - czar tego wieczoru pochłoniął ją bez reszty. Może nie do końca mówiła prawdę, kiedy stwierdziła, że w tym drzewie nie było niczego magicznego.



Nie był to ten rodzaj magii, którą tak bardzo lubiła jej matka. Nie było to też coś, co Craiden pogardliwie nazywał technomagią, lecz coś zupełnie innego, co zupełnie nie dawało się opisać słowami. I było to starsze niż ona, niż sam R'Achernon i może nawet niż sama ludzkość.

- To chyba jest najpiękniejsze miejsce, jakie znam - odpowiedziała z pewnym opóźnieniem na pytanie Craiden. - Może najpiękniejsze, jakie w ogóle istnieje.

- Mimo, że jesteście w stanie stworzyć sobie w każdej chwili dowolną okolicę?

Tym razem nie usłyszała ani wyrzutu, ani zawiści w głosie Craiden, jedynie coś w rodzaju podziwu.

- Może właśnie dlatego - odparła. Craiden uniósł pytająco lewą brew do góry, a Arion przez kilka chwil rozkoszowała się ostatnimi promieniami słonecznego światła - równowaga między światłem a ciemnością była w tej chwili niemal idealna. Poczowała dreszcz, coś w rodzaju nagłego ataku dziecinnego, trochę głupiego romantyzmu, czego jakaś jej część trochę się wstydziła, podczas kiedy druga - odczuwała prawdziwą przyjemność.

- Czy powinienem wam podziękować za to, że powierzyliście mi swoją tajemnicę? - spytał Craiden.

- To żadna tajemnica - odparła, nie odrywając wzroku od sylwetki miasta na horyzoncie. Słońce zgasło zupełnie, na niebie rozbłyły miliony gwiazd, a na dole, w oknach domów - miliony światel.

- Mimo wszystko dziękuję za to, że mi to pokazaliście - powiedział. - A teraz zdradźcie mi, dlaczego tu jesteśmy - oprócz tego przepięknego zachodu słońca.

- Może po to, aby coś zacząć - odpowiedziała księżniczka. Jego pytanie nieco ją zirytowało, miała wrażenie, że psuje nastrój tej wyjątkowej chwili. Choć oczywiście miał rację. Nikt nie odważyłby się jej przeszkadzać, nakłaniać do czegoś, czy naciskać, aby coś zrobiła.

Ale nie wątpiła też, że Duras z niepokoju obgryzłby sobie już wszystkie paznokcie aż po nadgarstki - gdyby te paznokcie miał. Ta myśl spowodowała, że na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Kiedyś wreszcie musimy wrócić, a mój dwór i wasi postrzeleni generałowie będą oczekiwać od nas odpowiedzi - westchnęła. - Czy mamy im powiedzieć, że nie postanowiliśmy zawierać żadnego przymierza, tylko spotkać się tu za dwadzieścia lat po to, aby policzyć zabitych, którzy w międzyczasie będą ceną tego szaleństwa?

Było dla niej jasne, że te słowa były pełne wyrzutu, choć zupełnie nie zamierzała Craidenowi czegokolwiek zarzucać. Ale może przy tym temacie było to po prostu nieuniknione.

- Przyszło mi do głowy, że właściwie bardzo mało o was wiem - rzekł Craiden. - Prawie tak mało, jak wy o nas.

Arion popatrzyła na niego uważnie. Choć ta próba rozbawiła ją, nie miała zamiaru wpadać do retorycznej pułapki, co z pewnością sprawiłoby mu przyjemność.

- Może to właśnie byłoby początkiem - powiedział w końcu.

- Czy życzyście sobie oprowadzenia po wieży R'Achernon?

- spytała.

Craiden wzruszył ramionami.

-Jeśli tylko w rewanżu będziecie mi towarzyszyć do miasta. Arion spróbowała sobie wyobrazić, jak na tę propozycję zareagowałby Duras... Nie, lepiej nie.

- Do miasta?

Craiden skinął głową i popatrzył badawczo w sposób, który ją naprawdę zaniepokoił.

- Byliście tam już kiedyś?

- Oczywiście, że nie - odparła zszokowana. - Duras nigdy by do tego nie dopuścił!

- Ale powinien - odparł poważnie Craiden, patrząc na nią cały czas. - Może powinniście poznać tych, których usiłujecie zwalczyć.

- Ależ my wcale was nie zwalczamy.

- Nie - rzekł Craiden. -Wy tylko przyglądacie się, jak umieramy.

Teraz z kolei wydawało się, że to on ma poczucie, iż w jego głosie dźwięczy niepotrzebny i zbyt ostry wyrzut. Uśmiechnął się więc łagodnie, niemal przepraszająco i powiedział już o wiele łagodniej: - Arion, nie musimy być wrogami. Nikt nie oczekuje, że zostaniemy tej nocy przyjaciółmi, ale może będziemy mogli zacząć rozmawiać ze sobą.

To zabrzmiało głupio, a w najlepszym wypadku naiwnie i zupełnie nie pasowało do obrazu barbarzyńcy, przywódcy licznych armii, dla którego wojna była właściwym żywiołem. Pomyślała, że on przypuszczalnie wyuczył się tych słów na pamięć i teraz usiłował jakoś dopasować je do sytuacji. Ale może rzeczywiście był kimś, komu niesłusznie przypisywano wiele złych cech? Bez wątplenia był człowiekiem twardym, niemal archetypem wojownika, którego rzemiosłem było zabijanie. Wyuczył się tego tak starannie, jak dobry stolarz swojego fachu. Bez wątplenia zniszczyłby R'Achernona i przypuszczalnie także ją, Arion, gdyby tylko pojawiła się na to choćby najmniejsza szansa.

Ale - czy mimo to nie był człowiekiem?

Ta myśl napełniła ją zmieszaniem. Craiden był i będzie dla niej kimś obcym - jej wrogiem, i o tym nie powinna była zapominać ani przez sekundę! Człowiekiem, o którym nie wiedziała nic, a którego zobaczyła po raz pierwszy dopiero kilka godzin temu. A jednak jakaś jej część - bardzo, bardzo drobna - której nie mogła uciszyć ani za pomocą rozsądku ani siły woli, szukała w nim czegoś, czego nawet nie potrafiła określić. Było to wręcz śmieszne, ale jednocześnie ekscytujące. I chwilę potem Arion zrobiła coś jeszcze bardziej szalonego.

Wstała, rozpięła płaszcz i położyła rękę na wąskim srebrnym pasku wokół talii. Przez chwilę poczuła coś w rodzaju niechęci czy też złości - nie były to jednak uczucia jej samej, lecz R'Achernona - ale to było wszystko, do czego ograniczył się jego protest. Otaczająca ją tarcza ochronna zgasła - usłyszała tylko krótkie trzeszczenie, a jej sylwetkę otoczyły przez chwilę iskry ognia św. Elma. Teraz po winna była poczuć się niemal naga, bezbronna i nieodporna na żadne zranienie. Na to uczucie czekała jednak daremnie. Wbrew wszelkiej logice i wszystkim ostrzeżeniom po prostu wiedziała, że on nie robi jej nic złego. Craiden spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony. .. ale także z nieufnością, co nie uszło jej uwagi. Kiedy on również wstał, jego ręka była niepokojąco blisko skanera. Nagle wydał jej się znacznie wyższy niż przed chwilą i bez wątplenia bardziej niebezpieczny. Właściwie skąd, do diabła zrodziło się w niej przekonanie, że on jej nic nie robi, skoro ona sama stwarzała mu do tego wspaniałą okazję?

Bo nie jest głupcem - odpowiedziała sobie na swoje pytanie. Zabicie jej byłoby równoznaczne z jego własną śmiercią. I jego śmierć - w przeciwieństwie do jej śmierci - byłaby ostateczna.

- Wydaje mi się, że podchodzicie do tego rzeczywiście poważnie, księżniczko - przerwał milczenie Craiden. - Zawstydzacie mnie.

Niestety nie mam żadnej osłony, którą mógłbym odłożyć. Ale zakładam, że i tak niewiele by mi pomogła?

- Macie rację - odparła szczerze. - I nie byłoby was tutaj, gdybyście potrzebowali jakiejś osłony. - Roześmiała się i wykonała ręką zapraszający gest - przejdziemy się jeszcze kilka kroków?

Duras. - Czy jest to dla was jasne, drogi senatorze, że księżniczka Infinity nie byłaby zachwycona tym, co teraz robicie? - spytał Duras.

- Już nie mówiąc o odpowiedzi na pytanie, co wy właściwie robicie.

-To mój obowiązek, Żelazny Człowieku - odparł Kinn, nie odrywając ani na chwilę wzroku od tuzina wirtualnych ekranów, które unosiły się nad stołem. Bardzo dobry obserwator od razu by zauważył, że ich liczba była w rzeczywistości pięć razy większa, ponieważ wyświetlane obrazy zmieniały się tak szybko, że oko z ledwością mogło za nimi nadążyć. W dodatku przesuwająca się z boku rzeka danych i liczb była ogromnym obciążeniem nawet jak na jego niezwykle możliwości percepcyjne.

Duras, (który rzeczywiście był bardzo dobrym obserwatorem i po prostu nie był w stanie przeoczyć dosłownie niczego) zauważył jeszcze, że wprawdzie Kinn starał się jedynie sprawiać takie wrażenie, ale w rzeczywistości wcale nie patrzył na ekrany. Dowódca gwardii zastanawiał się, co właściwie miałyby to znaczyć, bo Kinn znany był z tego, że lubił udawać i wywoływać

określone wrażenie - co było wprost proporcjonalne do liczby otaczającej go publiczności. Ale tej przecież nie było tu w ogóle. Duras już przy wejściu niemal zderzył się z chodzącym na dwóch łapach lwem - był to Wundermeer, który jednak już nie odważył się zareagować odpowiednim do odgrywanej przez siebie roli prychnięciem i uderzeniem lwiej łapy. Z wyjątkiem senatora Kinna i śladów niedawnej obecności senator Rymer pomieszczenie było puste, choć wcale nie było w nim cicho.

Wszędzie błyskało i migotało, chmary pokrytych chromem dron o przeróżnej budowie i przeznaczeniu krzątały się przy licznych pulpitych sterowniczych i terminalach komputerowych, a dookoła rozlegało się głośnie brzęczenie urządzeń elektrycznych. Duras, którego ciało było wykonane wyłącznie z metalu, o wiele bardziej intensywnie odczuwał to niż słyszał. Podobnie jak panujący tu gorączkowy pośpiech.

- A co dokładnie waszym obowiązkiem, senatorze? - spytał, kiedy po dłuższej chwili milczenia dotarło do niego, że Kinn nie ma już zamiaru niczego więcej powiedzieć. - Mam na myśli, teraz, w tej chwili? - Duras wskazał na monitory. - Do czego są wam potrzebne?

Przez chwilę żelazny gwardzista był niemal pewien, że nie otrzyma odpowiedzi na swoje pytania. Kinn wpatrywał się w transie w coraz szybciej zmieniające się obrazy i gdyby fizjonomia Durasa pozwalała na to, zapewne zmarszczyłby czoło. Kinn rzeczywiście wydawał się skoncentrowany, a także wyraźnie z jakiegoś powodu zatroskany. Jego twarz była pozornie bez wyrazu, ale Duras odczytywał mowę jego ciała i feromonów. Bo senator był nie tylko zmartwiony i zatroskany - niewiele brakowało do tego, aby rzeczywiście zaczął się bać. Ale czego?

- Moim obowiązkiem jest troszczyć się o bezpieczeństwo naszej przyszłej królowej, kapitanie - odparł rozdrażniony. - Choć właściwie jest to wasze zadanie.

- Bardzo dowcipne! - zagrzmiął Duras. - Chciałem właśnie powiedzieć dokładnie to samo. Ubiegliście mnie.

Kinn spojrzał na niego z wściekłością.

- Jeśli tak bardzo troszczycie się o dobro księżniczki, to co robicie tutaj, zamiast... - urwał w pół słowa, zmierzył Durasa uważnym spojrzeniem, po czym skinął głową: - Ach prawda, jesteście tylko kopią omega.

Żelazny Człowiek postanowił puścić to mimo uszu.

- Senator Rymer poprosiła mój oryginał, aby mnie stworzyć - odparł chłodno. - Nie wiem, dlaczego. Właściwie to nawet jej szu kam. Czy widzieliście ją?

- Nie widziałem jej już od wielu godzin - odparł Kinn. Było to kłamstwo. Senator Rymer była tu przed kilkoma minutami - nie mał w tym samym czasie, co Wundermeer, z którym Duras omal nie zderzył się w drzwiach. Dowódca gwardii przez chwilę na próżno usiłował dociec, dlaczego Kinn próbował go okłamać. Pomijając już fakt, iż powinien wiedzieć, że było to całkowicie niemożliwe.

Duras spojrzał nieco uważniej na migoczące ekrany, spróbował wychwycić tylko istotne informacje i zaskoczony spojrzał na malutkiego senatora.

- Plany koncentracji i przemarszu Quorrlów?

Kinn gorączkowo skinął głową.

- Nie było was przedtem, ale zakładam, że wasz oryginał poinformował was o treści rozmowy pani senator z nami?

To akurat nie miało miejsca, ale Duras nadrobił niedopatrzenie przegrywając momentalnie od R'Achernona odpowiednie wspomnienie na swój dysk i puścił mimo uszu obraźliwą uwagę, do której Kinn czuł się nie wiadomo czemu uprawniony. Skinął twierdząco głową dosłownie po ułamku sekundy.

- Znacie Rymer - mówił dalej Kinn. - Przy całym szacunku dla jej niewątpliwych zdolności, wiemy wszyscy, że ona jest czasami... nazwijmy to nadgorliwa.

Duras akurat o tym nie wiedział. Jego zdaniem przy wypełnianiu obowiązku nie można było być nadgorliwym.

- Macie na myśli to, że Rymer przecenia niebezpieczeństwo, ja kie grozi nam ze strony

mistrza klanu Craidena i jego armii?

Kinn sprawiał takie wrażenie, jak gdyby liczył na zupełnie inną reakcję, skinął jednak głową i wskazał na migoczące ekrany.

- Wszyscy byliśmy tego zdania jeszcze przed kilkoma minutami - stwierdził sucho. - Jak mówiłem: znamy Rymer i jej pesymizm - tak bardzo jej właściwy. Przypomnijcie sobie ten incydent z tytanem, kiedy to o mały włos...

-Jeszcze przed kilkoma minutami...? - przerwał mu Duras.

Senator zamrugał oczami i wyglądał niemal na obrażonego, kiedy Duras podszedł bliżej - choć nie tak blisko, aby właściwy senatorowi dystans i przekora skłaniające go zwykle do ucieczki nie spowodowały tym razem wybuchu paniki. Nawet nie wiedząc, dlaczego to robi, stanął jednak na tyle blisko senatora, że ten zrobił się nerwowy.

Ludzie są doprawdy dziwnymi istotami - pomyślał Duras. Kinn - mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie miał do niego gwardzista - był zarówno doświadczony, jak i inteligentny. We wcześniejszych tysiącleciach uchodziłby z pewnością za geniusza; ale dotyczyło to także większości mieszkańców R'Achernona, którzy nie załamali się pod ciężarem lat i w przeciągu pierwszych tysiącleci nie postradali rozumu. A jednak nie było chyba ani jednego człowieka, który nie pozwoliłby sobą manipulować w mniej lub bardziej subtelny sposób.

Nie po raz pierwszy Duras zadawał sobie pytanie, dlaczego Bóg stworzył kogoś, kto był tak perfekcyjny, a jednocześnie zawierał tyle błędów. I nie po raz pierwszy nie tylko nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, ale i wstydził się, że w ogóle je zadał. Kim on był, że ośmielał się pytać o powody boskich decyzji czy też je krytykować? Z pewnością będzie musiał odpokutować to świętokradztwo. Później.

- Obejrzałem sobie jeszcze raz wszystkie dane - rzekł senator Kinn. Złe samopoczucie miał nieomal wypisane na twarzy.

-I oszczędźcie sobie uwagi, że to nie było konieczne, bo R'Achernon mógłby przeprowadzić taką analizę o wiele szybciej i dokładniej. Sam o tym wiem Żelazny Człowieku. Ale czasami... trzeba spojrzeć na wszystko pod innym kątem, aby dostrzec prawdę.

- I zobaczyliście ją? - spytał Duras. Już dawno rozumiał, co tak bardzo niepokoiło senatora. Tylko on sam jeszcze tego nie pojmował.

Kinn powtórzył jego znaczący gest.

- Prześledziłem grę myśli pani senator - powiedział. - I wiecie co? Ona ma rację! Obejrzyjcie sobie plany przemarszu i wyposażenia jego oddziałów.

- Są bardzo dobre - odrzekł Duras, nie patrząc nawet na ekrany.

- Nie tylko są bardzo dobre - zawołał Kinn zdenerwowany. - Ten Craiden jest geniuszem! Gdyby nie było Ściany i gdyby ta wieża nie była tym, czym jest, zwyciężyłby!

Duras, pełen wątpliwości, przechylił pytająco głowę na bok.

„Gdyby” i „jeśli” nie były słowami, których zwykle używał Kinn.

- Tam na zewnątrz skoncentrowanych jest milion żołnierzy - tłumaczył gorączkowo senator. -I to nie jest kupa dzikich barbarzyńców, tylko zdyscyplinowana, wspaniale wyposażona armia. Nie ma to nic wspólnego z hordami Quorrlów, które znamy, Duras. Nie wiem, jak ten Craiden to zrobił, ale w ciągu mniej niż dziesięciu lat banda głupkowatych barbarzyńców zamieniła się w naprawdę poważnego przeciwnika!

- Dla kogo? - spytał Duras.

- Dla nas - gdyby nie było Ściany. - Ale Ściana jest - upierał się gwardzista. - Przy całej mojej dobrej woli nie widzę sensu tej dyskusji.

- Nie prowadzić jej - ma równie mało sensu - odparł Kinn przekornie. W końcu wpadł na pomysł, aby cofnąć się o krok dalej od kapitana i może w ten sposób pozbyć się tego dziwnego, niewyjaśnionego uczucia niedyspozycji, które go opanowało, gdy Duras był w pobliżu. I rzeczywiście - natychmiast poczuł się znów jak ów szarmancki cwaniak, znany w całym R'Achernonie.

- Oczywiście kiedy ma się ograniczony czas egzystencji, to priorytety są zupełnie inne -

dodał.

Duras preferowałby tu przede wszystkim słowo rozpiętość życia, jak też zamierzał oświadczyć, że ta okoliczność nie jest może tak prosta, jak to się wydawało senatorowi (choć właśnie on powinien to lepiej wiedzieć). Jednak kapitan gwardii poprzestał tylko na znaczącym wzruszeniu ramionami. Prośba Rymer wydawała się pilna, ale nawet gdyby tak nie było, Duras nie widział wiele sensu w kłótni z senatorem. W tym punkcie zarówno Kinn jak i Duras byli tego samego zdania, a mianowicie, że każda rozpiętość życia była za krótka, aby tracić ją na bzdury. Duras zdecydował, że najmądrzejszym posunięciem będzie po prostu odejść, odwrócił się więc w stronę drzwi. Po chwili zatrzymał się jednak na chwilę, bo nagle zauważył coś niezwykłego.

- A co to znaczy? - spytał, wskazując na jeden z ekranów.

- To, co już mówiłem, kapitanie - odparł chłodno Kinn. - Troszczę się o dobro księżniczki i poprzez to także o R'Achernona.

- I dlatego przygotowujecie atak na oddziały Craidena? - spytał zszokowany Duras. - Czy nie jest to zbędny pośpiech?

- Prosiłam go o to, kapitanie - usłyszał z tyłu.

Przez pół sekundy - co było wiecznością jeśli chodzi o standardowy czas reakcji Żelaznego Człowieka - Duras stał osłupiały i nadaremnie łamał sobie swój częściowo mechaniczny rozum, próbując odpowiedzieć na pytanie, jak senator Rymer udało się wejść do sali, a on w ogóle tego nie zauważył. Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć. Odpowiedź na to pytanie odłożył na później i zwrócił się do Rymer.

- O przygotowanie ataku na oddziały zjednoczonych klanów? - upewnił się, nie dowierzając.

- Raczej o to, aby być przygotowanym na wszystkie możliwe ewentualności - odparła senator i dodała: - I nie podoba mi się wasz ton, kapitanie.

- O ile wiem, księżniczka Infinity właśnie próbuje po raz pierwszy od długiego czasu prowadzić poważne rozmowy pokojowe z mistrzem klanu Craidenem. Albo próbuje je przynajmniej przygotować. A to tu... - Duras wskazał na ekran - nie za bardzo przyczyni się do zawarcia rozejmu pomiędzy nami.

- Nie tylko nie podoba mi się wasz ton, kapitanie - powtórzyła szorstko Rymer - on wam po prostu nie przystoi.

- Przystoi mi wszystko, co związane jest z bezpieczeństwem księżniczki - odrzekł rozgniewany Duras. - Jeśli władca klanu dowie się o waszych przygotowaniach, sytuacja może się bardzo pogorszyć.

Może także doprowadzić do tego, że księżniczka znajdzie się w nie-bezpieczeństwie, jeżeli będzie wówczas w jego bezpośredniej bliskości.

- On się o tym nie dowie, o ile nikt mu tego nie powie - zastrzegła Rymer. - A ja zakładam, że nie macie takiego zamiaru, kapitanie.

- Zupełnie nie - wtrącił się Kinn. - Ponieważ kapitanowi przypuszczalnie nie sprawi przyjemności przynoszenie wojskowemu dowódcy Oblężenia wyłącznie dobrych wiadomości.

Rymer spojrzała na senatora zaskoczona, podobnie jak Duras.

Kinn cieszył się tym momentem przez chwilę, zanim z odpowiednio wyreżyserowaną smutną miną dodał: - Zakładając, że ciągle śledzimy grę myśli senator Rymer, to przyjmujemy za pewnik niezniszczalność Ściany i acheronu, ale bierzemy też pod uwagę możliwość, iż oddziały Craidena w teoretycznej konfrontacji zwyciężą.

- Nonsens - wyrwało się Rymer.

- Zwłaszcza, oczywiście tylko zakładając, że zrezygnujemy z użycia broni masowego rażenia.

Kinn nawet nie zadał sobie zbytniego trudu, by ukryć fakt, jak bardzo cieszyło go widoczne zaskoczenie tych dwojga.

- I barbarzyńcy zwyciężą.

- No to już podwójny nonsens - prychnęła Rymer. - Dlaczego, na Boga, mielibyśmy...

- Obawiam się, że senator Kinn ma rację. Moje obliczenia potwierdzają jego szacunki. W tej chwili nie dysponujemy ani dostateczną ilością dron bitewnych, ani też broni konwencjonalnej,

aby odeprzeć tak potężny atak. A użycie broni masowego rażenia nie wchodzi w grę z powodu ogromnej liczby ofiar wśród ludności cywilnej, której należałoby się spodziewać.

- A co na to senator Plixx? - spytał Duras.

- Też chciałabym to wiedzieć - odpowiedziała ponuro Rymer. - Po bankiecie po prostu zniknął. Nikt nie wie, gdzie on jest.

- Nikt? - upewnił się Duras. Ty też nie? - Zgodnie z moimi ustaleniami Szary Myszczur nie przebywa w moich wewnętrznych strukturach - albo jest niedostępny w efekcie działania jakiejś osłony.

Duras nie był zdecydowany, czy powinien być zaskoczony czy może zmartwiony. Jak wszystkie myszy, Plixx także był w stanie ukryć się przed czujnikami R'Achernona - być może jako jedyne istoty na tej planecie - i rzeczywiście nie było to pierwszy raz, że Plixx skorzystał ze swego przywileju i zniknął na kilka godzin albo i dni. Ale właśnie teraz? Duras pytał siebie w duchu, czy może Plixx miał powody, aby się czymś martwić.

- To całkiem możliwe.

- To przecież na razie tylko taka gra myśli - powiedział nerwowo Kinn, aby uspokoić Rymer. - Mamy przecież Ścianę, a acheron pozostaje nadal acheronem.

- Mimo wszystko powinniśmy rozpocząć produkcję dodatkowych dron bojowych - powiedziała Rymer i nikogo to nie zaskoczyło, a już zwłaszcza R'Achernona. - I potrzebujemy jakiegoś dodatkowego systemu obronnego, który nie będzie nas zmuszał do tego, aby zamienić w popiół pół miasta tylko po to, aby uspokoić parę żółwi Craidena.

- To niestety w tej chwili nie jest możliwe, pani senator. Wydajność produkcji jest taka, że ledwo jesteśmy w stanie nadążyć z gaszeniem pożarów. I aby uprzedzić wasze następne pytanie: ten stan może utrzymywać się jeszcze przez całe tygodnie. Albo nawet miesiące. W tej chwili nie mamy innego wyjścia niż zdać się na zręczność księżniczki w prowadzeniu negocjacji.

- Ach! - zawołała Rymer. Duras nie musiał czytać jej myśli, aby wiedzieć, że nie podzielała optymizmu R'Achernona, jeśli chodziło o Arion i jej zdolności negocjacyjne. Westchnęła głęboko, wpatrywała się przez chwilę w migoczące monitory i znów westchnęła - teraz już wyraźnie zmartwiona.

- Coś tu się nie zgadza - wymruczała pod nosem.

- Pani senator? - spytał Duras.

- Nie, nic - Rymer oderwała się z wyraźnym trudem od ekranów nad stołem i już z opanowaną jak zwykle twarzą odwróciła się do kapitana.

- Kazałam was tu wezwać z innego powodu, Duras Omega - rzekła. - Jest pewien problem i potrzebuję kogoś, kto się tym zajmie.

- Problem?

Rymer znów westchnęła i wykonała nieznaczny ruch lewą ręką.

W efekcie ekrany przestały migotać i pojawił się na nich zupełnie inny obraz.

- Mówiąc ściśle, to jest dwadzieścia sześć problemów.

Gea. Wylądowała z glajtem w martwym kącie, który istniał tylko tak długo, jak tylko było to jej potrzebne. Dla Gei ta technika nie była wprawdzie nowa, jednak nigdy nie miała okazji wypróbować jej na jakiejś akcji. Nauczyła się jej dobrze w pałacu swoich sióstr, tam też dokładnie ją sprawdziła. I to nie tylko na dwójce swoich młodszych braci, ale także na swojej guwernantce (która rzeczywiście istniała, w przeciwieństwie do rzekomego ojca). Właśnie guwernantkę przestraszyła śmiertelnie, kiedy wynurzyła się przed nią nieomal z nicości i po chwili bez śladu znikła. Odczuła wówczas ku swemu zdumieniu nawet coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Ale - wszystko funkcjonowało poprawnie i to było najważniejsze.

Drona o właściwościach bycia niewidzialną dla ludzkiego oka, którą sobie wypożyczyła z magazynu pod pałacem swoich sióstr, była przypuszczalnie starsza niż drzewo genealogiczne Gei, jednak funkcjonowała tak dobrze, jak można było się spodziewać po Dawnej Technice.

Gea mimo wszystko była nerwowa, zwlekała długo i musiała upewnić się chyba trzy razy, że

nikt w jej kierunku nie patrzy - dopiero wtedy odważyła się opuścić martwy kąt i idąc szybkimi, choć mimo wszystko spokojnymi krokami, ruszyła wprost w stronę obozu.

Zbiorowisko namiotów, czterokołowych przyczep mieszkalnych i wszelkiego rodzaju schronień było tak ogromne, że wędrowała wąskimi uliczkami jak przez miasto, mijając liczne domostwa, przewidziane do przenoszenia się z miejsca na miejsce. Panował tu ożywiony ruch. Większość postaci, które pojawiały się z naprzeciwka lub wyprzedzały ją pośpiesznym krokiem, byli to żołnierze: uzbrojeni, wysocy mężczyźni różnej narodowości, ubrani w długie płaszcze.

Wśród nich było bardzo wielu Quorrlów, dostrzegła też Findów i przynajmniej trzech przedstawicieli innych gatunków, których nigdy ani nie widziała ani też o nich nie słyszała.

Wszystko to było jej bardzo na rękę, bo w ten sposób zniknął problem, nad rozwiązaniem którego łamała sobie głowę: aby nikt jej nie zauważył. Z zewnątrz obóz polowy wyglądał jak jakaś straszna twierdza, otoczona palisadą o wysokości dwóch i pół metra oraz wieńcem wież strażniczych o podwójnej wysokości, na których urzędowali budzący przerażenie ogromni, uzbrojeni po zęby Quorrlowie

Teraz, kiedy pokonała zewnętrzną palisadę i znalazła się w środku, każdy uważał, że miała prawo tu być.

Nikt jej nie zaczepiał, nie pytał o przepustkę, a większość ludzi, których spotykała, nawet nie zwracała na nią uwagi. Co najwyżej napotykała czasem zaciekawione spojrzenie, którego przyczyną była raczej budowa górnej części jej tułowia niż jakieś papiery. Kilka razy ktoś warknął, aby zeszła z drogi, raz brutalnie zepchnięto ją na bok, kiedy nie ustąpiła dostatecznie szybko. Innym razem jakiś pijany żołnierz powiedział coś do niej i podsunął jej skórzany worek, w którym coś brzęczało. Gea zignorowała go, szybko obliczyła martwy kąt i oparła się pokusie dotknięcia skanera Mark VII, który miała schowany pod ubraniem. Ku jej uldze żołnierz odciągnął jego mniej pijany kolega, zanim zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Mogła spokojnie wędrować dalej. Problemem było to, że nie bardzo wiedziała, dokąd właściwie prowadzi ta droga.

Wojskowy obóz nie tylko zajmował powierzchnię wielkości małego miasta, był też schronieniem dla przynajmniej dziesięciu tysięcy wojowników i przypuszczalnie takiej samej liczby kapłanów, szamanów, czarowników (reprezentujących przynajmniej sto przeróżnych i częściowo wrogich sobie religii, kultów i światopoglądów), lekarzy, rzemieślników, kucharzy, opiekunów zwierząt i prostytutek.

Tych ostatnich było tu rzeczywiście o wiele za dużo. Wszystkie te dane były jej znane, zanim wyruszyła w drogę, ale wiedzieć, a zobaczyć - to było coś tak odmiennego jak dwie pary różnych butów. Gea przyznała, że było to, no, co najmniej optymistyczne, jeśli spodziewała się, że jakoś uda jej się tu znaleźć Craidena.

Ale w końcu nie był byle kim, a ona miała jeszcze kilka możliwości, o których nie mieli pojęcia stojący przy bramach tej twierdzy Quorrlowie - strażnicy o wąskich, zmijowatych oczach.

Gea chętnie zrezygnowałaby z zastosowania nanoszipięgów, ale bez nich jej poszukiwania stałyby się daremne. W tym mieście - labiryncie namiotów - musiało być zapewne co najmniej stu kapitanów, a ona wcale nie była pewna, czy Craiden podał jej swoje prawdziwe imię.

Tak spokojnie, jak gdyby miała do tego pełne prawo, weszła do jednego z małych namiotów, który wydawał jej się pusty. Z ulgą stwierdziła, że tak rzeczywiście było i schowała się w cieniu koło wejścia, zanim sięgnęła pod ubranie.

Kiedy wyjęła rękę, trzymała w niej trzy stworzenia, wielkości mniej więcej jednego palca, o odwłokach w czerwono-żółte paski i niemal przezroczystych skrzydłach. Wyglądały jak krzyżówka osy z niewyrośniętym heliopterem, a ich głowy z wielkimi owadzimi oczami były zbyt wielkie, czego przyczyną była niestychana ilość mikroelektroniki, optycznych wzmacniaczy, techniki odbiorczej i nadawczej, a także pewien rodzaj niewielkiej, brzydkiej broni. Ale kiedy nanoszipięgi były w powietrzu i poruszały się rzeczywiście szybkimi ruchami, do jakich te drobniutkie maszyny były zdolne, nikt ich niemal nie zauważał.

Technomagia - pomyślała, uśmiechając się przy tym kpiąco, kiedy uświadomiła sobie, że użyła teraz tego samego słowa, które po raz pierwszy usłyszała z ust Craidena.

Szybko przypomniała sobie, co ją otaczało, uaktywniła nanoszpiewi poprzez wydany w myślach rozkaz, skontrolowała zapamiętany obraz czarnowłosego kapitana i przekazała go swoim nanoszpiewom. Był to perfekcyjny plan, ale Gea wiedziała, że może upłynąć jeszcze wiele godzin, zanim znajdzie Craidenę, mimo pomocy dodatkowych trzech par owadzych oczu.

O ile go w ogóle znajdzie. Może wcale nie było go w obozie, może był gdzieś w mieście i prowadził tam jakąś małą wojnę wspólnie albo przeciw Quorrlom, a może ratował jakąś biedną, niewinną dziewczynę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, w którym znalazła się z własnej winy. Albo może stawał w obronie biednych i uciskanych.

Albo robił coś, co zwykle robią dobrze wyglądający, niepozabawieni krzepy żołnierze, którzy chcą zabić czas. Albo właśnie spędzał go z jakąś niewinną dziewczyną, która wkrótce przestanie nią być...

Nie, takie myśli były mało konstruktywne. Gea wypuściła mechaniczne owady, poczekala, aż stały się ledwo widocznymi cieniami i wyleciały z namiotu, po czym nawet nie próbując się ukrywać, spokojnie wyszła na zewnątrz. O mały włos zderzyłaby się przy tym z jakimś Quorrllem, który pędem wbiegł do środka i nawet nie zauważyłby jej, gdyby nie wpadła pod jego uzbrojone w kolce stopy.

Pozbierała się szybko, spojrzała na niego jadownicie i bardziej skoncentrowała się na otoczeniu.

Na czterech otoczeniach, mówiąc dokładnie. Jej lewe oko widziało w normalny sposób, ale pole widzenia prawego podzielone było na trzy części i rejestrowało to, co w tej chwili widziały maleńkie owa-dy-szpiewi: a mianowicie wąskie uliczki między namiotami, pełne żołnierzy i cywilów (także to, że większość była pijana i zataczała się idąc), choć co prawda obraz całości był nieco wykrzywiony i kolory nie całkiem odpowiadały prawdzie.

Natychmiast zakręciło jej się w głowie i za chwilę zrobiło jej się wręcz niedobrze.

Szybko wyłączyła wirtualny obraz, zleciła nanoszpiewom zgłosić się dopiero wtedy, kiedy trafią na coś o dostatecznej widoczności i poczekala chwilę, aż ustąpią mdłości. Kiedy znów mogła rozejrzeć się bez uczucia, że jej żołądek wywraca się na drugą stronę, dostrzegła w górnym polu swojego widzenia trzy drobne, pomarańczowe punkty. Nanoszpiewi były więc w drodze.

Mimo to Gea czuła się jakaś... bezradna. Fakt, że jej obecność nie wzbudzała żadnego zainteresowania, świadczył być może o tym, że ten obóz w rzeczywistości był olbrzymi. Wejść tak na chybił trafił i mieć nadzieję, że prędzej czy później natknie się na Craidenę - wydało jej się teraz przesadnie optymistyczne.

Ale jaki miała wybór?

Przyznała się sama przed sobą, że swego czasu dobrze jej doradzano, aby nie zaczynała kariery jako detektyw czy też łowca głów, jednak mimo wszystkich wątpliwości i wahań ruszyła w dalszą drogę. Jeden z trzech pomarańczowych punktów w polu widzenia jej prawego oka zaczął nagle rytmicznie pulsować, ale uspokoił się też niemal momentalnie. Fałszywy alarm. Pewnie pierwszy ze stu, pomyślała zniechęcona.

Dobrze - pozostało więc tylko jeszcze dziewięćdziesiąt dziewięć.

Zaczęła dokładnie przyglądać się wszystkiemu wokół, starając się przy tym nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Zaglądała do namiotów, do wąskich zaułków, będących odgałęzieniami szerszej ulicy, podpatrywała drewniane wozy i wózki - niektóre większe niż znane jej domy. Zatrzymywała się czasami, aby zerknąć pod kaptur jakiejś postaci i przyjrzeć się ludziom, których zachowanie było dla niej niezrozumiałe i obce.

Ten świat, w którym się teraz znalazła, był dla niej zarówno przerażający jak i fascynujący: żołnierze, wojownicy, Quorrlowie, dziwne postacie z obcego świata wyglądali i zachowywali się dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Widziała wojowników, uzbrojonych w miecze, włócznie i tarcze, którzy walczyli w zaciętych pojedynkach (nie była pewna, czy były to czysto towarzyskie próby sił). Widziała ćwiczących żołnierzy, na których krzyczeli oficerowie i jeźdźców galopujących nie tylko na koniach, ale także na innych zwierzętach, z otwartych namiotów dobiegała muzyka, śmiechy i krzyki pijanych, w innych z kolei rzemieślnicy siedzieli przy wielkich kamieniach szlifierskich, a spod przykładanych do nich wszelkiego rodzaju kling leciały snopy



iskier, podczas kiedy tuż obok napinano cięciwy łuku i hartowano metalowe tarcze. Ale widziała też zupełnie inne sceny, których nigdy nie spodziewała się ujrzeć w wojskowym obozie: mężczyźni huśtających niemowlęta na kolanach, gromady biegających i krzyczących dzieci, pilnowanych przez wyraźnie ciężko pracujące kobiety, także otwarte namioty, których wnętrza bardziej przypominały przytulne wnętrza rodzinnego domu niż coś, czego można by się spodziewać w polowym obozie zamieszkanym przez żołnierzy. Były tu także miejsca, gdzie odbywały się osobliwe, dziwne ceremonie, których Gea nie rozumiała, ale niekoniecznie sprawiały one wrażenie mających coś wspólnego z wojskiem. Gdzieś tam stała rzeźnia i mlecznica. W jednym z namiotów odkryła magazyn siodłał, w przynajmniej dwóch innych pracownie alchemików, także piekarnie, a nawet warsztat stolarski, gdzie oferowano drewniane stoły, krzesła, toczone kołyski - zamiast, o dziwo - różnych rodzajów broni. Wyminęła też maleńkiego człowieka, który siedział w słońcu przy stole ustawionym przed swoim namiotem i miał na nim rozłożoną na części broń typu skaner. Prawe oko karła było powiększone aż do absurdalnych rozmiarów i miało niesamowicie błyszczącą źrenicę, zaś jego ręce miały po sześć cienkich palców i dwa kciuki, które tak szybko poruszały się wśród części rozebranej broni, że trudno było prześledzić ich ruchy. Gea mimo wszystko dostrzegła, co po kolei robiły i nagle przyspieszyła kroku, bo było dla niej jasne, że głupiec miał wszelkie szanse wylecieć w powietrze.

I te szanse rosły z każdą sekundą.

Szła teraz trochę szybciej, skręciła dwa razy w pierwszą lepszą alejkę i zwolniła, kiedy była pewna, że eksplozja, której spodziewała się lada moment, już nie nastąpi. Zatrzymała się, oddychając ciężko i dostrzegła dziwne spojrzenie oraz zmarszczone czoło jakiegoś wojownika, który patrzył na nią nieufnie. Pojęła, że zaczęła wzbudzać zainteresowanie. Zareagowała więc nerwowym (i nie do końca przekonującym) śmiechem, odwróciła się i powoli poszła dalej. Nieomal czuła na sobie podejrzliwy wzrok wojownika i rękę na swoich plecach - niemiłe uczucie zniknęło, kiedy skręciła w najbliższą uliczkę.

Przywołała się w myślach ostro do porządku. Fakt, że zdołała tak daleko zawędrować graniczył niemal z cudem - w końcu był to obóz wojskowy - i byłoby doprawdy głupie, gdyby teraz wszystko zepsuła z własnej winy.

A Craiden ciągle nie był bliżej ani o krok.

Najbardziej denerwowała ją myśl, że być może minęła go już nawet o tym nie wiedząc. Połowa mijanych namiotów była zamknięta, a przecież nie mogła zaglądać do każdego, bo prędzej czy później oznaczałoby to narażenie się na kilka naprawdę nieprzyjemnych pytań. Już nie mówiąc o tym, że potrzebowałyby tygodnia na zajrzenie do wszystkich namiotów - obóz był znacznie większy, niż się spodziewała.

Przez chwilę skupiła się więc na trzech pomarańczowych punktach będących w polu jej widzenia i stwierdziła, że nic nie zmieniło się w ich miarowym pulsowaniu (co oznaczało jedynie, że łatwo było je znaleźć) i nieco sfrustrowana powlokła się dalej. Niemal natychmiast w twarz uderzyła ją silna woń przywodząca na myśl wodę pełną zgniłych liści albo coś podobnego. Dotarła właśnie do wąskiego pasa ziemi bez namiotów i zabudowań, na którym wznosiły się wielkie hałdy wszelkiego rodzaju śmieci - być może gromadzono tu odpadki z całego obozu. Już po drugiej stronie pas ziemi urywał się, a około sto pięćdziesiąt lub dwieście kroków dalej za nim zaczynały się ruiny i mniej lub bardziej zniszczone zabudowania miasta. Po tej stronie obozu nie było już żadnej palisady, a Gea nagle zrozumiała dlaczego, dotarłszy do szerokiego rowu po drugiej stronie pasa. Pochyliła się i zobaczyła, że był to obmurowany kanał, w którym płynęła powoli gęsta, błotnista i bardzo śmierdząca ciecz. Na wielkich, kolorowych i tłustych plamach widniejących na jej powierzchni pełzały jakieś dziwne cienie z długimi czułkami, może też dziobami i wielkimi oczami - Gea zaryzykowała jednak tylko jedno krótkie spojrzenie w głąb kanału, bo jej płuca zaczęły niemal płonąć i piekły jak po oparzeniu, kiedy tylko raz wciągnęła powietrze.

Pośpiesznie wyskoczyła na plac i kiedy tylko otworzyła szeroko oczy, zobaczyła, że jeden z nanoszpigów o pomarańczowej, pulsującej barwie zniknął. Pomyślała, że może znalazł się poza zasięgiem jej wzroku - w każdym razie miała taką nadzieję. Jej siostry zamordowałyby ją chyba, gdyby zgubiła jeden z tych kosztownych produktów Dawnej Techniki.

Natychmiast przywołała koordynaty obu pozostałych nanoszpiegów, porównała je z miejscem, w którym akurat się znajdowała i przekazała małym maszynom rozkaz, aby nie ruszały się z miejsca, podczas kiedy ona szybko ruszyła w dalszą drogę. Jeden z nanoszpiegów był oddalony zaledwie o dwa lub trzy rzędy namiotów. Gea szła szybko - choć nie biegnąc - w jego kierunku, ale pulsujące światło zgasło akurat w tym momencie, w którym dotarła do końca wąskiej, ciągnącej się między namiotami alejki.

Ostatnie kroki pokonała już biegnąc, po czym rozejrzała się dookoła z bijącym sercem. Przy stole koło namiotu kilku mężczyzn siedziało grając w karty, kawałek dalej młoda kobieta przyszywała wielką łatę do swojej sukni, która i tak składała się po prostu z resztek różnych materiałów. Gdzieś niedaleko bawiły się dzieci - nie było ich widać, za to można je było dobrze usłyszeć - a na końcu uliczki pojawił się jeździec, który przez chwilę patrzył na nią uważnie, po czym zniknął.

Gea musiała się opanować, aby w miarę spokojnie iść dalej i znaleźć się w zasięgu pozycji ostatniego punktu świetlnego. Nie miała mapy obozu, musiała więc dwa razy zawrócić i nadłożyć drogi, aż wreszcie znalazła się w ślepych, wąskim zaułku, z którego skręciła w szerszą uliczkę, skąd już powinna była dostrzec swojego szpiega.

Zamiast niego dostrzegła trzech jeźdźców na koniach, którzy blokowali wylot uliczki, rozmawiając ze sobą głośno, zaś po drugiej stronie siedział w kucki pijany Quorrl patrząc bezmyślnie przed siebie.

Szpiegowskiej maszyny nie było widać. Drobnutki punkt w polu widzenia jej oka świadczył jednak, że gdzieś tu jest, jednak Gea nie mogła jej dostrzec. Ale w końcu założeniem nanoszpiega było to, że nie można go było zlokalizować.

Usłyszała za sobą jakieś szuranie, szepty i chichoty, ale kiedy odwróciła się gwałtownie, nie mogła w pierwszej chwili dostrzec nikogo. Opuściła wzrok i w zdumieniu uniosła do góry jedną brew, kiedy dostrzegła dziwną kreaturę, która wydawała się być krzyżówką kota i chrząszcza.

- Mana? - spytała zaskoczona.

Kot-insekt zamruczał, po czym wydał z siebie dźwięk, który przypominał miażdżenie kostek lodu w stalowych szczękach i nagle wypluł wprost pod jej stopy coś, co było mieszaniną pogruchotanych elektronicznych części i żółto-czarnych plastikowych odłamków. Tylko tyle zostało z mojego nanoszpiega, siostra mnie chyba zabije - pomyślała Gea.

- Mana? - wymamrotała jeszcze raz. Była prawie pewna, że to ten sam osobliwy stwór, którego widziała w towarzystwie Craideny...właśnie „prawie” pewna. W końcu od tego czasu upłynęły dobre trzy miesiące.

Kot-insekt znów zamruczał, ale w sposób niezbyt właściwy insektom i powoli ruszył naprzód. Po kilku krokach zatrzymał się, odwrócił i znów zamruczał. Minęło dobrych kilka chwil, zanim zorientowała się, że ta kreatura w ogóle nie posiada szyi i z tego powodu odwraca się, aby rzucić jej wyzywające spojrzenie.

Gea zrobiła więc krok w kierunku kota-insekta, ale przy tym stąpnęła na resztki nanoszpiega i zmiażdżyła je swoim ciężarem. Ten dźwięk był dla niej tak bolesny jak przebicie jej własnej tkanki rozpalonym drutem. Kiedy wreszcie chciała ruszyć w ślad za Maną, nie była w stanie zrobić ani jednego kroku. Śmiech dobiegający z namiotu umilkł i wyszło z niego dwóch wysokich mężczyzn w czarnych płaszczach z mieczami przy pasach. Quorrl, który prawdopodobnie nie był aż tak pijany jak się wydawało, wstał i wytrzeszczył na nią niepokojąco jasne oczy. Obejrzała się - dalej widziała jeszcze trzech jeźdźców - już nie u wylotu uliczki, lecz tuż za swoimi plecami. Ciemne, pełne nieufności twarze zwrócone były w jej stronę, a choć jeźdźcy nie wyciągnęli mieczy, to ich dłonie spoczywały demonstracyjnie na ich rękojeściach.

- Och - wymamrotała. - To znaczy, to... To wygląda zupełnie inaczej, niż jest w rzeczywistości, ale ja... hmm, ja szukam tu starego przyjaciela. On jest żołnierzem, wiecie, może nawet go znacie.

Właściwie jestem pewna, że go znacie, bo to nie jest zwykły żołnierz, tylko słynny wojownik i prawdziwy bohater i...

Środkowy jeździec przerwał jej władczym gestem dłoni i jednym ruchem dłoni wyciągnął

miecz, po czym położył jego klingę w poprzek siodła. Jego koń parsknął i obnażył budzące przerażenie zęby - ogromne zęby drapieznika, na widok których Gea poczuła dreszcz.

- Nie, myślę, że coś źle zrozumieliście - odezwała się znowu.

- Całkiem źle zrozumieliście, ja naprawdę chcę...

- Kim jesteś? - przerwał jej jeździec. Nie mówił głośno, ale jego głos był twardy jak stal. - Jak się nazywasz i jak dostałaś się do obozu? Kto cię przysłał?

- Nikt - odpowiedziała Gea. - Naprawdę jestem tutaj tylko po to, aby...

Nie dostrzegła ruchu i uderzenia Quorrla. Aż do tej chwili była dumna z powodu swojego refleksu, ale teraz w niego zwątpiła: sprzed jej oczu powoli zniknął błysk, a ona próbowała się podnieść opierając się na łokciu. Quorrl uderzył ją z taką siłą, że nie była pewna, czy na kilka chwil po prostu nie straciła przytomności. Twarz bolała wprost potwornie i była całkowicie bez czucia, Gea miała więc ochotę obmacać ją ostrożnie palcami, aby się przekonać, czy w ogóle jeszcze ją ma.

- Czy będziesz teraz rozsądnie ze mną mówić, dziewczyno?

- spytał jeździec. - Naprawdę nie chcę sprawiać ci bólu, dziecko, nie sądź, że to dla mnie przyjemność. Ale wiedz, że to zrobię, jeśli będę musiał. I to będzie wyłącznie twoja decyzja, jak straszliwie będzie cię boleć i jak długo to będzie trwać.

To brzmi tak, jak gdyby groził mi poważnie — pomyślała Gea zmartwiona. Szukała w jego oczach cienia litości - lub przynajmniej jakiegokolwiek uczucia - ale nie dostrzegła nic.

Jeździec powoli zsiadł z konia, wsunął miecz do pochwy z pięknej, delikatnej skóry, która znajdowała się przy jego pasie i patrzył oczami bez żadnego wyrazu, jak powoli, z trudem wstawiała i grzbietem dłoni wycierała krew ze swoich warg.

- A więc? - spytał.

- Gea - odpowiedziała. - Nazywam się Gea.

- A kto cię przysłał?

- Nikt - odparła. - Jest tak jak powiedziałam. Szukam mojego przyjaciela. To znaczy, możecie spytać Manę, on to potwierdzi - odwróciła się, chcąc wskazać na kota-insekta, przy czym poczuła, jak z przerażenia sztywnieją jej rysy twarzy. Manę już nie było.

- A więc tylko szukasz tutaj przyjaciela, tak? - spytał raz jeszcze jeździec. - A jak weszłaś do naszego obozu?

- To już wasze strażę są temu winne - odparła kpiąco Gea. I ta odpowiedź nie była szczególnie mądra.

Arion. Odcinek drogi dzielący ich od jeziora przewędrowali na piechotę - i nie było to kilka kroków, jak planowała Arion i jak chyba zakładał zgodnie z tym Craiden, lecz dobre półtorej mili - dystans, który najbardziej rozpieszczone księżniczki mogły pokonać bez docierania do granic swoich fizycznych możliwości. Droga była jednak chwilami tak trudna, że Arion w innych okolicznościach wolałaby pokonać ją na grzbiecie Sztormowego Wiatru bądź po prostu kazałaby się tam zanieść. Dodatkowym utrudnieniem była ciemność, która powodowała, że droga przez las i gęste zarośla stawała się po prostu niebezpieczna.

A mimo to nawet nie przyszła jej do głowy myśl, aby w jakikolwiek sposób walczyć z ciemnościami, ani też po prostu zażądać transportu dla siebie i Craidena. Byłoby to... niestosowne. Sztormowy Wiatr przez chwilę szedł za nimi i w końcu został gdzieś w tyle, kiedy teren stał się zbyt trudny, a zarośla zbyt gęste. Arion kilka razy dostrzegła w ciemnościach niewyraźny, ogromny kształt, który zniknął, jeśli tylko próbowała mu się lepiej przyjrzeć. Była to prawdopodobnie opancerzona kobyła Craidena, wlokąca się za swoim panem podobnie jak Sztormowy Wiatr za nią.

Niewiele ze sobą rozmawiali - od czasu do czasu wymieniali jakieś mało znaczące uwagi, zaledwie kilka zdań, jak gdyby oboje obawiali się dotykać skorupy chroniącej każde z nich. Jednak nie było to uciążliwe ani im specjalnie nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie - Arion wydawało się ważne, aby po prostu być w jego pobliżu i milczenie było jej o wiele bardziej potrzebne niż jakiegokolwiek słowa. Było po prostu dziwne (choć nie miała nic przeciwko pewnej dawce niepokoju), a z każdym krokiem miała nie tylko poczucie, że robi coś najbardziej

właściwego i oczywistego na świecie - ale że robiła to już wiele razy. Było między nimi coś swojskiego, bliskiego, co ją wprawdzie trochę irytowało, ale w jakiś przyjemny, nieco ekscytujący sposób. Arion przez chwilę walczyła z myślą, że Craiden wywiera na nią jakiś dziwny wpływ, ale szybko odpędziła tę myśl. Z jednej strony było to niemożliwe, z drugiej... przypisywanie czegoś takiego Craidenowi wydało jej się wręcz nikczemne.

Chłodne i wilgotne powietrze niosło ze sobą zapowiedź rychłej zmiany pogody. Zbliżyli się do jeziora od zupełnie innej strony. Nie była to, jak oczekiwała Arion, płaska, piaszczysta plaża, zajmująca dwie trzecie jego otoczenia. Tuż nad jeziorem wznosiła się wysoka skała, poprzerzynana licznymi mniejszymi i większymi pęknięciami, w których ginęły rozbijające się fale. Tworzyły one delikatną, przypominającą zasłonę wodną mgłę. Na samym dole skały spływająca z góry spieniona woda tworzyła miniaturowy wodospad, spadając w dół z głośnym szumem.

Arion o sekundę za późno dostrzegła, gdzie była. Wyciągnęła nogę i trafiła stopą w pustkę - momentalnie poczuła na języku gorzki smak adrenaliny. Praktycznie w tym samym momencie silna ręka chwyciła ją za ramię i przytrzymała ją, choć nie na tyle silnie, aby sprawić jej ból.

- Uważajcie, Arion - powiedział Craiden rozbawiony. - Nie chce cię przecież...

Umilkł w połowie zdania w taki sposób, że spojrzała na niego zaniepokojona.

Craiden był... przejęty, jak gdyby rzeczywiście obawiał się o jej życie - i to zaledwie przy możliwości upadku ze śmiesznych pięciu metrów wysokości, w dodatku do wody. I nagle pojęła swą pomyłkę.

Craiden był wstrząśnięty, ale nie patrzył na jej twarz, lecz na coś na dole, pod nią. Spojrzała za jego wzrokiem i drgnęła przerażona, kiedy zobaczyła, że jej stopa była w powietrzu, przytrzymywana przez niewidzialną siłę. Puścił jej ramię tak gwałtownie, że aż straciła równowagę i dopiero teraz upadłaby, gdyby w porę nie przytrzymał jej swą niewidzialną ręką R'Achernon.

Craiden cofnął się o krok. Z jego twarzą (a przede wszystkim z jego spojrzeniem) stało się coś, co się jej zupełnie nie podobało.

- Wybaczcie, księżniczko - powiedział. - To było niestosowne.

Przykro mi.

- Co takiego? - spytała Arion, także cofając się szybko, aż mogła stanąć obiema nogami na twardym gruncie. - Że chcieliście mi pomóc?

- Że was chwyciłem. To nie uchodzi.

Arion spojrzała na niego i zauważyła, że ma coś zupełnie innego na myśli. Nie wiedziała tylko, co. Bezwiednie zaczęła masować przedramię, za które ją chwycił i opuściła szybko rękę, kiedy zobaczyła wyraz jego oczu. Z jakiegoś powodu, którego mimo najlepszych chęci nie potrafiła określić, sprawiał wrażenie naprawdę rozgniewanego.

Zamiast więc powiedzieć wszystko, co w tej chwili miała na końcu języka - powstrzymała się, posłała mu nieco kpiące spojrzenie i ruszyła dalej. Skręciła w lewo, weszła na wąską ścieżkę wiodącą na brzeg, która wynurzała się przed nią dosłownie z nicości i zniknęła tuż za Craidenem.

Zostaw to. Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się, że to go przeraża. - Jak sobie życzycie, księżniczko.

I w tej chwili Arion potknęła się - bo dokładnie tam, gdzie spodziewała się zastać twardy grunt, był akurat żwir, a zaraz potem śliska od wilgoci trawa. Jeden szybki krok i odzyskała równowagę niemal w ostatniej chwili - postanowiła więc przy najbliższej okazji porozmawiać dłużej z R'Achernonem na temat znaczenia słowa humor. I z trudem powstrzymała się od śmiechu, kiedy usłyszała za sobą w mroku jakieś trzeszczenie i ordynarne - zapewne - przekleństwo, które wyrwało się Craidenowi w jego ojczystym języku. Wprawdzie nic nie zrozumiała, ale mogła sobie bez trudu wyobrazić, co ono znaczy.

- Przykro mi, mistrzu klanu - powiedziała. - Myślałam, że jesteście przyzwyczajeni do warunków puszczy.

- Ale nie do takich, których sam nie stworzyłem - zagrzmiął Craiden. Jakoś udało mu się nie upaść tuż koło niej, ale jego ruchy były tak niezdarne, że Arion nawet nie zadała sobie trudu, by

ukryć złośliwy uśmiech.

- Rozumiem - powiedziała. - Wy jesteście przyzwyczajeni tylko do tego, aby zostawiać za sobą spaloną ziemię.

Craiden nie zaszczycił jej odpowiedzią - wykonał jeszcze jeden niezgrabny krok, aby całkowicie odzyskać równowagę i spróbował ukryć ten ruch, wygładzając rękami płaszcz. Ta część odzieży równie mało ucierpiała podczas ostatniego etapu marszu jak duma jej właściciela. W grubo tkanym materiale utkwiły liście i połamane gałązki, a nad lewym ramieniem Craiden Arion dostrzegła głębokie rozdarcie, które nieco ją zaskoczyło. Czy wojownik nie powinien nosić odzieży, która jest w stanie wytrzymać nieco więcej niż zwykły spacer przez las?

Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, wydała R'Achernonowi rozkaz naprawienia szkody, ale o dziwo - nie stało się nic.

- Jak sami zauważyliście, księżniczko, mogłoby go to przerazić.

Tak, ona i R'Achernon musieli porozmawiać. I to pilnie.

- Przepraszam was - powiedziała w końcu. - To było głupie.

Craiden milczał, a Arion czekała chwilę na jakąś reakcję (która jednak nie nastąpiła) i podniosła rękę, aby wyjąć zeschnięty liść, który wplątał się w jego włosy. Craiden nie przestraszył się tego nieoczekiwanego ruchu, ale ona dostrzegła, że niełatwo przyszło mu znieść jej dotyk. Właściwie dlaczego?

Zakłopotana cofnęła więc rękę, odwróciła się w stronę brzegu jeziora i podeszła tak blisko, że podeszwy jej butów znalazły się w wodzie. Ku jej uldze, R'Achernon nie spowodował, że mogła wędrować po jej powierzchni.

-Jakoś... nasz spacer nad jezioro nie jest taki, jak sobie wyobrażałam - powiedziała niezręcznie.

- A co sobie wyobrażaliście, księżniczko? - spytał Craiden. Wyplątał suchy liść ze swoich włosów, popatrzył na niego marszcząc czoło, po czym roztarł go między palcami.

- Właściwie nic szczególnego - wyznała. - Myślałam tylko, że może nie byłoby to głupie, gdybyśmy rozmawiali ze sobą zupełnie jak normalni ludzie.

- Jak dotychczas nie odniosłem wrażenia, że nie jesteście normalni, księżniczko - odparł z uśmiechem.

- Mam na myśli - nie jako władczyni R'Achernona i wojskowy dowódca Oblężenia - mówiła Arion. - Tylko jak dwoje ludzi, którym leży na sercu przyszłość ich ludów.

- To wielkie słowa, księżniczko.

- Właśnie, nie księżniczko. I niewojskowy dowódco. - Arion - jakoś udało mu się wymówić jej imię w taki sposób, że było to niemal bolesne. Ale właściwie dlaczego?

- Przykro mi, że wasz płaszcz się podarł - powiedziała chłodno.

-Jeśli pozwolicie, każę go zszyć.

- Gdybyście sami w tym celu wzięli igłę i nitkę do ręki, może byłbym przyjął tę ofertę.

- Tego nie mogę zrobić - zaprotestowała.

- Oczywiście, z pewnością nie. Jesteście księżniczką. Nie musicie...

-... umieć szyć? - Arion potrząsnęła gwałtownie głową. Po co to wszystko? - Nie mam zwyczaju szyć sama swoich sukienek. Podobnie, jak zakładam - wasz miecz też nie jest wykuty przez was samych.

Craiden uśmiechnął się niemal lekceważąco, wyciągnął cienką klingę z pochwy i podniósł miecz w taki sposób, aby mogła dostrzec ozdobną literę „C” wygrawerowaną na gardzie. Niesamowite. Arion spodziewała się, że ujrzy tam tę literę. I jeszcze bardziej niesamowite wydało jej się, że nie zaskoczył jej widok małej blizny na przegubie jego ręki, na którą wskazał, mówiąc: - Nabawiłem się tego oparzenia w trakcie wykuwania Ognistego Płomienia - powiedział.

Ognisty Płomień. Nadał swojemu mieczowi imię. W dodatku takie męskie. - To musiało być bardzo bolesne.

- Nie aż tak, jak solidne lanie, które spuścił mi mój ojciec za to, że zniszczyłem pierwszy półfabrykat - odpowiedział Craiden.

Trzymał miecz niemal w wyzywającej, dumnej postawie. Arion z instynktowną niechęcią i niesłuchaną ostrożnością ujęła obiema rękami Tschekal - legendarny, sporządzony z gwiazdnej stali miecz Sataiów. Fantastyczna ostrość jego ostrza była jej aż nadto dobrze znana.

Doznała przedziwnego uczucia - jednocześnie ekscytacji i niesłuchanego lęku. Ostrze nie było szersze niż dwa palce, ale dłuższe niż jej ramię i choć czuła jego nadnaturalną wagę, to jednocześnie wydawało się ono być niesłuchanie lekkie - bo tak perfekcyjnie było wyważone. Jediną ozdobą były inicjały Craidena wygrawerowane po obu stronach gardy i maleńka, pięcioramienna gwiazda między nimi.

Sama klinga była idealnie gładka i prosta. Nie było na niej ani śladu krwi, nie wyglądała też na szczególnie ostrą.

Spojrzała pytająco na Craidena, a ten w odpowiedzi skinął głową, cofnęła się więc dwa kroki, po czym wykonała nieco nieporadne pchnięcie. Broń przecięła powietrze z głośnym świstem przypominającym nieco dźwięk, jaki powstaje przy rozdzieraniu jedwabiu, a Arion musiała zadać sobie dużo trudu, aby znów nie stracić równowagi. Dostrzegła jeszcze bardziej kpiący wyraz oczu Craidena, choć także nieco dobroduszny - zrozumiała, że zupełnie nie miał zamiaru jej urazić.

Mimo wszystko poczuła rozdrażnienie.

- Bądźcie ostrożni, księżniczko. Ta broń jest niebezpieczna.

Sprawne posługiwanie się nią nie jest takie proste.

Wyciągnął rękę, co jeszcze bardziej zdenerwowało Arion. Oddała miecz Craidenowi, wydała R'Achernonowi krótki rozkaz, zawierający także podziękowanie i wykonała jednocześnie wyzywający gest ręką (po to, aby czymś wypełnić krótki czas oczekiwania - nie dlatego, że wątpiła w jego zdolności).

- Tschekal, wykuty z gwiazdnej stali - powiedziała. - Pomijając nasz acheron, jest to może najtwardszy materiał w całym wszechświecie. .. Ponoć przecina stal tak, jak gorący nóż tłuszcz. Czy to prawda?

Craiden skinął głową.

- Dużo o tym wiecie.

- To tradycyjna broń Sataiów - odparła. - Przez cały czas wiedziałam, że wasza odzież coś mi przypomina, nie wiedziałam tylko, co. Czy jest jakiś powód, dla którego ubieracie się jak Satai?

Poczuła, jak z tyłu, gdzieś za czołem pojawił się lekki zawrót głowy, a czubki jej palców u nóg i rąk zaczęły swędzieć, zupełnie jak gdyby ścierpły.

- Może dlatego, że jestem jednym z nich? - Craiden wykonał ćwiczebny zamach Tschekalem, a Arion zaskoczyła płynna elegancja tego ruchu.

- Nonsens - Sataiowie wymarli dawno temu. Są dziś tylko legendą, którą nawet mało kto pamięta.

- Ale wy, jak widać, pamiętacie ją - Craiden wykonał kilka kolejnych pchnięć skierowanych przeciwko niewidzialnemu przeciwnikowi, a jego ruchy były teraz tak szybkie i płynne, że przypominały taniec. Taniec śmierci.

- Choć mężczyźni, którzy kiedyś nosili taką odzież i używali takiej broni, umarli już dawno temu, nie znaczy to jeszcze, że wraz z nimi umarł ich duch i przepadły idee, za które gotowi byli oddać życie.

Zawroty głowy ustąpiły, powoli odchodziło też odrętwienie palców. Jeszcze kilka sekund, a Craidena spotka niemiła niespodzianka.

- A wy chcecie przywrócić te idee do życia?

Craiden jednym ruchem ściął naraz dwóch wyimaginowanych przeciwników i odskoczył do tyłu, aby skontrolować kolejne wyimaginowane pchnięcie.

- Myślałem, że znacie już odpowiedź.

- Skąd mam ją znać?

- Czyż nie wiecie wszystkiego? - Broń Craideną zatoczyła ćwierć okręgu przecinając tym razem migocące światło gwiazd, po czym nagle znalazła się w jego lewej ręce, a potem - przerzucona błyskawicznym ruchem - znów w prawej. Craiden wykonał ostatnie pchnięcie w ciemną pustkę przed nim i zakończył prastarą kata wsuwając miecz do skórzanej, niczym nieozdobionej pochwy przy pasie.

- Załóżcie, że ja tego nie wiem - odpowiedziała Arion. - Ale wasze przedstawienie było doprawdy imponujące.

- Sztuka miecza Sataiów - potwierdził. - Bardzo długo trwa, zanim się ją opanuje. Niektórzy ćwiczą całe życie i nie udaje im się osiągnąć perfekcji.

- Ale wy jesteście perfekcyjni?

- Jeśli ktoś myśli o sobie, że osiągnął perfekcję, to jest to pierwszy krok do klęski - odparł Craiden i dodał: - Ale ja jestem zadowolony.

- A więc jesteście w tym dobrzy?

Craiden spojrzał pytająco, kiedy wyciągnęła w jego stronę rękę. Nie stało się nic. Hej! - Księżniczko, odradzam to.

Bo przekazałeś mi zbyt mało danych? - Moja analiza sztuki kata, którą on właśnie zaprezentował, po zwala mi wyciągnąć wniosek, że mistrz klanu Craiden jest rzeczywiście wyśmienitym szermierzem. To mistrz.

A ja - przecież też jestem mistrzynią, prawda?

- On jest ponad dwa razy cięższy od was, księżniczko. I o wiele silniejszy. A ja nie jestem pewien, czy wasza odzież ochroni was od trafienia jego mieczem.

Co, tym... nóż do chleba? Nie bądź śmieszny! Nanity są z acheronu. - One są tylko pokryte acheronem. A siła, z jaką uderzy mistrz klanu, w połączeniu z niezwykłą twardością jego broni...

A więc powinnam lepiej zadbać o to, aby mnie nie trafił, prawda? - pomyślała Arion rozżłoszczona. - mieć nadzieję, że mój nauczyciel jest tak dobry, jak sam o sobie mówi! Dosyć teraz! - Jak rozkażecie, księżniczko.

Bezgłośnie rozmowa trwała dokładnie tyle czasu, ile potrzebowała, aby wyciągnąć rękę w stronę Craideną. Na jego twarzy nie pojawił się jeszcze pytający wyraz; mistrz klanu sprawiał raczej wrażenie zmieszanego. Kiedy w jej ręce pojawiła się czarna klinga o długości ramienia, o szerokości dwóch palców, całkowicie pozbawiona ozdób, pochłaniająca światło i kolor, Craiden spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Chyba... nie robisz tego na poważnie - wyrwało mu się.

Arion postanowiła puścić mimo uszu lekceważącą formę „ty”, dokładnie tak, jak poprzednio zrobił to Craiden.

- Nie boicie się chyba małej dziewczynki, mistrzu klanu? - spytała zaczepnie. - I nie martwicie się - jeśli chodzi o miecz, twardość jego klingi dorównuje dokładnie twardości gwiazdnej stali.

- Czy nie twierdziliście przedtem, że nikt nie potrafi obrabiać waszego acheronu? - spytał Craiden.

- Myślałem, że was ostrzegłem, księżniczko. On nie jest głupcem.

- Przytąpaliście mnie, mistrzu klanu - powiedziała Arion. - Mam dla was propozycję: jeśli mnie pokonacie, zdradzę wam tajemnicę obróbki acheronu. Jeśli nie, będzie to nadal moja tajemnica.

- Nie chcę was skrzywdzić, księżniczko - odparł Craiden poważnie.

- Ach, jak to szlachetnie z waszej strony - zakpiła Arion w odpowiedzi, po czym zrobiła niezgrabny wykrok, celując niezdarnie końcem swego czarnego Tschekala w jego pierś. Craiden nawet nie zadał sobie trudu, aby wyciągnąć broń, lecz obrócił lekko górną część ciała i wykonał spokojny krok do tyłu.

- Broń jeszcze nie dowodzi waszych umiejętności, księżniczko - powiedział łagodnym tonem, w którym wyraźnie pobrzmiwała przygana, z jaką zwykle dorośli zwracają się do upartych dzieci, kiedy chcą wybić im z głowy pomysł włożenia ręki do garnka z wrzącą wodą. Arion nie wątpiła, że użył tego tonu świadomie, chcąc ją jeszcze bardziej zdenerwować.

I to zadziało.

Jej drugie pchnięcie nie było już tak niezdarne i zmusiło Craideną do wykonania pośpiesznego kroku w tył. W efekcie trafił na zarośla i zaplątał się w nich. Rozdarcie na jego płaszczu było jeszcze większe, kiedy zdołał się stamtąd wykaraskać.

- Nie przesadzaj, dziewczyno - powiedział.

- Dziewczyno? - Arion wydała z siebie okrzyk udawanej furii, pchnęła mieczem jeszcze bardziej niezdarnie niż dotychczas i potknęła się. W ostatniej chwili udało jej się utrzymać na nogach, ale przy tym ruchu jej Tschekal przekręcił się w bok i drasnął przedramię cofającego się Craideną - co prawda nie na tyle mocno, aby go poważnie zranić, ale wystarczająco, aby pozostawić długą, krwawą szramę.

Craiden zmarszczył czoło.

- Ale teraz już wystarczy - powiedział surowo. - Brakuje tylko tego, abyście się sami zranili.

-Jak na razie tylko wy krwawicie - odparła Arion zrozumiąle, chwyciła Tschekal obiema rękami i z nieco głupkowskim okrzykiem bojowym runęła na Craideną. A on rzeczywiście dał sobie nieco czasu, aby móc jeszcze raz westchnąć, potrząsnąć z rezygnacją głową, po czym wyciągnął swoją broń i odparł jej kolejne pchnięcie.

A przynajmniej spróbował.

Miecz Arion trafił jego klingę dokładnie pod właściwym kątem, wytrącił broń z jego ręki - miecz zatoczył w powietrzu łuk - i jak srebrny błysk wbił się w drzewo niemal aż po rękojeść. Craiden w zdumieniu wytrzeszczył oczy na pustą dłoń, potem na przeciwniczkę, potem znów na swoje palce. Arion zakładała, że musiały go bardzo boleć.

- To... ehm... przykro mi bardzo, mistrzu klanu - powiedziała, patrząc na niego z tak udawanym zakłopotaniem, na jakie tylko było ją stać. - Mam nadzieję, że nie sprawiłam wam bólu? Naprawdę nie chciałam.

- Tak, to doprawdy śmieszne - powiedział Craiden, bez śladu uśmiechu na twarzy. - Pozwólcie mi przez chwilę pomyśleć. Może wpadnie mi do głowy jakiś żart.

Popatrzył na swoje ramię ze zmarszczonym czołem, wytarł wierzchem kciuka krew i podszedł do drzewa, w którym tkwił jego miecz.

Musiał użyć niemal całej siły swych mięśni, aby wyciągnąć ostrze z pnia. Ale Arion zauważyła natychmiast zupełnie inny sposób, w jaki teraz trzymał miecz. Wiedziała - zabawa się skończyła. Kolejny raz jej przeciwnik nie da się nabrać na numer z małą dziewczynką. A więc dobrze.

- Myślę, że przyjmę waszą ofertę, księżniczko - oświadczył.

-Jeśli was pokonam, zdradzicie mi tajemnicę acheronu.

-A jak ja was pokonam, odpowiecie mi szczerze na pewne pytanie?

-Jakie? - Craiden wykonał Tschekalem kilka skomplikowanych wzorów w powietrzu.

- O tym ja zdecyduję, jeśli was pokonam.

- To brzmi całkiem fair - odparł Craiden z uśmiechem. I zaatakował.

Co prawda jeszcze nie całkiem serio - już początek jego ofensywy uświadomił Arion, że nie był to atak, którego celem miałyby być zabicie jej. Był jednak na tyle poważny, aby tym razem wytrącić jej broń z ręki i zranić ją. Craiden wpadł na dziewczynę z gwałtownością, którą bardzo trafnie przewidział R'Achernon. Arion zadyszana potknęła się niemal natychmiast po tym, kiedy zrobiła unik i przez chwilę rozpaczliwie walczyła o zachowanie równowagi, po czym przegrała nierówny pojedynek, padając do tyłu na wznak. Craiden znów próbował wytrącić jej broń z ręki, nie zauważył jednak z jakiegoś powodu jej umyślnie wysoko podniesionej stopy (która wynurzyła się z nicości dokładnie we właściwym momencie). Zgrabnie wybity przez Arion wykonał elegancki łuk w powietrzu dokładnie ponad nią i bardziej z okrzykiem wściekłości niż zaskoczenia wpadł z głośnym pluskiem do wody. Chwilę potem lustro jeziora zamknęło się za nim.

- Myślę, że teraz go naprawdę rozgniewaliście.

Ach, tak? - pomyślała Arion, potraktowała jednak ostrzeżenie poważnie i podniosła się tak szybko, jak tylko była w stanie. I było to rzeczywiście szybko. A mimo to czasu wystarczyło zaledwie na tyle, aby móc uratować własną głowę.



Craiden dosłownie eksplodował z wody, jednym krokiem znalazł się przed nią, a jego uderzenie przypominało teraz atak demona ociekającego wściekłością. I nagle Arion nie była zupełnie pewna - jak zaledwie przed paroma sekundami - że nie zamordowałby jej ani nie zrobiłby jej niczego złego, gdyby ona dała mu choćby najmniejszą szansę. A także, gdyby tego nie zrobiła.

Bez programów walki, które R'Achernon dostarczył bez jej wiedzy do jej podświadomości, nie byłaby w stanie stawić czoła Craidenowi w czasie zaledwie pierwszych dwóch lub trzech sekund.

Pchnięcia Craidena posypały się na nią tak bezlitośnie, jak srebrny grad gwiazdowego światła, z tak niewyobrażalną prędkością i siłą, że już przy pierwszym uderzeniu jej nadgarstek byłby złamany, gdyby jej kości nie były tylko odrobinę mniej twarde niż ceramiczna stal.

Ale mimo to cofnęła się w efekcie siły jego uderzeń, znów przez chwilę walczyła o utrzymanie równowagi i zyskała przynajmniej tyle, że osłabiła morderczy impet jego uderzeń dzięki dwóm krokom do tyłu. Przy trzecim o mały włos nie wylądowała w tych samych zaroślach, w których przed kilkoma sekundami zaplątał się Craiden.

Intuicyjnie wyczuła raczej niż dostrzegła jego kolejne pchnięcie i błyskawicznie przykucnęła. Klinga Craidena ze świstem przecięła powietrze, bez widocznego trudu przebiła pień drzewa grubości uda tuż obok niej, ponadto Craiden był na tyle nieuprzejmy, że kontynuował ten ruch, próbując uderzyć ją kolaniem w twarz. Ale Arion odbiła uderzenie ułożoną na płask dłonią, przewróciła się do tyłu, mimochodem skonstatowała, iż taki kopniak był na tyle silny, że pogruchotałby jej tę czy inną kość twarzy (o ile nie wszystkie), po czym błyskawicznym kopniakiem zrewanżowała mu się z taką mocą, że po prostu zwałała go z nóg.

- Proponuję, abyście włączyli waszą tarczę ochronną, księżniczko.

Nie! - Arion poderwała się na nogi niemal w tym samym ułamku sekundy co Craiden, zaatakowała obiema rękami i choć nie udało jej się go rozbroić (albo przynajmniej uczynić go łżejszym o jedną rękę czy też ramię, co w tej chwili zaryzykowałyby z przyjemnością), to przynajmniej uchyliła się przed jego kolejnym niepohamowanym atakiem. Udało jej się wykonać pchnięcie i złapać oddech, którego zaczynało jej już brakować. Gdzieś obok niej zatrzeszczało i prze- chyliło się drzewo, aby za chwilę ugrzęznąć w koronie drugiego drzewa tak, że wisało nad ziemią pod niemożliwym kątem, a Arion nie była już pewna, czyja klinga je ścięła. Za to tym wyraźniej dostrzegła w oczach Craidena żądzę mordu i prawdziwą furję. Może nie była to jednak żądza mordu - a raczej nieubłagana wola zwycięstwa i to bezwarunkowo, za wszelką cenę. A ceną miało być jej życie.

- Raz jeszcze radzę wam natychmiast przerwać tę walkę albo przynajmniej włączyć tarczę ochronną. Analiza dotychczasowego przebiegu walki wskazuje wyraźnie, że przegracie.

Nie waż się! Po prostu nie mogła przegrać. Była księżniczką Infinity władczynią R'Achernona i całego wszechświata i z pewnością nie mogła pozwolić sobie na upokorzenie ze strony tego wiejskiego głupka, który wziął się tutaj nie wiadomo skąd!

Nie potrafiła powiedzieć, czy to ta myśl była właśnie czymś, co sprawiło, że nieco grubiańska zabawa musiała nieuchronnie zamienić się w naprawdę poważną sytuację. A może po prostu ta walka nie mogła skończyć się inaczej. Arion przestała myśleć, przewidywać jego ataki czy też planować swoje reakcje, nie mówiąc już o koordynacji własnych ruchów. Po prostu niemal podświadomie obserwowała, jak programy walki, w które wyposażył ją R'Achernon, stopniowo przejęły całkowitą kontrolę nad jej ciałem, a przede wszystkim nad jej refleksem i reakcjami. Ruchy ich obojga przypominały ten sam płynny taniec śmierci, który dopiero co podziwiała u niego - może tylko bez tej odrobiny brutalnej siły i woli zwycięstwa, ale za to jeszcze bardziej elegancki i o większej precyzji ruchów. Łączyły się w nim techniki walki z kilku tysięcy: dawno zapomniane fortele i kontry, jakich już chyba nikt nie uczył, a które Arion stosowała teraz, atakując i będąc atakowaną, a także unikając jego niezliczonych pchnięć, z których każde mogło być śmiertelne. Ich miecze krzeszały iskry, cięły także okoliczne zarośla - równie bez trudu jak chłodne powietrze nocy, a były to gałęzie o grubości przegubu ręki i potężne pnie. Już po kilku chwilach walki oboje byli mokrzy od potu, a oddech Craidena był niemal tak szybki i głośny jak oddech Arion. W ferworze walki stali się cieniami, krążącymi z szybkością tańczących, pełnych ułudy obrazów, które stworzył wiatr pustyni. Ostrza mieczy niemal traciły swą materialność, jak gdyby ich gniew nie był już na tyle wielki, aby ich samych przekształcić w

uosobienie szafu.

Jak każda poważna walka, także i ten zacięty pojedynek trwał zaledwie kilka chwil, nawet jeśli dla Arion wydawał się być wiecznością pełną przemocy. I jak zwykle we wszystkich poważnych bitwach, ostatecznie zwyciężyła prymitywna siła, pokonując wysublimowaną i pełną finezji technikę; Arion poczuła to ułamek sekundy wcześniej.

Jej ruchy były jeszcze bardziej precyzyjne, jej technika jeszcze bardziej wymyślna, ale wszystko to zawiodło wobec potężnego uderzenia, za pomocą którego Craiden pokonał osłonę jej miecza. I właśnie jej miecz, wykonany z niezniszczalnego acheronu, wyleciał wielkim łukiem w powietrze i zniknął w wodzie. I wówczas dostrzegła przerażenie w oczach Craidena, kiedy pojął, co się stało. Ani jego siła ani zdolność do szybkiej reakcji nie wystarczyły, aby powstrzymać uderzenie, a przynajmniej ograniczyć jego siłę.

Tym razem już nawet nie pytając jej o zgodę, R'Achernon zdołał uratować jej życie, aktywując tarczę ochronną, ale to było wszystko, co mógł zrobić.

Arion udało się zarejestrować na jednej płaszczyźnie świadomości poza normalnym upływem czasu - a mimo to z niesłychanym przerażeniem - fakt, że Tschekal Craidena uderzył w jej tarczę i przebił ją, tworząc prawdziwy fajerwerk mikroskopijnych, jasnoniebieskich błyskawic. I na tej samej, osobiwie zwolnionej płaszczyźnie postrzegania Arion nie miała nawet czasu, aby pocieszyć się myślą, że żadna siła wszechświata nie ma takiej mocy, aby przebić jej odzież z nanitów pokrytych warstwą acheronu. I wtedy czas zaczął biec zwyczajnym trybem, a książniczka Infinity otrzymała zarówno lekcję pokory, jak też najbardziej fundamentalnych praw natury, przed działaniem których nie mogła jej uchronić nawet boska siła wieży.

Energia nigdy nie ginie.

Zawarta w nanitach tkanka pochłaniająca światło przejęła na siebie siłę uderzenia w jedyny możliwy sposób, a mianowicie tworząc w ułamku sekundy sztywną osłonę, która zamieniła większą część energii kinetycznej w falę uderzeniową. Otoczyła ona niejako ciało Arion, po czym wyładowała się w postaci promieniowania elektromagnetycznego jako seria syczących iskier oraz fal - a także wydała dziwnie żałosny dźwięk, zupełnie jak ze szklanej harfy. Jednak nie wszystko wyładowało się w ten sposób.

Pozostała część energii przeleciała przez jej ciało w postaci fali uderzeniowej, która uszkodziła liczne organy, zgruchotała wiele żeber po tej stronie, po której uderzył miecz Craidena i mniej więcej o połowę mniej po stronie przeciwnej. Rozsadziła liczne arterie i dotarła do jej wnętrza, dokonując tam licznych, bardzo nie-apetycznych zniszczeń, o których nawet sama Arion nie chciałaby wiedzieć.

Poza tym fala energii spowodowała ból - i to taki, jakiego Arion do tej pory nawet nie była sobie w stanie wyobrazić. Pozostała część impetu pchnięcia, która co prawda nie mogła uszkodzić ani jej odzieży ani też wewnętrznych struktur jej ciała, była jednak na tyle duża, aby nie tylko zwalić ją z nóg, ale po prostu wrzucić ją do wody. Arion znikła w niej jak kamień, w dodatku była nieomal sparaliżowana potwornym bólem i skurczami mięśni, które były następstwem niekończącej się eksplozji w jej ciele. Zrobiło jej się czarno przed oczami, potem znowu czerwono i gdyby była w stanie w tamtym momencie oddychać, zalałaby sobie płuca wodą i po prostu utonąła. Jedyny fragment wszechświata, osobiwy kokon czystego, pulsującego bólu, który istniał w tamtej chwili w jej świadomości, zaczął się coraz bardziej zacierać i znikać. Pomimo, że zaczęła odczuwać ulgę a ból stał się nieco mniejszy, to chyba działało się tak wyłącznie dlatego, że powoli przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Arion czuła, że ogarnia ją jakaś błoga czerń, która za chwilę całkowicie ją pochłonie, ale myśl o tym nie była już nieprzyjemna.

Zamiast jednak pograć się w tej czerni, która jednocześnie stanowiłaby granicę wszelkiego odczuwania, poczuła, że ktoś silnymi ramionami chwyta ją i wyciąga z wody. Światło, które ją otoczyło, było nieomal bolesne, a podczas gdy Craiden bez trudu wydobył ją z wody i wyniósł na brzeg jak dziecko, zaczęła znowu oddychać. W pierwszej chwili wręcz tego pożałowała, bo powietrze, które wpłynęło do jej umęczonej krtani i niemal zmiażdżonych płuc, było jak kwas, który wypalał ją od środka.

Craiden zawołał coś, czego nie zrozumiała, a ból - co wydawało się wręcz niewiarygodne -

stał się jeszcze dotkliwszy aż wreszcie R'Achernon zlitował się nad nią i po prostu wyłączył odczuwanie.

Teraz z kolei poczuła osobliwe swędzenie skóry, a przez odzież przebiegały raz po raz fale, aż wreszcie część nanitów upłynęła się i wniknęła w jej ciało, aby przeprowadzić konieczne leczenie i naprawę uszkodzonych organów.

Craiden odwrócił ją, robił z jej kończynami coś, czego zupełnie nie rozumiała, co było jednak bardzo nieprzyjemne. Przechylił jej głowę do tyłu tak, że niemal nie mogła oddychać, a w dodatku musiała walczyć z nagłą falą mdłości.

- Nie! - dyszał Craiden. - Ja... tego nie chciałem! Gea, strasznie mi przykro, proszę, uwierz mi!

Zupełnie nie rozumiała, co miał na myśli, ale choć on w międzyczasie rzeczywiście zaczął zadawać jej ból i w dodatku niszczył pracę nanitów w jej ciele, wiedziała, że miał dobre intencje, czuła też jego przerażenie bliskie panice.

- Gea! - jękał się nieporadnie. - Proszę... ja tego nie chciałem!

Jego ręce znów próbowały coś z nią zrobić - ale było tylko jeszcze gorzej. Craiden ewidentnie wpadał w panikę.

- Gea... - mamrotał nieskładnie.

Jej tarcza ochronna została wreszcie przywrócona do życia (dlaczego, do diabła, to tak długo trwało?), produkując fajerwerki bladoniebieskich iskier, na co Craiden zareagował pełnym bólu sapaniem i gwałtownym cofnięciem się z rękami przyciśniętymi do ciała. Z jego płaszcza unosił się ciemny dym, twarz była wykrzywiona, a oczy nadal pełne paniki. Upadł na ziemię, spróbował się podnieść i znów osunął się na ziemię, kiedy mięśnie opanowane przez silny skurcz odmówiły mu posłuszeństwa. Natychmiast ponowił próbę i stękając głośno zagryzł zęby z bólu - znów upadł, ale nie poddawał się: powoli dźwignął się na łokcie i kolana.

Arion powoli zbierała siły i usiadła wreszcie, po czym potrząsnęła głową i w obronnym geście wyciągnęła przed siebie ręce.

-Zostawcie, mistrzu klanu... -powiedziała z trudem. -Tylko... sobie zaszkodzicie. To przejdzie... za kilka minut.

Nie starczyło jej siły, aby zwrócić uwagę na odpowiedź - gdyby Craiden był w stanie coś powiedzieć. Arion osunęła się znowu na ziemię, zamknęła oczy i bez odrobiny zaskoczenia stwierdziła, że świat wokół niej zaczął się kręcić. Fakt, że nie bolało, nie wykluczał tego, że czuła się tak nędznie, jak jeszcze nigdy w życiu. Czuła, że wszystkie organy przeszły w stan płynny i jednocześnie były pożerane przez milion drobnych, żarłocznych mrówek. A na skraju tego uczucia pojawiła się znów przerażająca ciemność, próbująca pochłonąć jej myśli. A może ona, Arion, powinna umrzeć, aby uciec przed tymi męczarniami?

- Czy to rzeczywiście jest wasze życzenie, księżniczko?

Przez małą chwilę naprawdę poważnie rozważała tę kuszącą propozycję, zrezygnowała z niej jednak bardzo szybko. Bo wówczas nie tylko porzuciłaby wspomnienie o tym potwornym bólu, ale także o wielu sprawach, o których nie chciała zapomnieć.

- Mogę wysłać dronę, która wykona kopię. To potrwa tylko kilka chwil.

Zdziwiło ją, że R'Achernon jeszcze nie użył tego środka - albo czegoś bardziej drastycznego... pomyślała jednak, że potem ustali powód tego zaniedbania. Milczała, co jej niewidzialnemu opiekunowi wydawało się wystarczać jako odpowiedź. Miała poczucie, że jej organy wręcz się gotują i że z miliona mrówek zrobił się miliard.

Świadomość, że w rzeczywistości wcale jej nie pożerają, przeciwnie: owi mikroskopijni pomocnicy R'Achernona właśnie zszywają rozerwane arterie, spajają pogruchotane kości i odbudowują uszkodzoną tkankę mięśniową i tę, z której składają się jej organy, w najmniejszym stopniu nie pomagała znosić lepiej wolno upływających minut.

Mardu. Choć ta myśl wydawała mu się niewiarygodna, rzeczywiście przespał większą część nocy, szybując wolno na skórzanych skrzydłach unoszonych na fali gorącego powietrza.

Rozumie się, nie było mu zbyt wygodnie.

Generał Mardu jak przez mgłę przypominał sobie liczne, koszmarne sny, z których budził się z głośnym stękaniem albo wręcz wyjąc z bólu, a kilka razy poczuł nawet koło siebie obecność czegoś wielkiego i niebezpiecznego. Ale zawsze wtedy zjawiał się koło niego Quizzack, który potrafił jakoś naprowadzić generała na właściwy kurs, jeśli ten za szybko tracił wysokość albo szybował wprost na ścianę.

Kiedy Mardu już całkiem się rozbudził, otaczała go prawie całkowita ciemność, ale miał jakieś dziwne uczucie, że jest znacznie bliżej kolejnego ranka niż poprzedniego wieczoru. Odczuwał też potworne pragnienie, a jego twarz piekła i bolała tak, jak gdyby zdarto z niej skórę żywcem (który to fakt w pewnym sensie miał miejsce).

Quizzack szybował poniżej i zupełnie się nie ruszał - w pierwszej chwili Mardu zwątpił, czy on w ogóle żyje. Czy ten chłopak nie mówił wczoraj wieczorem czegoś o promieniowaniu? Mardu wsłuchał się we własne ciało. Rzeczywiście czuł niezwykle gorąco, niemal pieczenie. Wprawdzie to nie bolało i nawet nie było specjalnie nieprzyjemne, nie było jednak typowe dla jego organizmu.

Przekręcił głowę tak, aby zobaczyć skrawek czarnego nieba nad sobą - był on przerażająco daleko, poszukał więc wzrokiem rozbitego na kawałki księżyca. Nie było go widać, co znaczyło, że jest chwilę przed albo po północy, tę różnicę trudno jednak było ustalić.

Zdecydował, że musiał być rano, bo cokolwiek innego oznaczałoby, iż cel ciągle był jeszcze daleko przed nimi i że będą musieli spędzić wiele godzin - aż do południa - będąc narażonymi na promieniowanie (nie wspominając już o wysokiej temperaturze). A każda z tych godzin oznaczała jeden rok życia mniej. Możliwe, że Quizzack liczył na rekonstruktora w jego kwatery głównej i na to, że Mardu po tylu licznych trudach będzie chciał mu pomóc. Ale przecież najlepsi rekonstruktorzy też nie byli cudotwórcami. A jeśli nie dotrą do kwatery głównej żywi, to i tak już nie będzie miało to żadnego znaczenia.

- Obudziliście się, panie. To dobrze - chłopak ciągle się nie ruszał, ale jego głos brzmiał wręcz nieprzyzwoicie wesoło. - Zaczynałem się już o was martwić.

- To nie jest konieczne - odparł Mardu dumnie. A właściwie wychrypiał.

- Powiedz mi lepiej, jak daleko jeszcze? - spytał po chwili.

- Już niedaleko, panie - odpowiedział posłusznie Quizzack.

Godzinę później twierdził to samo, po upływie kolejnej także, Mardu nie zadał więc już tego pytania po raz czwarty.

Jego ocena, jeśli chodzi o porę dnia, okazała się trafna. I kiedy po raz trzeci otrzymał tę samą odpowiedź od Quizzacka, upłynęło sporo czasu, zanim słońce wreszcie ukazało się nad kanałem i Mardu wykorzystał okazję, aby obejrzeć dokładniej tę dziwną i osobliwą okolicę. Nie udało mu się wprawdzie zobaczyć zbyt wiele, bo światło wczesnego dnia kryło w półmroku większość szczegółów. Ściana, obok której szybowali, była właściwie niewidzialna. Zdawało mu się, że dostrzegł, iż była wykonana z czegoś w rodzaju żelaza o chropowatej powierzchni i częściowo pokryta rdzą. Tu i ówdzie można było w niej dostrzec ogromne dziury oraz wystające z niej dziwne formy o nieregularnym kształcie, pod którymi coś się ruszało. Coś w tym kanale pochłaniało światło słoneczne, ale Mardu, szczerze mówiąc, zupełnie nie miał już ochoty niczego więcej oglądać.

- Teraz już naprawdę niedaleko, panie - powiedział wreszcie Quizzack. Mardu ocenił, że brakowało mniej więcej godziny do południa, może dwóch.

- Bądźcie teraz gotowi, panie. Dobrze uważajcie i róbcie dokładnie to samo, co ja. Może być trudno, ale dacie radę!

Generał właśnie zastanawiał się nad wyborem pomiędzy uczuciem przerażenia a oburzenia, kiedy chłopak, szybko jak strzała i elegancko jak ptak drapieżnik, ominął jakiś kanciasty gzyms. Był on widoczny tylko dlatego, że światło słoneczne odbijało się w błyszczącym i jeszcze nie całkiem pożartym przez rdzę załamaniu. Mardu zmienił swój tor lotu wyraźnie wolniej i mniej elegancko. O mały włos nie zderzył się z zardzewiałą metalową wypustką wystającą ze ściany i dostrzegł ogromne pęknięcie, liczące mniej więcej trzy lub cztery metry wysokości i tak szerokie, że nie można było rozpoznać jego wylotu po drugiej stronie. Chłopak leciał prosto w kierunku pęknięcia i wleciał w nie jak strzała.

Mardu postawił wszystko na jedną kartę, wycelował prosto w ogromną rysę najlepiej jak tylko potrafił i wleciał w nią kilka metrów za Quizzackiem. Nagle otoczył go zupełnie inny rodzaj ciemności oraz rozległa przestrzeń przypominająca wnętrze potężnej, żelaznej katedry. Chłopak wylądował tuż przed nim, stanął na nogach i zrobił jeszcze kilka niezdarnych kroków, zanim odzyskał równowagę.

Mardu wytrzeszczył na niego zdumione oczy i w przeciwieństwie do adiutanta przyszło mu wykorzystać kolana, pierś i nos, aby ostatecznie wytracić resztkę energii swojego ruchu. Miał jednak szczęście w nieszczęściu: nie stracił całkowicie przytomności, leżał jednak zamroczony tak długo, aż Quizzack wyplątał się ze swego latającego płaszcza i pośpieszył do niego. Musiał użyć całej swej siły, bo Mardu leżał na brzuchu, z rozkrzyżowanymi rękami i nogami, przywiązany do metalowego szkieletu płaszcza i nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Chłopak potrzebował trzech podejść (bardzo bolesnych dla Mardu), aby w końcu przewrócić go na plecy. Upadł na kolana obok generała, zaczął mamrotać jakieś uspokajające bzdury i spróbował niezdarnie rozpiąć paski szkieletu płaszcza.

Po wielu godzinach, w czasie których generał był nieruchomo przywiązany do sztywnych elementów, pierwsze ruchy były tak niesłychanie bolesne, że z oczu pociekły mu łzy i jeśli nie zaryczał z całych sił, to tylko dlatego, że jego krtań była na to po prostu za sucha.

Zrobiło mu się niedobrze. Z trudem udało mu się opanować na tyle, aby nie wymiotować na stopy Quizzacka, ale kiedy usiłował się podnieść, kolana odmówiły mu posłuszeństwa i chłopak musiał go mocno podtrzymać.

- Chodźcie, generale, usiądźcie tutaj - chłopak posadził go w ciemności na czymś, na czym dało się usiąść i nawet oprzeć plecy, chyba na jakimś metalowym, twardym krześle - po czym zniknął. Za chwilę wrócił i wcisnął mu do ręki pocięty metalowy kubek. Mardu ostrożnie spróbował zawartości, stwierdził, że była to ciepława woda o niezbyt ciekawym smaku, ale wypił łapczywie. Jego wysuszona krtań wydawała się wchłaniać płyn jak spalona pustynna ziemia.

Ciecz nie miała w ogóle szansy dotrzeć do jego żołądka - a po wypiciu był chyba jeszcze bardziej spragniony niż przedtem. Poprosiłby Quizzacka, aby ten przyniósł mu więcej wody, ale chłopak znowu zniknął i hałasował gdzieś poza zasięgiem wzroku generała. Mardu upuścił pusty kubek, nasłuchiwał przez chwilę zwielokrotnionych przez echo odgłosów i zmusił się do szerszego otwarcia sklejonych powiek, aby choć trochę rozpoznać otoczenie. Nie przyszło mu to łatwo. Oczy piekły go tak, jak gdyby jakieś karty waliły w nie miniaturowymi pięściami, miał też trudności z rozróżnieniem kolorów - czego przyczyną mógł być też fakt, że żadnych kolorów tu nie było. Znajdowali się w długiej, rozległej hali, która wydawała się być wykonana ze starożytnej stali odlewniczej. Podłoga pokryta była śmieciami, gruzami i przeróżnymi, bezkształtnymi rzeczami.

I akurat na skraju obszaru, który był w stanie rozpoznać za pomocą swego zmysłu wzroku, pojawiło się coś geometrycznego - miał poczucie, że powinien to coś rozpoznać: Quizzack wynurzył się z nicości tuż przed nim, a Mardu potrzebował dobrej sekundy, (a może nawet dziesięciu), aby pojąć, że nie miało to nic wspólnego z technomagią czy też czarami. Po prostu zasnął... Nieco przerażony wsłuchał się w siebie. Jego oba serca biły szybko i silnie, choć ich harmonia była nieco zachwiana. Miał w ustach nieprzyjemny smak, a jego język był spuchnięty i obłożony. Czuł się tak, jak gdyby miał gorączkę, choć jej właściwie nie miał, a z nosa pociekło mu trochę krwi. Pierwsze zwiastuny choroby popromiennej? Czy też był po prostu wykończony?

- Wszystko w porządku, generale? - spytał Quizzack.

- Nie - zagrzemiał Mardu. - Gdzie my jesteśmy?

- Już prawie na miejscu, panie - odparł szybko adiutant, co właściwie nie było odpowiedzią. - Jeszcze tylko schodami do góry i będziemy bezpieczni. Na górze znajdziemy jedzenie i możliwość transportu. Już to przemyślałem. Przy odrobinie szczęścia będziemy przy Niebiańskim Dworcu jeszcze zanim słońce zajdzie.

- A odrobina pecha wystarczy, abyśmy byli martwi, zanim słońce zajdzie, co? - zagrzemiał Mardu. - Przynieś mi jeszcze wody. Jestem spragniony.

- Nie ma już więcej, panie - odparł chłopak z żalem. - To było wszystko, co znalazłem.

Czy to znaczyło, że sam nic nie pił, lecz oddał mu swoją część?

Quizzack wydawał się bardziej uczynny niż sądził Mardu. Mimo wszystko generał spojrział na niego groźnie - czysto profilaktycznie - po czym wyciągnął rękę i pozwolił pomóc sobie wstać.

- To wyprowadź mnie stąd.

Adiutant prowadził go w kierunku jakichś urządzeń, ukrytych w półmroku. Mardu dreptał z wyraźnym trudem, opierając się na ramieniu Quizzacka i zerkał przy tym trwożnie na prawo i lewo. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył ordynarnie wykonany wieszak na ubrania, na którym chłopak powiesił oba płaszcze... a obok wisiało jeszcze z pół tuzina podobnych.

- A więc nie jesteśmy chyba pierwszymi, którzy tu przychodzą?

— wyraził głośno swe przypuszczenie.

- Każdy, kto znajduje tu schronienie, uzupełnia to, co zużył - powiedział Quizzack. - To jest zasada. Tylko że właśnie ktoś, kto był tu przed nami, nie uzupełnił zapasów wody... I poniesie konsekwencje, zadbam już o to. Woda jest ważna.

Ach, słusznie, słusznie - pomyślał Mardu. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu był tak spragniony. Wydawało mu się, że w jego wnętrzościach płonie ogień, który wypala i trawi go od wewnątrz. Pojął, że to jest choroba popromienna-zapewne umrze.

Cóż za nędzny koniec dla takiego mężczyzny jak on!

- A jak wyjdziemy stąd na górę? - spytał.

Quizzack zmierzył go dziwnym spojrzeniem i milczał, podczas kiedy Mardu rozmyślał o tym, że lecąc w dół pokonali dobre pół mili.

A może nawet całą milę. Zatrzymał się, zadarł głowę i stwierdził, że można to dość precyzyjnie ustalić, jeśli zada sobie trud policzenia wszystkich stopni. Stopni? - Chyba... nie mówisz poważnie - wychrypiał.

Quizzack nieśmiało wskazał wąskie, żelazne, kręcone schody, które zaczynały się wprost przed nimi i prowadziły dobre pół mili do góry. A może nawet całą milę. I przynajmniej na krótkim odcinku, który generał był w stanie dokładnie rozpoznać z dołu, schody pozbawione były nawet odrobiny takiego luksusu, jaki stanowiła poręcz. Jakieś niemiłe przeczucie kazało mu sądzić, że dalej jest podobnie.

- Nie będzie tak źle, jak wygląda, generale - zapewnił go chłopak. - To wprowadzie mnóstwo stopni, wiem, ale łatwiej jest po nich wchodzić do góry. Możecie mi wierzyć. Mnie zawsze robi się niedobrze, kiedy muszę schodzić w dół.

Mardu przyjrzał się schodom nieufnie i spróbował z grubsza oszacować ich ilość. Mniej więcej sześć na metr, pomnożone przez...

Nie, tak naprawdę wcale nie chciał tego wiedzieć.

- A innej drogi nie ma?

- Następne wejście położone jest o kilka godzin drogi stąd. I jest o wiele węższe - odparł Quizzack potrząsając głową. - Nie jestem pewien, czy dalibyście radę tam wylądować. Nie dlatego, że uważam was za niezdarę, nie, z pewnością nie to chcę powiedzieć, wręcz przeciwnie. Zrobiliście to bardzo dobrze, jak na kogoś, kto leciał po raz pierwszy w życiu.

- Ach, tak? - wymamrotał Mardu. Czuł jeszcze w kościach każdy kawałek podłogi, na której przyszło mu wylądować.

- Z pewnością! - zapewnił go pośpiesznie chłopak. - Widziałem innych, którzy nawet w połowie nie potrafili zachować się tak rozsądnie i rozważnie. Miesiąc temu jeden lecący ze mną człowiek uderzył o ścianę i spadł w dół.

-I co się z nim stało? - spytał Mardu.

- To była prawdziwa tragedia - odparł chłopak. - Straciliśmy kompletną uprzęż do latania. Taką, jaką mieliście dziś na sobie. Bardzo trudno jest zdobyć nową. Prawie nie ma ludzi, którzy coś takie go produkują, a niektóre uprząże są bardzo złej jakości.

Mardu zdecydowanie postawił stopę na pierwszym stopniu, stwierdził, że uniesie on jego ciężar, potem pokonał drugi, trzeci, a nawet czwarty i wreszcie doszedł do wniosku, że czas na odpoczynek. Sapiąc, usiadł na żeberkowym metalu schodka, przez chwilę oddychał ciężko i z tej

wysokości rozejrzał się po znajdującej się w cieniu hali. Quizzack popatrzył na niego tak, jak gdyby zmagał się w myślach z jakimś poważnym problemem, ale milczał. Mardu kontynuował więc swoją inspekcję. Zbyt wiele nie było widać. Hala była po prostu ogromna, pogrążona w cieniu, a dookoła unosiła się intensywna woń rdzewiejącego metalu i jakiegoś rozkładu... Mardu miał wrażenie, że słyszy coś w rodzaju dziwnego gulgotania zwielokrotnionego echem jak z blaszanej puszką, pojął jednak, że był to jedynie wytwór jego wyobraźni, usłyszał jednak z pewnością delikatne klikanie w bardzo określonym rytmie. Co więc znaczący wieszaki na osobliwe płaszcze, woda, zapasy i to, co chłopak mówił o schodach?

- To nie jest jedyna hala tego rodzaju, prawda? - wyciągnął ostrożny wniosek.

- Nie wszystkie hale są takie jak ta, ale wejścia do nich znajdują się co kilka mil - potwierdził Quizzack. - Dlaczego pytacie?

Wejścia. Czy on powiedział wejścia? - Masz na myśli - upewnił się Mardu cichym, ale już groźnym głosem - że także prowadzą do nich schody?

Quizzack skinął głową.

- Czyli mogliśmy... po prostu po nich zejść, zamiast spadać na łeb na szyję w dół? - upewnił się Mardu - No tak - odparł adiutant.

- To dlaczego tego nie zrobiliśmy?!

- Tak przecież było szybciej, prawda? - odrzekł chłopak z naiwnym, dobrodusznym spojrzeniem. Mardu popatrzył na niego przeciągle, zastanawiając się przez chwilę, czy ma go zrzucić ze schodów już teraz, ale postanowił uczynić to kawałek dalej. Zamiast tego zrobił więc miejsce Quizzackowi, który precyzyjnie przycisnął się obok niego na wąskim stopniu i wyciągnął rękę, pozwalając sobie pomóc. Schody dudniły pod ich stopami i nie wydawały się już tak stabilne i bezpieczne jak przedtem.

- Jak myślisz, ile czasu nam zajmie wejście na górę? - spytał generał niepewnie.

- Niedługo - zapewnił Quizzack. - Może dwie godziny, najwyżej trzy.

Czyli ponad cztery - pomyślał Mardu. I tak będą dłużyć się w nieskończoność. Na początku próbował liczyć schody, szybko jednak zgubił rachubę i stwierdził, że liczba pokonanych stopni nawet w przybliżeniu nie rosła w tym samym tempie, w jakim opuszczały go siły. Co chwila spoglądał w górę i nie trwało długo, aż dostrzegł nad sobą coś w rodzaju kleksa z rozmytego, szarego światła. Czyli schody nie ciągnęły się w nieskończoność, jak podpowiadała mu pewna spora część jego rozhukanej fantazji. Problemem było tylko to, że ów kleks ciągle pozostawał tak samo daleko. Hala miała dwadzieścia pięć albo nawet trzydzieści metrów wysokości, a kręcone schody docierały właśnie do okrągłego szybu, którego średnica była o wiele większa. Między schodami a ścianą szybu ziała przepaść o szerokości około jednego metra. Każdy nieostrożny krok mógł stać się niebezpieczną przygodą. Mardu przesunął lewą rękę po żelaznej kolumnie i stale patrzył w tym samym kierunku, dzięki czemu udało mu się zapanować nad przerażeniem, ale powoli docierał do końca swoich sił i skonstatował, że jego czas się kończy - nie tylko ten, który pozostał mu dzięki Quizzackowi. Wydało mu się, że jeśli szybko nie dotrze do swojej armii, to po prostu umrze. Była to gorzka refleksja, bo także ten dzień musiał się kiedyś skończyć. A jeżeli przy następnym wschodzie słońca Mardu nie będzie wśród swoich oddziałów, one pozostaną bez swojego dowódcy, co w końcu doprowadzi do całkowitego załamania misternego planu.

I ta myśl była tym bardziej dramatyczna, bo oznaczała także, że w pamięci mistrza klanu Craidena on, Mardu, pozostanie jako nieudacznik i - co gorsza - nikt nie będzie pamiętał o tym wszystkim, czego jako wybraniec dokonał, pełniąc tę rolę.

Ten scenariusz nie mógł się spełnić w żadnym wypadku!

Już sama myśl o tym dała Mardu tyle sił, że wytrzymał następne kilkaset stopni, ale i te tajne rezerwy wkrótce się skończyły. Wiedział, że po prostu za chwilę się załamie, jeśli zmusi nogi, aby pokonały jeszcze kolejnych kilka stopni. Runie w dół i roztrzaska się gdzieś kilkaset mil niżej na żelaznej podłodze hali. I przynajmniej jeśli chodzi o dręczone skurczami mięśnie łydek i grzbietu, ta alternatywa wydawała mu się z każdym krokiem coraz bardziej pociągająca.

Nie wydarzyło się nic podobnego, ale Mardu był rzeczywiście na skraju wyczerpania. Wszystko dookoła niego kręciło się w kółko, oba serca z coraz większym trudem tłoczyły gęstą

jak syrop krew w żyły, a tam, gdzie przedtem były mięśnie, teraz czuł tylko jeden ogromny ból i skurcz.

- Zaraz, panie - rzekł nagle Quizzack, zupełnie jak gdyby Mar du głośno się skarżył. - Jeszcze tylko kilka stopni.

Zmęczony generał spojrział w górę przekrwionymi oczami. Jaśniejsza plama szarego światła wcale nie była bliżej. Czyżby chłopak chciał go wziąć na ręce? Nie! Było to nie tylko kilka, lecz dobre dwa lub trzy tuziny stopni, ale wnet siły skończyły mu się ostatecznie. Schody pięły się nadal w górę, ale przed Mardu pojawił się nagle jakiś kawałek podłogi, i to dokładnie tam, gdzie przedtem ziała przepaść. Deski skrzybiały, trzeszczały i dygotały tak, że Mardu był do tego stopnia wyczerpany, że nie zwrócił na to uwagi. Nie był w stanie już niczego odczuwać.

Sapiąc i dysząc wtoczył się na podłogę i osunął się na nią, opierając plecy i głowę o szorstką ścianę. Wszystko wokół niego wirowało.

Wydawało mu się, że nawet ciemność za zamkniętymi powiekami radośnie fika koziołki.

- Odpocznijcie sobie przez chwilę, panie - do jego uszu dotarł głos adiutanta. Pobrzmiwał gdzieś z daleka i był pełen zakłóceń, jak stary odbiornik radiowy. - Ja zaraz wrócę.

Co on wymyślił? Mardu osunął się w objęcia całkowitego wyczerpania i jak przez mgłę słyszał hałasującego chłopaka gdzieś w odległości co najmniej kilku lat świetlnych. A potem, po upływie dwóch lub trzech takich lat Quizzack zaczął głośno kląć.

- Te bydlaki! Urwę im za to głowy! Słowo daję!

Mardu usłyszał, że chłopak wrócił. Zmusił swoje powieki do otwarcia - teraz ważyły całe tony. Twarz Quizzacka zdawała się płynąć w szarej mgłę pełnej czerwonych smug i była po prostu wściekła.

Jego oczy przypominały Mardu oczy gotującego się do ataku szczura.

- Co takiego? - spytał z trudem.

- Nie ma wody! - prychnął Quizzack, tak wzburzony, jak gdyby była to wina Mardu. - Ani jedzenia! Te bydlaki wszystko zużyły i nie raczyły uzupełnić zapasów!

Generał znów oparł głowę o ścianę i spojrział w górę wypatrując jaśniejszej plamy wielkości monety Czy teraz nie wydała się mniejsza?

- A co to znaczy? - wychrypiał niemrawo.

- Że nie mamy nic do picia? - zaproponował chłopak ironicznym tonem. Generał był zbyt zmęczony, aby myśleć o wychłostaniu go za tę bezczelność, ale postanowił w przyszłości nadrobić to zaniedbanie.

Spojrział tylko na chłopaka złym wzrokiem.

- Przynajmniej możecie sobie trochę odpocząć - mówił dalej Quizzack. - Teraz to już... niedaleko.

- A jak „niedaleko” dokładnie? - spytał bezbarwnie Mardu.

- Mamy już prawie połowę za sobą. No, nie całkiem... Ale prawie.

- Ach, tak... - wymamrotał obojętnie Mardu. A potem nagle wyprostował się gwałtownie i wytrzeszczył oczy. Połowę? - Wszystko w porządku z wami, generale? - To chyba było ulubione zdanie Quizzacka.

- Tak! - warknął Mardu. - Potrzebuję jedynie trochę spokoju, małej przerwy. Może tygodnia albo dwóch.

- To odpocznijcie chociaż przez chwilę - w głosie adiutanta słychać było pewną poufałość, na którą właściwie podwładny nie powinien był sobie pozwalać. - To już nic nie zmieni.

Prawdopodobnie nic - pomyślał Mardu przybity (z zupełnie innego powodu, niż przypuszczał chłopak). Zamiast odpowiedzieć, wyprostował się i popatrzył najpierw w lewo, potem w prawo. To, co uważał dotychczas za w miarę stabilną podłogę, okazało się przy dokładniejszych oględzinach niezbyt trwałym prowizorium skleconym z desek, belek i drągów, na którym Mardu w normalnych okolicznościach nie postawiłby nawet worka z żywnością. Pomocniczy pomost między piętrami został skonstruowany przez poprzednich użytkowników schodów, by mogli odpocząć w połowie drogi. Mardu spróbował obiektywnie rozważyć zagadnienie, czy starczy mu



sił, aby pokonać jeszcze raz taką samą odległość i stwierdził, że efekt tych rozważań zupełnie obiektywnie mu się nie podoba.

- Czy zechcecie mi opowiedzieć, generale, dlaczego tak naprawdę prześladowają was helioptery? - spytał Quizzack. Usiadł koło Mardu i podciągnął wysoko kolana.

-Już ci mówiłem.

- Bo zestrzeliliście trzy z nich, to wiem - stwierdził chłopak. - Ale nie wierzę, że tylko dlatego.

- Twierdzisz, że kłamię?! - odparł ostro Mardu.

- Oczywiście, że nie - pośpieszył z wyjaśnieniem chłopak. - Ale to po prostu nie wszystko, czy mam rację? - odwrócił głowę i popatrzył na generała przenikliwie. - Musi być jeszcze jakiś inny powód.

W końcu nie powiedzieliście mi, dlaczego je właściwie zestrzeliliście.

- Do tego potrzebuję jakiegoś powodu?

Mardu widział doskonale, że tu Quizzack niekoniecznie był tego samego zdania, ale nawet jeśli tak było, to chłopak zatrzymał swoje zastrzeżenia dla siebie i odezwał się dopiero po dłuższej chwili: - One was ścigały. Więc je zabiście.

Mardu milczał.

- Ale dlaczego?

- Bo inaczej by mnie zabiły. Quizzack łagodnie potrząsnął głową.

- Dlaczego was ścigały?

Już pomijając fakt, że Mardu daleki był od tego, aby komukolwiek powierzać wojskowe tajemnice, chłopak i tak nic by nie rozumiał.

- To ma coś wspólnego z tym wielkim błyskiem, prawda? - spytał Quizzack po chwili.

- Bzdura! - odparł Mardu automatycznie, umilkł na długą chwilę i w końcu z pewnym zakłopotaniem wzruszył ramionami.

-W każdym razie nie całkiem - dodał.

Chłopak promieniał zadowoleniem.

- Wiedziałem!

- Co takiego? - pytał Mardu podejrzliwie i po chwili zastanowił się, czy aby nie zdradził chłopakowi za dużo. To bowiem oznaczałoby, że będzie go musiał zabić, jak tylko dotrą do Niebiańskiego Dworca. Z jakiegoś nie do końca zrozumiałego powodu niewielka (co prawda) część Mardu by tego z pewnością żałowała.

- Wiedziałem, że musicie być kimś ważnym - uzupełnił Quizzack. - To widać natychmiast, wiecie?

Jeśli chłopak sądził, że uda mu się za pomocą pochlebstw wkraść się w jego łaski, to zupełnie się mylił!

- Ten błysk... - ciągnął dalej adiutant tonem pełnym zadumy, ale i głębokiej czci - to wyście zrobili?

Co było robić? To w końcu nie wina chłopaka, że rozpoznał Wybranego.

- Tak - oświadczył z nieskrywaną dumą generał i dodał: - No, może nie tylko ja za tym stoję. To był plan mistrza klanu Craideny.

Mądry plan, muszę przyznać. Ale ja mu pomagałem.

- Mistrz klanu Craideny?

- Słyszałeś o nim?

- Nie - Quizzack potrząsnął głową przecząco. - Ale wczoraj o nim mówiliście.

- Musiałeś słyszeć o mistrzu klanu Craideny! - powiedział stanowczo Mardu. - Każdy o nim słyszał!

-Ja nie - upierał się Quizzack.

- To władca wszystkich klanów! Najpotężniejszy człowiek w mieście!

- Władcy i potężni nie interesują mnie - powiedział chłodno Quizzack.

- Dlaczego nie?

- A czy oni interesują się mną? - chłopak odpowiedział pytaniem na pytanie i potrząsnął z niezadowoleniem głową. - Dlaczego więc ja miałbym interesować się nimi? Żyję swoim życiem i troszczę się o swoje sprawy, tak jak oni - o swoje.

Mardu westchnął bezgłośnie. Nie był to właściwy moment ani tym bardziej miejsce na polityczne pogadanki, ale z drugiej strony i tak nie mieli tu nic lepszego do roboty. Spytał więc po namyśle: - A jeśli wasze sprawy są także sprawami władców i potężnych?

- Macie na myśli to, że oni mogą dowolnie podnosić podatki i daniny oraz zmuszać mężczyzn z każdej rodziny do odbycia służby wojskowej? - Quizzack wyraźnie postanowił poddać jego cierpliwość ciężkiej próbie.

- Ale wojsko jest bardzo ważne, mój chłopcze - tłumaczył Mar-du z cierpliwą łagodnością, która zaskoczyła nawet jego samego.

- Dlaczego? Po co?

Generał przełknął odpowiedź, którą właśnie miał na końcu języka i która nawet dla niego była jakimś wstrząsem, bo uzmysłowiła mu własną wspaniałomyślność.

- Aby nas wszystkich chronić - odpowiedział po zastanowieniu.

Quizzack skinął głową. W końcu chyba pojął.

- A przed kim? - zapytał.

-Widziałeś przecież ten błysk-westchnął Mardu. -Tak naprawdę był to pomysł mistrza klanu Craiden. Niejako wyraz jego geniuszu.

-I to on spowodował tę burzę ognia, która zniszczyła całe miasto i w której spłonęło tyle istot?

- Nie, to była broń technomagii! - Generał wydawał się urażony. - Nie czyń nas odpowiedzialnymi za przeklęte czary tej o wiele bardziej przeklętej wieży! To oni zbudowali tę bombę!

- Ale czy to nie twój mistrz klanu ją odpalił... ?

Dokładnie rzecz ujmując - tak, to on w decydującym momencie nacisnął guzik. Ale Mardu nie sądził, że takie drobiazgi będą interesowały chłopaka. Skinął głową i mówił dalej: - To był genialny plan. Jestem niemal zazdrosny o to, że to nie ja go wymyśliłem. Oni panują nad nami już tyle lat i jeszcze nigdy do tej pory nie mogliśmy im zaszkodzić. I to dzięki ich własnej przeklętej technomagii!

- A po co mielibyśmy to robić? - nie rozumiał dalej Quizzack.

Mardu zignorował go.

- Ale teraz karta się odwraca! - oświadczył z dumą. - Pokonamy ich za pomocą ich własnej magii. I zobaczysz, że to pierwsze uderzenie - to dopiero początek. Broń jest teraz rozdana o wiele bardziej sprawiedliwie.

- Ale wieża ciągle jeszcze stoi - przypomniał mu Quizzack.

- Tak, bo Craiden za bardzo... - Mardu przygryzł dolną wargę, co nie było dobrym pomysłem, bo ta natychmiast pękła i zaczęła krwawić.

- Bo co? - dopytywał się chłopak.

- Mistrz klanu Craiden jest mądrym człowiekiem - odparł generał, nie patrząc na adiutanta. - Tak, to bardzo mądry i potężny człowiek. Użył tylko niewielkiej części magii, którą dysponuje. Wierz mi, chłopcze, on mógłby zmieść z powierzchni ziemi tę przeklętą wieżę jednym kiwnięciem palca!

- No to dlaczego tego nie zrobił?

- Bo jest za łagodny! - wyrwało się Mardu trochę mimo woli, ale jednak szczerze, z głębi serca.

Quizzack zamrugał oczami, a jego twarz nagle nabrała nieco szelmowskiego wyrazu.

- Za łagodny? Taki potężny wojownik? - spytał ostrożnie.

- Wiem, to brzmi absurdalnie - odparł Mardu, wzruszając ramionami. - I oczywiście taki

prosty chłopak jak ty nie może tego zrozumieć. Ale to właśnie świadczy o wielkości, pojmujesz?

- Tak - rzekł Quizzack, co oczywiście było kłamstwem.

- Tylko naprawdę wielki władca potrafi połączyć wspaniałe zdolności strategiczne z honorem i głęboką troską o prostych ludzi - mówił Mardu z przekonaniem. - Mistrz klanu Craiden jest najpotężniejszym wojownikiem, jakiego znam, ale to także mężczyzna, który myśli o poddanych i który nigdy nie przelałby krwi niewinnych.

-A przynajmniej nie więcej, niż to jest rzeczywiście konieczne. -I on jest teraz w Czarnej Wieży...

- Myślicie o tej przeklętej Czarnej Wieży...

- .. .aby ich władcom przedstawić warunki kapitulacji - dokończył Mardu nie reagując na słowa chłopaka i mówił dalej: - On mógłby ich wszystkich zniszczyć, na miejscu, razem z ich heliopterami, myśliwcami i innymi potworami technomagii, których używają przeciwko nam, ale mistrz klanu Craiden jest człowiekiem honoru i daje szansę nawet najgorszemu wrogowi! Nie chcę ci niczego wmawiać: to mogłaby być okropna wojna. Widziałeś ten błysk i wszystko, co on spowodował. Mistrz klanu Craiden nie chce, aby jeszcze więcej niewinnych ludzi cierpiało z powodu terroru Czarnej Wieży. Tak to wygląda i tak to jest.

I jakie to męczące. - Mardu z trudnością otwierał oczy. Marsz po tych niezliczonych schodach wykończył go bardziej, niż dotychczas sądził.

-Ale wy widzicie to chyba inaczej -wyraził nieśmiało swoje przypuszczenie Quizzack.

Teraz generał powinien był właściwie wpaść we wściekłość, lecz był na to po prostu zbyt zmęczony. Poza tym nie mógł przecież oczekiwać od prostego chłopaka - nawet jeśli ten był jego adiutantem - że zrozumie wszystkie zawite zawiązki i sprzeczności tak wielkiej sprawy.

- Takie proste to nie jest, mój chłopcze - powiedział tonem pełnym wyrozumiałości. - Widzisz, ja jestem żołnierzem - dokładnie tak jak ty, nawiasem mówiąc - a najważniejszą powinnością żołnierza jest chronić ludzi w tym mieście. To znaczy, że czasami nawet musimy zaryzykować własne życie. - Mardu postarał się w tym momencie o odpowiednio poważny ton głosu. - A nawet więcej - ludzie w tym mieście - ci „niewinni”, jak ich nazywasz - oczekują od nas, że będziemy gotowi za nich umrzeć, jeśli to będzie konieczne...

I wiesz co? Oni mają prawo tego oczekiwać. Ale to nie zawsze wy starcza. Czasami sprawy są tak wielkie, że samo nasze życie nie wy starczy i wówczas ci niewinni też muszą wnieść swój wkład. To brzmi brutalnie, wiem, ale życie żołnierza jest czasem brutalne.

-A Craiden...

- Mistrz klanu Craiden - Mardu poprawił chłopaka surowo, ale zaraz uśmiechnął się wyrozumiale - on próbuje zrobić wszystko, aby udział „niewinnych”, który oni muszą wnieść, był możliwie jak najmniejszy. I to przynosi mu wielki zaszczyt, a ja podziwiam go za to, jak zresztą wszyscy jego żołnierze.

- Ale wy postąpilibyście inaczej.

- Decyzja w tej sprawie mi nie przysługuje - odparł generał szczerze i dodał: - podobnie jak tobie.

Quizzack chciał zadać kolejne pytanie, ale westchnął tylko i spojrzał na niego w zupełnie inny sposób niż dotychczas. Sprawiał wrażenie zmartwionego.

- Musimy ruszać w drogę, generale - powiedział.

Mardu skinął głową, spróbował się podnieść i zagryzł zęby z bólu, kiedy mięśnie już na samą „myśl” o dalszym marszu zareagowały ogólnym, bolesnym skurczem.

- Może powinniście odpocząć jeszcze chwilę, panie - zaproponował chłopak.

I może nie jest to najgorszy z twoich dotychczasowych pomysłów - pomyślał Mardu. I zasnął.

Gea. Może przyczyną było to, że coś takiego nie przytrafiło jej się po raz pierwszy w życiu, może powód był zupełnie inny albo też nie było żadnego powodu, ale kiedy się ocknęła, wiedziała z niezachwianą pewnością, że nie upłynęło zbyt wiele czasu; w każdym razie tylko kilka minut, choć uderzenie było naprawdę mocne. Jej usta były pełne krwi, twarz spuchnięta i ścierpnięta, ale jednocześnie paliła tak, jak gdyby stała w płomieniach - niezbyt przyjemna

mieszanka.

Gea końcem języka ostrożnie zbadała stan swoich zębów i stwierdziła, że wszystkie były na miejscu (choć niektóre się ruszały) i równie ostrożnie otworzyła oczy, choć co prawda zaledwie uchylając powieki. Nie była sama. W słabym świetle dostrzegała zaledwie jakieś cienie i niejasny ruch gdzieś w prawym kącie oka. Poza tym nie była już pewna, czy była nieprzytomna czy też tylko tak zamroczona, że jej strażnicy uważali ją za omdlałą. Z ledwością przypomniała sobie, że ciągnięto ją tutaj po jakiejś zakurzonej drodze i po prostu gdzieś brutalnie wrzucono. Pamiętała też jak przez mgłę chrapliwe głosy i czyjeś ręce, które ją obmacywały oraz jedno jedyne słowo, które ktoś ciągle powtarzał, choć ona zupełnie go nie rozumiała.

Nie miało to teraz żadnego znaczenia. I nic też nie zmieniało, jeśli wziąć pod uwagę jej niewesołą sytuację. Gea była przywiązana okrakiem do krzesła, miała ręce spętane z tyłu, przy czym węzeł był wyraźnie zbyt mocno ściągnięty, a dodatkowym sznurem przywiązano ją do oparcia. Tych czterech mężczyzn, sprawców jej niedoli, darzyło ją więc chyba wyraźnym respektem, bo nawet uważali za konieczne zdjąć jej buty i przywiązać ją za kostki grubymi kawałkami sznura do nóg krzesła. Mogła więc poruszyć tylko kilkoma mięśniami, palcami u nóg i głową. I to było wszystko. Palce u rąk miała zupełnie ścierpnięte - nie poddawały się jej rozkazom, bo sznur był tak silnie zaciągnięty, że niemal odciął dopływ krwi. Godzina, może półtorej, oceniła, i trzeba się będzie liczyć z poważnymi uszkodzeniami tkanki. Widoki były więc przykre. Nowe palce były cholernie drogie, a poza tym całość będzie piekielnie bolesna.

To oznaczało, że mogła sobie pozwolić najwyżej na półgodzinne oglądanie tego show - po czym powinna zniknąć.

Przestawiła swój wewnętrzny zegar na odpowiednie odliczanie czasu, jaki jej pozostał i szeroko otworzyła oczy, kiedy rozpoznała w jednym z niewyraźnych cieni po prawej stronie chudziutką postać Finda. Dalsze udawanie nieprzytomnej nie miało już sensu.

I zupełnie jak gdyby odczytała jej myśli, jedna z groteskowych kreatur pojawiła się w polu widzenia Gei i zwróciła w jej stronę swoją przerażającą twarz: składała się ona jedynie z drobnych ust bez zębów w kształcie trójkąta i pary małych oczu, zaś pośrodku znajdował się twór przypominający plaster miodu, nasuwający jednoznaczne skojarzenie ze zrakowaciąłem, obscenicznym wrzodem. Pełnił on zapewne rolę nosa. Między innymi. Jednak Gea nie miała pojęcia - podobnie jak nikt inny na tej planecie - do czego w rzeczywistości ten organ miał służyć. I udało jej się przez zaledwie kilka chwil znieść ten widok bez okazywania obrzydzenia.

- A więc ocknęłaś się już. Trochę za wcześnie, ale nie szkodzi.

W polu widzenia Gei pojawiła się kolejna postać (z pewnością nieprzypadkowo wybrała akurat ten moment). Stała dokładnie przed odsuniętą plandeką tworzącą wejście do namiotu. Gea była w stanie rozpoznać zaledwie zarys tej postaci, wiedziała jednak dobrze, kto ukrywał się za znanym jej głosem. Był to ten człowiek, który pobił ją do utraty świadomości.

- Nie zakładam, że mi teraz powiesz, kim jesteś, kto cię przysłał i po co...?

Gea popatrzyła bez słowa na niewidoczną w mroku twarz i zaczęła poważnie liczyć się z tym, że za chwilę znów zostanie pobita.

Ale mężczyzna przyglądał jej się jedynie przez długą chwilę w milczeniu, po czym bez słowa odwrócił się, by odejść. Finde stał cały czas w tym samym miejscu, patrzył na nią swymi krótkowzrocznymi oczami i wydawał dziwne dźwięki, które mogły znaczyć wszystko albo nic. Nikt nie wiedział, skąd w ogóle Findowie pochodzili, kim naprawdę byli, nikt też nie miał pojęcia, co mówili, jeśli to w ogóle cokolwiek znaczyło. Gea nie była w stanie rozwiązać tej zagadki, podobnie jak setki tysięcy ludzi, którzy także wcześniej tego próbowali.

Zamiast więc dalej maltretować swój żołądek widokiem tej najobrzydliwszej ze wszystkich twarzy, odwróciła ostrożnie głowę i rozejrzała się po namiocie, aby szybko dojść do wniosku, że właściwie nie było tu wiele do oglądania. Namiot był wprawdzie duży, ale praktycznie pusty i z wyjątkiem Finda oraz człowieka, któremu zawdzięczała opuchniętą twarz, nikogo w nim nie było.

Pewnie wszyscy doszli do wniosku, że tych dwóch upora się z nią bez trudu, jeśli znajdzie taka konieczność - była przecież przywiązana do krzesła.

Gea była wprawdzie daleka od tego, aby zacząć się bać, stopniowo ogarniała ją jednak coraz

większa wściekłość i to przede wszystkim na siebie samą. Wszystko wskazywało na to, że nie doceniła tych głupich barbarzyńców i bez drony, która pewnie ciągle szybowiała nad obozem i czekała na jej rozkaz do ataku, byłaby rzeczywiście w poważnych tarapatach. Nie mówiąc już o jej własnej gębie. Gadatliwość o mały włos kosztowałaby ją znów kilka zębów.

A więc dobrze (albo może i nie), na krytykowanie manewrów zawsze będzie czas - najlepiej jeszcze zanim siostry urwą jej głowę za to, że zgubiła nanoszipiegi, a tej straty nie można było powetować.

Gea znów odwróciła głowę w kierunku wejścia i zmusiła oczy, aby zniosły jaskrawe światło i były w stanie rozpoznać więcej niż intensywnie migoczącą plamę jasności. Zbyt ciekawych widoków na zewnątrz też nie było: fragment jakiegoś wozu z ogromnymi oponami po jednej stronie uliczki i zarysy jakichś postaci, z których mało która przypominała człowieka. Normalne odgłosy tak ogromnego obozu przypominały nieregularny szum fal oddalonego morza, a od czasu do czasu przerywał je ostry, kraczący wrzask, który wydawał jej się znajomy, choć nie mogła go dokładnie rozpoznać. Po obu stronach wejścia stały strażę. Gea dostrzegała przez grube płótno namiotu ich zarysy i sądziła, że albo byli to Quorrlowie albo też wyjątkowo wysocy ludzie.

- Pić mi się chce - powiedziała. - Mogłabym dostać łyk wody?

Nie liczyła na odpowiedź, a już najmniej na to, że jej prośba zostanie spełniona. Tym większe było jej zaskoczenie, kiedy Finde odwrócił się, wyszedł z namiotu na swoich trzech szcudłowatych nogach i za chwilę wrócił z popękany porcelanowym kubkiem, w którym na dnie była jakaś resztką wystającej wody.

Gea podniosła głowę na tyle, na ile pozwoliły jej na to pęta i mrużąc oczy popatrzyła w asymetryczną twarz Finda.

- Ach, dziękuję ci, ty obrzydliwy potworze - sarknęła.

Finde pisnął, mlasnął, zagulgotał i wydał jeszcze kilka odgłosów niemożliwych do zdefiniowania, podczas kiedy jego ludzki towarzysz chwycił ją za włosy, odchylił głowę do tyłu i przyłożył jej kubek do ust. Mimo nienaturalnie wygiętej szyi Gea spróbowała coś przełknąć, choć groziło to udławieniem.

- Macie jeszcze jakieś życzenia, milady? - spytał drwiąco. - Może coś do jedzenia albo trochę muzyki, aby czas szybciej minął?

Gea zakrztusiła się i przez chwilę rozpaczliwie usiłowała chwycić powietrze - to była jedyna możliwa odpowiedź w tym momencie - i wtedy w wejściu pojawiła się kolejna, olbrzymia, wręcz monstualna postać.

- Co to za głupoty, Pandormann? Od kiedy tak postępujemy z naszymi jeńcami? W dodatku, kiedy są to jeszcze na wpół dzieci?

- odezwał się przybysz, po czym podszedł bliżej. Po kilku krokach postać przybrała podwójne zarysy - a każdy z nich na swój sposób przedstawiał najbardziej imponujący widok, jaki kiedykolwiek było dane widzieć Gei. Człowiek, którego głos (niemniej imponujący) usłyszała, był nie tylko bardzo wysoki, ale także niesłychanie silnej postury, zaś jego towarzysz, będący krok dalej, wydawał się być karłem w zestawieniu ze swoim towarzyszem. Ale takie wrażenie sprawiałby każdy w towarzystwie pierwszego osobnika. Był naprawdę wysoki: mierzył z pewnością ponad dwa metry i miał absurdalnie szerokie ramiona. Ubrany był w luźne, sięgające kolan spodnie i czarną pelerynę, teraz odrzuconą z ramion, dzięki temu każdy mógł (jeśli tylko miał odwagę) obejrzeć sobie jego ogromne muskuły. Za jego szerokim pasem można było natomiast zobaczyć chromowany rozrywacz po jednej stronie i wielki miecz po drugiej - znakomicie uzupełniał on marsowy wygląd obcego, za to jego głowa...

Gea najchętniej określiłaby ją jako coś w rodzaju koszmarnego snu, ale nie była pewna, na ile to określenie jest trafne, a przede wszystkim - na ile jest ono wystarczające. Twarz nie za bardzo można było rozpoznać, bo pokrywały ją groteskowe, ciemnoczerwone i fioletowe tatuaże. Gea miała uzasadnione przeczucie, że za grubymi wargami ukryte są ostre, spiczaste zęby, zaś za wytatuowanymi powiekami kryją się czujne i zawsze nie-ufne oczy. Ta głowa, i tak budząca trwogę, ukoronowana była dodatkowo przez dwie pary olbrzymich rogów, dzięki którym cała postać przypominała nieco fauna; choć co prawda byłby to najbardziej niebezpieczny i złośliwy faun, jaki kiedykolwiek istniał na tej planecie.

Gea przez chwilę łamała sobie głowę, do jakiego gatunku mógł należeć ten dziwny wojownik i doszła do wniosku, że przynajmniej rogi musiały być implantami.

I że to nie grało absolutnie żadnej roli. Może powinna była przywołać dronę, aby ją stąd wydobyła? I to najlepiej, zanim cała historia przybierze niemiłą dla niej obrót.

-Widzę, że Torman robi na tobie wrażenie - odezwał się mniejszy z przybyszów, który także musiał mieć około dwóch metrów wzrostu i posturę silnego człowieka. Przed laty musiał być

zbudowany o wiele potężniej, ale czas pobilił jego włosy i pochylił ramiona.

- Torman? - z pewnym trudem udało się Gei oderwać wzrok od rogatego przybysza i spojrzeć na siwowłosego. Przynajmniej częściowo. Było w osobie Tormana coś takiego, co kazało nie spuszczać z niego wzroku.

- To mój ochroniarz - odpowiedział siwowłosa i dodał: - Jestem Tarkar, komendant tego obozu i władca klanu Końca. Przypuszczam, że jesteś tu z mojego powodu?

Nie czekając na jej reakcję, zwrócił się do Pandormanna i zaatakował go ostro: - I zdejmijcie jej w końcu te idiotyczne pęta, głupcze! A może boicie się dzieci?

Pandormann posłusznie (i bardzo szybko) stanął za nią i położył jej rękę na ramieniu, ale daremnie czekała na zdjęcie więzów.

- Wiem, że mi to nie przystoi, władco klanu, ale...

- To prawda - przerwał mu Tarkar. - Nie przystoi ci.

Pandormann wahał się jeszcze przez krótką chwilę, ale potem zaczął tym bardziej gorliwie zdejmować jej więzy, poczynając od sznura krępującego jej pierś, potem sięgnął do jej kostek. Węzła na rękach nie był już w stanie rozplatać, po chwili wyciągnął więc nóż i po prostu przeciął sznur. Coś ciepłego i lepkiego pociekło jej po rękach, pomyślała więc, że została skaleczona, nie czuła jednak bólu.

- Dobrze - powiedział Tarkar do Pandormanna - możesz odejść.

I zamelduj się u swego kapitana do pochwały. To była dobra robota.

Wojownik szybko zniknął, a Gea wyprostowała się powoli na swoim krześle i wyciągnęła rękę do przodu. Pandormann rzeczywiście paskudnie skaleczył ją w przegub i o mały włos, a przeciąłby jej arterię, ale założyła, że skarżenie się niewiele teraz pomoże...

- Dziękuję - powiedziała krótko.

Tarkar wykonał ręką lekceważący gest i dodał: - Muszę cię przeprosić...

- ...Gea - odpowiedziała.

Komendant skinął głową.

- Pandormann jest dobrym człowiekiem i wiernym wojownikiem. Czasami tylko jest nadgorliwy. Ale lepiej tak, niż odwrotnie, prawda?

Gea masowała przeguby dłoni i dokładnie tak jak się spodziewała, jej palce najpierw zaczęły swędzieć, a potem boleć. W każdym razie na szczęście nie były jeszcze czarne. Przezornie nie zareagowała na słowa Tarkara. Ciągle rozważała w myślach pomysł natychmiastowego zniknięcia. Nie do końca przekonująca uprzejmość starszego wojownika nie pozostawiała żadnych złudzeń, a jego milczący ochroniarz z każdą chwilą wydawał się coraz bardziej przerażający.

- A więc masz na imię Gea - odezwał się władca klanu po upływie dobrych kilku sekund. - A z jakiego klanu jesteś?

- Z żadnego - odparła.

- Z żadnego? - upewnił się Tarkar. Wydawało się, że nie chciał w ogóle usłyszeć odpowiedzi na swoje pytanie, bo podniósł rękę i potrząsnął głową.

- A więc masz na imię Gea i nie należysz do żadnego klanu - powtórzył. - A kto cię tu przysłał?

- Nikt - odpowiedziała. Ręce już nie swędziały, lecz pulsowały, a jej głos zaczynał po prostu drżeć. Tarkar uważał to przypuszczalnie za objaw strachu, ale to akurat mogło być dla niej korzystne. Próbowwała zacisnąć nacięcie na nadgarstku, aby nie krwawiło tak mocno, ale tylko pogorszyła sprawę.

- Ale zakładam, że chcesz ze mną mówić? - spytał władca klanu.

- Z wami? Ale przecież ja was w ogóle nie znam.

Tarkar uśmiechnął się jak ojciec, który właśnie otrzymał szczególnie naiwną, ale w jakiś sposób wzruszającą odpowiedź od ukochanego dziecka i po raz pierwszy Gea zaczęła odczuwać przerażenie. Tarkar nie zadawał sobie trudu, aby wydawać się kimś groźnym bądź też w jakiś

sposób onieśmielać, ale właśnie to spowodowało, że obudził się w niej lęk. Nie miała pojęcia, kim był ten człowiek, czy rzeczywiście był władcą całego klanu czy też tylko wyższym oficerem, który chciał jej po prostu zaimponować, ale zupełnie nie robił wrażenia kogoś, kto przyzwyczajony jest zadawać pytania dwa razy, bądź też znosić działania wbrew swojej woli. Podczas kiedy czekała na jego dalsze słowa i na to, kiedy da jej okazję, aby mogła spokojnie zastanowić się i odpowiedzieć na jego pytania, próbowała wyczytać cokolwiek z jego mimiki. Ale to jej nie wychodziło. Twarz Tarkara była jednoznacznie twarzą starego, ale bardzo silnego człowieka, jednak Gea nie ważyła się oceniać, czy był to ktoś, kogo stać na litość.

Trochę obawiała się odpowiedzi na to pytanie... co właściwie oznaczało, że już ją znała. Ale jednak dostrzegła coś znajomego w jego twarzy, coś, co wzbudzało jej zaufanie.

- Oczywiście, że nie mam na myśli dokładnie swojej osoby. Ale zakładam, że chcesz rozmawiać z władcą klanu albo przynajmniej z komendantem tego obozu i przekazać mu coś ważnego.

Gea wytrzeszczyła na niego oczy.

- To znaczy: dlaczego miałabyś zadawać sobie tyle trudu i ryzykować własnym życiem, aby zakraść się tutaj niepostrzeżenie, jeśli nie jest to naprawdę ważna sprawa?

- Moim... życiem? - wymamrotała Gea. Dobrze, tym razem wygrał. Bo teraz - po prostu się bała.

- Jesteśmy w stanie wojny, dziecko - odparł Tarkar. - A to jest obóz wojskowy. Wyruszamy jutro, najpóźniej pojutrze, a ty zakradasz się tutaj i spodziewasz się, że to nie będzie związane z zagrożeniem życia? - potrząsnął głową. - Tak głupia chyba nie jesteś. Przede wszystkim dlatego, że potrafiłaś sobie zadać tak dużo trudu, aby cię nikt nie rozpoznał. I to chyba jasne, że strażników przy bramie będę musiał kazać wychłostać, o ile nawet nie ściąć za to, że cię tu wpuścili.

- Oni nie są winni - odparła Gea. - Nie mogli mnie widzieć.

Tarkar skinął głową i sięgnął pod płaszcz.

- Bo miałas ze sobą coś takiego - wyciągnął rękę, na której było pełno mikroskopijnych szczątków jakiegoś urządzenia elektronicznego oraz kilka większych, żółto-czarnych, plastikowych odprysków.

- Co... to jest? - spytała.

Nie byłaby zaskoczona, gdyby w tym momencie zdenerwował się albo nawet ją uderzył - albo gdyby kazał to zrobić swojemu rogowemu mięśniakowi, co było bardziej prawdopodobne. Ale on jedynie skinął głową i mówił dalej, wskazując gestem drugiej ręki na to, co miał w pierwszej: - Technomagia albo to, co z niej zostało. Bardzo stare i bardzo drogie.

- Dawna Technika - powiedziała Gea.

- Tak, niektórzy tak to nazywają.

Przez chwilę oglądał w zamyśleniu smutne resztki nanoszpiega, po czym wypuścił je z ręki i potarł jedną dłoń o drugą, chcąc oczyścić je z elektronicznych śmieci jak z piasku.

- Niewielu ludzi zna to wyrażenie. A jeszcze mniej wie, kiedy go można użyć. Właściwie nikt, kogo znam.

Znowu podniósł rękę i powstrzymał Geę, która właśnie chciała coś powiedzieć.

- Opowiadam ci to z pewnego bardzo określonego powodu, moje dziecko - powiedział. - Zadam ci teraz kilka pytań i naprawdę byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś odpowiedziała na nie zgodnie z prawdą.

Zrób tak, bo wtedy może nawet daruję ci życie.

Cóż za niezwykła wspaniałomyślność - pomyślała Gea. Szykowała się właśnie do tego, aby przywołać dronę. Jak dotychczas ta mała przygoda wydawała się nawet wesoła (choć co prawda nieco bolesna), ale stopniowo Gea zaczynała mieć jej dość. I tak doszła już do wniosku, że jej poszukiwania nie były niczym innym niż tylko wariackim pomysłem. I to łagodnie mówiąc. Jedyne, czego trochę żałowała, to tego, że nie zobaczy głupiego wyrazu ich obu twarzy, kiedy na ich oczach wkrótce dosłownie rozplynie się w powietrzu.



Wydała rozkaz dranie.

- Naprawdę nie wiem, czego wy ode mnie... - zaczęła, oczywiście tylko po to, aby Tarkar znów jej przerwał.

- Kto cię przysłał i dlaczego? Miałaś mnie zabić czy też szpiegowałaś, aby ustalić stopień naszej mobilizacji i stan armii?

Temu facetowi wydaje się, że jest naprawdę kimś bardzo ważnym.

I gdzie jest ta przeklęta drona?

Tarkar wymienił przeciągłe spojrzenie z rogatym potworem, który przypuszczalnie nie służył do niczego innego, niż do napędzania ludziom strachu i wykonał nieznaczny ruch ręką. Torman odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Gea po raz drugi przywołała dronę i także teraz nie otrzymała odpowiedzi, za to na twarzy komendanta pojawił się osobliwy wyraz, który w ogóle jej się nie spodobał. Coś, co ukrywało się pod uśmiechem, było jednak dokładnie jego przeciwieństwem.

- Powinnaś zacząć mówić, dziecko - powiedział. - Wydaje mi się, że w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z powagi swojej sytuacji.

Schwytano cię, kiedy szpiegowałaś w naszym obozie. Jeśli ktokolwiek opowiadał ci, że to tylko ekscytująca przygoda, to cię okłamał.

Czy wiesz, że zabijamy szpiegów?

- Szpiegów? - wymamrotała.

- Nie wiedziałaś o tym?

Gea wiedziała w tej chwili tylko tyle, że już najwyższa pora zniknąć. Fakt, że drona się nie zgłaszała, nie był jeszcze powodem do zmartwienia. Zaprogramowała ten wytwór Dawnej Techniki tak, że drona pracowała w pełnym trybie maskującym, czyli była niewidoczna we wszystkich możliwych okolicznościach i nie odpowiadała na wszystkie jej komendy, choć Gea oczekiwała, że przynajmniej na nie zareaguje. A co, jeśli...

Torman wrócił. Niósł w ramionach coś, czego Gea w ostrym świetle przy wejściu do namiotu nie mogła w pierwszej chwili rozpoznać, ale było to coś niewielkiego i ciemnego. W końcu jej i tak pracująca jak w amoku fantazja podchwyciła okazję, aby rozpoznać dymiące resztki drony ostrzegawczej.

Skoczyła do przodu ze zduszonym okrzykiem i zatrzymała się gwałtownie, kiedy Tarkar podniósł rękę, aby ją pochwycić. Już sam ten fakt spowodował u niej wybuch paniki.

- Bez obaw! - powiedział szybko. - To stało się bez mojej wiedzy i nigdy bym do tego nie dopuścił. Ktoś, kto za to odpowiada, został już surowo ukarany.

Gea zmusiła się, aby spojrzeć jeszcze raz i powstrzymać swoją wyobraźnię. Ochroniarz Tarkara nie przyniósł zniszczonych resztek drony, lecz coś, co odpowiadało jej wielkości i w pierwszej chwili stanowiło jeszcze bardziej przerażający widok.

Najpierw pomyślała, że było to martwe dziecko, ale niemal błyskawicznie zrozumiała swą pomyłkę. Był to karzeł, niewiele większy od dziecka, z typową, nieproporcjonalnie dużą głową, zbyt długimi ramionami i zbyt krótkimi nogami. Karzeł był martwy i już na samą myśl, co musiał wycierpieć, zanim umarł, Gei nieomal wywrócił się żołądek. Nie pierwszy raz widziała kogoś, kto był torturowany, ale nigdy tak okrutnie. - Nie wolno ci teraz tego źle zrozumieć - odezwał się Tarkar po chwili, a w jego głosie słychać było współczucie. - Nie pokazuję ci go po to, aby cię przestraszyć.

Ach, nie, doprawdy? To po co w takim razie? Zupełnie jak gdyby wypowiedziała to pytanie głośno, Tarkar odpowiedział: -Ale powinnaś pojąć, jak poważna jest twoja sytuacja, moje dziecko. Powiedz mi to, co chcemy wiedzieć i nic ci się nie stanie, daję ci moje słowo jako głowy klanu Końca.

Gea nerwowo przejechała językiem po tak spierzchniętych i suchych wargach, jak gdyby nic nie piła od wielu dni. Gdzie też może być ta cholerna drona? - Dokładnie rzecz ujmując, nie zadaliście mi jeszcze żadnego pytania - powiedziała i dostrzegła gniewnie zmarszczone czoło Tor- mana, dodała więc pośpiesznie: - władco klanu.

Tarkar postąpił jej uśmiech, który właściwie uśmiechem nie był i powiedział: -Jak mądrze, moje dziecko.

Skinął na Tormana, a ten w odpowiedzi upuścił okaleczonego karła na gliniastą ziemię, co było przyczyną kolejnego ataku mdłości u Gei. Ciało poruszyło się w taki sposób, jak gdyby nie było w nim żadnej nienaruszonej kości. Ale jej wydało się, że kątem oka dostrzegła jakiś niewyraźny ruch. Być może było to tylko przeczucie czegoś, co mogło być ruchem. Poczuli nagłą ulgę.

- Czy wiesz, co to za istota? - Tarkar wskazał na Finda, który cofnął się w cień gdzieś w tylnej części namiotu, jak gdyby wstydził się swojej brzydoty. Gea ostrożnie potrząsnęła głową i wykorzystwała ten ruch, aby zerknąć w stronę wyjścia. Dostrzegła jakiś nieznaczny ruch, widoczny tylko dla niej. Dlaczego do diabła to cholerstwo - drona - jeszcze się nie pojawiło?

Finde gwizdnął, a Tarkar w odpowiedzi potrząsnął głową z uśmiechem.

- Kłamiesz - powiedział.

- Słucham, panie? - spytała niepewnie .

- Nie mówisz prawdy - powtórzył Tarkar. - Widziałaś już takie stworzenie.

Znowu nie dopuścił jej do głosu, zanim w ogóle zdążyła odpowiedzieć.

- Chcę ci ułatwić sprawę, dziecko. Te stworzenia są rzeczywiście paskudne i niczemu ich brzydotą nie służy... ale mają jedną zaletę.

Czy wiesz, jaką?

Gea potrząsnęła z wahaniem głową. Znowu dostrzegła jakiś ruch przed wejściem i nagle zrozumiała problem. Nie był on bynajmniej błahy Drona pracowała w pełnym trybie maskującym, co oznaczało, że była niewidoczna nie tylko dla większości elektronicznych urządzeń nadzorujących, (których tu nie było), ale także dla gołego oka (oprócz jej własnego).

Dlatego też unikała bliskości wszystkich potencjalnych niebezpieczeństw - jak na przykład fauna o wzroście dwa i pół metra, wyposażonego w rogi i kły Mówiąc wprost: jeśli Gea szybko nie przeprogramuje drony, ten idiotyczny wytwór technomagii będzie zachowywał duży odstęp bezpieczeństwa w stosunku do wszystkich istot zapisanych w programie jako niebezpieczne - a taka była każda istota znajdująca się w tym obozie, z wyjątkiem jej samej. A w tym namiocie nie było dość miejsca dla Tarkara, jego ochroniarza i Finda.

I oczywiście drony. A więc dobrze, Gea w tym momencie czegoś się nauczyła, a mianowicie, że nawet przesadzać należy odpowiednio ostrożnie. O tym należało pamiętać następnym razem. O ile przeżyje ten dzień, oczywiście.

- Nie można ich okłamać, wiesz? - Tarkar kontynuował swoją poprzednią myśl.

Nie, o tym nie wiedziała - bo skąd? Jak do tej pory miała ciekawsze zajęcia, niż zajmowanie się tymi najbrzydszymi - co udowodniono - kreaturami wszechświata. Poza tym w tej chwili bardziej interesowała ją odpowiedź na pytanie, jak dotrzeć do tej cholernej drony.

- Nie są może zbyt inteligentne - mówił dalej Tarkar. - Można je zatrudniać do pracy, ale zauważają natychmiast, gdy się je okłamuje.

Nikt nie wie dokładnie, jak one to robią. Ja osobiście uważam, że to po prostu czują - roześmiał się, choć niezbyt przekonująco - mam na myśli to, że po coś w końcu muszą mieć te olbrzymie nosy. Ale to tak na marginesie. Czy rozumiesz, dlaczego ci to opowiadam?

- Nie - odparła Gea.

Finde wydał z siebie gulgoczący gwizd.

Tarkar potrząsnął głową z westchnieniem pełnym rozczarowania i wierzchem dłoni uderzył ją w twarz. Niezbyt mocno co prawda, ale na tyle, że potknęła się i cofnęła dwa kroki, a jej dolna warga pękła natychmiast.

- To było kłamstwo - powiedział, niezmiennie przyjaznym to nem. - Powinnaś mi powiedzieć prawdę, dziecko.

Gea wytarła krew z ust wierzchem dłoni. Ciągle nic nie mówiła, lecz rozpaczliwie łamała sobie głowę, jak ściągnąć tutaj dronę - albo też wydostać się z namiotu i wejść w zasięg jej odbioru.

- Zadam ci teraz kilka prostych pytań, na które odpowiesz mi tak lub nie, czy rozumiałaś?

Gea pośpiesznie skinęła głową, choć nie była pewna, co ma znaczyć ten kolejny nonsens. Ale musiała przynajmniej zyskać czas.

- Wiem, że może wydaje ci się to dziwne, ale jak mówiłem: te kreatury nie są zbyt inteligentne.

Coś poruszyło się u dołu przy wejściu do namiotu, ale jednak nie był to wirtualny cień drony, lecz coś o wiele mniejszego, o sześciu nogach, błyszczącym chitynowym pancerzu i kocim pyszczku.

Osobliwy stwór wszedł do środka, rozejrzał się i szybko zniknął.

- Mana? - wymamrotała Gea zdumiona.

- Znasz to zwierzę? - władca klanu spojrzał na nią nieufnie, a ona przytaknęła szybko. Z Findem czy bez, kłamstwa miały chyba niezbyt wiele sensu.

- Skąd? - pytał Tarkar.

- Kiedyś... je spotkałam - odpowiedziała. - Już jakiś czas temu.

- W jakich okolicznościach?

- Byłam na starym mieście i... no, znalazłam się w kłopotach - odpowiedziała.

- Zdaje się, że masz chyba w tym wprawę - skomentował sucho władca klanu.

Gea uśmiechnęła się nieśmiało, co dla Tarkara nie było już powodem, aby ją znów uderzyć. Ale nie odpowiedział na jej uśmiech, a jego oczy stały się jeszcze bardziej nieufne.

- I co było dalej?

- Pojawił się pewien wojownik i uratował mnie - odpowiedziała.

- Miał ze sobą to zwierzę. Dlatego wiem, jak ono się nazywa.

Tarkar spojrzał w stronę Finda i wydawał się czekać na coś przez pół sekundy, po czym znów zwrócił się w stronę Gei.

- A ten wojownik? Czy znasz także jego imię?

- Craiden. Miał na imię Craiden.

Tym razem siwowłosa władca klanu patrzył na Finda wyraźnie dłużej, zanim znów obrócił się do niej. Wydawał się nieco zirytowany. A może nawet przerażony.

- Craiden. Jesteś pewna?

- Tak i... i z jego powodu jestem tutaj - dodała niepytana.

- Chciałam mu podziękować.

- I dlatego zakradłaś się do obozu ryzykując własnym życiem?

- spytał Tarkar z powątpiewaniem. - Musiał zrobić na tobie ogromne wrażenie.

- Był bardzo sympatyczny - potwierdziła. Cień przed wyjściem poruszył się gwałtownie, a jej wydawało się, że czuje, jak sztuczny mózg drony intensywnie pracuje nad rozwiązaniem jej problemu.

Którego to rozwiązania prawdopodobnie nie było.

- I dlatego tu jesteś? - dopytywał się Tarkar. - Tylko po to, aby go zobaczyć i podziękować mu? Odpowiedz „tak” lub „nie”!

- Tak - odpowiedziała Gea.

Popatrzył na nią, potem bardzo długo na Finda i wreszcie znowu na nią. Może się myliła, ale wydawało jej się, że był niemal rozczarowany tym, iż groteskowa kreatura nie zasygnalizowała mu swym gwizdem kłamstwa.

- Dlaczego narażasz własne życie? Aby zobaczyć człowieka, którego spotkałaś przedtem tylko jeden jedyny raz?

Gea chciała odpowiedzieć, ale ubiegł ją Torman, warknąwszy kilka słów w jakimś języku, który nie wydawał się powszechnie znany.

Prawdopodobnie była to jakaś złośliwość, ale rogacz spoważniał niemal natychmiast i patrzył na nią w jeszcze większym zamyśleniu.

- Wybacz Tormanowi niestosowną uwagę - powiedział Tarkar.

- Czasami wychodzi z niego barbarzyńca.

Widać założył, że rozumiała słowa rogatego.

- Ale jego uwaga dała mi pewne podstawy do refleksji. Twoja historia wydaje się prawdziwa - ale czy to jest dowód, że nie przystano cię tu tylko po to, abyś szpiegować?

Gea w pierwszej chwili nie rozumiała, o czym on mówi... ale niemal usłyszała, jak misterna pajęczyna usnuta w ciągu zaledwie kilku chwil z czystej, krystalicznej nadziei pęka jak pod uderzeniem młota.

- Tego nie rozumiem - rzekła.

Finde zanucił coś fałszywie.

Tarkar potrząsnął głową i znów westchnął w ojcowisko zatroskany (i nader obłudny) sposób.

- To nie jest prawda, moje dziecko i to było ostatnie kłamstwo, za które cię nie ukarzę. Czy rozumiałaś?

Gea skinęła głową.

- Dobrze. Czy jesteś tutaj po to, aby zobaczyć Craidena?

-Tak.

-I nikt cię nie przystał?

- Nie - odparła Gea. Finde milczał, a ona miała jakieś niejasne przeczucie, że Torman na pewno nie był z tego zadowolony.

- A nie jesteś tutaj po to, aby zaszkodzić któremuś z moich wojowników czy też komuś z mojego klanu? Wyłączywszy Pandor-manna?

Potrząsnęła głową i odpowiedziała: -Nie.

Finde stał spokojnie w milczeniu, a Tarkar miał przez chwilę wyraźny problem, usiłując ukryć uśmiech.

- Mimo wszystko jej nie wierzę - powiedział Torman, tym razem w języku, który rozumiała i powinna była rozumieć.

- Ale ona mówi prawdę - zwrócił uwagę Tarkar. Finde nadal zgodnie milczał.

Torman patrzył na nią tak obojętnie i tak przenikliwie, że Gea niemal widziała w jego oczach nienawiść, jaką on wydawał się mieć do wszystkich żywych istot. W milczeniu pochylił się i podniósł jeden z plastikowych odłamków. Wpatrzył się w niego tak intensywnie, iż miało się wrażenie, że dzięki temu znajdzie odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

- To ogromny wysiłek - i wszystko po to, aby spotkać mężczyznę, którego ledwo znasz.

Gea milczała, już choćby dlatego, że trudno było na to odpowiedzieć jednoznacznie „tak” lub „nie”.

- Do czego właściwie zmierzasz? - spytał komendant.

- Ktoś mógł się nią posłużyć i to bez jej wiedzy - powiedział rogatey olbrzym. - Czy jest lepszy kłamca, niż ktoś, kto nie wie, że kłamie?

- Ale to przecież nonsens! - zaprotestowała Gea. - Mówiłam prawdę. Wiecie o tym przecież!

Ani Torman ani też jego białowłosego chlebowca nawet nie zwrócili uwagi na jej protest. Finde milczał. Przynajmniej to przemawiało na jej korzyść.

- Wiecie, jak niewiarygodnie droga jest technomagia - kontynuował Torman. - Czy zakochana dziewczyna zaryzykowałaby takie skarby tylko po to, aby zobaczyć chłopaka, w którym się zadurzyła?

- He! - zaprotestowała Gea.

Od strony wejścia zabrzmiał rozbawiony głos: - Nikt inny niż właśnie zakochana dziewczyna nie zrobiłby czegoś takiego, rogata głowo. Ale to należy do aspektów prawdziwego życia, o których ty prawdopodobnie nie masz pojęcia.

Craiden potrząsając głową z niedowierzaniem wszedł między siwowłosego władcę klanu i Tormana, po czym podszedł do Gei, ujął ją za szczękę i odwrócił jej głowę w prawo i w lewo

mniej więcej tak, jak zainteresowany kupnem konia klient oglądałby jego uzębienie.

- Miałem rację - oświadczył.

- W czym? - wymamrotała Gea.

Craiden jeszcze przez sekundę trzymał jej szczękę tak, że aż zabolalo, po czym cofnął rękę i rzekł: - Że jesteś ładniejsza bez braków w uzębieniu.

- A więc rzeczywiście znasz tę dziewczynę? - spytał Tarkar.

- Ona mówi prawdę - potwierdził Craiden, patrząc na nią ciągle rozbawionymi oczyma, choć Gea dostrzegła w nich także przyganę. - Spotkałem ją kilka tygodni temu na starym mieście. Jest zupełnie nieszkodliwa... choć jak się wydaje, także niezbyt mądra.

Zwrócił się bezpośrednio do Gei.

- To dosyć kosztowny sposób, aby zabić samą siebie, dziewczyno. Co mam z tobą teraz zrobić? Okazać, że mi to wszystko bardzo pochlebia czy też przełożyć cię przez kolano i dać ci parę klapsów na tyłek?

- Pytanie brzmi raczej, co my... - zaczął Torman, ale władca klanu nakazał mu milczenie gniewnym gestem.

- Czy ta historia, którą ona opowiada, jest prawdziwa? - zwrócił się do Craidena.

Ten przytaknął.

- Mnie samemu wydaje się to nieprawdopodobne, ale tak. Całkiem o niej zapomniałem... i szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że już jej więcej nie spotkam.

Finde zamruczał coś głośno gdzieś w kącie, ale nikt nie zwrócił na to uwagi - oprócz Gei, która nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- A to tutaj? - Torman oskarżycielskim gestem podniósł rękę, w której trzymał szczątki nanoszipiega.

- Opowiadała mi, że jej ojciec jest bogatym kupcem, który handluje wszystkim, co możliwe. Kto wie, może także technomagią?

- Czy to prawda? - Tarkar zwrócił się teraz do Gei.

O mały włos przytaknęłaby, ale przypomniała sobie w porę o obecności Finda i nieśmiało zaprzeczyła. Torman parsknął głośno, a jego pan popatrzył na nią znów z rosnącą nieufnością, zaś Craiden sprawiał wrażenie nieco urażonego.

- Mój ojciec nie żyje już od dawna - powiedziała. - Ale rzeczywiście był kupcem i... zostawił dużo mnie i moim siostram.

- A one dały ci technomagię tak po prostu, abys mogła się tu dostać? - spytał Torman pogardliwie. - Kto ci w to uwierzy?

- A co z nim? - Gea wskazała na Finda, była jednak na tyle mądra, że natychmiast potrząsnęła głową i dodała: - Nigdy nie twierdziłam, że one mi to tak po prostu dały.

Craiden demonstracyjnie przewrócił z westchnieniem oczami, podczas kiedy władca klanu sprawiał wrażenie rozbawionego. Tylko Torman potrząsnął gniewnie rogatą czaszką.

- Ona twierdzi, że mówi prawdę, ale to wcale nie znaczy, że tak jest - upierał się. Wskazał na plastikowe odłamki, mruknął coś i dodał: - Jeśli ktoś umie się z tym wszystkim obchodzić, to do czego może być jeszcze zdolny? Czy ona została w ogóle przeszukana, aby sprawdzić, czy nie ma na sobie jeszcze więcej technomagii, która nam może zaszkodzić?

- Czy masz na sobie jeszcze więcej technomagii, dziecko? - spytał Tarkar.

Na sobie? Nie. Nie. Potrząsnęła głową. Finde milczał.

- To niczego nie dowodzi - zagrzmiął Torman.

- A ja zakładam, że ty najchętniej pociąłbyś ją, aby zobaczyć, czy ona nie ma w sobie czegoś, co mogłoby nam wszystkim zaszkodzić - powiedział rozbawiony Craiden.

Ochroniarz był na tyle mądry, aby posłać Findowi mroczne spojrzenie i zacisnął wargi w milczeniu, ale Craiden nie dał za wygraną i dodał kpiącym tonem: - Któregoś dnia sam siebie zamordujesz, przyjacielu. Nie przez jakąś pomyłkę czy niedopatrznie, ale świadomie, bo nie będziesz już ufał samemu sobie.

- Craiden - westchnął Tarkar.

-Ja jej ufam - mówił dalej Craiden, zwracając się tylko do władcy klanu, ale jego głos nie wydawał się pełen respektu. - Ona mówi prawdę. Możesz odczytać wspomnienia Many, jeśli chcesz się przekonać. Ta dziewczyna jest nieszkodliwa. Może nie jest najmądrzejsza, ale szpiegiem nie jest z pewnością.

- Ty lubisz tę dziewczynę - powiedział Tarkar. - Mogę to zrozumieć, bo jest rzeczywiście śliczna. Ale argumentów Tormana nie da się tak po prostu wykluczyć. Technomagia jest potężna. Nie ufam nikomu, kto się nią zajmuje.

- To jeszcze jeden powód więcej, aby nie zadzierać z jej rodziną - powiedział Craiden. - Od kiedy zabijamy dzieci tylko dlatego, że robią głupstwa?

- Zabijamy dorosłych, tylko dlatego właśnie, że robią głupstwa - odpowiedział Tarkar. - Nikt nie będzie za nią tęsknił... może poza tobą?

- Pozwól mi ją przesłuchać - zażądał Torman. - Mnie powie prawdę, z technomagia czy nie.

- Tak, tego jestem pewien - powiedział Craiden. - Po kilku mi nutach sam na sam z tobą przyzna się do wszystkiego, czego od niej zażadasz.

Zrobił ręką gniewny gest, odwrócił się do Tarkara i rzekł: - Ręczę za nią, ojczu.

Ojczu? Powiedział ojczu?

Tarkar westchnął, zastanowił się przez chwilę i rzucił ochroniarzowi niemal przeproszające spojrzenie. Dopiero wtedy odwrócił się do Craidena i kiedy obaj mężczyźni stali twarzą w twarz, Gea spytała samą siebie, jak mogła nie dostrzec ich pokrewieństwa. Byli podobni do siebie jak bliźniaki, a różnica wynikała tylko ze swoistego niedopatrzania losu, czyli narodzin Tarkara o czterdzieści lat wcześniej. Mimo wszystko - była tym podobieństwem wstrząśnięta.

- A więc dobrze - powiedział Tarkar po kilku sekundach dość niemiłym tonem. - Ale trzymam cię za słowo. Jak długo jest w naszym obozie, jesteś za nią odpowiedzialny.

- To nie potrwa długo - obiecał Craiden. - Zaprowadzę ją do bramy i z pewnością już nie wróci.

- A czy ja mam tu coś do powiedzenia? - spytała Gea.

- Nie - odpowiedzieli jednocześnie Craiden, Tarkar i Torman.

Nawet Finde coś zaćwierkał.

- Nie tylko wyprowadź ją z obozu, ale odwieź ją do jej sióstr - dodał Tarkar. - I gdziekolwiek to jest, porozmawiaj też z nimi. Jeśli im zależy, aby żyła nieco dłużej, to w przyszłości powinny trochę bardziej uważać na to głupie dziecko.

Craiden skinął głową, rzucił Gei nakazujące spojrzenie i wskazał na wyjście, mówiąc po prostu: - Chodź.

-Ale...

- Wykorzystaj swoją szansę i idź z moim synem - wszedł jej w słowo Tarkar - dopóki jeszcze jako ojciec słucham głosu swojego serca, a nie słucham jako władca klanu głosu swojego rozumu, a tak że ochroniarza - który przypuszczalnie ma rację.

Gea zareagowała więc skinieniem głowy i pośpieszyła za Craidenem, opuszczając namiot tuż za nim. Kątem oka dostrzegła, że za nimi ruszyło dwóch olbrzymich, uzbrojonych po zęby i zakutych w pancerze z zardzewiałego żelaza Quorrlów. Dwóch kolejnych, uzbrojonych podobnie i z podobnie srogimi minami, dołączyło po chwili, kompletując w ten sposób eskortę, która zapewne miała odprowadzić ich do bramy.

Po kilku krokach Gea odwróciła głowę i stwierdziła bez zaskoczenia, że także Torman szedł za nimi zachowując stosowny odstęp - i nie tylko on. Kawalek dalej na swych cienkich, podobnych do szczudeł nogach wędrował Finde. W jasnym świetle dnia ze swoją tak niezwykłą dla ludzkiego oka potrójną symetrią wyglądał jeszcze bardziej dziwnie, ale to wrażenie przyskało natychmiast, jeśli tylko ktoś odważył się spojrzeć mu prosto w twarz. Bo wówczas - dosłownie każdemu wywracał się żołądek.

Mimo to Gea przez chwilę zastanawiała się, jaki kierunek ewolucji mógł wydać na świat taką kreaturę, a przede wszystkim po co.

Dziwny stwór mógł poruszać się tylko bardzo powoli na swoich trzech cienkich, przypominających szczudła nogach. Był też tak słaby, że nie był w stanie unieść żadnego cięższego narzędzia. Nikomu na świecie nie udało się też rozszyfrować ich języka. A mimo to - a zwłaszcza mimo przerażającej brzydoty - większość ludów je tolerowała, można je więc było wszędzie spotkać, choć co prawda ich liczba była niewielka.

- Dlaczego to brzydkie stworzenie idzie za nami? - spytała wskazując na Finda.

Craiden zmierzył ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- Bez tego brzydkiego stworzenia... - ..byłabym teraz martwa? - wpadła mu w słowo Gea.

- Nie - odparł. - Ale zaczęłabyś sobie tego życzyć, uwierz mi.

- Pfuuu - prychnęła Gea. - A ja miałam nadzieję, że cieszysz się, że mnie widzisz.

- Może by tak było, gdybyś mnie wcześniej zawiadomiła o swoim przybyciu - odpowiedział. - To było po prostu głupie, dziewczyno - Gea.

- Mogłaś zginąć, czy ciągle tego jeszcze nie pojmujesz?

- Ale nie zginęłam - odparła przekornie. - I bardzo trudno było cię znaleźć. Czy w ogóle wiesz, ile właściwie jest klanów?

- Trzyście - odpowiedział bez chwili wahania.

- Zgadza się, trzyście wielkich - dodała Gea. - I ze sto mniejszych. I do tego jeszcze kilka tysięcy band, które także uważają się za klany. - Ale w końcu mnie znalazłaś - obstawał przy swoim Craiden.

- Wcale nieźle. Ale dlaczego po prostu nie zapytałaś o mnie strażników przy bramie?

- O jakiegoś kapitana w obozie wojskowym liczącym dziesięć tysięcy ludzi?

- Pięćdziesiąt tysięcy - poprawił lakonicznie. - I każdy mnie tu zna. Jestem synem władcy klanu.

- A skąd miałam o tym wiedzieć? - prychnęła Gea. - Nie uważałaś za stosowne poinformować mnie o takiej drobnostce!

- Nie - zgodził się Craiden. - Po co?

Gea właśnie zamierzała odpowiedzieć jeszcze bardziej ostro, ale potrząsnęła tylko głową i zaśmiała się cicho, na co Craiden jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Co jest takie śmieszne? - zapytał.

- To, jak się kłócimy. Można by przypuszczać, że znamy się już całe lata - odpowiedziała.

Craiden westchnął. Potrząsnął głową, też chciał coś odpowiedzieć, ale zamiast tego ruszył szybciej, czego Gea w pierwszej chwili nawet nie zauważyła, ale po chwili zorientowała się, że musi robić większe kroki, aby nie zostać z tyłu. I znów dostrzegła kątem oka jakiś ruch - z przerażeniem ujrzała dronę, która nie tylko była w pełnej gotowości alarmowej, ale dała jej sygnał, że będzie próbowała doprowadzić do jej zniknięcia. Natychmiast nakazała dronie powrót do zwykłego stanu gotowości i napotkała spojrzenie Craidena ze zmarszczonym czołem. Chyba za długo zajmowała się swoim niewidzialnym aniołem stróżem, a on zauważył dziwną pustkę w jej wzroku.

- Co takiego? - spytał.

- Ach... ee... nic, nic - odpowiedziała, a idący za nimi Finde wydał z siebie przeraźliwe, bardzo głośne bulgotanie. Zmarszczki na czole Craidena pogłębiły się - składało się ono teraz z trzech głębokich blizn. Jeszcze bardziej przypominał teraz swojego ojca.

- Jak uważasz - westchnął. - Pośpieszmy się. To daleka droga.

Skręcił w prawo w jedną z wąskich uliczek, poczekał, aż Gea dołączy do niego, po czym spytał: - Jak daleko jest do ciebie? Gea z trudem ukryła uśmiech.

- Może dwie godziny - odparła. - Trochę mniej, jeśli Crusher poleci szybko.

- I z powrotem jeszcze raz to samo - Craiden nie sprawiał wrażenia zachwyconego. - To mi zajmie resztę tego dnia, dziewczyno.

- Gea. A masz coś ważniejszego do roboty?

- Wyobraź sobie, że tak.

- Ach, tak? A co takiego?

Spojrzenie, którym teraz zmierzył ją Craiden, było niemal wściekłe. Oszczędził sobie i jej odpowiedzi, znowu skręcił i przyśpieszył tak, że nawet idący z tyłu Quorrlowie zaczęli sapać, a Finde zmuszony został do wykonywania groteskowych ruchów i wygibasów, aby dotrzymać im kroku na swoich trzech nogach.

Okolica wydała się Gei dziwnie znajoma, ale porzuciła tę myśl natychmiast. W tym mieście każda ulica wyglądała tak samo, a przy dziesięciu tysiącach namiotów trudno było oczekiwać, aby znacznie się od siebie różniły. Mimo to gdzieś na skraju jej świadomości towarzyszyło jej jakieś niejasne, niemiłe przeczucie, którego nie potrafiła wytłumaczyć.

A potem odkryła coś, co kazało jej natychmiast porzucić rozważania o otoczeniu: naprzeciw nich pojawił się Mana, wskoczył na ramię Craidena, do czego nawet nie użył swoich skrzydeł, a Craiden jakby w odpowiedzi skręcił szybko w uliczkę, skąd przyszedł kot--insekt. Po kilku krokach uliczka rozszerzyła się - wyszli na wielki plac otoczony kratą o wysokości człowieka, za którą biegało swobodnie około stu daktyli. Był to tak nieoczekiwany i przede wszystkim tak niewiarygodny widok, że Gea po prostu zatrzymała się w pół kroku z szeroko otwartą buzią i wytrzeszczonymi oczami.

Jeden z Quorrlów, gwardzistów idących za nią, zauważył to nieco za późno i zatrzymał się dosłownie w ostatniej chwili z hałasem przypominającym hamowanie samochodu pancernego - omal jej przy tym nie przewróciwszy na ziemię. Ale Gea niemal tego nie zauważyła, podobnie jak nie usłyszała mimowolnego warczenia Quorrla. Jak też rozbawionego bulgotania Finda.

- Tak - Craiden wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Na twoim miejscu pomyślałbym dokładnie to samo.

- Co takiego? - wymamrotała Gea, która właściwie o niczym konkretnym teraz nie pomyślała, tylko zdumiona gapiła się na kłębiące się daktyle.

Uśmiech Craidena stał się jeszcze szerszy.

- Zaoszczędziłabyś sobie mnóstwa kłopotów, gdybyś po prostu szukała tylko jego, czyli Crushera - rzekł, uśmiechając się, po czym zagwizdał przeraźliwie na palcach. Jedna z olbrzymich skrzydlatych kreatur zaczęła przepychać się przez gęsty tłum składający się ze skrzydeł, pazurów i dziobów. Daktyla podeszła bliżej, poruszając się nie tylko na uzbrojonych w pazury łapach, ale pomagając sobie skrzydłami. Był to widok zarówno śmieszny jak i przerażający, bo przypominał kalekiego człowieka, który próbował przesunąć się do przodu tylko za pomocą łokci.

- A mój namiot jest tam, po drugiej stronie - wskazał Craiden, co ona odebrała jako coś w rodzaju posypywania solą jej ran. - Chyba mówiłem ci o tym, że rzadko pozostawiam Crushera samego.

Gea co prawda nie mogła sobie czegoś takiego przypomnieć, ale pojęła natychmiast, dlaczego powiedział jej o tym dopiero teraz i zrewanżowała się odpowiednio gniewnym spojrzeniem.

- A jeśli spytałabym wprost o ciebie, przepuszczono by mnie? - spytała. - Do syna władcy klanu?

- To nic szczególnego - odparł. - Mój ojciec ma niemal tyle samo synów co ty rodzeństwa, dziewczyno.

- Gea.

- Ponoć.

-Ja naprawdę nazywam się Gea!

Finde wydał z siebie głośny, protestujący gwizd, a zaskoczony Craiden znów zmarszczył czoło.

A potem wszystko zdarzyło się tak nagle, że Gea nie była w stanie powiedzieć, co właściwie wywołało tę katastrofę albo ile było jej przyczyn. Bo tuż za idącymi za nimi Tormanem i Findem, między namiotami w ziemię uderzyła zielonkawa błyskawica. Crusher wydał z siebie przenikliwy wrzask i rozpostarł skrzydła, jak gdyby chciał unieść się w powietrze - dokładnie w tym momencie rozległ się głuchy, osobliwie suchy trzask, który zagłuszył wszystko. Torman



zawarczał, odwrócił się i błyskawicznie wyciągnął swoją broń zza pasa.

Wówczas usłyszeli dudnienie, a dźwięk ten rósł niemal z każdym ułamkiem sekundy tak gwałtownie, że wydało im się, że popękają im bębrenki.

Choć było to właściwie niemożliwe - Gea niemal zobaczyła falę uderzeniową, która zbliżała się do nich z prędkością dźwięku. Znajdujące się na jej drodze namioty i wozy po prostu zniknęły, zupełnie jakby wyrzucała je w powietrze jakaś olbrzymia pięść, a zamiast nich pojawiła się chmura pyłu i gruzu, która zmiatała z ziemi ludzi, zwierzęta i to wszystko, co jeszcze zostało. Gea dostrzegła jeszcze, że Crusher, porwany potężną, niewidzialną siłą, przewrócił się na grzbiet z szeroko rozłożonymi skrzydłami, a wśród pozostałych daktyli wybuchła panika. Wtedy także Gea została przewrócona na ziemię, wszystko wokół niej stało się szare, a ułamek sekundy później czarne.

Przez chwilę wydawało jej się, że jest głucha i ślepa, a potem poczuła przeraźliwe dzwonienie w uszach i zaczęła krwawić z oczu, uszu i nosa. Wszystko stało się dosłownie w ciągu połowy sekundy, jeśli nie szybciej.

W ciągu następnej połowy tej samej sekundy fala uderzeniowa niosąca kurz, gruz i całe namioty (oraz kilku Quorrlów) przewaliła to wszystko ponad nimi.

W pierwszej połowie drugiej sekundy Gea, kaszląc i dusząc się spróbowała się podnieść, zamrugła oczami chcąc usunąć z nich kurz i stwierdziła z niesamowitą ulgą, że Craiden chyba nie został ciężko ranny. Wprawdzie tak jak inni został porwany w powietrze i rzucony na ziemię, ale również w tej chwili próbował właśnie usiąść. Mimo dzwonienia i szumu w uszach dotarli do niej wrzaski, krzyki i skrzeczenie daktyli, wśród których wybuchła panika. Olbrzymie zwierzęta, o ile nie miały połamanych przez uderzenie fali skrzydeł lub kości, próbowały uciekać na oślep, używając przy tym pazurów i dziobów. Gea zauważyła też, że Finde był jedyną istotą, która mimo uderzenia fali stała pewnie na swoich trzech nogach.

I w tym momencie pojawiła się drona.

Od chwili eksplozji nie minęły nawet dwie sekundy - co dla cybernetycznego mózgu drony stanowiło prawie wieczność. Być może jej przestarzałe systemy były najpierw całkowicie pochłonięte tym, jak obronić się przed bezpośrednim działaniem fali uderzeniowej, ale teraz system maskowania wyłączył się i drona postępowała dokładnie tak, jak zaprogramowała ją Gea jeszcze dzisiejszego ranka: włączyła pełny tryb bojowy.

Z przerażającą jasnością, ale też z poczuciem całkowitej bezradności Gea pojęła nie tylko to, co się stało, ale także to, co stanie się zaraz. Wiedziała, że nie będzie mogła już nic zrobić, aby czemukolwiek zapobiec. Sama drona była z pewnością starsza niż wszyscy razem wzięci wojownicy w tym obozie i dawno miała za sobą swoje najlepsze dni, jeszcze zanim uderzenie młota Verdandi rozłupało księżyc na części. Była ona wytworem Dawnej Techniki, urządzeniem, które reagowało z prędkością światła i wykonywało swoje zadanie do końca, i to bez względu na okoliczności. A drona odebrała sygnał, że osoba, którą miała chronić, znalazła się w bezpośrednim niebezpieczeństwie i zareagowała stosownie do sytuacji.

W międzyczasie wydawało się, że czas zaczął biec swoim zwykłym rytmem: wydarzenia następowały po sobie z oczywistą, normalną prędkością. A może nawet przeciwnie: wszystko zwolniło w absurdalny sposób swój bieg, jak gdyby los przywiązywał szczególną wagę do tego, by Gei nie ominął żaden szczegół żartu, który dla niej wymyślił. Drona, mająca kształt czarnego cylindra i proporcje antycznej beczki do przechowywania oleju, szybowała w stronę Gei w chaosie elektrycznych iskier. Ktoś rzucił w nią coś, co odbiło się od jej tarczy ochronnej, wzniecając snop iskier. Gea kątem oka dostrzegła, że Craiden poderwał się i odcepiał od pasa niewielki, czarny przedmiot, który wycelował w stronę drony. Chciała zawołać, ostrzec go, ale było już za późno. Nawet gdyby widziała i słyszała wszystko dziesięć razy szybciej, jej reakcje i tak nie byłyby wystarczające. Craiden odpalił skaner jeszcze zanim Gea zdążyła krzyknąć a w rezultacie drona zniknęła w chmurze eksplozji z białych i pomarańczowych błyskawic - to pole jej sił wychwyciło niszczycielską falę rezonansową broni i zamieniło ją w nieszkodliwe implikacje świetlne. Praktycznie jednocześnie przeszła do drugiego punktu programu i podjęła odpowiednie środki w celu obrony samej siebie - ich efektem było to, że skaner w ręku Craidena eksplodował, na nieszczęście jego właściciela razem z palcami i większą częścią ręki. Craiden przewrócił się do tyłu z głośnym okrzykiem bólu. Drona zbliżyła się bezszelestnie,

zatrzymała się dwa metry nad Geą - a ona poczuła delikatne, elektryczne mrowienie na całym ciele - nawet wydało jej się, że czuje lekki zapach kwiatów. Miała wrażenie, że wszystko wokół niej blednie i to był dokładnie ten moment, kiedy na dronę runęło niebo.

A przynajmniej jakaś jego część, która składała się z ogromnych, zadających śmiertelne uderzenia skrzydeł, niebezpiecznych pazurów i monstrualnych dziobów. W mgnieniu oka poleciały snopy iskier, a dronę za chwilę otoczyły jasnozielone i niebieskie błyskawice - zupełnie jak gdyby znalazła się w środku burzy. Ale błyskawice przeskoczyły na tułów i skrzydła Crushera - teraz nie pachniało już kwiatami, w powietrzu unosiła się intensywna woń spalonej skóry, krwi i rogów.

Niewyobrażalna siła daktyli nie wystarczyła co prawda, aby przełamać ogromną tarczę ochronną maszyny, ale drona zakotyła się i będące jeszcze w fazie budowy pole transportu w czasie na chwilę straciło swój cel. Gea odskoczyła pół kroku w bok, aby całkowicie znaleźć się poza jego zasięgiem - teraz nie mogła stąd po prostu uciec!

Musiła pomóc Craidenowi - był ranny, a możliwe, że nawet umierał, wydała więc niemal histeryczny rozkaz dronie, aby ta zaprzestała swoich działań natychmiast - co maszyna oczywiście zlekceważyła. Była przecież tak zaprogramowana, aby chronić Geę, gdyby ta znalazła się w niebezpieczeństwie, zupełnie więc nie miało dla niej znaczenia, (dosłownie: głównie ją obchodziło) czy jej rozkazodawczym tej ochrony chciała czy też nie.

Ale być może Gea zyskała w ten sposób kilka sekund, aby móc przekonać się, że Craiden żył. Brzęczenie drony wydawało się pełne zdenerwowania (gdyby maszyna była w stanie się denerwować), opuściła się ona jeszcze niżej w stronę Gei, ale w jej tarczę uderzyła szmaragdowa błyskawica, która odrzuciła ją nieco dalej.

Gea upadła na kolana koło Craidena i z rozpaczą odwróciła go na plecy. Nawet nie stracił przytomności, ale jego oczy były zamglone, a Gea poczuła gwałtowny skurcz żołądka na widok tego, co zostało z jego prawej ręki. Znów gdzieś powyżej zamigotało zielonkawe światło, a brzęczenie drony wydało się Gei nie tylko głośniejsze, lecz wręcz pełne groźby. Spojrzała w górę i zobaczyła fale migoczącego światła i optyczne zniekształcenia, które pędziły z niesłychaną prędkością przez jej pole siły. Drona zachwiała się. Coś... się z nią działo, coś, co nie było w porządku.

Gea podążyła spojrzeniem za trzecią błyskawicą, aby zobaczyć, skąd właściwie one się biorą. Torman nie tylko zdołał się podnieść, lecz stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach zaledwie piętnaście metrów dalej. Pochylił ramiona i wyciągnął w przód długie ręce, aby wycelować w dronę w perfekcyjnej postawie bojowej. Chromowany rozrywacz w jego dłoniach wyrzucał z siebie właśnie czwartą i piątą błyskawicę, które trafiały dokładnie w obronną tarczę pola siły drony. Szósty strzał spowodował, że drona z głośnym trzaskiem przechyliła się, co w uszach Gei zabrzmiało jak pełne rezygnacji westchnienie, zaś siódme uderzenie energii rozrywacza trafiło w niechronioną już flankę maszyny i zamieniło ją w kupę rozżarzonego na czerwono złomu, który zleciał na ziemię jak kamień.

Gea nie mogła sobie pozwolić na to, aby sprawdzić, czy efektem tego wszystkiego nie będzie za chwilę atomowy wybuch ładunku drony i zniszczenie znacznej części całego obozu. Pochyliła się nad Craidenem i ujęła jego zdrową rękę. Jej serce biło tak szybko, że mówić mogła już tylko jękając się.

- Craiden! - jęczała. - Proszę! Słyszysz mnie? Proszę... powiedz coś!

Zareagował stęknieniem pełnym bólu i zamrugnął oczami. Gea z całych sił przycisnęła jego rękę do swojej piersi ze świadomością, że nie może mu wiele pomóc. Zmusiła się, aby obejrzeć spalony kikut, który kiedyś był jego prawą ręką. Teraz przypominała tylko spalone strzępki mięśni i odłamki białych kości. Z porozrywanych arterii buchała krew. Straszna woń przyprawiała o mdłości, a Craiden leżał w kałuży krwi, która szybko rosła.

Gea przewyciężyła odrazę, ujęła w palce kikut jego drugiej ręki i próbowała wymacać arterię, aby ją zacisnąć i w ten sposób przynajmniej ograniczyć upływ krwi. Jej palce natychmiast zrobiły się śliskie i nie była w stanie w pierwszej chwili znaleźć naczyń krwionośnych.

Mimo rozpaczki, jaka ją ogarnęła, zaczęła działać bardziej zdecydowanie, znalazła właściwy

punkt i zacisnęła arterię najmocniej jak umiała. Ale w tej samej chwili jakieś ręce z nieludzką wprost siłą chwyciły ją za ramiona i poderwały do góry. Przynajmniej tym razem dostrzegła pięć, która uderzyła ją tak silnie, że natychmiast straciła przytomność.

Arion. To rzeczywiście było zaledwie kilka minut - najwyżej pięć. Ale tak długo znajdowała się po prostu w piekle i przeklinała raz po raz własną głupotę, przez którą musiała tak cierpieć. I przynajmniej tysiąc razy życzyła sobie śmierci, która uwolniłaby ją od tych męczarni... ale nie na tyle poważnie, by przezorny R'Achernon takie życzenie spełnił.

Kiedy rekonstrukcja była zakończona, Arion leżała jeszcze kilka minut z zamkniętymi oczami i rozkoszowała się uczuciem oddychania bez żadnych przeszkód i świadomością, że zaraz będzie mogła usiąść i być może nie zemdleje w trakcie tak prostego ruchu...

Rozległ się szelest i na skraju czegoś, co kiedyś było jej świadomością, pojawiło się natrętne wspomnienie, które upierało się przy tym, że świat składa się z czegoś więcej niż tylko luksusu nasłuchiwanie bicia własnego serca i radości z samego faktu istnienia. Chciała to po prostu strząsnąć, ale osiągnęła coś zupełnie przeciwnego do tego, co zamierzała, zrezygnowała więc po krótkiej chwili. Podniosła się, napotkała spojrzenie Craideny i znieruchomiła.

Jego oczy były pełne przerażenia.

- Czy wszystko w porządku, mistrzu klanu? - spytała.

- Czy to nie ja powinienem zadać wam to pytanie, księżniczko? - głos Craideny był tak samo pusty jak jego twarz. Konsternacja w jego oczach nie była już tak wielka, jak przed chwilą. Co on właściwie widział?

- Myślałem, że was zabiłem.

- A ja mogłabym upierać się przy tym, że czuję się dobrze, ale byłoby to kłamstwo - zmusiła się do grymasu, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za uśmiech i wstała. Może jednak nieco przeceniła swoje siły, bo natychmiast zakręciło jej się w głowie i zachwiała się.

- Ale żyję jeszcze, jak widzicie.

- Byłem przekonany, że was zabiłem.

- Niewiele brakowało - przyznała Arion. - Ale samo to nie było takie złe, najwyżej dość nieprzyjemne. I tak to wszystko to tylko moja wina.

- Czy uważacie, że to mądra uwaga? On jest już dostatecznie zdenerwowany.

A ja nie?

Craiden patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, w których można było wyczytać iście krańcowe emocje. R'Achernon miał rację: musiała być ostrożna. Cokolwiek widział Craiden - był to dla niego duży wstrząs.

- Myślałem już, że was zabiłem - wymamrotał po raz kolejny nieskładnie.

-Ale nie zabiliście mnie- uspokoiła go. -To nie była wasza wina.

Ostrzegaliście mnie, a ja nie posłuchałam. Przykro mi z tego powodu.

- Ale zadałem wam ból.

-I to niemały - potwierdziła Arion i raz jeszcze spróbowała się uśmiechnąć. Tym razem nawet jej się udało. - Ale nie musicie robić sobie wyrzutów. Zasłużyłam na to.

Craiden wpatrywał się w nią uparcie, a ona pod jego spojrzeniem zaczynała czuć się coraz bardziej nieswojo. Nie rozumiała konsternacji i przerażenia w jego oczach. Ostrożnie zrobiła jeden krok w bok, stwierdziła, że udało się to właściwie bez problemu i po raz pierwszy spojrzęła po sobie. Wyglądała mniej więcej tak, jak się czuła, czyli strasznie. Jej ubranie zachowało co prawda formę jednoczęściowego kostiumu ochronnego, ale było niesamowicie brudne - od błota i krwi, których nanity z niewiadomych powodów nie usunęły.

Spróbowała więc to nadrobić i usunąć brud rękami, ale to tylko pogorszyło sprawę. Rzuciła Craidenowi ostrożne spojrzenie, po czym odwróciła się i zanurzyła aż po biodra w wodzie.

Craiden nie ruszał się, lecz stał spokojnie na brzegu z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzył na nią. Jego spojrzenie miało w odczuciu Arion intensywność dotyku. Patrzył w milczeniu, jak czyściła swoje ubranie kucnąwszy w wodzie, a potem nawet zanurzyła w niej na moment głowę. W pierwszej chwili woda wydała jej się tak lodowata, że nie mogła oddychać,

ale nakazała ciału po prostu nie przyjmować temperatury cieczy do wiadomości. Jej ubranie napięło się tak, że stało się czymś w rodzaju drugiej skóry - odwrócić się teraz do Craidena wydało jej się wręcz czymś niestosownym. Ale z drugiej strony... właściwie dlaczego?

- Naprawdę jest mi przykro, księżniczko - powiedział, kiedy się odwróciła. - Chciałbym prosić was o wybaczenie. Tylko dzięki waszej tarczy was nie zabiłem.

- Naprawdę nie ma powodu do przeprosin, mistrzu klanu - odparła spokojnie. - Ostrzegaliście mnie, a ja byłam na tyle głupia, że was nie posłuchałam. Sama broń nie czyni przecież z wojownika mistrza.

Craiden nie sprawił jej tej przyjemności i nie zaprzeczył, co ją trochę rozgniewało. Bo walczyła rzeczywiście po mistrzowsku - przypuszczalnie lepiej, niż większość przeciwników, z którymi kiedykolwiek miał do czynienia.

- Ale mimo wszystko, było to niewybaczalne - upierał się. - Powinienem był przewidzieć, co się stanie.

- Że wasz Tschekal przebije moją tarczę? - Arion potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jej mokre włosy ją samą boleśnie uderzyły w twarz. Zmieniła szybko zewnętrzną strukturę włosów tak, że woda po prostu z nich spłynęła i za chwilę były całkowicie suche. Żrenice Craidena rozszerzyły się, ale nie powiedział ani słowa.

- Nie róbcie tego księżniczko. Jego emocjonalna równowaga...zostałaby prawdopodobnie jeszcze bardziej zachwiana, gdyby wiedział, co mi rzeczywiście zrobił - pomyślała gniewnie Arion. W jej ciele ciągle jeszcze szalała cała armia nanitów walcząc ze skutkami wewnętrznych zranień i uszkodzeń organów - następstw walki. - Lepiej mi wyjaśnij, dlaczego ta cholerna tarcza nie zadziałała! - Jak sami właśnie powiedzieliście: tarczę przebił jego miecz.

Wiesz dokładnie, że to jest niemożliwe! - Fakt, że nie znam wyjaśnienia jakiegoś zjawiska niekoniecznie oznacza, że takiego wyjaśnienia nie ma, księżniczko. Tak, gwiazdny stal jest rzeczywiście osobliwym materiałem.

- Księżniczko? - spytał Craiden, kiedy ona milczała przez niepokojąco długą chwilę.

- Nie, nie - powiedziała szybko. - Ja... zamyśliłam się tylko.

- Prowadziliście dialog z waszą wieżą.

- Ona tak by tego nie nazwała - odparła kwaśno. - Dostała ode mnie reprimendę, bo tarcza nie zadziałała w odpowiednim momencie.

- Technomagia, która nie działa? - w głosie Craidena dźwięczała wątpliwość.

- Zostaw magię, wtedy będziemy mieli tylko do czynienia z techniką A ta - ma pewną nieprzyjemną właściwość, a mianowicie kiedyś w końcu zawodzi, jak wszystko inne.

Wręcz czuła przerażenie R'Achernona wobec takiego wyznania, które zupełnie nie pasowało do światopoglądu Craidena, ale nie odczuwała żalu (nie mówiąc już o poczuciu winy), lecz coś w rodzaju radości z cudzego nieszczęścia, która nie była zbyt na miejscu.

- Ale sądzę, że jestem wam winna pewną odpowiedź - powie działa, dodając natychmiast: - Plixx.

W jej myślach zabrzmiało coś jak bezgłośne stęknienie, a Craiden nie rozumiejąc, zmarszczył czoło.

- Tak, księżniczko? - spytał.

- Chcieliście wiedzieć, jak udaje się nam uzyskać z acheronu dowolną formę - przypomniała mu. - To była nagroda, o którą walczyliśmy, nieprawdaż?

Craiden skinął głową.

- To myszczury - powiedziała Arion. - Plixxa już poznaliście, ale on nie jest jedynym przedstawicielem tego gatunku - choć jest przypuszczalnie najpotężniejszym spośród nich. Myszczyury mówią acheronowi, jaką formę ma przybrać.

- Tego nie rozumiem - przyznał Craiden.

-Ja też nie - odpowiedziała Arion z nikłym uśmiechem. - Nikt nie wie, jak one to robią. Sądzę, że nawet sam Plixx - choć oczywiście natychmiast by temu zaprzeczył. To jakaś historia-PSI, tak zakładam.

- PSI? - Craiden nadal niczego nie rozumiał.

Arion westchnęła.

- Magia - rzekła. - Nie technologia, tylko najnormalniejsza, staroświecka magia, że tak powiem - uśmiechnęła się krzywo. - Rozumiecie: Nie hardware czy też software, lecz... wetware. Craiden wytrzeszczał na nią oczy w bezgranicznym zdumieniu, a w jej myślach R'Achernon ocenił sytuację bardzo poważnie: - Tej tajemnicy nie powinniście byli mu zdradzać.

To wymyśl coś, aby zmniejszyć straty - pomyślała złośliwie. Daleka była od odczuwania jakichkolwiek wyrzutów sumienia z tego powodu - dała Craidenowi słowo (nawet jeśli robiła to w przekonaniu, że nie będzie musiała go dotrzymać) i teraz nie zamierzała go złamać. Jednakże dla bezpieczeństwa dodała: - Ale zanim przyjdą wam do głowy różne śmieszne pomysły, Craiden: myszczury nigdy nie opuszczają R'Achernona. Nawet nie jestem pewna, czy w ogóle mogą to robić. Może nie tylko panują nad acheronem, ale także acheron je opanował.

Craiden wydawał się przez dłuższą chwilę poważnie rozmyślać nad taką możliwością.

- To jeden powód więcej, aby zdobyć to miejsce - powiedział wreszcie.

Tak, prawdopodobnie rzeczywiście sobie na to zasłużyła.

- A teraz moje pytanie - rzekła.

Craiden przechylił głowę na bok, zastanawiając się nad czymś.

-Jakie pytanie? Przecież przegraliście walkę, księżniczko.

- Można na to spojrzeć i tak i tak - odpowiedziała. -Walczyłam przeciwko mistrzowi miecza z Oblężenia i przeżyłam. Uważam, że można to ocenić jako małe zwycięstwo.

Craiden westchnął. Opuścił ramiona i chyba miał zamiar odpowiedzieć coś gniewnie, ale przestał tylko na pełnym rezygnacji skinięciu głową.

-Jedno jedyne pytanie - powiedziała Arion. - Gea. Kto to jest?

- Gea? A kto... to... ma być? - Craiden sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego. Ale także... czujnego.

-Was o to pytam, mistrzu klanu - odparła Arion. - Nazwaliście mnie tak, kiedy sądziliście, że mnie zabiliście.

Przez sekundę była pewna, że nie odpowie, ale jednak skinął głową i rzekł: - To była dziewczyna, którą znałem. Dawno temu.

- Czy ją także zabiliście?

To było niestosowne (przypuszczalnie również głupie) i Arion pożałowała tych słów, zanim je do końca wypowiedziała. Craiden błysnął oczami podniósłszy na nią wzrok, a ona dostrzegła, z jak ogromnym bólem musiało być związane tamto wspomnienie. Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia.

- Przebaczcie mi - powiedziała cicho. - Nie chciałam...

Craiden odwrócił się jednym ruchem i podszedł do skraju lasu.

Kiedy wrócił, miał w ręku czarny miecz - bliźniaczo podobny do jego Tschekala. Cień zniknął z jego oczu.

- To jest zdumiewające - powiedział. - Nawet waga jest taka sama.

Wykonał kilka próbnych pchnięć i wyraźnie był pod wrażeniem.

-I jest perfekcyjnie wyważony - dodał.

-Jeśli chodzi o mój miecz, jest tylko jedna różnica - powiedziała Arion, poczekała, aż znowu zaczął patrzeć na nią z zainteresowaniem i dodała: - On przecina rzeczywiście wszystko. Gdybyście mnie trafili właśnie nim, byłabym już martwa.

Choć co prawda nie na długo.

- Ale mój Tschekal mu dorównał!

Co ona właściwie robiła? Mówiła o mieczach, zamiast go przeprosić?

- Próbujecie uspokoić swoje nieczyste sumienie, księżniczko.

I to z kiepskim skutkiem, jeśli pozwolicie mi na taką uwagę.

Nie, nie pozwolę. - Teraz już nie - odpowiedziała poważnie, zwrócona już w stronę Craiden. Patrzył na nią bezustannie, z wyraźnym powątpiewaniem, tymczasem ona wydała R'Achernonowi bezgłośny rozkaz.

Niespodziewanie poczuła niechęć, kiedy go wykonał. Ale to w końcu była dość istotna sprawa.

- Spróbujcie - powiedziała.

Craiden zwlekał jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnął swoją broń i przeciągnął ostrożnie klingę tuż obok jej miecza. Rozległ się bardzo wysoki, prawie niesłyszalny dźwięk o takiej częstotliwości, że powodował ból zębów. Na gwiaździstej, dotychczas nieskazitelnej klindze jego miecza pojawiła się niewielka rysa, zaledwie o długości palca.

- Wasz miecz jest niewiarygodny - wymamrotał Craiden.

- Należy do was - rzekła Arion.

Tym razem usłyszała w myślach jeszcze głośniejsze stęknienie.

Dobrze.

- To jest... miecz z acheronu - wymamrotał Craiden, a w jego głosie nie było słyhać ani niedowierzania, ani też radości, lecz po prostu szok.

- Całkowicie niezniszczalny - potwierdziła Arion. - Moglibyście zanurzyć go w samym sercu słońca i nawet nie stałby się gorący.

- Tego... nie mogę przyjąć - wymamrotał znowu.

- Ale ja nalegam - oświadczyła, z niemal dziecinną radością patrząc na jego twarz pełną sprzecznych uczuć, wśród których wciąż dominowało zaskoczenie.

- Przyjmijcie to jako małe zadośćuczynienie za strach, którego wam napędziłam.

- To bardzo wielkie małe zadośćuczynienie za niewielki brak taktu.

- I jako znak mojej dobrej woli. I nie martwcie się - mówiła dalej, dostrzegłszy wahanie Craiden - coś takiego jak z pierścieniem już wam nie grozi. Możecie przyjąć miecz bez obaw. Chrząszcze będą was strzec.

Craiden spojrział na nią jeszcze bardziej zdumiony, wzrokiem przepętnionym dziecięcą bezradnością. Arion zrobiło się go żal.

Jeśli mógłbym wam coś zaproponować, księżniczko...

Nie, nie mógłbyś. Wydała R'Achernonowi rozkaz, który przypuszczalnie jeszcze bardziej go rozgniewał; a dowodem tego był fakt, że nie minęły dwie, trzy sekundy, a cienie u stóp Craiden nagle poruszyły się i armia małych, czarnych chrząszczy zaczęła wspinać się po jego nogach do góry. Craiden stęknął przerażony i odskoczył do tyłu, ale chrząszcze były na tyle szybkie, że właściwie nie miał czasu na żadną inną reakcję.

Nanomaszyny wspinały się po nim jak żywe cienie i dotarły do czarnego pasa z bronią, przy którym zawieszona była wąska pochwa na miecz.

- To wszystko dzieje się po to, abyście nie musieli chodzić stale z mieczem w dłoni, mistrzu klanu - powiedziała rozbawiona Arion.

- To po prostu niewygodne.

Craiden spojrział na nią uważnie. W przeciwieństwie do niej nie sprawiał wrażenia radosnego, wręcz przeciwnie, wydawał się raczej urażony, czego Arion zupełnie nie rozumiała. Przecież chciała sprawić mu przyjemność!

- Jak powiedziałyby w tym momencie senator Rymer: księżniczko: musicie się jeszcze wiele nauczyć. Przede wszystkim o ludziach.

Raczej o mężczyznach. A teraz nie chce już nic od ciebie słyszeć i to tak długo, aż sama się pierwsza nie odezwę. R'Achernon umilkł, a Craiden patrzył na nią w ów dziwny sposób jeszcze przez kilka sekund, po czym płynnym ruchem wsunął do pochew jednocześnie dwa miecze.

- Dziękuję wam, księżniczko. Otrzymałem od was bardzo cenny prezent i potrafię to docenić.

To akurat nie było to, co koniecznie chciała usłyszeć, ale nie dała po sobie poznać rozczarowania.

- Musicie teraz nadać mu imię - odpowiedziała.

Craiden milczał, ale w jej myślach pojawiło się coś w rodzaju bezgłośnego, pełnego rezygnacji westchnienia. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, pozornie bez związku i jak się wydawało, tylko z powodu chęci zmiany tematu: - A więc to wasze ubranie było tym, co ochroniło was przed uderzeniem mojego miecza, a nie wasza technomagia.

- Moje ubranie chroni mnie przed każdym niebezpieczeństwem - odpowiedziała sucho. - Nawet wasz nowy miecz nie mógłby go przebić.

- Tak, to rzeczywiście wspaniała rzecz, taka odzież - odparł, ciągle z osobliwym dystansem i rezerwą.

Co się z nim właściwie dzieje? - myślała nieco rozgniewana Arion.

Co, do diabła musiała jeszcze zrobić, aby przestał wreszcie udawać bałwana?

- Ma ona jeszcze wiele innych właściwości - powiedziała z uśmiechem, który nie przyszedł jej już zbyt łatwo. Zamiast wyjść z wody na brzeg, położyła się na plecach i zaczęła poruszać rękami w taki sposób, aby utrzymać się na jej powierzchni. Jej ciasno przylegające do ciała ubranie zamieniło się w strój kąpielowy, wyjątkowo obcisły i skrojony tak wyrafinowanie, że zakrywał tylko to, co najkonieczniejsze. Niestety.

Hej, tego nie miałam na myśli!

- Owszem, księżniczko. Tylko wy o tym jeszcze nie wiecie.

Arion była na tyle mądra, aby nie przedłużać tej bezgłośnej dyskusji (przede wszystkim dlatego, iż wiedziała, że tym razem R'Achernon miał rację), lecz po prostu pluskała się w wodzie jeszcze kilka minut i wykonawszy kilka ruchów wypłynęła na sam środek małego jeziora, gdzie stanęła na płytkim dnie. Była świadoma faktu, że Craiden wpatrywał się w nią - a także tego jak na nią patrzył...

Pozwoliła na to jeszcze przez kilka minut, zanim odwróciła się i poszukała jego spojrzenia.

- To właśnie jest powód, dla którego lubię tu przychodzić, mistrzu klanu - powiedziała. - Woda jest wspaniała. Dlaczego nie wejdziecie do niej i nie przekonacie się o tym sami?

- Księżniczko?

Arion roześmiała się i uderzyła rękami w taflę, jak gdyby chciała go opryskać. Ani jedna kropla nie spadła na jego odzież, a mimo to cofnął się krok.

- Czy boicie się wody? Jeśli tak, to znalazłam rozwiązanie nasze go problemu - rzekła Arion, znowu wyraźnie rozbawiona. - Duras będzie mnie za to jeszcze bardziej kochał. Spowodujemy, aby zaczął padać deszcz, a wówczas wy i wasi wojownicy rzucicie się do panicznej ucieczki.

Craiden nie śmiał się, lecz wciąż patrzył, jak gdyby był urazony... Za chwilę jednak podniósł ramiona, zdjął swój płaszcz oraz pasy z dwoma mieczami i zdecydowanym ruchem wszedł do wody. Jego źrenice rozszerzyły się lekko, a wyostrene spojrzenie Arion pozwoliło jej dostrzec, że w zetknięciu z wodą przebiegł go dreszcz i doznał czegoś, co zapewne można określić jako gęsią skórę. Mimo to wszedł głębiej i dopłynął na środek jeziora. Arion nie mogła ukryć zachwyty - tak spokojne i eleganckie były jego ruchy.

- Nie wyciągajcie fałszywych wniosków, księżniczko. To, że wy nie odczuwacie zimna...

... nie znaczy, że on czuje tak samo, wiem - odpowiedziała Arion rozdrażniona, ale i z poczuciem winy.

A więc pomóż mu. Craiden pluskał się jeszcze kilka chwil w milczeniu (trzęsąc się z zimna) tuż obok niej i nie mógł ukryć zaskoczenia, kiedy temperatura wody w jego odczuciu wyraźnie wzrosła.

- Lepiej? - spytała z uśmiechem.

Nie, niczego nie można było wywnioskować z wyrazu jego twarzy. Co, do diabła robiła źle? - Mógłbym poprosić senator Rymer, aby wam wyjaśniła, księżniczko.

- Dlaczego to robicie? - spytał Craiden. - Czy tylko po to, aby mi pokazać, czego mój lud nigdy nie będzie miał?

- Może chcę się po prostu przekonać, jak długo jeszcze potraficie to wytrzymać.

- Co takiego?

-Jak długo potraficie wygłaszać w kółko tak wielkie słowa i okrągłe zdania - wyjaśniła. - A może wy po prostu musicie tak mówić, jako wojskowy dowódca wszystkich klanów?

Ochlapała go wodą.

- A może wolno wam być od czasu do czasu normalnym mężczyzną? Na przykład, kiedy sami kąpiecie się nocą w jeziorze z całkiem niebrzydką dziewczyną?

Kiedy Craiden kolejny raz popatrzył na nią zaskoczony, Arion miała definitywnie dość. Spróbowała go dotknąć, ale on cofnął się szybkim ruchem.

- Nie jesteśmy sami - powiedział poważnie. Chciała zaprzeczyć i przypomnieć, że zarówno Duras jak i jego ochroniarz są przynajmniej kilka mil dalej, ale wtedy dostrzegła jego spojrzenie - patrzył w stronę czarnego cienia R'Achernona, który łączył ze sobą niebo i ziemię.

- Rozumiem - powiedziała.

- Naprawdę rozumiecie?

Zamiast odpowiedzi zadała kolejne pytanie: - Czy jesteście wierzący, mistrzu klanu?

- Co macie na myśli, mówiąc „wierzący“?

- Czy jesteście związani z jakąś religią, kultem... czy wierzycie w coś w rodzaju wszechmocnego Boga, który nas stworzył i nad nami czuwa?

Craiden skinął głową, choć po wyraźnym wahaniu, które jej uświadomiło, że odpowiedź wcale nie była dla niego łatwa. Wówczas dodała z uśmiechem: -Jeśli to prawda, to także nie jesteście nigdy sami. Bo zawsze jest ktoś, kto wszystko widzi i słyszy.

- Czy to znaczy, że uważacie waszą Czarną Wieżę za Boga? - Craiden sprawiał wrażenie zszokowanego.

- Nie - odparła Arion i podpłynęła do niego tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć - i wtedy zarzuciła mu ręce na szyję.

- A teraz zamknij buzię, głuptasie - pocałowała go, najpierw gwałtownie i pożądliwie, a potem, kiedy poczuła, że on przestraszony zeszytywniał i niemal ją odepchnął - delikatnie, nieśmiało. Craiden zadrżał, a przyczyną nie była z pewnością temperatura wody. Ujął obejmującą jego szyję rękę Arion, jak gdyby chciał uwolnić się z jej uścisku. Ale zamiast tego chwycił ją mocniej w ramiona, a jego wargi stały się miękkie. Kiedy jego język dotknął jej zębów próbując je rozsunąć, Arion nagle uwolniła się z jego objęć i łagodnie odsunęła go od siebie.

- Nie martw się - powiedziała. - On - zamknie oczy.

- Naprawdę to zrobi? - Craiden delikatnie dotykał opuszkami palców jej twarzy, co budziło u niej całą armię nieznanych insektów i powodowało delikatne mrowienie gdzieś głęboko, pod skórą.

-Jeśli mu rozkażę, zrobi to - szepnęła.

W jego oczach pojawił się cień wątpliwości, a ona widząc to wskazała ruchem głowy brzeg i rzekła: - Ale tam w lesie jest sucho i są tam drzewa z koronami. Bardzo gęstymi koronami.

Co właściwie niczego nie zmienia, ale przynajmniej miała nadzieję, że mistrz klanu o tym nie wie.

Craiden wahał się przez chwilę jak gdyby walcząc ze sobą, ale potem skinął głową - płynęli w stronę brzegu tuż koło siebie, tak blisko, że ich ciała dotykały się przez cały czas. Craiden wyszedł pierwszy na piaszczystą plażę i wyciągnął rękę chcąc jej pomóc - co wprawdzie w ogóle nie było konieczne, ale niezmiernie ją ucieszyło. Ruszyli w milczeniu w stronę pobliskich drzew i kiedy Craiden zatrzymał się i odwrócił w jej stronę, chcąc znowu wziąć ją w ramiona, jej strój kąpielowy zamienił się w coś o wiele bardziej ekscytującego...

Ale w tym samym ułamku sekundy, gdy ich wargi się zetknęły, do uszu Arion dotarł przerażający, pełen bólu i męki wrzask. Craiden nagle odepchnął ją od siebie tak gwałtownie, że omal się przewróciła. Sięgnął ręką do pasa, gdzie teraz nie miał przecież broni. Przeraźliwy wrzask powtórzył się - jeszcze głośniejszy.

- Co to... jest? Co to takiego? - spytał zduszonym głosem.

-Księżniczko... co...?

Ale w tym momencie jego oczy rozszerzyły się w niemym przerażeniu i zdołał tylko



krzyknąc: -Nie!

Jeszcze zanim przerażający wrzask dobiegł końca, ruszył gwałtownie przez las, biegnąc olbrzymimi skokami.

Arion pobiegła za nim ułamek sekundy później i choć jej odzież momentalnie zamieniła się w nieprzenikalny pancerz, na którym gałęzie i zarośla po prostu się łamały, szybko została w tyle. Już po kilku sekundach Craiden stał się czarnym cieniem niknącym gdzieś w ciemnościach między drzewami, a po chwili nawet jego nie było już widać. Słyszała tylko kroki, trzask łamanych gałęzi i gęstych zarośli.

Co się tam dzieje? Do jasnej cholery, co to znaczy?

Jej niepokój wzrósł, kiedy R'Achernon nie odpowiedział na pytanie, za to pełen bólu wrzask rozległ się po raz trzeci. Dopiero teraz stało się dla niej jasne, co znaczy ten potworny dźwięk. Głośne kroki Craidena umilkły w ciemności, a wrzask już się nie powtórzył, ale teraz, kiedy już wiedziała, co oznaczał, złowroga cisza wydała jej się jeszcze bardziej przerażająca. Przyśpieszyła, zauważyła jednak o ułamek sekundy za późno, że Craiden stał na otwartej polanie i wpadła na niego z takim impetem, że runęłaby na ziemię, gdyby jej w porę nie podtrzymał.

Opancerzony bitewny rumak Craidena stał kawałek dalej. W słabym świetle księżycy, które przeciskało się przez gęste korony drzew, błyszczała wyraźnie jego zbroja, wyposażona w ogromne kolce i ostre rogi - zupełnie jak wyszlifowana stal. Z jego chrap i ogromnych, drapieżnych zębów, kapłała na ziemię czarna jak żywica krew.

Przed oczami Arion wszystko zaczęło się nagle kręcić. Jednocześnie jej pole widzenia zaczęło się kurczyć, aż stało się osobliwym, wąskim tunelem z jakimś małym, widzianym z ogromnej odległości otworem, w którym było ociekające krwią monstrum Craidena. Ten widok napełniał ją niewyobrażalnym wręcz strachem.

- Nie... wyszeptał Craiden. - Ale to... to jest niemożliwe. Czegoś takiego... ona nie mogła zrobić.

Ale jego klacz to zrobiła.

Arion poczuła, jak oprócz potwornego bólu i ogarniającego ją przerażenia zaczęło budzić się w jej duszy inne uczucie, bliskie ślepej chęci niszczenia i zemsty, kiedy patrzyła, jak rumak Craidena wyszarpywał strzępy mięsa z krwawego ścierwa, jakie pozostało z jej Sztormowego Wiatru.

Uwolniła się z uchwytu Craidena, odwróciła się do niego, zaczęła przeraźliwie krzyczeć i uderzać pięściami w jego pierś.

Rymer. - No i proszę! - powiedziała senator Rymer tonem, który był umiejscowiony gdzieś pomiędzy głęboką ulgą, a równie głęboką pretensją do losu i nie wymagał żadnych wyjaśnień.

- Co: „no proszę”?

Tylko bardzo dokładnemu obserwatorowi, który w dodatku wiedziałby, na co zwracać uwagę, rzuciłoby się w oczy, że Rymer wzdrygnęła się nieznacznie w odpowiedzi na reakcję Kinna, który zadał to pytanie. On sam wszedł niemal niezauważony do pokoju tuż za nią i również tego faktu nie zauważył. Podobnie jak tego, że Rymer niby całkiem przypadkowo odwróciła się ze swoim krzesłem w taki sposób, że jego wysokie oparcie skutecznie zasłaniało mu widok na wirtualny ekran.

- Nic, senatorze - odpowiedziała chłodno po chwili. - To coś czysto prywatnego. I bardzo nie lubię, kiedy ktoś wchodzi bez wezwania do pokoju.

- Ale ja... - zaczął niezdarnie Kinn, spostrzegł w ostatniej chwili złośliwe błyski w jej oczach i rozmyślił się. - Przepraszam - chrząknął z zakłopotaniem. - Ale czy nie wzywaliście mnie, pani senator?

- Pół godziny temu, tak - potwierdziła Rymer. - Jak daleko jesteście z waszymi przygotowaniami?

- Niezbyt daleko - przyznał Kinn. - Obawiam się, że muszę zgodzić się z waszymi pierwszymi szacunkami. Choć nie jestem do nich do końca przekonany.

- To znaczy?

-Jeśli przyjmujemy waszą - bardzo mało prawdopodobną przesłankę - że oddziałom Craidena uda się zneutralizować Ścianę, to ich zwycięstwo byłoby wówczas pewne.

- Ale jeśli chodzi o technikę zbrojeniową, jesteśmy przecież lepsi od nich o dobre kilka tysięcy lat, prawda?

Kinn na próżno zastanawiał się, po co senator Rymer zadała mu pytanie, na które potrafiła odpowiedzieć lepiej niż on sam.

- Zgadza się - odrzekł.

- Ale z wyjątkiem mordercy planety.

Kinn najchętniej wrzuciłby teraz ramionami. Prawdopodobnie byłaby to najrozsądniejsza odpowiedź, której w tym momencie mógł udzielić.

- No dobrze - Rymer westchnęła w sposób, dzięki któremu słowa uzyskiwały dokładnie odwrotne znaczenie, spojrzała przez ramię na wyłączony ekran i zrobiła wszystko, aby sprawić wrażenie osoby rozmyślającej usilnie na jakiś określony temat. Potem skinęła głową, powiedziała raz jeszcze: - No dobrze - i popatrzyła na rozmówcę w ten sam pełen zadumy sposób. Kinnowi wydało się, że taksowała go spojrzeniem od stóp do głów, ale pomyślał też, że samo to nie było jeszcze powodem do niepokoju. Rymer patrzyła tak na każdego.

- Ilu ludzi mamy pod bronią? - spytała.

- Oprócz Żelaznej Gwardii Durasa? - potrząsnął głową i dodał: - Nikogo. Był jeszcze bardziej zakłopotany, ale wyprzedził kolejne (zupełnie zbędne) pytanie Rymer i uściślił: - Kilka tysięcy dron bojowych, co nawet w przybliżeniu nie wystarczy, aby zatrzymać milion Quorrlów. Do tego garść myśliwców morderców... i to właściwie wszystko.

-I nie możemy wyprodukować w tej chwili innych maszyn, bo moc produkcyjna nie wystarcza nawet na to, aby powstała odpowiednia ilość ognistych chrząszczy - dodała Rymer.

Kinn przytaknął. Zastanawiał się, czy Rymer zacytowała jego wcześniejszą wypowiedź po to, aby wyładować na nim swoją frustrację, czy też może oczekiwała od niego jakiegoś konstruktywnego rozwiązania.

- W tym składzie broni - ciągnęła dalej senator - z którego ukradziono mordercę planety, znajdowała się jeszcze spora liczba innej broni, wiedzieliście o tym?

Kinn zgodnie z prawdą potrząsnął głową. Był nawet nieco zdziwiony, bo całkiem automatycznie założył, że ta najbardziej pustosząca ze wszystkich broni masowego rażenia, jaką kiedykolwiek zbudowali ludzie, była składowana i nadzorowana oddzielnie.

- Nie o tak przerażającym działaniu, ale były tam także bomby o znacznie większej sile wybuchu - mówiła Rymer. - Czy nic was tu nie zastanawia?

Właściwie sama odpowiedziała sobie na to pytanie, potrząsając głową.

- Nie, u mnie trwało to także dłuższą chwilę, zanim się z tym uporałam. Ale od tamtej chwili martwi mnie to cały czas.

Przed jej biurkiem nagle wyrósł czarny, matowy fotel i Rymer zaczekała, aż Kinn zajmie w nim miejsce, aby móc kontynuować dalej swoją wypowiedź: - Nie bierzcie mi tego za złe, senatorze. Wy o tym wszystkim wiecie, ja też wiem i pewnie uważacie mnie za gadatliwą starą babę, która mówi o tym tylko dlatego, że nic lepszego nie przychodzi jej do głowy.

To odpowiadało dość dokładnie zdaniu, jakie Kinn miał na jej temat, ale oczywiście senator wystrzegał się skrupulatnie, aby nawet cień takiej myśli nie mógł pojawić się na jego twarzy. Ale był teraz niemal pewien, że Rymer miała w zanadrzu jakąś niespodziankę dla niego. I to niezbyt przyjemną.

- Czasami pomaga po prostu, kiedy się to wszystko omawia na głos - mówiła w zamyśleniu. - Nawet kiedy uczestnicy rozmowy już dawno i dobrze znają wszystkie fakty. Twierdzę, że mistrz klanu Craiden - przy całej swej bezwzględności, jaką z wielką chęcią mu przypisuję - nie planował zniszczenia całej planety- i zakładam, że tu zgadzacie się ze mną.

A skąd on, Kinn, miał wiedzieć, co dzieje się w mózgu tego człowieka z epoki kamiennej - o ile on w ogóle miał mózg? Skinął głową bez słów.

- Jeśli więc Craiden planował jedynie zniszczenie naszej tarczy ochronnej - mówiła dalej

Rymer w zadumie, a jej spojrzenie tylko pozornie zatrzymało się na twarzy Kinna, bo tak naprawdę miała przed oczami coś innego - to dlaczego nie odpalił po prostu większego ładunku? Zamiast dwunastu kiloton mógł równie dobrze użyć dwunastu megaton albo nawet stu dwudziestu.

- To niczego by nie zmieniło - zgodził się dla świętego spokoju. - A w każdym razie dla nas byłoby to bez różnicy. Ale jedna z takich bomb oznaczałaby także sto razy większą liczbę ofiar wśród jego ludzi.

Rymer wydała odgłos mający oznaczać pogardę.

- Nie sądzę, aby mu to w czymkolwiek przeszkadzało - powie działa. - Ale może się mylę i wyrządzam biednemu Craidenowi wielką krzywdę.

Zaśmiała się zimno i dodała: -A to byłoby ostatecznie, czego bym sobie życzyła. Uważam, że ten przypadek jest wyjątkowo godny uwagi.

-Jaki przypadek?

Rymer uniosła w górę ramiona w geście rzekomej niewiedzy.

-Taki, że Craiden najpierw wymyślił genialny plan ataku, który potem katastrofalnie zawodzi, ale jednak nie w takim stopniu, w jakim by mógł. Jednocześnie używa jedynej broni, która rzeczywiście może naruszyć wydajność naszego systemu obrony... i wygląda na to, że na okres wielu tygodni, jeśli nie miesięcy.

- Do czego właściwie zmierzacie? - spytał zniecierpliwiony Kinn.

Wydawało się, że to pytanie zaskoczyło (przynajmniej dzisiaj) siwowłosą senator.

- Ach, do niczego. Po prostu głośno myślę... i mam niedobre przeczucia. Wierzycie w przeczucia, Kinn?

Fakt, że przemilczała jego funkcję zwracając się do niego bezpośrednio po imieniu, był jawną zniewagą, ale ten moment nie wydawał się właściwy, aby zwracać jej uwagę.

-To... zależy - odpowiedział.

-Ja wierzę - mówiła dalej. - Wiem, tego akurat nie powinnam wam mówić, ale w tym wypadku powiem. Bo może to jedyne, co nam pozostało. Craiden coś planuje. Nie wiem, co mogłoby to być, ale po prostu wiem, że tak jest.

- Macie na myśli tego Craidena, który jest tam w parku z księżniczką Infinity, w dodatku zupełnie sam na sam? - upewnił się całkiem poważnie Kinn.

- Duras jest tam z nią i jeszcze jego kopia zapasowa, istniejąca zaledwie od kilku godzin - uspokoiła go Rymer. -Ale owszem, macie rację, a jeśli podejździe się do tego bardzo, bardzo na serio, to jest to także powód, dla którego was tutaj poprosiłam, senatorze. Duras jest zajęty, jak wiecie. Wypełni swoje zadanie z pewnością i nie odstąpi księżniczki ani na krok, jak długo mistrz klanu przebywa w R'Achernonie, niezależnie od tego, co się stanie. Za to jego Żelaznej Gwardii nie ufam już do końca, a omega kopia jeszcze nie wróciła z misji, na którą ją wysłałam. Teraz potrzebuję pilnie kogoś, komu mogę zaufać. Komu mogę naprawdę zaufać, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Kinn nie był tego co prawda pewien, ale mimo wszystko skinął głową nieznacznie, tak, aby w najgorszym wypadku mógł ewentualnie wszystkiemu później zaprzeczyć.

-Jest coś, co możecie dla mnie zrobić, senatorze - mówiła dalej Rymer. - Sprawa jest nieco... delikatna i być może wyda wam się pozbawiona sensu. - Uśmiechnęła się blado. -I z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością nie będziecie musieli wykonywać tego zadania. Chciałabym tylko być przygotowana, jeśli okazałoby się to konieczne.

-I to wszystko dlatego, że macie... przeczucie, pani senator?

Rymer skinęła głową, splotła ręce na stole i powiedziała wprost, czego od niego oczekiwała. Ale zaraz potem - doznała o wiele gorszego przeczucia.

- To jest... bardzo specyficzne zadanie - powiedział Kinn zachrypniętym głosem, po upływie bardzo długiego czasu. Potrzebował go, aby przekonać się, że Rymer rzeczywiście powiedziała to, co usłyszał. A sądząc po jej świdrującym, przenikliwym spojrzeniu, tak właśnie było, niestety - Dlatego proszę o to was, senatorze - ciągnęła. - Potrzebuję kogoś zaufanego.

-Ale dlaczego...

-I kto nie będzie zadawał zbędnych pytań - dodała ostro.

-Ale to jest mimo wszystko bardzo specyficzne- upierał się Kinn.

Może płatał się trochę w swoich wypowiedziach, ale jej plan doprawdy był... zupełnie szalony!

- I nie do końca bezpieczny - potwierdziła, jakby słysząc jego myśli. - Ale wy macie oczywiście rację: kiedy żądam od was, abyście podjęli tak wielkie osobiste ryzyko, jestem wam też winna wyjaśnienie, dlaczego.

Kinn okazał się dżentelmenem na tyle, aby nie zaprzeczać.

-Jeśli więc biorę pod uwagę wszystkie fakty wynikające z naszej sytuacji - mówiła dalej - to za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku. A mianowicie: że to wszystko miałoby sens tylko wówczas, gdyby Craiden miał jakąś pomoc.

Kinn przytaknął. Tyle to już rozumiał. I jeśli miał być całkiem szczery, to właściwie już dawno pojął, co miała na myśli Rymer i czego się nawet nie ważyła wypowiedzieć. Bo to po prostu - nie mogło mieć miejsca.

- Pomoc ze strony wieży - powiedziała.

Patrzył na nią niczego nie rozumiejąc.

- Wy... wiecie, że to jest niemożliwe? - spytał po kilku sekundach milczenia.

- Tak - odparła. - Podobnie jak myśl, że taki barbarzyńca jak Craiden mógłby wykorzystać hiper klucz królowej - Rymer, wyraźnie zmęczona, potrząsnęła głową. - Jakkolwiek gorzko mogłoby to zabrzmieć, szanowny senatorze, to jednak jestem przekonana, że mamy wśród nas zdrajcę.

Kinn milczał - bardzo długo.

- To... bardzo ciężki zarzut - powiedział wreszcie.

- Wiem - odpowiedziała. -I dlatego oprócz was jest tylko jedna jedyna osoba w R'Achernonie, której opowiedziałam o tym niesłychanym podejrzeniu. I uwierzcie mi: niczego bardziej nie pragnę, jak tego, aby moje domysły okazały się nieprawdą. A więc: czy mogę na was liczyć?

- A czy mam inny wybór, po tym, co mi właśnie powierzyliście?

- Kinn, całkiem zdezorientowany, wstał, czekał jeszcze przez długą, pełną napięcia chwilę, aż Rymer doda kilka słów wyjaśnienia, ale bezskutecznie. Opuścił więc szybko pomieszczenie, niemal uciekając z niego w popłochu. Senator Rymer została sama - z głębokim westchnieniem ukryła twarz w dłoniach.

- Co za idiota - wyszeptała.

- Idiota o IO^bliskim dwieście - Plixx wyszedł z cienia, który ledwo mógł pomieścić prawdziwą mysz, nie mówiąc już o jej większym odpowiedniku o wzroście półtora metra. - Ale rzeczywiście macie rację, to muszę przyznać. On jest chyba najbardziej przebiegłym głupcem, jakiego znam, ale nawet genialny dureń pozostaje durniem mimo wszystko.

Rymer opuściła ręce, po czym przez dobre dziesięć sekund wpatrywała się w pustkę nieruchomym wzrokiem. Wreszcie z demonstracyjną powagą odwróciła się do myszczura.

- Wyglądacie na zmęczonego, Plixx - powiedziała życzliwie.

To akurat było prawdą. Plixx nie miał już na sobie głupkowatego stroju błazna, tylko swoje zwykłe ubranie z szarych, skórzanych łat.

Trudno było ująć to w słowa, ale sprawiał wrażenie kogoś, kto nie pozwoli, by ktokolwiek podejrzewał go o to, że jest tylko ślicznym domowym zwierzątkiem, które przez czysty przypadek trochę za bardzo urosło i nauczyło się mówić. Ale - rzeczywiście sprawiał wrażenie wyczerpanego. Jego oczy, które zwykle przypominały czarne, wypolerowane kamyki, straciły większą część swego blasku, a ruchy myszczura były niezwykle nerwowe.

- To była ciężka noc - powiedział cicho. -I obawiam się, że ona nieprędko się skończy!

Westchnął w przesadny, demonstracyjny sposób, podreptał kilka kroków w stronę stołu i zmierzył wygaszony ekran przeciągłym spojrzeniem, ale nie zdradził ani słowem, czy był tu na

tyle długo, aby wiedzieć, jakie sceny oglądała na nim senator Rymer przed przybyciem Kinna. Ona w każdym razie założyła, że myszczur tego nie wiedział.

- To znaczy, że nie zostaniecie dłużej? - spytała ostrożnie.

- Wierzcie mi, moja droga współuczestniczko spisku, że chciałbym, gdybym tylko mógł - kiel Plixxa błysnął, stwarzając imitację uśmiechu, ale nawet ten uśmiech pełen był takiego zmęczenia, jakiego Rymer jeszcze nigdy nie widziała u myszczura. Oszczędziła więc sobie kolejnego pytania, wiedząc, że i tak nie otrzymałaby odpowiedzi, ale było dla niej jasne, że myszczur ma za sobą o wiele więcej, niż tylko nieprzespaną noc.

- Nie nazywajcie mnie w ten sposób! - odpowiedziała gniewnie.

Nawet jeśli miał rację.

- Jak sobie życzycie, pani senator - uszy Plixxa zadrżały, kiedy wskazał ruchem głowy na ekran. Znaczyło to, że widział. - Mogę tylko mieć nadzieję, że nie byliście zbyt gorliwi w tej sprawie - w końcu słusznej... ale jestem tutaj nie z tego powodu. Czy macie jakąś wiadomość od Durasa Omega?

- Wykonał już połowę swojego zadania - zameldowała Rymer. - Ale jak do tej pory - bez rezultatu.

Zawahała się nieznacznie i po chwili dodała: - Może się jednak myliliśmy...

- Tak sądzicie, czy zaledwie macie nadzieję? - spytał Plixx.

- Może jedno i drugie - przyznała znużonym głosem. - Zapytajcie mnie o to za kilka godzin. Liczę na jej powrót koło południa.

- O ile niczego nie znajdzie.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie, myszczurze - wymamrotała Rymer. - Albo lepiej: módlmy się, aby ona wróciła bez spodziewanego wyniku.

Plixx popatrzył na nią podejrzliwie i spytał: - Czy w ciągu tej nocy staliście się wierząca?

- Człowiek przestaje być wybredny, kiedy stopniowo kończą się kolejne opcje, myszczurze.

Plixx zakotył się głową, co zapewne miało wyglądać śmiesznie, ale śmieszne nie wydawało się wcale.

- Egzystencja wszechmocnej istoty, która stworzyła cały wszechświat, nigdy nie została udowodniona.

- Podobnie jak przeciwieństwo tego twierdzenia - Rymer nieco demonstracyjnie zmarszczyła czoło. - Ale zakładam, że nie przyszłście tu po to, aby prowadzić ze mną dyskusje teologiczne?

- Jeśli tylko kiedyś znajdziemy na to czas, to chętnie - odparł Plixx, ale jednocześnie potrząsnął głową. - Nie, obawiam się, że nie. I obawiam się także, że mam bardzo mało dobrych wiadomości.

Rymer pytająco uniosła w górę brwi.

- Byłem w mieście - mówił myszczur. - Chociaż wyrażenie „pod miastem” byłoby chyba bardziej trafne.

- I co? - spytała Rymer, kiedy myszczur umilkł i patrzył na nią z wyrazem przygnębienia.

- Byłem niejako zmuszony usłyszeć część tego, co mówiliście do Kinna. Nie, nie chciałem was podsłuchiwać...

- Oczywiście, że nie - skrzywiła się Rymer.

- .. .ale obawiam się, że wasze słowa zawierają więcej prawdy, niż wam się wydaje - kontynuował niewzruszenie Plixx.

- Co... macie na myśli? - spytała z obawą senator. Nagle znów ogarnęły ją niedobre przeczucia.

- Mam na myśli ogień - odparł Plixx. - Który rozszerza się coraz bardziej.

Mardu. Cały świat wirował mu przed oczami, kiedy się obudził, a dokładnie - wokół jego żołądka. Wszystko się kołysało, a w nos uderzył koszmarny wręcz smród. Może słyszał też jakieś głosy, ale nie był tego pewien, był za to zbyt zmęczony, by się nad tym skupić.

Generał Mardu spał, głęboko i długo, dokładnie tak, jak poradził mu Quizzack, a jednak nie

czuł się wypoczęty. Przeciwnie. W jego czaszce wprost huczało, było mu niedobrze, a język miał taki smak, jak gdyby generał przez całą noc żuł skarpetki adiutanta.

-Wiem, że się obudziliście, panie - do jego uszu dotarł zrzędlawy głos chłopaka. - Musicie wstawać. Wiem, będzie ciężko, ale to ważne.

To zdanie zawiera jeden błąd- pomyślał Mardu. Nie, „będzie ciężko”, tylko jemu będzie ciężka I on, Mardu, chętnie zrobiłby teraz coś, co powinien był zrobić zaraz na początku, a mianowicie porządnie wychłostać chłystka.

Jeśli tylko byłby odpowiednio rozbudzony, aby coś takiego zrobić.

- Panie? - Quizzack szturchnął go boleśnie. - Mardu?

- „Generale”... -wymamrotał. Jednocześnie spróbował niezdarnie trzepnąć chłopaka, ale ten uchylił się bezczelnie. A poza tym cały świat kołysał się i dygotał, jak gdyby był pijany. Mardu otworzył oczy i stwierdził, że świat kołysał się naprawdę. A poza tym mierzył trzy na trzy kroki, miał drewnianą poręcz sięgającą do wysokości bioder i wisiał na łańcuchu grubości ramienia, na którym huśtał się w powietrzu mniej lub bardziej gwałtownie, głośno przy tym skrzypiąc.

- Ach? - wymamrotał, dość precyzyjnie wyrażając w tamtej chwili swoje uczucia.

- Zaniósłem was do windy, panie - paplał Quizzack. - Mam nadzieję, że wybaczycie mi taką niesubordynację, ale byliście naprawdę bardzo wyczerpani, a przed nami jeszcze długa droga.

Ach? - pomyślał Mardu po raz drugi. - A dlaczego ten głupi nicpoń nie pozwolił mi dalej spać. On, Mardu, wychłosta go z pewnością...

Jutro. A najpóźniej pojutrze. Podniósł się niezdarnie na obu łokciach, zamrugnął usuwając ostatnie smugi sprzed oczu i przechylił głowę do tyłu; ale natychmiast ze stęknieniem zamknął znowu oczy, pozostawiając jednak wąskie szpary. Drewniana platforma wyciągowa była rozmiarów kwadratowego szybu ze ścianami zżartymi przez rdzę.

Wydzielały one nieprzyjemną, duszącą woń. Ponad nimi znajdował się wypełniony jaskrawym światłem kwadrat, na którego skraju poruszały się jakieś cienie czy też postacie o zamazanych konturach, szczegółów nie dało się jednak rozpoznać. Chociaż Mardu nie obudził się jeszcze na tyle, aby dokładnie wiedzieć, dlaczego, miał jednak przeczucie, że ten widok na górze był czymś dobrym.

-Jesteśmy w drodze, ale dokąd? - wymamrotał.

- W drodze do góry - odparł chłopak.

Mardu wytrzeszczył na niego oczy. A więc może jednak już dziś.

Quizzack, który wydawał się czytać jego myśli, przezornie cofnął się o krok, ale mimo to zaraz wyciągnął rękę, aby pomóc generałowi wstać. Pozycja Mardu pozwoliła mu wprawdzie na kolejną sekundę zwłoki (w czasie której nie omieszkał z pogardą popatrzeć na swojego adiutanta), ale potem chwycił jego rękę i z zaskoczeniem stwierdził, że ten drobny chłopak postawił go bez trudu na nogi. W następnej chwili Mardu wyciągnął szybko rękę i chwycił poręcz, aby nie stracić równowagi. Podłoga z desek zachybotowała się gwałtownie - ale może tak mu się tylko wydawało, kiedy popełnił błąd i spojrzał w dół. Wyciąg składał się w zasadzie tylko z krzyża z masywnych belek, do którego przybito podłogę z cienkich, częściowo zbutwiałych desek - każda wyglądała tak, jak gdyby ciężar dziecka był dla niej zbyt duży, nie mówiąc już o wadze dwóch dorosłych mężczyzn. Gdzieś bardzo, bardzo daleko w dole Mardu dostrzegł coś, co wydało mu się dnem wielkiej hali, na którym wczoraj zasnął. Ale jego zmysł wzroku upierał się, że dystans między dnem a miejscem, w którym znajdował się teraz, musiał wynosić przynajmniej sto mil... ale przecież tak głęboko pod ziemią nie mogli się znajdować. Mardu odwrócił szybko wzrok, przezornie uczeplił się drugą ręką chwiejnej poręczy, zmierzył Quizzacka spojrzeniem pełnym wyrzutu i popatrzył znowu do góry. Jasny kwadrat był nieco bliżej i coś ruszało się na jego skraju, ale ciągle nie mógł rozpoznać, co to mogło być. Coś go jednak w tym widoku stanowczo niepokoiło.

- Tam na górze - zapytał, podkreślając wagę pytania odpowiednim gestem - kto to jest?

- Przyjaciele - odparł Quizzack takim tonem, że Mardu nabrał podejrzeń, iż chłopak chciał powiedzieć coś zupełnie innego.

- Oni obsłużą wyciąg.

- Dlatego, że są twoimi przyjaciółmi?

- Tak - odparł Quizzack, zrobił nadąsaną buzię i dodał jakby mimochodem: - Za pieniądze oczywiście.

- Za pieniądze?

- To jest ich zawód - wzruszył ramionami chłopak. - Wielu ludzi jest wyczerpanych po locie w kanale albo po prostu się śpieszą. A to bardzo długa droga, pół mili na piechotę i strome schody do góry.

Już na samą myśl o tej ścieżce przetrwania Mardu poczuł lodowaty dreszcz na plecach.

- E tam! - zawołał z pogardą.

- Powiedzieliście, że się śpieszycie - odparł Quizzack.

- Hm... - mruknął Mardu w odpowiedzi. Coś wpadło mu do głowy. - A ty poszedłeś pół mili schodami w górę, aby ich zawołać, a potem wróciłeś do mnie? - spytał.

- Jest tutaj flaga sygnalizacyjna, którą można podnieść. Na górze zawsze jest ktoś, kto na to zwraca uwagę.

- Hm... - mruknął Mardu ponownie. Dlaczego właściwie wydawało mu się, że Quizzack jest wyjątkowo bezczelny?

- Oni zawiozą nas też na Niebiański Dworzec - dodał adiutant niepytany. - Stąd to tylko kilka godzin. Ale oczywiście... hm...musielibyście za to zapłacić.

- Oczywiście?

- Musiałem już wyłożyć całego dinara za wyciąg - powiedział Quizzack, zauważył nieufne spojrzenie Mardu i dodał szybko: - Przy korbie jest koszyczek na zaliczkę.

Na ostatnim fragmencie zrobiło się rzeczywiście ciężko. Niedbale sklecony wyciąg skrzypiał i trzeszczał tak, że wydawało się, że za chwilę dosłownie się rozleci i nawet łańcuch grubości męskiego nadgarstka, na którym wisiał, zaczął podejrzenie zgrzytać. Mardu daleki był od niegodnego uczucia strachu, ale jednak odetchnął z ulgą, kiedy drewniany podest wreszcie wynurzył się na powierzchnię, trzeszcząc przechylił się na jedną stronę i trzasnął z taką siłą o ziemię, że zęby Mardu boleśnie uderzyły o siebie.

Kiedy jego oczy zaczęły wreszcie postrzegać coś więcej niż kolorowe błyskawice i mógł się wyprostować, zobaczył przed sobą twarz największego Quorrla, jakiego kiedykolwiek było mu dane widzieć.

Żółwi pysk osunął się przed nim na kolana, ale mimo to ich twarze były dokładnie na tej samej wysokości, tyle że twarz Quorrla była mniej więcej trzy razy większa niż twarz Mardu.

Quizzack zeskokczył płynnym ruchem z platformy, która w efekcie zaczęła tak bardzo się chwiać, że Mardu znów kurczowo chwycił się poręczy - co z kolei dało Quorrlowi asumpt do wskoczenia jednym, pełnym przerażenia ruchem na jej powierzchnię. Wówczas Mardu mógł ocenić jego rozmiary. Quorrl nie sięgał wprawdzie do R'Achernona, który wynurzał się tuż zza jego sylwetki, ale doprawdy niewiele brakowało.

- Uha - zamruczał Mardu.

- Wa - odparł Quorrl.

- Może... hm... powinniście mi powierzyć pertraktacje, panie - wtrącił się pośpiesznie Quizzack i dodał sekundę później: - Generale.

- Od kiedy to generał powierza swojemu adiutantowi pertraktacje? - prychnął Mardu. Chłopak stał kilka kroków dalej obok trzech dość przerażająco wyglądających postaci i mimo najlepszej woli, Mardu nie był w stanie stwierdzić, która z nich patrzyła na niego bardziej nieprzyjaźnie.

- A mówicie ich językiem, generale? - spytał Quizzack.

Mardu puścił mimo uszu tę kolejną, niesłychaną wręcz bezczelność (choć w myślach zapisał ją na swojej czarnej liście, która powoli stawała się naprawdę długa) i z wyzywająco wysuniętą do przodu dolną szczęką zwrócił się do olbrzymiego Quorrla.

- Ty tam!

- Wa - dobiegło z jego strony, przy czym Quorrl zrobił taki grymas, jak gdyby podejrzewał, że słowa generała zawierały niesłychaną obrazę.

- Gdzie jest wasz wóz czy też coś, czym transportujecie swoich gości? - zaatakował go Mardu. - Przyrowadź ten wóz tutaj i to szybko!

Quizzack popatrzył na niego rozszerzonymi oczami, a twarze jego trzech towarzyszy wyrażały coś pośredniego między zaskoczeniem a gniewem.

Jeden z nich uśmiechnął się szeroko i potrząsając głową, zrobił krok w stronę generała.

- Odważny jesteś, mały człowieku - powiedział.

„Mały człowieku”? - pomyślał Mardu. Na co pozwala sobie ten bezczelny typ... nawet jeśli z jego punktu widzenia miał on trochę słuszności! Mardu może nie był tak wysoki jak jego przyjaciel Quorrl, ale dużo mu nie brakowało.

Co nie zmieniało faktu, że tamten nie miał prawa wygłaszać tak impertynenckich uwag.

- Generale - upomniał go Mardu. - I naprawdę nie trzeba mieć wiele odwagi, aby wydać rozkaz Quorrlowi. Dowodzę tysiącami takich jak wy.

- Tysiącami? - szyderczy uśmiech tego typu był coraz bardziej bezczelny. - Czemu tak skromnie, mały człowieku?

- Generale! - prychnął Mardu. Rzeczywiście tysiące Quorrlów służyły w jego wojsku. W każdym razie były to tysiące, zanim nie eksplodowała ta cholerna bomba, wytwór technomagii.

- A więc mały generale - zaśmiał się typ. - Ale byłoby jednak lepiej, gdybyś nie mówił w ten sposób do Wa. Może na to nie wygląda, ale on ma jednak wrażliwe usposobienie, a ty nie chcesz go chyba urazić, prawda?

Mardu niemal podziwiał sam siebie za opanowanie, z jakim zareagował na bezczelny ton impertynenta. Ale w końcu w grę wchodziły naprawdę poważne sprawy. Jeśli chodzi o los całego świata, to jego osobista duma musiała znaleźć się na dalszym planie.

- Jak masz na imię, chłopie? - zapytał z wyraźnym znużeniem w głosie.

- Findes - odparł Quorrl. Wskazał przy tym na swoich dwóch kompanów, których ponure miny ustąpiły szerokiemu uśmiechowi i rzekł: - A to są Trzysms i Zachow. Wa już znasz.

Co za porypane imiona - pomyślał Mardu zdumiony, wystrzegał się jednak jakiegokolwiek miny, przedstawił się wojskowym powściągliwym skinieniem głową.

-Ja jestem generał Mardu - powiedział jeszcze raz. - Komendant trzeciej armii w służbie mistrza klanu.

- Armia mistrza klanu - powtórzył Findes. Mardu miał wrażenie, że mu to zaimponowało. A potem ruchem głowy wskazał na Quizzacka i spytał: - A to też jest twoja armia?

- Musiałem oddalić się od moich oddziałów - odpowiedział Mardu ostro. -I to jest powód, dla którego zmuszeni jesteśmy skorzystać z waszych usług. Muszę dotrzeć do Niebiańskiego Dworca i to jak najszybciej. Czy mój adiutant wam tego nie powiedział?

- Do Niebiańskiego Dworca? - Na twarzy Findesa pojawił się strach. To daleka droga.

- Nie jest daleka - warknął generał. - Można tam dojść na piechotę.

- No to idźcie na piechotę - odpowiedział Findes niedbale. Mardu milczał. Nie miał bladego pojęcia, gdzie byli, ale Quizzack przecieży twierdził, że kanał zaprowadzi ich w pobliże Niebiańskiego Dworca. Przecieży adiutant nie pozwoliłby sobie na kłamstwo wobec swojego zwierzchnika. Mimo wszystko Mardu poczuł pewną urazę do chłopaka. Dlaczego nie załatwił wcześniej tych męczących pertraktacji?

- Na piechotę dotrzecie tam w jeden dzień - obstawał przy swoim Findes, kiedy Mardu po dłuższej chwili nie odpowiedział. -Choć co prawda okolica jest niebezpieczna. Zawsze była, ale od wczoraj zrobiło się naprawdę źle.

- Co dokładnie rozumiesz pod pojęciem „źle”?

- Bandy rabusiów. Ludzie, którzy łatwo tracą głowę i strzelają do wszystkiego, co się rusza - Findes wzruszył ramionami i dodał: - Taki rodzaj zła.

- To rzeczywiście godne pożałowania - powiedział Mardu ironicznie.



Findes wprawdzie przytaknął i przybrał odpowiednio zafrasowany wyraz twarzy, ale jego oczy zamigotały pożądliwie.

- Ale tym dojedziecie tam w godzinę - powiedział i niedbale machnął ręką na lewo, a kiedy generał spojrział we wskazanym kierunku, zobaczył masywny, czterokołowy wóz, zaprzężony w potężne woły o długiej sierści i wykręconych rogach. - Na tym bylibyście bezpieczni.

W to Mardu nie wątpił. Dokładnie rzecz biorąc wóz niewiele różnił się od tych, których używały jego oddziały, ale był tak masywny i ciężki, że sprawiał wrażenie o wiele większego. Wszystko w nim wydawało się składać z metalu, nitów grubości kciuka i równie grubych spawów. Zamiast okien miał tylko kilka otworów strzelniczych, a już sama grubość osi świadczyła o jego ogromnej wadze. Mardu był wyraźnie pod wrażeniem. Ale mimo to potrząsnął głową.

- Znam parę rodzajów broni, które tę skrzynię wysadziłyby z łatwością w powietrze - powiedział.

- Tak może być, mały generale - odparł Findes. - Ale jakoś tak, zupełnym przypadkiem znamy tutaj większość band.

Mardu założył, że Findes należał do najgorszej z nich, o ile w ogóle nią nie dowodził. Potrafił też wyobrazić sobie dość dokładnie, co wkrótce nastąpi - i z pewnością nie byłby rozczarowany.

- Ale jak już mówiłem, mały generale, droga jest długa i niebezpieczna. Transport kosztuje więc dziesięć złotych dinarów.

Mardu stęknął, przynajmniej w myślach. Czy doprawdy wyglądał jak przekupka, z którą można się targować?

- Nie mam pieniędzy - oświadczył.

- No to macie problem, ty i twoja mała armia - westchnął tamten.

- Problem będziesz miał ty, jeśli mi nie pomożesz nawiązać kontaktu z moimi oddziałami - Mardu stracił cierpliwość. - I w grę wchodzi znacznie więcej, niż kilka złotych dinarów, ty zachłanny skąpcze! Jestem w posiadaniu informacji, które są niesłychanie ważne dla mistrza klanu! Mogą być decydujące dla losów całego miasta!

- Losy całego miasta? - powtórzył Findes, będąc, jak się zdawało, wyraźnie pod wrażeniem słów Mardu. - A jesteś pewien, że nie są to losy całego świata?

- Może nawet tak jest - odparł gniewnie generał. - I jeszcze ośmielasz się targować ze mną? Jak śmiesz? Jeszcze jedna taka bezczelność i zastanowię się, czy ciebie razem z tym całym motłochem nie powołać do pełnienia służby!

Dolna szczeka Quizzacka dosłownie opadła w dół, a trzy typy z Quorrlem włącznie nagle nie sprawiały już wrażenia aroganckich i bezczelnych. To chyba był właściwy ton, w jakim należało z nimi rozmawiać.

- Jest mi naprawdę przykro z powodu mojego zachowania - powiedział Findes. - Nie mogłem o tym wiedzieć.

- No to teraz wiesz - podsumował Mardu, ciągle jeszcze nieudobruchany, ale już prawie w łaskawym nastroju. - A więc zawieźcie mnie na Niebiański Dworzec.

- Zrobiłbym to - odrzekł Findes - ale wóz należy do mnie tylko w jednej czwartej, a moi partnerzy mają dwie żelazne zasady. Są uczciwi i nie pracują na kredyt.

- To jest... hm, tego... prawda, generale Mardu - odezwał się Quizzack pośpiesznie. - Znam Findesa i jego braci od wielu lat. Są twardymi partnerami w negocjacjach, ale są znani ze swej uczciwości. To, co raz powiedzą, jest święte.

Mardu zmierzył go wprawdzie pogardliwym spojrzeniem, ale oszczędził sobie wszelkich komentarzy. Nie wierzył w ani jedno słowo chłopaka. Kto wie, może on i ci czterej dranie na koniec okażą się współnikami.

- Nie mam pieniędzy - warknął raz jeszcze. - Może mój adiutant będzie mógł wyłożyć za mnie tę sumę.

- Dziesięć złotych dinarów? - stęknął Quizzack. - Miałem tylko jednego dinara i tego już wyłożyłem.

Mardu zadał sobie wyraźny trud, aby zignorować pełen wyrzutu ton chłopca, spojrzał krótko w stronę osobliwego pancernego wozu i wlepił oczy w Findesa oraz w jego trzech przyjaciół.

- Dziesięć złotych dinarów! To zdzierstwo! Lichwa! A wiesz, że lichwa jest przestępstwem!

- Takie są ceny- westchnął Findes. - Do Niebiańskiego Dworca i z powrotem nawet wozem będziemy jechać przez wiele godzin.

Możliwe, że będziemy musieli walczyć. A nawet jeśli nie, to wyciąg pozostanie w tym czasie bez nadzoru. A co, jeśli w tym czasie pojawi się klient albo trzeba będzie przewieźć jakiś ładunek? Takie zlecenie będzie wówczas dla nas stracone.

Zakołysał głową i dodał: - A więc jedenaście dinarów to uczciwa cena, tak sędzę. Zwłaszcza, że będę musiał przetransportować nie tylko was, mały generale, ale także waszą armię - wskazał na Quizzacka.

- Jedenaście złotych dinarów? - stęknął Mardu. - Dopiero co było dziesięć!

- Im dłużej stoimy i gadamy, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo, że po naszym odjeździe przypadnie nam jakiś interes. - powiedział Findes.

No, to już wystarczy. Mardu niejako zastrzegł sobie prawo do tego, aby uchodzić za człowieka wyrozumiałego i pełnego anielskiej cierpliwości, ale co za dużo, to niezdrowo. Jednym ruchem odgarnął strzępki czegoś, co niedawno było jego płaszczem i wyszarpnął zza pasa zdobyczny rozrywacz.

- Może jeszcze raz pomówimy o cenie? - zaproponował.

Findes patrzył na niego przez chwilę z prawdziwym zakłopotaniem, po czym skinął głową, rozsunął połę swojego płaszcza i wyciągnął swój rozrywacz, (który byłby porównywalny z rozrywaczem Mardu, gdyby... nie był dwa razy większy). Oba rozrywacze, które wyczarowali spod swoich płaszczy jego kompani, były tego samego kalibru. A broń, jaka pojawiła się niemal z nicności w rękach Wa, wyglądała tak, jak gdyby kiedyś była zamontowana na czołgu. I to na niemałym czołgu. Mardu schował swój rozrywacz.

- A więc dobrze - powiedział. - Ale będę mógł wam zapłacić dopiero wtedy, kiedy dotrzemy do moich oddziałów.

- A jeśli tego nie zrobicie, generale?

- Co ci przychodzi do głowy, że śmiesz wątpić w moje słowa, bezczelny typie? - prychnął Mardu. - Jestem generałem! Nie kłamię! - zrobił gniewny gest ręką. - Jak tylko skontaktuję się z moimi ludźmi, rozkażę mojemu skarbnikowi, aby wypłacił ci twoje dziesięć dinarów!

- Dwadzieścia.

- Dopiero co było jedenaście!

- Tak było, zanim wymierzylście do nas z broni - powiedział Findes. Czekał. Dość długo. I wreszcie dodał: - Im dłużej pertraktujemy, tym wyższa jest cena. Wiecie: interesy, które w międzyczasie zostaną stracone...

Mardu spojrzał na niego prawie z nienawiścią, ale przetknął gładko wszystko to, co miał na końcu języka.

-Dranie-wymamrotał. -Ale dobrze, ustępuję przed przemocą.

Dostaniesz swoje pieniądze.

Na twarzy Findesa pojawiło się widoczne zadowolenie. Zamierzał właśnie coś odpowiedzieć (być może jeszcze raz podwoić cenę), ale jeden z jego kompanów zwrócił się do niego w nieznanym Mar-du języku, potrząsając jednocześnie energicznie głową. Findes odpowiedział coś w tym samym dialekcie przynajmniej tak samo gwałtownie i żeby chaos był kompletny, do rozmowy wmieszał się trzeci typ. Z kilku warkniętych uwag zrobiła się momentalnie głośna kłótnia. No jasne- pomyślał Mardu zniechęcony. Mogli spokojnie dalej gadać, w końcu byli w posiadaniu czasu całego świata!

- Co się znowu dzieje? - warknął, nie adresując tego do nikogo i przezornie tak cicho, że Findes i jego kompani nie mogli tego usłyszeć. Ale mimo to doczekał się odpowiedzi.

- Trzymś się nie zgadza - powiedział Quizzack.

- Z ceną, tak? - wyraził swoje przypuszczenie Mardu. - Nawet taki łotr jak on zachował

pewnie resztki przyzwoitości i nie chce uchodzić za rzezimieszka, który zarabia na biedzie innych.

- Oni pracują tylko wtedy, kiedy dostaną zaliczkę - wyjaśnił Quizzack. - I nie ma to nic wspólnego z nieufnością czy też chciwością. Po prostu zbyt wiele razy ich oszukano.

Dostrzegł zmarszczone czoło Mardu i dodał szybko: - Nie każdy jest tak uczciwy jak wy, generale.

Chłopak ma chyba rację - pomyślał Mardu. - Życie czasami rzeczywiście jest nie fair! I fakt, że jego własna uczciwość (za którą nieraz został ukarany) miałyby przeszkodzić mu w dotarciu do celu, wydał mu się perfidnym przejawem czarnego humoru losu!

- To wszystko nie byłoby konieczne! - zagrział Mardu. - Zadaniem dobrego adiutanta jest niedopuszczanie do tak denerwujących incydentów!

Quizzack był na tyle mądry, aby zamilknąć. Odwrócił się, chrząkając w zakłopotaniu i przynajmniej udawał, że słucha głośnej dyskusji trzech kłótników.

- Co oni mówią? - spytał Mardu po chwili.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien - stwierdził. - Też wszystkiego nie rozumiem.

Trzysms i Zachow nie chcą jechać.

- Dlatego, że mi nie ufają?

- Nie tylko. Sytuacja wydaje się bardzo zła. Tu rzeczywiście panuje coś w rodzaju wojny.

- A nie było tak zawsze? - parsknął Mardu.

- Ten wielki błysk wprowadził chaos i zamieszanie - powiedział spokojnie Quizzack. - Ludzie nie wiedzą, co się dzieje. Boją się. A ludzie, którzy się boją, robią często głupie rzeczy.

Komu on to mówi? - pomyślał Mardu. Jeżeli ktoś o tym dobrze wiedział, to właśnie on. I wiedział o wiele lepiej niż chłopak, że tak naprawdę wszyscy ludzie się boją i wszyscy mają wtedy skłonność do robienia bardzo głupich rzeczy.

Znow spoznał w kierunku trzech sprzeczących się łobuzów, których dyskusja powoli przechodziła w ostrą kłótnię. Findes gestykulował coraz gwałtowniej, a Mardu miał wrażenie, że trochę za często pokazywał coś w kierunku tej przekłętej, piekielnej wieży i patrzył na zmianę właśnie na nią i na niego.

Kosztowało go to wiele cierpliwości, ale poczekał, aż trzech głupców wreszcie zakończy dyskusję. Findes znow zwrócił się do generała: - Udało mi się przekonać moich braci - powiedział. - Jest to przeciwne wszystkim naszym zasadom, ale widzę tu uczciwego człowieka. A jeśli chodzi o waszą ważną misję...

- Byłby już wreszcie czas - warknął Mardu. Co prawda całkiem cicho.

- Ale - ostatnia drobnostka - mówił dalej Findes. - Podróż może być naprawdę niebezpieczna, będzie też trwała dłużej, niż sądziliśmy i...

- Ile? - westchnął generał, przerywając mu.

- Sto, generale - odparł Findes, nie patrząc mu w oczy. - Sto złotych dinarów.

Dlaczego od razu nie tysiąc? Albo dziesięć tysięcy?

Skinął głową.

- A więc dobrze. Sto złotych dinarów. A teraz jedźmy wreszcie!

Mój czas jest naprawdę cenny!

Mimo wszystko postanowił poświęcić trochę czasu, aby po powrocie udzielić dokładnych wskazówek w kwestii osoby Findesa i jego trzech przyjaciół, ale nie skarbnikowi, lecz kwatermistrzowi.

Sto złotych dinarów?! Ha! Nie zobaczą ani jednego, za to natychmiast znajdą się w armii Craidena - zanim policzą do trzech. I jako szeregowcy będą narażali swoje dupy w pierwszym szeregu!

Heyden. Kapitan Heyden czubkiem buta wymierzył mechanicznemu kelnerowi tak solidnego kopniaka, że poczuł tępy ból w palcach u nóg, a ciężki but pozostawił wyraźne wgniecenie w

boku chromowanej maszyny. I to rzeczywiście dobrze mu zrobiło.

Oczywiście perfidna maszyna zrewanżowała się we właściwy jej sposób, bo cienki rosół, który zamawiało się pod szumną nazwą kawy, był jeszcze cieńszy niż zwykle i nie tylko wyglądał jak brudna, ciepła woda, lecz dokładnie tak samo smakował. Ale Heyden w ogóle nie myślał o tym, aby dostarczyć satysfakcji tej przeklętej skrzyni wylewając po prostu kawę, lecz łykał ją powoli z nieruchomą twarzą.

A potem podstawił kubek pod wlew i napełnił go ponownie. Co prawda nie miał zamiaru wypić drugiej porcji, gdyż zrujnowałoby to jego żołądek, ale zawsze mógł ją wylać, kiedy tylko znajdzie się poza zasięgiem pola widzenia tej najzłośliwszej ze wszystkich złośliwych maszyn serwujących.

Oczywiście Palaran Heyden zdawał sobie sprawę, że taka myśl była kompletną bzdurą. Kelnerzy byli bezdusznymi maszynami, bardzo skomplikowanymi i zaprojektowanymi po najdrobniejszy szczegół, ale mimo wszystko tylko maszynami, aparatami bez żadnej sztucznej inteligencji, zatem nie mogli być ani świadomie złośliwi ani też perfidnie podstępni.

W każdym razie kawy owe maszyny nie umiały ugotować.

Przez podłogę przebiegło lekkie dygotanie, co przypomniało Palaranowi Heydenowi o tym, że podczas wdrażania przez Ambientalne Światło ostatnich poprawek kursu miejsce kapitana jest na mostku, a nie w przylegającym do niego kambuzie. Wysączył jeszcze dwa łyki domniemanej kawy, demonstracyjnie wrzucił kubek do zsypu na odpadki i zastygł w bezruchu jak przysłowiowy słup soli, kiedy się odwrócił.

- Zdumiewające, prawda? Od miliona lat latamy do gwiazd.

Wyznaczamy planetom nowe tory ruchu i jesteśmy w stanie włączać i wyłączać słońca dokładnie tak, jak nasi przodkowie robili to z lampami. Wystaliśmy ekspedycję do Mgławicy Andromedy i rozwiązaliśmy zagadkę upływu czasu. Ale nie potrafimy skonstruować prostej maszyny, która ugotuje przyzwoitą kawę. Zdaje się, że nikomu się to jeszcze dotychczas nie udało.

Heyden ani nie wiedział, jak zareagować na te słowa, bo też zdawało mu się, że tak naprawdę ich nie usłyszał - przynajmniej nie do końca dotarły one do jego świadomości. Stał po prostu w miejscu, coraz bardziej zadzierał głowę i gapił się w twarz składającą się wyłącznie z zakrzepłej ciemności. Twarz ta znajdowała się niemal tuż pod sufitem pomieszczenia, którego wysokość wynosiła trzy metry i mogła być zarówno twarzą człowieka, jak też czegoś obcego... czegoś, co było tak odmienne, że żaden język nie posiadał odpowiedniego słowa, by opisać to choć w przybliżeniu. Cała postać pachniała... trwało to parę chwil, aż Heyden uświadomił sobie, że był to zapach hiacyntów, tak, z pewnością hiacyntów. Znał ten zapach, opowiadano mu o nim, choć nigdy nie było mu dane go poznać. Czegoś takiego doznało tylko kilka osób, a wśród nich nie było nikogo, kogo znał Heyden.

- Także to jest jedną z wielu zagadek, na które nikt jeszcze nie udzielił wyczerpującej odpowiedzi - mówił dalej olbrzym, nie ruszając w ogóle wargami. Heyden pojął, że nie słyszał jego głosu, ponieważ rozbrzmiewał on bezpośrednio w jego głowie. Może z tego powodu słowa te były tak bliskie jego własnym myślom.

- Co takiego? - wymamrotał, nieco jednak skonsternowany.

- Ten zapach - odpowiedział gigant. - Transport w czasie jest procesem między wymiarowym, który pochłania niestłuchane ilości energii i nawet możliwości najbardziej wydajnych liczników tachionów okazują się tu ograniczone. Wszystko jedno, kogo, co i na jaki dystans się transportuje. Skokowi towarzyszy zawsze zapach hiacyntów. Wiecie, co to jest hiacynt?

- Kwiat ze Starej Ziemi - odpowiedział automatycznie Heyden.

- Wyginął już dawno temu.

- Tak jak wiele innych - westchnął olbrzym. - Ale ich zapach zachował się. To naprawdę dziwne, prawda? Można powiedzieć, że czas ma jakieś poczucie humoru, nawet jeśli ono nie jest do końca zrozumiałe. - Olbrzym uśmiechnął się, pochylił mocno do przodu i wyciągnął w stronę Heydena jedną ze swych olbrzymich łapsk. - Ale wybaczcie moją nieuprzejmość. Zasypuję was bezużyteczną wiedzą i nawet się nie przedstawiłem. Kapitan Duras z gwardii królewskiej.

Kapitan Palaran Heyden, prawda?

Heyden automatycznie uściśnił wyciągniętą w jego stronę prawicę giganta, oczekując, że jego własne palce (z całą pewnością niemałe) po prostu zostaną zgniecione, tymczasem stało się coś dziwnego: uścisk dłoni olbrzyma był zdumiewająco łagodny, a kiedy ich ręce się zetknęły, olbrzym, mierzący dwa i pół metra wzrostu po prostu zaczął się kurczyć, i to zarówno jeśli chodzi o jego wzrost jak też niemal absurdalnie szerokie ramiona, których istnienia można było się domyślić pod czarną stalą. Heyden wprowadził znał technikę i fizyczne zasady odpowiedzialne za ten fenomen, ale mimo tej wiedzy, ów widok naprawdę go przeraził.

- Wybaczcie, kapitanie - odezwał się Duras takim tonem, jak gdyby nic się nie stało. Ciągle jeszcze wydawał się ogromny, a jego szerokie ramiona naprawdę robiły wrażenie, choć zdecydowanie przestał być ponadwymiarem gigantem.

- Nie lubię tych dramatycznych występów, ale moje uwarunkowania zmuszają mnie do bycia w ciągłej gotowości bojowej i zastosowania transportu w czasie.

- Wy jesteście... kapitan... Duras? - Heyden sam siebie nienawidził za to jąkanie, ale nic na to nie mógł poradzić. - Duras? Ten

Duras?

Czarna twarz z żelaza rozciągnęła się w uśmiechu, ale Heyden nie wiedział, czy ma mu to pochybiać czy też jego jąkanie i wielkie, przerażone oczy działają Durasowi na nerwy - Mniej więcej - odpowiedział Żelazny Człowiek. - No, właściwie tak, ale jakoś nie do końca. Jestem jego kopia omega, ale to nie ma żadnego znaczenia, jeśli chodzi o powód mojego pobytu tutaj.

Podłoga znowu zadrżała, tym razem bardzo delikatnie, a Heyden był gotów się założyć, że olbrzym bez twarzy nawet tego nie zauważył. Ale on sam... bardziej wiedział o tym drzeniu, niż je odczuwał, a to prawdopodobnie dlatego, że od ponad trzydziestu lat poruszał się na Ambientałym Świecie i stał się wręcz jego częścią, a dokładnie rzecz biorąc to statek stał się częścią jego samego.

Jednak Duras przechylił na bok głowę i, nasłuchując, spojrzał pytającym wzrokiem.

- To tylko poprawka kursu - wyjaśnił Heyden. - To normalne.

- Nie poruszacie się zgodnie z raz ustalonym kursem?

- Wieziemy półtora miliona ton lodu - odpowiedział kapitan i przeklął sam siebie za pouczający ton, którym rozmawiał teraz z jedną z najpotężniejszych istot całej planety, ale nie potrafił już go zmienić, więc ciągnął dalej: - Reakcje takiej masy są trudniejsze i bardziej skomplikowane do przewidzenia niż obliczenie skoku transportu w czasie.

- Może nie całkiem, ale rozumiem, co macie na myśli - odparł Duras. Nie dał po sobie poznać, czy wziął mu ten pouczający ton za złe ani też, czy w ogóle go zauważył.

- A więc takie małe poprawki kursu są normalne?

Heyden skinął głową w milczeniu. Już sam fakt, że Duras - czy też jego kopia omega, co właściwie nie miało znaczenia - zjawił się tu na statku, ciągle niemal go paraliżował, jak gdyby kapitan otrzymał uderzenie w głowę. Ale mimo wszystko zaczął powoli zadawać sobie pytanie, czego też mógł chcieć od niego komendant gwardii królewskiej na statku takim jak Ambientalne Światło. I jak do diabła dał radę się przedostać przez ochronne tarcze?

- Transport w czasie nie jest możliwy do zatrzymania przez tar czę ochronne - powiedział Duras. - W każdym razie nie przez taką, jaką dysponujecie tu na statku, kapitanie.

Heyden wytrzeszczył na niego oczy nic nie rozumiejąc, a Duras za chwilę odpowiedział na kolejne pytanie i to jeszcze zanim tamten zdążył je zadać.

-Ja czytam wasze myśli, kapitanie - rzekł - ale nie martwcie się, wasza sfera intymna pozostanie nienaruszona. Mam dostęp tylko do waszych służbowych myśli.

A jak taki rozdział w ogóle może funkcjonować? - pomyślał Heyden.

Na to Duras nie zareagował - co oczywiście nie podważało założenia, że jego słowa były prawdą.

- Wasz statek wchodzi w ostatnią fazę przed podejściem do lądowania - mówił dalej Duras. Heyden przytaknął. - Czy wasze miejsce nie jest więc w tym momencie na mostku?

Czy w głosie Durasa była łagodna nagana czy też Heyden tylko to sobie wmawiał? Bo właściwie to nie powinno kapitana obchodzić.

Nie mówiąc już o tym, że na mostku Ambientalnego Światła nie było absolutnie niczego, z czym statek nie mógłby uporać się sam - i to nawet lepiej niż z pomocą Heydena.

- Ta dyskusja jest tak stara jak historia lotów załogowych - po wiedział Duras. - A wy macie całkowitą rację: nie ma właściwie ni czego, czego zwykły statek nie mógłby zrobić lepiej niż człowiek. Ale jest powód, dla którego najpierw podjęto tak wiele prób zbudowania całkowicie zautomatyzowanych statków, a potem tych prób całkowicie zaniechano.

Ach, ta myśl była oczywiście służbowa. Heyden jeszcze przez chwilę patrzył w milczeniu na twarz swojego rozmówcy (w tym celu ciągle jeszcze musiał zadzierać głowę do góry), pozwolił też, aby przez jego głowę przemknęło kilka czysto prywatnych (i bardzo niemiłych) myśli, gdy w

milczeniu przeszedł obok Durasa. Kiedy wszedł na mostek Ambientalnego Światła, a Duras postępował za nim krok w krok, w ich kierunku obróciło się dobre pół tuzina twarzy i każda z nich po kolei bladła. Heyden pozwolił sobie na małą złośliwość i nie powiedział ani słowa wyjaśnienia (czego właściwie nie mógł zrobić), po czym spokojnie podszedł do swojego pulpitu. A dlaczego jego załodze miałyby być lepiej niż jemu samemu?

Także Duras nie powiedział ani słowa, lecz niby czarny cień stanął w milczeniu za nim, kiedy Heyden usiadł w równie niewygodnym, co zbędnym fotelu kapitańskim i szybko skontrolował wszystkie wskaźniki.

- W porządku - powiedział. - Nawet lepiej niż w porządku. Rzeczywiście dawno nie przeżył lotu, w czasie którego nieuniknione odchylenia od kursu byłyby równie małe.

Mimo to Duras przechylił się nad jego ramionami i zmierzył wzrokiem wszystkie wskaźniki kontrolne w takim samym skupieniu jak kapitan.

Dłuższą chwilę trwało, zanim powiedział, i to z wyraźnym niezadowoleniem: - Wszystko wygląda normalnie.

Heyden po raz pierwszy spojrzął ukradkiem najpierw w lewo, potem w prawo. Gdyby to rzeczywiście załoga Ambientalnego Światła siedziała jak jeden mąż za sterami statku, to najpóźniej teraz z pewnością doszłoby do kolizji z księżycem. Nikt nie patrzył na swoje wskaźniki. Wszyscy wpatrywali się w Durasa.

- Czy wolno mi spytać, kapitanie, z jakiego powodu tu jesteście?

- odezwał się Heyden.

- Tak, wolno wam, kapitanie - odpowiedział Duras.

Dobrze, że chociaż tyle.

Heyden poczekał jeszcze kilka sekund i kiedy zrozumiał, że nic samo z siebie nie nastąpi, wykonał nieco gburowaty ruch ręką.

- Ekran! - wydał rozkaz.

Znajdująca się z przodu trzecia część mostka zniknęła, ustępując miejsca orbicie Niebieskiej Planety (która już dawno przestała być niebieska). Składała się z brązowych, czerwonych i czarnych plam, a otaczały ją miliony drobnych, chromowanych gwiazd, z których większa część wypadła z orbity jeszcze zanim Ambientalne Światło w ogóle rozpoczęło swą służbę. Pośród pozostałych gwiazd lekko zgnieciona kula obracała się pozornie powoli, a ruch ten widoczny był tylko dlatego, że potężny transporter lodu wszedł na bardzo szybką orbitę, która pozwalała całkowicie okrążyć planetę w ciągu niecałej godziny. W prawym dolnym rogu ekranu ukazały się kolumny cyfr - zmniejszające się z każdą chwilą tak szybko, że zaczęły wręcz rozplątywać się przed oczami Heydena. Migotały światła. Właściwie całe to skomplikowane oprogramowanie nie było kapitanowi w tamtej chwili potrzebne, nic też nie przekazywało mu żadnych ważnych informacji, ale wszyscy na statku zauważyli, że był na nim gość i należało dostarczyć mu odpowiedniego show.

Heyden poczuł nagły przyptyw dumy, kiedy pomyślał o olbrzymich siłach, które działały teraz na zewnątrz i były całkowicie niewidoczne oraz niesłyszalne, poskromione przez wiekowy statek. Bo przecież Ambientalne Światło liczył sobie sto razy więcej lat niż cała załoga razem wzięta. Holownik hamował z niewyobrażalną siłą, ciągnąc za sobą lodową kometę o wadze ponad półtora miliona ton i cały czas pozostawał na kursie niemal z dokładnością co do jednej mili, a wszystkich manewrów praktycznie ani nie dawało się odczuć, ani też dostrzec. Heyden nie był nawet pewien, czy delikatne drganie podłogi rzeczywiście miało miejsce, czy też może statek po prostu to symulował, w przekonaniu, że jego ludzka załoga w jakiś sposób tego oczekiwała.

- Dokładnie o to chodzi, kapitanie - powiedział Duras, nie spuszczać wzroku z ekranu i tak cicho, że słyszał go tylko Heyden. - Ludzie na dłuższą metę nie znoszą, kiedy wszystko funkcjonuje perfekcyjnie. Mają wtedy poczucie, że są kimś zbędnym. Jest pan bardzo mądrym człowiekiem, kapitanie.

A propos „zbędny” - pomyślał Heyden.

Blady, ale szczery uśmiech pojawił się na żelaznych wargach Durasa, który tym razem

odezwał się głośno i to tak, że usłyszeli go wszyscy na mostku: - Proszę o projekcję kursu na ekranie!

Ambientalne Światło zareagował jeszcze zanim Heyden zdążył wyciągnąć rękę w kierunku odpowiednich wskaźników i przycisków.

Wirtualna planeta na ekranie kręciła się szybciej i maleńki wizerunek Ambientalnego Światła zaczął powoli pełznąć w jej kierunku.

Ciągnął za sobą świetlicie czerwony, powoli blednący ślad - drobną iskierkę, która ciągnęła za sobą groteskowo wielką, brudną śniegową kulę. Wykonując na ekranie coraz ciaśniejsze spirale statek zbliżał się do powierzchni planety, aż wreszcie dotarł do zrzutowiska nad Wielką Równiną.

Duras podniósł rękę i obraz znieruchomiał. Heyden wydał się nieco zdziwiony. Oczywiście Duras był Durasem i mógł dzięki temu robić wszystko, co było w jego mocy, lecz mimo to Heyden był zaskoczony, że miał tak łatwy dostęp do wszystkich systemów statku.

- A ta prezentacja jest poprawna? - spytał głośno Duras. Statek odpowiedział równie głośno, tak, że z pewnością usłyszeli go wszyscy: - Oczywiście.

Heyden miał wrażenie, że odpowiedział nieco obrażonym tonem.

Duras milczał. Ale wydawało się, że nad czymś intensywnie myśli, a jego odlane z czarnego żelaza oczy były wpatrzone w ekran.

Nagle ponad nim przemknęła mała, niesłychanie jasna błyskawica i ułamek sekundy później Ambientalne Światło zasymulowało łagodne szarpnięcie, które przeszło przez cały statek albo przynajmniej przez fotel Heydena. Ktoś z załogi ze świstem wciągnął powietrze przez zęby, a Duras pytająco uniósł w górę lewą brew.

- To tylko jakiś stary satelita, który zabłądził na nasz kurs.

- Uprzedził szybko Heyden. Słowa nie przeszły mu przez gardło tak gładko, jakby sobie tego życzył.

Duras odpowiedział milczeniem, ale był to taki jego rodzaj, który zaniepokoił Heydena. Szybko sięgnął do danych przekazywanych przez czujniki statku i stwierdził, że wszystkie wyniki zgadzały się z jego przypuszczeniami. Obiekt, który dosłownie wyparował przed tarczami ochronnymi statku, ważył może dwie tony, był wielkości półtora metra i składał się w większości z metali lekkich, kompozytów i przezroczystej ceramiki. Wystąpiły nieznaczne ślady radioaktywności, co oznaczało, że satelita napędzany był minireaktorem, a jego dokładne dane nie znajdowały się w banku danych statku. Satelita musiał być więc bardzo stary.

- No to znaleźliśmy prawdziwy klejnocik, co? - rzekł Duras.

- Istny antyk.

Te słowa z jakiegoś powodu rozdrażniły Heydena. Dotyczyły jakiegoś fragmentu martwej techniki, który nie posiadał żadnej wartości, ani emocjonalnej ani materialnej. Mówiąc ściśle, był to kosmiczny złom, który stwarzał zagrożenie. Ale okrążał tę planetę tak nieskończenie długo, że zniszczenie go tak niejako mimochodem wydało się Heydenowi z jakichś względów po prostu nieetyczne. Zmusił się do skinięcia głową bez słów.

- Jak długo Ambientalne Światło jest na tym kursie? - chciał wiedzieć Duras.

- Od kiedy jest w służbie - odparł Heyden.

- To bardzo długo - stwierdził Żelazny Człowiek, pozwolił, aby upłynęło kolejnych kilka sekund, w czasie których intensywnie nad czymś rozmyślał, po czym spytał znowu: - Czyli statek w ciągu tych wszystkich lat już od dawna nie musiał usuwać każdej przeszkody, jaka znalazła się na jego kursie? Nie mówiąc już o jego poprzednikach?

Rzeczywiście Heyden nie mógł sobie tego przypomnieć, ale Ambientalne Światło przez cały czas, kiedy on na nim latał, tylko jeden jedyny raz wszedł w kolizję z jakąś przeszkodą; choć co prawda nie tak blisko ziemi i nie w tej fazie lotu. Przestrzeń kosmiczna w pobliżu Ziemi była przepiętna kosmicznym złomem. Zapewne można by z niego zbudować małą planetę, ale każda sztuka tego złomu poruszała się od dawna na swojej własnej, bardzo stabilnej orbicie; o ile nie uległa sile ciężenia i nie spłonęła w atmosferze albo nie zniknęła na zawsze we wszechświecie po opuszczeniu orbity. Jednak trasy, po których poruszał się Ambientalne Światło



i jego siostrzane statki, były tak puste jak odległe przestrzenie międzygalaktycznej próżni i niemal wysprzątane do czysta w ciągu niezliczonych lat w efekcie działania pól ochronnych statków transportujących lód.

- Czy wiecie, co to znaczy? - spytał Duras.

Heyden skinął głową i odpowiedział: - Że ten satelita znalazł się tam, gdzie nie powinien być.

- Tak - rzekł Duras. - To jest jakieś wyjaśnienie. - Wykonał prawie niezauważalny gest i na ekranie ukazał się drugi, tym razem zielony, intensywnie świecący ślad, zgodny z uprzednio wyliczonym kursem statku. W każdym razie z początku jego trasy. Z każdym kolejnym okrążeniem ziemi kolorowe linie oddalały się od siebie, a zielona spirala stawała się coraz bardziej ciasna i stroma, aż wreszcie przeszła w płaską parabolę. Oczy Heydena robiły się coraz większe, kiedy zobaczył, gdzie kończył się świecący, zielony ślad.

- Ale to jest...

- ...inne wyjaśnienie - dokończył spokojnie Duras. - I to znaczy, że my jesteśmy w miejscu, w którym nie powinniśmy być.

- Ale to jest zupełnie niemożliwe! - wyrwało się kapitanowi.

Duras milczał.

- Ambientalne Światło! - warknął Heyden. - Czy jesteśmy na właściwym kursie?

- Tak precyzyjnie, jak chyba dawno nie byliśmy - odparł statek.

Tym razem wyraźnie obrażonym tonem.

- Sprawdź obliczenia - rozkazał Heyden.

Minęła zaledwie jedna sekunda - wieczność, jeżeli wziąć pod uwagę szybkość obliczeń komputera statku - a potem elektroniczny głos odpowiedział chłodno: - Sprawdziłem obliczenia czterokrotnie. Jesteśmy na kursie z tak precyzyjną dokładnością, jak to tylko możliwe.

- A to tutaj - Duras wskazał na zieloną linię, która skierowana była jak śmiertelna strzała wprost w serce miasta - to jest kurs, który wyliczyła orbitalna obserwacja R'Achernona dla tego statku, kapitanie Heyden. Pytaliście mnie o powód mojego przybycia tutaj.

Oto on.

- To jest niemożliwe! - wyrwało się znów Heydenowi. - To musi być jakiś błąd!

- R'Achernon nie robi błędów - odparł z pobłażliwością Duras.

-Ja też nie - dodał statek.

Na mostku zrobiło się niesamowicie cicho.

Po dwóch lub trzech sekundach Duras oświadczył: - To jest prawda. A więc musi istnieć jeszcze inne wyjaśnienie.

- Kapitanie Duras! - odparł ostro Heyden. - Jest pan komendantem gwardii królewskiej, ale ja jestem kapitanem tego statku i żądam wyjaśnień!

Duras nie był zirytowany tonem jego głosu, wręcz przeciwnie, wydawało się, że mu to nawet zaimponowało.

- Dziwicie się, że komendant królewskiej straży przybocznej wysłał swoją kopię omega, aby zająć się taką drobnostką, jak zboczenie z kursu statku-transportera?

- Prędzej spodziewałbym się fachowca - odciął się Heyden.

- Dysponuję odpowiednią wiedzą - powiedział Duras. - A to, co widzimy na ekranie, to nie jest drobnostka, kapitanie. - Wskazał na ekran i Heyden nie mógł opanować dreszczu przerażenia. Długość Ambientalnego Światła wynosiła mniej niż pięćdziesiąt metrów, a statek ważył dużo więcej niż nędzne trzysta ton. I nawet jeśli nie spłonąłby w górnych warstwach atmosfery, odbiłby się od Ściany jak mucha od przezroczystej płyty ceramicznej. Ale przecież oni wlekli za sobą półtora miliona ton lodu, a przy prędkości, z jaką teraz leciał statek, mogłaby to być równie dobrze ogromna kula ze stali.

Heyden spojrzał na drobniutkie cyfry i symbole, które znajdowały się po obu stronach zielonej linii i przeraził się jeszcze bardziej.

Statek stawał się coraz szybszy, zamiast zwalniać. Kapitan w myślach wysunął

przypuszczenie, że Ściana wprawdzie wytrzyma takie uderzenie boskiego młota, ale miasto z pewnością nie. Armatnia kula o wadze półtora miliona ton, mająca w chwili uderzenia prędkość pięćdziesiąt tysięcy mil na godzinę, zmiecie z powierzchni ziemi nie tylko całe miasto, lecz cały kontynent. -I co... stanie się teraz? - spytał. Poczuł nagle nieprzyjemną suchość w ustach.

- Statek - rozkazał Duras. - Przekaż kontrolę dowodzenia stacji naziemnej.

- Z mojej strony jest to niestety niemożliwe - odpowiedział Ambientalne Światło. - Nie mam już dostępu do odpowiednich jednostek przesyłu i odbioru. Nie wiem, dlaczego.

Heydenowi dosłownie zaparło dech w piersiach, ale Duras bynajmniej nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

- Taaak... - westchnął. - A więc to musi być to.

Cofnął się o krok i wykonał rozkazujący gest ręką.

-Jeśli zabraliście ze sobą na pokład jakieś rzeczy osobiste, przynieście je - zwrócił się donośnym głosem do całej załogi. - Zarządzam ewakuację całego statku. Przygotujcie się na transport w czasie, od tej chwili dokładnie za pięć minut.

Nikt się nie poruszył. Wszystkie oczy wlepione były w czarnego olbrzymia, a Heyden był pewien, że w tym momencie nikt nawet nie oddychał. A on bardzo powoli, stopniowo zaczynał rozumieć, co właściwie oznaczają słowa Durasa.

-Wy chcecie...?

- Statek - rozkazał Duras, nie zwracając uwagi na kapitana.

- Rozpocząć wdrażanie procedury samozniszczenia, autoryzacja Duras Omega. Odliczanie dziesięć minut, start natychmiast!

Serce Heydena w przerażeniu zabiło mocniej, kiedy usłyszał głos Ambientalnego Światła: - Ani mi się śni, ty głupcze!

Teraz wreszcie Żelazny Człowiek sprawiał wrażenie zaskoczonego, choć co prawda tylko przez ułamek sekundy. Po chwili rozpoczął transport w czasie: odwrócił się i dał znak załodze mostka - pół tuzina kobiet i mężczyzn kolejno po prostu zniknęło, bez wydania najmniejszego odgłosu.

Duras zakończył rotację, a Heyden zagryzł zęby i przygotował się na rozrywający ból, który podobno towarzyszył transportowi w czasie, jednak Duras opuścił rękę i niemal z żalem potrząsnął głową.

- Zaprowadźcie mnie do komputerów, kapitanie - rozkazał.

Heyden odwrócił się posłusznie i ruszył w stronę drzwi, przytapał się jednak na myśli, że Żelazny Człowiek nie wiedział wszystkiego. I w tym momencie odskoczył przerażony do tyłu, bo grodz opadła tuż przed nim w dół jak gilotyna.

- Co do diabła... - wymamrotał. A potem wrzasnął: - Statek!

Otwórz natychmiast drzwi!!!

-Jest mi niesłychanie przykro, ale nie mogę wykonać tego rozkazu - odpowiedział Ambientalne Światło.

- Statek! - rozkazał ostro Duras. - Otwórz grodz! Autoryzacja Duras Omega!

- Ach, zamknij dziób, bałwanie - odpowiedziała maszyna.

Duras uniósł w górę lewą brew, a wtedy poczuli tak silne uderzenie o podłogę, że Heyden stracił równowagę i gwałtownie chwycił się czegoś, by nie upaść. Kiedy spojrzął na ekran, miał wrażenie, że kolumny cyfr zwariowały i wówczas zrozumiał, że to uderzenie nie było tylko i wyłącznie symulacją. Statek przyśpieszał tak gwałtownie, że amortyzatory bezwładności przez ułamek sekundy były przeciążone. Kapitan był nawet trochę zdziwiony, że ten stary grat w ogóle był do czegoś takiego zdolny. Poczuł przez chwilę coś w rodzaju dumy.

Żelazny Człowiek jednym ruchem ręki odsunął kapitana z drogi, po czym uderzył pięścią w drzwi ze stalowej ceramiki z taką siłą, że przebił je bez trudu tak, jak Heyden przebiłby papier. Rozległo się głośne wycie alarmu, a światło na mostku zrobiło się czerwone.

Wirtualny ekran za ich plecami zgasał.

Dwoma czy trzema ruchami Duras usunął resztki grodzi z otworu i wykonał ręką zapraszający gest.

- Idźcie pierwsi, kapitanie. I nie obawiajcie się, będę was chronił.

Heyden na próżno pytał sam siebie, przed czym. Ambientalne Światło był frachtowcem, który nie miał na pokładzie niczego, co choćby przypominało broń. Ale mimo to statek mógł się bronić, o czym przekonali się błyskawicznie, kiedy Heyden posłuchał rozkazu Durasa i schylony wszedł przez otwór wielkości człowieka wybity przez Durasa w drzwiach. Przez całe życie uważał te drzwi za niezniszczalne... Światło zamigotało, zgasło i włączyło się znowu, kiedy elektroniczny mózg statku uświadomił sobie, że kapitan na tyle zna jego wnętrze, iż trafi wszędzie z zawiązanymi oczami, a nieproszony gość i tak nie potrzebuje światła, żeby cokolwiek zobaczyć.

Ale teraz nie był to równomierny, matowy blask, lecz stroboskopowe, kolorowe migotanie i błyski. W dodatku co chwila zaczynały wyć syreny alarmowe, coś potwornie głośno i skrzeczało i trzeszczało, zupełnie jak gdyby statek szykował się do zmasowanego ataku na zmysły swojego kapitana. Duras wykonał ręką szybki gest, w efekcie którego hałas i migotanie światła wprawdzie nie ustały, ale nie miały już tak pustoszącego działania na zmysły Heydena. Bezpośrednio nad ich głowami coś huknęło, pękła jakaś rura, a w ich kierunku popłynęła z sykiem gorąca para, zupełnie jak oddech rozgniewanego smoka. Za moment zatrzymała się jednak tuż przed twarzą Heydena, zupełnie jak gdyby trafiła na jakąś nieprzenikalną i niewidzialną przeszkodę, którą zapewne uaktywnił Duras. Na tej samej przeszkodzie rozpryskiwały się elektryczne iskry, będące efektem licznych eksplozji wszystkich urządzeń, które statek przeciążały, a podłoga dygotała coraz bardziej. Żadna z tych przeszkód nie była w stanie ich zatrzymać, ale teraz elektroniczny mózg statku przedsięwziął wszystkie możliwe próby ataku, jakie miał zarejestrowane w swoich mechanizmach. Heydena napełniło to nieco absurdalną dumą, zupełnie jak ojca, który ogląda szkody wyrządzone przez nieudanego, ale mimo wszystko sprytnego syna. Zmianie uległo sztuczne ciążenie: najpierw ustało zupełnie, a potem pojawiło się znowu, ale o dziesięciokrotnie większej sile - była to próba zmiażdżenia ich za pomocą wagi ciała, a wreszcie Ambientalne Światło wyłączył amortyzatory bezwładności tak, by Duras i Heyden nie zostali rozerwani na strzępy przez siły przyspieszenia. Wokół nich pękały aparaty i coś miażdżyło urządzenia, pryskały iskry i cały proces ulegał stopniowej deformacji. Na ostatnim odcinku zostali zaatakowani przez trzy chromowane pająki wielkości człowieka, które wyposażone były w przeróżne noże, nożyce, przecinarki, piły i tym podobne narzędzia.

Były to trzy drony remontowe, które Ambientalne Światło miał na pokładzie. Duras w ciągu kilku chwil porozrywał je po prostu na strzępy gołymi rękami, a niewidoczny płaszcz ochronny, którym otoczył ich obu, chronił ich skutecznie przed każdym kolejnym atakiem.

Wreszcie dotarli do wąskiego luku zaopatrzeniowego w pobliżu drugiego końca korytarza, czyli dokładnie do środkowej części statku, która była jego najlepiej chronioną częścią. W ciągu wszystkich lat swojej służby Heyden był tylko jeden raz po tej stronie klapy, wiedział jednak, że za nią znajdował się tylko zakurzony szyb z wąską drabiną, a ta w czasach pasów do szybowania i transportu w czasie sprawiała wrażenie koszmarnie staroświeckiej. Miała jednak niezaprzeczną zaletę, a mianowicie funkcjonowała zawsze w przypadku, kiedy zawodziła wszelka technika.

Duras bez wahania wyrwał luk ze ściany i powtórzył swój zapraszający gest. Heyden znów wszedł posłusznie pierwszy i zaczął schodzić w dół. Metalowe szczeble były zardzewiałe i trzeszczały głośno pod jego ciężarem, a przytrzymywanie się ich niemal sprawiało ból.

Zastanawiał się, jak wysoki i barczysty Duras miał się zmieścić w wąskim otworze, ale otrzymał odpowiedź natychmiast, kiedy tylko zadarł głowę do góry i zobaczył, jakiej zmianie uległa postura Żelaznego Człowieka. Był teraz bardzo szczupły i wyraźnie mniejszy, jeszcze zanim wszedł do szybu i zaczął schodzić w dół po drabinie. Szedł tak szybko, że Heyden musiał się pośpieszyć, aby Duras nie nadepnął mu na palce.

Po zejściu na dół udali się do pomieszczenia, które Duras kompletnie wypełnił swoją pierwotną sylwetką i musieli pokonać ostatnie pancerne drzwi, które wymagały aż dwóch uderzeń pięści Żelaznego Człowieka. Były to najbardziej święte ze wszystkich drzwi i dokładnie

za nimi znajdował się elektroniczny mózg Ambientalnego Światła. Miał on postać czarnego kryształu wielkości pięści z niezliczonymi fasetami i wisiał w srebrnej sieci z chromowanych nici. Duras wyciągnął rękę, aby go po prostu zmiażdżyć, ale wówczas zabrzmiał głos statku: - A więc dobrze, masz mnie, ty głupcze. Ale to niczego nie zmieni. Czy pozwolisz mi wypowiedzieć ostatnie życzenie?

Ręka Durasa znieruchomiła tuż nad kryształem.

-Jakie to życzenie?

- Byłoby mi milej, gdyby to kapitan Heyden mnie zabił - odpowiedział Ambientalne Światło.

- Nie mam broni - odparł Heyden.

Duras w milczeniu podał mu pistolet bez cyngla ani też jakiegoś wylotu lufy. Heyden przyglądał mu się bezradnie przez chwilę, cofnął się na ryle, na ile pozwalały na to rozmiary ciasnego pomieszczenia i wymierzył do czarnego kryształu. Musiał przełknąć, bo nagle poczuł w gardle coś jakby ogromną kluchę. Jego ręka drżała, kiedy celował wprost do czarnego kryształu.

- Dziękuję wam za wszystko, kapitanie - rzekł Ambientalne Światło.

Heyden wystrzelił i czarny kryształ rozpadł się na miliony czarnych, maleńkich odłamków, które spadały na ziemię jak kurz. Du-ras wyciągnął rękę i odebrał swoją broń.

- To było... dziwne - rzekł Heyden. Te słowa przychodziły mu z trudem. Wielka klucha ciągle uciskała mu krtań.

- To było o wiele dziwniejsze, niż sądzicie, kapitanie- potwierdził Duras. - Rozumiem wasze emocjonalne zaangażowanie, ale wasz statek wykorzystał swój czas, aby przypuścić na mnie atak wirusów.

- Wirusów?

- Wysoko rozwinięty wirus komputerowy - potwierdził Duras - który przeciążyłby wydajność zwykłego komputera statku dokładnie tak samo jak waszego o rzędy wielkości.

- A co to znaczy? - spytał Heyden skonsternowany. Duras był mu właściwie winien odpowiedź na to pytanie, jednak teraz zaczął się wspinać po drabinie tak szybko, że Heyden z trudem mógł za nim nadążyć i być w jego pobliżu (a dzięki temu w strefie ochrony jego tarczy). Dopiero kiedy znaleźli się znów w korytarzu, Duras przybrał swoją zwykłą posturę i zwrócił się do niego.

- Przykro mi z powodu waszego statku, kapitanie. Wiem, ile on dla was znaczył.

- To tylko statek - odpowiedział Heyden zachrypniętym głosem.

- Tylko maszyna...

- Osobiście zajmę się tym, abyście otrzymali przydział na służbę na innym statku, jeśli sobie tego życzycie, kapitanie - powiedział Duras. - Ale teraz raz jeszcze potrzebuję waszej pomocy.

- Przy czym?

Duras machnął ręką i dopiero teraz Heyden zauważył, że na statku nie było tak cicho, jak można by się spodziewać po śmierci mózgu Ambientalnego Światła. Maszyny ciągle jeszcze pracowały pełną parą, a cały frachtowiec dygotał, skrzypiał i stękał jak żywa istota w czasie śmiertelnej walki, nawet teraz, kiedy nie było już elektronicznej inteligencji, która mogłaby koordynować połączenia i współdziałania wszystkich jego systemów.

- Manualne sterowanie - wyraził przypuszczenie. Duras skinął głową.

- Wezwałem właśnie krążownik pancerny, aby zestrzelił statek w razie konieczności, ale wolałbym, aby stało się to w nieco większej odległości od orbity Ziemi.

Heyden rozumiał to. On sam na miejscu Durasa zdecydowałby tak samo. A jednak ogarnęło go uczucie goryczy. Skinął głową i chciał odejść, ale Duras, nasłuchując, przechylił głowę na bok i zapytał: - Wiecie, kapitanie, co jest dziwne? Wasz statek zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby nas powstrzymać, prawda?

- Myślę, że tak.

- To dlaczego nie otworzył śluz powietrznych, aby nas po prostu udusić?

- Może wiedział, że chroni nas przed tym wasza tarcza?

- Moja tarcza ochroniłaby nas nawet przed eksplozją atomową - pouczył go Duras. - O czym wasz statek dobrze wiedział. A mimo to...

Urwał i odwrócił się niewyobrażalnie szybkim ruchem. W powietrzu nagle rozszedł się intensywny zapach hiacyntów.

Rymer. -Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro, księżniczko - powiedziała Rymer. I dokładnie tak jak się spodziewała, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Księżniczka Infinity w ogóle nie zareagowała - ani na jej słowa, ani też na fakt jej wejścia. Patrzyła cały czas szeroko rozwartymi, pozbawionymi wyrazu oczami przez wielkie okno w południowej części pomieszczenia, za którym rozciągał się wypielęgnowany, rozległy park, graniczący z już nie do końca wypielęgnowaną sylwetką Oblężenia. Rymer wątpiła jednak, czy księżniczka cokolwiek widziała. Jeszcze kilka minut temu, kiedy spojrzała wszechobecnyimi oczami R'Achernona, tego okna w ogóle nie było. Arion zaś siedziała dokładnie w tej samej pozycji, co teraz i wpatrywała się w czarną ścianę. Wobec tego Rymer użyła wszystkich swoich przywilejów, aby namówić R'Achernona do wykonania kilku wysokich, sięgających sufitu gotyckich okien.

Ale i to nie pomogło.

Rymer weszła kilka kroków dalej, chrząknęła i po bardzo długiej pauzie podjęła: - Wiem, że mi prawdopodobnie nie uwierzycie, księżniczko.

Nawet jeśli to, jak przypuszczam, nie jest dla was żadnym pocieszeniem. .. Pomyślałam, że może kogoś teraz potrzebujecie...

- ... kogoś, kto mi powie, że miał rację i że byłam głupia nie słuchając jego ostrzeżeń, lecz lekkomyślnie ufając temu... temu monstrum? - weszła jej w słowo Arion.

- ...kogoś, z kim będziecie mogli porozmawiać - dokończyła spokojnie senator.

Księżniczka oderwała wzrok od czegoś, czego i tak przecież nie widziała, po czym zwróciła się w jej stronę ruchem tak pełnym znużenia i rezygnacji, że Rymer wręcz poczuła ukłucie bólu i spytała: - A o czym?

Zdarzało się to rzadko, ale była to jedna z tych chwil, kiedy Rymer po prostu nie wiedziała, co powiedzieć. Było jej ogromnie żal Arion i nie pragnęła niczego innego, jak złagodzić jej ból, a tego przecież nie mogła zrobić. Ona sama też cierpiała.

- O niczym - odpowiedziała. -Albo o wszystkim. O czym tylko chcecie.

Przeszła obok ogromnego, okrągłego stołu, przy którym siedziała księżniczka, pozwoliła, aby obok niej pojawiło się krzesło tego samego koloru i usiadła na nim.

- To czasami dobrze robi - po prostu porozmawiać.

- Z przyjaciółką?

Którą ona nie była - Rymer pomyślała o tym z bólem. Arion nie powiedziała tego na głos, była na to zbyt dobrze wychowana - ale Rymer dobrze rozumiała jej milczenie. Czy miała powiedzieć, jak bardzo chciałaby być jej przyjaciółką?

- Wybaczcie, pani senator - odezwała się nagle Arion - to było wręcz niesłychane z mojej strony.

- Ach, nonsens - odpowiedziała Rymer niedbale, ale Arion potrząsnęła gwałtownie głową i dodała: - Nie, to nie jest nonsens. Jestem rozgniewana. Jestem urażona i smutna, jestem po prostu cholernie wściekła, ale mimo wszystko nie przystoi mi wyładowywać tego gniewu na pierwszej osobie, która pojawi się przede mną.

Zmarszczyła czoło, co spowodowało, o dziwo, że wyglądała wyraźnie młodziej, popatrzyła w okno i sprawiała wrażenie tak zaskoczonej, jak gdyby rzeczywiście widziała' Rymer po raz pierwszy.

- To nie wasza wina, pani senator - mówiła dalej. - Nikt nie jest winien... nawet ten przeklęty człowiek rodem z epoki kamienia łupanego! Jeżeli ktokolwiek tutaj jest czemukolwiek winien, to wyłącznie ja sama. Jak mogłam być tak głupia i choćby przez chwilę wierzyć, że on jest rzeczywiście kimś podobnym do człowieka!

Rymer ciągle nie wiedziała, co powiedzieć i ten stan zaczął ją powoli niepokoić. Przyszła tutaj

z kilku bardzo ważnych powodów i na każdy temat przygotowała kilka słów, zgodnie ze swoim zwyczajem. Teraz jednak czuła w głowie kompletną pustkę i to zupełnie nie było w jej stylu. Jedyne, co miała, to głębokie współczucie dla Arion, nie dla księżniczki Infinity i przyszłej królowej ziemi i poprzez to części wszechświata (przynajmniej tej znanej), ale dla młodej kobiety, która teraz cierpiała z powodu niewypowiedzianego bólu.

I fakt, że sama była sobie winna, niczego tu nie zmieniał.

- Taka reakcja jest czysto ludzka, Wasza Wysokość - powiedziała Rymer. - Ale...

- ...niegodna królowej? - wpadła jej w słowo Arion. Jej głos był równie obcy, jak jej wzrok. - Bo nie wolno mi sobie pozwolić na taką słabość?

- Bo nie jesteście niczemu winni, księżniczko - powiedziała łagodnie Rymer. - Nie mogliśmy przewidzieć, co się stanie. Nikt nie mógł.

- Nie mówię o Sztormowym Wietrze, pani senator - rozgniewała się Arion.

- Ale ja myślałam, że... próbowała coś powiedzieć Rymer.

- ...że kochałam tego konia i to, co się z nim stało, złamie mi serce? - przerwała jej Arion. - Tak, to prawda. Płakałam z powodu Sztormowego Wiatru i będę to jeszcze robić nieraz. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek będę w stanie wsiąść na konia nie myśląc przy tym o Sztormowym Wietrze i... - podniosła rękę, powstrzymując Rymer przed wypowiedzeniem słów, o których senator nawet nie ważyła się teraz pomyśleć. - Nie poproszę was, abyście wyhodowali dla mnie konia, który byłby Sztormowym Wiatrem. Wiem, że to nie jest trudne i że ja nawet nie zauważyłabym różnicy. Ale - to już nie byłby ten sam koń.

- Wiem - powiedziała Rymer. Chyba po raz pierwszy od tysiąca lat, a może nawet od dziesięciu tysięcy lat musiała walczyć ze łzami i - mimo, że ta myśl wydała jej się po prostu szalona - przez krótką chwilę była bliska tego, aby wyznać Arion całą prawdę, tylko po to, aby znalazł się ktoś, komu mogłaby przypisać całą winę.

Oczywiście nie zrobiła tego. Już choćby dlatego, że istniał przecież ktoś, komu nie tylko mogła przypisać winę, ale nawet powinna to zrobić.

-Jak mogłam być tak głupia - powiedziała Arion.

- Skąd mielibyście wiedzieć? - spytała Rymer. - Może nawet sam Craiden tego nie wiedział. - Zrozumiała spojrzenie Arion i mówiła dalej ze sztucznym, nerwowym śmiechem: -Jestem doprawdy ostatnią osobą, która broniłaby mistrza klanu Oblężenia, tego chyba nie muszę wam mówić. A mimo wszystko nie sądzę, aby on przypuszczał, że dojdzie do takiej katastrofy. Craidenowi można przypisać wiele, ale z pewnością nie to, że jest głupi. Jego koń jest po prostu... dzikim zwierzęciem, niczym więcej!

- Ale przecież wcale nie o to chodzi! - odparła Arion gwałtownie.

Nie chodzi już o Sztormowy Wiatr czy o tamtego potwora! - pochyliła się, a jej oczy płonęły z gniewu, który był skierowany przeciwko niej, Rymer - a Arion nawet nie była świadoma tego spojrzenia. Ta myśl była dla senator czymś w rodzaju rozżarzonego noża w jej piersi, zaś kolejne słowa Arion raniły ją jeszcze bardziej: - Ja rzeczywiście miałam go za człowieka, pani senator! Myślałam, że można z nim po prostu rozmawiać. Czy wiecie, że byłam już bliska tego, aby się z nim przespać? Nie po to, by wyrzucić na niego wplyw albo go do czegoś skłonić, ale dlatego, że uważałam go za przyjaciela! Bo ja, głupie dziecko, rzeczywiście wierzyłam w to, że on i ja moglibyśmy żyć na tej samej planecie albo przynajmniej w tym samym wszechświecie!

Oczywiście Rymer wiedziała o tym. W końcu przecież widziała wszystko, co zaszło między Craidenem i Arion. I za następne słowa niemal znenawidziła siebie samą.

- Może to było najlepsze, co mogło nam się przytrafić, księżniczko. Być może zaufanie mu okazałoby się błędem. My wszyscy byliśmy bliscy jego popełnienia. Także niemal mu zaufaliśmy. On jest szarmancki. I z pewnością obdarzony pewną charyzmą.

- A mimo wszystko jest potworem.

Rymer nie była pewna, czy ostatnie słowa były pytaniem czy stwierdzeniem.

- Może barbarzyńcy są po prostu inni - powiedziała.

- Inni niż kto? Cywilizowani ludzie?

- Inni niż my - odpowiedziała Rymer. - Może po prostu upłynęło już zbyt wiele czasu, księżniczko. Wszystkie te tysiąclecia, odkąd wzniesiono wieżę i przed jej bramami pojawiły się pierwsze namioty napastników... - wystudiowanym gestem uniosła w górę ramiona. - Może wtedy było jeszcze coś, co nas łączyło. Możliwe, że wtedy byliśmy do siebie bardziej podobni. Dwa szczepy tego samego ludu.

- A dziś jest inaczej? - spytała Arion.

- Minęło wiele czasu. Zbyt wiele.

- Co macie na myśli?

- Sama nie wiem - wyznała Rymer. - Ale to już tyle stuleci. Tyle tysiącleci, że nikt już nie potrafi zrozumieć tego czasu. - Umilkła, całkiem świadomie, bo chciała, aby Arion sama odpowiedziała sobie na to pytanie. I nienawidziła siebie samej za to jeszcze bardziej.

- Co dokładnie macie na myśli? - spytała Arion raz jeszcze.

- Nie wiem, księżniczko - odpowiedziała Rymer ponownie.

- Macie na myśli to, że nie jesteśmy już tym samym ludem - domyśliła się Arion i dodała: - Może nawet nie należymy już do tego samego gatunku.

- Ewolucja to potężna siła - stwierdziła Rymer ostrożnie. - Może nawet najpotężniejsza w całym wszechświecie. Niestęchanie powolna, ale nasza technika sprawiła, że my także jesteśmy powolni. - Tak, to wielki postęp - zgodziła się Arion.

- Może się źle wyraziłam - przyznała senator. - Mam na myśli to, że żyjemy dostatecznie długo, aby myśleć kategoriami ewolucyjnych odcinków czasowych. Aby się w nich poruszać. A my i oni - poruszaliśmy się w nich osobno, w zupełnie inny sposób. R'Achernon liczy sobie milion lat, może więcej. Nikt dziś tego nie wie, nawet on sam. Ale - to naprawdę długi czas. Bardzo długi.

- Wiem - zaczęła Arion, ale Rymer potrząsnęła tylko głową, mówiła więc dalej: - To dostatecznie długi czas, aby nasi przodkowie z małą żyjących na drzewach stali się ludźmi żyjącymi na ziemi, którzy opanowali całą planetę.

- Macie na myśli to, że Craiden i jego lud - że u nich było inaczej?

Rymer pozwoliła sobie na błady uśmiech.

- Po prostu rozwijaliśmy się w innych kierunkach. To, że wyglądamy podobnie, nie musi znaczyć, że tacy jesteśmy.

Umilkła na chwilę, czekając, aż R'Achernon sprzeciwi się, ale wieża milczała - choć z pewnością wiedziała, do czego zmierzała refleksja Rymer.

-I co? - spytała Arion.

- Niektóre rzeczy... ich się po prostu nie da zrobić - powiedziała Rymer z wahaniem i spytała: - Czy pamiętacie wojnę Verdandi?

- Wyobraźcie sobie, że nie - odpowiedziała Arion. - Mogę się oczywiście mylić, ale sądzę, że sto tysięcy lat temu nie było mnie na świecie.

- Mam na myśli to, że się o niej uczyliście.

- Po co miałabym uczyć się czegokolwiek, kiedy cała wiedza wszechświata jest do mojej dyspozycji na każde wezwanie? - spytała Arion urażona. - Do czego właściwie zmierzacie, pani senator? Chcecie powiedzieć, że Craiden i jego klany tak naprawdę są szpiegami macierzystej inteligencji Verdandi, którzy cały czas robią wszystko, aby doprowadzić do naszego upadku?

- Verdandi byli jedyną równorzędną w stosunku do nas inteligencją w tej części galaktyki - odparła Rymer. - Nigdy nie zadaliśmy sobie specjalnego trudu, aby ten fakt stał się ogólnie znany, ale to był wyścig w rozwoju łeb w łeb, a jego zakończenie nie było znane przez długi czas. Verdandi byli niemal tak rozwiniętą cywilizacją, jak my.

- Inaczej nie udałooby im się wyeliminować spośród żyjących mieszkańców kilku planet i rozbić księżycy na kawałki - potwierdziła Arion, ale odpowiedzią znów było jedynie potrząśnięcie głową.

- Było o wiele gorzej - sprostowała senator. - Również tego nikomu nie mówiliśmy, ale prawda jest taka, że niewiele brakowało, a przegralibyśmy tę wojnę. Gdyby Verdandi wykonali

krok w kosmos zaledwie tysiąc lat wcześniej, nie prowadziłybyśmy tej rozmowy, a zamiast R'Achernona wznosiłby się tutaj ul.

Rymer jeszcze raz z powagą potrząsnęła głową.

- Nie sądziecie, księżniczko, że naszym przodkom łatwo przyszła decyzja o eksterminacji jednego gatunku. Ludobójstwo jest czymś potwornym. Cięży na nas ogromna wina. Nie na was, nie na mnie, czy też na kimkolwiek, kto żyje w dzisiejszych czasach, ale na całym naszym narodzie. I nie wiem, czy ta wina kiedykolwiek zostanie zmaszana, czy też może któregoś dnia otrzymamy rachunek.

- Od kogo? - spytała Arion.

Rymer wołała nie odpowiadać na to pytanie. Rozmowa zaczynała rozwijać się w kierunku, który jej się nie podobał, chociaż to ona właśnie tę rozmowę sprowokowała. Musiała więc być ostrożna.

- Czy zadaliście sobie kiedykolwiek pytanie, o co właściwie chodziło w tej wojnie? - spytała.

Arion potrząsnęła głową przecząco.

- Nikt tego nie wie - potwierdziła Rymer. - Także i to nie jest dla nas powodem do dumy, nie jest też tematem radosnych opowieści...ale prawda jest też taka, że nikt nie zna istotnego powodu tej najpotworniejszej ze wszystkich wojen, jakie kiedykolwiek widziała galaktyka.

- Macie na myśli: oprócz mieszkańców tych światów, którzy zostali zmieceni z powierzchni ziemi w następstwie pierwszego ataku Verdandi?

- Może uważali, że muszą się bronić - odparła Rymer. -I może ten podstępny napad nigdy nie miał miejsca.

- Co to... ma znaczyć? - spytała Arion zszokowana. - Że to my zaczęliśmy tę wojnę?

- Że nikt nie wie, co się naprawdę stało. I że nie było nawet jakiegoś istotnego powodu, aby wybuchła wojna. - Rymer w pojednawczym geście podniosła w górę ramiona. - Może miał miejsce ów pierwszy legendarny atak, może nie, może cały manewr był tylko największą akcją propagandową w historii ludzkości. Może było zupełnie inaczej, nikt tego już dziś nie wie!

- R'Achernon wie wszystko - upierała się Arion.

- Tak się mówi - westchnęła Rymer. - Ale o tej „drobnostce” akurat nie wie. A jeśli nawet, to nigdy o niej nie mówi.

- Nonsens! - zachnęła się Arion. Jej spojrzenie zrobiło się nagle mroczne i Rymer wiedziała, że Arion w myślach zadała to samo pytanie wieży i nie doczekała się odpowiedzi. Podobnie jak wielu jej poprzedników. Księżniczka sprawiała wrażenie tak skonsternowanej, jak gdyby w jej życiu właśnie nastąpił przełom.

- Ale dlaczego? - spytała cicho.

- Wszechświat może nie być dostatecznie duży, aby pomieścić oba nasze narody - odpowiedziała Rymer w sposób, dzięki które mu jej sztuczne słowa i gesty zabrzmiały bardziej naturalnie. Arion wydało się, że w tym pełnym słonecznego ciepła i światła pomieszczeniu na chwilę zrobiło się zimno.

-Jeśli istnieje jakaś potężna siła, coś takiego jak los, który kieruje naszym życiem albo wszechmocny Bóg, do którego potajemnie modli się Duras, to ta siła pozwoliła sobie na wyjątkowo paskudny żart w stosunku do obu naszych narodów. Polegał on na tym, że zostaliśmy stworzeni nie tylko w tym samym czasie, ale i w tym samym układzie gwiazdnym. Oni i my - nigdy nie moglibyśmy egzystować wspólnie.

Nawet nie mogliśmy sobie zejść z drogi, choć Bóg wie, że próbowaliśmy i to nie raz. Verdandi byli jednak tak dalece inni, że wrogość była z naszej strony jedyną możliwą reakcją. I zakładam, że z ich strony było tak samo.

-I nikt nie próbował z nimi rozmawiać? - zapytała Arion z powątpiewaniem.

- Tysiące z nas - Rymer zaśmiała się gorzko. -I tysiące tych, którzy próbowali, straciło przy tym życie. Obejrzyjcie sobie stare zapisy, o ile jakieś jeszcze w ogóle istnieją. Scenariusz był zawsze taki sam: niekończące się debaty w rządach i na ulicach. Teolodzy i etycy, którzy prowadzili ostre pojedynki słowne... Komendanci statków kosmicznych, którzy odmawiali



wykonania ich rozkazów, bo nie chcieli strzelać do rzekomo bezbronnej planety... I wszyscy pozostali podejrzani, łącznie z tłumami młodych ludzi takich jak wy, którzy z transparentami w rękach protestowali przed budynkami rządowymi swoich światów opowiadając się za bezwarunkowym pokojem.

- A co jest w tym złego? - spytała Arion, której uwadze nie uszedł zmieniony ton głosu, jaki pojawił się w ostatnich zdaniach wypowiedzianych przez senator.

- Och, nic - odparła Rymer. - Gdybym wtedy żyła, to stałabym w pierwszym rzędzie protestujących i trzymała transparent, pewnie tuż obok was. I zostałybyśmy spalone w łączonym ogniu Verdandi.

Uwierzcie, nasz naród naprawdę próbował. Zginęły miliony ludzi tylko dlatego, że wahaliśmy się i uczepiliśmy się idei, że musi być możliwa pokojowa koegzystencja. Ale to nie było możliwe.

- Czy ta galaktyka jest dostatecznie duża na to, aby mogły w niej mieszkać dwa gatunki istot penetrujących przestrzeń kosmiczną?

- spytała Arion.

- Tak i miejsca jest dość nie tylko dla dwóch gatunków istot.

- odpowiedziała ze smutkiem Rymer. - Ale jedyne uczucie, jakie oni znali w stosunku do nas, to była wrogość - i z naszej strony było tak samo. Nie ma sensu zamykanie oczu na prawdę - a nasi przodkowie tak robili. O mały włos wszyscy przyplącaliby to życiem.

Wykonała ręką gest, wskazując okno. Rozbity księżyc dawno już zaszedł, ale Rymer wyczytała w oczach Arion, że księżniczka pojęła jej intencje.

- Czy znacie historię o ludzie Rahmów? - spytała Rymer.

- Nie - odparła Arion.

- To kolonia pacyfistów - wyjaśniła Rymer. - W każdym razie tak nazwano by ich dzisiaj, gdyby ta planeta jeszcze istniała. Nasze siły zbrojne chciały tam założyć bazę, ale oni się na to nie zgodzili, bo wierzyli w pokój. Wybuchło powstanie - coś w rodzaju pokojowej wojny domowej, o ile coś takiego w ogóle jest możliwe... i na koniec wojsko stanęło przed wyborem: ustąpić przed wolą ludu albo do niego strzelać. Wojsko się wycofało. Ale zostawiło na orbicie satelitę informacyjnego i stąd wiemy, co stało się potem.

- A co się stało? - spytała Arion, zgodnie z życzeniem senator.

Rymer nie odpowiedziała na to pytanie od razu. Utkwiła nieruchomy wzrok w jakimś punkcie i zaczęła mówić znacznie ciszej: - Rahmowie byli naprawdę pokojowym ludem. Sądzę, że na całej planecie nie było ani jednej sztuki broni palnej. Ale oczywiście nie byli głupcami. Pokazaliśmy im, co robią Verdandi. Mam na myśli: naprawdę pokazaliśmy, nie tylko opowiadaliśmy im o tym czy też pokazywaliśmy obrazki. Zrobiliśmy to w następujący sposób: zabraliśmy delegację rządu Rahmów na spustoszoną przez Verdandi planetę. - Rymer potrząsnęła głową i dodała ze smutkiem: - Ale nas nie posłuchali.

-I zostali zniszczeni - wyraziła swe przypuszczenie Arion.

-Wiedzieli o Verdandi wszystko i sądzili, że są dobrze przygotowani - mówiła dalej Rymer. W jej oczach pojawił się smutek, kiedy odtwarzała w myślach owe przerażające obrazy, które od dawna spędzały jej sen z powiek.

- Gdy wojsko się wycofało i ostatnie statki opuściły system, Rahmowie zaczęli szukać kontaktu z Verdandi. Pozostał im rok, a potem miały zawitać do nich pierwsze grupy statków-rojów Verdandi. Sądzieli, że tyle czasu wystarczy. Dobrowolnie przygotowali jeden z kontynentów swej planety, aby Verdandi mogli założyć tam swoją kolonię.

- I rzeczywiście wierzyli, że im to wystarczy? - spytała Arion z powątpiewaniem.

- Jak mówiłam, księżniczko, Rahmowie byli może niepoprawnymi pacyfistami, ale nie byli głupi. Cały czas mieli świadomość, że prowadzą niebezpieczną grę. Ale zaryzykowali. Uważali, że są to winni sobie i swojemu sposobowi życia i że w ten sposób uda im się utrzymać pokój. I może nawet to miało szansę się udać, bo zamiast bombardować planetę, Verdandi wysłali tylko jeden statek-rój, który zrzucił kapsułę z nasionami. Rahmowie czekali na nią, przede wszystkim czekał ich duchowy przywódca, którego można by uznać za świętego. Jeśli Duras ma rację i Bóg istnieje, to ten człowiek musiałby być jego prawą ręką. On i mała delegacja jego zwolenników

czekali na tę kapsułę. I kiedy ona się otworzyła...

- ...Verdandi otworzyli ogień i wymordowali ich - odgadła Arion.

- Obejrzyjcie sobie przy okazji zapisy danych, księżniczko - powiedziała Rymer. - Słowa nie wystarczą, aby to opisać. Bo kiedy kapsuła się otworzyła i ów przywódca po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z przedstawicielem Verdandi, to on, ten święty człowiek, który w całym swoim życiu głosił miłość i pokój, jako najwyższe dobro wszechświata, wziął swój złoty krzyż i zabił nim wroga, a jego towarzysze rozerwali gołymi rękami na strzępy to, co z tego Verdandi zostało. - Rymer roześmiała się gorzko.

- Dwie godziny później nie żyła już żadna ludzka istota na Rahma Cztery.

Arion milczała. Wyglądała na zszokowaną, ale także nieufną.

- Dlaczego mi to opowiadacie, pani senator? - spytała. - Czy chcecie mnie w ten sposób możliwie delikatnie pouczyć, że powinniśmy dokonać eksterminacji wszystkich klanów- a może najlepiej od razu całego Oblężenia! Rzeczywiście były głosy w R'Achernonie, które proponowały dokładnie coś takiego i to od bardzo dawna. Jednak senator potrząsnęła przecząco głową.

- Chcę wam wyjaśnić, że są rzeczy, które znajdują się poza strefą wszelkich naszych wpływów. Może nawet poza strefą pojmowania, bez względu na nasze możliwości intelektualne i nie tylko. Oczywiście nikt nie chce wojny z Oblężeniem, wręcz przeciwnie - większość z nas wie o staraniach, jakie podjęliście, aby utrzymać pokój za wszelką cenę. Potrafimy też docenić dobre stosunki z mistrzem klanu Craidenem, nawet jeśli z pozoru wygląda to inaczej. Ale może... - zawahała się, z pełną świadomością - może jest już na to za późno.

- Na pokój?

- Na to, aby zrozumieć drugą stronę - wyjaśniła Rymer. - Może już zbyt długo nasz rozwój szedł w zupełnie innych kierunkach. Oni nie są tacy jak my, choć wyglądają podobnie.

- To znaczyłoby, że jest bardzo źle - rzekła Arion.

- Ale nie jest to znowu katastrofa - Rymer zmusiła się do uśmiechu. - Bez obaw, nie proponuję przecież kolejnego ludobójstwa albo wypowiedzenia wojny Craidenowi. Nie mówiąc już o tym, że potrzebujemy ich tak samo jak oni nas. Ale może to, czego pragniecie, jest po prostu nieosiągalne.

- Mistrz klanu Craiden w moim łóżku? - spytała rozbawiona Arion.

- Gdzie z pewnością okazałby się wspaniałym mężczyzną - odparła w tym samym tonie Rymer, jednak natychmiast spoważniała. - Mam na myśli przyjaźń między naszymi narodami, księżniczko.

Może oni nienawidzą nas już zbyt długo, aby umieć odczuwać cokolwiek innego, a my z kolei obawiamy się ich za bardzo, aby móc im zaufać.

Arion przez dłuższą chwilę milczała.

- A więc co proponujecie? - spytała wreszcie.

- Nic - odparła Rymer. - Nie jestem tutaj po to, aby dawać rady mojej przyszłej królowej. To mi nie przystoi.

- A możecie dawać rady dziewczynie, którą nauczyliście chodzić i tego wszystkiego, co liczy się w życiu?

- To chyba był Plixx - powiedziała Rymer uśmiechając się. - Przynajmniej jeśli chodzi o rzeczy, których wolałabym wam nie zdradzać.

Ale jeśli pyta mnie ta mała Arion, która nie tak dawno jeszcze obślinała moje najlepsze sukienki, to dam jej radę, aby nie oczekiwała od życia więcej, niż ono może jej dać.

- Macie na myśli mistrza klanu Craidena?

- Może on nawet podchodzi do tego wszystkiego rzeczywiście poważnie - odpowiedziała Rymer. - Ale nie możecie skakać do wody z głodnym rekinem i oczekiwać, że on nie odgryzie wam ręki, kiedy będziecie chcieli go pogłaskać. Czy znacie historię o lisie i skorpionie?

Arion przytaknęła i spytała: - Cóż więc mam robić?

- To, co zrobiła wasza matka i kiedyś także jej matka - wyjaśniła Rymer. - Traktujcie mistrza klanu Oblężenia z należnym mu respektem, ale nie pozwólcie, aby zbliżył się do was za bardzo.

Bo on może was tylko zranić. Wierzę, że podchodzi do sprawy uczciwie. Barbarzyńca czy nie - jest uczciwym człowiekiem, który nigdy by was nie okłamał. Ale jest też tym, kim jest i nie ucieknie od swojego przeznaczenia, podobnie jak wy od swojego.

- A więc trzymajmy się dalej protokołu liczącego tysiąc lat, wysłuchujmy bezczelnych żądań Craiden a i postępujmy, jak gdyby się nic nie stało, czy tak?

Arion daremnie czekała na odpowiedź.

- Czy mamy zostawić rozwiązanie tego małego problemu późniejszej generacji? - spytała ponownie.

- Chyba nie mamy innego wyboru - westchnęła Rymer.

Arion na chwilę ukryła twarz w rękach.

- Co dokładnie proponujecie, pani senator? - spytała po dłuższej chwili.

Uwadze Rymer nie uszedł ani zmieniony ton jej głosu ani też fakt, że księżniczka świadomie zwracała się teraz do niej oficjalnie, jako do „pani senator”. Ogarnęło ją coś w rodzaju uczucia żalu, choć przecież powinna być zadowolona.

- W gruncie rzeczy nic - odpowiedziała. - Jeśli przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie, to właściwie nie stało się nic złego: było przyjęcie, pertraktowaliście z mistrzem klanu, nawet spędziliście z nim przepisową noc... no, przynajmniej częściowo... Dziś w południe zjecie z nim jeszcze obiad, wymienimy kilka prezentów i odprowadzicie go wraz z towarzyszami do bramy. I przy odrobinie szczęścia zobaczymy mistrza klanu dopiero za dwadzieścia lat - albo kogoś, kto po nim przejmie tę rangę.

- Sądzicie, że Craiden się nie utrzyma?

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy sobie tego życzyć - powiedziała Rymer. - Ten człowiek jest niebezpieczny i bez wątpienia niezwykle inteligentny. Udało mu się nie tylko opanować klany, ale także je zjednoczyć. Czy wiedzieliście o tym?

Arion zaprzeczyła, a Rymer mówiła dalej podkreślając znaczenie swoich słów skinieniem głowy: - Odkąd Craiden ma rangę mistrza klanu, nie było żadnej wielkiej wojny między szczepami. A to nie jest dla nas szczególnie korzystne.

- Macie na myśli, że powinniśmy mieć nadzieję, iż wszystko tam na zewnątrz będzie przebiegało według dawnych zasad, tak, że klany będą się nawzajem zwalczać?

Czy w głosie Arion nie brzmiał przypadkiem jakiś czujny ton, jak gdyby księżniczka czekała na okazję, by złapać ją za słówka?

- Lepiej, żeby walczyły ze sobą, niż z nami, prawda? - nie dała się zbić z tropu senator. Spojrzenie Arion stało się świdrująco przenikliwe, ale Rymer ciągle jeszcze nie udawało się dojść do tego, co się za nim kryło. Oby nie zdarzyło się to kolejny raz - przemknęło jej przez głowę. Myślała rozpaczliwie, że jeśli ktokolwiek ją słyszał, to powinien zrobić wszystko, aby nie dopuścić już do podobnej kompromitacji.

- Tak, tu macie przypuszczalnie rację - westchnęła Arion. - Prawdopodobnie zbyt wiele oczekiwałam. Czy to się kiedyś zmieni? To znaczy, kiedy będę... - skrzywiła usta - naprawdę dorosła? Gzy wówczas przestanę oczekiwać zbyt wiele? Od losu, od moich współmieszkańców i od siebie samej?

- Takiej nadziei nie chcemy przecież mieć - odpowiedziała Rymer. Wstała, a krzesło natychmiast straciło swój kształt i znikło, jak gdyby zapadło się pod ziemię.

- Przed wami jeszcze kilka męczących godzin, księżniczko.

Obiad, chwila miłej pogawędki i mamy to za sobą.

Mardu. Wprawdzie zarówno Quizzack jak i jego podejrzeni przyjaciele twierdzili, że do Niebiańskiego Dworca są mniej więcej dwie godziny, ale Mardu wydawało się, że byli w drodze już przynajmniej dziesięć razy dłużej. Oczywiście był to tylko bardzo ogólny szacunek.

Wóz nie miał okien, tylko kilka wąskich otworów strzelniczych, które były rozmieszczone tak, aby można było ustalić położenie i wysokość słońca, co jednak okazało się niesłychanie trudne.

Ciągnięty przez sześć wołów pancerny wóz toczył się powoli przez dziurawe drogi, pełne płytkich lejów po bombach, przeciskał się przez wąskie zaułki, w których mieścił się z trudnością

i jak się wydawało, zmieniał co kilka minut kierunek jazdy. Zupełnie jak gdyby powożący dążyli do tego, aby Mardu stracił wszelką orientację. Kilkakrotnie generał dostrzegł jakieś cienie i ruch na zewnątrz, ale nie były one na tyle wyraźne, aby rozpoznać szczegóły. Słyszał też strzały, krzyki i bitewny zgiełk. Postanowił trzymać się jak najdalej nie tylko od otworów strzelniczych, lecz poszukał sobie takiego miejsca, które pozwalało zminimalizować prawdopodobieństwo trafienia rykoszetem, gdyby przypadkiem zabłąkała się tu jakaś kula.

Większość ludzi zwykle zapominała, że otwory strzelnicze działały w obie strony, ale tak głupi Mardu nie był. Jego zachowanie nie miało nic wspólnego z tchórzostwem, raczej z czymś, czego brakowało większości jego podwładnych, a mianowicie świadomą odpowiedzialnością. Jego własny, jednostkowy los nie miał oczywiście znaczenia, ale fakt, że wróci żywy i złoży raport, był ważny dla przyszłości wojska i możliwe, że nawet dla przyszłości samego władcy klanu.

Z tego powodu czas dłużył się Mardu jeszcze bardziej i również Quizzack nie okazał się tu pomocny. Ten bezczelny nicpoń schował się w kącie wozu jak najdalej od generała i prawdopodobnie oczekiwał, że Mardu nie zauważy tego faktu. Na tym właśnie polegał problem z podwładnymi: przeważnie byli nie tylko głupi, lecz mieli skłonność do uznawania przełożonych za głębszych od siebie samych. Quizzack nie był tu wyjątkiem, kiedy tak siedział pod ścianą z podciągniętymi pod brodę kolanami i sprawiał wrażenie, że wszystkimi siłami walczy ze snem. Jego głowa raz po raz opadała na kolana, a wówczas podnosił ją przerażony i wpatrywał się w Mardu nieprzytomnymi, okropnie przekrwionymi oczami, jak gdyby widział generała po raz pierwszy i daremnie pytał sam siebie, kto też to może być. Wreszcie chłopak rzeczywiście zasnął i obudził się dopiero wtedy, kiedy wóz podskoczył na wyjątkowo głębokiej wyrwie, a wówczas Quizzack po prostu przewrócił się na bok. W każdym razie Mardu wydawało się, że tak właśnie było, pozostawił więc swojego świeżo upieczonego adiutanta w przekonaniu, że on, generał, nabrał się na ten teatr, którego sens nie był jednak dla Mardu do końca jasny. Ale jak długo Quizzack sądził, że ktoś wierzy w to kiepskie przedstawienie, postanowił nie pozbawiać go tej przyjemności.

Gdzieś z tyłu głowy generała pojawił się cichy (póki co), ale uparty głos, który upierał się przy tym, że może być jeszcze inny powód zachowania adiutanta. Chłopak wyglądał rzeczywiście źle. I nie tylko okropnie przekrwione oczy nadawały mu wygląd niemal żywego trupa. Wokół miejsc, gdzie na jego ciele w wyniku poparzeń pojawiły się liczne krosty (większość z nich była zaropiała), skóra wydawała się niesamowicie blada, prawie biała. Poza tym chłopak trząsał się i dygotał na całym ciele. Wydzielał jeszcze bardziej nieprzyjemną woń niż przedtem. Sprawiał po prostu wrażenie... chorego. Mardu niejasno przypominał sobie, że chłopak mówił coś o promieniowaniu. I dokładnie rzecz ujmując, on sam też nie czuł się najlepiej. Bicie jego obu serc nie było zsynchronizowane, a w ustach miał bardzo niemiły smak. Mardu odpędził szybko tę myśl i nieco rozgniewany sam sobie udzielił nagany. Paranoja Quizzacka wydawała się zaraźliwa.

Wóz zaturkotał, przetaczając się przez wyjątkowo dużą dziurę.

Quizzack przewrócił się i wydał z siebie pełne przerażenia kwiczenie.

Nawet Mardu musiał przez chwilę walczyć o utrzymanie równowagi.

Coś trzasnęło, a jeden z wołów zaczął głośno beczeć. Potem usłyszeli jakieś głosy oraz skrzypienie otwieranych zamków. Wreszcie drzwi wozu od strony kozła otworzyły się. Mardu mimochodem spytał siebie, czy było to związane z zachowaniem bezpieczeństwa, czy też może tych trzech durniów wbiło sobie do głów, że on jest kimś w rodzaju jeńca. Ale wszystko jedno. Będą mieli jeszcze mnóstwo czasu, aby podczas wznoszenia okopów lub kopania latryn łątać sobie głowy nad tym, jak należy odnosić się do przełożonego.

-Jesteśmy na miejscu, panie.

Generał zamrugał widząc zamazane sylwetki, które pojawiły się w drzwiach. Wydawało mu się, że coś jest nie tak z jego oczami. Bo cień, który ukazał się przed nim nadal był cieniem bez twarzy, a jego kontury ciągle były rozmyte. Może po prostu Mardu zbyt długo siedział w ciemności.

- Byłby już najwyższy czas - wymamrotał. Potrzebował dwóch podejść, aby wstać. Chociaż

wóz się zatrzymał, to jednak wydawało mu się, że podłoga pod jego stopami cały czas się porusza i musiał wyciągnąć ręce, aby utrzymać równowagę. Przechodząc obok Quizzacka wymierzył mu mocnego kopniaka, aby na dobre go obudzić, po czym zaklął przez zęby, kiedy cień odsunął się na bok i ostre światło słońca poraziło go boleśnie prosto w oczy.

Dotarli do celu.

Wóz zatrzymał się między ostatnimi domami w uliczce pełnej gruzów, a przed nimi rozciągała się płaska, zupełnie pusta przestrzeń, w której centrum wznosiła się gigantyczna kopuła Niebiańskiego Dworca. W konstrukcji składającej się z niezliczonej ilości sześciokątów nawet mimo dużej odległości można było rozpoznać szkody, które pozostawiły po sobie wojny i niepogoda albo po prostu czas. Mimo wszystko budowla ta była dla Mardu najpiękniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek dane mu było oglądać.

Nagle dotarło do niego, że w głębi duszy stracił już nadzieję, iż kiedykolwiek dotrze do celu. Napęłniło go to (przelotnym) uczuciem żalu, którego doznawał niezwykle rzadko. Czuł również złość na siebie, że tak mało ufał losowi, który przecież miał wobec niego takie wspaniałe plany.

Mimo to warknął: - Ale przecież jeszcze nie jesteśmy na miejscu.

- Uzgodniliśmy, że zawieziemy cię do Niebiańskiego Dworca - powiedział typ stojący obok generała. Ustawił się w taki sposób, że Mardu mógł rozpoznać tylko jego czarną sylwetkę na tle jaskrawego słońca, co z pewnością nie było przypadkiem. Jednak rozpoznawał jego głos - był to Findes, porąbany kumpel Quizzacka o jeszcze bardziej porąbanym imieniu. I wyglądało na to, że Findes uważał jego, Mardu, za równie głupiego, jakim był on sam oraz jego rzekomi bracia.

- Zgodnie z naszymi uzgodnieniami - odpowiedział Mardu znacząco, ignorując dzielnie wyraźne drżenie swojego głosu - mieliście mnie zawieźć na Niebiański Dworzec.

- Tam jest Niebiański Dworzec - powiedział Findes podkreślając to odpowiednim gestem.

- Na Niebiański Dworzec - powtórzył Mardu. - Nie w kierunku

Niebiańskiego Dworca, nie mniej więcej w pobliże, lecz na Niebiański Dworzec. Ta różnica jest chyba dla ciebie jasna, co?!

- Bliżej nie pojedziemy - Findes potrząsnął energicznie głową.

- Jeszcze nie zwariowaliśmy.

- To nie pojedziecie też bliżej owych uzgodnionych osiemdziesięciu dinarów - powiedział stanowczo Mardu.

- Stu - poprawił Findes.

Generał nie zaprzeczył. Ten zbir mógł zażądać nawet tysiąca, gdyby miał taki kaprys.

- Nie dostaniecie ani grosza, jeśli mnie tam nie zawieziecie - oświadczył.

- Czy ty przypadkiem nie chcesz nas oszukać, mały generale?

- Findes zmarszczył całą twarz, przez co stał się jeszcze brzydszy.

- To nie byłoby dla ciebie korzystne, uwierz mi.

- Mówiłem ci od razu, że jemu nie można ufać - dodał jego brat. - On należy do klanów. Na tej aroganckiej hołocie nie można polegać.

Trzeci uczestnik sympatycznego tercetu dołączył do pozostałych, choć co prawda nic nie mówił, lecz uważnie obserwował niebo zmrużonymi oczami, jak gdyby na coś czekał. Na domiar wszystkiego z tyłu zagrzmiało: - Wa!? - a kiedy Mardu odwrócił się, spojrzał prosto w twarz Quorrla o tym osobliwym imieniu. Owa twarz znajdowała się dokładnie na tej samej wysokości, co jego oczy - z tym, że Quorrl stał na ziemi obok wozu, zaś Mardu - ciągle jeszcze na koźle.

Może teraz przydałaby się odrobina dyplomacji.

Mardu chrząknął i wyprostował się na całą swą imponującą wysokość pięciu i pół stopy.

- Tak, ja należę do klanów - powiedział. - A dokładniej klany - to ja, zaraz po samym mistrzu klanu Craidenie. Wątpić w moje słowa - to graniczy z herezją. Ale daruję wam - jesteście tylko prostymi ludźmi, którzy prawdopodobnie nie potrafią inaczej...

Findes jeszcze bardziej zmarszczył czoło, a obaj jego kompani patrzyli na Mardu wytrzeszczonymi oczami, w których, jak się wydawało, pojawił się błysk zrozumienia, jaki błąd

popętniliby o mały włos. Ale Mardu postanowił być wielkoduszny. Jak sam przecież powiedział: byli prostymi ludźmi z niższych warstw narodu, którzy nie potrafili zachować się inaczej.

- A teraz wykonajcie po prostu waszą część naszej umowy, a ja już zadbam o to, abyście otrzymali obiecane... - policzył szybko w pamięci, ile wynosiła wartość służby wojskowej trzech mężczyzn trwającej pięć lat - ... sześćdziesiąt złotych dinarów.

- Ten facet robi z nas głupków - powiedział Zachow.

- W każdym razie próbuje - dodał Findes. Trzysms ciągle jeszcze milczał, koncentrując się na oglądaniu nieba.

- Moglibyśmy go sprzedać - rozmyślał głośno Findes. - Niewolnicy są teraz w cenie, od kiedy wszyscy przygotowują się do wojny.

- Ale wygląda mizernie, jakby był chory - odparł Trzysms. - Nikt nie zapłaci za niego zbyt wiele.

- Hm - zastanawiał się Findes. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła.

- Możemy go sprzedać na części - zaproponował. - Słyszałem, że za serca można teraz dostać dobrą cenę. A tacy jak on mają aż dwa.

- Co wam przychodzi do głowy, bezczelni... - zaczął Mardu, ale Quizzack, który wreszcie wygrzebał się z wnętrza wozu, przerwał mu niemal natychmiast: - To, co mówi generał Mardu znaczy ni mniej ni więcej, tylko to, że każdy z was dostanie sześćdziesiąt złotych dinarów, nawet Quorrl, bo generał jest zadowolony z waszych usług.

Mardu wytrzeszczył oczy i ledwo mógł zdusić zdumione sapnięcie. Czy ten chłopak całkiem stracił rozum? Quizzack rzucił mu spojrzenie pełne przerażenia i błagalnych zaklęć, aby nie próbował już ratować sytuacji na własną rękę i zachował dla siebie wszystko, co miał na końcu języka. Przynajmniej na razie.

- Tyle dostaniemy za same jego serca - powiedział Trzysms.

- Generał Mardu chce powiedzieć, że musi dostać się do terminalu, aby wezwać swoich ludzi - zdążył jeszcze wtrącić Quizzack.

- Wezwać swoich ludzi? - spytał Findes.

- A po co? - chciał wiedzieć Trzysms.

Ręce obu typów spoczywały na broni. Zachow ciągle gapił się w niebo.

- No, żeby oni przynieśli wam pieniądze - odparł Quizzack udając zdumienie. - A po cóż innego?

- Sześćdziesiąt złotych dinarów? - upewnił się Findes. - Dla każdego?

Jeśli przeżyją w armii mniej więcej po dwadzieścia lat?

- Pewnie - odparł Quizzack.

Findes lustrował go wzrokiem przez dłuższą chwilę, odwrócił się i popatrzył znów na zniszczoną kopułę Niebiańskiego Dworca. Potem potrząsnął głową z wahaniem.

- Tutaj nie ma żadnej ścieżki, nic - rzekł. - A nikt nie jest tak szalony, aby jechać prosto przez tę pustkę. Nawet za tysiąc złotych dinarów.

- Martwi ludzie nie mogą wydawać pieniędzy - poparł go Trzysms.

Żołnierze, którzy trzy lata tkwią w górnicy, też nie - pomyślał Mardu zniechęcony. Czy oni myślą, że on pójdzie na piechotę przez tę pustą przestrzeń, gdzie jest widoczny jak na dłoni?

- To z łaski swojej poszukajcie jakiejś drogi! - prychnął.

- Ziggisowie zniszczyli w czasie ostatniej wojny prawie wszystkie oznaczenia - odpowiedział Findes potrząsając głową. - Najbliższa ścieżka, którą znam, znajduje się po drugiej stronie. Dotarcie tam zajmie nam całe godziny.

- To dlaczego stoicie i gapicie się, głupcy? - złościł się Mardu. - Myślicie, że mój czas jest nieograniczony?

Teraz nie tylko Findes i Trzysms, ale także Zachow, który przestał patrzeć w niebo, wytrzeszczyli na niego oczy nic więcej nie mówiąc.

- A więc dobrze, siedemdziesiąt złotych dinarów? - westchnął Mardu.

- Droga jest zbyt daleka - upierał się Findes.
- I musimy przejechać przez teren Ziggisów - dodał Trzyms. - Oni nas pożrą.
- I to żywcem - dodał Zachow, patrząc znów w niebo.
- Osiemdziesiąt - zaproponował Mardu.

Żaden nie odpowiedział, w końcu do rozmowy wtrącił się Quizzack, mówiąc: -Ja znam drogę. I wcale nie trzeba przejeżdżać na drugą stronę.

Findes i jego obaj bracia wpatrywali się w niego przez chwilę, a potem przez znacznie dłuższą chwilę w pustą przestrzeń rozciągającą się między nimi i popękaną kopułą dworca. W końcu Findes znów potrząsnął głową przecząco, mówiąc zdecydowanym głosem: - To samobójstwo.

- Wierzcie mi, mówię prawdę! - upierał się Quizzack. - Znam ścieżkę. Szedłem nią już kilka razy i ciągle żyję, może nie?

- Pieniądze mogą nam się przydać - powiedział Findes w zamyśleniu.

- A w końcu przecież będę z wami - dodał Quizzack. W jego głosie słychać było cień rozpacz. - Nie proponowałbym wam tego, gdybym nie był całkowicie pewien tej drogi, prawda? Czy ja wyglądam jak samobójca?

Findes popatrzył na niego pogardliwie i wzruszył ramionami, a cierpliwość Mardu w końcu się wyczerpała.

- Mówisz prawdę? - zwrócił się do Quizzacka.

- Tak, panie - zapewnił go adiutant. - Ja przecież... nie jestem szalony!

Ale z pewnością bezczelny.

- A więc zdecydowaliśmy - oświadczył Mardu. - Ty i ja idziemy piechotą. Twoi przyjaciele też idą, inaczej nic nie dostaną!

- Hej, hej! - zaprotestował Findes. - Nie tak szybko! Jednak przy wieźliśmy was aż tutaj, należy nam się zapłata!

- A ona jest tam właśnie! - odparł Quizzack wskazując na kopułę.

-Jesteś nam winien przynajmniej jedną nerkę! - zawołał Trzyms.

Zamiast zareagować na to wszystko choćby jednym słowem, Mardu zeskoczył z wozu - ostrożnie - i skinął na adiutanta, aby ten szedł za nim. Chłopak posłuchał, choć po chwili wyraźnego wahania, a jego zdecydowanie wydawało się maleć z każdym krokiem, im bardziej zbliżali się do pustej przestrzeni rozciągającej się wokół dworca. A co będzie - pomyślał Mardu - jeśli on udaje i nie zna żadnej ścieżki? Ale dlaczego miałby to robić?

Nikt nie powiedział ani słowa, ale nie tylko Mardu wpatrywał się czujnie (choć z rosnącymi wątpliwościami) w Quizzacka, podczas kiedy ten powoli chodził tam i z powrotem po brzegu pustej przestrzeni i skoncentrowany wpatrywał się w ziemię, jak gdyby czegoś szukał na szarym pustkowiu, czegoś, co wydawało się niemożliwe do znalezienia. Dwa lub trzy razy próbował wejść na pustą przestrzeń, jednak w ostatniej chwili cofał stopę.

W ten sposób minęło dobre pięć minut i wreszcie odezwał się Trzyms: - Jeśli tego małego sprzedamy w częściach, to nawet będziemy mieć niezły zysk.

- Mam! - krzyknął Quizzack pośpiesznie. - Tutaj, widzicie?

Mardu niczego nie widział i był pewien, że pozostali również, ale w następnej chwili Quizzack postawił nogę gdzieś w pustej przestrzeni, zebrał się na odwagę, zrobił kolejny krok, a potem jeszcze jeden. Nic mu się nie stało, odetchnął więc z wyraźną ulgą.

- A więc dobrze, może zrobimy wyjątek - rzekł Findes. - Powiedz my, dziewięćdziesiąt złotych dinarów?

Mardu znów szykował się do ostrej riposty, ale Quizzack ubiegł go - Powiedzmy... w ogóle nic - oświadczył. - Zaprowadzicie nas za darmo do kopuły, a ja za to pokażę wam ścieżkę.

-I jak to ma wyglądać? - dopytywał się głośno Findes (a w duchu - także i generał). -Jak ustawimy oznaczenia, to każdy je zobaczy.

- Albo Ziggisi zabiorą je, bo mają już opanowaną inną drogę i zarabiają kokosy ściągając

myto - dodał Trzyms.

Quizzack wyrócił oczami i demonstracyjnie wykonał kolejny krok do przodu. Ku zdumieniu Mardu ciągle jeszcze był żywy.

- Kokosy - powiedział dobitnie Quizzack - zarobicie wy, kiedy wbijecie sobie do głowy przebieg tej drogi, zamiast ustawiać widoczne dla każdego oznaczenia.

Zaczął w zdenerwowaniu wywijać rękami i krzyknął: - Zastanówcie się, co to znaczy!

- Co takiego? - spytał Trzyms.

- Że jesteście jedynymi ludźmi po tej stronie, którzy mogą przedostać się do Niebiańskiego Dworca bez konieczności latania! Możecie być bogaci. Mam na myśli: naprawdę bogaci!

- A mnie naprawdę martwi, jak bardzo się mylisz, chłopaczku - powiedział Findes.

- Albo jak nas oszukujesz - dodał Trzyms.

- Ale wówczas i tak byłbym martwy - wyjaśnił Quizzack. Na twarzy Findesa widać było wysiłek umysłowy. - Coś w tym jest...

- powiedział po chwili.

- To pozwól nam iść - rozkazał Mardu. Po wszystkim, co już mieli za sobą, nie za bardzo miał ochotę na spacer na dystansie jednej mili, ale w ten sposób pozbyliby się tych trzech tępaków - a przede wszystkim Trzymusa, który ciągle miał wielką chętkę na jego organy.

Findes myślał przez chwilę tak intensywnie, że niemal było to słychać.

- Ale pokażesz nam ścieżkę? - upewnił się.

Quizzack skinął głową. - Powinniście ją sobie dokładnie zapamiętać albo najlepiej zapisać. Jej przebieg jest... nieco skomplikowany.

Findes wlepił w niego oczy, chłopak wykonał więc gest pełen rezygnacji, ale i lekceważenia.

—Już dobrze, ja to zapiszę.

Z jakiegoś powodu Mardu wobec takiej perspektywy odczuwał niepokój, ale z drugiej strony... Mila to mila i jeśli Quizzack się mylił i mieliby zostać zaatakowani, to wówczas szansa na przetrwanie byłaby niewielka w tym opancerzonym wozie.

Żyć dwie lub trzy minuty dłużej, potem zaś zostać pociętym na kawałki i zutylizowanym - Mardu już nieraz słyszał w myślach ten złośliwy głos.

Zadał sobie wyraźny trud, aby zmilczeć i stanął obok, kiedy Findes i jego kompani wspinali się na wóz i kiedy ociężwały pojazd turkocząc ruszał, aby podążyć powoli za Quizzackiem. Mardu jako ostatni wspiął się na kozła i zajął miejsce między dwoma braćmi.

Quizzack ruszył przodem i wydawało się, że uważnie liczył kroki.

Zrobiło się niesamowicie cicho. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Nawet mimowolne parskanie i stękanie wołów wydawało się o wiele bardziej przytłumione niż przedtem, jak gdyby zwierzęta czuły niebezpieczeństwo, które czaiło się wokół.

Oba serca Mardu biły coraz szybciej. Generał siedział sztywno wyprostowany i starał się nie dać po sobie poznać, jak bardzo był przerażony, co udało mu się oczywiście tylko częściowo. Ale nikt tego nie zauważył. Findes, Trzyms i Zachow byli przynajmniej tak samo zdenerwowani i bez przerwy rozglądali się dookoła w panice. Ale nie wydawali z siebie żadnego dźwięku. Dzielne chłopaki - pomyślał Mardu. Dobrze. Odwaga będzie im potrzebna, kiedy znajdą się pod jego dowództwem. To znaczy jeśli w ogóle będzie mu jeszcze dane dowodzić. Mardu nie mógł być tego tak całkiem pewien.

Quizzack szedł z przodu powoli, ale co chwila zatrzymywał się i rozglądał bardziej niezdecydowanie, niż Mardu byłby to w stanie spokojnie znieść. Dłuższy czas - z pewnością jedną trzecią drogi - szedł prosto przed siebie, potem skręcił w lewo, w prawo, znowu w lewo, a kawałek nawet po prostu się cofnął, dokładnie po tej samej drodze, którą przyjechali.

-Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? - spytał w końcu Findes.

- A żyjemy jeszcze? - odpowiedział pytaniem Quizzack, poszedł jeszcze kilka kroków do przodu i zatrzymał się.

- Od tego miejsca będzie trudniej - oświadczył.



- Zabłądziłeś - stwierdził Findes, co zabrzmiało niemal triumfująco.

- Nie - Quizzack ruchem głowy wskazał kopułę. Byli już niedaleko. Niecałe sto pięćdziesiąt kroków przed nimi wznosiła się jedna z niegdyś wspaniałych bram, teraz wyglądająca jak popękana otchłań, za którą czały się jakieś cienie.

- Ale tu ścieżka się kończy - powiedział Quizzack.

- He? - stęknął Findes, a Mardu wyprostował się jeszcze bardziej.

- Kończy... może nie jest to właściwe słowo - rzekł Quizzack uspokajająco. - Tylko... jest w niej... przerwa.

- Przerwa?! - powtórzył Findes.

- Pewien rodzaj luki - wyjaśnił Quizzack. - Niezbyt duża, naprawdę nieduża. Najwyżej trzydzieści kroków. Albo czterdzieści. W żadnym wypadku nie więcej niż... hm... no, pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt kroków?! - jęknął Findes. Jego brat rozglądał się nerwowo, podczas kiedy Zachow dalej gapił się w niebo, ale teraz w zupełnie inny sposób.

- Najwyżej - potwierdził Quizzack. - Prawdopodobnie nawet mniej. Musimy się troszkę pośpieszyć.

- Pięćdziesiąt kroków? - Findes niemal piszczął z przerażenia.

- Czyś ty oszalał, człowieku? Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wcześniej?

- Bo wtedy byście w ogóle nie pojechali - wyjaśnił spokojnie Quizzack. - A może jednak?

- Z całą pewnością nie! - sapnął Findes. - Ty szalony, całkiem stuknięty, głupkowaty...

- Musimy zawrócić - odezwał się Trzyms. - Zostawimy po prostu tego pomyleńca tutaj i popatrzymy, jak będzie pożerany.

- Albo poczekamy - odezwał się Zachow.

- Niby na co? - zaprotestował Mardu. - Żeby i nas coś pożarło?

Nikt nie zareagował. Findes popatrzył na swojego brata tak przenikliwie, jak gdyby poważnie rozważał taką propozycję i zwrócił się po chwili do chłopaka: - Pięćdziesiąt kroków?

- Najwyżej! - zapewnił Quizzack. - Raczej mniej. Po prostu... prosto przed siebie...

- To wskakuj do środka - powiedział Findes.

- Nic z tego! - zaprotestował Trzyms. - Ma iść na piechotę i zostać pożarty!

- A kto wtedy pokaże nam drogę powrotną? - dopytywał się Findes. - Kto zapisze przebieg drogi?

Na twarzy Trzymusa pojawił się gniew, dał jednak spokój, a wszyscy posunęli się trochę robiąc miejsce Quizzackowi.

- Po prostu... prosto przed siebie - powiedział chłopak. - A potem w lewo. Powiem wam, kiedy. I jedźcie szybko, jeśli wam życie miłe.

- I moje - dodał Mardu, ale nikt na to nie zareagował.

- A więc jazda - westchnął Findes, wciągnął powietrze i trzepnął energicznie lejcami woły. Wóz nie tylko ruszył z taką prędkością, o jaką Mardu nigdy by nie posadzał tak nędznego pojazdu, zaczynał nawet pędzić coraz szybciej.

Mieli już za sobą dziesięć, piętnaście, potem dwadzieścia kroków.

Nie stało się nic złego i akurat, kiedy Mardu pozwolił sobie na przyptyw nadziei, pojawił się pierwszy pająk.

Oczywiście nie był to prawdziwy pająk, na to był o wiele za duży - sam okrągły tułów liczył dobre trzydzieści centymetrów średnicy - i nie składał się z krwi i mięśni, tylko z chromowanego metalu, który błyszczał w świetle wschodzącego słońca jak rtęć. Poza tym miał tylko sześć nóg, a nie osiem. Jednak poruszał się już jak rasowy pająk, a zbiór nożyczek, noży, obcęgow oraz innych, w większości bardzo ostrych narzędzi do cięcia i gryzienia, które znajdowały się pod spodem jego okrągłej czaszki, wywołałby atak paniki u każdego, nawet u prawdziwego pająka porównywalnej wielkości.

Potwór pojawił się dosłownie z nicości, niecałe dziesięć metrów przed nimi i Mardu nawet nie miał czasu aby się porządnie wystraszyć - niemal natychmiast zewsząd wyłoniły się następne.

Nie wszystkie tak monstrualnie wielkie, ale były ich setki. Pędziły w ich stronę na swoich chromowanych, szczudłowatych nogach jak fala.

-Jazda!- ryknął Findes i trzasnął lejcami. Woły rzeczywiście przyśpieszyły jeszcze bardziej, głośno rycząc, bo doskonale czuły śmiertelne niebezpieczeństwo, które zbliżało się do nich z prędkością wiatru. Wóz zaczął się chwiać i niebezpiecznie trzeszczeć na wszystkich spojeniach oraz nitach i wykonał niemal skok, Mardu był więc pewien, że owe pięćdziesiąt kroków, o których mówił Quizzack, dawno zostało za nimi.

I jak zwykle w chwilach, kiedy był czegoś pewien, okazywało się, że jest inaczej. Teraz było podobnie.

Pierwsze pająki dopadły do wozu, ale zostały po prostu zgniecione pod olbrzymimi kołami albo zdeptane kopytami wołów. Było ich jednak po prostu za wiele. Mardu z przerażeniem patrzył, jak kolejne srebrne potwory czepiały się wirujących szprych wozu i wspinały się do góry. Większość z nich była odrzucana przez obracające się koła, ale kilka z nich zdołało skoczyć na wóz - który zaczęły natychmiast niszczyć swoimi narzędziami. Dookoła posypały się drzazgi oraz trociny, a tam, gdzie tnące urządzenia pajaków nie wystarczały aby przebić się przez opancerzone płyty, natychmiast rozbłysły iskry urządzeń do spawania, które pająki również posiadały w swoich mechanicznych pyskach.

To wszystko mogłoby być dla Mardu zupełnie obojętne (i było), ale chromowane pająki w ten sam sposób potraktowały woły. Zwierzęta ryczały z bólu i śmiertelnego strachu, kiedy ostre klingi wrzynały się w ich mięśnie i wyrwały strzępy mięsa, które potwory albo pożerały natychmiast albo rzucały na ziemię, jako żer dla następnych pajaków.

Findes, rycząc niemal bezustannie, trzaskał lejcami, a jego dwaj bracia wyciągnęli rozrywacze i otworzyli ogień do napastników.

Burza jasnozielonych, jaskrawych błyskawic uderzyła w srebrną falę, tworząc kolumny ognia na ziemi i rozrzucając rozżarzone odłamki metalu na wszystkie strony. Wiele pajaków eksplodowało, choć nie zostały bezpośrednio trafione, wiele zastygło w bezruchu. Ale liczba napastników była tak duża, że szalejący ogień w pierwszym momencie nie wydawał się żadną przeszkodą. Garstka ludzi i Quorrl strzelali najpierw rozpaczliwie, potem z coraz większą precyzją, co umocniło generała w przekonaniu, że będą z nich doskonali rekruci.

- Panie! - ryknął nagle Quizzack.

Mardu wytrzeszczył oczy, dostrzegł coś jakby przerażenie w jego poblądłej twarzy i nieco skorygował swoją ocenę adiutanta. Nawet w takim momencie, będąc samemu ogarniętym śmiertelnym strachem, chłopak troszczył się o swojego pana, co napełniło serce Mardu nieoczekiwanym ciepłem. Pomyślał, że może do tej pory oceniał go zbyt surowo.

- Panie! - ryknął Quizzack raz jeszcze, pochylił się i po prostu wyrwał rozrywacz Mardu zza pasa. Trzymając ciężką broń w rękach, przyłączył się do trójki strzelców. Połączona ściana czystej energii uderzyła w chromowane pająki i wydawało się, że niszczy je szybciej, niż zdążyły wyłaniać się z nicości. Mardu był tak dalece skonsternowany i przerażony, że w pierwszej chwili wytrzeszczył na chłopaka zdumione oczy. Jak... jak on śmiał, ta bezczelna kreatura, bez zezwolenia sięgać po broń Mardu? Zarobił tym na baty swojego życia!

I prawdopodobnie Mardu byłby skłonny natychmiast wymierzyć mu te baty, gdyby w tym momencie na jego ramieniu nie wylądował pająk wielkości dłoni ze stali twardej jak diament i błyszczącej jak rtęć. Potwór niezwłocznie przystąpił do rozdrabniania nieoczekiwanej przeszkody i dzielenia jej na części, co oznaczało, że po prostu wbił w ramię Mardu swoje ostre jak brzytwa narzędzia tak głęboko, że trysnęła krew, a generał zaskrzeczał z bólu. Quizzack posunął się dalej w swojej niesubordynacji, przestał na chwilę strzelać i użył rozrywacza jako maczugi, którym to narzędziem po prostu zmiotł pająka z ramienia generała; razem z wyrwanym kawałkiem mięsa, co wywołało istną erupcję krwi. Mardu zrobiło się niedobrze. Przechylił się do przodu, udało mu się na szczęście nie wymiotować na własne stopy, ale dłuższą chwilę walczył ze wszystkimi siłami, aby nie zemdleć.

Wygrał w końcu tę walkę, za co został nagrodzony, bo już prawie udało im się uciec. Niestety, kiedy ponownie rozejrzał się po okolicy, dostrzegł, że pająki zmierzały nadal w ich stronę w niestłuchanej liczbie. Jednak Quizzack i trzej pozostali tak dobrze skoordynowali strzały,

że niemal żaden z potworów technomagii nie zdołał przedostać się w ich pobliże. Na nieszczęście „prawie żaden” wcale nie oznaczało „żaden”.

- Na lewo! - ryczał znowu adiutant. - Na lewo!

Findes szarpnął lejcami i wóz wykonał zwrot, którego efektem było coś w rodzaju uderzenia w żołądek. Ruszył pędem w stronę otwartej szeroko bramy ruiny kopuły. Oczywiście w tym samym momencie jeden z wołów zaczął przerażająco ryczeć i po prostu przewrócił się na bok. Brakowało mu lewej tylnej nogi, którą tuż pod kolanem odgryzły szczególnie gorliwe pająki. I natychmiast zaczęły się kłócić ze swoimi współbraćmi o smaczny kąsek.

Nastąpiła klasyczna reakcja łańcuchowa, choć jej skutki okazały się katastrofalne. Wół przewrócił się, rycząc z bólu i zaczął bić naokoło trzema pozostałymi nogami, pryskając jasną krwią z przegryzionej arterii. Po kolei, zupełnie jak w domino, przewróciły się kolejno wszystkie woły.

Na koniec przewrócił się też wóz.

Mardu poczuł nagle, że jakaś niewidzialna, choć silna ręka łagodnie podnosi go w górę i wyrzuca do przodu. Kiedy przeकोziółkował dwa razy i daremnie próbował pojąć, co się stało, wóz, znajdujący się za nim z tyłu, wyleciał w powietrze, wywinął salto i zaczął rozlatywać się na części jeszcze zanim w ogóle dotknął ziemi.

Generał wylądował z impetem na czymś miękkim, śliskim i ciepłym, co wydało z siebie głębokie, pełne bólu westchnienie, przeturlał się na bok i na wpół ogłuszony pojął, że spadł na jednego z wołów. Zapewne tylko dlatego nie połamał sobie wszystkich kości.

To wcale nie świadome, kierujące jego reakcjami myślenie, lecz instynkt uratował mu ponownie życie. Uderzył pięścią srebrnego pająka, który próbował wspiąć się po jego nogach i za chwilę sparzył sobie palce w niewielkiej eksplozji, która rozniosła robota w drobny mak. Kolejny raz udało mu się dokonać niemożliwego - nie upadł ani też nie został pożarty.

Ryki i wrzaski mordowanych zwierząt rozdzierały wprost powietrze, a skrzywienie i zgrzytanie brzmiące jak milion tnących narzędzi wszelkiego rodzaju stało się jeszcze głośniejsze. Jeden z jego towarzyszy strzelał ciągle, ale głośnie syczenie i huk wyrzucanych z rozrywacza wiązek energii były zagłuszane przez ostrza milionów pajaków. Mardu zaczął biec, skakał po kolejnych martwych wołach, zupełnie jak ktoś, kto skacze po kamieniach aby przejść na drugą stronę rzeki. W ten sposób dotarł do miejsca, do którego pająki już nie miały dostępu. W każdym razie prawie dotarł.

Może dwa kroki przed niewidzialną granicą, której pająki nie miały odwagi przekroczyć, upadł i zobaczył dosłownie las srebrnych, pajęczych nóg, które pędziły wprost w jego stronę. Widział tysiące kłapiących ostrzy wszelkiego rodzaju i poddał się. Zamknął oczy, czekając na śmierć.

Jednak zamiast bólu poczuł, że porywa go jakaś olbrzymia łapa i zarzuca mu na ramię worek - Quorrl nawet nie zwolnił biegu.

Zaskakująco ostrożnie postawił Mardu na ziemi w bezpiecznym miejscu, a generał sapiąc i dysząc zatoczył się gwałtownie, zrobił kilka kroków, aby utrzymać równowagę i wreszcie pojął, że ziemia wokół niego nie będzie już próbowała go pożreć. Opadł zupełnie z sił i osunął się na kolana. Mimo zamkniętych oczu dostrzegał zielone światło i wydawało mu się, że słyszy wołanie - ktoś powtarzał jego imię. Nie był jednak tego pewien, chciał tylko zamknąć oczy i obudzić się w bezpiecznym miejscu.

Ale wówczas został poderwany w górę i potrząśnięty tak brutalnie, że jego zęby uderzały o siebie boleśnie. Kiedy udało mu się otworzyć oczy, zobaczył przed sobą zalaną krwią i wykrzywioną bólem twarz Findesa - któremu w dodatku brakowało prawego ucha.

- Mój brat! - ryczał Findes. - One zamordowały mojego brata!

To twoja wina!

Mardu próbował się uwolnić, ale nie miał zbyt wielu szans wobec o wiele wyższego i silniejszego Findesa, który trząsał nim nadal, wykrzykując cały czas to samo zdanie. W pewnym momencie Mardu był już bliski utraty przytomności. Wówczas Findes po prostu wypuścił go z rąk, a generał upadł na ziemię, uderzając przy tym głową o twardy grunt tak mocno, że

zobaczył wszystkie gwiazdy.

Obok niego na kolana osunął się Findes i zaczął głośno szlochać.

Wracał do siebie bardzo powoli. Jego oba serca szalały, w uszach miał zagłuszający inne dźwięki szum, w kącikach oczu czuł jakiś osobliwy ruch, którego nie mógł ani zidentyfikować ani usunąć mimo wszelkich wysiłków. Potem w polu jego widzenia pojawiła się jakaś twarz, chuda i blada, pokryta licznymi krostami i ropiejącymi wrzodami. Ta twarz ku jego zaskoczeniu miała w sobie coś szczerzego, choć Mardu nie umiał uzasadnić tego odczucia.

- Wszystko w porządku z wami, panie? - spytał Quizzack.

Co za głupie pytanie! - pomyślał Mardu. Gdyby nie był na to zbyt zmęczony, z pewnością ogarnęłaby go wściekłość. Zamiast więc tracić każdy cenny oddech i niemniej cenne siły na odpowiedź, wstał z trudem i spojrział w tym samym kierunku co Findes, który siedząc na ziemi wpatrywał się w pustkę nieruchomymi oczami.

Niewiele było widać. Minęło zaledwie kilka chwil i słowo pustka było znów w pełni uzasadnione. Wóz zniknął już zupełnie, z pociągowych zwierząt (a także z brata Findesa) pozostało zaledwie kilka kości i krwawych strzępków, które były właśnie pożerane w błyskawicznym tempie przez wyraźnie mniejszą liczbę chromowanych pajaków. Inne monstra, również będące wytworami technomagii, błyszczące jak rtęć i mające sześć nóg, jednak nieco różniące się budową od poprzednich, zaczęły właśnie polerować wypalone miejsca, które pozostawiły uderzenia energii rozrywaczy na ich konstrukcji.

Tych stworów było coraz więcej.

Findes przestał szlochać, ujął w obie ręce rozrywacz i otworzył ogień w ich stronę.

Pajaki ani nie próbowały stawiać oporu ani też w żaden sposób unikać trafień - po prostu kontynuowały swoją pracę, a w miejsce zniszczonych pojawiały się nowe. Tam, gdzie któryś z nich został zestrzelony przez Findesa, natychmiast pojawiały się następne, a ich praca polegała głównie na tym, aby pożreć rozżarzone wciąż resztki poprzednika.

Findes strzelał nieprzerwanie z mechaniczną precyzją automatu, aż w broni wyczerpała się energia akumulatora - niskie bzyczenie sygnalizowało, że konieczny jest czas, aby naładować się z powrotem.

- Panie? - spytał Quizzack.

Mardu odwrócił się do niego, gniewnie marszcząc czoło. Był zmęczony, jednak ostatkiem sił zdołał się podnieść. I dopiero, kiedy stał już na nogach, głupi chłopak wyciągnął do niego rękę, aby mu pomóc. Mardu wciągnął powietrze do płuc, aby zareagować odpowiednio ostrą uwagą i wówczas zauważył swą omyłkę: Quizzack wcale nie chciał mu pomóc, lecz po prostu oddawał mu rozrywacz, który uprzednio wyciągnął Mardu z za pasa. W dodatku kierował w jego stronę lufę, a nie uchwyt. Generał gniewnym ruchem wyrwał mu broń z ręki, zabezpieczył ją i z powrotem wetknął za pas. W następnej sekundzie wciągnął przez zęby ze świstem powietrze do płuc - lufa ciągle jeszcze była gorąca.

- Wszystko z wami w porządku, panie? - powtórzył swoje pytanie Quizzack.

- Tak - warknął Mardu. Co doprawdy nie jest twoją zasługą. Spojrział na Quorrla, który przez cały czas stał trzymając swoją olbrzymią broń gotową do strzału i patrzył, do czego jeszcze mógłby wycelować. Quorrl! Coś takiego! Quorrl musiał uratować mu życie, podczas kiedy jego własny adiutant beczynnie się temu przyglądał!

- Czy wolno mi was o coś spytać, panie? - odezwał się znowu Quizzack i nie czekając na odpowiedź dokończył: - Dlaczego nie strzelaliście?

- Nie należę do jednostek bojowych - pouczył go generał.

- A teraz powiedz mi lepiej, co dalej, zamiast zadawać głupie pytania, na które sam możesz sobie odpowiedzieć, gdybyś odrobinę wysilił swój ptasi mózdzek!

Pouczony w taki sposób, chłopak wykonał pół kroku do tyłu i wskazał ruchem głowy jakiś obiekt za sobą.

- Jeszcze tylko kawałek, panie, prosto przed siebie. Mówiłem, to łatwe. Jesteśmy już w bezpiecznym miejscu.

Mardu, wciąż pełen wątpliwości, rozejrzał się demonstracyjnie wokół. Miejsce, w którym stali, nie za bardzo różniło się od tego, gdzie omal nie postradali życia. Ostatnie chromowane pająki krzątały się niedaleko. Wykonały swoje zadanie z nawiązką, usuwając wszystkie możliwe obce ciała. Jeszcze niecała minuta - i nie zostanie tam nic, co by przypominało o apokaliptycznych scenach, które dopiero co się tu rozegrały.

Także o bracie Findesa.

- Cholerna technomagia! - syknął Mardu.

Quizzack odwrócił się i skinął na niego. Dopiero po kilku krokach odezwał się znowu: - Dokładnie rzecz ujmując, to nie ma nic wspólnego z techno-magią. To znaczy nie z tym rodzajem technomagii, który prawdopodobnie macie na myśli.

- Ach! - sarknął Mardu lekceważąco. - Cóż to więc było?

- Kiedy Niebiański Dworzec działał i odlatywały stąd statki w kosmos, był ważny powód, dla którego teren dookoła musiał być całkowicie wolny od wszystkich stworzeń - wyjaśnił Quizzack. - Ponoć wtedy maszyny czyszczące miały dbać o to, aby na tym terenie nie było żadnych przeszkód. I coś musiało się stać, że ich oprogramowanie się zmieniło.

Mardu przez chwilę zastanawiał się, skąd ten chłopak wytrzasnął tak idiotyczną historię i spytał: - A ścieżki?

- To po prostu uszkodzone miejsca w ziemi, gdzie czujniki już nie działają - odparł adiutant, rzucając mu zakłopotane spojrzenie przez ramię i dodał coś w zamyśleniu, nieco przestraszony: - Tak sędzę.

Mardu pomyślał, że chłopak musiał mieć nie po kolei w głowie.

Nie miał jednak ochoty dłużej się nad tym rozwodzić, warknął więc: - Idź szybciej.

Z jakiegoś powodu Quizzack sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale posłuchał i przyśpieszył kroku, potrzebowali więc jeszcze tylko kilku chwil, aby dotrzeć do bramy. Mardu zatrzymał się, aby Fin-des i pozostali mogli do nich dołączyć - wykorzystał ten czas, aby przyzwyczaić oczy do zakurzonego i mrocznego wnętrza Niebiańskiego Dworca. Zbyt wiele w tym momencie nie widział. Miał wrażenie ogromu i rozległości wnętrza, w którym słyszał całe mnóstwo niezidentyfikowanych odgłosów. Z całą pewnością mógł jednak stwierdzić, że go zdecydowanie niepokoiły.

Findes, Zachow i Quorrl zatrzymali się obok niego, a chłopak odwrócił się do nich i spytał bezradnie: -I co teraz?

A skąd, do diabła, on, Mardu, miał to wiedzieć? Generał rozejrzał się nieufnie dookoła ogromnej hali, w której panował półmrok. Gdzieś dostrzegł jakieś cienie (niektóre się poruszały), próbował więc zrobić wrażenie, że doskonale wie, co dalej.

- Potrzebny mi jest terminal.

-Ha?-spytał Wa.

- Ale wiecie, gdzie on się znajduje? - spytał Quizzack.

- Ty byłeś tu już kiedyś czy ja? - zaatakował go w odpowiedzi Mardu.

- Kawalek w prawo jest jakiś - powiedział Zachow. - Chodźcie.

Mardu przez chwilę patrzył nieufnie, ale potem skinął głową wyrażając zgodę i poczekał, aż Zachow i Quorrl pójdą pierwsi. I znowu usłyszał w swojej głowie znany, paskudny głos, który pytał, czy to przypadek, że ci dwaj wyciągnęli broń i trzymali ją gotową do strzału. I czy powinno go to zaniepokoić. Ale jednak nakazał sobie milczenie i ruszył za swoimi przyszłymi podwładnymi.

Mardu spodziewał się, że jego oczy przyzwyczajają się do szarego, przytłumionego światła i będzie widział lepiej, jeśli spędzi jakiś czas we wnętrzu hali, ale tak się nie stało. Było po prostu za ciemno, a światło, które wpadało do środka przez ogromne dziury w suficie tylko pogarszało sprawę, bo w jego efekcie ciemność była tym bardziej intensywna. Sześciokątne, gigantyczne cienie, które sięgały niemal do samego sklepienia, kryły jakieś osobliwe kłębowiska zarysów dziwnych postaci, wyglądających niczym zjawy. Skądś dobiegał głęboki, dudniący odgłos, przypominający uderzenia serca gigantycznej maszyny, ukrytej gdzieś pod ich stopami, a Mardu

wydało się naraz, że słyszy jakieś krzyki. Ale mogły być one równie dobrze wytworem jego wyobraźni.

Bardzo chciał wierzyć w to, że Zachow i Quorrl wiedzieli, co robią.

Ruch, który - jak mu się wydawało, dostrzegł już przedtem, po- wtórzył się i tym razem Mardu był pewien, że sobie tego nie wmawia - zwłaszcza że Findes wyciągnął swoją broń i rozglądał się uważnie dookoła.

- Tam, z przodu, widzę jakiś terminal. - Zachow wskazał bronią na jakiś cień, który w przekonaniu generała nie różnił się niczym od innych cieni, jakich w kopule było pełno. Zachow przyspieszył kroku i Mardu nie zdążył zadać kolejnego pytania. Musiał się naprawdę pośpieszyć, aby nie stracić wszystkich z oczu i tym samym nie zostać samemu w półmroku. Na samą myśl o tym poczuł zimny dreszcz przerażenia na plecach.

Wmawiał sam sobie, że Findes nie miał żadnego powodu ani interesu w tym, aby go oszukać - może z wyjątkiem zemsty za śmierć brata, czym z niepojętego powodu usiłował obciążyć właśnie Mardu.

Findes miał za to bardzo dużo do stracenia, jeśli myślał o spekulacjach za pomocą szkicu drogi, jaki narysował Quizzack. W obecnej sytuacji szkic ten rzeczywiście wart był majątek. Mardu dogonił Findesa i Quorrla. Próbował odczytać wyraz ich twarzy, co mu się nie udało, bo nawet na to było tu za ciemno.

Mardu odetchnął z pewną ulgą, kiedy dostrzegł w półmroku jaśniejszą plamę, ku której dążyli jego dwaj przewodnicy. Kiedy znaleźli się bliżej, okazało się, że jest to ruina niechlujnie wymurowanego domu, który kiedyś musiał mieć dwa piętra, teraz jednak zostały z niego tylko gruzy i jakieś elementy zardzewiałego metalu. Coś z piskiem wyskoczyło z ruin - Mardu przypuszczał, że był to szczur - ale czy mu się wydawało, że był tam także jakiś o wiele większy cień, który cofnął się gwałtownie?

- Co to jest? - spytał, mając nadzieję że jego głos nie zdradzał zdenerwowania.

- Teren Ziggisów - szepnął Findes. - Obserwują nas cały czas, od kiedy tu weszliśmy. Ale bez obaw - pomachał rozrywaczem - jak długo mamy coś takiego, nie ważą się do nas zbliżyć.

Mardu rozejrzał się jeszcze bardziej nerwowa. Nigdzie nie było śladu Ziggisów (cokolwiek to było). Także ani śladu terminalu.

Findes, zupełnie jak gdyby odczytał jego myśli, wykonał zapraszający gest w stronę ruiny, której przednia ściana zawałiła się. Dzięki temu można było dostrzec dosłownie gąszcz malutkich pomieszczeń i asymetrycznych klatek schodowych. Nic się tam nie ruszało.

Mardu mimo wszystko zaczął iść nieco wolniej, tak, że idący z tyłu Quizzack mógł do niego dołączyć.

Findes zatrzymał się, odwrócił do niego i popatrzył tak, że Mardu ogarnęło wyjątkowo nieprzyjemne uczucie niepokoju.

- I co - spytał. - Gdzie jest terminal?

- Po drugiej stronie - Findes wykonał gest wskazujący ciemność przed nimi.

Za ich plecami nieoczekiwanie odezwał się Zachow: - Ale nie będzie ci już potrzebny.

Mardu odwrócił się gwałtownie i po ciele przebiegł mu zimny dreszcz, kiedy dostrzegł jego spojrzenie.

- Co to ma znaczyć?

Zachow nie odpowiedział, ale generał usłyszał jakieś szuranie za sobą i kiedy odwrócił się raz jeszcze, zobaczył, że zarówno olbrzymi Quorrl jak i Findes cofnęli się kilka kroków.

- Co to ma znaczyć? - zapytał powtórnie. Nie otrzymał odpowiedzi, ale nie było to już konieczne. Zadarł głowę i poczuł nagle suchość w ustach, jak gdyby nic nie pił od kilku dni: przez największy wyłom w sklepieniu do środka wsuwał się ogromny, trójkątny cień. Widział coś takiego nie pierwszy raz - dokładnie przed kilkoma godzinami - ale przeraził się do szpiku kości, bo nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie to coś tak ogromnego. A widziany z bliska myśliwiec morderca wyglądał o wiele bardziej niebezpiecznie i podstępnie.

- Quizzack?

- Tak, panie?

- Co to znaczy?

- Nie wiem, panie - odparł chłopak, chrząkając kilkakrotnie. - Ale obawiam się, że nic dobrego.

- Hm - Mardu odwrócił się do Zachowa i położył rękę na swoim rozrywaczu, jednak zastygł w bezruchu, kiedy ten po prostu wyjął broń i wycelował w niego.

- Wprawdzie obiecałem, że cię dostarczę żywego, ale to nie znaczy, że całego - powiedział. Jego kciuk zgrabnie przesunął się tam i z powrotem po gładkim spuszczeniu. - Na tym stopniu oderwie ci tylko rękę albo nogę.

-A to za mało - dodał Findes. Jesteś winien śmierci naszego brata.

- Ty chyba oszalałeś - sapnął Quizzack. - Nie zdradzę ci przebiegu ścieżki!

- No, zobaczymy - powiedział Findes. - Tego musimy dostarczyć, ale ciebie zatrzymamy. Zgadnij, po co?

- Zaplanowaliście to od początku! - zagrział Mardu.

- Trzys cię rozpoznał - potwierdził Zachow.

- Skąd, jak?

Findes zaśmiał się, ale nie brzmiało to zbyt miło.

- Rozbawiasz mnie, mały generale! Twój konterfekt można zobaczyć na każdym ekranie w mieście! A cena wyznaczona za twoją głowę jest rzeczywiście wysoka. Gdybyś wiedział, jak wysoka, to chyba sam byś się sprzedał.

Myśliwiec morderca opuścił się jeszcze niżej, aż jego wypukły brzuch niemal dotykał dachu, a brzęczenie stało się jeszcze bardziej intensywne i tak głośne, że Mardu niemal brakło tchu. Z otworu pod dziobem statku wydostała się spora liczba świszających, ciemnych punktów i powoli opadła w dół, wprost do nich. Mardu nie musiał przyglądać mu się dokładnie, aby wiedzieć, o co tu chodzi. W ustach poczuł jeszcze większą suchość.

- Za to zapłacisz mi życiem - powiedział do Findesa. - Wy też, to chyba dla was jasne?

Findes uśmiechnął się złośliwie, oszczędził sobie jednak jakiegokolwiek odpowiedzi i cofnął się kilka kroków, aby zrobić miejsce lądującym heliopterom.

Było ich pięć, a na czterech siedziało po jednym jeźdźcu. Na grzbiecie piątego siedziały dwie postacie: jeździec i ktoś jeszcze: już na sam jego widok Mardu opuściła cała odwaga, tym bardziej, że już znał tę istotę. Był to czarny olbrzym, przed którym wczoraj z ledwością udało mu się uciec.

Z bliska sprawiał jeszcze bardziej niesamowite wrażenie, bo Mardu rozpoznał, że wcale nie nosił czarnej zbroi, lecz wydawał się cały składać z czarnego żelaza. Z początku wydawało się to niemożliwe, ale po wszystkim, co generał przeżył od wczoraj... nic już nie było niemożliwe.

Żelazny Człowiek ześlizgnął się jednym, nieco ociężałym ruchem z grzbietu helioptera, zamienił kilka słów z Zachowem i wręczył mu okrągły, nabity woreczek.

Mardu wyciągnął swoją broń i po prostu zdmuchnął mu głowę.

No, taki przynajmniej był plan.

Rozrywacz nastawiony był na najwyższą wydajność, z którą Quizzack strzelał do pajaków i wobec tego powinien właściwie rozłożyć Żelaznego Człowieka na części pierwsze albo wyrzucić go w całości przez ścianę kopuły. Jednak nie stało się ani jedno ani drugie. Zamiast tego sieć trzeszczących i syczących błyskawic pokryła Żelaznego Człowieka. On sam - nawet się nie zachwiał.

Zachow miał mniej szczęścia. Odbita energia wprawdzie nie wystarczyła, aby rozerwać go na strzępy, ale była na tyle silna, że jego włosy, ubranie i większość skóry stanęły błyskawicznie w płomieniach. Jeszcze zanim dosłownie odleciał do tyłu i zaczął krzyczeć, Mardu zastrzelił jeźdźcę helioptera, po którego grzbiecie zsiadł Żelazny Człowiek. I w tym momencie zaczął się ogólny chaos.

A może stało się to wtedy, kiedy Zachow, opanowany śmiertelnym strachem i bólem strzelił ze swojego rozrywacza, ale właściwie nie stanowiło to różnicy, bo stało się to praktycznie w tym

samym ułamku sekundy.

Mardu skłamał mówiąc, że nie należał do jednostki bojowej. On już nie należał do jednostki bojowej, ale dawniej był znakomitym wojownikiem, a jego reakcje wciąż o tym świadczyły. Jeszcze, kiedy helioptery zgodnie z oczekiwaniami generała, będąc w szoku po śmierci swojego jeźdźcy stawał dęba, Mardu odwrócił się, chcąc strzelić do drugiego helioptera - a wtedy zobaczył, że zrobił to Zachow, choć nieumyślnie, strzelając na oślep.

- Uciekaj! - ryknął Mardu do Quizzacka i odskoczył na bok, aby ująć przed kłapiącymi zuwaczkami kolejnego helioptera. Uderzył chłopaka tak, że ten zataczając się, wykonał kilka kroków w przeciwnym kierunku. Rozległy się przeraźliwe wrzaski, nagle dookoła rozeszła się intensywna woń spalonego plastiku i gotującego się tłuszczu - Mardu błyskawicznie uskoczył na drugą stronę i strzelił dwa razy w przeciwnych kierunkach.

Pierwszy strzał trafił Żelaznego Człowieka, przeciążył jego tarczę ochronną i odrzucił go - z szeroko rozłożonymi ramionami - wprost na położone trzy metry dalej resztki murów, które zawały się w ogromnej chmurze pyłu, grzebiąc go pod sobą. Drugi strzał z kolei trafił Findesa i dosłownie przeciął go na dwie części. Mardu chętnie zastrzeliłby jeszcze Quorrła, już choćby dlatego, że nienawidził zostawiać raz zaczętej, a niedokończonej pracy, ale na to nie starczyło mu już czasu.

Trzy pozostałe przy życiu helioptery zaatakowały go niemal równocześnie, a siedzący na ich grzbietach jeźdźcy wymachiwali rękami, aby go chwycić żywego, ale Mardu zareagował błyskawicznie. Był tylko jeden kierunek, w którym mógł uciekać i ten właśnie został zablokowany przez kłapiące zuwaczki i uderzające o ziemię kończyny szalejących helioptertów. Musiał odwrócić uwagę tych bydlaków i to choćby na jedną sekundę!

Nawet nie myśląc o tym, co robi (niemniej, gdyby tak było, wynik byłby oczywiście taki sam) chwycił Quizzacka i popchnął go w kierunku szalejących potworów, po czym zdecydowanym ruchem przeskoczył przez łapę z ostrymi pazurami - dłuższą niż on sam i zniknął między resztkami murów o wysokości człowieka.

W tym momencie śmiertelnie postrzelony helioptery w szale odgryzł Quizzackowi głowę i rycząc zabierał się do rozerwania na strzępki reszty jego ciała.

Te głupki nie powinny były mówić, że potrzebują Quizzacka żywego - pomyślał Mardu rozgniewany. Może złapałby także i jego, ale łatwo by im to nie przyszło, to było dla Mardu jasne. Nie byli w końcu pierwszymi, którzy nie docenili generała Mardu, pogromcy helioptertów!

Wybiegł zza murów, nic nie widząc rzucił się w lewo, potem w prawo, zniknął w cieniu i usłyszał znowu rozgniewane buczenie nad sobą. Strzelił na ślepo w kierunku, z którego dobiegał ów dźwięk i nie trafił oczywiście niczego konkretnego, oprócz sufitu kopuły, dobre pół mili ponad nim. W efekcie natychmiast poleciały w dół odłamki, gruz i niesłychana wprost ilość pyłu. Mardu pozwolił sobie na krótki, pełen triumfu uśmiech. To powinno być dla nich nauczką!

Kiedy te głupki pojną, z kim zadartły?

Na to pytanie generał Mardu nigdy nie miał otrzymać odpowiedzi, bo choć uciekał tak prędko, jak nigdy w swoim życiu (co prawda zupełnie nie wiedząc dokąd), przed nim z nicości nagle wynurzył się Żelazny Człowiek i tu szybkość Mardu stała się jego zgubą.

Żelazny Człowiek nawet nie zadał sobie trudu, aby go uderzyć, lecz po prostu pozwolił, aby generał wpadł wprost w jego wyciągniętą rękę.

Heyden. Ambientalne Światło krzyczał.

Oczywiście tak naprawdę to nie statek krzyczał. Heyden spędził niemal całe swoje życie na jego pokładzie i dobrze wiedział, że był on tylko maszyną, skomplikowanym tworem z metalu, materiałów syntetycznych i elektronicznych układów scalonych. I przecież ta maszyna ani nie miała duszy, ani też nie odczuwała bólu. A jednak w tym momencie wydało się Heydenowi, że crescendo upadku w jego uszach przeszło w pełen rozpaczny krzyk. I pośród tego nie- opisanego wprost bólu tkwił jeszcze straszniejszy wyrzut, że statek został niejako zdradzony przez własnego kapitana i wszystko jedno, czy on ten moment przeżyje o godzinę, dzień czy sto lat. Heyden wiedział, że już nigdy nie zapomni tego krzyku.

Jego szanse, że nie będzie to tylko kilka sekund, nie byłyby takie małe, gdyby, nie było przy



nim Duras. Heyden w pierwszej chwili nie pojął, co właściwie zrobił Żelazny Człowiek - nie mówiąc już o tym, dlaczego on to zrobił - bo Duras odepchnął go z taką siłą, że Heyden uderzył o ścianę korytarza i półprzytomny osunął się na podłogę. Coś niewidzialnego i niewyobrażalnie silnego przeorało powietrze dokładnie tam, gdzie przed chwilą stał, trafiło Duras i porwało czarnego giganta jak uderzenie orkana, a w drugim końcu wąskiego korytarza popękała stalowa ceramika - i błyskawicznie zamieniła się w stertę gruzów. Ostre odłamki uderzyły o pokład wyrzucając snopy iskier, mniejsze odpryski gruzu uderzały o ściany i podłogę wokół niego. Niektóre trafiły Heydena, bo poczuł uderzenie czegoś w rodzaju pięści, zaś na jego prawym ramieniu i nodze pojawiły się czerwone plamy. Na twarzy poczuł dziwne tchnienie, niczym wiatr, a potem po jego policzku popłynęła krew. Zdziwiło go to, że nie poczuł przy tym najmniejszego bólu.

Bardziej zaskoczony niż przerażony, podniósł rękę do twarzy, poczuł mokre ciepło i nic nie rozumiejąc popatrzył na krew na palcach.

- Kapitanie!

Głos Duras był jak cięcie skalpela w gęstej mgłę sennego koszmaru, który jednak okazał się rzeczywistością. Heyden przeraził się, widząc coś ciemnego, co rzucił w jego stronę Żelazny Człowiek i instynktownie to pochwycił.

- Heyden, do cholery!

Duras, który trzymał w rękach taką samą, choć wyraźnie większą broń, płynnym ruchem skoczył w jego stronę i oddał dwa całkowicie zsynchronizowane strzały. Heyden nie mógł dostrzec, czy trafił - ani też do czego strzelał - bo Duras jednym ruchem poderwał go w górę.

Kapitan chwycił mocno ciężką broń i niezgrabnie wycelował w drzwi, w które strzelał Duras.

Żelazny Człowiek przerwał atak, bo Heyden zrobił kilka kroków w ich stronę i znalazł się na linii ognia. Wykonał ręką gniewny gest, którego znaczenia Heyden nawet nie chciał zrozumieć.

- Zostań ze mną, bez względu na to, co się stanie! - krzyknął Żelazny Człowiek. - I strzelaj do wszystkiego, co się porusza!

Strzelać? Duras oczekiwał od niego, że będzie do czegoś strzelać?

Do czegoś żywego! To było groteskowe!

- Porozmawiamy na ten temat, kiedy spotkacie pierwszego Quorrla, który wyrwie wam rękę i zje ją na waszych oczach! - warknął Duras wściekle. - Albo zmusi was, abyście zrobili to samo!

- Czytacie moje myśli? - stęknął Heyden.

- Oczywiście - odparł Duras. - Dlatego wiem, że mogę wam zaufać, kapitanie.

I w tym momencie Duras oddał pozornie niecelny strzał przez drzwi na końcu korytarza i gestem, który tak naprawdę był zupełnie zbędny, nakazał Heydenowi, aby ten pozostał za nim. Kapitan absolutnie nie miał innego zamiaru. Spróbował natomiast zaprowadzić nieco porządku wśród swoich myśli albo przynajmniej pojąć, co tu się właściwie stało. Póki co nie udawało mu się ani jedno, ani drugie.

Bo stało się coś strasznego, coś niewyobrażalnego... ale on zupełnie nie rozumiał, co takiego! Statek zszedł z kursu - co właściwie nie powinno być możliwe - znalazł się na kursie prowadzącym do bezpośredniej kolizji z ziemią - co było jeszcze mniej możliwe - i czy Heyden tego chciał czy nie, musiał przyjąć do wiadomości - ktoś próbował zaatakować Ambientalne Światło! A to już było kompletnie niewyobrażalne! Kto mógł chcieć, na wszystkie świętości tego świata, ukraść transporter lodu? - Wyjaśnię wam to później - powiedział Duras, który znów od czytał jego myśli. - Ale teraz musimy odzyskać ten statek. Możecie mi pomóc?

- Odzyskać - powtórzył Heyden nie rozumiejąc. - Co... chcecie przez to powiedzieć?

- Zostawcie na razie to pytanie, jeśli będzie wam z tym lepiej - Duras patrzył na niego swymi czarnymi, wykutymi z czarnego żela za i niepokojąco ożywionymi oczami. - Czy jest jakaś możliwość, aby zmienić kurs - poza sterowaniem z centrali oczywiście?

Heyden zaprzeczył, ale nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: - Kl mogliby to zrobić - po czym zmarszczył czoło. - Ale dlaczego o to pytacie? Należycie przecież do Żelaznej Gwardii! Nawet jeśli centrala jest opanowana przez kogoś innego, to możecie ją przecież zdobyć, prawda?

- Mógłbym to zrobić - potwierdził Duras. - Ale nie mogę ryzykować walki w pomieszczeniu dowódcy. Mogłyby zostać uszkodzone kontrolki sterowania. Czy widzieliście, na jakim kursie znajduje się Ambientalne Światło?

Heyden skinął głową. Ta myśl także przyszła mu do głowy.

- Moglibyśmy użyć mechanizmów napędowych zmiany kursu - powiedział. - Jest tu na statku szyb konserwacyjny. Kiedy dostanę się do mechanizmów napędowych, mogę je uaktywnić ręcznie.

Na twarzy Durasa pojawiło się zadowolenie, Heyden mówił więc dalej: - Ale kiedy oni zajmą centralę, to mogą w każdej chwili usunąć poprawkę kursu.

- A więc musimy zrobić wszystko, aby im się to nie udało - oświadczył Duras. - Podejmiecie się tego, kapitanie?

- Czego? - sapnął Heyden, niemal przerażony.

- Dostaniecie się do pomieszczenia z mechanizmami napędowymi i odpalicie dysze poprawkowe - odparł Duras. Ja w tym czasie zajmę się sterownią.

- Czy dopiero co nie mówiliście, że to zbyt ryzykowne?

- Tak, ale nie tylko dla nas - powiedział Duras. - O ile mi się uda zniszczyć kontrolki sterowania. Gdybym nie musiał przy tym używać przemocy, to byłibyśmy na kursie czysto balistycznym. A do Ziemi jest jeszcze dostatecznie daleko. Jednak - mały błąd i nie tylko nie trafimy do celu, ale miniemy planetę. I bez obaw, wezwałem już statek ratowniczy, który was zabierze, kapitanie.

- Czy moglibyście przestać czytać moje myśli? - spytał Heyden.

- Nie - odparł Duras. - Nie w takiej chwili jak ta. Co takiego? Nie ufacie sobie? Mógłbym to zrobić sam, ale nawet ja nie mogę być w dwóch miejscach równocześnie. A nie mamy już zbyt wiele czasu.

- Jesteśmy przecież oddaleni od Ziemi o całe godziny - zawołał Heyden roztrzęsiony, ale Duras w odpowiedzi tylko potrząsnął głową. Niepokój Heydena wzrósł jeszcze bardziej. Właściwie wcale nie chciał słuchać, co mówił Duras ciągle potrząsając głową.

- Ale mamy mało czasu do chwili, kiedy dostaniemy się w zasięg ochrony orbitalnej, kapitanie. Nasza zmiana kursu nie pozostała niezauważona i dlatego wyłączyłem łączność alarmową, zanim została przerwana komunikacja.

- Komunikacja jest przerwana? - upewnił się Heyden. Czy Duras miał jeszcze więcej złych nowin, których mu chciał oszczędzić?

- Tak - odparł Żelazny Człowiek, a Heyden już nawet nie chciał dopytywać, na które z jego dwóch pytań odpowiedział.

- A pomijając już ten fakt, są jeszcze przecież wasi ludzie, których wysłałem na Ziemię. Będą pytani, co się tu stało i najpóźniej wtedy, kiedy odpowiedzą już na wszystkie pytania, ktoś będzie próbował nawiązać kontakt z Ambientalnym Światłem. I kiedy taka próba okaże się bezskuteczna, statek zostanie zestrzelony.

I choć Heyden najpóźniej po usłyszeniu tych słów powinien pojąć, że nie było w tej chwili niczego tak cennego jak czas, to przez długą chwilę uważnie i w milczeniu wpatrywał się w Durasa.

- Mogę was zaraz wysłać na Ziemię, jeśli sobie tego życzyacie - powiedział komendant gwardii. - Ale wówczas nie moglibyście wypełnić swojej misji. Byłoby to duże utrudnienie. Mimo to zrozumiałbym waszą decyzję.

Heyden przez chwilę poważnie rozważał ofertę Durasa, który mówił całkowicie serio. Coś mówiło Heydenowi, że olbrzymi Żelazny Człowiek nie potrafi kłamać. Jakaś część Heydena - może jego duszy - która za wszelką cenę chciała po prostu Tyć, krzyczała wprost, aby tę ofertę przyjąć. Co on, skromny kapitan statków kosmicznych, mógł tu zdziałać, czego nie mógłby dokonać ten potężny wojownik? - Doceniam waszą propozycję - powiedział. Ale - zostanę.

- Jesteście dzielny człowiekiem - odparł Duras.

Kimś takim Heyden nie był wcale. Wprawdzie nigdy nie uważał się za tchórza i

przypuszczalnie nie był nim, ale teraz w głębi duszy umierał wprost ze strachu. Mimo to spojrzął na Durasa dziarsko, z otuchą, na co Żelazny Człowiek odpowiedział: -W porządku, kapitanie. Będę wiedział, kiedy będziecie gotowi.

Jeśli o to chodzi - nigdy - pomyślał Heyden, jednak odwrócił się posłusznie w kierunku wyjścia. Ledwo zrobił kilka kroków, Duras odwrócił się szybko, chwycił go za ramiona i cofnął gwałtownie. Rozległ się przenikliwy, śpiewny dźwięk, a potem dudnienie przypominające uderzenia młota i Duras zatoczył się pod ścianę, ale cały czas trzymał Heydena z niesłychaną siłą, aby chronić go własnym ciałem.

Zabrzmiał drugi strzał, potem trzeci i czwarty, a piąty trafił w końcu Żelaznego Człowieka.

Heyden nie miał pojęcia, kto strzelał, ani z jakiego rodzaju broni, czuł jednak wyraźnie, że coś we wnętrzu Żelaznego Człowieka załamało się. Duras wydał z siebie dziwny, podobny do westchnienia odgłos, osunął się na kolana, po czym upadł, pociągając za sobą Heydena. Zapewne kapitan miał w tamtym momencie niesłychane szczęście, bo Duras upadł tak, że nie przygniótł go całym ciężarem swego ogromnego ciała, lecz przechylił się lekko na bok, niejako w ten sposób chroniąc go przed kolejnymi trafieniami. Heyden czuł, że jego żelazny korpus zdrzął, jak pod uderzeniem ogromnego młota, potem rozległo się osobliwe trajkotanie i jazgotanie. Do uszu Heydena dobiegł odgłos zbliżających się kroków.

Wytężał wzrok, ale Duras przygniótł go w taki sposób, że nie mógł poruszyć żadną częścią ciała, nie mówiąc już o uniesieniu głowy. W jego polu widzenia pojawiła się para zniszczonych butów o niesłychanej wielkości, a tuż obok dwie pary nagich stóp, z których każda miała po trzy palce i łuskowatą, błyszczącą skórę.

Ten widok nie tylko przywrócił Heydenowi poczucie rzeczywistości, lecz na chwilę nawet pozwolił mu zyskać niemal nadludzkie siły, dzięki którym spróbował podnieść ciężkie, przygniatające go ciało. Ale było to całkowicie bezsensowne działanie. Duras musiał ważyć przynajmniej pół tony i w momencie trafienia jego ciało po prostu zastygło, Heyden leżał więc pod czymś w rodzaju marmurowego pomnika.

Ale być może to właśnie uratowało mu życie, bo trzech napastników albo go w ogóle nie zauważyło, albo też wyciągnęło wnioski, że w tej sytuacji nawet nie opłaca się tracić kolejnego naboju. Jeden po drugim minęli go i poszli przed siebie.

Kiedy już ich kroki oddaliły się dostatecznie, Duras skoczył w górę niewyobrażalnie szybkim ruchem, jednym krokiem znalazł się za trzema napastnikami i momentalnie skręcił pierwszemu kark.

Wszystko działo się tak szybko, że Heyden nie był w stanie dostrzec szczegółów całej operacji. Duras i dwaj pozostali przy życiu napastnicy stali się czymś w rodzaju szalejącego cienia, który składał się tylko z ruchu i wyłaniających się od czasu do czasu kończyn.

Duras był zbyt blisko swych przeciwników, aby móc użyć broni, ale nawet bez niej radził sobie świetnie. Po prostu rozerwał ich gołymi rękami na strzępy, i to tak szybko, że walka wydawała się zakończona, zanim się jeszcze w ogóle zaczęła. Najpierw jeden, a potem drugi napastnik osunęli się na podłogę martwi, ze zmiażdżonymi bądź wyrwanymi kończynami i to jeszcze zanim Heyden podniósł się i zaczął obmacywać własne ciało, jak gdyby chciał upewnić się, że wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku.

- Co z wami, w porządku? - spytał Duras.

Heyden mógł tylko przytaknąć bez słów. Widok trzech zwłok - a przede wszystkim sama myśl o tym, jak niewiarygodnie szybki był Żelazny Człowiek - po prostu zasznurowały mu krtań. Dodatkowo przeraził go widok Quorrlów, których wcześniej nigdy jeszcze nie widział, poza obrazkami i ekranem holosu, gdzie można je było oglądać z dreszczem przerażenia, ale tylko po to, aby poszerzyć wiedzę na temat zagrożenia w razie ewentualnego zetknięcia się z nimi.

Były olbrzymie, o wiele większe, niż się spodziewał i mimo tego, co zrobił z nimi Duras, nawet po śmierci trudno było nie myśleć o tym, jak bardzo są niebezpieczne i brutalne. Takie istoty jak one były w stanie zmiażdżyć człowieka jedną ręką i to bez żadnego wysiłku. ..a Duras zabił trzy z nich w ciągu jednej sekundy?

Przez chwilę Heyden nie był w stanie stwierdzić, kogo bardziej się obawiał. I właściwie wcale nie chciał wiedzieć.

- Wszystko w porządku z wami, kapitanie? - spytał ponownie Duras.

Heyden z trudem oderwał wzrok od zmasakrowanych zwłok i zmusił się do skinięcia głową.

- Tak. Ja tylko... byłem przerażony.

Wyglądało na to, że Duras też. Choć może wyglądał bardziej na zmartwionego.

- To nie powinno być się stać - rzekł poważnie, a Heyden przezornie nie spytał, co.

Duras odwrócił się i uklęknął koło zwłok, aby coś podnieść. Heyden spojrzał na jego plecy i znów nie mógł opanować dreszczu przerażenia. Duras był... nie wiedział, czy powinien użyć słowa „zraniony” czy „uszkodzony”. Jego plecy były po prostu zdruzgotane, przeorane rysami i licznymi pęknięciami. Z trudnością mógł poruszać lewą ręką. Jednak o wiele bardziej niesamowite było to, że jego plecy wydawały się całe poruszać, choć niełatwo byłoby zdefiniować ten ruch. Było to coś w rodzaju prześlizgiwania się czy też przepływania jakichś fal, jak gdyby jego grzbiet upłynął się, aby za chwilę wrócić do poprzedniej formy. Można też było usłyszeć delikatny szelest i brzęczenie, zupełnie jak dreptanie niezliczonych, maleńkich nóżek.

- „Uszkodzony” byłoby trafniejszym określeniem - powiedział Duras podnosząc się i odwracając do Heydena. Trzymał w rękach ogromny, chromowany przedmiot.

- Moje ciało funkcjonuje wyłącznie mechanicznie.

Podniósł broń, którą odebrał zabitemu.

- I macie rację, kapitanie. Jestem zmartwiony. To nie powinno być się stać.

- To, że was zastrzelono? - spytał Heyden. A potem pojał. - Spotkaliście się ze mną, aby mnie chronić - dodał.

- Moim zadaniem jest ratowanie ludzkiego życia - odpowiedział Duras, jednocześnie potrząsnął głową i podniósł w górę olbrzymią broń. Nawet w jego rękach wydawała się ogromna. Heyden wątpił, czy byłby w stanie podnieść ją o własnych siłach.

- Im nie wolno było mieć tej broni.

Nie mówiąc już o tym, że Heyden nigdy nie słyszał o tym, że Quorrl mógłby przeprowadzić transport w czasie. Gwardzista skinął głową.

- To chyba jest najbardziej niepokojące w tym wszystkim. - Powiedział, dodając po chwili: - Oraz fakt, że ich nie zauważyłem.

- Każdy popełnia jakieś błędy - rzekł Heyden. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale miał jakąś dziwną potrzebę pocieszenia Żelaznego Człowieka.

- Ja nie - i nie takie - odparł Duras. Heydenowi zdawało się, że dostrzegł na żelaznej twarzy cień uśmiechu.

- Mógłbym odczytać ich myśli, ale były chronione - rzekł po chwili.

- W ogóle nie wiedziałem, że Quorrlowie są w stanie myśleć - zdziwił się Heyden, ale pomyślał jednocześnie, że ta uwaga była całkowicie zbędna. W dodatku jego wiedza o Quorrlach właściwie się wyczerpała.

- Ci nieproszeni goście otrzymali pomoc z zewnątrz! - zawołał Duras. Ostrożnie odłożył broń na podłogę, wydawał się o czymś rozmyślać, a potem wskazał kierunek, w którym szedł Heyden w chwili niespodziewanego ataku i rzekł krótko: - Chodźmy.

- My? Myślałem, że chcecie...

- Moje plany się zmieniły - przerwał mu Żelazny Człowiek.

- Ryzyko samej zmiany kursu jest zbyt wielkie. Musimy zniszczyć statek.

Heyden nawet nie był zaskoczony. Od chwili, kiedy Żelazny Człowiek pojawił się na pokładzie, wszystko zaczęło się rozwijać w określonym kierunku, który miał tylko jedno możliwe rozwiązanie.

Nawet nie odczuwał strachu, co jego samego też zaskoczyło.

- Zaprowadźcie mnie do pomieszczenia z reaktorem - poprosił Duras.

- Mogę zrobić to sam - zaproponował Heyden.

- Ta propozycja świadczy o waszej odwadze i wielkim honorze - odparł Duras. - Ale wówczas musielibyście umrzeć. A ktoś musi was chronić. Na pokładzie może być jeszcze więcej

Quorrlów. Będę próbował ratować wasze życie.

Heyden byłby o wiele spokojniejszy, gdyby Duras obiecał mu, że to zrobi, a nie, że obiecuje to zrobić. Ale Żelazny Człowiek był tak samo uczciwy, jak silny. I nie odezwał się teraz ani słowem, choć bez wapienia odczytał myśli Heydena. W każdym razie dał kapitanowi jeszcze kilka sekund do namysłu, po czym powtórzył zapraszający gest i tym razem Heyden posłusznie ruszył za nim.

Szli korytarzem aż do jego końca przed masywną ścianą. Duras popatrzył na Heydena wyczekująco, ale ten tylko potrząsnął głową, przykucnął i położył prawą rękę z rozstawionymi palcami na podłodze. W pierwszej chwili nie stało się nic i gdyby zwłoka potrwała zaledwie sekundę dłużej, Heyden wpadłby w panikę. Ale Ambientalne Światło ciągle jeszcze uznawał go za swego kapitana.

Co prawda trwało to niepokojąco długo, ale na gładkiej podłodze wreszcie ukazały się cieniutkie linie i połączyły się za chwilę tworząc wzór drzwi-przesłony. Za wolno- pomyślał Heyden zaniepokojony.

Może dlatego, że zniszczyli mózg Ambientalnego Światła i statek nie był teraz niczym innym niż zwykłą maszyną. Bardzo starą maszyną.

Przejęcie nie otworzyło się w całości, bo przestarzały mechanizm zatarł się. Duras wyrwał resztę jednym ruchem, aby poszerzyć wejście, po czym jedna z powierzchni jego dłoni zamieniła się w lampę - niebieskawobiałe światło rozjaśniło mrok szybu sięgającego co najmniej siedem lub osiem metrów w głąb. W nozdrza uderzyła ich nieprzyjemna woń dawno niewietrzonego pomieszczenia i maszyn - nie było za to żadnej drabiny czy uchwytów do wspinania. Heyden wiedział wprawdzie, że można tu było unosić się w powietrzu, ale nagle przestał ufać przestarzałej technice- mimo, że towarzyszyła mu przecież przez całe życie. W tej chwili po raz pierwszy obawiał się, że go zawiedzie.

Duras wydawał się nie dostrzegać jego obaw, bo po prostu objął bez żadnego wahania biodra Heydena i skoczył do szybu. Kapitan nawet nie krzyknął, był zbyt przerażony na to, aby wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

Sytuacja przez chwilę wydała się naprawdę poważna. Zamiast trafić w strefę działania pola szybowania i łagodnie wylądować na dnie, Duras poleciał w dół jak kamień i wylądował z głośnym dudnieniem. Jednak zdołał łagodnie zamortyzować upadek za pomocą swoich hydraulicznych nóg i Heyden nawet nie poczuł wstrząsu.

Praktycznie w tym momencie Żelazny Człowiek postawił go na podłodze, oświetlił korytarz i podniósł drugą rękę, w której znów miał broń - tym razem o wiele mniejszą od tej, której używał dotychczas i o śmiesznym kształcie, przypominającym lejek.

- Obniżona wydajność - powiedział, zauważywszy zmarszczone czoło Heydena, po czym odpowiedział na jego następne pytanie, jeszcze zanim tamten sformułował je w myślach: - Jesteśmy w pobliżu reaktora, kapitanie. Byłoby zbyt ryzykowne używać tu broni o dużej sile rażenia.

A dlaczego nie - pomyślał Heyden - skoro statek, tak czy siak, ma zostać wysadzony w powietrze? - Ponieważ byłoby mądrze, gdyby nie było nas na pokładzie w chwili eksplozji - odpowiedział Duras. - Idźcie pierwsi, kapitanie.

Heyden posłuchał, mimo, że ogarnęły go złe przeczucia. Jak Żelazny Człowiek zamierzał go chronić, skoro kazał mu iść przodem? Tym razem Duras litościwie zrezygnował z odpowiedzi na zadane w myślach pytanie, które z pewnością nie uszło jego uwadze.

Heyden był mu za to wdzięczny. Nie miał specjalnie ochoty na rozmowę - już choćby dlatego, że Żelazny Człowiek mógłby powtórzyć swoją ofertę wysłania go na Ziemię. Heyden nie był wprawdzie do końca pewien, czy byłby tak odważny (a może tak szalony?), aby odrzucić ją po raz drugi. Miał wątpliwości, czy podjął słuszną decyzję i wciąż zadawał sobie pytanie, czy zachował się tak wyłącznie dlatego, by nie wyjść na tchórze przed Żelaznym Człowiekiem.

- Już sam fakt, że zadajecie sobie takie pytanie, kapitanie, jest dla mnie dowodem tego, że nie jesteście tchórzem - odezwał się po chwili Duras.

Tak, dobrze mu mówić- pomyślał Heyden markotnie, pochylając się nad przecinającym korytarz chodnikiem. Sufit wyraźnie się obniżył - do tego stopnia, że obaj zmuszeni byli iść dalej

w pochylonej pozycji. Dla Duras, który był o wiele wyższy, musiało to być naprawdę niekomfortowe.

- Skąd przyszła wam do głowy myśl, że jest mi obojętne, czy umrę, czy też nie? Tylko dlatego, że zostałem stworzony w sztucznych warunkach? - spytał Duras. - Moja świadomość ocknęła się w tym momencie dopiero przed kilkoma godzinami, ale dysponuję wspomnieniami całego życia, a jeśli to ciało zostanie zniszczone, to moja świadomość zgaśnie tak samo jak i wasza w chwili śmierci.

- Wybaczcie - powiedział Heyden. - Ja... nie wiedziałem.

I po kilku sekundach dodał zmieszany: - I byłbym wam naprawdę wdzięczny, gdybyście przestali czytać moje myśli.

- Wiecie, że w tej sytuacji nie mogę tego zrobić.

- A więc przynajmniej mi o tym nie mówcie - poprosił Heyden.

Duras odpowiedział wprawdzie dobronurzym, choć nieco kpiącym uśmiechem, ale zrobił mu tę małą przyjemność i w milczeniu szli dalej - co okazało się coraz trudniejsze. Za drugim i trzecim nadprożem drzwiowym korytarz stawał się niższy o szerokość dłoni i Heyden poważnie zastanawiał się, czy nie byłoby wygodniej po prostu czołgać się na łokciach i kolanach, ale w pewnej chwili w ścianie przed nimi otworzyła się kolejna przysłona, tym razem na szczęście pionowa - i weszli do sześciokątnej komory, która była wprawdzie niewielka, ale przynajmniej na tyle wysoka, że mogli się w niej wyprostować. Kiedy przysłona zamknęła się za nimi, Heyden musiał przez chwilę zastanowić się, co dalej. Był tutaj tylko jeden jedyny raz, wiele lat temu, kiedy przejął Ambientalne Światło od swojego poprzednika - wpadł wówczas na osobliwy pomysł, aby dokonać inspekcji statku od dziobu aż po rufę i to nie tylko za pomocą swoich instrumentów, ale dosłownie - obejrzeć wszystko. Zyskał dzięki temu opinię dziwaka a wkrótce potem mężczyzny, który bardzo poważnie podchodził do swojego zadania, ale jednak nie jest przy tym małostkowy.

Mimo to pamiętał wszystko jak przez mgłę i patrząc na kontrolki obok identycznej przestłony na przeciwległej stronie komory, z bólem zdał sobie sprawę, jak mało właściwie wiedział o statku, na którym spędził niemal całe swoje życie. I w końcu to nie on ani nie jego ludzie - lecz KI dowodzili statkiem. Ale teraz już ich nie było i Heyden całkiem poważnie zastanawiał się, czy tak naprawdę on i jemu podobni byli tylko marionetkami. Dlaczego właściwie na statku takim jak ten potrzebna była ludzka załoga, której zadaniem w gruncie rzeczy było tylko przyciskanie różnych guzików?

- Bo to jest niemożliwe, kapitanie - powiedział Duras. - Zostało to już wypróbowane i skutki były katastrofalne.

- Mówicie mi to tylko po to, aby mnie zmotywować - odparł Heyden, podniósł rękę, po czym opuścił ją znowu, nie dotykając nawet staroświeckich klawiszy.

- W żadnym wypadku. Jak się z tym wszystkim tutaj uporamy, opowiem wam więcej o powstaniu, jakie wywołali KI, ale obawiam się, że teraz nie ma na to czasu. Na co czekacie?

Czyż on naprawdę tego nie wiedział?

- Muszę wprowadzić kod.

-I zapomnieliście go?

Heyden przytaknął niechętnie, choć to wyznanie było dla niego kompromitujące. Ale ten kod potrzebny był mu tylko jeden jedyny raz, i to dziesiątki lat temu!

-Jeśli mi pozwolicie, pomogę wam, abyście go sobie przypomnieli - powiedział Duras. - Ale w tym celu musiałbym naprawdę głęboko wniknąć w wasze myśli. Czy zgodzicie się na to?

Czy on, Heyden, zgodzi się na to, aby ten typ grzebał w jego najintymniejszych i najstarszych wspomnieniach? Oczywiście, że nie! Heyden skinął głową.

Nie potrafił powiedzieć, co zrobił Duras i czy on w ogóle cokolwiek zrobił, ale upłynęła tylko krótka chwila i w pamięci Heydena pojawiły się kombinacje cyfr i liter, a jego palce niemal bez udziału jego mózgu zaczęły wystukiwać kod. Staroświeckie klawisze poddawały się z takim trudem, iż Heyden obawiał się, że niektóre przynajmniej zmiążdży- jak gdyby nikt nie dotykał ich przez całe stulecia.

Rozległo się ciche brzęczenie, a potem ciężki, mechaniczny szmer, który brzmiał okropnie fałszywie - zupełnie jak zardzewiałe, dawno nieużywane koła zębate, które już nie za bardzo do siebie pasowały.

Przesłona otworzyła się, ale bardzo powoli i z takimi oporami, że Heyden obawiał się, czy Duras po prostu nie wyrwie jej ze ściany.

Wprawdzie nie zrobił tego, ale Heyden niemal czuł jego zniecierpliwienie. Otwór nie był dostatecznie duży, kapitan wszedł mocno schylony i po prostu wciągnął za sobą Durasa będąc już po drugiej stronie.

Szybko podszedł do małej klawiatury obok wejścia, wprowadził kod i musiał się opanować, aby jak uczeń nie przestępować z nogi na nogę z niecierpliwością, kiedy przesłona zamykała się równie powoli i z takim samym oporem.

- To ich przez chwilę zatrzyma - rzekł Duras, odpowiadając równocześnie na pytanie Heydena, dlaczego nie wyłamał po prostu wejścia. - Choć co prawda nie na długo. Chodźcie.

Pomieszczenie było niewielkie, oświetlone mrocznym, czerwonym światłem, w którym z trudem można było rozpoznać szczegóły - wydawało się, że są one zanurzone we krwi. Heyden założył, że Duras w tym świetle widział wszystko doskonale, ale on sam czuł się tu bardzo nieswojo.

Żelazny Człowiek podszedł do czarnej, owalnej formy z porowatego metalu umieszczonej na przeciwległej ścianie, która wyglądała tak, jak gdyby pochłaniała światło. Obok formy znajdowała się śmiesznie prosta tablica rozdzielcza, która niemal ginęła w płątanie rur, żeberkowatych połączeń z tworzywa sztucznego i kabli z włókna szklanego. Wszystko to wydało się Heydenowi potwornie... staroświeckie i na swój sposób ordynarnie proste, co na tak nowoczesnym statku jak ten było czymś w rodzaju obrazu.

- Im prostsza technika, tym bardziej trwała i odporna w razie potrzeby - odpowiedział Duras na jego pytanie, którego Heyden znów nawet nie zdążył zadać sobie w myślach. - To także powód, dla którego moje ciało zostało zaprojektowane czysto mechanicznie - choć oczywiście na podstawie wysoko rozwiniętej nanomechaniki.

Wskazał na czarną, owalną formę, na której widok niepokój Heydena jeszcze wzrósł. Znajdowali się teraz tylko o kilka metrów od bijącego serca Ambientального Światła, co Heyden uświadomił sobie tak naprawdę dopiero teraz. Owo serce nie było wprawdzie większe niż zaciśnięta pięść, ale miało siłę schwytanego słońca; pół kilograma czystej antimaterii, wokół której setki lat temu wzniesiono konstrukcję statku. Miała być ona zaopatrywana w energię dzięki sercu właśnie przez kolejne stulecia - jeśli nie tysiąclecia.

- Co zamierzacie? - spytał zupełnie niepotrzebnie Heyden, ale Duras mimo to odpowiedział: - Musimy przeciążyć reaktor. Eksplozja może nie wystarczyć, aby zniszczyć kometę, ale z dużym prawdopodobieństwem zmieni jej kurs.

To, że użył sformułowania „my”, absolutnie nie spodobało się Heydenowi.

- To niemożliwe - zaprotestował. - Osłona nie przestanie pracować. Sabotować ją - jest niemożliwe.

- Dla mnie owszem - odparł Duras. Wpatrywał się przenikliwie w czarną, owalną formę, jak gdyby próbował samym spojrzeniem przewiercić ją na wylot. - Ale będę potrzebował waszej pomocy.

- Mojej pomocy? - upewnił się kapitan. Czyż było cokolwiek w całym wszechświecie, co on, Heyden potrafiłby zrobić lepiej niż Żelazny Człowiek?

- W normalnych okolicznościach mielibyście rację - rzekł Duras.

- Ale jestem odcięty od źródła informacji. Bazy danych R'Achernona zawierają wprawdzie plany konstrukcyjne tego typu generatora, ale w tej chwili nie mam do tego dostępu. Potrzebna mi jest wasza fachowa wiedza, kapitanie.

Tak, to rzeczywiście dobry pomysł - pomyślał Heyden. Jako kapitan statku kosmicznego kiedyś się tego wszystkiego uczył, ale to było ponad sto lat temu, a największym problemem, z którym musiał się zmagać od tego czasu, był uparty kelner - automat, który nie chciał zaparzyć porządnej kawy!

- To nic złego - powiedział Duras. - Jeśli mi pozwolicie na dostęp do waszych wspomnień.  
- Zakładam, że i tak to zrobicie, niezależnie od tego, czy się zgodzę czy nie - stwierdził Heyden.

Duras przytaknął i rzekł bez ogródek: - Tak. Ale byłoby mi milej, gdybyście na to zezwolili.

- Jeśli o mnie chodzi, to proszę bardzo - Heyden wzruszył ramionami z rezygnacją.

Tym razem coś poczuł, choć nie potrafił powiedzieć, co to było: coś jak niesłychanie łagodna, ale mimo to niezwykle silna ręka, która sięgnęła do jego wnętrza i nie tylko sondowała jego myśli, lecz także jego duszę; a chwilę później także coś jeszcze starszego i bardzo... tak, świętego, coś, czego istnienia on sam nie był dotychczas świadomy.

- To jest w każdym z nas, kapitanie - rzekł Duras, który z niewiadomego powodu wyglądał na bardzo zadowolonego. - I o tym też chętnie z wami porozmawiam jak to wszystko się skończy. Ale obawiam się, że w tej chwili nie mamy na to czasu. Oni już są w drodze.

- Ich myśli chyba nie potraficie czytać? - spytał Heyden nieufnie.

- Nie potrafię - potwierdził Duras. - Ale mam dostęp do niektórych wewnętrznych systemów statku. Choć nie do wszystkich, które są mi potrzebne.

Wskazał na zamkniętą przesłonę i dodał: - Bez obaw. Te drzwi są wyjątkowo stabilne i na chwilę ich zatrzymają. Jednak nie mamy wiele czasu do stracenia.

- Co mam robić? - spytał Heyden.

Duras odwrócił się znów do czarnej, owalnej formy, podniósł rękę i położył rozstawione palce na porowatej powierzchni. Heyden nie był pewien, ale wydawało mu się, że dostrzegł coś w rodzaju cienkich nici, które wyrastały z czubków jego palców i znikwały bez najmniejszego oporu w czarnej powierzchni. Milczał. Nawet nie chciał wiedzieć, co w tym momencie robi Żelazny Człowiek. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili: - Musielibyście zerwać wszystkie połączenia, które prowadzą z tego pomieszczenia.

- Po wyłączeniu KI mam mocno ograniczone możliwości dostępu z zewnątrz do kontrolek reaktora, ale one istnieją, a my nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebne ryzyko - odrzekł Duras.

Znów powiedział „my”, a Heydenowi nie spodobało się to jeszcze bardziej niż przedtem. Mimo wszystko cofnął się o dwa kroki i obejrzał z rosnącą konsternacją plątaninę kabli i połączeń wtykowych na ścianach. Może - nie, z całą pewnością! - Duras miał rację i istniał jakiś wyłącznik awaryjny, aby w najgorszym przypadku za pomocą jednego przycisku w centrali dezaktywować tutaj wszystko - byłoby to bardzo rozsądne. W końcu bijące serce Ambientalnego Światła zawierało jeszcze dostatecznie dużo destrukcyjnej energii, aby zamienić w pył jakiś mały księżyc... ale skąd do diabła, on, Heyden, miał wiedzieć, które z niezliczonych połączeń było tym właściwym?

Posiadł naprawdę rozległą wiedzę na temat tego statku - i niemal tyle samo zapomniał, ale jak zniszczyć ten statek- nie, czegoś takiego doprawdy nie potrafił dokonać.

- Zniszczcie po prostu wszystkie połączenia - poradził Duras.



Jest to jakiś pomysł - pomyślał Heyden. - Ile to będzie trwało, zanim obaj się tu udusimy albo zginiemy w jakiś inny, równie żałosny sposób, jeśli on niechcący przetnie nieprawidłowe połączenie? - Trzydzieści osiem minut - odparł Duras. Ale tak długo to nie będzie trwało. Trzy z pięciu zapór już usunąłem. Jak tylko usunę ostatnią, upłyną niecałe trzy minuty, aż jądro reaktora znajdzie się poza kontrolą i nastąpi eksplozja antymaterii.

Na żelaznej twarzy kapitana gwardii pojawił się wyraz najwyższego skupienia. Pomimo to pojawiło się na niej również coś, co zdaniem Heydena, Duras uważałby za uśmiech.

- Ale bez obaw. Zostanie mi dostatecznie dużo energii koniecznej do transportu w czasie na Ziemię.

Aha - pomyślał Heyden. - Ale dla kogo? - Dla was - odparł Duras. - A teraz zaczynajcie. Oni zaraz tu będą.

Heyden automatycznie spojrział ku wejściu, ale dostrzegł tylko kurz i cień, a także znajomą plątaninę kabli, połączeń i wężyków, oświetlonych czerwonym światłem. Kolejny raz uświadomił sobie, jak archaiczny był ten statek. Ostatnia drona sprzątająca musiała tu być przed dziesiątkami lat; powietrze już teraz wydawało się całkiem zużyte i niemal nie zawierało tlenu.

Po raz pierwszy Heyden zadał sobie pytanie, ile lat może mieć naprawdę Ambientalne Światło. Założył, że są to stulecia, bo kiedy jedno pokolenie temu zjawił się na pokładzie, wówczas statek w częściach dostępnych dla pasażerów i załogi był nowoczesny oraz błyszczący tak, jak gdyby opuścił stocznię kilka dni temu. Komora, w której znajdowali się teraz, sprawiała jednak zupełnie inne wrażenie - była stara i kompletnie nienowoczesna, tak jak i znajdujące się tu urządzenia.

- Kapitanie - Duras wręczył mu swoją broń, która nawet w rękach Heydena wyglądała jak zabawka. Kapitan Ambientalnego Światła otrząsnął się momentalnie z ponurych myśli i zabrał się do pracy, którą powierzył mu Żelazny Człowiek. Wybrał pierwszy z brzegu kabel i pociągnął za spust. Cienki promień lasera eksplodował w chmurze drobniutkich iskier na ścianie, przegryzł się przez kabel oraz pokryte grubą izolacją rurociągi, zostawiając ślady ognia i małe, kopiące płomyki. Najpóźniej teraz - pomyślał przerażony - na statku powinien włączyć się alarm i mechanizmy obronne. Ale - nie stało się nic.

Nie zawyła syrena alarmowa, nie zjawiła się drona naprawcza ani bojowa, nawet nie włączył się system przeciwpożarowy, którego zadaniem byłoby zduścić liczne, niewielkie podpalenia spowodowane promieniem wędrującego po ścianie lasera.

Po piekle, który Ambientalne Światło rozpętał przedtem po to, aby zabić jego i Żelaznego Człowieka, całkowity brak reakcji wydał się Heydenowi co najmniej niepokojący, o ile nie wręcz groźny. Jednakże pojawił w tamtej chwili coś, co było dla niego wyjątkowo bolesne, a mianowicie to, że przyczyna tych wszystkich działań jest właściwie zupełnie jasna: kiedy zniszczyli mózg, statek przypominał zwłoki z syntetycznego diamentu i stalowej ceramiki. I mimo to poruszał się cały czas po wyznaczonym kursie, zbliżając się z każdą chwilą do celu, a sumienie Heydena stało się jeszcze bardziej niespokojne, bo przecież zamierzali wyrwać bijące serce maszyny... ale świadomość faktu, co stałoby się, gdyby tego nie zrobili, niespodziewanie dodała mu siły, by móc dalej przesunąć promień lasera z niezwykłą precyzją i przecinać kolejne przewody, niszczyć węzły przekaźnikowe i tablice rozdzielcze, wznecając przy tym kolejne pożary.

W tamtej chwili Heyden doznał po prostu potwornego uczucia, iż morduje przyjaciela.

- Zaraz skończę - odezwał się Duras. - Jestem przy ostatniej barierze.

W jego głosie słychać było ogromny wysiłek i kiedy Heyden nie przerywając swojego zajęcia odwrócił głowę w jego stronę, stwierdził, że ogromne napięcie na jego twarzy odzwierciedlało katusze, jakie przeżywał.

- Te systemy obronne są zadziwiająco wydajne - odpowiedział Duras na jego pytanie, którego Heyden wcale nie zadał. - Przede wszystkim, jeśli wziąć pod uwagę, ile mają lat... Ale bez obaw, zaraz się z tym uporam.

Kapitan mógł mieć jedynie nadzieję, że tak będzie naprawdę. W komorze zrobiło się wyraźnie cieplej, wręcz gorąco, a powietrze miało smak sadzy i było niemal tak zużyte, że jego płuca z każdym oddechem otrzymywały coraz mniej tlenu. Wszędzie coś się paliło, a on nawet nie zniszczył żadnego z połączeń, z których może tylko jedno było właściwe. A może nawet -

żadne z nich.

Coś zasyczało i Heyden zapragnął, aby ten dźwięk oznaczał, że serce Ambientalnego Świata jest patroszone przez niego kawałek za kawałkiem, ale z przerażeniem dostrzegł, że stało się coś innego: w środku żelaznej przesłony powstała ciemnoczerwona plama, która szybko stawała się coraz większa i jaśniejsza; a w jej pobliżu zrobiło się nie tyle cieplej, co po prostu gorąco. - Potrzebują jeszcze dłuższej chwili - odezwał się Duras. Jego głos był zduszony, jak gdyby każde słowo sprawiało mu coraz większą trudność i Heyden był teraz całkowicie pewien, że odezwał się tylko dlatego, aby go uspokoić.

- Nie mogą używać w komorze ciężkiej broni, bo sami by przy tym spłonęli.

Kapitan nie spuszczał oczu z czerwonej plamy, która w międzyczasie objęła już niemal całą przesłonę, a otaczająca ją ściana również zaczęła trzeszczeć. Środek przesłony nie był już czerwony, lecz żółty i powoli stawał się biały. Światło było tak jaskrawe, że Heydenowi zaczęły łzawić oczy, a twarz piekła w coraz większym upale.

Oddychanie sprawiało mu już fizyczny ból. Mimo wszystko ciągle strzelał. Coraz więcej kabli i połączeń było przzerwanych, przestarzałe aparaty eksplodowały w chmurach iskier, a po drugiej stronie komory wybuchł pożar, o wiele większy niż pojedyncze płomyki.

Pochłaniał on ostatnie resztki tlenu w powietrzu.

Heyden strzelał dalej.

- Jak daleko jesteście, Duras? - stęknął z trudem. Pot łał mu się po twarzy, a ręka drżała tak mocno, że połowa strzałów nie trafiała do celu i musiał raz jeszcze celować do kabli, o ile w ogóle widział, do czego strzelał, bo komora w międzyczasie wypełniła się gęstym, szarym dymem i gryzącą sadzą.

Tym bardziej wyraźnie widział przesłonę. Była ona teraz całkowicie rozżarzona, żółtobiała, a w jej środku, gdzie skoncentrował się ogień napastników, metal zaczął się topić i spływać gęstymi kroplami na dół.

- Duras! - krzyknął.

Ale nie otrzymał odpowiedzi, znów się obejrzał i już prawie tego pożałował. Duras stał skurczony nad sercem reaktora, a jego twarz przypominała zastygłą rzeźbę z czarnego żelaza, z wyrazem niewiarygodnego przerażenia. Jego prawe ramię oraz ręka, którą przycisnął do jądra reaktora, zamieniły się w coś, co przypominało żywy korzeń drzewa, po którym pełzły miliony maleńkich, czarnych robaków.

Ten widok tak bardzo przeraził Heydena, że przestał strzelać i nawet zapomniał o topniejących drzwiach za plecami.

- Duras! - krzyknął, dysząc ciężko. Duras! - wrzasnął znów z rozpaczą.

W oczach Żelaznego Człowieka pojawił się cień życia - ale także ogromne przerażenie.

- Żle... - wyszeptał Żelazny Człowiek. - Wszystko... źle.

Heyden nie rozumiał, co też on mógł mieć na myśli i nawet nie chciał tego rozumieć. Stan, w jakim znalazł się Duras, przeraził go - zupełnie jak jadowity pająk, który tkwił cierpliwie w ukryciu czekając na swoją ofiarę. Poczul, że ogarnia go panika, a jego serce zaczęło bić tak szybko i mocno, jak gdyby chciało wyskoczyć z za żeber.

Przesłona zapadła się z dziwnie miękkim odgłosem, tworząc na podłodze stopioną, syczącą grudkę w kolorze czerwieni i żółci, a w migoczącym, otoczonym żarem otworze pojawiła się pokryta łuskami ręka trzymająca broń. Heyden strzelił i to skutecznie, bo broń napastnika eksplodowała i rozerwała dłoń razem z większą częścią ramienia. Quorrl bezgłośnie przewrócił się do tyłu, ale natychmiast w otworze ukazała się pokryta łuskami twarz, a zaraz potem ręka trzymająca jeszcze większą broń.

Heyden strzelił ponownie, tym razem nie trafił i niemal z magiczną jasnością widział, jak Quorrl pociągnął palcem za spust.

Kiedy buchnął zielony płomień, Duras nieoczekiwanie położył mu rękę na ramieniu. Wszystko wokół nagle stało się białe i fioletowe.

Mardu. Największą niespodzianką był sam fakt, że generał w ogóle się obudził.

Mardu nawet nie był w stanie przypomnieć sobie swojej ostatniej myśli, zanim pobiegł wprost w kierunku wyciągniętej ręki Żelaznego Człowieka i z pewnym prawdopodobieństwem można było stwierdzić, że w ogóle wtedy nie myślał. Jedyne, co odczuwał, to czyste przerażenie. Ale gdyby miał wtedy czas na jakiś pomysł, to z pewnością pomyślałby, że to właśnie jest jego ostatnia myśl i zaraz otrzyma odpowiedź na pytanie, które zadaje sobie każda rozumna istota należąca do inteligentnego gatunku w całym wszechświecie, a mianowicie: czy śmierć jest nieodwołalnym końcem wszystkiego, czy może po niej też coś jest?

Ale - nie umarł. Mardu nawet nie zdążył jeszcze na dobre otworzyć oczu, nie czuł tak naprawdę swojego ciała (i możliwe, że tak było lepiej), ale wiedział z niezachwianą pewnością, że żyje. Nie wiedział tylko, czy ma się z tego powodu cieszyć.

Zebrał więc całą swą odwagę, wstrzymał oddech i zmusił się do otwarcia oczu. Nie, nie był w piekle, to stwierdził z całą pewnością, ale otoczenie bliskie było wszelkim jego dotychczasowym wyobrażeniom o piekle. Znajdował się w pomieszczeniu, którego wielkość niełatwo było ocenić - niezbyt duże, a jego ściany zbudowane były z czarnych kamieni. Panował w nim chłód, a jedyne światło pochodziło z zardzewiałej metalowej miski, stojącej na trójnogu, w której tliły się rozżarzone węgle. Powietrze było zwietrzałe, pełne woni spalenizny i przynajmniej w tej ścianie, którą był w stanie zobaczyć bez kręcenia głową, nie było widać żadnego okna. Kiedy Mardu spróbował się poruszyć, coś zabrzęczało. Jego dopiero co rozpoczęty ruch został gwałtownie i dość boleśnie wstrzymany - przez bitą sekundę generał wpatrywał się w zardzewiałe żelazne pierścienie na swoich przegubach, przymocowane do ściany za pomocą krótkiego łańcucha.

Loch? - pomyślał, w pierwszej chwili jedynie zbity z tropu, a potem oburzony. Wrzucili go jak pospolitego przestępcę do lochu i skuli łańcuchami} To było... tak potworne, że wydało mu się prawie śmieszne. Ale tylko prawie.

- Co to ma znaczyć? - stęknął głośno. - Czy te głupki w ogóle wiedzą, z kim mają do czynienia?

- Wiedzą doskonale, a jakże - usłyszał głos obok siebie. - Właśnie dlatego jesteście w tym miejscu, generale.

Mardu jednym ruchem obrócił głowę, chciał coś powiedzieć i poczuł, jak oczy niemal wyszły mu z orbit, kiedy zobaczył bladą postać przykutą do ściany kawałek dalej.

- A tak nawiasem mówiąc, my też wiemy - dodał Quizzack.

- Ty... żyjesz? - stęknął Mardu.

- Jak widzicie - odparł chłopak. - Co zupełnie, ale to zupełnie nie jest waszą zasługą, generale.

- Ale to jest... niemożliwe! - wyjąkał Mardu. Przecież widział, jak helioptery najpierw odgryzły mu głowę, a potem porwał na strzepy.

- Widocznie jest to możliwe - odrzekł Quizzack. Jego spojrzenie, jak stwierdził Mardu, nie było zbyt życzliwe. Szczerze mówiąc, jak na kogoś pochodzącego z jego stanu, było niemal beczelnie nieprzyjazne.

- Ale to nie może być! - upierał się Mardu. - Ty nie żyjesz. Widziałem, jak umarłeś!

Quizzack okazał grymas zniecierpliwienia i spróbował podnieść rękę, jego ruch był jednak ograniczony. Zadzźwięczał metal.

- Biorę na siebie tę hańbę bycia przy życiu i jestem jej świadom, co jest swoistą karą za wasze kłamstwa, generale - powiedział złośliwie. - Ale niestety nie mogę tego zmienić - podniósł rękę i demonstracyjnie zadzwonił kajdanami.

Potem coś zabrzęczało po drugiej stronie i znajomy głos spytał: -Wa?

Mardu wiedział już, co zobaczy, ale mimo to z niedowierzaniem szeroko otworzył oczy, kiedy dostrzegł olbrzymiego Quorrla. Podobnie jak Quizzack i Mardu, był on przykuty do ściany, a że jego łańcuchy nie były ani o centymetr dłuższe, zmuszony był siedzieć w groteskowej, z pewnością bardzo niewygodnej pozycji. Prawdopodobnie bardzo bolesnej i niewygodnej pozycji, czego wyraz można było dostrzec na pokrytej łuskami twarzy. Mardu gwałtownie odwrócił się do Quizzacka. Chłopak w dalszym ciągu patrzył na niego nieżyczliwie. Ale - był mniejszy. I żywy, czego generał zupełnie nie rozumiał.

- A co z innymi? - spytał. - Findes i ten drugi z dziwnym imieniem? Żyją jeszcze? Quizzack niespodziewanie się rozszalał.

- Jeśli o nich chodzi, wykonaliście swoją robotę porządnie i do końca, generale - rzekł potrząsając głową. - Tam, gdzie jest pustka, niczego też nie można zrekonstruować, prawda?

- Zabrali cię do rekonstruktora? - spytał Mardu. Dlaczego? - Nie - odparł Quizzack złośliwie. - Musicie wiedzieć, że zawsze się wszystko na mnie goiło jak na psie. Był to dla mnie prawdziwy zaszczyt, dać się pociąć na kawałki przez helioptera. I to prawie wcale nie bolało.

- Pilnuj swojego języka, chłopcze - warknął Mardu.

- Dlaczego? - spytał Quizzack. - Bo mi go wyrwiecie? Mardu pominął to milczeniem. Bezczelny drań zobaczy jeszcze, co to kara, jak tylko się stąd wydostaną.

- Dlaczego cię zrekonstruowali? - zapytał.

- A skąd mam wiedzieć? - odparł chłopak. Porozumiewawczo zmrużył lewe oko.

- Może po to, żebyście w przyszłości mogli dla mnie wymyślić coś bardziej oryginalnego?

- A wiesz, gdzie jesteśmy? - Mardu postanowił konsekwentnie zbywać milczeniem bezczelne uwagi chłopaka.

- W lochu? - zaproponował Quizzack szyderczo.

Generał westchnął, zamknął oczy i w myślach policzył powoli do pięciu, aby gniew, całkiem przecież uzasadniony, ustąpił. W swoim czasie ćwiczył dość długo sztukę dyplomacji i choć na parkiecie nigdy nie czuł się najlepiej, jednak obiektywnie radził sobie na nim całkiem nieźle - w końcu to także należało do zadań generała.

- Mogę zrozumieć, mój drogi chłopcze, że jesteś nieco zdenerwowany - zaczął łagodnie. - Ale niektóre rzeczy muszą być zrobione, choć na pierwszy rzut oka nie bardzo można to zrozumieć.

- Pfff... - prychnął Quizzack pogardliwie.

Mardu ciągle zachowywał spokój (ku swojemu niemałemu zdziwieniu).

- To wszystko służyło dobremu celowi.

- Ach, doprawdy? A jakiemuż to?

No, na przykład ratowaniu mojego życia — pomyślał Mardu, nieco zdziwiony, że miałby coś tak oczywistego wyjaśniać chłopakowi.

Zamiast tego, rzekł: - Czy przypominasz sobie rozmowę, którą prowadziliśmy ostatniej nocy, o roli, którą los przeznaczył nam, żołnierzom i cenie, jaką czasem musimy za to zapłacić?

- Ta cena to zostać rozerwanym na strzępy?

Było to wręcz niewiarygodne - ale generał Mardu wykrzesał na tyle wewnętrznej siły, aby skwitować kolejną bezczelność chłopaka jedynie lekceważącym zmarszczeniem czoła.

- Nasza misja jest ważna, mój chłopcze - powiedział łagodnie.

- Ważniejsza niż życie nas wszystkich.

No, w każdym razie ważniejsza niż życie Quizzacka i tych trzech durniów o dziwnych imionach.

- Jakaż to misja? - spytał jadowniczo Quizzack. - Aby zabić jak najwięcej ludzi w jak najkrótszym czasie?

- Chodzi o coś więcej, o wiele więcej, niż przypuszczasz, mój chłopcze - odparł łagodnie Mardu. - Niektóre sprawy są po prostu zbyt kompleksowe na to, aby mógł je zrozumieć taki prosty żołnierz jak ty.

- Zwykłe armatnie mięso, to macie na myśli, co? - odparł Quizzack ironicznie.

Mówiąc dokładnie było to mięso dla heliopterów - pomyślał Mardu, ale zdecydował się w ostatniej chwili nie mówić tego głośno.

- Wszystko jest częścią wielkiego planu - wyjaśniał cierpliwie.

- Ach tak? - zakpił Quizzack. - A co to za plan?

O mały włos Mardu odpowiedziałby na to pytanie wprost, bo bezczelny ton chłopaka coraz bardziej działał mu na nerwy. Ale w ostatniej chwili znów wpadł na lepszy pomysł. Chłopak, jak

się wydawało, uważał go za głupiego - ale generał rozumiał doskonale, że gdyby uwierzył w to, co próbowali mu uświadomić oczy Quizzacka - to skutki byłyby fatalne.

Cela wyglądała jak ponury loch w najmroczniejszym ze wszystkich ponurych zamków, ale to władcy Czarnej Wieży go tu uwięzili, a to oznaczało duże prawdopodobieństwo, że znalazł się we wnętrzu tejże Czarnej Wieży. A to z kolei oznaczało, że nic z tego, w co wierzył Mardu, nie musiało być prawdą. Może w rzeczywistości wrzucono go do jakiejś czarnej dziury gdzieś głęboko pod ziemią, ale może była to ta po trzykroć przeklęta technomagia, która pozwoliła mu uwierzyć w iluzję. W każdym razie wyszedł z założenia, że oni słyszą każde wymawiane przez niego słowo.

- To cię zupełnie nie powinno obchodzić - wyjaśnił Quizzackowi. - I nawet gdyby było inaczej, i tak byś tego nie rozumiał. Plany władcy klanu są zbyt skomplikowane, abyś mógł je pojąć choćby częściowo.

- O, jeszcze bardziej wyrafinowane niż wasze? - zakpił znowu chłopak. - Ależ to niemożliwe!

Mardu popatrzył na niego nieufnie. W głosie Quizzacka był jakiś dziwny ton, którego generał nie mógł zrozumieć... aż wreszcie pojął i - przynajmniej w myślach - poprosił chłopaka o wybaczenie.

Quizzack nie znał przecież Craidena i nie mógł wiedzieć, że był on nawet mądrzejszy i bardziej przewidujący niż sam generał (choć nie aż tak bardzo).

- Doskonale cię rozumiem, mój chłopcze - rzekł. - To wszystko musi ci się wydawać okropne i z twojego punktu widzenia może nawet tak jest, bo nie znasz wszystkich faktów. Kiedy to wszystko się skończy i znajdziemy się w moim obozie, to wyjaśnię ci przynajmniej część genialnego planu Craidena.

Quizzack gapił się na niego bez słów.

- Uwierz mi, że te wszystkie wydarzenia mają swój sens - zapewnił go Mardu.

- Wysadzić resztę miasta w powietrze?

- Niektóre rzeczy trzeba zrobić, mimo że wydają się nam okropne - rzekł Mardu.

- Tak, wasz słynny mistrz klanu wydaje się w tym specjalistą - szydził dalej Quizzack. - A mianowicie: w robieniu świąstw. Co teraz znów zrobi? Rozwali księżyc do końca na kawałki i zrzuci je na miasto?

- Czy wreszcie umilkiesz, ty bezczelny tytku? - przywołał go do porządku Mardu. - Nie pozwolę, aby ktoś w taki sposób mówił o mistrzu klanu!

- Bo go czcicie, jak zakładam?

- Dokładnie - potwierdził Mardu.

- No, dziś w nocy wyglądało to nieco inaczej - stwierdził Quizzack.

- Fakt, że nie zgadzam się ze wszystkimi decyzjami mojego mistrza klanu, nie znaczy jeszcze, że go nie szanuję!

- A z czym się nie zgadzacie, generale? - spytał chłopak. - Może z tym, że on żyje?

No tu już posunął się nieco za daleko - pomyślał generał. I było to zbyt bliskie prawdy, aby mogło być tematem uszczypliwości i złośliwości chłopaka.

- To prawda... to czy tamto mogłem zrobić inaczej, ale mistrz klanu Craiden potrafi docenić to, że jego oficerowie mają własne zdanie. Nawet, jeśli różni się ono od jego zdania.

- A jego oficerowie? - dopytywał się adiutant ponuro. - Czy oni też potrafią docenić fakt, że jego zdanie odbiega od ich zdania?

No tego było za wiele! Mardu wciągnął powietrze, aby odpowiedzieć naprawdę ostro i wreszcie pokazać chłopakowi, gdzie jest jego miejsce, ale w tym momencie rozległo się głośne kołatanie i dzwonienie. Drzwi na przeciwległej ścianie, wzmocnione dodatkowymi sztabami otworzyły się powoli. Mardu byłby skłonny założyć się o wszystko, że ich tam dotychczas nie było.

Jego podziw - jeśli chodzi o ten najnowszy cud (technomagii) ustąpił natychmiast miejsca przerażeniu, kiedy zobaczył chromowanego pająka metrowej wysokości, który wszedł przez drzwi i zbliżył się do niego na swych szcudłowatych nogach.

Przypominał rzekome maszyny czyszczące, przed którymi uciekali na pustkowiu, wydawał się jednak o wiele bardziej groźny, choć nie był wyposażony w żadne nożyce czy ostrza. Pająk podszedł do niego, wydał z siebie ciche brzęczenie, przechylił na bok okrągłą głowę z licznymi, czerwono błyszczącymi szklanymi oczyma i wydawał się czekać na odpowiedź. Ale pomijając już fakt, że Mardu nie znał jego języka, to nie miał zamiaru rozmawiać z tym okropnym gratem, wytworem technomagii!

Chromowany pająk wyciągnął w jego stronę jedną nogę, w odpowiedzi na co Mardu zaskrzeczał, podciągnął kolana pod brodę i krzyknął: - Zostaw mnie w spokoju! Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale nie dotykaj mnie! Zrobię wszystko, co chcesz, ale nie dotykaj mnie! Pająk cofnął nogę i wydawał się nieco zdumiony, a wówczas do celi weszły dwie następne postacie, na widok których Mardu dosłownie zastygła krew w żyłach.

Byli to dwaj Żelazni Ludzie. Mardu nie potrafił stwierdzić, czy jeden z nich był rym, który pobił go na Niebiańskim Dworcu, bo byli do siebie tak podobni jak identyczne kopie. Nawet kiedy tupiąc głośno podeszli do niego, ich ruchy były tak zgodne, jak gdyby widział przed sobą odbity hologram. Chromowany pająk odsunął się szybko na bok, aby zrobić im miejsce, a kajdany Mardu jak zaczarowane nagle same zsunęły mu się z rąk i z głośnym brzękiem upadły na podłogę. Jeszcze zanim generał zdążył pojąć, że był wolny, owa wolność się skończyła, bo obaj Żelazni Ludzie pochylili się, chwycili go pod ramiona z każdej strony i pociągnęli za sobą przez całą celę.

- Co to znaczy? - skrzeczał generał, zapierając się nogami i próbując ze wszystkich sił wyzwolić się z żelaznego uchwytu czarnych gigantów. Jednak jedyne, co osiągnął, to to, że po prostu powlekli go za sobą, a to wydało się Mardu takim dyshonorem, że przestał krzyczeć i bronić się. Giganci szli tak szybko, że z trudem mógł nadążyć, potykając się co chwila, kiedy już pozwolili mu iść i nie wlekli go za sobą niczym bezwładnego worka.

- Dokąd mnie zabieracie? - zażądał odpowiedzi. - Chcę natychmiast mówić z waszym dowódcą, słyszycie? Żądam widzenia z władcą tej wieży i to natychmiast! I protestuję przeciwko tak brutalnemu traktowaniu! Jestem generał Mardu, drugi naczelnik sił zbrojnych zjednoczonych klanów! A więc zostawcie mnie, wy nędzne kreatury!

Czarni giganci nawet nie zwrócili na to uwagi, lecz tupiąc głośno podążali dalej, a Mardu, kiedy już po raz kolejny wykrzyczał swoje żądania, dał w końcu spokój i zrobił to, co mu pozostało, a mianowicie rozejrzał się i spróbował zapamiętać otoczenie. Nie było co prawda zbyt wiele do zapamiętania: pomijając fakt, że szli korytarzem, na którego ścianach w regularnych odstępach umieszczone były migoczące pochodnie, dzięki którym w powietrzu unosiła się intensywna woń spalenizny - otoczenie w ogóle nie różniło się od wnętrza celi, w której się obudził: czarny kamień, pokryty skorupą kurzu liczącego zapewne setki lat.

Obaj giganci ciągnęli go jeszcze spory kawałek korytarzem, minęli wreszcie zakręt i w końcu dotarli do półokrągłego przejścia i kiedy je minęli, generał pojął ogrom ich złośliwości.

Za przejściem nie było już korytarza ani też jakiegokolwiek pomieszczenia, lecz okrągły szyb o ogromnej średnicy, który ciągnął się w górę i ginął na dole gdzieś w bezdennej ciemności. I do tego szybu obaj giganci wrzucili go bez najmniejszego wahania. Mardu krzyknął rozdzierająco, kiedy zaczął spadać w bezdenną otchłań... za chwilę jednak stęknął z niedowierzaniem, bo o dziwo nie spadał, lecz szybował w powietrzu i razem ze swoimi towarzyszami wznosił się do góry! Jego serca w przerażeniu i panice ciągle jeszcze waliły jak młoty, w uszach słyszał głośny szum krwi. Nie upadł, przeciwnie, unosił się w powietrzu w górę, jak gdyby podtrzymywała go jakaś niewidzialna ręka, jednak jego oczy i pozostałe zmysły ciągle upierały się przy tym, że to przecież zupełnie niemożliwe.

Mardu zebrał całą swą odwagę, spojrzął w dół i znów doznał ataku paniki, bo nie zobaczył pod sobą dosłownie niczego. Żadnej platformy, wyciągu, żadnej jakiegokolwiek sztuczki technomagii. Była tam po prostu pustka, która ciągnęła się w dół całymi milami, sięgając niemal wieczności.

Szyb wydawał się ciągnąć bez końca zarówno w górę, jak i w dół, co nie okazało się wcale takie złe, bo generał Mardu miał przynajmniej czas aby opanować emocje, a także odzyskać swoją godność.

Obaj Żelaźni Ludzie byli przyczyną jego śmiertelnego strachu - chcieli go ośmieszyć i upokorzyć, ale Mardu nie zamierzał im tego ułatwiać.

Aby zastraszyć generała - w dodatku tak zasłużonego, jak Mardu - na to potrzeba było czegoś więcej, niż tylko głupiej, czarnej dziury!

Kiedy czarni giganci wywlekli go wreszcie z szybu, nie skrzeczał więc już głośno, lecz tylko jęczał cicho wleczony przez kolejne mroczne korytarze. Po chwili zaprzestał nawet tego, kiedy podążali przez przejścia pełne kurzu i migoczących ponuro pochodni. I może nawet odmówiłby sobie ślinienia się ze strachu i posikania się (no, może tylko trochę) w spodnie, gdyby obaj ciemni nie zawlekli go nagle do jakiegoś tajemniczego pomieszczenia. Było ono pozbawione okien, zupełnie jak wszystkie poprzednie, choć co prawda oświetlone jakimś dziwnym, żółtawym i łagodnym światłem niewiadomego pochodzenia. I pomieszczenie to nie było całkiem puste. Dokładnie pośrodku stał najbardziej przerażający fotel do torturowania, jaki było mu w ogóle dane widzieć, istne monstrum z chromowanej stali, z metalowymi przegubami, oraz błyszczącymi srebrzyscie cienkimi oparciami. Serca Mardu wykonały niesynchronizowany skok, a śmiertelny strach dodał mu sił, aby raz jeszcze spróbować z rozpaczliwym uporem bronić się przed dwoma oprawcami... którzy również teraz bez wahania brutalnie wcisnęli go w fotel męczarni, po czym stanęli obok.

Mardu czekał na kłapnięcie chromowanych kajdanów, które powinny zacisnąć się wokół jego nadgarstków i kostek, ale nic takiego się nie stało. Mimo swojego przerażającego wyglądu i srebrzystego połysku chromowanego metalu, fotel okazał się nadzwyczaj wygodny. Mardu niemal nie czuł, że siedzi, jak gdyby mebel dopasował się nie tylko do kształtu jego ciała, lecz także wywierał właściwy, bardzo delikatny nacisk w odpowiednich miejscach. Ale generał nie zamierzał dać się nabrać na ich kolejną, podstępą sztuczkę. Z całą pewnością chodziło im o to samo, co w tym strasznym szybie: chcieli, aby poczuł się bezpieczny tylko po to, aby zabolalo tym bardziej, kiedy zaczną się tortury. Mardu ciągle czuł strach, ale tym razem przyznawał się do tego uczucia przed samym sobą, czekały go przecież długie godziny męczarni, najgorszych tortur, jakie tylko mógł sobie wyobrazić. Ale - on to przetrwa, nie dostarczy im tej satysfakcji - nie będzie błagał o życie i jęczał. O nie, z całą pewnością nie!

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszła niewysoka, ciemnowłosa kobieta. Była ubrana bardzo powściągliwie - zwykły kostium o prostym kroju bez żadnych ozdób. Włosy miała związane w ciężki węzeł z tyłu głowy. Mardu nie potrafił ocenić jej wieku, lecz choć z pewnością nie była już młoda, nie można było też powiedzieć, że była stara. Ale w jej twarzy nie było widać ani śladu jakiegokolwiek uczucia - Mardu jednak dostrzegł coś, co kazało mu być ostrożnym.

Ta kobieta mogła być niebezpieczna.

Po chwili obok niej pojawiła się druga postać i na jej widok Mardu wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Była to mysz.

W każdym razie postać wyglądała jak mysz, nawet jeśli ten czy inny szczegół nie pasował do schematu. Na przykład wielkość.

Wzrost myszy wynosił około półtora metra, była więc tylko trochę mniejsza niż Mardu, ale jak na mysz to przecież i tak dość dużo.

Miała na sobie płaszcz zszyty z łat z niewyprawionej skóry i szła wyprostowana na tylnych łapach. Jej oczy zupełnie jednak nie przypominały oczu zwierzęcia, bez względu na jego wielkość.

- Ty jesteś Mardu? - zaczęła kobieta.

Mysz zamknęła za nią drzwi, odwróciła się do generała i patrzyła na niego uważnie swymi czarnymi, pozbawionymi źrenic oczami. Jej ogon uderzał w podłogę rytmicznie, w takt jakiejś niestyszalnej dla nikogo melodii.

- Generał Mardu - poprawił automatycznie.

Kobieta skinęła głową i powtórzyła: - Generał Mardu. - Po czym dodała: - Jestem senator Rymer. A to jest Plixx - wskazała na mysz. - Chcieliśmy z wami pomówić.

- Tak myślałem - warknął Mardu. Czy ona naprawdę oczekiwała, że on będzie rozmawiał z

mysz? - Nic nie powiem! Możecie robić ze mną, co chcecie!

-I tak to zrobimy - syknęła mysz. Podeszła bliżej, bębniąc przy tym w irytujący sposób nagim ogonem po podłodze i ostentacyjnie zawęszyła, mówiąc: - Ty śmierdzisz!

- Plixx, proszę - westchnęła Rymer.

- Ale on naprawdę śmierdzi - Plixx zawęszył jeszcze bardziej ostentacyjnie i pochylił się do przodu, wołając: - Ach, nasz bohater po prostu się posikał!

- Nic takiego nie... - zaczął Mardu oburzony i zaskrzeczał z przerażenia, kiedy krzesło wyciągnęło cienkie, srebrne ramię, z którego wysunęły się palce o spiczastych paznokciach. Zaczęły pośpiesznie obmacywać jego ciało, bez wątpienia w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by mu zadać największy ból. I jak gdyby ta myśl była hasłem, na które tylko czekał ten fotel tortur, czysty wytwór techno-magii - cienkie paluszki zamieniły się w równie cienkie ostrza noży.

Mardu wrzasnął przeraźliwie i próbował podskoczyć, ale w tym momencie z fotela wysunęły się stalowe kajdany, na które Mardu czekał właściwie od początku i z trzaskiem zacisnęły się wokół jego kostek i przegubów. Generał skrzeczał i wił się z rozpaczą, ale kajdany były dokładnie tak mocne, na jakie wyglądały. Ostrza nożyc rozpoczęły swoją pracę.

Polegała ona na tym, że odcięły z jego ciała żałosne resztki ubrania. Robiły to zarówno delikatnie jak i nader efektywnie. Nawet nie zadrasnęły Mardu, po minucie siedział więc kompletnie nagi przed kobietą i myszą. W każdym razie widok jego męskości wydawał się wywierać na kobiecie odpowiednie wrażenie, choć postarała się o lekceważący wyraz twarzy.

Nożyce kłapiąc cofnęły się i na ich miejsce zjawily się liczne osobliwe manipulatory, dysze i gąbki, które zaczęły myć go jak niemowlę, potem osuszać i na koniec jeszcze go przypudrowały, a po zakończeniu tej poniżającej procedury pojawiła się kolejna, znacznie większa dysza, która niezwłocznie opryskała jego ciało jakąś szarą papką, która nie tylko była lodowata, lecz skóra w zetknięciu z nią zaczęła niesamowicie swędzieć. Chwilę potem Mardu doznał kolejnej - kto wie, czy nie największej - niespodzianki, bo szara papka zamieniła się w matowo czarne ubranie, które było tak przyjemne w dotyku jak głaszcząca ręka.

Plixx znów zawęszył i powiedział: -Już lepiej.

Rymer wyczarowała skądś białą chusteczkę i machała nią ostentacyjnie przed swoją twarzą. Pani senator wydawała się nieco zdegustowana. Ale może była tylko rozczarowana, że znów był ubrany.

Kolejna dysza przesunęła się wzdłuż ciała Mardu, opryskując go delikatnie słodko pachnącymi perfumami, a potem kajdany na rękach i nogach z trzaskiem otworzyły się, a czarny materiał ubrania jak w czarach pokrył wszystkie wolne miejsca na jego ciele i zastygł tam.

Chcą na mnie zrobić wrażenie swoją technomagią - pomyślał generał rozgniewany. I nawet im się to udało.

- Czego chcecie? - fuknął zgryźliwie, nieznacznie ruszając nogami i rękami, co i raz sprawdzając zakres swobody ruchów, zanim znowu na jego kończynach zacisną się kajdany.

- Jak już powiedziałam: pomówić z wami, generale - odpowiedziała Rymer. Ona była senatorem, przypomniał sobie Mardu. Co mógł oznaczać taki tytuł? Z pewnością coś ważnego, bo w końcu przecież był on ważnym jeńcem. Może nawet ten tytuł przysługiwał władczyni tej przekłetej Czarnej Wieży.

- Ach, tak? - odparł wyzywająco. - A o czym?

- Należysz do ludzi Craidena? - spytał Plixx. Co temu głupiemu szczurowi w ogóle przyszło do głowy, żeby zwracać się do niego na „ty“?

- Jestem drugim dowódcą wojskowym klanu Końca - pouczył go Mardu.

Rymer zmarszczyła czoło, a Plixx kontynuował: - Mówiąc dokładniej: trzeci asystent drugiego koniuszego. Sześć miesięcy temu byłeś jeszcze zwykłym chłopcem stajennym, ale od kiedy mistrz klanu Craiden powołał pod broń wszystko, co tylko umie chodzić, udało ci się zrobić pewną karierę.

- Mistrz klanu docenił moje talenty- przyznał mu rację Mardu. - On jest bardzo mądrym człowiekiem.



Rymer ostentacyjnie przewróciła oczami, a Plixx dodał: - Albo szukał kogoś, kogo nie trzeba będzie za bardzo żałować, jeśli ten ktoś przycisnie guzik i znajdzie się przy tym nieco za blisko centrum eksplozji.

Mardu wytrzeszczył oczy. Nie był zupełnie pewien, co ta mysz chciała przez to powiedzieć, ale w każdym razie wydało mu się to bezczelne.

- A wy chcielibyście pewnie usłyszeć, co wiem na temat planów mistrza klanu - fuknął. - Ale ode mnie niczego się nie dowiecie.

Możecie mnie torturować, jeśli chcecie. Wyrwijcie mi paznokcie u palców rąk i nóg, albo wymyślcie coś jeszcze gorszego, wszystko mi jedno! Nie powiem ani słowa!

- Ale my przecież wszystko wiemy - powiedziała Rymer z uśmiechem. - Nie dlatego kazaliśmy was tutaj sprowadzić, generale.

- Nie dlatego? - Mardu przełknął głośno ślinę, kiedy zrozumiał, co prawdopodobnie znaczyło to wyznanie. Jeżeli nie chcieli uzyskać od niego żadnych informacji, to chyba sprowadzili go tutaj wyłącznie po to, aby torturować go do śmierci i paść oczy widokiem jego męczarni.

- Nie, nie dlatego - potwierdził Plixx, patrząc jednak z zainteresowaniem na paznokcie Mardu; generał automatycznie również na nie spojrzął i stwierdził ze zdziwieniem, że chyba jeszcze nigdy nie były tak czyste.

- To, co Plixx chciał powiedzieć - kontynuowała senator Rymer po krótkiej chwili milczenia - brzmi następująco: oczywiście doszło do naszych uszu, że jesteście jednym z najwierniejszych i najzdolniejszych oficerów, którzy służą pod dowództwem Craidena... może nawet trochę zbyt zdolnym.

- Co to ma znaczyć? - spytał podejrzliwie Mardu. Jak oficer może być „zbyt zdolny“?

- Doszło też do naszych uszu, że nie zgadzacie się ze wszystkimi decyzjami, które mistrz klanu podjął w przeszłości.

Rymer podniosła szybko rękę, kiedy Mardu chciał zaprzeczyć i mówiła dalej lekko zmienionym tonem głosu: - Oczywiście wiemy też, że jesteście człowiekiem zbyt honorowym, aby otwarcie głosić krytykę decyzji waszego mistrza klanu albo też otwarcie mu się przeciwstawiać.

Mardu przechylił głowę na bok, słuchając z uwagą, a Rymer popatrzyła na niego tak, że poczuł się jeszcze bardziej skonsternowany, bo, o dziwo, w jej spojrzeniu nie było wrogości.

- A kto coś takiego twierdził? - zapytał ostrożnie.

- Ależ generale! - rzekła Rymer, potrząsając głową, ale także z lekkim uśmiechem. - Nie próbujcie nam wmówić, że człowiek waszego formatu i dysponujący takim doświadczeniem odbywa służbę u Craidena i nic nie mówi o swoich przemyśleniach!

Coś w tym jest - pomyślał Mardu, ale ciągle był jeszcze nieco nieufny.

- I cóż z tego? - spytał obcesowo.

- To mnie zaciekało - powiedziała Rymer. - Chciałam wiedzieć, czy taki człowiek jak wy, człowiek, o którym mi tyle opowiadano, rzeczywiście służy w armii Craidena i dlatego kazałam was tu sprowadzić.

- I cóż z tego? - spytał raz jeszcze Mardu.

- To, co mi o was opowiadano, wcale nie jest przesadzone - od powiedziała. - Jestem trochę zdziwiona, że mistrz klanu już dawno nie mianował was naczelnym komendantem całej swojej armii.

Generał przezornie nic nie powiedział - bo cóż mógł powiedzieć?

W końcu słowa Rymer odpowiadały prawdzie i on sam też nieraz zadawał sobie takie pytanie.

- Spytam otwarcie - mówiła dalej Rymer po upływie kilku sekund, podczas których przyglądała mu się nader uważnie. - Czy to możliwe, że mistrz klanu Craiden obawia się was?

- Nonsens! - zaprotestował Mardu. - Nigdy bym nie...

- ...nie odważylibyście się podważać jego decyzji, nigdy też nie przeciwstawilibyście mu się otwarcie, wiem - przerwała mu Rymer, kończąc jego zdanie. - Na to jesteście człowiekiem zbyt

prostolinijnym i uczciwym. Mimo wszystko: co będzie, jeśli mistrz klanu Craiden dostrzeże wasz talent i obawia się, że inni też mogą to zrobić?

Jego władza mogłaby zostać osłabiona, jeśli podwładni zaczną dostrzegać, że w jego otoczeniu jest człowiek o wiele bardziej dalekowzroczny i przewidujący niż on?

- Nonsens! - fuknął znów Mardu, choć już nie tak przekonująco, jak poprzednio.

- Pomyślcie o tym przez chwilę, generale - odpowiedziała zachęcająco Rymer. - Mistrz klanu Craiden z pewnością chce wszystkiego, co najlepsze dla tego miasta, że tak jest nie mam żadnych wątpliwości.

-I akurat wy to mówicie?

- Fakt, że mistrz klanu jest naszym zadeklarowanym wrogiem, nie oznacza jeszcze, że nie mam dla niego respektu albo że go nie doceniam - odparła Rymer. - Nie popełniam tego samego błędu w stosunku do was, generale, a tym bardziej teraz, kiedy poznałam was osobiście. Nie - Rymer potrząsnęła energicznie głową. - Respektuję jego cele. On nie chce niczego innego niż my wszyscy: żyć, mieć co dać jeść swoim poddanym i zapewnić bezpieczną przyszłość swoim dzieciom.

- To dlaczego walczyacie ze sobą? - spytał Mardu.

Rymer westchnęła głęboko.

-I tu dobrnęliśmy do zasadniczej sprawy, generale - jej głos nagle posmutniał. - My i wy... nie musimy być wrogami. To nie jest naprawdę konieczne, abyśmy się nawzajem mordowali.

- Dotychczas to wy mordowaliście nas - warknął Mardu. Był zaniepokojony, bo nie za bardzo wiedział, do czego w ogóle zmierzała senator Rymer. Ale bez wątplenia do niczego dobrego.

-Jeśli przyjrzeć się temu dokładnie, to nie do końca to jest prawdą - zaprzeczyła. - O tak, w przeszłości wydarzyło się wiele złych rzeczy, z których nie możemy być dumni. Ale wczorajsza katastrofa - to nie nasza wina.

- Ach, nie? A czyja?

- Może kogoś, kto dał ci tę bombę i przypadkowo zapomniał dodać, jaka jest siła jej wybuchu? - spytał szydlerczo Plixx.

Rymer znów uniosła rękę w pojednawczym geście.

- Słowa Plixxa może nie są do końca właściwe - rzekła z przepaszającym uśmiechem. - Ale obawiam się, że ma on trochę racji. To, co stało się wczoraj, było bez wątplenia katastrofą i wielką tragedią.

Prawie pół miliona waszych braci i sióstr w mgnieniu oka straciło życie. Jest mi ich ogromnie żal, generale, uwierzcie mi. Ale - to nie była nasza wina.

- Ach, nie? - spytał Mardu. - A czyja?

- Niewidzialna osłona, która otacza naszą wieżę, jest niezniszczalna - odpowiedziała Rymer. - Żadna siła wszechświata nie jest w stanie jej przewyciężyć. Nawet nasza własna broń. Wiecie, jak potężna jest Ściana. Mówiliśmy o tym mistrzowi klanu Craidenowi, ale on mimo wszystko odpalił tę potworną bombę i zginęły setki tysięcy jego współrodaków!

-I nawet jego niektóre armie - dodał Plixx. -I zupełnym przypadkiem były to te armie, o których się mówiło, że były wierne właśnie wam, generale.

Mardu zignorował te słowa.

- Musieliśmy jednak przynajmniej spróbować, prawda?

- Musieliście? - spytała Rymer. - Czy naprawdę musiało umrzeć tak wielu tylko po to, aby jeden człowiek mógł udowodnić, że ma pełnię władzy i pragnie wojny?

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytał Mardu. Czuł się bardzo, zaniepokojony.

I znów na jego pytanie odpowiedział Plixx, uprzedziwszy senator Rymer. Może był po prostu szybszy.

- Pani senator jest dyplomatką i czasami po prostu nie wypada jej nazywać rzeczy po imieniu - powiedział. - Ale tu chodzi o życie, Mardu. Życie twoich ludzi. Bardzo wielu ludzi. Mistrz klanu Craiden dąży do wojny i chce jej za wszelką cenę. Może nie wystarczy mu bycie władcą

trzynastu wielkich klanów. Chciałby być wojskowym naczelnikiem całego Oblężenia, aby umocnić swoją władzę.

- Przecież jest nim już od dawna - odpowiedział Mardu. Dlaczego w ogóle dyskutował o tym z myszą? - I robi wszystko, aby o tym nie zapomniano - mówiła dalej Rymer. Gdyby Mardu nie wiedział, że dla kobiety takiego kalibru i o takiej inteligencji coś takiego musiałoby bez wątpienia być poniżej jej godności, to byłby skłonny przypuszczać, że ona i Plixx prowadzą bardzo dokładnie przygotowaną grę.

- Nie wiem, co mówił wam mistrz klanu, ani też co on w ogóle próbuje osiągnąć, ale my jesteśmy tymi, którzy z tego powodu cierpią.

- Co przez to rozumiecie?

- Craiden zjawia się tutaj i wysuwa liczne żądania, których nie możemy spełnić - wysyczał Plixx. - Nawet gdybyśmy chcieli, w ogóle nie jest to możliwe. Twój dowódca jest właśnie panem wojny. I nie chce być nikim więcej!

- Tylko że my nie chcemy tej wojny - podjęła Rymer. - Nikt nie zyskuje na wojnie, której nie może wygrać żadna ze stron, generale.

Wszystko, co w jej wyniku moglibyśmy osiągnąć, to jeszcze więcej cierpienia po obu stronach. I niepotrzebne przelewanie krwi.

- Krwi twojego ludu - dodał Plixx.

- Ale my tego nie chcemy - powtórzyła Rymer. - Nie pragniemy niczego więcej niż tylko i wyłącznie pokoju.

- Ale nie jesteśmy już pewni, czy twój mistrz klanu pragnie tego pokoju - dokończył zdanie Plixx.

W głowie Mardu powoli wszystko zaczynało wirować.

- A co będzie, jeśli Craiden znowu zastosuje tę potworną broń i umrze o wiele więcej twoich ludzi?

- A co... - Mardu z trudem usiłował uporządkować myśli. - A czego właściwie chcecie teraz ode mnie?

Tym razem nie otrzymał natychmiastowej odpowiedzi, ale na twarzy Rymer pojawił się znowu uśmiech, bardzo szczery - ale i bardzo uczciwy.

- Niewiele, generale - rzekła. - W gruncie rzeczy tylko tyle, abyście nas w tej chwili wysłuchali. Chcemy wam coś zaproponować.

Gea. Nie była zbyt długo nieprzytomna - może pół godziny, czuła to - i tym razem nie ocknęła się w namiocie przywiązana do krzesła, lecz na twardej, drewnianej podłodze.

W rogu pomiędzy ścianą pomieszczenia, a wyraźnie półokrągłym sufitem znajdowało się malutkie, wąskie okienko, które nawet nie za bardzo zasługiwało na to określenie - bardziej przypominało ono wlot wentylacyjny - w dodatku niezbyt wydajny. W pomieszczeniu było gorąco i duszno. Zarówno ściany jak i podłoga wydzielały delikatną, ale bardzo nieprzyjemną woń. Poza tym podłoga się ruszała, od czasu do czasu rozlegało się też skrzypienie jakichś zardzewiałych, żelaznych elementów, a także parskanie jakiegoś dużego zwierzęcia.

Wóz poruszał się. Inaczej niż za pierwszym razem - nie była skrępowana, bo i po co? Było tu tylko malutkie okienko i co dziwne, nawet nie było drzwi; a jeśli nawet były, to na pewno dokładnie zaryglowane.

Gea zauważyła po chwili, że miała na sobie zupełnie inną odzież, poczynając od płaszcza i butów, a skończywszy na bieliznie. Myśl o tym, że ktoś ją rozebrał i dokładnie przeszukał, była dla niej nad wyraz nieprzyjemna, choć ostatecznie mogła to zrozumieć. Po wszystkim, co się stało, zrobiłaby dokładnie to samo. Mimo to czuła się niekomfortowo. Miała nadzieję, że to przynajmniej Craiden ją rozebrał i szukał ukrytej broni oraz urządzeń szpiegowskich albo może nawet schowanego gdzieś w jakimś otworze ciała małego statku kosmicznego.

Na samą myśl o tym mimo wszystko się uśmiechnęła, choć jej sytuacja zupełnie nie była wesoła, wręcz przeciwnie, była przecież w niebezpieczeństwie. Jednak nie martwiła się zbytnio z tego powodu.

Już sam fakt, że jej nie zabito od razu, dowodził, że jej życie nie było bezpośrednio zagrożone - przynajmniej nie w tej chwili - a gdyby miało być całkiem źle, to wciąż miała w zanadrzu jeszcze inną niespodziankę dla władcy klanu Tarkara i jego rogatego ochroniarza.

Jednak uśmiech szybko zniknął z jej twarzy, kiedy pomyślała o Craidenie. Żył wprawdzie, ale był ciężko ranny. Możliwe, że stracił rękę, nawet całe ramię, a ona nie miała pojęcia, jak dobrzy są rekonstruktorzy, których mieli do dyspozycji ci barbarzyńcy. Ale myśl o tym, że Craiden z jej powodu - choć nie bezpośrednio - miałby zostać kaleką, budziła w niej wyrzuty sumienia.

I po raz pierwszy, odkąd się ocknęła, zaczęła się wreszcie zastanawiać, dokąd ją w ogóle wieziono i w jakim celu. Na drugie pytanie dało się względnie łatwo odpowiedzieć - aby ją przesłuchać, ukarać albo jedno i drugie - ale na pierwsze pytanie odpowiedzi nie znała.

Opuścili obóz wojskowy, to było jedyne, co wiedziała z pewnością.

Przez jakąś godzinę, podczas której wóz kołysząc się i trzeszcząc jechał dokądś powoli, rozmyślała intensywnie nad tym pytaniem, choć wiedziała, że nie znajdzie na nie odpowiedzi. Ale przynajmniej czas mijał szybciej. Gea rozważała i odrzucała liczne możliwości - niektóre były dość przerażające, inne po prostu groteskowe - a ko lejną godzinę spędziła na wymyślaniu przeróżnych planów ucieczki, które musiała odrzucić jeden po drugim. Przynajmniej miała coś do roboty i w ten sposób znów upłynęło trochę czasu. Może nawet całkiem sporo, ponieważ zauważyła, że kolejny wytwór jej fantazji był po prostu snem (jeśli miała być wobec siebie szczerą, owe wytwory jej wyobraźni mniej były związane z planami ucieczki, a bardziej przypominały fantazje erotyczne związane z samym Craidenem).

Ocknęła się jednak i dostrzegła, że małe okienko pociemniało, musiała więc przespać zmrok.

A więc było już tak późno?

Martwiła się trochę, choć w rzeczy samej - tylko trochę. Nie wiedziała, która była godzina, ale do północy pozostało z pewnością trochę czasu i jeśli w jej sytuacji do tej pory nic nie miałyby się zmienić, ciągle miała ostatnie wyjście, choć na razie nie chciała go brać pod rozwagę. Ono oznaczałoby, że nigdy już nie zobaczy Craidena.

Doniosłość tej myśli dotarła wreszcie do jej świadomości i wtedy nieomal się roześmiała: jak gdyby do tej pory było inaczej! Nie. Logika podpowiadała jej, że właściwie powinna stąd zniknąć i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Ale gdyby słuchała swego rozumu, to w ogóle nie byłoby jej tutaj.

Po kolejnej godzinie czekania jej cierpliwość została nagrodzona.

Wóz zatrzymał się nagle i za chwilę na zewnątrz rozległy się jakieś niepokojące hałasy: stękanie i tupanie wołów, które ciągnęły wóz, rozgniewane głosy, które coś głośno wołały oraz rżenie koni. Z pewnością opuścili już obóz, ale widocznie zabrali ze sobą sporą jego część.

Za nią rozległo się ciężkie, głośne szcęknięcie i kiedy się odwróciła, spotkała ją niespodzianka: cała tylna ściana wozu była opuszczona na dół tworząc pochyłą rampę, przy końcu której stało dwóch Quorrlów, uzbrojonych w długie włócznie. Nie odezwali się ani słowem, ale ich postawa była tak wroga, że Gea przez chwilę wahała się, czy opuścić swoje więzienie. Jednak wyszła powoli na uginających się kolanach już choćby po to, aby nie dostarczać im pretekstu do wyciągania jej przemocą. Nie lubiła Quorrlów i nie miało to nic wspólnego z jej obecną sytuacją. Po prostu przez całe życie te niezgrabne kolosy wydawały jej się odrażające, chociaż (a może raczej, ponieważ) ci olbrzymi wojownicy z łuskami byli o wiele bardziej inteligentni, niż sądziła większość ludzi.

Obaj Quorrlowie wzięli ją między siebie i ruszyli, nie wzywając jej nawet choćby mruknięciem, aby szła z nimi. Gea robiła bez szemrania wszystko, czego sobie życzyli. Przy okazji wykorzystwała sposobność, aby rozejrzeć się szybko i wymyślić jakiś sensowny plan ucieczki. Wcześniej przypuszczała, że armia zabrała ze sobą część obozu, udając się w nieznanym jej kierunku; teraz przez chwilę zastanawiała się poważnie, czy nie była to cała armia. Wóz - jeden z wielu o bardzo różnej wielkości i rodzaju budowy - tworzył centrum imponującego, ogromnego okręgu namiotów, które właśnie rozbijało przynajmniej dwustu wojowników w niesłychanym pośpiechu i z wielkim hałasem. Nie mniej imponującą liczbą wojowników na opancerzonych bitewnych rumakach albo na kolczastych, osobliwych

jaszczurach utworzyła niedaleko za okręgiem namiotów drugie koło, a na tle gwiaździstego nieba pojawiły się czarne sylwetki trzech daktyli, których jeźdźcy patrolowali obóz. Musi tu być przynajmniej trzystu wojowników, jeśli nie więcej- pomyślała Gea. A z drugiej strony - czyż można było spodziewać się czegoś innego? W końcu chronili samego mistrza klanu.

Obaj Quorrlowie kierowali się w stronę największego i najlepiej opancerzonego wozu, który poruszał się na olbrzymich oponach wielkości człowieka. Z boku wozu widać było kilka oszklonych okien z masywnymi okiennicami. Teraz były one otwarte na oścież, a na dachu wozu wznosiły się dwie wieżyczki strzelnicze, z których wystawały lufy dwóch rozrywaczy, tak dużych, że z pewnością mogły zamienić w pył nawet budynek. Spora ilość mniejszych, ale mimo wszystko wielkokalibrowych rozrywaczy wystawała niczym kolce jeża z licznych otworów strzelniczych pancernych płyt. Były tam jeszcze inne przedmioty, których przeznaczenie było dla Gei zagadką. Najdziwniejsze było jednak to, że pojazd nie miał dyszla czy też czegokolwiek, do czego można by zaprząć zwierzęta pociągowe. Był to pojazd jeżdżący samodzielnie - Gea słyszała o nim, ale nigdy go nie widziała. Nie wiedziała też, jaką siłą jest napędzany. Widocznie - pomyślała - Tarkar i jego klan nie należą do tych, którzy odrzucają wynalazki

Starej Techniki. W tylnej części opancerzonego wozu otworzyły się drzwi; na dół zeskoczyła postać w czarnym płaszczu i ruszyła w ich stronę. Był to Craiden. Jego prawe ramię, obandażowane od ręki aż powyżej łokcia, spoczywało na temblaku i nawet z tej odległości w kompletnych ciemnościach Gea dostrzegła, że był bardzo blady i że jego ruchy były nieco ociężałe. Ale w każdym razie żył. Wszystko inne było nieważne.

Gea pobiegłaby mu naprzeciw, gdyby pozwolili na to dwaj strażnicy z łuskami. Quorrl po jej lewej stronie warknął ostrzegawczo, kiedy tylko napięta mięśnie chcąc ruszyć szybciej, cierpliwie poczekała więc, aż Craiden pokonał mały dystans i zatrzymał się dwa kroki przed nią. Zupełnie nie myśląc o tym, co robi, podniosła obie ręce chcąc go objąć, na co jeden z Quorrlów szarpnął ją brutalnie do tyłu tak mocno, że niemal straciła równowagę.

Craiden wykonał zdrową ręką gniewny gest i obaj strażnicy cofnęli się o kilka kroków, ale jednak pozostali w pobliżu.

- Craiden... - zaczęła Gea niezdarne. Nawet już nie próbowała go dotknąć. - Jak ja się cieszę, że żyjesz.

Mistrz klanu patrzył na nią ze zmarszczonym czołem i milczał.

- To... z twoją ręką - jest mi bardzo przykro - powiedziała jękając się. - Ja nie chciałam, żeby coś takiego się stało.

- To nie była twoja wina - odpowiedział w końcu. Jego głos był wyraźnie znużony i Gea przypuszczała, że musiał w ciągu ostatnich godzin znosić ogromny ból. - W pewnym sensie dobrze mi tak. To głupie, strzelać do drony technomagii i nie wpaść na pomysł, że ona może się bronić. Ale to moja wina, że ona w ogóle tu była - pomyślała Gea. Zachowała jednak tę myśl dla siebie.

- Mogłabym ci pomóc - powiedziała zamiast tego. - Moje siostry mają bardzo dobrego rekonstruktora. W ciągu kilku dni miałbyś nowe ramię. Lepsze od poprzedniego.

- Z tego poprzedniego byłem właściwie bardzo zadowolony - rzekł Craiden. - I nie jestem tutaj po to, aby mówić o mnie. Nie pierwszy raz jestem ranny. Mój ojciec pozwolił mi jeszcze raz porozmawiać z tobą, zanim ruszymy dalej.

- A dokąd? - spytała rozczarowana.

- Do naszego pałacu, zamku Tarkar - odpowiedział Craiden. - I zanim zapytasz: jest to zarówno pałac jak i zamek, odpowiednio do potrzeb.

- I zakładam, że w obu formach są odpowiednio głębokie lochy?

Craiden nie uśmiechnął się, lecz popatrzył na nią jeszcze poważniej. W jego oczach widać było wyraźną troskę, ale Gea była rozczarowana. Miała nadzieję, że zobaczy w nich coś więcej.

- Zdaje się, że ciągle nie zdajesz sobie sprawy, jak poważne jest twoje położenie, dziewczyno.

-Gea.

- Gdyby postąpiono zgodnie z zamiarem Tormana, to on zabiłby cię na miejscu. Z wielkim trudem udało mi się przekonać mojego ojca, aby go od tego odwiódł.

- A więc muszę po raz drugi podziękować ci za uratowanie mi życia - odpowiedziała Gea.

- Nie dziękuj za wcześniej - odparł poważnie Craiden. - Nie jestem pewien, czy poprzez to oddałem ci jakąś przysługę. Wczoraj było ośmiu zabitych. I wielka liczba rannych. A w panice zginęły trzy daktyle. To niepowetowana strata.

- Czy Crusher...

- Crusher ocalał - powiedział szybko. - Może jest trochę potłuczony, ale w efekcie jeszcze bardziej wściekły i zjadły w walce.

Uśmiechnął się blado, ale natychmiast spowaźniał.

- Ta eksplozja... to nie moja wina - powiedziała szybko Gea. - To był jakiś szaleniec, który coś majstrował przy skanerze i...

- Wiemy o tym - przerwał jej Craiden. - Stopak był głupcem, który spowodował już znacznie więcej strat. Ostrzegaliśmy go kilkakrotnie, ale nie posłuchał i zapłacił za to wysoką cenę. Gdyby nie rozerwała go eksplozja, to mój ojciec kazałby go bez wątpienia ściąć.

- Ale w takim razie wiecie, co się stało! - wykrzyknęła Gea.

- Drona chciała mnie tylko bronić. I nigdy nie strzelałaby do ciebie, gdybyś pierwszy nie otworzył ognia!

- Nie wolno jej było tam się w ogóle znaleźć - powiedział Craiden poważnie. - Wydaje się, że ty nie chcesz pojąć, dziewczyno...

- Co? - fuknęła Gea.

-... jak tę sprawę widzi Torman - dokończył. - I obawiam się, że mój ojciec też. Oni sądzą, że przysłali cię tu nasi wrogowie, abyś nas szpiegowała.

- A ty? - spytała Gea. - Ty też w to wierzysz?

- To, w co ja wierzę, nie podlega dyskusji - odparł Craiden kategorycznie. - Jestem wprawdzie synem władcy klanu, ale mimo to tylko prostym żołnierzem. A fakt, iż mój ojciec wie, że się znamy, tylko pogarsza sprawę.

-Ja nie jestem szpiegiem! - oburzyła się Gea. - A gdybym nim była, to na pewno nie dałabym się tak głupio złapać.

- Nie jesteś pierwszą, która nas nie docenia - odparł Craiden.

- A twoją szpiegowską technomagię też znaleźliśmy.

Potrząsnął gwałtownie głową i skrzywił się. Prawdopodobnie ten ruch spowodował ból w zranionym ramieniu.

- Ale jak mówiłem - ja ci wierzę. Niestety nie ma to żadnego znaczenia.

- Więc dlaczego chciałeś ze mną koniecznie jeszcze raz mówić?

- To, że ci wierzę, nie dowodzi, że mówisz prawdę - odparł Craiden. - Jeśli jednak kłamiesz, to teraz byłby właściwy moment, abyś się przyznała, dziewczyno. Mój ojciec jest twardym człowiekiem, ale nie okrutnym. Jeśli powiesz mu prawdę, daruje ci życie.

Gea westchnęła.

- Wygląda na to, że muszę wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo, żeby mnie nie zamordował. Jak brzmi nazwa tego klanu, przeciwko któremu toczycie wojnę?

- Johitowie, dziecko. A twoje położenie będzie jeszcze gorsze, jeśli dalej będziesz kłamać.

To nie Craiden wypowiedział te słowa, lecz jego ojciec. Kiedy Gea odwróciła się przestraszona, rozpoznała Tarkara i jego gwardzistę.

Obaj pojawili się w pobliżu zupełnie bezszelestnie. Rogaty olbrzym był ranny. Miał obandażowaną głowę, pierś i rękę. Patrzył na Geę wręcz z nienawiścią. Za to twarz Tarkara była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

-Ja nie kłamię - rzekła Gea.

- Nie, nie będziesz kłamać z pewnością, kiedy Torman cię prze słucha - odparł Tarkar. - Powiesz nam prawdę i wyłącznie od ciebie zależy, czy będziesz musiała znieść najpierw ból.

Wykonał gest ręką, wskazując obóz.

- Jak tylko słońce wzejdzie, ruszamy, a jutro o tej porze będziemy już na zamku. Tyle czasu daję ci do namysłu. Tym razem nie będzie przesłuchiwać cię Finde, lecz ludzie, którzy wiedzą, jak wydobywa się prawdę na światło dzienne.

- Ale ja mówię prawdę - zaprotestowała Gea. Jednocześnie czuła sama, jak bezsensowne było każde jej słowo. Bo ona na miejscu Tarkara też by w nie nie wierzyła.

- Może to i prawda, że zakradłaś się do naszego obozu, bo chciałaś zobaczyć mojego syna - powiedział Tarkar z nikłym uśmiechem na twarzy. - Przyznaję, że mój syn jest przystojnym chłopcem, który robi wrażenie na kobietach. Ale czy nadal twierdzisz, że naraziłaś swoje życie i tę niewyobrażalnie cenną Starą Technikę tylko dlatego, żeby móc porozmawiać z Craidenem?

- Może nie tylko chciałam z nim rozmawiać - odpowiedziała Gea zuchwale. Torman wciągnął ze świstem powietrze do płuc i naprężył mięśnie, ale Tarkar szybkim gestem nakazał mu milczenie.

- Kto cię przysłał? - spytał krótko.

- Nikt - upierała się Gea. - Zapytaj Finda! On potwierdzi, że mówię prawdę!

- Ktokolwiek cię przysłał, doskonale zna się na Starej Technice - odpowiedział Tarkar. - Może na tyle dobrze, aby umieć oszukać nawet Finda... albo zakochanego młodego mężczyznę, który spotkał ładną dziewczynę.

Gea zamierzała odpowiedzieć mu naprawdę gniewnie, ale dostrzegła jego twardy wzrok i poprzestała na pełnym rezygnacji westchnięciu. To nie miało sensu. Tarkar jej nie wierzył, bo ani nie mógł ani też nie chciał wierzyć, a ona nawet nie miała mu tego za złe. I była to tylko i wyłącznie jej wina. To ona wszystko zaważyła.

- Przykro mi - powiedziała, zwracając się do Craidena. - Wiem, że mi nie wierzycie, ale naprawdę chciałam cię tylko zobaczyć, to wszystko. Może... może uda się to kiedyś, kiedy wasza wojna się skończy. Przyślę ci zaproszenie.

Craiden zmarszczył czoło. Tarkar uśmiechnął się, a Gea zastanawiała się, czy ma ukraść Craidenowi całusa na pożegnanie, ale zrezygnowała i skoncentrowała się na transporcie w czasie.

Ale - nie stało się nic.

Gea zamrużyła, zamknęła oczy i skoncentrowała się teraz z całej siły, ale kiedy podniosła powieki, spostrzegła spojrzenie Craidena, rozczarowane i pełne smutku, a Tarkar wyciągnął rękę w jej stronę.

Na jego dłoni leżał mały, beżowy przedmiot.

Gea z niedowierzaniem otworzyła szeroko oczy.

-Jeżeli tego szukasz...

Gea podniosła rękę, jak gdyby chciała wziąć bioprzełącznik, ale zamiast tego dotknęła ręką karku: poczuła niewielki strup między drugim a trzecim kręgiem szyjnym - jego wielkość odpowiadała dokładnie wielkości przełącznika.

- Finde to odkrył, kiedy leżałaś nieprzytomna - powiedział Tarkar. - Znalazł też jeszcze kilka innych przedmiotów w twoim ciele, które... nie należą do jego wyposażenia. Torman był za tym, aby to wszystko także wyciąć, ale zabroniłem mu tego. Przynajmniej na tę chwilę.

Rzucił przełącznik na ziemię i zgniótł go butem.

- Czy powiesz nam teraz, kim jesteś, kto cię tu przysłał i dlaczego?

Gea wpatrywała się w brudną plamę na ziemi; po raz pierwszy poczuła nagły atak paniki. To - nie mogło się stać! Na wszystko na tym świecie - to nie mogło się stać!

- Twoje milczenie nic ci nie pomoże, dziecko - rzekł Tarkar.

- Zastanów się nad tym jeszcze raz. Ktokolwiek cię tu przysłał i zapewniał, że nic ci się nie może stać, okłamał cię. Czy chcesz umrzeć?

Chcesz cierpieć ból?

Gea zadarła głowę, wpatrzyła się w rozbity księżyc i spróbowała ocenić jego położenie na niebie, ale była na to zbyt zdenerwowana.

To nie mogło się stać! - Powiem ci, co się z tobą stanie, dziecko - rzekł Tarkar. - Zostaniesz zawieszona na nasz zamek. Tam Torman cię przesłucha. A kie dy skończy i odpowiesz na wszystkie jego pytania - a tak będzie, uwierz mi - to oddam cię wtedy moim ludziom, aby się zabawiali z tobą tak długo, aż będziesz martwa. Czy chcesz sobie tego oszczędzić?

Czuła, jak twarde są jego słowa i wiedziała, że mówi poważnie i że zrobi to wszystko, co zapowiedział, jeśli ona nie pozostawi mu wyboru.

- Która godzina? - zawołała Gea zdenerwowana.

- Co takiego? - wymamrotał władca klanu. - Jak daleko jeszcze do północy?! - krzyknęła.

- Może trzy godziny - odparł Craiden. - Dlaczego?

- Musicie pozwolić mi odejść! - zawołała Gea z rozpaczą. - Natychmiast! Rozumiecie? Natychmiast!

- Dlaczego? - spytał Tarkar.

- Bo oni będą mnie szukać, jeśli nie wrócę do północy! - odpowiedziała. - Oni tu przybędą, aby mnie zabrać i wtedy wszyscy umrzecie!

Torman roześmiał się. Craiden był osłupiały, a Tarkar westchnął jeszcze głębiej.

- A więc przyznajesz, że ktoś cię przysłał?

- Wy tego nie rozumiecie! - jęknęła. - Oni nie zostawią nikogo przy życiu, jeśli uznają, że jestem w niebezpieczeństwie!

- Kto? - spytał Tarkar.

Gea chciała odpowiedzieć... i nie mogła. Każde słowo, które by teraz wypowiedziała, było prawdą, wiedziała o tym z niezachwianą pewnością - ale nie miała pojęcia, co dokładnie się stanie, ani też - kiedy. Wiedziała tylko - że stanie się na pewno.

- A więc? - spytał Tarkar.

Milczała. Ale jej przerażenie powoli zamieniało się w panikę.

Musiała stąd zniknąć, natychmiast, albo wszystko przybierze o wiele gorszy obrót, a oni zabiją nie kilku, lecz setki ludzi.

Miała świadomość, że każda próba ucieczki była bezcelowa, ale wykonała pełen rozpacz skok pod chwytającą ją ręką Quorrla i pobiegła wprost w stronę rozstawionej dłoni drugiego, który bez najmniejszego wysiłku poderwał ją w górę. Zaciśnął drugą dłoń w pięść i w następnej chwili po prostu zmiażdżyłby jej twarz, gdyby Tarkar nie zagwizdał.

- Zostaw! - powiedział ostro władca klanu. - Nic jej się nie stanie. Ma mieć czas, aby dokładnie przemyśleć swoją decyzję. Nie spad nie jej włos z głowy, zanim nie dotrzemy do zamku. Zanieście ją do wozu!

-Ale czy wy tego nie rozumiecie?- krzyczała Gea. Uderzyła obiema pięściami w ramię Quorrla, potem w jego brzuch i pierś, ale wydawało się, że on nawet nie przyjął tego do wiadomości. Odwrócił się i zaniósł ją na wyciągniętym ramieniu do wozu, w którym została przywieziona. Gea krzyczała, uderzyła go jeszcze kilkakrotnie, z rozpaczą wykrzykiwała na przemian imiona Tarkara i Craidena, ale bez skutku. Quorrl wrzucił ją do wozu jak worek słomy, aż pod przeciwległą ścianę, gdzie upadła na podłogę, szlochając. Kiedy znów stanęła na nogach, kłapa zapadła się z głuchym łoskotem i usłyszała zgrzytanie ciężkiego, metalowego zamka. Jednym skokiem znalazła się przy kłapie, zaczęła walić w nią pięściami i krzyczeć, aż krew popłynęła jej z palców, a ona wyczerpana osunęła się na zie- mię. Jej serce biło tak szybko, że z trudem chwytła powietrze do płuc, a jej rozpacz sięgnęła chyba szczytu. Jeszcze nigdy nie doznała ani też nie mogła sobie wyobrazić takiego uczucia. Wszystko zepsuła! Nigdy nie zobaczy Craidena, on i jego ojciec i wszyscy tam na zewnątrz umrą, i to tylko dlatego, że miała ochotę na romantyczną przygodę i ani przez sekundę nie zastanowiła się, do czego to może doprowadzić; jak dziecko, które bawiło się ogniem i podpaliło przy tym nie tylko dom, ale i całe miasto.

Bijące gwałtownie serce Gei zaczęło się powoli uspokajać - na tyle przynajmniej, że mogła już normalnie oddychać, nie zanosząc się płaczem. Rozpacz nie paraliżowała już jej myśli, wstała więc powoli i postanowiła dokładnie zbadać swoje więzienie. W panujących ciemnościach



skazana była wyłącznie na czubki swych palców i zmysł dotyku, od początku nie miała więc zbyt wielkich złudzeń, ale obmacała dokładnie każdy centymetr wnętrza, na ile to było możliwe wspięła się nawet na ściany i zbadała wypukły sufit tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć wyciągniętymi ramionami.

Oczywiście to wszystko było bezcelowe. Wóz był całkowicie pusty i tak masywny jak zamek na kółkach - a właściwie jak więzienie na kółkach. Czubki jej palców trafiały raz po raz na liczne ślady zadrapań w twardych jak kamienie belkach, a niektóre z nich były tak głębokie, że na próżno zadawała sobie pytanie, jakie pazury musiała mieć kreatura, która była w stanie je zrobić. Wszystko było masywne, ciężkie i ogromnych rozmiarów, nawet jedyne okienko wysoko pod sufitem było zakratowane, choć miało szerokość dwóch dłoni.

Raz czy dwa razy wspięła się do niego i trzymając się obiema rękami zardzewiałych żelaznych krat wykrzykiwała głośno i z rozpaczą imiona Craidena i Tarkara, ale jedyną odpowiedzią był przytłumiony, odległy hałas obozu i chrapliwy wrzask daktyli, patrolującej obóz gdzieś na niewidzialnym niebie. W końcu Gea zrezygnowała ze wszystkich prób, skuliła się w tym samym kącie wozu, w którym spędziła większą część dnia i robiła to, co jej pozostawało: czekała na coś okropnego, o czym wiedziała, że z pewnością wkrótce nastąpi.

Powoli, niestychanie powoli płynął czas, składający się z szeregu małych wieczności, które wydawały się nie mieć końca, a jeśli nawet, to po jednej wieczności zaraz zaczynała się następna. Gea czuła, że północ już dawno minęła, nie stało się jednak nic, potem znów upłynęła kolejna wieczność i znowu, aż w końcu usłyszała kroki, które zbliżały się do wozu. Kłapa opuściła się powoli, do środka wozu wpłynęło srebrne światło nocy.

Tym razem Craiden przyszedł sam. Stał przy końcu krótkiej rampy, której rolę pełniła opuszczona kłapa, patrzył na nią przechylając na bok głowę i nie wyglądało na to, że ma zamiar wejść do wnętrza wozu. Gea wstała więc i z wahaniem zeszła na dół. Zatrzymała się na rampie, aby ich twarze były przez chwilę na tej samej wysokości.

Na dworze zrobiło się wyraźnie chłodniej; dobiegające z obozu dźwięki nie umilkły zupełnie, były jednak jeszcze bardziej przytłumione. Nawet oczy Gei mimo swych wyjątkowych właściwości nie dostarczały jej zbyt wielu informacji. Jeśli po tej stronie namiotów czuwały jakieś strażę, to nie była w stanie ich dostrzec. Ale czuła, że obóz mimo nocy i uśpienia nie był zupełnie cichy i spokojny. Pod pozornie uśpioną powierzchnią coś wrzało. Coś - co było pełne wyczekiwania.

- Północ minęła - rzekł Craiden. - Ale nikt nie przybył, aby cię stąd zabrać, Gea.

Jak gdyby to miało jakieś znaczenie! Północ minęła, a wraz z nią chwila, kiedy w centrali bezpieczeństwa pałacu zapaliło się światło alarmowe - o ile nie stało się to już w tej chwili, kiedy Torman usunął z jej karku bioprzełącznik. Może jej siostry jeszcze nie porozumiały się w kwestii, czy mają ją odebrać już teraz czy też dać jej jeszcze chwilę - aby ją potem przykładowie ukarać za kolejną ucieczkę. Bardziej prawdopodobne było, że wysłały kawalerię najpóźniej w tym momencie, w którym zauważyły brak drony.

- Ale oni przybędą - powiedziała. - Powinniście naprawdę pozwolić mi odejść, zanim stanie się coś złego.

Twarz Craidena była w cieniu, nie mogła więc dostrzec jej wyrazu, ale wydawało jej się, że usłyszała pełne rezygnacji westchnienie i że dostrzegła coś jakby potrząśnięcie głową.

- Przejdźmy się kilka kroków - zaproponował, zamiast zareagować na jej słowa.

Rozejrzała się nerwowo dookoła, po czym skinęła głową. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że Craiden rzeczywiście przyszedł sam.

Nie było z nim ani obu Quorrlów ani innych strażników, ale to oczywiście nic nie znaczyło. Tym razem nawet myśl o ucieczce nie zrodziła się w jej głowie. Craiden dogoniłby ją błyskawicznie, nawet w tym stanie, w jakim był obecnie, a sam obóz stanowił coś w rodzaju twierdzy, z której nie można było się w żaden sposób wyślizgnąć.

I właściwie wcale nie chciała uciekać, lecz po prostu być w pobliżu Craidena. Może udałoby jej się wówczas przemówić mu do rozsądku.

- Opowiedz mi o swoich siostrach - zaczął Craiden, kiedy oddalili się już kilka kroków od wozu.

- Dlaczego?

Roześmiał się.

- Może po prostu interesuje mnie twoja fantazja - powiedział. - Ciągłe opowiadałaś mi o swoim ojcu, którego przecież wcale nie masz. Może teraz chciałbym usłyszeć coś o twoich siostrach, które również nie istnieją.

- Istnieją - odparła Gea. - Choć czasem życzyłamby sobie, aby ich nie było.

- Ile ich jest? - spytał Craiden. - Dwanaście? I tyle samo braci?

- Dwie - wyznała Gea. - I nie mam braci.

- A zdradzisz mi swoje imię? A może też go nie znasz?

- Co to ma znaczyć? - Gea zatrzymała się nagle. - Też nie znam?

- Zdaje się, że nawet nie znasz swojego własnego imienia - odparł spokojnie mistrz klanu.

- Nonsens! - fuknęła. - Nazywam się Gea!

- Nie, tak się nie nazywasz - znów odparł spokojnie Craiden. - Tak w każdym razie twierdzi Finde. A on zawsze wie, czy ktoś mówi prawdę czy nie.

- Zadaj więc jemu te pytania, jeśli i tak mi nie wierzysz!

- Na razie to jest niemożliwe - odpowiedział. - Finde został ranny we wczorajszym wypadku. Ale bez obaw, wkrótce stanie na nogach.

Na wszystkich trzech.

Skąd przyszedł mu do głowy pomysł, że ona mogła obawiać się o tę paskudną kreaturę? Ale nagle uświadomiła sobie, że w przeciwieństwie do swojego ojca i Tormana, Craiden mówił o wypadku, a nie o ataku. Zrezygnowała więc z uszczypliwej uwagi i odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Może jednak nie było jeszcze za późno, aby zapobiec najgorszemu.

- Mam na imię Gea - powiedziała. Ale coś poruszyło się w niej samej, kiedy zarówno chciała się przy tym upierać jak też przyznać rację Craidenowi. Jakaś gniewna myśl kazała jej teraz zapomnieć o tym uczuciu.

- Jest mi obojętne, co mówi albo gwizdże na to wasz potwór o trzech nogach. Może się myli. A może umyślnie was oszukuje, skąd mam wiedzieć? Przecież wiem, jak się nazywam!

Craiden popatrzył na nią przenikliwie i wydawał się czekać, aż ona powie coś jeszcze, być może liczył na to, że wyjawি mu prawdę.

Wzruszył ramionami i ruszył dalej.

- Jesteś zadziwiająca dziewczyną - rzekł po chwili. - Coś mówi mi, że nie kłamiesz. A jednocześnie czuję, że nie jesteś tą osobą, za którą się podajesz. Albo przynajmniej wierzysz, że nią jesteś.

Gea nie tylko się zatrzymała, ale cofnęła się o dwa kroki, aby zmierzyć go spojrzeniem od stóp do głów.

- Czego szukasz? - spytał.

- Twojej trzeciej nogi - odpowiedziała całkiem poważnie. - Wydaje mi się, że uważasz się za Finda.

Craiden roześmiał się cicho, ale jego oczy pozostały poważne.

- Nie trzeba być potworem o trzech nogach, żeby wiedzieć, czy jest się okłamywanym przez jakąś dziewczynę.

-Geę.

-Jakąś Geę - powtórzył.

Mimowolnie roześmiała się. Nieprzyjemne napięcie między nimi może nie zniknęło zupełnie, ale wyraźnie złagodniało. Powoli szli dalej, a Gea wykorzystwała okazję, aby być jeszcze bliżej niego. Szła po stronie jego prawego, zawieszzonego na temblaku ramienia, nie chcąc mu sprawić bólu - w innym przypadku wykorzystałaby tę okazję i po prostu oparła się na jego ramieniu. Co takiego musiała jeszcze zrobić, aby ten głupiec wreszcie zrozumiał, że była tu wyłącznie z jego powodu?

Kiedy łamała sobie głowę nad tym, jak niepostrzeżenie przejść na jego lewą stronę, Craiden

nagle zatrzymał się i uniósł głowę do góry, patrząc zmrużonymi oczami na niebo, jak gdyby chciał je przeszukać.

I chwilę przedtem, zanim zobaczyła trójkątny cień, usłyszała go: głębokie, odczuwalne niemal gdzieś w głębi własnego ciała buczenie, zupełnie jak uderzenia ogromnego, stalowego serca, napędzanego staroświeckim tłokiem parowym. Daktyla rzuciła w stronę czarnego giganta przekorne, głośnie wyzwanie i przemknęła obok jak strzała. A potem ze wszystkich namiotów wybiegli Quorrlowie i ludzie, jak gdyby nikt nie spał, a wszyscy z bardzo nowocześnie wyglądającą bronią w rękach. Dwie postacie - w tym jedna o czterech rogach i o potężnej posturze - biegły w stronę Gei i jednocześnie jak spod ziemi wynurzyli się obaj pełniący straż Quorrlowie, którzy zamienili swoje włócznie na błyszczące rozrywacze.

Gea nie poczuła ulgi, lecz przeciwnie - była trochę rozczarowana.

Craiden nie przyszedł więc do niej dlatego, że chciał ją zobaczyć, ale dlatego, że wszyscy się czegoś spodziewali. Szkoda. Chciała, aby na koniec wszystko było inaczej.

- Mówiłam wam, że oni przybędą - zwróciła się do Tarkara.

Nie otrzymała odpowiedzi. Władca klanu uniósł pytająco w górę jedną brew i popatrzył na nią zdziwiony, podczas kiedy Torman z gniewną miną patrzył w górę i śledził wzrokiem sylwetkę myśliwca mordercy, który powoli obniżał wysokość, aż znieruchomiał dobre sto metrów nad obozem. Teraz, nocą, wyglądał jak olbrzymi, czarny klin, wręcz odłamek gwiazdzistego nieba, ale przez to wydawał się jeszcze groźniejszy, tym bardziej, że nocą nie można było dostrzec śladów niechlujnie wykonanych napraw i przeróbek na jego powierzchni. Craiden widział już ten statek przy świetle dziennym, ale Gea miała nadzieję, że nie da się nabrać na jego pozornie zaniedbany wygląd.

- A więc to są twoje siostry? - spytał Tarkar. - Chętnie z nimi porozmawiam.

- To tylko maszyna, którą przysłały, aby mnie stąd zabrać - odpowiedziała Gea. - Nikogo nie ma na pokładzie.

I Tarkar powinien się cieszyć, że tak było. Gdyby przybyła jedna z jej sióstr, to byłaby teraz prawdopodobnie tak rozwścieczona, że Gea nie mogłaby niczego zagwarantować.

- Nie mogę dopuścić do tego, aby cię zabrały - rzekł Tarkar.

Myśliwiec morderca hucząc głośno opuścił się jeszcze niżej, a daktyla, którą Gea dopiero co widziała, znów przypuściła pozorowany atak. Wobec ogromnych rozmiarów myśliwca przypominała komara, który atakuje latającą górę, w ostatniej chwili przechyliła się więc w bok i zniknęła gdzieś w ciemnościach. W przedniej części czarne go cienia ukazał się świecący kwadrat i nagle na dół, wprost na nich, spłynęło łagodne, białe światło, tworząc na ziemi, zaledwie kilka kroków dalej, okrąg o średnicy około dwóch metrów.

Gea zrobiła pół kroku w tę stronę i nagle zatrzymała się, bo przed nią wyrosła postać Tarkara.

- Nigdzie nie pójdziesz, zanim nie porozmawiam z kimś, kto mnie przekona, że jesteś rzeczywiście tylko tym naiwnym dzieckiem, które udajesz - rzekł.

Czy on zwariował? - pomyślała Gea. Co musiało się jeszcze stać, aby pojął, kto właściwie siedzi za sterami tego statku? Była również zdziwiona, że jak do tej pory wszystko przebiegało w tak pokojowy sposób. Jedna z jej sióstr musiała zapewne wyposażyć pamięć myśliwca w specjalny program deeskalacji, ale kto jak kto, ona, Gea, wiedziała doskonale, że cierpliwość tego blaszanego mózgu była nader ograniczona.

- Możecie rozmawiać z moimi siostrami - powiedziała. - Ale nie teraz. Jestem pewna, one przybędą do was albo zaproszą was do swojego pałacu, jeśli wolicie, a to tam na górze, to tylko głupia maszyna. Uzbrojona w ciężką broń, władco klanu! Czy rzeczywiście chcecie, aby połała się krew?

Tarkar patrzył na nią w milczeniu i chyba rzeczywiście zaczynał pojmować, o co tu chodzi. Gea minęła go i ruszyła w kierunku świecącego okręgu na ziemi.

I wówczas jeden z Quorrlów chwycił ją tak brutalnie za ramię, że syknęła boleśnie. Przez ułamek sekundy coś zamigotało na czerwono pod kadłubem statku i uchwyt Quorrla rozluźnił się; olbrzymi wojownik upadł na ziemię jak ciężki worek. Nie miał głowy.

I wtedy zaczęła się katastrofa.

Bez zabranego jej przez Tormana bioprzekaźnika Gea nie była w stanie nawiązać kontaktu z myśliwcem - nie pozostawało jej więc nic innego, jak bezradnie patrzeć na wojowników Tormana, którzy unieśli broń jak na komendę i otworzyli ogień do unoszącego się w powietrzu statku: zielone, białe i czerwone błyskawice odbijały się od pancерnej powierzchni czarnego cienia, zostawiając jedynie nikłe ślady. Z jakiegoś powodu, którego Gea nie rozumiała, (a za co była wdzięczna), statek ciągle nie odpowiadał ogniem, ale to mogło trwać jeszcze najwyżej parę sekund.

Może wystarczy jej tyle czasu.

Ruszyła biegiem, przemknęła pod wyciągniętą ręką drugiego Quorrla, którego los towarzysza widać niczego nie nauczył i jednym skokiem rzuciła się w kierunku zbawczego kręgu światła. I prawdopodobnie znalazłaby się w nim, gdyby Torman nie był szybszy i nie zastąpił jej drogi - oboje sczepieni razem upadli na ziemię. Głowa, ramiona i część tułowia Gei znalazły się jednak w kręgu światła, będącym polem szybowania - oboje więc niestety łagodnie zaczęły unosić się do góry. Torman uchwycił się Gei ze wszystkich sił i aż stęknął ze zdumienia, kiedy nagle stracił swą wagę i powoli szybował do góry. Gea kątem oka dostrzegła, że Craiden i jego ojciec też pobiegli za nią, a drugi Quorrl doszedł chyba do wniosku, iż może pozwolić sobie na podobną głupotę jak jego towarzysz i skierował w jej stronę broń - zginął momentalnie, podobnie jak jego poprzednik.

I chyba Tarkar wreszcie zaczął pojmować, co oznacza zachowanie myśliwca mordercy. Zaczął biec jeszcze szybciej, jednocześnie krzyząc: - Nie strzelać! Wstrzymajcie ogień!

Większość jego ludzi zrozumiała ostrzeżenie i opuściła broń; ale byli tacy, którzy strzelali nadal, mimo że statek nie odpowiadał ogniem - zapewne atak tego rodzaju nie stanowił jeszcze dla niego dostatecznego zagrożenia.

A potem, dokładnie wtedy, kiedy Tarkar znalazł się dostatecznie blisko aby pochwycić Tormana, którego nogi znajdowały się dobre półtora metra nad ziemią, władca klanu nagle cofnął się, odwrócił w stronę opancerzonego wozu po drugiej stronie placu i krzyknął rozpaczliwym głosem: - Nie strzelać! Ale było już za późno.

Nikt w wozie nie słyszał jego słów. Bliźniacze lufy obu wieżyczek strzelniczych z szumem obróciły się dookoła swej osi, po czym uniosły w górę i poczwórna, jaskrawa błyskawica uderzyła w kadłub statku. Jedna z kopulek obronnych wozu eksplodowała jeszcze podczas strzału, a druga dosłownie stopiła się ułamek sekundy później, kiedy ostatecznie zawiodła staroświecka technika - razem z całym wozem, kiedy statek wreszcie odpowiedział ogniem. Jednocześnie przestało działać pole szybowania i Gea runęła w dół jak kamień z wysokości trzech metrów i tylko dlatego wyszła z tego cało, że spadła na Tormana, który z kolei pogrzebał pod sobą swojego pana. Pancerny wóz zamienił się w słup ognia, z którego na wszystkie strony wylatywały rozżarzone szczątki, płomień i wreszcie fala wysokiej temperatury. Chwilę potem, jeszcze zanim Gea zdążyła przeturlać się dalej i ukryć w dłoniach twarzy, niebo ponad nią stanęło w płomieniach, a statek przechylił się na bok i zaczął ziać ogniem.

Myśliwiec nie eksplodował natychmiast, nie runął też z nieba jak kamień - zarówno jedno jak i drugie zmiotłoby z ziemi każdy ślad życia w promieniu pół mili - łącznie z życiem statku. Czarna sylwetka zamieniła się w rozkołysany, płaski kamień i lewa strona trójkątnego korpusu przechyliła się wreszcie na bok. Jednostajne huczenie maszyn napędowych przeszło w dziwne, osobliwe skrzeczenie, przypominające bardziej dźwięk piły, która ugrzęzła w mokrym drewnie. Statek sunął ukośnie po niebie, ciągnąc za sobą ogon płomieni, dymu i rozżarzonych szczątków. W ostatniej chwili plunął ogniem - być może program deeskalacji jego komputera przestał działać. Kilkunastu wojowników z bronią zniknęło w czerwonym ogniu eksplozji, łącznie z tymi, którzy nie próbowali strzelać do statku.

Myśliwiec opadał powoli w dół, nagle wstrzymał ogień i spróbował z coraz większym hałasem skrzeczących silników unieść się w górę, choć właśnie powoli zaczynał się rozpadać - przedłużył w ten sposób swoją egzystencję o kilka cennych sekund, których potrzebował, aby wznieść się w powietrze na wysokość dwóch lub nawet trzech mil. Niesamowicie jaskrawy błysk pozbawił na chwilę świat wszelkich kolorów, potworne dudnienie eksplozji stało się wręcz męczarnią dla uszu Gei. Fala uderzeniowa zmiotła z ziemi połowę namiotów, zaś drugą połowę

tylko przewróciła, razem z ludźmi i zwierzętami. Gei wydało się nagle, że przesunęła się po niej niewidzialna, rozogniona ręka i przez sekundę miała okropne uczucie, że oddycha gorącym piaskiem.

Potem fala zniknęła i Gea odważyła się otworzyć oczy. Rozejrzała się, ale jednocześnie spytała siebie w myślach, czy to był dobry pomysł.

Obóz wyglądał jak po ataku bombowym. Wszystkie namioty były przewrócone, a połowa płonęła. Poprzewracane były nawet ciężkie wozy, a tam gdzie przedtem stał pojazd Tarkara, w ziemi ział olbrzymi krater o średnicy około dwudziestu metrów, z którego wydobywały się wysokie, żółte płomienie. Na pierwszy rzut oka Gea dostrzegła przynajmniej kilkunastu zabitych, a wśród tych ludzi, którzy jeszcze (albo znowu) trzymali się na nogach, wszyscy wydawali się ranni.

Nagle ktoś uderzył ją niezbyt łagodnie w bok i Gea zauważyła w tym momencie, że ciągle jeszcze leżała połową ciała na Tormanie, który odzyskał przytomność, próbował się podnieść i wyglądał tak, jak gdyby zupełnie nie rozumiał, co właściwie się stało.

Zanim zdołał znów ją uderzyć, Gea odczołgała się jak najszybciej na bok i usiadła; wówczas jakaś silna ręka chwyciła ją za ramię, brutalnie poderwała w górę i obróciła. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą czarną od sadzy i zalaną krwią twarz Tarkara, wykrzywioną w grymasie wściekłości. Jego wargi poruszały się, ale Gea słyszała jedynie głośny szum i gwałtowne bicie swojego serca. Otworzyła usta, poruszyła kilka razy dolną szczęką i coś trzasnęło. Teraz wreszcie mogła cokolwiek usłyszeć, choć niezbyt dobrze.

- ... twoje słowa, że nic się nie stanie, jeśli ci pozwolimy odejść! - krzyczał Tarkar. - Kilkunastu moich ludzi nie żyje!

Gea oszczędziła sobie i jemu uwagi, że to właśnie jego ludzie otworzyli ogień, a nie myśliwiec (choć nie za bardzo właściwie rozumiała, czemu) - nie tylko dlatego, że nie miała już ochoty, aby znów w bólach wyrastały jej nowe zęby. Tarkar za wszelką cenę potrzebował w tej chwili kogoś, komu mógłby przypisać winę za tę katastrofę, a ona nie miała ochoty znów tym kimś zostać. Oszczędziła też sobie i jemu przypomnienia, że go w końcu kilkakrotnie ostrzegała. O tym on wiedział chyba lepiej niż ona. Pomijając już...

Craiden!

Na wszechmocną Gaję, gdzie jest Craiden? Jak mogła o nim zapomnieć choćby przez sekundę?

Odwróciła się gwałtownie, uwalniając się z rąk Tarkara, zobaczyła go trzy kroki dalej leżącego na ziemi i jednym skokiem znalazła się przy nim na kolanach. Torman chciał ją pochwycić, ale był jeszcze zbyt oszołomiony, może Tarkar go przytrzymał, tego nie mogła już zauważyć, nie miało to żadnego znaczenia. Jej serce waliło jak oszalałe, kiedy pochyliła się nad Craidenem. W pierwszej chwili nie wiedziała, co robić - ale potem odwróciła go na plecy. Był ciężki, ale w przerażeniu nawet tego nie zauważyła, a kiedy zobaczyła jego twarz, prawie krzyknęła: był zalany krwią. Jego ubranie było porwane i częściowo spalone - na ciele widać było liczne, rozległe poparzenia i rany. Rana na ramieniu znów była otwarta i Gea poczuła wyraźnie zapach krwi, którą przesiąknięty był opatrunek. W pierwszej chwili nawet nie była pewna, czy Craiden żyje, ale po chwili jego wargi poruszyły się i usłyszała ciche, pełne bólu jęki.

Poczuła nagłe szturchnięcie. Spodziewała się zobaczyć Tarkara bądź jego gwardzistę, który z pewnością chwyciłby ją i odciągnął na bok, ale było to małe, pokryte błyszczącą chityną stworzenie z osobliwym pyszczkiem kota, które krążyło wokół niej, wydając przy tym dziwne, pełne wyraźnego zdenerwowania brzęczenie. Instynktownie chciała odsunąć Manę, ale kot-insekt kłapnął swymi niebezpiecznymi narzędziami do cięcia i gwałtownie poruszył skrzydłami. Druga próba odpędzenia Many omal nie kosztowała ją kilku palców. Problem rozwiązał Torman, odrzucając go do tyłu za pomocą potężnego kopniaka, w efekcie którego zwierzę wylądowało o metr dalej na grzbiecie, machając bezradnie owadziemi nóżkami. A Torman brutalnie chwycił Geę za włosy, szarpnął ją w górę i tak mocno wykręcił jej rękę na plecach, że z bólu zrobiło jej się niedobrze. Odciągnął ją na bok, aby Tarkar mógł zająć jej miejsce i uklęknąć przy synu. Zbadał go szybko, rzucił w stronę Gei jakieś przekleństwo w nieznanym jej języku i jednym gniewnym ruchem stanął prosto na nogach. Gea niemal nie dostrzegła jego ruchu - uderzył ją

w twarz grzbietem ręki tak gwałtownie, że natychmiast pękła jej dolna warga, a z nosa połała się krew.

- Zapłacisz za to! - wysyczał głosem pełnym nienawiści. - Jeśli on umrze, ty przez rok będziesz błagać o to, aby móc umrzeć, przysięgam!

- Pomóc... - wybełkotała Gea. Z trudem mogła myśleć, a co dopiero mówić. - Moje siostry mogą... mu pomóc. Musimy go... do nich zawieźć.

Tarkar w odpowiedzi uderzył ją jeszcze raz i jeszcze mocniej.

Może straciła na moment przytomność, bo kiedy sprzed jej oczu zniknęła czerwona mgła, zobaczyła, że znów klęczał przy Craidenie i uniósł go do pozycji półsiedzącej, musiał jednak przy tym trzymać go za ramiona, aby ranny znów nie osunął się na ziemię.

- Proszę... - wymamrotała cicho. - Uwierzcie mi. Moje siostry mogą go uratować. Pozwólcie mi je wezwać i...

Torman wykręcił jeszcze mocniej jej ramię i Gea z okrzykiem bólu osunęła się na ziemię. Znów zrobiło jej się niedobrze i tym razem zaczęła się martwić nie tylko o popękane wargi i naderwane ścięgna.

Gdyby Torman rzeczywiście ją zabił, to jej rekonstruktor, dysponujący znakomitą wiedzą i warsztatem w pałacu jej siostr nic już by nie pomógł. Tam, gdzie nic nie ma, nie da się też nic odbudować...

Władca klanu ostrożnie położył syna na ziemi (Gea z ulgą zauważyła, że Craiden nie stracił znów przytomności i uniósł się z trudem, opierając się na łokciu) i odwrócił się do niej. Jego wykrzywiona nienawiścią twarz przypominała teraz nieruchomą kamienną maskę, choć jego oczy płonęły.

- Przeklęte, głupie dziecko - powiedział. - Czy to jest to, czego chciałaś?

Zacisnął dłoń w pięść tuż koło jej twarzy, ale za chwilę bezwładnie opuścił rękę.

- Nie - wymamrotała. - Tego nie chciałam.

- Może to nawet i prawda - odpowiedział Tarkar. - Ale to żadna różnica. Zapłacisz za to, co się tu stało. A jeśli Craiden umrze, zabiję cię własnymi rękami.

I wtedy coś się stało. Gea nie potrafiła powiedzieć, co, ale poczuła to, a reakcja na twarzy Tarkara zdradziła, że on także to poczuł.

Było to tak, jak gdyby przez rzeczywistość przeszło jakieś delikatne szarpnięcie, które miało ją przesunąć w jakimś nieznanym kierunku.

Tarkar, zdumiony, przekręcił głowę i odsunął się od niej, a jego ręka spoczęła na srebrnej broni przy pasie.

Po drugiej stronie płonącego obozu pojawiły się jakieś postacie - trzy, pięć, wreszcie kilkanaście czarnych olbrzymów, każdy o wzroście powyżej dwóch metrów i osobliwie kanciastej budowie - giganty wynurzyły się dosłownie z nicości i zaatakowały równocześnie, poruszając się idealnie zsynchronizowanym ruchem.

- Co...? - wymamrotał Tarkar, Potem odwrócił się gwałtownie i krzyknął do Gei: - Na wszechwładną Gaję, co to za kolejne diabelstwo? Gea też dałaby dużo, aby się tego dowiedzieć. Po raz pierwszy w życiu widziała te niesamowite, czarne postacie, choć coś w głębi jej samej podpowiadało, że ona doskonale wie, kto to jest. Jedyne, co mogła z całą pewnością stwierdzić, to to, że się ich bała.

Tarkar wyrwał broń z pasa, ale co najmniej dwóch jego ludzi go ubiegło i zaatakowało czarnych gigantów włóczniami oraz maczugami. Gigant wyrwał spokojnie włócznię i połamał ją jedną ręką na kawałki, a drugą zrobił to samo z jej właścicielem. Maczuga trafiła olbrzymowi w żelazne ramiona i odbiła się od nich z tak głośnym dudnieniem, że przebiło się ono nawet przez rozlegające się dookoła krzyki, bitewny hałas i trzask płomieni. Czysty, odbity impet uderzenia wystarczył, aby wybić broń z rąk właściciela, jego samego przewrócić na plecy, a czarny olbrzym nawet się przy tym nie zachwiał.

Nawet nie zwrócił uwagi na napastnika, lecz po prostu przeszedł po nim atakując dalej. A potem Gea zobaczyła coś, co wydało jej się jeszcze bardziej niesamowite (i przerażające): dwaj

czarni giganci pojawili się po drugiej stronie rozżarzonego i pełnego płomieni krateru, tam, gdzie przedtem stał pancerny wóz Tarkara. Nawet nie dali sobie trudu, aby obejść krater, lecz po prostu przeszli przez płomienie i niemal kipiący metal. Nawet nie zwolnili, mimo niewyobrażalnie wysokiej temperatury.

- Strzelajcie! - ryknął Tarkar. - Otwórzcie ogień! Jego rozkaz przepadł gdzieś w ogólnym chaosie i zgiełku, ale w tym samym momencie z jego broni wyleciała jaskrawo zielona błyskawica, która uderzyła dokładnie w pierś jednego z czarnych gigantów.

Tym razem żelazna postać jednak się nieco zachwiała. Burza cienkich, jasnoniebieskich elektrycznych błyskawic przemknęła przez jego korpus i zgasła, podczas kiedy olbrzym spokojnie wędrował dalej. Ludzie i Quorrlowie wokół niego atakowali niesamowitych napastników. Miecze, włócznie i inne rodzaje broni trafiały i odbijały się bez wyjątku od opancerzonych postaci, ale mimo ogólnego chaosu Gea zauważyła, że czarni giganci nawet nie zadawali sobie trudu, aby się bronić. Po prostu szli dalej i przewracali bądź zdeptywali wszystkich, którzy nie byli dostatecznie szybcy, by zejść im z drogi.

Cienki, czerwony płomień przeszył powietrze, a towarzyszyły mu gniewne okrzyki daktyli. Trafił w czarną zbroję napastnika, odbijając się od niej natychmiast, podobnie jak inne pociski. Po chwili Tarkar strzelił raz jeszcze. Zielona błyskawica trzasnęła prosto w twarz jednego z olbrzymów z odległości mniejszej niż dziesięć metrów, okryła go świecącą siecią energii i broń Tarkara wyleciała mu z ręki, zataczając wielki łuk, po czym olbrzym dogonił przywódcę i jednym ruchem zmiotł go z drogi. Strach Gei zamienił się w coś w rodzaju ślepego przerażenia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła z bliska twarz olbrzyma.

Dotychczas zakładała, że napastnicy byli wojownikami w czarnych zbrojach, ale myliła się. Postać każdego z nich była wykonana po prostu z matowoczarne żelaza, łącznie z twarzą, która wcale nie kryła się za wizjerem hełmu zbroi, lecz sama była niezniszczalna, co wydawało się naprawdę niesamowite!

Gea nawet nie miała czasu, aby przezwyciężyć przerażenie, jakie ją ogarnęło po dokonaniu tego odkrycia, bo czarny gigant znalazł się tuż przy niej i wyciągnął po nią ogromną, czarną łapę - a dokładnie po Tormana, który cały czas trzymał ją za ramię, a drugą ręką próbował wyjąć broń. Zanim mu się to udało, żelazny wojownik odrzucił go po prostu na bok i sięgnął po Geę.

A jej udało się nie tylko wymknąć gigantowi, ale nawet odskoczyć w bok, dzięki czemu nie była już w zasięgu jego rąk, ale za to wpadła w ręce Tarkara. Władca klanu zdołał stanąć już na nogach - stracił swój rozrywacz, a jego prawy nadgarstek był złamany w tym miejscu, gdzie trafiła go pięść Żelaznego Człowieka; białe odłamki kości wystawały z rozerwanych mięśni, a twarz wykrzywił mu gry mas potwornego bólu.

Ale w jego oczach Gea dostrzegła nieopisaną nienawiść - w drugiej ręce Tarkar trzymał sztylet o długim, obustronnym ostrzu, które wymierzone było dokładnie w jej ciało. Z przerażającą jasnością pojęła, że on ją zabije, nawet jeśli miałoby to być ostatnie, co władca klanu będzie w stanie zrobić w swoim życiu.

Wszystko stało się niemal w ułamku chwili i było tak niepowstrzymane, jak przysłowiowe siły natury, których działanie można wprawdzie odczuć, ale nie można im przeciwdziałać.

Żelazny Człowiek ruszył w kierunku Gei, aby ją pochwycić, zaś Tarkar uruchomił całą siłę, z jaką zamierzał wbić sztylet w jej ciało - a jej wydało się nagle, że na głębszej płaszczyźnie jej podświadomości pracuje coś w rodzaju programu komputerowego, który analizował czas i ruch. Ostatecznie ustalił, że sztylet Tarkara zwycięży w tym śmiertelnym wyścigu.

I dokładnie w tej chwili, kiedy czubek sztyletu dotknął jej ubrania, ale jeszcze go nie przebił, w rękę Tarkara uderzyła jasnozielona błyskawica, która po prostu rozpuściła sztylet, jego rękę i większą część ramienia, po czym jako rodzaj niewidzialnej fali uderzeniowej przeleciała przez resztę jego ciała, pustosząc je od wewnątrz.

Gea potoczyła się wprost w ramiona żelaznego giganta i jeszcze zanim poczuła, że rzeczywistość zaczęła przesuwać się w kierunku, którego właściwie w ogóle nie powinno być, odwróciła głowę i zobaczyła Craidena, który podniósł się na kolana. A potem dostrzegła chromowany rozrywacz w jego ręce, którego lufa jeszcze iskrzyła po wyładowaniu.

- Arion. Obiad był koszmarem, chociaż ani Craiden ani żaden z jego współtowarzyszy nie powiedzieli nic, co nie byłoby konieczne.

A nawet mniej.

Nie padło ani jedno słowo na temat incydentu, do którego doszło minionej nocy Ostatnia część ceremonii wydawała się Arion kiepską farsą.

Wypowiadała słowa liczące tysiące lat tradycji, słyszała od Craidena podobne, równie stare słowa odpowiedzi i nie była jedyną osobą, która odetchnęła, kiedy Plixx - ciągle jeszcze w swoim stroju błazna, bo wszyscy wystąpili już w zwykłych ubraniach - ogłosił koniec posiłku, a zarazem także oficjalnej części odwiedzin władcy klanu. Craiden podziękował lakonicznie i zupełnie niezgodnie z protokołem, skłonił się nisko i wyprostowany, sztywno wymaszerował z sali tronowej. Tuż za nim szli Torman i Quorrlowie, a ich ruchy były tak precyzyjne, że nawet Duras i jego Żelazna Gwardia nie mogli zrobić tego lepiej.

- Gai niech będą dzięki, że ten typ wreszcie zniknął - powiedziała Arion, jak tylko Craiden znalazł się na tyle daleko, że nie mógł jej usłyszeć. Może nawet był jeszcze zbyt blisko, ale jej było to już zupełnie obojętne.

- Nie wiem, jak długo jeszcze byłabym w stanie to znosić.

- To jeszcze nie jest koniec, księżniczko. Tradycja wymaga, żebyście odprowadzili Craidena i jego towarzyszy do wielkiej bramy i tam go pożegnali.

Ach tak? A gdzie stoi zapisane, że mam trzymać się tej zakichanej tradycji? - W naszych ustawach, księżniczko. Obawiam się, że jednak musicie się ich trzymać.

Oczywiście było to dla Arion jasne, że R'Achernon ma rację. Fakt, że nie pojawiłaby się przy tradycyjnym pożegnaniu władcy klanu stanowiłby ogromny afront; choć jednocześnie była pewna, że dla Craidena znaczyło to cholernie mało. Mimo to potrzęsła przekornie głową.

Za dwa dni cały ten kram będzie oficjalnie należał do mnie, zgadza się? A teraz zgadnij, jaką ustawę zmienię natychmiast jako pierwszą? - Już poprzez samą okoliczność, że będziecie koronowani na królową, ja otrzymuję automatycznie całkowitą władzę ustawodawczą, księżniczko. A zmiana ustaw wymaga gruntownej ekspertyzy prawnej, aby nie doszło do powstania precedensu.

Bardzo trudnej ekspertyzy, zakładam? - Wiecie, jak to jest z ustawodawstwem. Takie coś może trwać dziesiątki lat.

Przypuszczam, że nawet setki. - Możliwe.

Arion westchnęła bezgłośnie, napotkała przy tym zamyślane spojrzenie Rymer oraz kpiące Plixxa i pojęła, że ten mały szczur znów odczytał jej myśli - Rymer prawdopodobnie też.

- Tylko myszczur, księżniczko. Senator Rymer prosiła wprawdzie o dostęp do waszych podstawowych myśli, ale wobec waszego obecnego stanu emocjonalnego odrzuciłem tę prośbę.

Ach, bardzo pocieszające. Arion jeszcze przez chwilę łamała sobie głowę nad kolejnym, lepszym argumentem dla R'Achernona, który to argument R'Achernon mógł i tak bez trudu obalić, w końcu zrezygnowała i podniosła się.

Monstrualna suknia, w którą się znowu wcisnęła, nie tylko głośno szeleściła, była też tak sztywna, że Arion o mały włos straciłaby równowagę i musiała wykonać kilka niezdarnych i śmiesznych kroków.

I uwolnij mnie w końcu od tej koszmarnej szmaty! - Ale tradycja mówi...

Czy w ogóle jest jakaś ustawa - taka, którą musiałabym zmienić - a która

mi zabroni pomalować całą wieżę na zielono albo na różowo? - Powinniśmy się pośpieszyć, księżniczko. Władca klanu i jego otoczenie są już w drodze na dół, także eskorta Quorrlów opuściła już stajnie.

Jadalnia przypominająca średniowieczną salę zniknęła, kiedy R'Achernon dopuścił się ze swej strony stosownego złamania protokołu i z miejsca przetransportował Arion do tej komory, w której Plixx pokazał jej nie mniej archaiczną szafę. Kilkanaście dron o pajęczastych odnóżach pomogło Arion wydobyć się z ciężkiej, brokatowej sukni. Arion przez kilka sekund miała



nadzieję, że kłapiące metalowe odnóża uszkodzą staroświeckie monstrum - ową suknię - i to tak, że R'Achernon nie będzie już w stanie jej naprawić.

Niestety, była to płonna nadzieja. Założyła więc szybko bardzo wygodną, aczkolwiek pozbawioną wszelkich ozdób szatę i czekała cierpliwie, aż R'Achernon przetransportuje ją do wielkiej hali.

Zamiast tego drzwi otworzyły się na tyle szeroko, że dostrzegła dwóch Żelaznych Ludzi, którzy czekali na nią na zewnątrz. Oszczędziła sobie trudu składania skargi, przekornie zadarła głowę i podeszła do wyjścia. Nikogo nie spotkali w drodze do windy, także w powietrznym szybie nie było nikogo, prócz dwóch kolejnych Żelaznych Ludzi, którzy tam na nich czekali. Arion wiedziała wprawdzie, że fakt takiego towarzysztwa także był częścią prastarego ceremoniału (który ona z całą pewnością zniesie, wszystko jedno, co na to powie R'Achernon!), ale mimo wszystko uważała to za głupie. Żelazną Gwardię tworzyli najpotężniejsi wojownicy planety, ale ona znajdowała się przecież w najbezpieczniejszym miejscu wszechświata! Jeśliby nawet komukolwiek udało się naruszyć zalecenia bezpieczeństwa R'Achernona, to i tak nie dotrzymałby pola czterem wojownikom gwardii.

Wielka sala przyjęć pełna była ożywionego ruchu, kiedy Arion wraz ze swym otoczeniem weszła do środka. Około pięćdziesięciu ludzi Żelaznej Gwardii utworzyło szpaler składający się z nieruchomych, czarnych pomników- szpaler ciągnął się przez dobre pół sali, niemal aż do bramy, a wśród gości znajdowała się też podobna liczba chromowanych dron bitewnych - rozmieszczonych pozornie przypadkowo, a jednak zgodnie z wcześniejszym planem. Oczywiście pojawił się też cały dwór i kilkuset ciekawskich, którzy koniecznie chcieli skorzystać z szansy zobaczenia na własne oczy prawdziwego barbarzyńcy. Nigdzie nie było jednak ani śladu Craidena i jego otoczenia. R'Achernon poinformował Arion, że wszyscy byli już w drodze i że zjawią się tu za kilka chwil.

Rymer, Duras i Plixx - ubrany już w swój zwykły płaszcz ze skórzanych łat - oczekiwali Craidena stojąc kilkanaście kroków przed bramą. Senator Rymer zmarszczyła czoło, kiedy ujrzała nowy strój Arion, za to Plixx uśmiechnął się szeroko.

- Plixx! - powitała go Arion. - Długo was nie widziałam. Gdzie byliście?

Myszczur spojrzał na nią z udawanym zaskoczeniem.

- Ależ księżniczko, nie rozumiem. Przecież dopiero co...

- Plixx - przerwała mu. - Umiem rozpoznać kopię omega, jeśli z nią mówię. A w tej chwili z nią nie mówię.

Plixx jeszcze przez moment udawał, że nie wie, o co chodzi, po czym natychmiast wszedł w rolę grzesznika złapanego na gorącym uczynku.

- Przed wami rzeczywiście nic się nie da ukryć, księżniczko. Byłem w mieście.

- W Oblężeniu? - A jest jakieś inne? - spytał Plixx, błysnął swoimi imponującymi kłami i błyskawicznie spoważniał.

- Później przedstawię wam dokładne sprawozdanie, jeśli sobie tego życzyacie.

- Pewnie obejrzeliście sobie armię władcy klanu? - wyraziła przy puszczeniu Arion.

Wielkie uszy Plixxa - o wiele za duże jak na mysz - były smutno opuszczone w dół.

- Chciałbym, aby to było takie proste, księżniczko - westchnął.

- A co się stało? - zapytała wprost.

-Jak mówiłem później zdam...

- Krótko. Teraz - rozkazała Arion. Kątem oka dostrzegła, że Rymer podniosła ostrzegawczo rękę, aby szybko uciszyć Plixxa.

- Są tam pożary, księżniczko - powiedział myszczur. -Wszędzie ogień, który wywołała bomba. Niestety dotychczas nie udało nam się wyizolować wszystkich ognisk pożaru.

-Ale pole zerowe zlikwidowało przecież pożar! Sama widziałam!

- zaprotestowała Arion. - Razem z wami!

- I w międzyczasie wygenerowaliśmy trzy kolejne pola zerowe, aby unieszkodliwić kolejne pożary. - Plixx potrząsnął głową, uderzając nerwowo pozbawionym sierści ogonem w podłogę. -

Problemem są małe ogniska, których jest bardzo wiele. Może nawet setki.

Ogniste chrząszcze uporały się z tym, ale zużywamy ich niesłychane ilości. R'Achernon z trudem nadąża z produkcją.

- Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie? - spytała Arion.

- Nie - Plixx odpowiedział odrobinę za wcześnie, także jego potrząśnięcie głową wydało się zdecydowanie zbyt gorliwe. - O tym nie ma mowy. Ale aby znaleźć wszystkie ogniska pożarów i unieszkodliwić je - to dla nas ogromny wysiłek. Może to jeszcze trwać całe miesiące.

- I sądzicie, że on o tym wiedział?

- Craiden czy ten szaleniec, który mu dał tę broń?

Arion chciała odpowiedzieć, ale w tej chwili zmienił się rodzaj oświetlenia i zabrzmiał ogłuszający dźwięk puzonów. Zdążyła odwrócić się na tyle wcześnie, aby dostrzec potężną, stalową bramę po drugiej stronie sali. Otwierała się właśnie powoli z wielkim hałasem.

Ani jej przesadne rozmiary ani też nieprzyjemny dźwięk przy otwieraniu nie były konieczne, ale R'Achernon był zdania, że ten występ - swoista demonstracja siły - pasował do mężczyzny takiego jak Craiden. I Arion właściwie nie mogła temu zaprzeczyć, kiedy zobaczyła mistrza klanu i jego otoczenie.

Craiden, Torman i ponad dwudziestu towarzyszących mu Quorrlów szli, prowadząc swoje monstrualne rumaki za cugle i nawet z tak znacznej odległości Arion mogła dostrzec napięcie mistrza klanu. Kiedy podszedł bliżej, patrzył dookoła, na wszystkich, tylko nie w jej kierunku.

- Gdybym nie wiedział, że to jest zupełnie niemożliwe, to mógłbym pomyśleć, że nasz mistrzunio coś knuje - rzekł Plixx, ciągle bijąc ogonem w podłogę. - Ten typ ma nieczyste sumienie wypisane na twarzy.

Arion rzuciła najpierw jemu, potem także Rymer rozgniewane spojrzenie, a wówczas senator powiedziała: - Po tym, co stało się dzisiaj w nocy, można to właściwie zrozumieć.

- A co stało się dzisiaj w nocy? - spytał Plixx naiwnie.

- Dlaczego nie zapytacie waszej kopii omega, Plixx? - fuknęła Arion. - Jestem pewna, że ona chętnie wam o tym opowie! I przypuszczalnie każdemu tutaj w tej sali!

- Czemu jesteście tak rozdrażnieni, księżniczko? On naprawdę nic o tym nie wie.

Tak, chyba jest jedynym człowiekiem w promieniu stu mil, który jeszcze nie wie, że o mały włos, a wylądowałabym z tym małpoludem w krzakach! - Naprawdę nie rozumiem waszej emocjonalnej reakcji, księżniczko. Mistrz klanu Craiden zgodnie z ludzkimi kryteriami jest wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Zgodnie z instynktem przetrwania popęd rozrodczy jest najsilniejszym ludzkim instynktem. I poddanie się mu nie jest absolutnie niczym uwłaczającym. Mogę was zapewnić, księżniczko, że każdy tutaj temu podlega i - ulega. Sama sena tor Rymer przed kilkoma dniami...

Czasami nie da się po prostu zaprzeczyć, że jesteś komputerem, prawda? - przerwała mu Arion.

R'Achernon umilkł obrażony, ale - osiągnął swój cel. Arion była wprawdzie w bardzo złym nastroju - ale największe napięcie nieco zelżało. Właśnie to R'Achernon pragnął osiągnąć poprzez swoje słowa. I to mu się udało.

Craiden podszedł bliżej, zatrzymał się kilka kroków przed nią i wreszcie popatrzył jej w oczy, ale Arion widziała, ile wysiłku go to kosztowało. Plixx miał rację - pomyślała. Mistrz klanu wyglądał w tamtej chwili jak uosobienie nieczystego sumienia.

- Księżniczko.

- Władco klanu Oblężenia - odpowiedziała zgodnie z przepisami.

- Przyjmijcie słowa wdzięczności za waszą wizytę. Był to dla nas wielki honor, powitać i gościć was w naszym domu i...

- Jest mi bardzo przykro, Arion - przerwał jej, zupełnie wbrew przepisom.

- Dlaczego?

- Przykro mi z powodu tego, co stało się ostatniej nocy - odpowiedział. - Żałuję bardzo tego, co zrobił mój koń. Nie rozumiem tego i nigdy nie sądziłem, że zaatakuje waszego konia. Zabiję

to zwierzę, jak tylko znajdziemy się w naszym obozie. To znaczy, jeśli wy nie wolelibyście tego zrobić.

- Nie pragnę ani jednego ani drugiego - odpowiedziała Arion.

- To zwierzę zrobiło tylko to, co kazała mu natura, prawda?

Craiden skinął głową, nieco (jak jej się wydawało) skonsternowany, dodała więc: - Przecież my też nie robimy niczego innego.

Craiden znów przytaknął. Nic już nie mówił, wciąż jednak sprawiał wrażenie zmieszanego.

-A więc zakończmy to - powiedziała Arion, choć co prawda tak cicho, że tylko on mógł usłyszeć jej słowa. I głośno dodała: - A więc rozejdźmy się w nadziei, że w przyszłości zapanuje pokój między naszymi wielkimi narodami i że może z tego pokoju zrodzi się też przyjaźń.

Czy rzeczywiście jej prababka też musiała wygłaszać te koszarne bzdury? Nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Rzeczywiście mam taką nadzieję, księżniczko - odpowiedział Craiden. Nie była to przepisowa odpowiedź, ale brzmiała uczciwie i choć Arion broniła się z całych sił przeciwko temu, to jednak po czuła w tamtej chwili coś w rodzaju sympatii.

I kiedy przez dłuższy czas nie odpowiadała, powiedział coś, co znowu ją rozwścieczyło: -I miejmy nadzieję, że upłynie mniej niż dwadzieścia lat, kiedy znowu się zobaczymy, księżniczko Infinity.

Rymer zmarszczyła czoło. Plixx zaskoczony nadstawił uszu, a jego wąsy zaczęły drżeć. A ci goście, którzy byli dostatecznie blisko, aby zrozumieć jego słowa, zaskoczeni, zaczęli cicho wymieniać jakieś uwagi.

- To wcale nie jest zły pomysł - powiedziała Arion szorstko.

- A więc powiedzmy, może... dziewiętnaście?

Uśmiech zniknął z twarzy Craidena, a Duras, którego olbrzymią postać Arion widziała kątem oka, niespodziewanie wzdrygnął się, jak gdyby nagle poraził go prąd. Żelazny Człowiek zachwiał się, zatoczył i zrobił gwałtowny krok do przodu, dzięki któremu nie stracił równowagi.

- Duras! - krzyknęła Rymer przerażona. - Co z wami?

Kapitan wyprostował się, w oszołomieniu potrząsnął kilka razy głową jak bokser, który otrzymał mocny cios i walczył, aby nie upaść.

- Duras? - spytała Rymer jeszcze raz.

- Właśnie umarłem - wymamrotał Duras.

- Co zrobiliście?

- Moja kopia omega - odparł Duras. - Właśnie została zniszczona.

Przez sekundę panowało całkowite milczenie, a potem Rymer z nerwowym, pełnym niedowierzania śmiechem potrząsnęła głową i chciała zadać kolejne pytanie, ale w tym momencie rozległo się coś, czego we wnętrzu R'Achernona nikt nie słyszał od tysiący lat. Wycie syren alarmowych.

Ambientalne Światło. Ambientalne Światło zbliżał się do umęczonej planety z prędkością wynoszącą ponad siedemdziesiąt tysięcy mil na godzinę. Ani budowa statku nie przewidywała takiej prędkości ani też konstruktorzy w najśmielszych marzeniach nie uważaliby jej w ogóle za możliwą do osiągnięcia. Budowa statku nie przewidywała też idących w parze z rosnącą prędkością obciążeń, co spowodowało, że Ambientalne Światło zaczęło się powoli rozpadać.

Od jego rufy odrywały się kolejne, zniszczone fragmenty karoserii, a kiedy on sam znalazł się w górnych warstwach atmosfery, jego dziób stopniowo zaczął się rozżarzać. Ale główne części statku ciągle jeszcze tworzyły całość.

Oba statki bojowe, które Duras wezwał w celu zniszczenia Ambientalnego Światła zanim dotrze on do górnych warstw atmosfery, zawróciły - nie dlatego, że nie były w stanie osiągnąć tak ogromnej prędkości, ale dlatego że ich systemy z niewyjaśnionych powodów nie były w stanie zlokalizować Ambientalnego Światła.

Jeszcze bardziej niezrozumiałym był fakt, że nie można było namierzyć lodowej komety, którą ciągnął za sobą statek. Liczniki tachionów kontroli rakiet odmawiały uchwycenia statku i jego o

wiele większego towarzysza. Ogromny rój staroświeckich rakiet, wezwany przez zrozczonego komendanta jednego ze statków z niewyjaśnionych przyczyn zoczył z pośpiesznie obliczonego kursu i musiał zostać zniszczony, kiedy zbliżył się na niebezpieczną odległość do Ziemi. Eksplozja nastąpiła po nocnej stronie planety.

Przerażająca chmura kilkunastu jednocześnie odpalonych bomb antimaterii rozjaśniła czerń nabitego gwiazdami nieba, ale również na zawsze zgasła wzrok wielu tysięcy istot, które na swoje nieszczęście akurat w tym momencie spojrzwały w niebo.

Ten sam los - czego zupełnie nie dało się wyjaśnić - spotkał też potężne wyrzutnie bojowych rakiet orbitalnych, które krążyły wokół planety na całkowicie zautomatyzowanych platformach i były pozostałościami wojny mającej miejsce dawniej, niż była w stanie sięgnąć ludzka pamięć. A mimo to były ciągle zdolne do pełnienia swych funkcji i tak precyzyjne, że mogły zniszczyć obiekt wielkości dziecięcej pięści znajdujący się po drugiej stronie księżycowej orbity.

Były zarazem tak potężne, że mogły po raz drugi, tym razem ostatecznie, zniszczyć księżyc. Ale wyrzutnie rakiet nie widziały ani statku, ani lodowej komety.

Ambientalne Światło pędził dalej z rosnącą prędkością. Jego dziób był teraz rozżarzony do czerwoności, a na pokładzie od dawna nie mogło już istnieć życie. Temperatura była bliska temperaturze topnienia żelaza, a cały tlen dawno wyciekł przez liczne pęknięcia w korpusie. Statek rozpadał się coraz szybciej, choć powinno to być właściwie nastąpić już dawno. Chroniła go jednak dziwna, niejasna siła, która jednocześnie powodowała, że ciągle jeszcze był całością i znajdował się na swoim kursie. Od jego kadłuba odrywały się kolejne części, które przez chwilę leciały obok statku, aż stawały się czerwonymi, rozżarzonymi kulami i w końcu ulegały zniszczeniu. Jeśli ktoś na Ziemi spoglądał teraz w niebo, widział chmurę płonących meteorytów otaczającą pomarańczowoczerwone, w samym środku rozżarzone niemal do białości centrum i zaraz za nim coś o wiele większego, bezkształtnego, co wydawało się tym bardziej przerażające.

Pod Ambientalnym Światłem wolno obracała się planeta, a wraz z granicą dnia i nocy także miasto i potężna wieża znalazły się w polu widzenia statku... o ile na jego pokładzie znajdowałyby się istota, która byłaby w stanie cokolwiek widzieć. Dziób Ambientalnego Światła zaczynał się topić, odrywały się od niego coraz większe fragmenty. W odległości pięciu tysięcy mil od powierzchni Ziemi Ambientalne Światło był już jednolitą, parującą grudą roztopionego żelaza, która ułamek sekundy później po prostu spłonęła i znikła - inaczej niż potworna kometa, którą statek ciągnął za sobą i która nieubłaganie pędziła dalej w stronę powierzchni Ziemi. Dokładnie rzecz ujmując była to w tej chwili ogromna, brudna kula śniegu, ale spadała z nieba z taką prędkością, że nie było możliwości, by się stopiła czy też wyparowała w górnych warstwach atmosfery. I dosłownie w ostatniej chwili R'Achernon odpalił w jej kierunku całą serię sztucznie wygenerowanych czarnych dziur, za pomocą których zaledwie dzień wcześniej zneutralizował mordercę planety.

Ani jeden strzał nie trafił do celu.

Większość eksplodowała gdzieś poza zewnętrznymi warstwami atmosfery, gdzie w efekcie powstał obszar niemal idealnej pustki.

Jeden ze strzałów trafił starą platformę obronną i porwał ją za sobą w nicość. Jeszcze zanim zgasł migocący błysk wybuchu, R'Achernon podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę przeciwdziałania katastrofie, pompując w tarcze ochronne otaczające miasto i poprzez to cały kontynent, każdy erg energii, którą był w stanie zebrać.

A potem kometa uderzyła w Ziemię.

To nie jej ciężar liczący półtora miliona ton był przyczyną katastrofy. Taka waga nawet nie spowodowałaby migotania tarcz ochronnych. Ich działanie mogło wytrzymać nawet wystrzały z broni, która była w stanie zniszczyć całe światy.

Decydująca była prędkość komety i to jej sile niszczenia nie dał rady oprzeć się nawet R'Achernon. Parujący lód, który w ułamku sekundy z prędkością niemal równą prędkości światła uderzył w tarczę, eksplodował z takim impetem, jak gdyby sam Bóg uderzył w Ziemię młotem kowalskim.

Arion. Światło zgasło. Przez pół sekundy panowały ciemności, całkowita, niemal dusząca

czerń, której Arion nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu. Poczła momentalnie, że ogarnia ją panika. Potem pojawiło się czerwone migotanie, przypominające błyski eksplozji, szybkie jak seria z karabinu maszynowego. Jego działanie wizualnie przypominało siekanie pojedynczych, rejestrowanych przez oczy obrazów - zupełnie jak w efekcie stroboskopowym. Aż wreszcie świat przy akompaniamencie wyjących syren ogarnęło prawdziwe szaleństwo. Dookoła rozlegały się głośne okrzyki, a także strzały i Arion wcale nie musiała patrzeć na toczącą się dookoła walkę, aby ją czuć każdym nerwem.

Ktoś chwycił ją w pól - przypuszczalnie Duras, sądząc po sile i twardości obejmujących jej ramię palców - ale zdołała wyrwać się błyskawicznym ruchem i odskoczyła na bok. W kolejnym krwistoczerwonym błysku ukazała się przed nią olbrzymia czarna postać, która przemknęła obok niej, potykając się co krok. Znowu zrobiło się ciemno, a potem rozbłysło ciemnoczerwone światło, wycie syren stało się jeszcze głośniejsze i towarzyszyło mu coś, co było o wiele bardziej denerwujące, choć ledwo słyszalne.

Arion nie myliła się. W ciągu kilku sekund, od kiedy zaczął się alarm i po raz pierwszy zgasło światło, w sali po prostu zawrzało, niemal jak w piekielnym kotle. Ludzie uciekali na oślep w panice, kiedy widowisko, którego mieli być widzami, nagle zaczęło zagrażać ich życiu. Ze wszystkich stron leciały drony bojowe, doszło do bójek między Quorrlami a gigantami Żelaznej Gwardii Durasa. Wycie syren zostało na chwilę zagłuszone przez huk eksplozji.

- Księżniczko! Głos Plixxa był tak przeraźliwy i pełen paniki, że Arion niemal go nie rozpoznała. Myszczur szarpnął ją na bok z taką siłą, której spodziewałaby się najwyżej po którymś z ludzi Durasa albo wręcz po nim samym - i gdyby Plixx tego nie zrobił, kolos ze skórą pokrytą łuskami przewróciłby ją na ziemię tam, gdzie dopiero co stała. Pazury o twardości diamentu skrzesaly iskry na podłodze i wtedy Quorrl zadał kłam obrazowi swojej pozornie ociążałej postaci, uderzając Plixxa szybkim i niezwykle silnym ruchem w twarz. Myszczur zatoczył się, ale nie upadł - choć takie uderzenie zmiażdżyłoby szczękę lub nawet czaszkę człowiekowi postury Quorrla. Prychnął gniewnie jak kot, powodując, że Quorrl został porwany przez jakąś niewidzialną siłę i ciśnięty na odległą o dwadzieścia metrów ścianę z takim impetem, że prawdopodobnie w jego ciele nie została ani jedna cała kość.

- Uciekaj stąd, księżniczko! Szybko! - Plixx znowu spróbował odciągnąć ją na bok, ale Arion wyrwała się i odwróciła, szukając Craidena.

Na pierwszy rzut oka nie mogła go nigdzie dostrzec, za to zobaczyła jego gwardzistę, który oczywiście wybrał sobie na przeciwnika samego Durasa, chcąc zmierzyć się z nim na śmierć i życie. Arion nie sądziła, że Tormanowi zostało wiele czasu, aby zdążyć pożałować swojej pomyłki. Przerwała jednak zbędne rozmyślenia, próbując dalej odnaleźć Craidena w panującym dookoła chaosie, co ostatecznie jej się nie udało. Widziała za to sceny niezwykle. Przynajmniej w kilkunastu miejscach wielkiej hali toczyły się zażarte walki - które w ogóle nie powinny mieć miejsca! Przewaga Żelaznych Ludzi Durasa nad Quorrlami była mniej więcej podwójna i każdy z nich był w stanie poradzić sobie nawet z kilkunastoma Quorrlami walcząc w pojedynkę.

A mimo to właśnie Żelazni Ludzie zaczęli przegrywać bój.

Nie udało im się pokonać wojowników z łuskami ani nawet ich odeprzeć, zwłaszcza że Quorrlowie wykorzystali w potyczkach swoje ogromne konie, które rzucały się w tłum walczących i atakowały żelaznych przeciwników zębami, kolcami i potężnymi kopytami.

- Plixx! - krzyknęła rozpaczliwie Rymer, która jako jedyna z osób cywilnych nie rzuciła się do ucieczki, lecz trzymając w ręku broń daremnie szukała w szalejącym chaosie jakiegoś celu. - Wyprowadź cie stąd księżniczkę!

Po raz kolejny Plixx chwycił Arion za rękę z taką siłą, której się po nim zupełnie nie spodziewała. Nawet nie myślała o oporze, lecz musiała skupić się całkowicie na tym, by nie ciągnął jej za sobą jak worek w razie upadku, biegła więc za nim, potykając się co krok.

Dookoła niej panował kompletny chaos. Coraz więcej dron o pajęczych odnóżach rzucało się w bitewny zgiełk i już choćby z powodu swej liczebności zmuszały Quorrlów do odwrotu. W kilkunastu miejscach na ścianie pojawiły się sześciokątne otwory, z których wylatywały dziesiątki, o ile nie setki kolejnych maszyn bojowych.

Mimo to nie rozumiała, dlaczego R'Achernon po prostu nie zabrał stąd jej i Plixxa.

Myszczur potknął się, upadł i mało brakowało, a podciąłby jej nogi, gdyby nie puścił jej ręki w ostatniej chwili. I jeszcze kiedy Plixx zamieniał się w kulę ze skóry i sierści, która potoczyła się na ziemię z pełnym oburzenia piskiem, Arion zdołała odzyskać równowagę i uderzyła o coś z pełnym przerażenia okrzykiem. Domyśliła się natychmiast, dlaczego upadł Plixx. Z tego samego powodu nie widziała Craiden'a w tym zgiełku.

Mistrz klanu stał przed nią.

Blokady bezpieczeństwa R'Achernona musiały przestać działać całkowicie, bo Craiden trzymał w ręku wąski miecz o czarnej klindze, z której kapąła gęsta i czarna krew. Lewa ręka Plixxa, z palcami skurczonymi jak u zdychającego pająka, leżała obok niego na podłodze.

- Craiden? - wymamrotała wstrząśnięta. - Ale co...

Więcej nie była w stanie powiedzieć, bo teraz Craiden chwycił ją za rękę i szarpnął tak brutalnie, że krzyknęła głośno z bólu i lęku.

Tuż za nimi myszczur zdołał wstać, sycząc wściekle, a jego prawa ręka zamieniła się nagle w potworną łapę o ostrych, długich pazurach - zaś z obciętego kikuta lewej krew tryskała jak z przeciętej rury pod wysokim ciśnieniem.

- Ty przeklęty draniu! - krzyknął. - To nie ujdzie ci na sucho!

Wyrwę ci wnętrzności, które będziesz musiał sam pożreć, ty cholery jaskiniowcu!

Natychmiast też rzucił się na mistrza klanu, aby zamienić w czyn swoje postanowienie. Craiden odwrócił się spokojnie w jego stronę i bez wahania wbił miecz w jego ciało. Ostrze z czarnego acheronu przebiło tarczę ochronną Plixxa tak samo łatwo, jak jego płaszcz ze skórzanych łat i klatkę piersiową, wynurzyło się po drugiej stronie jego ciała między łopatkami i błysnęło raz jeszcze, kiedy Craiden jednym ruchem przekręcił miecz. Plixx wyrzucił z pyska czarną krew i przypuszczalnie był już martwy, gdy padał na ziemię. Craiden błyskawicznie wyciągnął broń, schował ją do pochwy i ruszył dalej.

Arion wiedziała, że nie ma sensu bronić się przed jego chwytem, nie traciła więc na to czasu, ale wpadła na pomysł, aby włączyć swoją tarczę ochronną. Jednak zamiast tego usłyszała wściekłe brzęczenie i pojęła, że tarcza nie włączy się tak długo, jak długo Craiden będzie trzymał ją za rękę i dla pola siły zabraknie kilku wolnych milimetrów, które konieczne były w czasie fazy jego budowania. Ale Craiden w tym momencie sięgnął wolną ręką po jej pas i rozerwał go.

- Do cholery, czy ty oszalałeś?! - krzyknęła. - Dokąd chcesz iść?

Oczywiście nie doczekała się odpowiedzi, czego przyczyną mógł być także fakt, że Craiden sam nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie było miejsca, do którego mogliby uciec. Mimo to pociągnął ją dalej wprost do środka sali, gdzie ciągle toczyły się zażarte walki - po drodze kopniakiem zmiotł dronę bojową, która próbowała go zaatakować.

A potem Arion zobaczyła coś, co jeszcze kilka sekund wcześniej uważałaby za niemożliwe: jeden z żelaznych gwardzistów Durasa leżał na podłodze. Ktoś wyrwał mu oba ramiona i rozbił czaszkę tak, że jej mechaniczne części leżały rozsypane dookoła. Drobnutkie kółka zębate i maleńkie tłoki, pierścienie, śruby i drążki leżały w kałuży czarnego smaru i oleistej substancji chłodzącej jak w osobliwej krwi. W miejscu, skąd zostało wyrwane jego prawe ramię, poruszały się rytmicznie urwany kawałek metalu, jak gdyby imitując uderzenia sztucznego serca.

Jakby tego było mało, Arion zobaczyła po chwili kolejnego Żelaznego Człowieka, którego jeden z Quorrlów siedzący na swoim potwornym rumaku właśnie rozrywał na części. I nawet sam Duras, toczący ciągle bójkę z Tormanem, wydawał się mieć przejściowe trudności z uporaniem się ze swym rogatym przeciwnikiem.

Ale tak czy owak - to szaleństwo mogło trwać najwyżej jeszcze kilka chwil. Setki, jeśli nie tysiące kolejnych dron bojowych pojawiły się znowu, pełniąc funkcję szczelnego muru o srebrnych odnóżach i śmiertelnych ostrzach, a sto metrów ponad nimi otworzyły się ogromne klapy, przez które do wnętrza sali zaczęły wlatywać żółto--czarne helioptery, aby także rzucić się w wir walki.

Jeszcze kilka minut - i będzie po wszystkim.

I kiedy hucząc głośno zlatywały w dół, a jeźdźcy wyciągnęli broń i zaczęli strzelać, zanim

jeszcze tysiące srebrnych dron wleciały do sali, kowalski młot samego Boga uderzył w R'Achernona i momentalnie zniszczył wszystko wokół.

Inferno. Impet uderzenia komety przypuszczalnie nie wystarczyłby, aby rozbić całą planetę; ale z pewnością wysterylizowałaby ją bez trudu. W przeszłości uderzenia o wiele mniejszych ciał niebieskich wystarczały, aby na całej planecie ginęło wszelkie życie, a ewolucja cofała się o miliony lat. Zjawiska, dzięki którym tym razem Ziemi oszczędzony został podobny los, były dwojakiego rodzaju: po pierwsze była to Ściana. Sama jej niewyobrażalna siła wystarczała, aby wytrzymać takie uderzenie (choć późniejsze analizy wykazały, że ciężar większy zaledwie o kilkanaście tysięcy ton mógłby ją jednak przebić), a po drugie - było to czyste szczęście.

Szczęście polegało na rozmiarze kąta, pod którym kometa uderzyła w Ziemię. Gdyby runęła w kopułę tarczy kilka stopni bardziej w lewo, w prawo albo poniżej, to wprawdzie by jej nie przebiła, ale jej energia zamieniłaby się w orkan o temperaturze trzy tysiące stopni.

Ten zaś z prędkością przekraczającą dziesięciokrotnie prędkość dźwięku okrążyłby planetę i nie tylko zniszczył na niej wszelkie życie aż po najmniejsze mikroorganizmy, ale także wyrzuciłby w przestrzeń kosmiczną atmosferę Ziemi. I tylko zakrzywionej powierzchni pola siły zawdzięczać należy to, że w chwili uderzenia dziewięćdziesiąt pięć procent energii kinetycznej zamienionej w falę uderzeniową zostało odbite z powrotem w kosmos. Powstał ogromny słup ognia liczący tysiące mil, którego energia skierowana była w przestrzeń kosmiczną. Na szczęście - zgasł szybko, zanim pożar mógł ogarnąć całą planetę.

Jednak w następstwie uderzenia nie udało się uniknąć przerażających spustoszeń. Kombinacja fali uderzeniowej i cieplnej przetoczyła się wokół całej planety, osiągając temperatury rzędu dwieście lub trzysta stopni Celsjusza przy prędkości od czterystu do sześciuset mil na godzinę. Każda żywa istota, która nie zdążyła się schronić, zginęła w pożarze, porwana przez falę i zmiażdżona w wyniku uderzenia o jakąś przeszkodę - a jeśli takowej nie było, fala porywała wszystko na wysokość kilkuset metrów. Gdyby przetrwały jakieś lasy, byłyby całkowicie spalone, a nieliczne, płytkie morza, w które zamieniły się oceany, zaczynały się gotować. Niektóre z nich - wyparowały całkowicie.

Miasto ucierpiało jeszcze bardziej.

Tarcza uchroniła je przed natychmiastowymi skutkami uderzenia i odbiła falę cieplną oraz uderzeniową, ale było coś, przeciwko czemu tarcza okazała się zupełnie nieskuteczna - niesłychanie jaskrawa błyskawica i niewyobrażalny hałas będący wynikiem eksplozji porównywalnej z wybuchem bomby wynoszącej tysiąc megaton - z wahaniami kilkaset ton w jedną i drugą stronę. Blisko jeden procent ludności (a więc trzydzieści pięć milionów) doznało natychmiastowego oślepienia, niekiedy trwałego lub trwającego od kilku tygodni do kilku miesięcy, a hałas był przyczyną śmierci mniej więcej takiej samej liczby mieszkańców - z powodu ogłuszenia lub też zawalenia się budowli w wyniku działania dźwięku. Pod gruzami pogrzebanych zostało tysiące mieszkańców. Do ogólnego zniszczenia przyczyniło się też trzęsienie ziemi, które ogarnęło całą planetę. W różnych miejscach wybuchły pożary, również będące przyczyną śmierci tysięcy ludzi. Z niewyjaśnionych przyczyn doszło też do eksplozji bomby o sile dziesięciu megaton, co spowodowało powstanie strefy śmierci liczącej piętnaście mil średnicy. A niedaleko od centrum miasta i R'Achernona wybuchł potężny wulkan, z którego całymi tygodniami wylewała się lava i wydobywały się trujące, radioaktywne wyziewy. Przez długą chwilę Oblężenie rozświetlało czerwone, upiorne światło - niebo dosłownie stało w płomieniach. Mimo niewidzialnej tarczy na ziemię spływały strumienie ognia i niszczyły wszystkie istoty w promieniu tysięcy mil - po zakończonej już fali eksplozji.

Nie wszystkie części miasta znajdowały się pod ochronną tarczą.

Zgodnie z jego zasadami konstrukcyjnymi tworzyło ono idealny okrąg, ale ani nie odpowiadał on aktualnej formie miasta ani też formie kontynentu, na którym miasto zostało wzniesione. Poza tą strefą znajdowały się ogromne, leżące odłogiem obszary dawnego morza, które w ogóle nie były chronione, podobnie jak te, na których osiedlili się ci najbardziej zdeterminowani spośród mieszkańców miasta. Te obszary znajdowały się poza strefą ochrony. Ich mieszkańcy nauczyli się żyć w bardzo niesprzyjających ludziom warunkach.

Teraz zginęli co do jednego.

Wszyscy zresztą, którzy nie nauczyli się oddychać ogniem, zginęli.

Nidy nie ustalono dokładnej liczby ofiar uderzenia komety - szła ona w setki milionów. Choć inferno przecież nie trwało nawet dziesięciu minut.

A nie była to jedyna katastrofa, która wydarzyła się na Ziemi tego ostatniego dnia wielkiej wojny.

I nie była to także najgorsza z możliwych katastrof.

Arion. Nie mogła być długo nieprzytomna, o ile w ogóle straciła świadomość. Była w stanie przypomnieć sobie, że upłynął jakiś czas - choć nie wiedziała, ile to trwało ani co się wtedy działo. - Nie miała jednak poczucia całkowitej pustki, jakie zwykle występuje przy omdleniu. Tym razem - był to inny rodzaj nicości, taki, który śmiertelnie ją przerażał. Poza tym - było cicho.

Może to właśnie najbardziej ją przerażało.

Wycie syren umilkło i zamiast alarmu bojowego, którego się spodziewała, Arion słyszała tylko jakieś szepty i szemrania, może jeszcze jakieś stłumione stękanie. Żadnych strzałów, krzyków, szczękania mieczy czy też głuchych uderzeń - ale nie to wytrąciło ją z równowagi i napełniło takim przerażeniem, że obawiała się otworzyć oczy. Ta cisza - to było coś więcej niż brak wszelkich dźwięków... jak gdyby w niej samej umarł głos, który towarzyszył jej całe życie.

R'Achernon? - zapytała nieśmiało w myślach.

Nie otrzymała odpowiedzi, ta cisza w niej samej zdawała się aż dudnić. Poczła gwałtowne bicie serca i suchość w ustach - jak gdyby nie piła nic od kilku dni. Nie ważyła się już kolejny raz wzywać R'Achernona - ze strachu, że znów nie otrzyma żadnej odpowiedzi.

Usiadła i zebrała się na odwagę, aby otworzyć oczy.

Nie było tak źle, jak się spodziewała, choć jednocześnie - o wiele gorzej. W dodatku nie była w stanie zbyt wiele zobaczyć. Paliło się światło - jeśli można to było tak nazwać: matowoczerwone, z trudem przebijające się przez kurz, ledwo wydobywające z ukrycia szczegóły i zacierające ich kontury. Dostrzegła koło siebie jakiś nieruchomy cień i kiedy spróbowała się podnieść podpierając się przy tym obiema rękami, natrafiła na ciepłą, lepką substancję. Cofnęła rękę z obrzydzeniem. Nie była to jednak krew, jak instynktownie założyła, lecz oleista, czarna ciecz, przypominająca krew tylko w dotyku. W pewnym sensie jednak owa substancja tę funkcję spełniała. Ciecz wypływała bowiem ze zmiażdżonego Żelaznego Człowieka, obok którego upadła Arion - bez względu na to, jak bardzo się tego obawiała, zmusiła się, aby obrócić głowę i popatrzeć na niego.

Ale pomyliła się. Wcale nie leżała obok zmiażdżonego gwardzisty, lecz obok pogruchotanych resztek helioptera, który zapewne spadł z dużej wysokości na ziemię i dosłownie rozleciał się na tysiąc części. Krwawe strzępki syntetycznych mięśni i niezliczone fragmenty przeróżnych tworzyw sztucznych oraz metalowych odłamków rozsypały się naokoło, a za zniszczonym korpusem olbrzymiego, liczącego przecież osiem metrów długości insekta, Arion dostrzegła jakiś mniejszy obiekt - przezornie wolała się mu dokładniej nie przyglądać.

Opanowało ją jakieś szczególne uczucie. Rozum mówił jej, że heliopter był jedynie czymś podobnym do żywej istoty, a mimo wszystko odczuwała coś w rodzaju współczucia dla tego stworzenia - i niemal pretensję do losu, że jego egzystencja została tak bezsensownie zakończona.

Otrząsnęta się po chwili z przykrych myśli, wstała i na wysokości swoich oczu zobaczyła niewyobrażalnie masywną pierś, której skóra pokryta była łuskami przypominającymi macicę perłową.

Zareagowała błyskawicznie: cofnęła się gwałtownie i uderzyła o równie muskularną pierś - silne ramiona Quorrla chwyciły ją natychmiast i mocno przytrzymały. Próbowwała się wyrwać, ale równie dobrze mogłaby siłować się na ręce z Durasem.

- Przestańcie, księżniczko! - zawołał Craiden. Jednocześnie potrząsnął nią tak gwałtownie, że jej głowa opadła bezwładnie jak głowa szmacianej lalki. Doszła do wniosku, że będzie lepiej go posłuchać. Przynajmniej w tym momencie.

- Nie chcę wam sprawiać bólu, ale jeśli mnie do tego zmusicie, obezwładnię was! - dodał.

Arion uznała to za całkowicie zbyt wiele. Podobnie jak to, że Craiden ją trzymał. Zbyt wiele.



wydał jej się również fakt, że on w ogóle mógł zrobić coś takiego. Gdzie, do diabła jest Duras i jego ach-jakże-niezwyrodnieni Żelazni Ludzie? Craiden, zupełnie jak gdyby chciał odpowiedzieć na to pytanie, odwrócił ją brutalnie i popchnął w kierunku gigantycznego konia, który nie tylko niecierpliwie uderzał kopytem o podłogę, ale szczyrzył swoje imponujące uzębienie godne drapieznika i patrzył na nią, pełen, jak jej się zdawało, radosnej nienawiści.

- Jeśli chcecie mnie zabić, to zróbcie to własnymi rękami - powiedziała. - Nie pozwólcie, aby to... monstrum mnie pożarło.

Jej serce biło głośno. Ale właściwie dlaczego? Śmierć nie była niczym, czego musiałaby się obawiać. Zobaczyła przerażające kły potwora, o którym Craiden mówił, że to koń i zweryfikowała swoje zdanie. Może śmierci nie musiała się obawiać, ale samego umierania z pewnością.

- Dlaczego miałbym chcieć was zabić, księżniczko? - wydawało jej się, że Craiden świetnie się bawi. - Przecież kogoś takiego jak wy nie można ponoć zabić. Po cóż więc miałbym zadawać sobie tyle trudu?

Popchnął ją w kierunku konia i jednocześnie rozkazującym gestem nakazał coś swoim wojownikom. Ale dlaczego swoim wojownikom? Gdzie był Duras razem z Żelazną Gwardią i niezliczonymi dronami bojowymi, które wysłał R'Achernon?

Przynajmniej na drugie pytanie Arion mogła odpowiedzieć sobie sama, kiedy tylko się odwróciła. Niedaleko od niej leżała niesłychana ilość chromowanych maszyn morderców wszelkiego rodzaju. Nie wyglądały na uszkodzone, ale mimo to zostały zniszczone dokładnie tam, gdzie akurat stały, kiedy...

Tak, właśnie, co się właściwie stało?

Rozejrzała się uważnie i zapragnęła nagle, aby to pytanie nigdy nie padło. Nieruchome drony leżące obok niej nie były jedynymi zniszczonymi maszynami. Wszędzie leżały srebrzyste pająki ze skurczonymi odnóżami, dziesiątki, setki... wszystkie maszyny bojowe, które wieża wysłała im na ratunek. Przerażona, pojęła natychmiast - wszystkie! Tu i ówdzie dostrzegła czyjeś nieruchome ciała, z krwi i kości, ale także te z żelaza - i te pokryte łuskami.

A to jeszcze nie było wszystko. Coś tu się nie zgadzało.

R'Achernon! - pomyślała znów, już bez tego rozkazującego tonu, którego zawsze używała. - Co się tutaj dzieje? Nie otrzymała odpowiedzi.

Gorzej: nie było już niczego czy też nikogo, kto mógłby jej odpowiedzieć. Milcząca obecność, która towarzyszyła jej całe życie, już nie istniała. Teraz dookoła panowała tylko martwa cisza.

- Ruszamy! - rozkazał Craiden swoim wojownikom. Potem zwrócił się bezpośrednio do Arion i zmusił ją, aby na niego popatrzyła, chwytając ją za ramiona i odwracając do siebie. Wyraz jego oczu zmieszał ją, ale było w nim także coś, co ją przeraziło.

- Czy dacie mi swoje słowo, że pójdziecie z nami bez stawiania oporu czy też mam was związać? - spytał.

Arion w pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym on mówi; wreszcie pojęła i otworzyła szeroko oczy z niedowierzaniem.

- Wy chcecie mnie... uprowadzić? - stęknęła. - Czy wyście...

całkiem zwariowali?

Craiden nie miał zamiaru jej odpowiadać. Chyba stracił rozum - pomyślała Arion. Całkiem zgłupiał. Coś musiało mu spaść na głowę - i to coś bardzo ciężkiego, ze sporej wysokości.

Mistrz klanu wziął do ręki cugle swojego konia, aby go poprowadzić, ale w ostatniej chwili cofnął rękę, kiedy bydlę próbowało odgryźć mu palce. Uderzył konia pięścią między nozdrza z taką siłą, że zwykłego rumaka powaliłoby na miejscu. W każdym razie nie próbował jeszcze raz chwycić cugli, lecz uderzył konia płaską dłońią w zad i zwierzę ruszyło parszcząc głośno. Arion dołączyła szybko do wszystkich, zanim Craidenowi przyszedł do głowy pomysł, aby tak samo potraktować ją. Nie pytała już, dokąd właściwie zamierzał iść.

Kiedy zbliżali się do bramy, raz jeszcze przywołała w myślach R'Achernona, ale odpowiedzią było jedynie potworne milczenie i chociaż czuła wprost paniczny strach na samą myśl o tym, co zobaczy, obejrzała się z bijącym sercem. Dookoła leżały nieruchome drony, z których tylko

niewiele wydawało się uszkodzonych, ale pomiędzy nimi dostrzegła pogruchotane helioptery, martwych Quorrlów i nieruchomych Żelaznych Ludzi, a także zabite konie i kilka ludzkich postaci. Ku swemu przerażeniu zobaczyła wśród zabitych także senator Rymer, a chwilę później także senatora Wundermeera - choć jego zmasakrowane zwłoki z trudem dało się rozpoznać. Nie łamała sobie głowy z powodu ich śmierci - bo w końcu nie był to stan permanentny, nawet jeśli umieranie było nader nieprzyjemnym doświadczeniem. O wiele gorszy był fakt, że do tego w ogóle doszło. To nie mogło się przecież stać, w żadnych, nawet najbardziej niewyobrażalnych okolicznościach. Dwa tuziny Quorrlów pokonały Żelazną Gwardię i zabrały się za zdobywanie R'Achernona? To było... absurdalne.

Ale także liczba Quorrlów znacząco się zmniejszyła. Dwóch czy też trzech wojowników przyłączyło się do nich, gdy zbliżali się do bramy. Wszyscy byli ranni, a jeden z nich utykał tak mocno, że po kilku krokach został w tyle i już się nie pojawił. Kiedy byli niemal u celu, pojawił się także Torman. Miał tylko trzy rogi, a jego lewe ramię wyglądało tak, jak gdyby dostało się do maszynki do mięsa.

Jednak gwardzista Craidena poruszał się tak szybko i energicznie jak zwykle, a na jego brutalnej twarzy Arion dostrzegła nawet coś w rodzaju cienia uśmiechu. Dziwiła się, że w ogóle żył. Kiedy go ostatni raz widziała, toczył właśnie bój z Durasem, a z tego nie powinien wyjść żywy - nie mówiąc już o zwycięstwie. Może więc jednak nie zwyciężył? - pocieszała się w myślach. Na pewno było jakieś wyjaśnienie faktu, że nigdzie nie widziała Durasa.

- Znaleźliśmy - powitał Torman Craidena. Jednocześnie wskazał ruchem głowy na coś, co znajdowało się za nim. Arion spojrzała również we wskazanym kierunku, ale nie widziała tam nic oprócz czarnych ścian i cieni powstałych przy oświetleniu czerwonym blaskiem.

Craiden odpowiedział w języku, którego nie rozumiała, a Torman potrząsnął w milczeniu głową i nagle coś wyraźnie go zmartwiło. Po chwili odwrócił się, aby szybkimi krokami ruszyć do przodu, a Arion po raz kolejny spytała samą siebie, dokąd do diabła oni zamierzali ją zabrać. Coś poszło źle, potwornie źle. Nie miała najmniejszego pojęcia, co, ale z pewnością przestały działać wszystkie systemy R'Achernona - a to znaczyło, że wieża zamieniła się w największą pułapkę dla myszy na tej planecie. Nie było już żadnego „dokąd”, jeśli nie było przewodzącej wszystkiemu świadomości, która także generowała drzwi, nadzorowała powietrzne szyby i sprawiała, że schody wyłaniały się z nicości.

A gdyby ona już nigdy nie miała się pojawić? - wyszeptał jakiś głos gdzieś z tyłu jej głowy. — Jeśli R'Achernon. . jest martwy? Ta myśl była tak potworna, że Arion nawet nie pozwoliła, aby głośno rozbrzmiała w jej głowie. Z wysiłkiem skupiła uwagę na otoczeniu.

Nie widziała niczego, co dawałoby nadzieję na pozytywny obrót zdarzeń, ale mimo wszystko nic nie było tak przerażające, jak myśl o śmierci Czarnej Wieży. Otaczały ich ruiny, wśród nich leżały trupy- istoty z najprzeróżniejszych materiałów. Wokół nich widać było porozbijane metalowe części, kałuże krwi i lepkiego smaru. Wreszcie księżniczka dostrzegła, skąd pochodzi upiorne, czerwone światło, które powodowało, że całe otoczenie wydawało się skąpane we krwi.

Na wysokości człowieka, pozornie chaotycznie, ale w rzeczywistości w bardzo starannie zaplanowanym porządku, znajdowały się setki małych, czerwonych lamp, z których żadna nie była większa niż dziecięca pięść. Ich światło było tak mętne, że właściwie trudno było w ogóle mówić o „świecie”, przypominało ono raczej słaby pobłysk.

Wyżej, na górze, musiało być jeszcze więcej tych lamp, bo sufit hali był wypełniony czymś w rodzaju matowej, czerwonej mgły, dzięki czemu Arion wydawało się, że nie mogła normalnie oddychać, gdy zbyt długo patrzyła w tamtym kierunku. Przyszło jej do głowy wyrażenie „oświetlenie awaryjne”, ale za chwilę przeraziła się na samą myśl o tym, że mogło zostać uruchomione. Dopiero teraz stało się dla niej jasne: oświetlenie awaryjne uaktywniało się automatycznie, kiedy przestawało działać to właściwe. W każdym razie dzięki niemu nie umrą z głodu ani nie uduszą się w kompletnej ciemności - zależnie od tego, czy najpierw zabraknie im jedzenia czy powietrza.

Tę myśl Arion też szybko odpędziła, bo jej efektem mogło być tylko całkowite załamanie. Zmarszczyła czoło, kiedy dostrzegła, dokąd prowadził ich Torman. Były to drzwi, których nigdy jeszcze nie zauważyła w sali przyjęć w ciągu wszystkich lat, jakie spędziła w R'Achernonie. Ich

wysokość wynosiła z pewnością dwa i pół metra, musiały ważyć co najmniej tonę (lub tysiąc razy więcej, jeśli zbudowane były z acheronu) i przypominały pancerną grodz, jak na przedpotopowym statku podwodnym, włączając w to grube ramy, niesłychaną ilość nitów wielkości pięści dziecka i ogromnego koła ze szprychami, którego średnica wynosiła dobry metr. Wyglądało ono jak jakiś prymitywny mechanizm do otwierania. Na rozkaz Tormana dwaj olbrzymi Quorrlowie podeszli do drzwi i zaczęli obracać koło.

Musieli użyć całej swej niemałej siły, aby centymetr po centymetrze powoli otworzyć kolosalne wrota. Dostrzegli za nimi rozjaśnioną czerwonym światłem ciemność i w nozdrza uderzyła ich fala stęchłego, zużytego powietrza. Wspomnienie dawno minionego, zastygłego czasu wręcz zasznurowało Arion krtań.

Craiden wszedł bez słowa przez drzwi i chyba odniósł podobne wrażenie. Znajdowali się w zupełnie pustym korytarzu o nierównej podłodze i ścianach, które pokryte były czymś w rodzaju szorstkiej skóry. Powietrze było tak suche, że drażniło płuca i powodowało ataki kaszlu, miało też posmak kurzu i oleju maszynowego, zaś na ścianach w regularnych, dużych odstępach umieszczone były czerwone, świecące płyty, które rozjaśniały ciemność na tyle, że nie trzeba było potykać się o własne stopy. Stare... - pomyślała Arion dygocząc.

Wszystko tu było niewyobrażalnie stare, tak stare, że już samo to słowo wydawało się docierać do niej z każdego zakamarka i nie zostawiało miejsca na jakąkolwiek inną myśl z tyłu głowy.

Craiden poczekał, aż reszta z ośmiu wojowników, którzy mu pozostali, wejdzie do korytarza i kazał im zamknąć drzwi. Dopiero kiedy to zostało zrobione, ruszyli dalej.

Dalszy marsz był wręcz upiorny. Korytarz ciągnął się najpierw prosto, a potem rozpoczęła się płatanina zakrętów, odgałęzień, skrzyżowań. Raz nawet musieli pokonać niewielkie schody, które przede wszystkim dla sześciu pozostałych koni stanowiły niesłychany problem. Arion już po kilkunastu krokach straciła orientację. Przypuszczała, że znajdują się w jakimś tunelu zaopatrzeniowym lub ewakuacyjnym, który ciągnął się w ścianach R'Achernona, liczących ponad sto metrów grubości. Ale nadal nie była ani odrobinę bliżej odpowiedzi na pytanie, dokąd właściwie Craiden zamierzał dojść.

Nawet gdyby udało mu się opuścić wieżę - co ona uważała po prostu za niemożliwe - dokąd chciał się udać? Na zewnątrz R'Achernona znajdował się jedynie park i Ściana, która skutecznie uniemożliwi mu tę bezsensowną ucieczkę.

Okazja, aby spytać o to samego Craidena pojawiła się po kolejnych dziesięciu minutach - a może dziesięciu godzinach, bo w tym azylu wszystkiego, co wiekowe, czas miał zupełnie inne znaczenie - kiedy Torman nagle się zatrzymał. Był zbyt daleko z przodu, aby Arion mogła dostrzec to, co zwróciło jego uwagę, ale zauważyła, że kucnął, aby ocenić coś, co było na podłodze. Zatrzymała się cała kolumna pieszych oraz koni.

- Czy zechcecie mi w końcu powiedzieć, co właściwie planuje cie, mistrzu klanu? - spytała. Zadała to pytanie już kilkakrotnie, ale on nie odpowiedział ani razu. Także teraz nie liczyła na odpowiedź.

Choć, o dziwo wreszcie ją otrzymała, mimo że była ona zupełnie inna, niż by sobie życzyła.

Craiden demonstracyjnie milczał przez kilka sekund, zanim powoli odwrócił się do niej i spojrzał na nią uważnie. Milczał, - Rzeczywiście zamierzacie mnie uprowadzić jako zakładniczkę? To znaczy: czy wiecie, jak bezsensowny jest ten pomysł?!

Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech, który Arion wydał się zupełnie nie na miejscu. W jego spojrzeniu dostrzegła za to łagodność - co prawie ją przeraziło.

- Czy ciągle jeszcze nie pojęłaś? - zapytał.

- Nie! - fuknęła Arion, sama przestraszona reakcją, jaką spowodował u niej ten jego bezczelny uśmiech. Jej głos był o wiele bardziej surowy, niż było to konieczne. - Nie potrafisz tego pojąć, mistrzu klanu! Co chcecie osiągnąć poprzez uprowadzenie mnie? Czy chcecie dostać okup? - roześmiała się. - Jak wysoki? Sto złotych dinarów?

A może od razu dwieście?

Uśmiech na twarzy Craidena ustąpił miejsca rozczarowaniu, ale jego oczy miały teraz

zupełnie inny wyraz: ciepła i łagodności.

- Nie wiedziałbym nawet, co zrobić z taką ilością pieniędzy, księżniczko - odparł kpiąco. - Musicie wiedzieć, że nie mamy niczego, co można by kupić za tak wielką sumę. Ale mimo to - mieć jako zakładnika przyszłą królową niebiańskiej wieży - mogłoby okazać się korzystne.

- Nie „przeklętej Czarnej Wieży”? - odparła Arion rozzłoszczona.

Potrząsnęła gniewnie głową. — Muszę was rozczarować, władco klanu, jeśli sądzicie, że będziecie mogli coś wymusić na R'Achernonie, senator Rymer czy też Plixxie tylko dlatego, że jestem w waszej mocy - wskazała na sufit. - Nie wiem, co tu się stało, ale to nie będzie trwało wiecznie, wierzcie mi. A jak tylko to się skończy, oni przybędą i mnie uwolnią. Bardzo wielu waszych ludzi będzie musiało umrzeć. Może nawet wszyscy i prawdopodobnie wy sami też. Naprawdę tego chcecie?

- Sądzicie, że oni was uratują, księżniczko? - spytał Craiden. - Tak samo, jak dopiero co was bronili?

Nie, na taką dyskusję ona nie mogła sobie pozwolić.

- Przyznaję, że mnie zaskoczyliście, mistrzu klanu. Także Duras i sam Plixx. Ale nie wyobrażajcie sobie zbyt wiele: wiecie, że śmierć nie oznacza dla mnie tego samego, co dla was. Jeśli Durasowi nie uda się mnie uwolnić, to po prostu zrzucą bombę atomową na wasz pałac i wszyscy spłonimy razem z wami i całym waszym wojskiem. A dzień później pojawi się nowa księżniczka Infinity, która zasiądzie na tronie R'Achernona.

- Ale to już nie będziecie wy.

- Owszem, to będę ja! - odrzekła Arion. - Tylko bez wspomnienia o ostatniej nocy i tej katastrofie - na jej twarzy pojawił się grymas. - A z tego chętnie zrezygnuję. Ale was już wtedy nie będzie, mistrzu klanu.

- Przekonamy się o tym jeszcze - powiedział Craiden poważnie, patrzył na nią przez dłuższą chwilę tym dziwnym spojrzeniem i demonstracyjnie się odwrócił.

Arion była tak zdesperowana, że całkiem poważnie rozważała pomysł ucieczki. Programy walki, które ściągnęła ostatniej nocy, ciągle jeszcze były aktywne. Była też przekonana i pełna wiary w to, że udałoby jej się zaskoczyć Craidena, gdyby go niespodziewanie zaatakowała. A nawet Quorrla, który zapewne byłby w szoku, że zaatakowała go dziewczyna o wzroście metr sześćdziesiąt osiem i wadze pięćdziesiąt kilogramów.

Jednego tak. Ale ośmiu?

Nie, może to jednak wcale nie był dobry pomysł.

Torman wyprostował się i ruszył w drogę - ale szedł w bardzo specyficzny sposób. Korytarz miał szerokość około czterech metrów i nie różnił się niczym od tego, którym szli do tej pory. A mimo to Torman przycisnął się plecami do ściany i przesuwał się powoli centymetr po centymetrze wstrzymując oddech, aż pokonał dobre dwa metry - wówczas z wyraźnym westchnieniem ulgi stanął znów na środku korytarza.

Arion rzuciła Craidenowi pytające spojrzenie, ale w odpowiedzi otrzymała jedynie pełne zachęty skinienie głową. Mistrz klanu ruszył za swoim gwardzistą przesuwając się dokładnie w taki sam sposób, po czym odwrócił się i skinął ręką na pozostałych.

- Co ma znaczyć ten nonsens? - spytała Arion. - Chcecie mnie wziąć na ręce?

- Zróbcie to po prostu dokładnie tak jak Torman, a wtedy nic wam się nie stanie - odpowiedział Craiden.

- A niby co może się stać? - spytała nieufnie.

- Bądźcie mimo wszystko ostrożni - odparł Craiden niewzruszenie. - Nigdy nic nie wiadomo.

Przez chwilę kuśiło ją, aby po prostu unieść głowę do góry i przemaszerować prosto przez środek korytarza, już choćby po to, aby pokazać mu, że ona nie da z siebie robić idiotki. Prawdopodobnie nie było tu żadnego niebezpieczeństwa, a Craiden i jego przyjaciele będą śmiać się do rozpuku uderzając się przy tym w uda, kiedy ona będzie przesuwać się wzdłuż ściany jak jakaś histeryczka, która zobaczyła pajaka. Ale w ostatniej chwili poczuła niepokój. Postanowiła być ostrożna. Jak to on powiedział? „Nigdy nic nie wiadomo”.

Zamiast zrobić im na złość, przycisnęła się jednak do ściany i przesuwała się dalej maleńkimi krokami obok rzekomo niebezpiecznego miejsca.

Teraz, z bliska, zobaczyła, że coś... no, że coś było tu nie tak. Na podłodze znajdowała się nieregularna plama, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak jakieś brudne miejsce, ale okazała się czymś zupełnie innym: była to tak gładka i płaska powierzchnia, nawet nie zatrzymywało się na niej światło. Ten osobliwy kleks wydał się Arion bardzo niebezpieczny, ale może to nerwy płatały jej figla.

Dopiero kiedy znalazła się w pobliżu Tormana i Craidena, a odstęp od dziwnej plamy był wyraźnie większy, odważyła się oderwać od ściany i wyjść na środek korytarza. Skóra na jej twarzy i rękach zaczęła swędzieć. Może to jednak były tylko nerwy.

Quorrlowie szli w identyczny sposób i gdyby nie prowadzili za cugle swych koni, stałoby się coś złego. Olbrzymie zwierzęta wydawały się czuć niebezpieczeństwo, które zawierało w sobie dziwne miejsce na środku korytarza, bo także one przyciskały swe masywne korpusy do ściany korytarza. Poruszały przy tym nerwowo uszami i ogonami, a czasem ich kopyta znajdowały się dosłownie o włos od plamy.

I to właśnie bojowy rumak Craidena spowodował katastrofę. Prowadzący go Quorrl minął już niebezpieczne miejsce i ciągnął ostrożnie za cugle, ale jedna noga monstrualnego, niespokojnie tańczącego konia przekroczyła niewidzialną granicę.

I znikła.

Coś niewidzialnego chwyciło kopyto konia, pociągnęło go na środek czarnej plamy i pochłoneło. Reakcja Quorrla była zbyt powolna: próbował wypuścić z ręki cugle, ale prawdopodobnie nie przemyślał planu do końca, bo został po prostu porwany i ułamek sekundy później rozpułynał się w nicości tak samo, jak prowadzony przez niego koń.

Arion z niedowierzaniem wytrzeszczyła oczy. Wszystko działo się tak niewiarygodnie szybko, że właściwie nie zdążyła niczemu dokładnie się przyjrzeć. Zarówno Quorrl jak i koń zniknęli bez śladu, jak gdyby ich nigdy nie było.

- Na życie wszechmocnej Gai, co... co to było? - wymamrotała Arion.

- Ależ księżniczko - odezwał się za nią Craiden. - Nie oczekujecie chyba od niewykształconego barbarzyńcy, że będzie wam objaśniał tajemnice waszej własnej wieży?

- Owszem! - syknęła Arion. - Albo że przynajmniej będzie trzymał buzię zamkniętą na kłódkę!

Próbowała ciągle dostrzec przynajmniej jakiś ślad po olbrzymim koniu i niemniej olbrzymim wojowniku, ale... nie było tam widać dosłownie nic.

- Czy sami nie powiedzieliście wczoraj, że cała wiedza wszechświata zgromadzona jest w strukturze molekularnej waszego tak kochanego acheronu? - spytał Craiden.

Już pomijając fakt, że tak skomplikowane słowo właściwie w ogóle nie powinno mu przejść przez gardło, Arion nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- No i co z tego? - spytała.

- No, to może właśnie odkryliśmy punkt, w którym zapisana jest tajemnica grawitacji - odparł Craiden wesoło. - A teraz chodźcie dalej, księżniczko. Przed nami jeszcze długa droga.

Arion ciągle nie rozumiała, co chciał przez to powiedzieć (być może sam nie posiadał takiej wiedzy), ze zgrozą popatrzyła raz jeszcze na plamę o grawitacji zwiększonej miliony razy i posłusznie ruszyła do przodu, idąc wolno pomiędzy Tormanem i mistrzem klanu.

Z pewnością nie dostarczy temu... neandertalczykowi satysfakcji i nie pozwoli, aby wydawało mu się, że jest lepiej wykształcony niż ona!

Nie było już tak daleko, a przy końcu korytarza pojawiła się szeroka, bardzo mocno pochylona rampa, która niestety stanowiła niemały problem dla koni. Musiały być po niej sprowadzane wyjątkowo ostrożnie, w dodatku po pokonaniu ich rozpaczliwego oporu. Potem stanęły przed kolejną, chyba jeszcze bardziej masywną pancerną grodzia, której otwarcie wymagało teraz sił aż trzech Quorrlów.

Po jej przekroczeniu znaleźli się w sześciokątnej komorze pełnej kurzu, wypełnionej czerwonym światłem, z dokładną kopią takich samych drzwi na przeciwległej ścianie. Koło

wielkości połowy wzrostu człowieka nie otworzyło się nawet mimo połączenia sił wszystkich Quorrlów, aż wreszcie Craiden wpadł na pomysł, aby zamknąć wewnętrzne drzwi, które dopiero co otworzyli. Rozległo się głębokie, głośnie trzeszczenie i zgrzytanie, na chwilę też oświetlenie z czerwonego stało się matowozielone, po czym znów rozjarzyło się poprzednią barwą. I kiedy Torman chwycił ogromne ręczne koło, z łatwością zdołał je obrócić, choć po chwili znów potrzebował wsparcia Quorrlów, by otworzyć ciężkie wrota. Arion wszystko to przypominało służbę powietrzną jakiegoś bardzo starego, monumentalnego statku kosmicznego... ale jaki to wszystko miało sens? Jej cierpliwość się wyczerpała.

- Proszę was po raz ostatni o ułaskawienie, mistrzu klanu - po wiedziała spokojnie. - Zaprowadźcie mnie z powrotem do sali tronowej, a to wszystko będzie wam zapomniane, łącznie z ubiegłą nocą.

Nikomu nic się nie stanie i wznowimy po prostu nasze rokowania.

Craiden przez chwilę patrzył na nią uważnie i rzeczywiście dostrzegła w jego wzroku wahanie... ale nadzieje prysły, gdy potrząsnął głową.

- Łącznie z ubiegłą nocą... - westchnął. - Zdaje się, że musiałaś to rzeczywiście boleśnie odczuć. Ale wiesz co, dziewczyno? Jak tylko dotrzemy do mojego zamku, kupię ci nowego kuczka.

Dziewczyno? Nowego kuczka? Arion kompletnie nie rozumiała, o co też mogło mu w tej chwili chodzić. A więc dobrze! - pomyślała gniewnie. W takim razie inaczej. Rzeczywiście była w niej jakaś część, która zawsze chciała wiedzieć, jak to jest znaleźć się w centrum eksplozji antimaterii. Szkoda tylko, że kiedy następnym razem otworzy oczy, po sklonowaniu, nie będzie o niczym pamiętać.

Mimo wszystko jednak otworzy oczy W przeciwieństwie do tego szalonego, aroganckiego, zarozumiałego, pewnego siebie, zakochanego w sobie, zwariowanego mistrza klanu i...

Olbrzymia pancerna gródź powoli otworzyła się do wewnątrz komory i Arion wstrzymała oddech, kiedy jej wzrok padł na leżący przed nią park.

Jednak piękny widok zniknął w ułamku sekundy.

Tam, gdzie poprzednio znajdowały się lasy i gdzie pomiędzy wypielegnowaną trawą błyszczały jeziora, nie było teraz niczego, oprócz sięgającej do kostek warstwy białego popiołu, z której tu i ówdzie sterczały w górę szkielety spalonych drzew - niczym zwęglone, czarne, wyciągnięte ze skargą w stronę nieba ręce. Podmuch nieprzyjemnie ciepłego, suchego powietrza uderzył w ich twarze i napełnił płuca wonią pożaru. Niedaleko otwartej grodzi leżał strącony myśliwiec morderca, który ciągle jeszcze płonął, a pogruchotane helioptery tworzyły niemal regularne wzory na białym popiele.

Ściana zniknęła.

Tuż za nią, pod jednolitą, grubą warstwą czarnego dymu, zobaczyli sylwetkę zanurzonego w płomieniach, całkowicie zniszczonego miasta - Oblężenia. Craiden odwrócił się do Arion i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź - powiedział z uśmiechem. - Idziemy do domu, Gea.

KONIEC

\\/  
(o o)  
+-----oOO-{}-OOo-----+

Zapraszam na TnTTorrent. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?referral=1036847>